

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4764/33

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1849.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXIII.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąpeklego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 61⁷, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1849.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

4620 . 1849 . 1

II

1849

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



30,000,-
Tom pierwszy



OGÓLNEGO REPERTORIUM TOM XXVII

X-14131
4620 / 1849 II

09.26.33.

77 Dobra 7. 1. 1849

1849

ZNACZENIE
I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głiszczyńskiego.

(Z mapą).

WSTĘP.

Podając krótką wiadomość o hetmanach małorosyjskich i Kozakach do czasów unii, więcej na dzieje zewnętrzne tamtéj krainy miałem zwrócić uwagę.

Rozповідаjąc początek kozaczyzny i późniejsze jej dzieje aż do unii, nieledwie w samych ogólnikach, przelotem prawie, bo głównie szło mi o hetmanów małorosyjskich, jako namiestników polskich w tamtéj stronie; nie mogłem oznaczyć ani wypowiedzieć, co rozumiem przez kozaczynę, i jak ją dzisiaj polscy i rossyjscy nowsi historycy uważają. Myślę więc, że to będzie przedmiot dosyć ciekawy i zajmujący, jeżeli, o ile źródła i właściwość samego przedmiotu pozwolą, opiszę stan wewnętrzny kozaczyzny. Że zaś początkiem i pierwowzorem wszystkich Kozaków byli zaporozcy Kozacy, dlatego Zaporozie wyłącznie będzie przedmiotem téj

pracy. Z Zaporozża wypłynęła emanacja na Ukrainę, Don, potem Dunaj, Wołgę, Ural i t. d., a jako już emanacja, musiała jakiś typ metropolii zachować; ale mimo to, zbiegiem innych praw, obyczajów, zwyczajów i sposobu życia, od niej się wyróżnić.

Kiedy zamierzam obejrzeć stan wewnętrzny Zaporozża, dopatrzeć w niem wszystkich organów jego czysto wojenno-zakonnego życia, muszę wprzód niektóre uwagi poczynić, aby potem w ciągu samego przedmiotu od niego już nie zbaczać.

Najprzód, muszę tu nadmienić, że Zaporozże było samo w sobie oddzielną i niezależną jednostką, przyznającą zwierzchnictwo Polski, a potem Rossyi, ale zawsze na własnych prawach stojącą.

Powtóre, co innego znaczyła hetmańszczyzna, to jest Małorossya z Kozakami ukraińskimi, a co innego znaczyło Zaporozże.

Kozacy małorossyjscy czyli ukraińscy, czyto rejestrowi, po naszymu regularni, czy po miastach i wsiach mieszkający i żonaci, byli zupełnie pod władzą hetmana małorossyjskiego, i składali wojsko pod jego rozkazami będące, jak już powiedziałem, na pułki i sotnie podług miast i wsi podzielone; Zaporozże zaś nie zależało w niczem od hetmanów małorossyjskich.

Ukraińscy Kozacy byli prawda emanacją z Zaporozża, ale z różnym już charakterem, i widocznym na ich urządzenie wewnętrzne wpływem i zależnością od Polski. Zaporozże przeciwnie miało wszystko swoje rodzime; a tylko pewne oznaki zewnętrzne świadczyły, że przyznawali zwierzchność Polski, a potem Rossyi.

Dziwna rzecz, że w kronice, z której wyjątki p. Maciejowski w *Kwartalniku Naukowym krakowskim* z ro-

ku 1855, tomie II, zeszytcie 2 umieścił, powiedziano: „że rejestrowi Kozacy nastali piérwój, niż zaporozcy”; a dziwniejsza, że p. Maciejowski choć w przypisku tak ogromnego fałszu historycznego nie sprostował.

Rejestrowi Kozacy, tak nazwani dlatego, że już urzędzeni byli przez Polaków na sposób wojenny i w registr wojskowy zapisywani, byli wyptywem z Zaporozża, bo tam było piérwsze gniazdo i piérwsze siedlisko kozaczyny.

Potrzenie, zwykle dotąd i w naszych i rossyjskich historykach używano wyrażenia „hetmani kozaccy” niewłaściwie, bo nazwisko to i godność hetmana rozciągały się więcj do Małorossyi niż do kozactwa, i więcj do Kozaków ukraińskich, a wcale nie do zaporozkich; bo tam najwyższym dowódcą niezależnym od nikogo i rządcą ziem zaporozkich był ataman koszowy. To téż niewłaściwie p. Maciejowski w *Historyi Prawodawstw Słowiańskich* t. III, k. 313 wyraża się: „hetmani zaporozcy”, bo takich hetmanów nigdy nie było.

Prawda, że w *Historyi Prawodawstw Słowiańskich*, t. III, str. 328 p. Maciejowski rozróżnia dwa rodaje Kozaków, i powiada: „Rejestrowi Kozacy służyli na żołdzie, a wszyscy inni albo o własnym koszczie, albo za malém wynagrodzeniem”. Cóżto byli za jedni owi inni Kozacy? ot, co trzeba było wyjaśnić. Bylito zapewnie Kozacy w registr niewpisani, żonaci, którzy uprawiali ziemię, i w czasie wojny tylko szli do służby wojskowej; ale trzeba było od obu tych gałęzi najdobitniej wyróżnić Kozaków zaporozkich, na Zaporozżu w siczy siedzących, i zachowujących w czystości obyczaje i zwyczajekozackie.

Owoż, żeby znaleźć prawdziwe znaczenie kozaczyzny, sposób życia i zatrudnienia Kozaków, oraz właściwości im samym przystałe, szukać tego wszystkiego trzeba na Zaporozu.

Przedmiot ten tak mało znany, a przez dawniejszych i nowszych naszych historyków prawie nietknięty, bo wszyscy zewnętrzne tylko działania i wpływy Kozaków opisywali, jest pełen interesu przez swoją oryginalność w całej swój treści, i przez prostotę w całym składzie. Myślę, że czytająca publiczność znajdzie w tej pracy nieco żywiołów dla zaspokojenia prostej ciekawości, a i dla naukowych poglądów na fakta, osoby i instytucje, nie mniej materiałów.

L

Nazwa i granice Zaporozia.

Jakim sposobem powstało Zaporozie? obszerniej o tém już powiedziałem gdzieindziej. Wielu mieszkańców południowej Rusi, znękanych ciągłemi napadami Tatarów, Litwinów i innych hord blakających się między Wolgą, Oką, Donem i Dnieprem, chroniło się na wysępki i niedostępne miejsca przy progach Dnieprowych; zkaąd potem kraj tamten dostał nazwisko Zaporozia, jako za progami Dniepru leżący.

Progi te na Dnieprze znajome już były za Konstantego Porfirogenity; byłyto skały, jedne ukryte w rzęce, drugie równe z wodą, a dwie najwyższe wystające nad rzekę, różnej rozciągłości i wysokości.

Beauplan tak je opisuje: „Aby wam wytłumaczyć, coto są właściwie progi (porohy), powiem wam, że to

jest wyraz ruski, który oznacza skałę. Owoż te progi są niby łańcuchem skał położonych wpoprzek rzeki, z których jedne są pod wodą, drugie na równi z wodą, a inne ponad wodą od 8 do 10 stóp; i są wielkie jak domy, i blisko jedne drugich, tak, że stanowią tamę, która wstrzymuje bieg rzeki, która potem spada z wysokości od 5 do 7 stóp”.

Było ich wszystkich trzynaście, a te są:

N a z w i s k a		Rozcią- głość na	Spadek wody na		
O b e c n e	Dawniejsze	sążnie	sążnie	stopy	cale.
1. Staro-Kajdacki ..	Kadak	180	..	2	..
2. Jacki	1	..
3. Surski	70	..	1	..
4. Łochański.....	Łochany	287	1	3	2
5. Zwonecki.....	Dzwoniec	140	..	4	9
6. Techniński.....	Księżnej	73	..	4	2
7. Nienasytecki....	Nienasytiec	400	2	..	2
8. Woronow
9. Wołniński.....	Wołnieg	150	..	5	7
10. Buditowski.....	Budilo	116	..	4	10
11. Tawalszański...
12. Liszni(zbyteczny)	Lyczna	150	..	3	5
13. Wolny	307	1	..	11

Kiedy Dniepr wzbierze, wszystkie progi kryją się w wodę; jeden tylko siódmy Nienasytny sterczy zawsze na wiérzchu, i on tylko jest przeszkodą dla żeglugi w tój porze roku (1).

(1) „Pour vous définir, ce que c'est proprement que Porouï, je vous diray, que c'est un mot Russien, qui signifie pierre de Roche. Ces Porouïys est comme une chaine de ces pierres estendues tout au travers de la rivière, dont il y en a quelques unes sous l'eau, d'autres a fleur d'eau, d'autres aussi hors de l'eau de plus de 8 à 10 pieds, et sont grosses comme des maisons, et fort proches les unes des autres, de façon que cela est fait comme une digue ou chaussée, qui areste le cours de la rivière, laquelle puis après tombe de la hauteur de 5 à 7 pieds. Au printemps,

Okolo tych progów osiedlali się powoli wychodźcy z dawnych siedzib swoich, chroniący się przed nieprzyjacielem; i zajęli tę część ziemi prawem pierwszych osiedleńców (*jure primi occupantis*); a gdy liczba tych wychodźców rosła z postępem czasu, rozszerzali sobie też swe posiadłości, dotąd, dopóki przeszkody w zajęciu nie doznali. Z czasem wyrosli w silną całość, która się *towarzystwem wojsk zaporozkich*, a okazalój, *sławném zaporozkiém nizowém wojskiem* przezwiała, a ziemia na której wyrosło owo bractwo czy zakon wojenny, nazwisko *Zaporoża* przybrała. W artykule moim umieszczonym w roku zeszłym w Bibliotece Warszawskiej, dołączyłem przywileje Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, któremi przyznali Kozakom zaporozkim na własność ziemie, jakie w chwili wydanych przywilejów posiadali.

Sławne zaporozkie nizowe wojsko w czasach najświetniejszej jego epoki od roku 1600 — 1770, zajmowało ogromną przestrzeń ziemi, składającą teraz jekaterynosławską i chersońską gubernie, wyjąwszy odeski, tyraspolski i ananijewski powiat, tojest przestrzeń między Bohem i Dniestrem leżącą.

Pan Skalkowski widział „generalną landkartę od Kijowa po Dnieprze do Oczakowa i po stepie do Azowa, z pokazaniem Nowej Serbii i t. d.” którą zrobił inżynier podpułkownik de Boquesète 1740 roku, na której dosyć dobrze oznaczył posiadłości zaporozkie pod na-

lorsque le Boristen est enflé, tous les Porouys sont couverts d'eau, excepté le septième qui s'appelle Nienasytny, et qui seul empesche la navigation en cette saison". Description de l'Ukraine, par le Sieur de Beauplan. Rouen. 1660.

zwiskiem „Mieszkania i zimowniki zaporozkich Kozaków”. Opiérając się na téj mappie Boquesèta i na zebranych z kądinąd wiadomościach geograficznych, oznacza takie granice siczy zaporozkich wojsk:

„Na północ od Kryłowa czyli końca polskiej granicy, po Dnieprze do twierdzy Perewołoczny, idzie granica hetmańszczyzny czyli Wschodniej Ukrainy, to jest pułków kozackich i ukraińskich czyli małorossyjskich: mirgorodzkiego i połtawskiego”.

„Na wschód od Perewołoczny do Bachmutu po rzéce Orelu i północnym Dońcu, idzie granica słobodzkich pułków, powstałych za hetmana Chmielnickiego; po lewej stronie północnego Dońca i Kałmiusu, aż do ujścia téj ostatniej rzeczki do Azowskiego morza, idzie granica kozackiej dońskiej drużyny.”

„Na południe, od ujścia rzeki Berdy (przy terazniejszym Berdiańsku) do ujścia rzeki Końskich Wód do Dniepru, był „straszny i pusty step”, o którym tyle tylko wiedzieli, że na nim nogajskie Tatary koczują i na który szła z Ukrainy droga znajoma, pod nazwiskiem *Murawskiego traktu*, czyli *szlaku*; po nimto ciągnęły ruskie karawany po sól, wełnę i wino do Krymu, czyli jak wtedy mówili do „Perokopskiej Baszty”.

„Na południo-zachód, zacząwszy od ujścia Bohu do odnogi Dnieprowskiej, czyli od zaporozkiej stacy perewieżkiej do góry, w kierunku rzeki Bohu do Gardu (stacya wojenna i miejsce główne do łowienia ryb), szła granica Nogajców, których Kozacy nazywali białogrodzkiemi, buczackiemi, a nawet oczakowskiemi.”

„Nakoniec na zachód zacząwszy od Gardu aż do Siniej wody, czyli od Czarnego Szlaku aż do rzeki Siniuchy,

a odtąd po całej zachodnio-ukraińskiej granicy, mieli Kozacy w sąsiedztwie polskie województwa od Orlika (dziś Olwiopol) aż do Czygiryńna, głównego miasta Kozaków ukraińskich, które potem odebrane im było i zostało tylko starostwem."

W tych granicach uważane Zaporozie, nazywało się w Polsce: „Niżem albo Dzikiem Polem, a w Rosyji, Zandnieprowską Ukrainą.

Przystęp do téj zaczarowanej krainy wszelkiemu obcemu był zagrodzony; szlachcic tylko mógł tam przedrzeć się, jeżeli z bronią szedł zapisać się w kozactwo, albo handlowa karawana. Dlatego téż tyle zdań sprzecznych, tyle domysłów dziwacznych, tyle fałszywych wiadomości o Zaporozu napotkać można w różnych autorach z tamtych czasów. Żaden go nie widział, a wszyscy z powietrznej wieści bajali o Zaporozu i Zaporozcach, jak o żelaznym wilku. Co większa! i rosyjscy historycy kozactwa pomieszały Zaporozców z Ukraincami, to jest całą Małorossyą, a raczej teraźniejsze gubernie wołyńską, kijowską, podolską, poltawską, czernichowską i charkowską, uważali za siedlisko i ziemie Kozaków, kiedy właściwe kozactwo kupiło się na Zaporozu. Polacy XVIgo i XVIIgo wieku znali bardzo dobrze tę różnicę, kiedy Zaporozców przewalali Kozakami czyli niżowcami, a Małorossyą „wojskiem ukraińskim”, a z pogardą „chłoptwem ukraińskim."

Pięć było głównych punktów granicznych Zaporozia, na których znajdowały się stacye i zarządy (komory) graniczne;

1. W Perewołocznie, od strony hetmańszczyzny czyli Rosyji.

2. W Bachmutowie, a później 1730 r. przy twierdzy Kozłowie, od strony słobodzkich pułków.

3. Na rzece Kalmusie, od strony braci Kozaków dońskich.

4. Przy Nikityna przewozie czyli na Perewiezku, to jest na rzece Bohu, naprzeciw twierdzy Oczakowa, od strony Krymu i Turcyi; a nakoniec:

5. W Gandzie, od strony jak Zaporozcy się wyrażali „najjaśniejszej rzeczypospolitej polskiej.” Podług tych pięciu punktów granicznych, dzielił się także cały wewnętrzny zarząd Zaporozża na pięć części, na pięć obwodów, które się nazywały pałankami (1). Pałanki te nie były wcale systematycznym geograficznym podziałem, ale było poprostu nadzór nad bezpieczeństwem wolności kozackich, od pogranicznych sąsiadów.

Tak było do r. 1735; wtedy powstał szósty obwód, szósta pałanka, w Perognajach, to jest przy słonych jeziorach na Kinburskim półwyspie znajdujących się, a to dla obrony ludzi z Zaporozża i Małorossyi przybywających tam po sól lub dla łowienia ryb.

Dotąd w kraju należnym do Zaporozża, na całej przestrzeni wolności kozackich, nigdzie nie było miast, ani wsi, ani futorów, nie było tém samém żadnych związków rodzinnych, ani stosunków cywilnych; wszystko było na stopie zakonno-wojennéj. Dopiero od r. 1765, kiedy czas

(1) Pałanka, po turecku, jak powiada Menniński T. 1. str. 88, znaczy niewielką twierdzę „*chateau entouré des palissades*”, i dotąd jeszcze są w Turcyi miejsca ufortyfikowane, które się pałankami nazywają.

U Zaporozców pałanka znaczyła i obwód i miejsce w którym mieszkał pułkownik ze swoją starszyzną, a w znaczeniu przenośném zarząd wewnętrzny pułkowniczy. U nas dotąd wieśniacy pewien kawał ziemi nazywają pałankami.

wprowadził zmiany w wewnętrzny skład i znaczenie zaporozkich Kozaków, pozwolili wtedy na osiedlanie się na swych wolnościach ludziom familijnym, którzy potem utworzyli tak nazwane poddaństwo wojska zaporozkiego. Dla takich przybyszów, wyznaczono ziemie z jednej strony Samary po brzegach rzeki Orela, aż do południowego Dońca, a z drugiej po brzegach rzeki Protowczej i innych rzeczek. Liczba tych nowych osiedleńców w r. 1766 i 1768 tak urosła, że trzeba było dla nich ustanowić dwa nowe obwody, pałanki, które się nazywały Orelska i Protowczańska.

Tak więc przy końcu istnienia Zaporozża, miało ono ośm następujących pałanek:

- | | |
|-------------------|----------------------------|
| 1. Kodacka. | 5. Ingulska v. Perewiezka. |
| 2. Samarska. | 6. Prognoińska. |
| 3. Orelska. | 7. Kułmiuska. |
| 4. Protowczańska. | 8. Bohogardowa. |

Pierwsze cztery miały sioła i futory, i zamieszkałe były przez ludzi żonatyh; drugie cztery ani sioł, ani nawet stałych siedzib nie miały.

Pierwsza pałanka Kodacka, tak nazwana od ufortyfikowanego miasta Kudaka na Dnieprze, założonego przez Polaków na postrach Zaporozcom, rozciągała się od Nikitina przewozu (teraz Nikopol), do góry po Dnieprze aż do Kryłowa, a wszędz do rzeki Tasmyny i Wisy. Miała ona 13 wiosek czyli siedzib (usadby), w których było mniej więcej w różnych czasach Kozaków żonatyh 168, ciągłych 378, a pieszych 295; ogółem 841, jak ich nazywano pospolitych ludzi (1).

(1) Ciągli nazywali się ci, co mieli swoje uprząd i własne pługi, a pieszy ci, co ich nie mieli. Nazwa ta u nas dotąd między włościanami zachowała się.

Druga Samarska pałanka, leżała za Dnieprem po obu stronach rzeki Samary, i była najważniejszą i najbogatszą częścią Zaporozża. Całe jego gospodarstwo i najlepsze zimowniki starszyn i Kozaków w tej pałance się znajdowały. Beauplan naoczny świadek, tak opisuje okolice Samary:

„Samarą wpada w Dniepr prosto naprzeciw Końskiej wyspy; obfituje bardzo w ryby, a okolice jej w miód, wosk, dziczyznę i las na budulce zdolny, tak dalece, że żadne prawie miejsce w tym względzie nie może się różnić z okolicami Samary” (1).

Pałanka Samarska miała siedzib 13, a w nich Kozaków żonatych 240, ciągłych 502, pieszych 416, ogółem 1158 pospolitych ludzi.

Trzecia Orelska pałanka, leżała już poza ukraińską linią Ukraińców, przy rzekach Oreli, Bogatěj i innych, aż do rzeki Samary; dochodziła aż do Sławiano-Serbii (Jekaterzeńska prowincya), miała dziewięć siedzib, a w nich było ciągłych 183, pieszych 133, ogółem 316 pospolitych ludzi.

Czwarta Pretowczańska pałanka, zajmowała przestrzeń około rzeczek Pretowczy, Tersy, Tarnowki i innych, i miała 24 siedzib, a w nich było żonatych Kozaków 363, a pospółstwa 737, razem 1100 familij.

Tym sposobem całe poddaństwo wojska zaporozkiego niżowego, czyli cała żonata ludność Zaporozża, miała

(1) Cette rivière de Samar est fort considerable avec ses environs, non seulement pour l'abondance du poisson, mais aussi pour le cire, miel la vinaison, et les bois a bastir, dont elle est plus riche qu'aucune.

I dalej: Les Cosaques l'appellent la rivière sainte, peut estre, a cause de son heureuse abondance, *Descrip. de l'Ukraine.*

w różnych czasach w przecięciu 3415 chat czyli familij, co wynosiło mujěj więcj do 12,000 ludności obojēj płci.

Drugie cztery pałanki nie miały siedzib, siól, a tylko na czas letni posyłano do nich pewne oddziały.

1. Ingulska, inaczej Perewiezka (od przewozu na rzęce Ingulce) miała sobie powierzony dozór granicy, oraz dozór rybołostwa na Dnieprze i Ingulce, i nad zimownikami, które rozciągały się od ujścia téj rzeczki aż do jēj źródeł w terażniejszych powiatach chersonskim i alexandryjskim.

2. Prognoińska, tak nazwana od uroczyska na Kinburskim półwyspie, który teraz nazywa się Prognoińskim, a wtedy poprostu Prognojami. Wyraz ten oznaczał zgnile jeziora słone, od wody morskiej tam zapędzonej, a która gdy z tych jezior wysychała, czyniła je gnijącemi i zostawiała w osadzie sól.

Prognoińska pałanka miała obowiązek pilnowania granicy, a nadewszystko bronić handlarzy i przedsiębiorców, udających się z Zaporozża i Małorossyi w strony zgnitych jezior dla zabiérania soli; czemu Krymcy bardzo byli przeciwni, bo chcieli, aby owi przedsiębiorcy solni udawali się na perekopskie, czyli na wewnętrzne słone jeziora. Oprócz tego pałanka ta uważała ruchy Krymców i oczakowskiej twierdzy, miała swoje przeprawy przez Dnieprowską i Bohską odnogę, dla posłańców lub handlarzy do Oczakowa.

3. Kałmiuska pałanka, jak mówiono, w nadzwyczajnej odległości leżąca, broniła tych, co wędrowali za solą aż do berdyańskiego jeziora, i na łowienie ryb w Azowskiém morzu. Graniczyła ona z Dońcami, ztąd téż częste spory, a nierzadko bitwy wynikały między

braćmi sąsiadami Kozakami dońcami i zaporozcami, o prawo do rybołówstwa w Azowskiem morzu.

Pałanka ta ważną była dlatego, że mogła i powinna była śledzić wszystkie ruchy Nogajców i kubańskiej hordy i donosić wszystko koszowemu.

4ta i ostatnia na Bohu „daleko od zaporozkiej sicz” za ruską granicą, na uroczysku *Zaporozki gard* (1), w bliskości dzisiejszej wsi Bogdanowki, leżała Bohogardowska pałanka.

Z początku miejsce to dla przeprawy i rybołówstwa osadzone Kozakami, przy końcu XVI i początku XVII wieku było najważniejszą stacją pograniczną od strony Polski. Zajmowała ona przestrzeń od rzeki Ingulca i ujścia Martwychwód w górę aż do granicy polskiej Ukrainy, a od Gardu kierunkiem rzeki Siniuchy aż do pogranicznego polskiego miasta Targowicy.

P. Skalkowski znalazł o téj pałance w archiwum kozackiem ciekawy dokument, z którego najjaśniej przekonujemy się, jakim sposobem owe pałanki pograniczne urządzone były i co znaczyły. Dokument ten jestto odpowiedź koszowego Aleksieja Bielickiego na zapytanie ministerstwa, co znaczy Bohogardowska pałanka?

„Do uroczyska Gard, zaporozcy Kozacy dawniej i teraz w czasie letnim dla łowienia ryb bywają wyprawiani z sicz i z zimowników, i tam przez całe lato, a nawet do saméj jesieni znajdują się. A ponieważ jestto miejsce na saméj granicy, to dla jego obrony i łapania złodziei, również dla utrzymania porządku między rybołwami i Kozakami, od kosza pułkownik z oddzielną

(1) Gard w południowej Ukrainie znaczył miejsce do łowienia ryb, z kąd też i uroczysko otrzymało swoje miano. Wyraz „Gard” jak się zdaje znaczy cały zakład w miejscach przeznaczonych do łowienia ryb.

przystojną komendą Kozaków zaporozkich tam się posyła. Na zimę zaś w bliższe miejsca sicy, a mianowicie w Wielki i Mały Inguł (Ingulec) powracają”.

Te ośm pałanki geograficznie leżały jak następuje: dwie na prawym brzegu Dniepru: Ingulska i Kodacka; trzy na lewym brzegu Dniepru: Samarska, Protowczańska i Orelska; jedna przy ujściu Berdy i Kałmiusa do Azowskiego morza, Kałmiuska; jedna już za granicą na kinburskich jeziorach: Pragnoińska.

Cztery z nich, to jest: Kodacka, Samarska, Orelska i Protowczańska, miały miasta, wsie i futory, i w nich stałych mieszkańców żonaty, pospólstwo; drugie cztery: Bohogardowska, Kałmiuska, Ingulska i Pragnoińska, nietylko wsi, ale ani nawet stałych siedzib nie miały, a co rok na wiosnę wysyłane były oddziały do tych pałanek na całe lato i jesień dla łowienia ryb, polowania i zbieranie soli, a na zimę oddziały te cofały się bliżej ku sicy do zimowników.

II.

Sławne zaporozkie niżowe wojsko, jego skład, podział i rząd.

Nakręśliśmy w pierwszym rozdziale geograficzną kanwę niżu czyli dzikiego pola, przedstawiliśmy czytelnikom granice ziem i wolności Zaporozców, żyjących na owej przestrzeni życiem wyłącznie im właściwem; zamierzamy teraz przeniknąć, o ile to jest możliwem przez tajemniczość przedmiotu, odległość czasów, stronne i namiętne opowiadania historyków, przeniknąć mówię w wewnętrzne życie owego wojennego bractwa czy zakonu,

wyśledzić wszystkie żywotne składowe części téj społeczności dziwnéj i zajmującéj, a tak mało u nas znanéj jednostki, i wykryć wszystkie sprężyny bytu tego sławnego towarzystwa.

Właściwe Zaporozże składało się z wojska, które dlatego, że osiadło z początku wraz na niższym Dnieprze, na niżu, nazywało się téż Nizowém, a Kozacy tam mieszkający Nizowcami. Potém żeby lepiej wyróżnić się od Kozaków ukraińskich czyli małorossyjskich, przeważało się zaporozkiami, dlatego, że siedzieli poniżej progów Dnieprowskich.

Jak wysoko cenili siebie Zaporozcy, to pokazuje sam tytuł, jakiego w ważniejszych urzędowych pismach używali, i jaki na czele urzędowéj pieczęci się znajdował: „Sławne zaporozkie nizowe wojsko”. Stolicą i sercem tego zaporozkiego wojska była *sicz*, albo inaczej w przenośném znaczeniu *kosz*.

Zkąd się wzięła ta nazwa *kosz* i co oznaczał ten wyraz? trudno z pewnością powiedzieć. Kosz czyli koszyk u nas znaczy pewne plecione z wici naczynie, używane do noszenia bielizny, wina i t. p.; kto wie, czy *sicz*, otoczona palisadami, nie dostała nazwiska *kosza* od podobieństwa z nim.

Niemniej jest podobne do prawdy tłumaczenie téj nazwy, jakie zaporozki opowiadacz Nikita Korz podaje: „Stada w Zaporozżu, powiada on, zimą i latem koczowały na stepie. Na zimne dnie i od wiatrów stepowych, pastersze i czabany mieli „kosze”. Byłto rodzaj namiotu z wojłoku, ustawionego na dwóch kołach, aby można było w razie potrzeby przewozić go z miejsca na miejsce. W takim koszu była kubica (komin) na ogień, przy któ-

rym pasterze suszyli się, grzali i gotowali jedzenie (1)". Ztąd wnosić można, że Zaporozcy swoje stolicę, do której wracali dla wytehnienia po wyprawach i dla przezimowania, nazwali przez naśladowanie koszem. Badacze wschodnich języków mówią: że kosz znaczy po turcku „zbierać”; to też wyraz kosz mógł oznaczać punkt zborny całego wojska.

W znaczeniu przenośnym, kosz znaczył główną kwaterę albo obóz wojska, bo w różnych sprawozdaniach, raportach, znajdujemy podpisy: „Z kosza na Czertule; dan w koszu na Czycziokleju”; a oprócz tego, znaczył miejsce zarządu wojska, którego kancelarya używała zawsze téj formuły: „Z kosza zaporozkiego niżowego wojska”; do kosza zaporozkiego wojska; donieść koszowi” i t. d.

Kosz ten czyli sicz zaporozka dziwnie przechodziła koleje. Początek zaciemniony przeszłością, potem pod wodzą Polaków, co tam aż do niej zaszli, stoi sama sobą, siłą wewnętrzną, szarpiąc się ciągle z Turkami i Tatarami; dalej przyznaje za Stefana Batorego zwierzchnictwo Polski, odrywa się potem od niej i poddaje Rossyi, która za zdradę niszczy ją zupełnie.

Kosz przenosi się do Tatarów, wkrótce wraca do Rossyi, a w końcu za nadużycia i niesforność zupełnie ginie. Mamy więc kilka koszów czyli siczy, to jest: sicz niepewną, sicz bohaterską, sicz polską, sicz rossyjską, w ogóle starą; potem sicz krymską i znowu sicz rossyjską nową.

Początek staréj siczy ginie w głębokiej przeszłości. Co i jak było na Zaporozu przed Eustachym Daszkie-

(1) Opowiadanie Nikity Leontiewicza Korzy, wydane przez odeskiego arcybiskupa Gabryela w Odessie.

wiczem i Przeclawem Lanckorońskim aż do roku 1576, nie wiadomo; jestto okres heroiczny, mityczny Zaporozża. Gdzież wtedy był kosz, czyli sicz? P. Skalkowski powiada „że prawdo-podobnie na jednej z wysp Dnieprowskich Hilej, a nie na Chorticu, który już za czasów Beauplana był pusty”. Później podług tego, co miejscowość wskazuje, kosz mieścił się na wysepce leżącej na rzece Czartomłyku, łączącej się z Dnieprem odnoga jego, a raczej rzeczką Pawluk.

Dotąd tę wysepkę nazywają Starą siczą. Tutaj pod wpływem polskiego ducha, już obznajmionego z rycerstwem zachodniem, skupiła się kozacka drużyna w formną i jednolitą całość, w towarzystwo bezżenne, pełne energii i siły, wysadzone przez Opatrzność na te bezładne stepy, po to, aby pierś jego była szansem dla słowiańskich plemion przeciw zapędom wojowniczo-fanatycznym Turków i Tatarów. Szczegółów historycznych zaporozkiego kosza czyli siczy z téj epoki nie wiemy; dopiero od Stefana Batorego, który przywilejem swoim 20 sierpnia 1576 roku potwierdza na własność wojskom zaporozkim wszystkie ziemie, jakie ono dotąd posiadało, zaczyna się już pewna historia Kozaków zaporozkich czyli staréj siczy.

Polska uważana była przez Zaporozże jako jego władczyni; herb polski, orzeł biały, znajdował się na wielkiej zaporozkiej chorągwi, i tak było od roku 1576 do 1654. Od r. 1654 zmienia się postać rzeczy: Małorosya, Kozacy ukraińscy, a z niemi i zaporozcy poddają się Rosyi; czarny dwugłowy orzeł zastępuje białego. Zaporozcy pobierają żołd cesarski, nazywają się „wojskiem Jej Cesarskiej Przesławnej Wielkości”. Jestto epo-

ka zaciętych wojen Kozaków z Polską, w których zaporozcy ciągle udział mieli. Sahajdaczny Nieczaj, Sulima Barabasza Skołozub, Pawluk, Sierko i wielu innych przewodzców kozackich, odznaczyło się w tych walkach napół religijnych, napół politycznych; ale tymczasem Mazepa zamysła oderwać Małorossyą od Rossyi, w tym celu łączy się z Karolem XII i wciąga za sobą w tę niebezpieczną i hazardowną grę Kozaków zaporozkich. W Zaporozu był wtedy atamanem koszowym Kostya, to jest Konstanty Gordejenko, przyjaciel i stronnik hetmana Małorossyi. Piotr W. dowiedziawszy się o odstępstwie Mazepy, a obawiając się zapewne, aby i zaporozcy do niego się nie przyłączyli, zwłaszcza, że nieraz przeciwko rozkazom carskim działali; posłał do nich manifest donoszący im o postępkach Mazepy, i napominający ich, aby się nie dali uwieść żadnym obietnicom; i żeby tém bardziej Zaporozców w wierności ku sobie umocnić, oprócz zwykłego żołdu, posłał im w darze 12,000 rubli, koszowemu 300 dukatów, a starszyźnie 2000 rubli; ogromne naówczas summy. Mimo to Kozacy zaporozcy więcej przylegli do Mazepy i Gordejenki, ataman koszowy z 8000 i całą starszyzną poszli do obozu Karola XIIgo i walczyli przeciwko Rossyi.

Na miejsce Mazepy wybrano hetmanem Skoropackiego, a Piotr W. posłał znowu na Zaporozie posłów, upominając jeszcze raz Kozaków, aby się upamiętali i do posłuszeństwa wrócili; ale Kozacy posłów jednych zabilili, drugich Mazepie odesłali.

Wtedy Piotr Wielki oburzony nie tylko odstępstwem, ale zbrodniczym zamordowaniem swych posłów, wysłał z Kijowa do Kozaków zaporozkich oddział znaczny pod

dowództwem Piotra Jakowlewa, jednak z tém poleceniem, aby wprzód raz jeszcze wezwał do posłuszeństwa Kozaków, przyrzeczeniem przebaczenia winy i zostawienia im wszystkich dawnych wolności.

Gdy Zaporozcy mimo przyrzeczenia, że im wina będzie darowana, do posłuszeństwa wrócić nie chcieli i sami piérwój z armat do wojska rossyjskiego ognia dali; on, Jakowlew dnia 14 maja 1707 r. szturmem zdobył sicz i zburzył ją do szczętu. Tak się skończyła sławna stara zaporozka sicz.

Rozgniewany monarcha rossyjski, manifestem 26 maja 1709 r. rozkazał nie puszczać Kozaków w granicę Rossyi, a tych co przeszli na stronę Szwedów i razem z swym koszowym Gordejenką do Krymu się schronili, polecił chwycać, karać śmiercią, i zbrojną siłą zabraniać Zaporozcom osiadać na nowo w sicy, albo w innych ich dawnych miejscach. Nieszczęśliwi rachując na pomoc króla szwedzkiego, czuwali przy nim ciągle, i chcieli 1710 roku założyć sobie nową sicz na rzece Kamionce przy Dnieprze; ale z rozkazu cesarza Skoropacki hetman i generał Butturlin zburzyli ją.

Wtedy r. 1711, ci Kozacy zaporozcy co ocalali, poddali się hanowi krymskiemu, zbudowali sobie nową sicz na Aleszkach, na brzegu Dniepru niedaleko jego ujścia; kójmakan tatarski mieszkał ciągle w Aleszkach, żeby pilnować działań Kozaków. Ta hańba imienia Zaporozców trwała lat 21, do roku 1733.

Wkrótce między samemi Kozakami w sicy na Aleszkach wybuchło rozdwojenie; wielu chciało wrócić do rodzinnego kraju, ale dopóki Gordejenko był koszowym, nikt nie śmiał odezwać się z tém głośno. Dopiero kiedy koszowym wybrany był Mułasiewicz, wnet zaczął usilnie

się starać o wyjednanie od dworu petersburskiego przebaczenia i pozwolenia Kozakom powrotu do Rosyji. Hrabia Wejsbach silnie wstawiał się za nimi, i otrzymali przebaczenie i pozwolenie powrotu, a nawet pomoc pieniężną na wyb udowanie sobie nowój sicz i wszystkie klejnoty czyli oznaki godności swoich.

Tę nową sicz wystawili Kozacy na rzekach Podpolny i Bazawluku, niedaleko od starój sicz, a hrabia Wejsbach oświadczył im w imieniu cesarzowej Anny Iwanownej, że wojsko zaporozkie przy dawnych swoich kozackich wolnościach i prawach pozostaje, aby tylko wiernie Rosyji służyło.

W tej nowój i ostatniej sicz przetrwali Kozacy 42 lat. Rosyja zaczęła tymczasem południową Rosyją urządzać podług swego systematu i ducha, a osady te nowe w sąsiedztwie sicz kozackiej zaprowadzane, pomалу wdzierać się poczęły w granice Zaporozża i naruszać jego przywilejami królewskimi ugruntowaną własność. Ztąd koniecznie spory, a przy silniejszym rozdrażnieniu i krwawe sceny nieraz na granicach sicz wybuchały.

Skargi o gwałty i zabójstwa na Kozaków zaporozkich dochodziły nieraz aż do tronu, a z ich strony znowu jedna za drugą deputacya wysyłana do Petersburga, przedstawiała prawa i przywileje kozackie na ziemi przez nich zamieszkałe, oraz nadużycia na zarządzających krajem, jak wtedy nazywali noworossyjskim. Nakoniec 1775 r., gdy znowu nowe skargi na Kozaków zaszły, cesarzowa Katarzyna II rozkazała Potemkinowi generał gubernatorowi noworossyjskiemu zająć sicz. Potemkin polecił wykonać to Tekielemu, a ten bez żadnego trudu, bo Kozacy sami się poddali, zajął sicz.

Ogłoszono potem manifest 5 sierpnia 1775 r. wyluszczeni przyczyny zniesienia sicz; i tak zakończył się był, i zniesione zostało imię nawet sławnego zaporozkiego niżowego wojska (1).

W manifestcie cesarzowej Katarzyny II są wyluszczone przyczyny, ale te są podrzędne. Historia nie może na tém przestać; musi aż do zasad logicznie potrzebom czasu odpowiednich sięgać, i w nich wysledzić przyczyny każdego faktu. Owoż mamy dwie na owe pytanie odpowiedzi:

Najprzód, Rosyja wszystkie nowo nabyte kraje bądź orężem, bądź traktatami, urządziła na swój sposób administracyjny i prawny; chciała, aby koła jej wielkiej maszyny obracały się podług praw jednego tylko motora, aby wszystko zlewało się w jednolitą całość. Aż tu w samym środku nowych swych posiadłości, znalazła lud wojowniczy i burzliwy, oparty z całą siłą na swych prawach niepamiętnych i przywilejach późniejszych; i cóż było z nim zrobić? Czas jakiś, potrzeba sama przemawiała za Kozakami; ale gdy zbyt odrębnie i samowolnie przeciw ogólnym prawom państwa występować poczęli, gdy nawet w miarę przekroczeń rosły aż nazbyt śmiało ich domagania się: wywołali sami grom, co ich zgniótł w nicosć i przekazał ich na pamiątkę archiwom historycznym.

Zapatrując się znowu z wyższego stanowiska na wypadki historyczne, każdy widzi bijącą w oczy tę prawdę: że jest jakaś opatrzna, logiczna, konieczna droga, po której idą wypadki i osoby dziejowe; że pierwsze i drugie są wyobrazicielami idei, lub wyrobami (tyle razy już to

(1) Manifest cały i szczegóły zniszczenia sicz, umieszczę na końcu.

powtarzałem), potrzeb czasu. Owoż i byt kozactwa sprowadzony do tego zrównania algebraicznego konieczności historycznej, też samą prawdę nam wyświeci.

Wywołani z przepaści czasu do bytu historycznego, potrzebą obrony wschodniej Europy od gwałtownie rozlewającego się potoku islamizmu, zastąpili sobą krzyżowe wojenne zakony, ścięrali się ciągle z Turkami i Tatarami, broniąc od nich Polskę a potem Rosyją; ale gdy Turcy stracili przewagę i zapał fanatyczny do napadów na Europę, przez ciągle, krwawe i nieszczęsne wojny, a Tatarzy prawie do imienia wyginęli: cóż więc mieli robić tu na ziemi Kozacy? Nie mają już celu na zewnątrz, owoż gryzą się wewnątrz; kłócą się i biją z rodakami; jakby naumyślnie idą wbrew poleceniom dworu petersburskiego, a nadomiar śmiało żądają ich posłowie, aby im dawny niezależny byt Zaporozża powrócono: a na co? Była to gorączka trawiąca ciało Zaporozców, która nie mogła być wyleczoną, jedno tylko śmiercią skończyć się miała i skończyła się....

Sicz czyli kosz w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, było miasteczko ufortyfikowane, otoczone wałem i palisadami, i bardzo oryginalnie zabudowane. Kosz taki składał się z trzech części:

1) Z przedmieścia, czyli tak nazwanego „kramnego bazaru”, gdzie każdy kureń i przyjeżdżający goście mieli swoje kramy i szynki; tutaj także były mieszkania kramnych atamanów i wojskowego kantarzeja, to jest inspektora miar i wag. To przedmieście nazywało się Hassan Basza (na planie lit. c); ufortyfikowana baszta z bramą i armatami, prowadziła do właściwego kosza. 2) Było obszerny plac, na którym stało 38 szczególnego rodza-

ju budynków, w kształcie koszar albo magazynów, a które się kureniami nazywały (1).

Wszystkie te kurenie ciągnęły się naokoło wału, tak, że tworzyły sobą nieforemne koło. Poza temi kureniami między wałem i rzeczką Podpolną była pałauka, to jest mieszkanie koszowego i starszyny, koszuwa cerkiew Opieki Matki Boskiej, opiekunki wojska, dom duchowieństwa, kassa wojskowa i kancelarya (lit. b). 3) Trzecią część składało oddzielne ufortyfikowanie, rodzaj cytadeli, w której już od roku 1735 znajdował się zawsze ruski garnizon, który się nazywał Nowosieczenskim retranszamentem.

Wszystkie budynki były drewniane, nawet dom koszowego: byłato prosta wiejska chata, bez zbytku i wygódek, jak mawiali piśmienni Zaporozcy. Sicz ze trzech stron oblana była wodą rzeki Podpolnej, która głęboką odnogą, nazwaną Sesina, łączyła się z Dnieprem. Byłato głęboka rzeczka, na której tak Zaporozców wojenne łódki (czajki), a nawet greckie i tureckie statki (tumbasy), naładowane mogły po niej pływać i stać na kotwicy jakby w najlepszym porcie. Ale właściwym portem była odnoga Podpolny; nazywał on się Ustępem (Ustupom), teraz zupełnie zamulony (lit. f).

Wojsko zaporozkie składało się ze starszyny (starszyny) i towarzystwa (towarystwa), które znouwu rozło-

(1) Kureń, po polsku wypadłoby przełożyć kurzeń, od wyrazu kurzyć, dymić; znaczy chatę drewnianą, dymną, nie mającą komina, w której ogień pali się zwykle na środku izby, a dym szczelinami którędy może wychodzi.

W kronice, z której wyimki p. Maciejowski w Kwartalniku Naukowym Krakowskim ogłosił, wyraz ten kureń przekrecono na korzeń, a atamanów kurenych rządzących kureniami, przezwano atamanami korzennemi, którzy rządzą korzeniami!

żone było po kureniach. Sicz czyli kosz i jej kurenie, były wyłącznie przeznaczone na mieszkanie towarzystwa, właściwego wojska zaporozkiego, składającego się z samych beżennych; bo żonaci, chociażby pochodzili z towarzystwa i osiedleńcy w połankach, byli: „poddanstwem” wojska.

Towarzystwo, czyli beżenni Kozacy, byli pierwszymi właścicielami ziemi; imto rozdawano corocznie step i rzeczki na zimowniki, na pastwiska, do uprawy gruntu, na polowania i rybołówstwo, a to nazywało się „rzucac losy na rzeczki” (brosać liasy na rieczki); kiedy skończyło się losowanie, resztę ziemi (bez krzywdy jednak kureniom), oddawano starszynie, duchowieństwu, osiedleńcom, a nawet gościom, chociażby to byli tureccy lub wołoscy czabani.

Towarzystwo mieściło się w 38 kureniach, których nazwiska, a razem i liczbę Kozaków w nich mieszcących się, w przecięciu podajemy:

Nazwiska kureni.	Liczba Kozaków, w latach		
	1755	1759	1769
1. Briuchowiecki	279	248	279
2. Baturyński	317	200	248
3. Dzereljewski	208	300	250
4. Doński	205	205	208
5. Diadkowski	314	327	381
6. Derewianiwski	267	226	330
7. Humański	241	224	478
8. Iwanowski	454	454	382
9. Irklejewski	482	480	738
10. Kałnibotolski	265	265	288
11. Kaniowski	682	550	618
12. Kislakowski	286	220	245

Nazwiska kureni.	Liczba Kozaków w latach		
	1755	1759	1769
13. Krylewski	214	511	315
14. Kuszczowski	460	268	303
15. Korsuński	402	415	305
16. Konielowski	259	200	196
17. Koreniwski	416	410	362
18. Lewuszkowski	288	200	174
19. Miński	448	611	297
20. Myszastowski	269	265	263
21. Niezamajski	347	350	382
22. Popowiczowski	301	340	314
23. Peryasławski	370	119	302
24. Połtawski	520	250	506
25. Płastuniwski	441	541	269
26. Płatnirowski	301	300	301
27. Paszkowski	306	306	340
28. Rogiejewski	406	406	488
29. Steblowski wyższy	208	250	202
30. Steblowski niższy	180	200	128
31. Sergiejewski	258	200	215
32. Szkuryński	336	338	504
33. Szczerbinowski	309	319	399
34. Tomaszowski	344	343	312
35. Titorowski	330	330	179
36. Wielickowski	360	361	234
37. Wiedmiedowski	408	218	248
38. Wasiuryński	513	220	339

Kiedy i z kąd kurenie te nazwiska takie podostawały? żadnego śladu nie pozostało. Ogólne zaś ich miano kurenie (po polsku kurzenie, od kurzenia się dymu), powstało zaraz przy nastaniu kozactwa.

Pierwsi osiedleńcy w siczy mieścili się rzeczywiście w jednej izbie, w kureniu, w budynku dosyć obszer-

nym; tém więcej, że jedna połowa wojska zawsze wyprawiana była na rzeczki i pograniczne stannice.

Wyraz kuren, jeszcze teraz w Małorossyi znaczy namiot z chrustu i słomy, z otworem u wierzchu dla dymu.

Nikita Korz naoczny świadek, tak opisuje kurenie: „Kurenie siczowe nie były wcale podobne do pasterskich zwyczajnych szałasów, a stawiane były z rąbanego i piłowanego drzewa, w które Wielki-Ług (1) obfitował.”

„Kurenie były tak obszerne, że więcej niż 600 Kozaków mogło się w każdym mieścić. Stawiano je bez żadnych przegródek, miały też wewnątrz kształt wielkiej sali. Naokoło ścian do samych drzwi stały stoły, a naokoło stolów wąskie ławki. Pierwsze i honorowe miejsce było pod obrazami i tam zasiadał kurenni ataman. Przed obrazami stały bogate świeczniki i wisiały lampy, które na wielkie święta zwykle zapalały się. Piec do pieczenia chleba stawiano w oddzielnej części, gdzie także mieścił się i kucharz (kuchar) kurenni; w samych zaś kureniach były gruby (piece, dziś jeszcze w Krakowskiem grubami nazywane). Kurenie miały swoje ogólną kurenną własność, sklepy i szynki w bazarze siczowym, podwórze około kuren i t. p., a własność ta nie mogła nigdy pod żadnym pozorem pojedynczej osobie być ustąpioną”.

Patryarchalny szacunek dla swych kuren był tak wielki, że nawet koszowi zawsze do spisu swego ku-

(1) Ług, znaczy nizkie brzegi rzék, pokryte trawą zdatną na siano. Uroczyszcze Wielki-Ług, jest dosyć wielka wyspa, oblana Dnieprem i Końskimi wodami; słynna w podaniu Zaporozców, jako pierwsze miejsce zawiązku sławnego zaporozkiego niżowego wojska.

renia rachowali się, swój prywatny majątek w skarbcu kurenym przechowywali, czasem nawet mieszkali w kurenach, a w ważnych wypadkach bywali nawet deputatami do kurenia swego.

Zaporozkie niżowe wojsko rządzone było przez swoją własną starszszynę, która dzieliła się na rozmaite porządkowe hierarchiczne stopnie. Starszszyna ta podług raportu złożonego hetmanowi małorossyjskiemu hr. Razumowskiemu 1755 r. przez koszowego Grzegorza Fiedorowa, była taka:

I. Wojskowa starszszyna.

a) Koszowy ataman.	1	d) Pisarz wojskowy.	1
b) Sędzia wojskowy.	1	e) Kurenych atama-	
c) Asaul wojskowy.	1	nów	38.

II. Pułkownicy.

a) Bohogardowy.	1	c) Kalmiuski.	1
b) Perewieński v. Iagulski.	1	d) Samarski.	1
		e) Kodacki.	1.

Przy każdym takim pułkowniku znajdowało się:

Pisarz.	1	Podpisarz	1
Asaul	1	Podasaul.	1.

A że pięciu było pułkowników zarządzających pałankami, ztąd téż było:

Pisarzy.	5	Podpisarzy	5
Asaulów.	5	Podasaulów	5.

III. Komendy przy stanicach.

a) W górze rzeki Dniepru na progach:			
1) Pułkownik.	1	4) Podpisarz.	1
2) Pisarz	1	5) Podasaul	1.
3) Asaul	1		

b) Niżej na rzece Dnieprze w Pragnojach do zbierania soli:

- | | |
|---------------------|---------------------|
| 1) Pułkownik..... 1 | 4) Podpisarz..... 1 |
| 2) Pisarz..... 1 | 5) Podasaul..... 1. |
| 3) Asaul..... 1 | |

IV. Wojskowa służba.

- | | |
|------------------------|-------------------------|
| 1) Podaśaul wojskowy 1 | 5) Puszkarz wojskowy. 1 |
| 2) Dobosz wojskowy.. 1 | 6) Podpuszkarz..... 1 |
| 3) Poddebosz..... 1 | 7) Harmarzew (dowódz- |
| 4) Różnej służby kan- | ca kanonierów.... 1. |
| celaryjnej.... 20 | |

V. Starszyzna na wojskowych przewozach.

a) Na kodackim:

- | | |
|--------------------------|-----------------------|
| 1) Szafarz (szafar)... 1 | 3) Podszafarzy..... 1 |
| 2) Pisarz..... 1 | 4) Podpisarz..... 1. |

b) Na Nikityna przewozie:

- | | |
|-------------------|-----------------------|
| 1) Szafarz..... 1 | 3) Podszafarzy..... 1 |
| 2) Pisarz..... 1 | 4) Podpisarz..... 1. |

Pokróćce rozbierzemy znaczenie wyliczonych stopni starszyny (starszyny).

Wogóle wszystkie bez wyjątku stopnie zaporozkiego wojska, od koszowego aż do pułkowego chorążego, były wybieralne i czasowe; byłato główna, nieulegająca żadnej zmianie zasada urzędzenia owęj niżowęj rzeczypospolitęj. Corocznie 1 stycznia ściągato ze wszystkich stron do siczy „towarzystwo” tojest beżzenni Kozacy, i na wezwanie wojskowego asaula obchodzącego kurenie, zbierało się przed liturgią (nabożeństwem) na głównym rynku w majdan (połowa okręgu koła, dosłownie łuk), i tam „podług dawnego obyczaju” odbywało wybory.

Wybory te, jeżeli starszyczna lubiona była od towarzystwa, odbywały się spokojnie; ale często się trafiało, jak się to zwykle w takich razach dzieje, że wybory te otwierały pole do intryg i zamieszek, często dosyć gwałtownych.

Takie ogólne zebranie towarzystwa na wybory, nazywało się „ogólna wojskowa rada”. Odbywała się ona na rynku, pod odkrytym niebem, w przytomności całego wojska; każdy Kozak miał na niej głos równy kosztowemu lub starszynie.

Oprócz tej ogólnej wojskowej rady, były osobne zbierania się, schadzki (schodki, schodzić się), na które schodziła się sama starszyczna wojskowa i niektórzy kurenni atamani i starcy. Na tych schadzkach stanowiono o najważniejszych przedmiotach, i o nowych wyborach w wojsku naradzano się wprzód, nim je podano do roztrząsania na burzliwą ogólną wojskową radę. Oprócz tego były mniejsze rady kurenne, rady w pałankach, i rady wojenne w marszu lub na wyprawie.

Ataman kosztowy, najpierwsza osoba w wojsku „główny jego dowódzca” był cywilnym, wojennym, a nawet duchownym naczelnikiem Zaporozia. Jako najwyższy sędzia, był władcą życia i śmierci każdego Kozaka, rozsądzał ostatecznie, i miał władzę wykonawczą wyroków, nawet na śmierć skazujących.

Władzy tej bronili długo kosztowi z zaciętością przeciw wszystkim postanowieniom Rossyi. Wchodził sam w imieniu własnem w dyplomatyczne stosunki z sąsiadami: Polską, Krymem i Turcją, tudzież pogranicznymi władzami. Potwierdzał wszystkie wybory na stopnie wojskowe, podział między kurenne ziem, rzeczek, żołąd (w czasach zależności ich od Rossyi), prowiantów, woj-

skowych dochodów, wojennój zdobyczy i t. d. Również potwierdzał przyjęcie Kozaka do towarzystwa i jego uwolnienie z wojska. Pod jego imieniem adresowane, przychodziły wszystkie raporta podwładnych i wszystkie dyplomatyczne korespondencye.

Ale ta obszerna i na piérwszy rzut oka nieograniczona władza kozowych, była w samój rzeczy bardzo ograniczoną:

1) Ową wojskową radą i schadzką starszyny, którój trzeba było donosić o każdym ważniejszym wypadku, o każdym akcie, a zwykłą formą: „A co bracia (albo dzieci), będziemy teraz robić”? (a szczo bratczyki albo dity budiem tepier robity?). Koszowy zapytywał się o zdanie piérwój, nim sam co postanowił.

2) Czasem; albowiem godność kozowego trwała tylko rok jeden, i zależała od wyboru towarzystwa. Bardzo mało zachowywało tę godność przez kilka lat z rzędu, jakoto: sławny Sierko, Gordejenko, Małaszewicz i Kalniszewski za nowój siczy; ale prawie wszyscy z przerwami wybierani byli po kilka razy. Mimo to, schadzka owa i ogólna rada wojskowa, chociaż zatwierdzała na dłużej atamana kozowego, ale „dopóty tylko, dopóki koszowy nie zacznie z własnej winy w jakimkolwiek względzie szkody wojsku przyczyniać”. Jeżeli zaś koszowy coś przekroczy, to on na schadzce od godności kozowego będzie odsądzon, a do ogólnój rady wojskowój zdawna uprawnionój, dopuszczonym nie będzie. Oczywiście więc, że mimo władzy powierzonój sobie, kozowi zależeli przeważnie od owych zgromadzeń wiciowych, buli się ich, bo od nich zależała ich godność.

Wojskowa starszyzna; ta godność należała tylko do czterech osób: do koszowego, sędziego, pisarza i asaury wojskowego, i jako tytuł zostawała się przy tych starych i zasłużonych Kozakach, którzy piastowali już wszystkie albo jedną z owych godności, a uwolnieni od nich zostali w wojsku w swoim kurenium.

Na ogólnych zebraniach mieli pierwsze miejsce po rzeczywistej starszyźnie, w kureniach po atamanach kurennych; mieli udział w tajnej radzie czyli schadzce, i w czasie wojny na wyprawach dowodzili większemi oddziałami, mając pod dowództwem swoim pułkowników.

Sędzia był głównym wyobrazicielem wojskowego sądu, do rozbiérania i rozstrzygania cywilnych i kryminalnych spraw; w nieobecności koszowego, na jego prawach zarządzał w koszu, i wtenczas nazywał się: „Nakażny koszowy ataman”. Oprócz tego pełnił obowiązki koszowego kassyera, i pilnował wojskowego skarbu i armat.

Pisarz wojskowy był generalnym sekretarzem, albo raczej pierwszym ministrem wojska, w którym koszow i sędzia, nie umieli i nie powinni byli umieć pisać.

Pisarz nietylko referował, ale i podpisywał wszystkie papiéry, podpisywał zaś nie swoje nazwisko, lecz zwykłą formułę, o której powiemy niżej. Ich godność tak wysoko cenioną była w Zaporozu, że w czasie całym trwania nowój siczy 1734 — 1775 r. czterech tylko pisarzy wybrano i to jeden po drugim. Pisarz był rzeczywiscie naczelnikiem wojskowej kancelaryi i w pułkach wszystkiej pułkowej starszyzny.

Asaur wojskowy był razem generał-adjutantem koszowego i ministrem policyi, i zwykle wyprawiani byli

ze znacznymi oddziałami na step i ku polskiej granicy, dla ścigania złodziei i hajdamaków, albo dla strzeżenia granic Zaporozża przy Orliku i Dnieprze od krzywd i napaści sąsiednich komend, albo nakoniec udawali się do pałanek, zamieszkałych przez żonatyh Kozaków i poddaństwo, dla wyprowadzenia jakiego śledztwa lub dla dopilnowania, aby wyroki zapadłe w koszu były ściśle wypełniane.

W czasie wojny, wojskowy asauł z wojskowym obożnym, jeżeli nie dowodzili osobnemi oddziałami, to byli głównymi pomocnikami koszowego, i strzegli porządku w wojsku i w obozie.

Asauł wojskowy odbierał i dzielił żołąd i prowiant, pilnował służby, a w razie potrzeby wykonywał wyroki nad osądzonemi. We wszystkich czynnościach i radach, pomocnikiem asauła, oprócz jego podasaułów i pułkowych starszyzn, był wojskowy doboż (dowboż).

Wojskowa ta starszyna miała swoje klejnoty (oznaki), które w wyprawach lub w uroczyste dni nosiła. Przy każdym starszym wojskowym była straż honorowa na usługi jego z tego kurenia, z którego on pochodził: przy koszowym 40, przy sędziu 10, przy pisarzu 27, a przy asaule 7 ludzi.

Wojskowe klejnoty (oznaki) były: chorągiew wielka królewska, która za czasów polskich w różowém polu miała białego orła, a w r. 1645, kiedy Zaporozcy przeszli pod zwierzchnictwo Rossyi, miała orła dwugłownego; buława, buńczuk, piernacz (rodzaj buławy mniejszej, mającej zamiast znajomój gałki rogotej sześć piór wklejonych), pieczęć, znaczki (mniejsze chorągwie), trzciny, a później srebrne litawry (narzędzie muzyczne ze srebra lub miedzi, do talerza lub tamboryna podobne,

w które pałeczkami uderzano); mniejsze piernacze posyłane pułkownikom na znak ich godności, były żelazne, a czasem srebrne; także same dawane były podróżnym na znak wolnego przejazdu (żelazny list).

Buńczuk byłato wysoka żerdź, na wierzchu mająca złote jabłko, gdzie także przyczepiano dwa albo trzy końskie ogony. W wypadkach uroczystych, buławę, niósł koszowy, trzcinę i pieczęć sędzia, drugą trzcinę asaул, chorągiew wielką, buńczuk i piernacz nosili wojskowi starszyna, którzy dlatego nazywali się: wojskowy buńczuczny, chorąży i piernaczy.

Pułkownicy byli dwojacy: pochodni (ruchomi) i do pałanek. Piérwsi wysyłani byli z oddziałami dla zajęcia pewnych stannic na łądzie lub wodzie, dla schwywania złodziei i hajdamaków, lub wysyłani byli do stolicy po żołd i prowiant, kiedy już ściślej Kozacy do Rossyi należeli.

Takim pułkownikom dodawano pułkową pochodną starszynnę: asaуła jako adjutanta, i pisarza czyli sekretarza do prowadzenia korespondencyj z koszem, bo pułkownicy nie byli i nie powinni byli być piśmienni. Nazywali się oni pochodną (ruchomą) starszynną, dla rozróżnienia od wysyłanej zwykle corocznie na rządzenie pałankami, która nazywała się w prostém narzeczu „pałanoczném państwem”. Do każdej pałanki, jak to widzieliśmy już ze spisu starszyny, naznaczało się pułkownika, asaуła, pisarza, podasaуła i podpisarza, trzech panów i trzech podpanków (try pana i try podpanka), jak mówi Korz.

Pułkownik na znak swój godności i władzy dostawał piernacz, który nosił za pasem, i znaczek (małą chorągiew), którą nosił przed nim pułkowy chorąży. Każda

pałanka miała swoje pieczęć, która z czasem zmieniała się, jak to można widzieć na dołączonej tu tablicy.

Bardzo ważnem było znaczenie kurennych atamanów; bylito urzędnicy, których powstanie sięga początkowych czasów kozactwa. Sądząc po ich wpływie i głębokim szacunku ku nim wojska i samój nawet starszyny, można z pewnością wnosić, że ich początek sięga najdawniejszych i patryarchalnych jeszcze czasów i obyczajów Zaporozża.

Kozak, który nie był kurennym atamanem, nie mógł należeć do wojskowej starszyny, a tém bardziej być koszowym; inaczej nie mógłby mieć w wojsku potężnego wpływu, tojest władzy.

Wojskowa starszyna po uwolnieniu jej od obowiązków piastowanych, wracała do kurenia i znowu wybieraną była często kurennemi atamanami. Kurenni ci atamani, mieli w swoim kurenium prawie ojcowską władzę, i często okropnie karali swoich Kozaków, bez odnoszenia się do koszowego. Oni mieli klucze od kurennego skarbu, który w razie ich nieobecności, w żadnym przypadku przez nikogo nie mógł być otwartym. Zapewne na kurennych atamanów a nawet i na koszowego i inne stopnie wojskowe, wybierano najwaleczniejszych z kurenia, bo wiemy z relacji jednej, że Kozacy zawsze szli na przódzie i większa ich część zwykle ginęła.

Starowolski wyraźnie powiada, że bez względu na pochodzenie, wybierali sobie na wodza tego, kto był najwaleczniejszym (1). Za pośrednictwem kurennych atamanów, koszowy mógł samowładnie rządzić wojskiem, nie obawiając się najmniejszego sprzeciwiania się Kozakom.

(1) Institutorum Res militaris, L. VIII, c. 6.

ków. Kiedy wojsko występowało w pole, to z kureniami szli nakazni kurenni atamani, a rzeczywiści kurenni atamani zostawali w siczy „na gospodarstwie”, mając pod sobą pewien oddział do pilnowania porządku w gospodarstwie i przygotowania zapasów na zimę. Każdy kureń miał swoje chorągiew (znaczek), a ten co ją nosił, nazywał się kurenni chorąży.

Służba wojskowa była następująca:

1) *Dobosz wojskowy* (dowbysz), który w stopniu stał niżej od pułkowej starszyny, był jednak ważną osobą w wojsku, bo co rok 1 stycznia, wzywał biciem w bęben całe wojsko na ogólną radę na rynek, i dawał znać, że koszowy stoi już pod wielką chorągwią. Oprócz tego wysyłano go, niby policmajstra, po to, aby dostawił do kosza jakich ważnych przestępców, aby przyspieszył pobór podatków, aby sprowadził zbiory i wyprawia z zimowników ociągających się Kozaków. On także osobiście był przytomnym przy wykonywaniu sądowych wyroków.

2) *Wojskowy puszkarz* (puszkar) zarządzał artylerją, chował proch, ołów i kule, dowodził armatami i kanonierami, a w dodatku wysyłano go po odbiór z kassy prowiantu prochu i ołowiu, wyznaczonego dla wojska. Pod jego dozorem była puszkarnia (prochownia), w której trzymano zamkniętych zbrodniarzy.

3) *Wojskowy tłumacz* (tolmacz), był tłumaczem w stosunkach różnych z Polakami, Tatarami, Grekami i Mołdawianami, a często wysyłano go do obcych krajów z tajnymi poleceniami, lub dla dowiedzenia się o zagranicznych wypadkach.

4) *Wojskowy kantarzędź*, miał pod swoim zarządem miary i wagi wojskowe, pilnował poboru wojskowych

dochodów w przedmieściu czyli bazarze siczy, gdzie wszyscy handlujący musieli do koszowego skarbu dać pewną opłatę (ralce), podarunki dla starszyny, dla wojska i cerkwi.

5) *Szafarze* (urzędnicy celni), byli u przewozów: koadackiego i Nikityna przez Dniepr, a samarskiego przez rzekę Samarę i u bohogardowskiego przy rzece Boh; oni pobierali opłaty celne, robili nakłady potrzebne na utrzymanie komendy i budowli, a zarazem pilnowali porządku i słuszności na przewozach, co było bardzo ważnym w czasie lata przy tak wielkim w tych miejscach handlu. Szafarz u Nikityna przewozu miał jeszcze obowiązek przyjmować gości i utrzymywać na koszt wojskowy zagranicznych kommissarzy tam się zbierających, dla zagodzenia wzajemnych sporów i skarg między Krymem i zaporozkimi Kozakami.

6) *Kancelarya wojskowa* składała się z pisarzy, podpisarzy, kancelarystów, podkancelarystów; pełna była i innych Kozaków, którzy wprawiali się w piśmie i mieli prawo posunąć się kiedyś na godności pisarskie.

7) *Nakonec ataman siczowej szkoły*, to jest naczelnik i zarazem nauczyciel świecki dzieci, które chowano na koszczie wojska, pod nadzorem naczelnika siczowych cerkwi. Do tego dodać jeszcze trzeba: wojskowy stadnik, mający dozór nad stadami ogólnymi do całego wojska należącymi, i gromadcy atamani, to jest naczelnicy wsi i osad żonatyh Kozaków i poddaństwa; byłyto najniższe w porządku stopnie urzędowe w Zaporozżu.

Wszystkie te wymienione stopnie i godności w sławnym zaporozkim wojsku, mogli otrzymywać sami tylko Kozacy z towarzystwa, to jest nieżonaci, bo żonaci żadnej godności, ani stopni nigdy nie mogli posiadać. Ró-

wniez prawo mieszkania w zimownikach mieli sami tylko Kozacy z towarzystwa, razem ze swoją służbą (mołodnikami), którzy albo byli zapisani w którym kureniu, albo nie; ale byli także nieżonaci.

Ojciec mógł żyć w zimownikach z synami lub krewnymi, jeżeli ci zapisani byli w którym kureniu, ale ani matki, ani siostry, a tém więcej żadnej innej kobiety w zimownikach i kureniach nie było i być nie mogło. Dlaczego? Tak wymagała reguła zaporozkiego wojska.

Zimowniki byłyto solwarki, budynki, chaty na stepie, w pałankach, w których Kozacy nie wracając do kureni przez zimę mieszkali, a latem uprawiali ziemię, kosili łąki, utrzymywali stada i łowili ryby na rzekach do tego lub owego zimowiska należących; zawsze jednak prace te i dochód z nich szedł także na rachunek towarzystwa. Dopiero w r. 1760, kiedy ustawy kozackie słabnąć zaczęły, starszyzna miała już swoje własne i bogate zimowniki, w których liczne stada i tabuny chowali. Towarzystwo ze zgrozą na to patrzyło, a złąd różne głośnie szemrania i skargi na kosz i starszyznę słysząc się dawały. Zimowniki te z początku były nieliczne, a często dla małej ludności w Zaporozu, o 15 lub więcej wiorst były od siebie odległe. W roku 1755 zimowników wszystkich było 431; liczba tak mała, że niepodobną jest do wiary. A ponieważ, jak słusznie zauważył p. Skalkowski, liczba ta stoi w raportach do rządu, to trudno jój wierzyć: bo wszystkie wewnętrzne urzędnienia i zwyczaje, najstarszanniej kosz ukrywał, nikomu prawdy nie wyjawiał, i złądte powstało tyle przekręceń, tyle dziwacznych opowiadań o Zaporozu, dopóki wyualezione archiwum kozackie zupełnie je nie obaliło.

III.

Zaporozkie zgromadzenie czyli towarzystwo (1).

Już w pierwszym moim artykule „O Hetmanach małosyjskich” nadmieniałem, że Kozacy, rozumie się zaporozcy, początkiem i przyczyną nastania swego, położeniem geograficznem na granicy nieprzyjaznych wrogów chrześcijaństwa, i formą właściwą sobie w której się pojawili i ciągle utrzymywali, bardzo dużo mieli podobieństwa do katolickich wojenno-zakonnych zgromadzeń średnich wieków.

Żeby domysł ten nasz w pewność historyczną zamienić, musimy głębiej jeszcze przedrzeć się w ducha i pojęcia téj wojennej drużyny, musimy wyświecić jój znaczenie z dowodów i źródeł, jakie ona sama po sobie zostawiła, a nie z rozumowanych i naciąganych wywodów.

Jak wiele stosunków miało Zaporozie z Polską, i że, jak to wszyscy już przyznają, od Polaków poszło pierwsze urządzenie i jakiś ład organicznej całości w Zaporozu, dowodzi to najlepiej wielka liczba wyrazów polskich, aż do ostatka w czystości zachowanych i używanych w Zaporozu. Chociaż towarzystwo zaporozkie wyznawało grecko-rossyjską wiarę, chociaż mówiło ruskim językiem, i chociaż pole jego działania zaodległe było od zachodu; nikt jednak, najzawziętszy nawet wróg kozactwa nie może zaprzeczyć jego podobieństwa z zachodnimi wojennymi zakonami.

Podobieństwo to w trzech głównych widzimy punktach: kozactwo, równie jak wojenne zachodnie zako-

(1) Towarzystwo, wyraz czysto-polski, towarzystwo.

ny, było związane z sobą węzłem bractwa, zgromadzenia (societas), wiary (religio), i celem swego ustanowienia, to jest powołaniem (vacatio).

W naszych czasach, wielom nawet znającym się dobrze na historyi wydawało się dziwném, nawet niepodobném do wiary, ażeby napół ucywilizowani Kozacy, wiarusy, prawie niepiśmienni, nie należący w politycznym znaczeniu do liczby mocarstw europejskich, mieszkający, jak sami mówili, na stepach tatarskich, między agapińskimi koczowiskami, aby mówię ci wiarusy mieli się pojawić na polu historycznym w kształcie rycerskiego zakonu, wtedy właśnie, kiedy inne zakony na zachodzie upadły, zostawiwszy po sobie pamięć jedynie w pismach, herbach i nazwiskach familijnych szlachty zachodniej i południowej Europy. Templaryusze 1313 roku zniesieni, krzyżacy 1562 roku przechodzą w świeckie państwo i stają się wassalami Polski, jako księstwo pruskie; tylko rycerze Ś. Jana Jerozolimskiego trzymali się na wyspie Rodus, a potem na Malcie, ale i u nich widać było już ubytek pierwotnej energii i ubytek znaczny organicznej siły żywotnej.

Ale właśnie to, co się tak dziwném i niestosowném dla niektórych wydawało, wydaje się nam to logicznym następstwem i koniecznością; kiedy zakony wojenne zachodnie upadły, widać, że już potrzebne tam nie były, że spełniły co miały do spełnienia, i żyć przestały dlatego właśnie, że ich missya już się skończyła. Siła mużłmańskiego, tatarskiego potoku, grożąca nagle zachodniej Europie i chrześcijaństwu, wywołała na zachodzie oprócz ogólnej przeciw niemu obrony, specjalne stowarzyszenia czyli zakony; jedynie to na celu mające, aby walczyć wszędzie i ciągle zawziętych nieprzyjaciół imie-

nia chrześcijańskiego. Niebezpieczeństwo i ciągła napaść półksiężycy na Europę nie ustała, a co więcej jeszcze, wzmocniła się w XVI wieku; ale niebezpieczeństwo to już nie w Ziemi Śtój, nie we Francyi, nie w Hiszpanii, ale z innej strony groźnym się stawało; zwróciło się bowiem w całej sile na plemiona słowiańskie, od Dunaju do Wołgi sięgając. Owoż na zachodzie ustała obawa i groźba od Turków i Tatarów, i niema też już zakonów rycerskich; ale za to na południo-wschodzie chorągiew półksiężycy rozwijała się w całej krwawej zapędności, i cóż tu dziwnego, że taż sama przyczyna w innym miejscu wydaje też same skutki? Owszem, toby było dziwnym i nielogicznym, gdyby ich nie wydała. To też powstaje zaraz w tej zagrożonej stronie Europy nowy zakon wojenny, nowe towarzystwo wojownicze, którego głównym celem jest bójka krwawa i nieustanna z Turkami i Tatarami. Czytajcie zresztą pozostałości po Kozakach w ich archiwum, zapytajcie się żywych jeszcze świadków sicz, lub jej potomków czarnomorskich i azowskich Kozaków, a nie wiercie paszkwilom i bajarzom, co dotąd historyjami zaporozkimi się nazywały; a sami przekonacie się, że tak było a nie inaczej, i zgodzicie się z nami.

Rozbierzmy pokrótce warunki stowarzyszenia się kozackiego.

Zaporozcy związani byli świętymi węzłami: 1) Towarzystwa; albowiem wszyscy Kozacy bez różnicy stopnia, lat i pochodzenia, stawali się braćmi, towarzyszami, nazywali swojego koszowego kurenego atamana ojcem (bat'kiem), a Kozaków braciszkami (bratczykami). 2) Węzłem jednej i tej samej wiary; bo koniecznym było, że nikt nie mógł być zaporozkim Kozakiem, jeżeli nie był

prawosławnej wiary, tak dalece, że przybysze z innych krajów i innej religii, czy chrześcianie czy niechrześcianie, nieinaczej byli przyjęci do towarzystwa, aż przyjęli religię wschodnią grecko-rossyjską. Że tak było, świadczy instrukcja dana posłom kozackim do Petersburga 1767 r. 23 lipca, w której w § 8 powiedziano: „Do zaporozkiego wojska z różnych nacyj na mieszkanię i służbę, małoletni i dorosłych lat ludzie przychodzą, i po przyjęciu przez nich grecko-rossyjskiej wiary, zapisują się na służbę i wyuczwszy się ze wszystkiem jak trzeba reguły kozackiej, żyją”. 3) Węzłem posłuszeństwa (*votum obedientiae*), bo nietylko całe towarzystwo wojenne, ale nawet służy ołtarza i cerkwi zaporozkiej uważają się za oddzielną i niezależną od żadnej ruskiej dyecezyi owczarnią; słuchali jednego tylko naczelnika koszowego i kosza (wielkiego mistrza). 4) Węzłem bezżeństwa (*castitatis*), które tak surowo wypełniali, że we wszystkich zaporozkich piśmiennych pomnikach, a tysiące ich zostało, w żadnym ani wzmianki niema o kobiecie; a w sprawach kryminalnych, jeden i jedyny ślad pozostał: wyrok za zgwałcenie przysięgi na czystość.

Już powiedzieliśmy wyżej, że tylko nieżonaci należeli do towarzystwa, mieli udział w czynach wojennych i mogli otrzymywać godności i stopnie wyższe w wojsku. Każde przestąpienie tego, być może głównego prawidła i przysięgi, dokonane w koszu, nawet ukrycie w kureniu matki, siostry lub córki, uważane było za zbrodnię kryminalną, surowo a nawet śmiercią było karane. Kobiętom nazawsze był wzbroniony przystęp nietylko do sicy, ale nawet w pewnej od niej odległości znajdować się nie mogły; czyżto nie znana reguła (*claustrum*)

zachodnich wojennych zakonów? 5) Węzeł powołania: wojna z wrogami chrześcijaństwa i obrona chrześcijańskich państw, słowiańskich czy innych, bo to nie zmienia treści kozactwa, od napadu Saracenów, Turków i Tatarów. Czyż w tych pięciu wybitnościach siły łączącej i stanowiącej towarzystwo Kozaków, nie widać tychże samych zasad, na jakich stały zachodnie wojenne zakony? Czyżto nie jest nieunikniona konieczność tożsamości skutku z tożsamości przyczyny? Po co wyszukiwać rozumowań i wywodów nakręconych, nieprawdopodobnych, mając jasną logiczną drogę w prawdziwości faktu! Dziwny upór i zaślepienie nie chcieć widzieć tego, co jest jasnym i stawiać na to miejsce ciemne i nielogiczne domysły. Dodajmy jeszcze, że na podobieństwo zachodnich wojennych Kozaków, i zaporozcy szczególnie mieli nabożeństwo i cześć dla Najświętszej Matki Boga, Dziewicy Maryi; ona uważana była za patronkę wojska i wszędzie gdzie była sicz, natychmiast wznosiła się cerkiew w imię Opieki Najświętszej i Niepokalanej Matki Boga-Człowieka.

Tutaj zaraz samo z siebie nasuwa się pytanie: zkąd w tém kozactwie wzięły się owe ustawy i spojnie czyisto rycerskie, i tak do katolickich zbliżone?

Powiedzieliśmy już, mówiąc o hetmanach małorossyjskich, że wyjąwszy religią i język, wszystko inne było u Kozaków nowe, im właściwe, wyrobione z nowych i nieznanych wtedy na wschodzie Europy pierwiastków, a wszystko to do nich weszło z zachodu, z Polski. Polacy byli pierwszymi urządziicielami téj drużyny, osiadłej oko w oko przeciw Turkom i Tatarom; zastali oni poza progami Dniepru ludzi odważnych, śmiałych, gotowych zawsze do walki i niebezpiecznych przedsięwzięć, i chociaż nie wskazali im celu ich bytu, bo ten już istniał, to

przynajmniej urządzili ich wewnątrz, nadając im wspólne ustawy i kształt organicznej całości.

Wielu nowych polskich badaczy kozactwa i jego znaczenia przyjęło już to mniemanie za pewnik, że Kozacy powstali z téjże saméj przyczyny i w tymże samym celu, co zachodnie wojenne zakony, i że pierwsi Polacy obznajomieni i wychowani w ideach rycerskich, zanieśli na Zaporozie owe urządzenia wojenno - zachodnie. Teraz wszyscy bezstronni i zdrowo myślący rossyjscy historycy przyjęli tę myśl za pewnik historyczny, bo jest najlogiczniej krytyczną.

„Wówczas, kiedy zachód i południe Europy najeżone były wieżycami gotyckich zamków, a na skałach Rodu i Malty przebywały kawalerskie zakony, szczątki wielkich wypraw chrześcijaństwa na Azyą; nie wiedziano bynajmniej, że za warowną ścianą rzeczypospolitej polskiej, która wszystko zasłaniała od rozlicznych szkód i przygód, znajduje się na wschodnich granicach téjże Europy cały osobny system wojenny, wielkie stowarzyszenie ludzi orężnych, żyjących w ustawicznej wojnie przez wojnę i wojną. Z zadziwieniem się ujrzy, stojącą naprzeciw federacyi zachodniej feudalizmu, drugą takąż federacyą stanów wojennych na wschodzie. Naprzeciw zakonów rycerskich, strażnic zachodniego chrześcijaństwa, było drugie także stanowisko wojskowe, rozłożone po pustyniach i między kataraktami rzek; gdzie ostrow (wyspa) był klasztorem, step kommandoryą, gdzie nawet jak w tamtych bezżenność była ślubem” (1).

Rozumowanie p. Grabowskiego przy rozpatrzeniu się bliżej w Kozaczyźnie zaporozkiej, znalazło najoczywistsze potwierdzenie. Że Polacy pierwsi zanieśli tam ową ideę

(1) M. Grabowski: Literatura i Krytyka, część II, str. 6.

bractwa wojennego, jestto już prawdą powszechnie przyjętą; a że ciągle wywierali tam wpływ, to i to prawda. A czyż z drugiej strony nie wiadomo z historyi, że później polska szlachta nie tylko pomagała Zaporozcom przeciwko Bisurmanom, ale sama często w towarzystwo się zaporozkie zapisywała i miała udział w wyprawach kozackich, szczególniej Dnieprem na morze Czarne do Konstantynopola?

Konstytucya warszawska z r. 1635 pod tytuł: „Pohamowanie inkursyi morskich od wojska zaporozkiego” surowo postanowiła, ażeby szlachta, która nie hacząc na pokój z Turcyą, Kozakom zaporozkim pomaga i różne adminicula daje, sama z niemi na morze wyprawy czyni i zdobyczą się dzieli, była pozwana przed sąd sejmowy, i karą za pojedynki oznaczoną karana była.

Przedstawwszy znaczenie towarzystwa kozackiego ze stanowiska logicznego wywodu, konieczności historycznej, trzeba poprzec teraz nasze rozumowanie dowodami czerpanymi z samego Zaporozia; trzeba okazać, że sami Zaporozcy zawsze w tym duchu występowali, i zawsze się za wojenny zakon uważali.

Pojęcie o zgromadzeniu czyli towarzystwie, zakonie, spotykamy na każdym kroku w działaniach Zaporozia. Ze wszystkich piśmiennych dokumentów pozostałych po Kozakach zaporozkich, widać najprzód, że nikt w wojsku zaporozkiem nie był osobą, jednostką oddzielną w interesach, celu i uczuciu od towarzystwa; wszyscy bez wyjątku Zaporozcy, dopóki byli rzeczywiście albo należeli do kozactwa: koszowy, starszysza, pułkownicy, kurenni atamani i prości towarzysze, działali zawsze razem w imieniu całego i dla całego towarzystwa, całego wojska. Kozacy kurenni nie mogli mieć żadnej innej wła-

sności, ani w wojsku, ani za jego obrębem, oprócz żołdu i pieniędzy zdobytych na wyprawie, konia i broni.

W jednej bardzo starój gawędce słyszanój przez p. Skalkowskiego w Zwienigorodzie, gubernii kijowskiej, dymisyonowany Zaporoziec w późnój już starości, tak opowiada o swojém przyjęciu za młodu do wojska zaporozkiego: „I tak, przyszedłem w sicz i przedstawiłem się w kurenium, a jak już mnie ze wszystkiém przyjęli, to ataman w obecności wszystkich oddzielił dla mnie w kurenium trzy arszyny wzdłuż, a dwa wszérz miejsce, i rzekł: „Oto twoja domowizna (domowina, grób), a jak umrzesz, to zrobimy jeszcze krótszą”.

Wszystko w koszu i w kurenium było wspólném, nawet pożywienie, które gotowano w kurenium przez kurrenno kucharza (kucharem); a jak niegdys w Sparcie lub późnój i teraz w klasztornych refektarzach, tak i wszyscy Kozacy kurenia siadali razem do stołu, mając na czele atamana swego.

Kucharze ci należeli także do towarzystwa, bo w składzie każdój komendy wojennój, artyleryjskiej i prowiant-skiej, w szkole i służbie cerkiewnój, wszędzie jeden i ten sam był porządek; to téż i w kurenium: ataman, pisarz, a jeden Kozak kucharz. Był on znaczeniem wyższym od innych prostych Kozaków, bo był zarazem i kassyerem kurenia.

Są oryginalne piśmienne dowody: że chociaż władza koszowego i szacunek moralny wojska dla niego były wielkie i niezaprzeczone, nie mógł on jednak sam nic rozkazywać, ani spełniać bez woli i zgody „towarzystwa”.

W roku 1757, koszowy Grzegorz Fedorów był zapozwany przed sąd hetmański za to, że sprzyja i zasłania hajdamaków.

Na zapytanie sądu, dlaczego on pojmanych hajdamaków wypuścił, odpowiedział: „Że on koszowy, przybyłych hajdamaków zabrać sam przez się i odesłać dokąd należało nie mógł, bo oni hajdamacy pod przysięgą przyjęci byli przez całe zgromadzenie, a bez zgody ogólnej, podług tamtejszego obyczaju nic czynić jemu samemu koszowemu niepodobna”.

W roku 1746, jakiś korsuński polski gubernator (rządca dóbr), żądał od koszowego Bazylego Grygorewa, żeby złodziei co go okradli, a do Zaporozża się schronili, odszukać i złapać rozkazał.

Posłaniec gubernatora powróciwszy z sicyz doniósł mu, że atamani kurenni, zebrawszy się wszyscy, nie usłuchali koszowego, i złodziei śledzić nie chcieli. Nakoniec jednemu rossyjskiemu oficerowi, co sobie życzył zostać towarzyszem którego kurenia, koszowy Kalniszewski nie przyjąwszy go do towarzystwa, odpowiedział: „że gdy większa część wojska nie była obecną w sicyz, to on nie mógł zażądać od niego zdania, i zgodzenia się na żądanie oficera.” W formie samój odezwy i korespondencji urzędowych, owo działanie w imieniu całego towarzystwa było koniecznym warunkiem; kilka na to przykładów podajemy:

W roku 1688, kiedy Rossya mając prowadzić wojnę z Turcyą, uważała za konieczne wybudowanie fortecy przy rzece Samarze na ziemi zaporozkiej, to w odezwie Jana Piotra i Zofii Aleksiejownej powiedziano: „Naszój Carskiej Wielkości poddanemu, nizowego zaporozkiego wojska koszowemu atamanowi Gregorowi Sahajdacznemu, i całemu przy tobie znajdującemu się towarzystwu Naszój Carskiej Wielkości łaskawe słowo”.

W roku 1734, znajomy przyjaciel Mazepy, Orlik, tak zaczynał swoje podburzające odezwy do Zaporozców: „Moi wiele łaskawi przyjaciele i bracia, panie atamanie koszowy i wszystko starsze i mniejsze wojsko zaporozkiego nizowego towarzystwa”.

Nawzajem wojsko zaporozkie, od siebie w podobny sposób wydawało odezwy; i tak: roku 1683 uniwersał swój o cerkwi zaporozkiej taką zaczyna formułą:

„Grzegorz Iwanowicz ataman koszowy, sędzia, pisarz, osauła i my atamani wszystkich kuren i całe towarzystwo kurenne nizowe wojsko zaporozkie”.

W roku 1734, na odezwę bana krymskiego Kaflan-Gereja, Zaporozce odpowiedź swoją tak zaczyna: „Wasz list hański do nas wojska zaporozkiego nizowego przysłany, z przyjemnością my wojsko do rąk własnych odebrali i podług obyczaju naszego wojskowego, na ogólnej radzie naszej wszystkim na głos przeczytali” i t. d., a kończy tak: „Waszej hańskiej Wielkości wszelakiego dobra życzący i najniżsi do usług: ataman koszowy wojska zaporozkiego nizowego, z towarzystwem”.

Już później nawet, rossyjscy dowódcy wojsk w czasie wypraw, rozkazy i depesze swoje do wojska zaporozkiego wydawane, takąż samą formułą podpisywali.

Hr. Rumiancow 1769 roku pisze: „Panu atamanowi koszowemu wojska zaporozkiego Kalniszewskiemu z wojskową starszyzną i towarzystwem”; a w odezwie więcej przyjacielskiej niż urzędowej: „Dostojni i szanowni panie koszowy atamanie i całe zgromadzenie wojska zaporozkiego.”

Hr. Panin zawiadamiając Zaporozców o przybyciu swoim do armii, pisał do nich: „Wysoko szanowny

i znamienity zaporozkiego wojska panie koszowy atamanie, wojskowa starszyzna i towarzystwo, i moi przyjaciele". Nawzajem kosz w swoich raportach i podaniach do rządu, zachowywał aż do ostatnich czasów dawną zakonną formę, pisząc: „Biją czołem najpoddanniej Waszej Cesarskiej Wysokości, wojsko zaporozkie nizowe, ataman koszowy, wojskowa starszyzna, starcy, atamani kurenni i całe wojsko”.

Co większa, że i w wewnętrznych stosunkach kosza z podwładnymi i nawzajem, owo działanie w imieniu ogółu wszędzie się przebija i było surowo przestrzegane. Tak w rozkazach wydawanych z kosza do pułkowników w pałankach, do dowódców pewnych oddziałów, pisano:

„Z kosza wojska zaporozkiego nizowego, panu pułkownikowi samarskiemu NN. ze starszyzną i towarzystwem”. A podwładny odpisywał: „W kosz wojska zaporozkiego nizowego; albo „Jego wielmożności panu atamanowi Kozaków z wojskową starszyzną, wysoko szanownemi atamanami kurennemi i towarzystwem, pokorny raport”. Podpisywał się: „bohogardowy pułkownik NN ze starszyzną i towarzystwem”.

Ze całe zgromadzenie, całe wojsko, całe towarzystwo, miało udział we wszystkich sprawach wojska, przytoczymy na to jeszcze dwa dokumenta:

1) Kiedy Filip Fedorow był uwolniony od obowiązków koszowego atamana, wojsko wezwało do zajęcia tej godności Piotra Kalniszewskiego i zarazem prosiło go, aby był jego obrońcą w Petersburgu. Akt tego wyboru i pełnomocnictwa brzmiał jak następuje; „My wszystkich kurenni atamani, z całym kurenném towarzystwem, ze starcami i młodemi, sumiennemi i uczciwe-

mi Kozakami, starszyna i wszystko wojsko, wybrawszy Piotra Iwanowicza Kalniszewskiego na atamana do dowodzenia wojskiem zaporozkiem, uprosili go i t. d."

Ten ciekawy dokument tak był ratyfikowany na potwierdzenie siły i na zakończenie wyżej napisanego: „Wszyscy razem atamani i całe towarzystwo, także starcy i starsi wojskowi, na tém przy ogólném kurenném zebraniu podpisujemy się."

2) Koszowy w r. 1766 będąc w Petersburgu, był przymuszony w interesie wojska zaciągnąć pożyczkę 1000 rub. sr. Rewers przez niego wystawiony, podpisany przez wszystkich jego towarzyszy, zatwierdzony przez pisarza wojskowego, który téż i atamana koszowego podpisał, natychmiast był wysłany do kosza do ratyfikowania.

Dotąd jeszcze utrzymujące się przysłowie: „Cierp Kozaku, atamanem będziesz" (cierpi Kozak, atamanem budziesz), dowodzi, że podług praw towarzystwa, każdy Kozak mógł być wybranym starszyną i atamanem; ale władza koszowego ustawała natychmiast, jak tylko kto inny był na jego miejsce wybrany; wtedy każdy koszowy, sędzia, kurennny ataman, stawał się znowu Kozakiem towarzyszem, z tą różnicą, że ci co długoletnią służbą dosięgli do stopnia starszyny (pisarza, sędziego i asoła wojskowego), dostawali po złożeniu tych godności tytuł starców (staryków).

Powiada kosz w swoim doniesieniu senatowi 1767 r., że w wojsku zaporozkiem służą i w siczy Zaporozża mieszkanie mają i szlachta i obywatele; ale całe towarzystwo wojska zaporozkiego równo pełni wojskową służbę, a tém mniej rozdzielenia między niemi na osobli-

we dla każdego własności zupełnie nie ma. Te proste ale dobitne wyrazy, najjaśniej pokazują ducha ich wewnętrzznego urządzenia na zakonny sposób.

W opowiadaniu Zaporozca Korzy, znajdujemy jedną okoliczność, która w pewnym względzie potwierdza to, cośmy dotąd o charakterze towarzystwa zaporozkiego wojska powiedzieli. Mówi on „że kiedy Kozak hulając po stepie zajeżdżał po drodze do którego zimownika, to wjechawszy na podwórze i nie zsiadając z konia, wołał: pugu! pugu! Na to gospodarz zimownika, jeżeli należał do towarzystwa, przez okno zapytywał się: pugu? pugu? Gość natychmiast odpowiadał: Kozak z Ługu, i wtedy zaraz przyjmowano go do izby, a konia do szopy.

Przybyły Kozak wszedłszy do chaty i oddawszy pokłon obrazom, mówił: „Atamanie, towarzystwo nasze głowy!” Gospodarz odpowiedział: „Wasze głowy, proszę panie bracie siedzieć.”

Z tego opowiadania wnioskujemy, że Kozak tym umówionym językiem dawał poznać: że należy do towarzystwa zaporozkiego i nazywał się Kozakiem z Ługu, bo wiadomo zkażdinąd, że Wielki Ług, podług podania Zaporozców był pierwszym miejscem osiedlenia się i związku sławnego nizowego zaporozkiego wojska, a najważniejszych między sobą żartem nazywali Ługarzami.

Nie możemy jeszcze nie zwrócić uwagi czytelników na ten wyraz starcy (staryki), tak często używany w pismach zaporozkich i dokumentach przez nas wyżej przytoczonych, a który tak logicznie odpowiada owym w zakonach wojennych starszym (seniores).

Widzieliśmy, że rząd w Zaporozżu był czysto-demokratyczny z pewnym odcieniem patryarchalnego: chociaż władza koszewego i starszyzny była wielka, ale moc ich

jako urzędników wybieralnych, zależała od woli i dobrego względu nich usposobienia towarzystwa, od kozackich głów prostych i nieokrzęsanych, a często aż na zbyt zapędnych. Bez względu na okoliczności wymagające najściślejszej tajemnicy, wszystkie wiadomości i odezwy, trzeba było na głos czytać całemu wojsku na rynku, i słuchać jego zdania i woli. Któż wtedy mógł ręczyć za słuszność i roztropność sądu i decyzji, za zdrowy rozsądek tłumu bez domu i familij, lubiącego zawsze i nadewszystko walkę, gwałt, napad, nieposłuszeństwo, a do tego jeszcze pijaństwo? Owoż cała siła kosza i starszyny leżała w starcach, których moralny wpływ na wojsko był zadziwiający. We wszystkich ważniejszych papierach, jakoto w prośbach i raportach do cesarzów, w korespondencyach z hanem krymskim, w rozkazach, wszędzie po koszowym i wojskowej starszynie znajdujemy ten wyraz „starczy.”

W odezwie swojej biskup Irydion w r. 1735 wzmiankuje o życzliwości dla klasztoru, kurennych atamanów i starców, i przyrzeka modlić się za panów atamanów kurennych i starców, i za całe towarzystwo rycerskie nizowego wojska. Są na to dwa inne jeszcze piśmienne dokumenta:

W roku 1765 koszowy pisał z Petersburga do wojskowego sędziego Pawła Gołowatego, namiestnika swego w Zaporozżu: „W następujący Nowy Rok, nie róbcie tego abyście się od rządu uwalniali; albowiem jeżeli zechcecie to zrobić, to wielką wojsku i nam hańbę sprawicie; za biędne siéroty was tylko samych Bóg mścić się będzie. Żeby zaś wojsko téj zmiany w terażniejszym krytycznym położeniu nie zachciało uczynić, czego się nie spodziewam, pisałem o tém do starców; ażeby

znowu panowie atamani kurenni nie chcieli tego uczynić, objawić tę moją kartę (pismo) panom atamanom kurennym na schadzce, żeby o tém wiedzieli, a czując obecną potrzebę wojska i okrutne przez kilka lat zniszczenie, nie czynili w was, w sobie i innych, żadnej przemiany aż do mojego przyjazdu. A jeżeli kto tego nie posłucha, i zacznie działać jakie zamieszanie, to nie tylko przed Bogiem, ale i przed wojskiem sądzony będzie”.

Na tém piśmie znaleźliśmy następującą notatkę sędziego, przez pisarza dołożoną:

„Ta kartka odebrana od pana koszowego 6 grudnia, a nazajutrz objawiona na schadzce i tam w przytomności starców zatwierdzono: Podług tego zupełnie postąpić”.

Drugi przykład jest następujący:

W roku 1774 do Potemkina na rok przed zupełnym zniszczeniem sicy, doszła na nią nowa skarga noworossyjskiego kraju. Potemkin rzekł wtedy do wojskowego posła Antoniego Gołowatego: „Poślemy reskrypt do kosza, żeby sam koszowy ataman z pisarzem przyjechał do Moskwy dla usprawiedliwienia się”. Zaporozec odpowiedział potężnemu magnatowi: „Ataman koszowy i starszyzna temu nie przyczyną, a czyni się to tak od towarzystwa. Nad koszowym i starszyzną przewodzą (kuczat, dokuczają) starcy, atamani kurenni i wojsko”. Cóżto więc byli owi tajemniczy starcy, kiedy wszystko wewnątrz kosza od nich zależało? Byłito zastężeni i zestarzeli w sicy Kozacy, nie prości, ale ci tylko, co już godności wojskowej starszyny posiadali. Byłito ludzie, którzy z ojezyny swojej nie przynieśli do Zaporozża żadnego czulszego wspomnienia, którzy w dzieciństwie porwani lub przywiezieni, wychowani po kozacku, męż-

twem doszli najwyższych stopni, polubili wojsko i kozackie ustawy i życie. Cały świat dla nich był ześrodkowany w koszu, a wszystko zewnątrz niego było prawie dla nich niepojętém, a nawet nieprzyjazném. Oni to we wszystkich ważnych wypadkach byli najsilniejszą podporą Zaporozża, a nieraz także sprawcami jego nieszczęść i klęsk.

Nie możemy pominąć jeszcze jednego rysu, jednej wybitności, która czyniła Zaporozców tyle podobnemi do wojennych zakonów zachodniej Europy; to jest: młodyków (młodzieńców, giermków, braciszków).

Z wielu przykładów przekonywamy się, że przy kozowym atamanie i przy starszyznach głównych siczcy znajdowało się w czasie wypraw od 40 do 50 młodyków, to jest bardzo młodych Kozaków, zapisanych w kureniach, którzy wypełniali przy nich obowiązki chłopców, pazi, giermków, i tym sposobem przygotowywali się do zajęcia kiedyś miejsca rzeczywistego Kozaka. Oprócz tego nietylko przy starszyźnie, ale i przy każdym innym starym Kozaku był młodyk, zwykle jego dziecko, krewny, albo razem z nim na Zaporozże przybyły, który tym sposobem odslugiwał swoje lata nowicyatu, a potem dopiero stawał się kurennym rzeczywistym towarzyszem. Nazywali zaś ich w koszu i pałankach młodykami, dla odróżnienia ich od prostoroboczych, poddańszczuków, parobków, którzy nazywali się argatami.

Chociaż Zaporozcy chętnie przyjmowali do swojego towarzystwa każdego kto przybywał, i wyprobowawszy jego męztwo i gorliwość, zapisywali do kurenia w towarzystwo; ale zawsze pilnie baczyli, aby to byli ludzie wolni, szlachta, popowicze; Tatarzy czy Kozacy z Małorosyi, wszystko jedno: chociażby zbrodnia i infamia na nich

ciążyła. Zmieniwszy nazwisko przyjmowali ich (1), ale chłopów nie przyjmowali, chyba przez nadużycie tych, którzy ich przedstawiali i stawiali za nich także rękojmią (kumowie, ojcowie chrzestni w zakonach wojennych). Również każdy Kozak zaporozki bez żadnej przeszkody uwolniony był z towarzystwa, i w tém była prawdziwa wolność kozacka.

Tak r. 1760 śmiliański guber. Jerzy Dobrzański pisał do kosza, że Zaporozcy będąc na Ukrainie za handlem, zamienili i uwięzili z sobą w Zaporozie małoletniego syna polskiego szlachcica Ignacego Bosowskiego, który był u niego w gościnie; dlatego prosi, aby Bosowskiego uwolnili z wojska, bo rodzice chłopca pozwali go za to jako opiekuna do sądu; kosz nie namyślając się uwolnił młodego „Laszka” jako niemogącego jeszcze mieć własnej woli.

W r. 1768 znowu w czasie pamiętnej humańskiej rzezi, Zaporozcy wybawili od śmierci sierotkę szlachcica Jerzego Chrzanowskiego, którego ojca i braci zabili chłopci; ochrzczili chłopca na wiarę grecko-rossyjską, i oddali pod opiekę bohogardowego pułkownika, a ten potem odesłał go do siczy, aby tam przyjęty był między młodyków. W r. 1770 Jakób Kwiatkiewicz pograniczny gubernator targowicki, na prośbę krewnych Chrzanowskiego prosił kosza o uwolnienie chłopca z wojska, co natychmiast uskuteczniło.

Towarzystwo opuszczało Zaporozie albo dla żeniaczki, albo dla służby w Małorossyi, gdzie dostawali stopnie i ziemie; ale największa część zostawała do samej śmierci w Zaporoziu.

(1) Institutorem Rei militaris. Starowolski, ks. VIII, rozdz. 7. Kraków, 1640.

Dziwna rzecz zaiste, że oczywistość najjawniejsza nie zwróciła tak długo oczu historyków, i że nie chciano widzieć w Zaporozżu tego, co konieczny bieg rzeczy ludzkich i konieczny stosunek przyczyny do skutku, uczynił nad brzegami Dniepru jak i nad brzegami Jordanu!

Jeszcze jeden rys i ostatni owego zbliżenia, a powiedziałbym raczej tożsamości znaczenia towarzystwa zaporozkiego i zakonów wojennych. Pojęcie owo towarzystwa regularnego, rozprzestrzeniło się w końcu bytu kozactwa i poza granice Zaporozża; a jak w zakonach wojennych, szczególnie maltańskim przy jego konaniu, przypuszczano i wydawano patenta na kawalera maltańskiego, tak, że połowa europejskiej szlachty do niego należała (byłoby z początku uposażenie młodszych braci, a później modą, chociaż ztąd na przyjmującego tę nazwę, żadne obowiązki przywiązane do tego zakonu nie spływały); tak samo mamy fakta, że i Polacy i Rosyianie zapisywali się w liczbę Kozaków dla zaszczytu należenia do walecznego i dzielnego bractwa, z tą różnicą, że Polacy nawet czynnie bywali często członkami tego bractwa: boć jakieś węzły moralne, jakby autora i jego dzieło wiązały Polskę z Kozakami. Później dopiero, kiedy Kozacy przeszli pod panowanie Rossyi, wielu z magnatów rosyjskich zapisywało się w bractwo wojenne kozackie, nie dzieląc jego prac i nie pelniąc jego przepisów; i tak: astronom Euler, generałowie: Usaków, Bibików, Potemkin, Oberman, Panin byli członkami honorowemi towarzystwa zaporozkiego. Ciekawa dlatego jest rzecz, wpośród tylu znamienitych i potężnych imion dziękujących szczerze za wyświadczoną im cześć przyjęciem do sławnego zaporozkiego wojska, spotkać kiedy niekiedy przykład dumnej odpowiedzi i odrzucenia we-

zwania kosza na członka towarzystwa kozackiego. Ani się dziwić będziemy temu, kiedy po tylu strasznych kłeskach i zaburzeniach, odpowiedź tę dumną i odrzucającą wezwanie, posłał Polak, ani zresztą w tym fakcie nie ma nic zabawnego, a tém mniej nic śmiesznego; nie wiem więc dlaczego pan Skalkowski przywołując ten fakt, wystawia go trochę śmiesznie i ironicznie.

Trudno jest żądać od Polaka jakichś serdecznych uczuć dla Zaporozża i kozaczyzny, którzy podniósłszy przeciw Polsce zbrojną rękę, obok innych nieszczęść najsilniej podkopali jej polityczną budowę.

Ten człowiek, z którego odpowiedzi tak niesłusznie zacny i bezstronny ząąąąą autor żartuje, byłto bobuśławski gubernator Michał Kleczkowski. Pisał on do koszowego list, w którym między innemi odpowiada mu: „Że zaś Waszmość pan raczysz w liście swoim nas do zaporozkiej służby zapraszać, odpisuję: jeśliby ja był złodziej albo rozbójnik, albo jaki hultaj, albo drapiezca; jeśliby mi się zachciało owych rycerstw stepowych poza komyszami dokazywać, a nietylko chudoby, ale i życia ludziom odbierać: tobym może i na służbę waszą udał się; a ponieważ ja pod znakiem koronnym i bez tego towarzyszem jestem, onój waszej służby nie chcę”. Datt. 2 sierpnia 1752 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

omanu. Kierunek tej doliny jest tenże sam co Tatrów
 łopiej a zachodni na wschód. Stwierdzić się nie należy
 (kierunek, zachodni) zwrócić uwagę na położenie wodna, spły-
 wającego z południowych zboczy Tatrów.
 Przesłana linia wyznaczała zawieszona pomiędzy do-
 łę i Białymą a słopami Tatrów, na trzy mile szeroko-
 a sąsiad do sąsiedni na północy, nazwę się Podhalem,

PODHAŁE PÓŁNOCNA POCHYLEŚĆ TATRÓW

CZXXI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Tejsznera.

szczyt na przeciwną pochyłość tego pasma, w licho-
 wie Orawy i innych sąsiednich górach.
 Podhale jest właściwie wielką równiną pochyłą ku

północy schyłową, przetrwaną przez wielkimi szczytami
Széroka dolina Dunajca ściśle odgraniczająca Bieskidy
 od Tatrów, ma bardzo odmienny charakter na przeci-
 wnych końcach. Od Orawy u stóp Babiów Góry aż do
 wioski Czarny Dunajec, jest ona raczej zagłębieniem pa-
 górkowatym, środkiem którego nie płynie ani rzeka, ani
 strumyk, tak, że nikt nie mógłby się dorozumieć, że to
 jest dolina. Od wsi dopiero Czarny Dunajec, zagłębienie
 to nabiera właściwy charakter doliny; odtąd znacznie szé-
 roka i podłużna równina rozpościęra się pomiędzy stro-
 mo spadającym południowym bokiem Bieskidów, a wznoszą-
 cym się zwolna ku południowi Podhalem, i z takim
 charakterem ciągnie się aż do Czorsztyna, gdzie odcinają
 ją grzbiety Bieskidów, stykające się z malowniczymi Pie-

ninami. Kierunek téj doliny jest tenże sam co Tatrów, to jest z zachodu na wschód. Środkiem płynie szumny Dunajec, zasilany szmaragdowo-zielonemi wodami, spadającemi z niebotycznych wierzchów Tatrowych.

Przestrzeń kraju wzgórzystego zawarta pomiędzy doliną Dunajca a stopami Tatrów, na trzy mile szeroka, a sześć do siedmiu mil długa, nazywa się Podhalem, co znaczy kraina pod gołemi górami. Najwyższe wierzchy Tatrów tak są wysokie, iż na ich szczytach dla ostrości klimatu nie rosną drzewa; przeciwieństwo zachodzące pomiędzy czarnym lasem a smukłemi wirchami wyżej sterczącemi, wyraża ta mało znana nazwa ogólnie używana; nie czysto wprawdzie polska, lecz spowinowacona z językiem słowuckim, którym mówią mieszkańcy na przeciwnej pochyłości tego pasma, w Liptowie, Orawie i innych sąsiednich górach.

Podhale jest właściwie wielką równią pochyłą ku północy schyloną, przerwana trzema wielkimi szczelinami, przez które toczą swe nurty rzeki Tatrowe: Czarny i Biały Dunajec i Białka. Dopłynawszy one do doliny Dunajca, nagle zmieniają pierwotny kierunek z południa ku północy, łączą się z nim i powstaje właściwy Dunajec. Dolina ta jest znacznie wyniesioną nad poziom morza; w górnym końcu ma nawet tę samą wysokość, co najwyższa góra w królestwie Polskiem, Łysica; wieś bowiem Czarny Dunajec leży nad morzem 2005 stóp. Dalej na wschód znizą się ta dolina coraz bardziej; Ludzimiierz jest wyniesiony 1751', Nowy targ 1735', a Maniowa 1693 stóp. Od doliny Dunajca ku południowi, wznosi się ku Tatom skośna wyżyna, a najwyższe jéj wzniesienie leży tuż przy nich i dochodzi 2900 do 3300 stóp: prawie do téjże wysokości rozsia-

ne są liczne domy. Wyżyna ta nie styka się z Tatrami, bo oddziela ją inna dolina mniej więcej széroka. Alex. Humboldt właściwym sobie sposobem oblicza wyniesienie wyżyn: bierze średnią z ich najwyższego i najniższego punktu, i taką liczbą wyraża ich wyniesienie. Tym sposobem obrachowane wyniesienie nad poziom morza wyżyny stanowiącej Podhale, wynosi około 2500 stóp paryzkich. W porównaniu z innymi wyżynami europejskimi, nasze Podhale należy do najwyżej wyniesionych: i tak: wyżyna Auvernii we Francyi południowój wznosi się 1050 stóp; wyżyna bawarska 1560 stóp; wyżyna hiszpańska 2100 stóp; wyżyna perska od 2100 do 3600 stóp wysoka, najwięcej zbliża się do wyżyny Podhala. W porównaniu jednakże z wyżynami innych części świata, jest ona niską, albowiem wyżyna Papayan w Ameryce południowój, wznosi się 5400 stóp; wyżyna niższa abissyńska w Afryce, na którój jest jezioro Tzana, 5730 stóp; wyżyna południowój Afryki 6000 stóp; wyżyna wyższój Abissynii zwana Aum, 6670 stóp. Ale jak wszystkie góry nie mogą się równać z wysokością wirchów Himalajskiego łańcucha, tak i im przyległe wyżyny; wyżyna pomiędzy łańcuchami Himalajskim a Kuenlun, wznosi się pomiędzy 10,000 a 12,000 stóp, a zatem prawie pięć razy wyższą jest od wyżyny Podhala, a nawet półtora raza przenosi najwyższe szczyty Tatrów, wyniesione do 8000 stóp.

Łatwo się dorożumić, że znaczne wyniesienie Podhala stanowczy wpływ wywarło na jego własności fizyczne. Im bowiem kraj jaki wyżej się wznosi nad poziom morza, tém jest zimniejszym, i ztąd pochodzi, że na Podhalu klimat podobny jest jak w krajach leżących w wysokiej północy, np. w północnej Norwegii i Lapo-

nii. Dlatego też Podhalanie nie uprawiają zbóż ozimych, ograniczając się tylko na samych jarzynach, a pospolicie sieją owsy i jęczmionu; czasem widać wprowadzić kilka zagonów żyta, ale te są po ogrodach. Ziemiaki udają się również dobrze jak na równinach, ale szczególniej sprzyja tutejszy klimat uprawie lnu; ztąd często widać podczas lata wielkie łany okryte niebieskim kwiatem tej rośliny, co nadaje właściwy wdzięk tym okolicom.

Stosunki klimatyczne Podhala, jego znaczne wyniesienie nad morze, właściwa roślinność blizkich Tatrów, stanowczy wpływ wywarły na jego mieszkańców; i chociaż należą do szczepu polskiego, różnią się nadzwyczajnie od swych współbraci, uprawiających żyzne równiny pod Krakowem, Tarnowem, Kielcami, Sandomierzem i t. d. Zupełnie odmienne mają zwyczaje, sposób życia, a nawet wady; odznaczają się niezaprzeczenie bardziej obudzonemi władzami umysłowemi i tą bystrością umysłu, która odróżnia ludzi ociężałych od czynnych; i dlatego chociaż zamieszkują najnieurodzajniejszy kraj, przecież nierównie lepszy jest ich byt, lepsza odzież i domy, aniżeli ich sąsiadów na żyznych równinach nadwiślańskich. Niemało do tego przyczyniły się stosunki socyalne. Jak daleko pamięć sięga, używali Podhalanie zupełnej swobody; od niepamiętnych czasów uprawiali sobie swe role i nie odrabiali nikomu pańszczyzny, opłacając czynsze nader umiarkowane. Tym sposobem urosła niepospolicie ludność, która w miarę rozrodzenia, dzieli się coraz bardziej gruntami, a tym sposobem zmuszona jest do doskonalszej uprawy roli i do zatrudnień przemysłowych. Na całym Podhalu żyją sami polscy górale. Przed rokiem 1772 byli pod je-

dnym rzędem, teraz rzeka Białka dzieli ich na dwie prawie równe części: wschodnia część należy do Spiza i stanowi część tego hrabstwa węgierskiego, zachodnia zaś do Galicyi, i liczy się do obwodu sandeckiego.

Tatry zamykające na południe od doliny Dunajca widnokrag a zarazem Podhale, mają tenże sam kierunek, co taż dolina, to jest ze wschodu na zachód. Potężny ten łańcuch, podobny do niezmiernego zębatego muru, nadzwyczajnie sprawia wrażenie. Ale obraz ten bardzo jest odmiennym w różnych porach dnia; kiedy powietrze jest przezroczyste, a skłaniające się ku zachodowi promienie słońca, oświecają te potężne szczyty: wtedy bywa do najwyższego stopnia wspaniałym, i jakiś niewymowny urok owłada naszą duszę. Przeciwnie zaś, kiedy białawe mgły obsiadą te szczyty w czasie skwar nego południa, a liczne obłoki unoszą się nad niemi, wtedy nie mają ani wielkości, ani tego czarownego widoku; bo nie tak właściwość postaci, jak raczej oświetlenie jest przyczyną szczytnej piękności widoków.

Tak Polacy mieszkający na północnej pochyłości tego pasma, jak Słowaki na południowej, nazywają to pasmo Tatrami. Znają toż nazwisko również dobrze pod Krakowem, jak na żyznej równinie węgierskiej pod Miskolcem i Tokajem; tylko u stóp południowo-wschodnich tych gór siedzący Niemcy, sprowadzeni do Węgier w XII i XIII wieku, nazywają je Karpatami. Nie masz jednakże wątpliwości, że nazwa Karpaty zupełnie obca tym góróm, przybyła z zewnątrz i jest nazwą uczonych, a nie ludu. Pomiedzy ludnością niemiecką panuje nierównie większa oświata aniżeli w słowiańskiej; po ich miasteczkach są liczne szkoły, żyją w nich ludzie mający wyższe umysłowe potrzeby, i to jest powodem,

że prawie wszyscy podróżni opierali się o Kesmark, Lewoczę, Igło, gdzie panuje żywioł niemiecki, i ztądto nie dowiedzieli się o właściwej nazwie Tatrów. I tak: Genersich w 1807 roku ogłosił: *Podróż do Karpat* (1); Wahlenberg, jeden z najznakomitszych botaników, autor wybornej flory Tatrów, nazywa je *głównemi Karpatami*, *Carpathi principales* (2), a Sydów w monografii geograficznej tego pisma, *Karpatami srodkowemi*, *Centralkarpathen* (3). Jestto błąd, pochodzący z nieściśłego zastanawiania się nad nazwami, i nieznamomości języka z wiedzanego kraju. I u nas powtarza się nieraz to zamieszanie, chociaż jeszcze Staszyc w *Ziemiorodztwie Karpat* dokładnie określił, który łańcuch nazywa się Tatrami. Jedni nazywają u nas Tatry Karpatami te góry, inni przeciwnie cały łańcuch Karpacki mianują Tatrami. Tatry jednakże są tylko częścią Karpat, najwyższym ich łańcuchem, mającym właściwy kierunek i fizyognomią. Wiele zastanawiano się z jakiego języka pochodzi ich źródłosłów. Niemasz pewności, czy jest polskim czy słowiańskim; to tylko jest pewnem, że wyraz ten nie pochodzi od Tatarów, bo z górą na dwa wieki przed ich napadem na Europę, już nazywano je *Tryn*, *Tritri*. W nadaniu biskupstwa pragskiego z roku 973 już czy-

(1) Christian Genersich, *Reisen in die Karpaten mit vorzügliches Rücksicht auf das Tatragebirge*, 1807 roku, wydane przez Bredeczkiego w *Neue Beiträge zur Topographie und Statistik von Ungarn*.

(2) Georgii Wahlenberg: *Flora Carpathorum principalium exhibens plantas in montibus Carpathi, cis ultra flumina Waagum et Dunajetz eorumque ramos Arvam et Popradum crescentes*. 1814. Göttingae.

(3) *Bemerkungen auf einer Reise im Jahre 1827 durch die Bosskiden über Krakau und Wieliczka nach den Centralkarpathen*, von Albrecht von Sgdow, 1830. Berlin.

tamy następujące wyrazy: „*Montes quibus nomen est Tritri*” (góry które nazywają Trytry) (1); według wszelkiego prawdopodobieństwa sąto Tatry. Na południe od Tatrów na Węgrach, powtarza się ta nazwa, a równoległy potężny grzbiet z właściwemi Tatrami, odgraniczający Liptów od hrabstwa zwoleńskiego, nazywa lud *Niżnemi*, czyli *niższemi Tatrami*. Prócz tego są jeszcze łańcuchy, mające blizkobrzmiaące nazwy; i tak: mały łańcuch odgraniczający Liptów od hrabstwa turezańskiego, nazywają *Fatrami*, a dalej na południe przy samej równinie węgierskiej, w hrabstwie Hewesz, niedaleko miasta Erlau (po słowacku Jagier) słynnego z wybornego czerwonego wina, są *Matry*. Tak blizkobrzmiaące wyrazy naprowadzają myśl, że muszą mieć wspólne źródło. Potwierdził to professor Bopp w Berlinie, znakomity znawca sanskrytu, któremu świat uczony winien tak szczęśliwe porównawcze badania nad językami. Od niego otrzymałem następujące objaśnienie tych nazw: *Matra*, *Fatra* i *Tatry* można wyprowadzić z języka sanskryckiego; *Mahidhara* znaczy po sanskrycku dosłownie tłumacząc, *nosiciel ziemi*; Indyanie wyobrażają sobie, że boki i grzbiety gór dźwigają urodzajną ziemię. Toż samo znaczenie ma wyraz skrócony *mahidra*, a jeżeli wypuścimy jeszcze z niego sylbę *hi*, otrzymamy wyraz *madhra*, *matra*. Tak samo wyprowadza nazwę dla *Fatyrów* z *Bhudhara* i tenże sam źródłosłów dla *Tatrów*,

(1) Pelzel i Dobrowski wymieniają nazwę tę pisaną różnie w różnych rękopismach, i tak: w rękopismie katedry pragskiej *Tritri*; w wiedeńskim i drezdeńskim *Tritri*; w Freherus *Brzeznoviensis Tryti*, a korektor zrobił *Trnin*, *Scriptorum rerum bohemicarum. Cosmae Cronicon Bohomorum. Pragae, 1783, str. 69 i 170. Palacki i Szafarzyk: Würdigung der boehmischen Geschichtschreiber, str. 15. Szafarzyk, Słowiańskie Starożytności, przełożył Bońkowski T. I 1842 r., str. 632.*

który składa się zapewne z dwóch wyrazów *Dhara dhara*, toż samo znaczące, co poprzednie i przez wyrzucnięciem można znowu otrzymać Tatry. Indyjanie w ogólności wszystkie wyrazy, które oznaczają noszenie ziemi, używają także w znaczeniu góry. Sąto bez wątpienia arcy ciekawe myśli o źródle tych nazw, dotąd nieodgadnionych, które tylko są w stanie objaśnić uczeni, obdarzeni obszerną znajomością języków tak europejskich, jako i wschodnich.

Tatry odróżniają się na pierwszy rzut oka od Bieskidów właściwą postacią, ogromem i odmiennym kierunkiem; to mają z niemi tylko wspólnego, że należą do zbioru gór, albo raczej do pasma zwanego u geografów Karpatami. Granice Tatom nadają rozmaici rozmaicie; powszechnie wciągają do nich pasma przyległe. Trzymając się zasad geologicznych okazuje się, że każde pasmo ma sobie właściwy kierunek, czyli że jednocześnie zostało wzniesione z dołu do góry przez wulkaniczne siły; i dlatego Tatry stanowią tylko łańcuch, mający kierunek ze wschodu na zachód, 6 mil długi.

We wschodnim końcu wznoszą się Tatry odrazu znakomicie z pomiędzy okolicznych niższych wyniosłości, pomiędzy którymi odznacza się góra zwana Spiska Magora, przy miasteczku Lendak, a kończą się na zachodzie z górą Siwa Skala w Orawie, właśnie naprzeciw wioski Zuberac. Tutaj stykają się z drugim pasmem znacznie wyższym, mającym kierunek południowo-zachodni. Łańcuch ten wapienny i ciągnący się ku południowemu zachodowi, złożony z długich grzbietów, nazywają mieszkańcy Holami liptowskimi, co znaczy gołe góry albo raczej pastwiska liptowskie. Hole te odgraniczają dwa hrabstwa węgierskie: Liptów i Orawę, i ciągną się aż do

ich granicy zachodniej, gdzie się stykają z małym łańcuchem zwanym Hole Turczańskie, który wielce podobny jest do Tatrów; ma bowiem nietylko jednaką budowę geologiczną, ale tenże sam kierunek i postać zewnętrzną. Powszechnie geografowie uważają Tatry wraz z Hólami Liptowskiemi za jedno pasmo, i podają długość jego nierównie większą, aniżeli wypada; łączą bowiem do niego ostatnie pasmo, mające odmienny kierunek, odpowiadający zachodniej części Bieskidów. Pasma to nieco dalej na północ wysunięte, prawie w połowie długości Tatrów spotyka się z innem wzniesieniem Bieskidów południowo-wschodniem, i przecinają się pod kątem prostym. Tatry wyskakują nad te północne długie grzbiety 3000 do 3500 stóp wysokie; nie tak znacznie wznoszą się nad góry rozłożone w południowej stronie, z któremi nierównie więcej mają wspólnych własności, jakoto: budowę geologiczną, wzniesienia, a nawet po części jednakowy kierunek; w miarę zaś oddalenia od Tatrów ku równinie węgierskiej, stają się te pasma coraz niższemi. Niektóre z tych łańcuchów mają z Tatrami wspólny kierunek, inne wprost przeciwny; i tak: sąsiednie Niżne Tatry, wznoszące się do 6000 stóp, są równoległe z właściwemi; tenże sam kierunek ma niższe pasmo ciągnące się dalej na południe, odgraniczone rzeką Hron. Tatry i pasmo Branisko ciągną się prostopadle do Tatrów, mają bowiem kierunek z północy na południe.

Pomimo że Tatry są bardzo krótkie w porównaniu do znanych, a z niemi zetkniętych pasm, przecież są najwyższemi górami w całych Karpatach; grzbiet ich bowiem wznosi się zwykle 6000 stóp nad morze, a z niego wyskakujące szczyty dochodzą do 8000 stóp;

są one zarazem najwyższymi wyniesieniami nietylko w całych Karpatach, ale w całej północno-wschodniej Europie. W końcu południowo-wschodnim Karpat, na granicy Siedmiogrodu i Wołoszczyzny, są góry dochodzące do wysokości Tatrów, jakoto: góra Retyczat 7800 stóp wysoka, i wiele innych w pasmie Fogarosz, na których, według Fichtla, trwają śniegi zimowe aż do sierpnia, a we wrześniu okrywają się już nowemi.

Szczyty Tatrów, podobnie jak wyżyna Bieskid i Podhala, wznoszą się stopniowo od północy ku południowi, a potem nagle opadają, prawie prostopadłe ku południowi. To stopniowe wznoszenie się bardzo pięknie widać z północnej strony od Bańkówki. Ich pierwszy, a zarazem najniższy szereg gór stromo-sterczących, wznosi się od 3500 do 4100 stóp (góra Nosal nad Zakopanem 3584 stóp; góra Opalone nad doliną Mietusia 4110; góra Kópka nad Kościeliskiem 4165). Nierównie wyższy rząd stanowią za niemi wznoszące się bardziej poszarpane wapienne góry, 5000 do 6000 stóp wysokie (góra Kopa nad Magorą Zakopanego 5206, Gewant 5746); wreszcie najwyższy trzeci grzbiet jest granitowym, pospolicie 6000 stóp wysoki, z którego wyskakują pojedyncze wirchy 2000 stóp wyżej. Najwyższe szczyty Tatrów znajdują się na przeciwnych końcach, w środku są zaś najniższe; we wschodniej części, gdzie pasmo jest najszersze, są zarazem najznakomitsze wysokości, nieco wyższe od zachodnich, gdzie się łańcuch widocznie zwęża. I tak: w części wschodniej szczyt Łomnicki jest wysoki 8000 stóp, Krywni 7684, Swinnica 7001; w środku pasma niższe wirchy mają: Suchy wirch nad doliną Kondratową 5724, góra Kondratowa 6115, Tomaszowa Polska 6080 stóp. Dalej

wznoszą się znacznie ku zachodowi, gdzie góra Pyszna sterczy 6943, a Rohacz 6407 stóp.

Chociaż na wejrzenie Tatry odznaczają się wielkością tak jak Alpy, Pirenee, Andy, albo pasmo Himalajskie; nierównie jednak są od nich niższe; i tak: Montblanc, najwyższa góra w Europie, prawie dwa razy tak jest wysoką jak szczyt Łomnicki, a Dhawalagiry w pasmie Himalajskim, najwyższe wyniesienie znane na ziemi, przeszło trzy razy przenosi najwyższe szczyty Tatrów. Dla porównania w jakim stosunku zostają wysokości Tatrów do znakomitszych szczytów na powierzchni ziemi, daję tu spis główniejszych gór tak europejskich, jako i innych części świata:

Europa.

stóp paryzkich

Sneehöttan w Norwegii	7,696.
Hekla w Islandyi	4,500.
Wezuwiusz pod Neapolem	3,643.
Etna w Sycylii	10,202.
Monte Rotondo na Korsyce	8,226.
Monte Velino w Apeninach	7,367.
Góra Athos w Grecyi	6,360.
Mont Perdu w Pireneach	10,316.
Góra Vegnemal	10,153.
Góra Canigou	8,573.
Monte Viso w Alpach	12,111.
Pointe d'Etremes	12,637.
Finsteraarhorn	13,428.
Jungfrau	12,061.
Orteles	12,061.
Grossglockner	11,667.
Monte Rosa	14,582.
Montblanc	14,810.

	stóp paryzkich.
Elbruz w Kaukazie, szczyt wschodni	17,290.
Elbruz w Kaukazie, szczyt zachodni	17,217,
Kasbel	15,509.
Ararat	16,069.

Ameryka.

Wulkan Cotopaxi	17,708.
Chimborasso	20,102.
Wulkan Ocacugna	21,768.
Nevada de Illimani	23,322.
Nevada de Sorata	23,692(1).

Azja.

Dzamalari w pasmie Himalajskim	24,372.
Dzawahir	24,157.
Dhawalagiri	26,345(2).

Nietylko z wysokich pasm wyskakują potężne szczyty, ale niekiedy wznoszą się też bezpośrednio z morza; i tak:

(1) Właśnie odwołał Pentand swe pierwsze pomiary dwóch ostatnich szczytów. na wielkiej a pięknej karcie kotliny Laguna di Titiaca, wydanej w Londynie, w miesiącu czerwcu tegoż roku, a to w skutek dokładniejszych obrachowań trygonometrycznych. wykonanych przez niego, podczas powtórnego pobytu w Boliwii w r. 1838. Z tego wynika wyniesienie dla Nevada de Illimani i Nevada de Sorata 19,843 i 19,972 stóp paryzkich; tym sposobem górze Chimborasso wróconem zostało za-przecone pierwszeństwo najwyższej góry w Ameryce.

(2) Z listu pisanego (z dnia 25 czerwca 1841 r.) przez dr. Józefa Hooker, botanika znakomitego, towarzyszącego ostatniej wyprawie do bieguna południowego, z Dorjuling w górach Himalajskich do Aleks. Humboldta, okazuje się, że na południku Sikhim pomiędzy górami Dhawalagiri a Dzawahir, czyli pomiędzy krajami Butan a Nepal, właśnie zmierzoną została trygonometrycznie z wszelką ścisłością góra Kinchinga, mająca szczyt wznoszący się do nadzwyczajnej wysokości 26,438 stóp paryzkich. Zarazem donosi Hooker, że również nowy pomiar wykonano góry Dhawalagiri. z którego się pokazuje, że przenosi wszystkie szczyty Himalajskie, a tém samém, że jeszcze przenosi dotąd przyjęte wyniesienie 26,345 stóp paryzkich.

w grupie wysp Kanaryjskich, góra zwana Pik na Teneryfie wznosi się 11,421 stóp, a wulkan Erebus w pobliżności bieguna południowego, którego wybuchy kapitan Ross uważał w pośrodku wieczystych lodów, podnosi się 11,633 stóp wysoko.

W pasie międzyzwrotnikowym Ameryki, miasta Quito, Meksyk, Santa Fe di Bogota, Popayan, Caxamarca, leżą według ścisłych pomiarów Alex. Humboldta tak wysoko, jak najwyższe szczyty Tatrów, a nawet jeszcze wyżej; znajdują się bowiem na wyżynach 7000 do 9000 stóp nad poziom morza wyniesionych.

Łańcuch Tatrów wydaje się zdala jako jedna niezmierna skalna masa, wznosząca się od północnej pochyłości w coraz wyższych stopniach, aż do środkowego grzbietu, który ku południowi stromo nagle opada. Tak jednakże nie jest w rzeczywistości: masa ta skalna jest nadzwyczajnie podarta, a środkiem ciągnie się najwyższy grzbiet, od którego rozchodzą się w przeciwnie strony niezmiernie głębokie doliny; z tych jedne ciągną się na północ, drugie na południe. Prócz głównych dolin, na północnej pochyłości są pomniejsze, dochodzące tylko do środkowego grzbietu wapiennego, i te odznaczają się bogactwem roślin i nadzwyczajnie dzikimi widokami. W samym końcu dolin, na przeciwnych bokach głównego grzbietu, zwyczajnie na znacznych wysokościach, są mniejsze albo większe jeziora, jak np. dwa *Morskie Oko* ludu, o których krążą chmurą tajemnic odziane podania.

Ta znaczna liczba wysoko nad morzem wyniesionych jezior, jest wyłączną charakteryzującą Tatry własnością. Jeziora te po większej części leżą na wysokości od 4000 do 6000 stóp; wody mają jak lza przezroczyste, a po-

wierzchnia tenże sam szmaragdowy kolor, co strumienie z nich wypływające. W większych jeziorach przy pewnym oświetleniu, zmienia się ten piękny kolor zielony w ciemno-niebieski, zupełnie podobny do powierzchni morza, i to zapewne dało początek tym dziwnym fantazjom ludowym. Niektóre jeziora znaczną mają głębokość, bo przeszło 100 i 120 stóp. Alpejskie jeziora zupełnie odmiennym sposobem są rozpołożone do swych pasm; nie są one w końcach dolin przy wysokim grzbiecie jak w Tatrach, ale przy ich pierwszych wzniesieniach u stóp gór, i stykają się zwyczajnie z równiną; dlatego też nie są wysoko wyniesione nad morzem, jak to okazuje następujący szereg ich wyniesień:

	stóp paryzkich.
Jezioro Garda.....	219.
— Lago Maggiore.....	696.
— Lugano.....	924.
— Genewskie.....	1,155.
— Bodensee.....	1,225.
— Zurichsee.....	1,259.
— Zug.....	1,342.
— Neuchatelskie.....	1,345.
— Vierwaldstätter.....	1,345.
— Thun.....	1,782.
— Brienz.....	1,785.
— Anecy w Sabaudyi.....	1,137.

W pasmie Wogezów są dwa znaczniejsze wysokie jeziora, nazwane Białe i Czarne; pierwsze leży nad morzem 2924 stóp, drugie 3245. W Ameryce północnej, podobnie jak w Alpach, wielkie jeziora zawarte pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kanadą, mało co leżą wyżej nad poziom morza. I tak:

Jezioro Ontario.....	224 stóp.
— Erie.....	533 —
— Michigan.....	561 —
— Wyższe jezioro.....	596 —

W Ameryce południowej znajdują się jeziora na niezmiernych wyniosłościach, z któremi Tatrowe nie mogą się mierzyć; jezioro np. Titiaca, nad którym wznoszą się najwyższe szczyty amerykańskie, jakoto: Nevada di Sorata, Illimani, Gaultieri, Chimborasso, znajduje się na wysokości 12,000 stóp. Jeszcze wyżej leży Święte jezioro Indyan przy Maypane i Lanka, w pasmie gór Himalajskich, to jest na wyniesieniu 15,946 stóp, a zatem półtrzecia razy wyżej od grupy jezior Tatrowych, zwanych Pięć-Stawy, wzniesionych 6,000 stóp nad morzem. To najwyższe jezioro, wiele miesięcy zamrożone, czczą Indianie jako święte, albowiem według ich mniemania, mają z niego płynąć cztery święte rzeki.—W przeciwieństwie z temi wysoko leżącemi jeziorami, nie od rzeczy będzie wspomnieć o znajdujących się pod poziomem morza; i tak: jezioro albo raczej morze Śródziemne, morze Kaspjskie i jezioro zwane morzem Martwem w Palestynie, należą do tego rodzaju wód, wypełniających zapadliny w ziemi; pierwsze jest w zagłębieniu 36 stóp głębokiem, morze Martwe zaś 1290 stóp pod zwierciadłem morza.

Zdawałoby się, że wyniosły łańcuch Tatrów, powinien zarazem stanowić rozdział dla rzek płynących w przeciwne strony, i że z północnego boku zmierzać powinny na północ czyli do morza Bałtyckiego, a z południowego boku do przeciwnego morza Czarnego. Ale tak nie jest w rzeczywistości; Tatry właśnie nie dzielą biegu rzek w przeciwne strony, ale dział ten sprawiają na obudwu pochyłościach małe grzbiety, ledwie dające się dostrzedz.

Na północnej stronie ciągnie się tego rodzaju grzbiet, prawie przy samym końcu zachodnim; na południowym zaś prawie we środku. Pierwszy tak jest nieznacznym w końcu północnym, pomiędzy wioskami Czarny Dunajec a Piekelnikiem, że go nie można nazywać nawet pagórkami. Jestto równina z rozległymi torfami, z której ciekłą wody w przeciwne strony, do Dunajca i Orawy, czyli do dwóch przeciwnych mórz; coraz dalej ku Tatrach wyraźnie wzdyma się ta równina, zostaje grzbietem, i kończy się znacniejszą górą zwaną Ossobita. Wzniesienie stanowiącote dział dla rzek na południowej stronie, tworzy pewien rodzaj wyżyny pomiędzy Belanckiem a Styrbą (Csorba), odgraniczającej Liptów od Spiża; wyżyna ta dotyka prawie w połowie długości Tatrów, i odąd płyną w przeciwne strony rzeki do Popradu i Wagu. Wysoki zatem łańcuch Tatrów nie stanowi działu rzek; ze wschodniej części bowiem płyną z niego spadające wody na północ, a z zachodniej na południe. Tak pierwsze jako i drugie płyną z początku na północ i południe, ale po krótkim przebiegu, nabierają wprost przeciwnie kierunki. I tak: rzeki na północno-wschodniej pochyłości spadają na północ i tworzą Dunajec; z południowej wschodniej strony płyną na południe i stanowią Poprad, który płynie pewien czas na wschód, równoległe z Dunajcem, lecz nagle zwraca się na północ i wpada przy Starym Sączu do Dunajca. Tak samo dzieje się i na zachodniej pochyłości; Studenna wyszedłszy z północno-zachodniej doliny Rohaczów w Tatrach, wpada do Orawy przy wiosce Podbiela; na południowo-zachodniej stronie tegoż łańcucha, rzeki płyną z północy na południe i wpadają do Wagu, który po różnych skrzywieniach zmierza do Dunajca, a tém samym do morza Czarnege.

Na niektórych kartach geograficznych, działy tych rzék, nie znając istotnej budowy Tatrów, oznaczyli teoretyczni geografowie jako potężne grzbiety; w rzeczywistości niemasz ich zupełnie.

Wszystkie rzeki Tatrowe, pospolicie przez cały rok obficie wypełnione wodami, zasilają deszcze tak często padające na tych wysokich wierzchołkach; dłużej trwające ulewę, sprowadzają powodzie nadzwyczajnie gwałtowne, które się kończą równie prędko jak nastaly. Lodników, a nawet większych pokładów śniegu, któreby mogły zasilać te rzeki podczas posuch, niemasz na Tatrach: tylko w bardzo cienistych dolinach, są znaczniejsze płaty śniegu, odbijające dziwnie rażącą białością w najcieplejszych miesiącach w lipcu i sierpniu, od przyległych pól okrytych kwiatami lub zielonemi owsami i jęczmionami. Nie raz robiono sobie pytanie: dlaczego na wysokościach jest zimniej anizeli na równinach? dlaczego na wysokich górach leżą śniegi i lody, gdy na równinach panują nieznośne upały? Zdoje się, że im bardziej zbliżamy się do przedmiotu wydającego ciepło, tém większe powinno tam panować gorąco; wstępując więc na wysokie góry, a zatém zbliżając się do słońca, według tego rozumowania powinno być coraz cieplej. Tymczasem wprost przeciwnie jest w rzeczywistości; we wszystkich szerokościach, tak pod skwarnym promieniem blisko równika, jak w krajach przybiegunowych, nierównie jest zimniej na wysokościach, anizeli w nizinach; przyczyna bowiem wyższego stopnia ciepła nie pochodzi od samych promieni wysyłanych ze słońca, ale nadto od załamania się onych, gdy przechodzą przez ciała mniej lub więcej przezroczyste; od gęstości ciał od których

się odbijają. Na wysokich wprawdzie górach, w ciasnych dolinach, przy wiecznych lodach, doznawali podróżni od słońca duszącego ciepła; ale zarazem uważali, że jak tylko przestaje działanie promieni, równie szybko oziębia się powietrze. Jeżeli z jednej strony mocniej działają promienie słońca na wysokościach, to z drugiej strony również łatwo uchodzą i giną niezatrzymywane w nieograniczonych przestrzeniach, i to jest główną przyczyną większego zimna na wysokościach, pomimo silniejszego ich działania.

Zmniejszenie się ciepła na wysokościach, rozpoznawane w różnych szerokościach, odbywa się według pewnego a niezmiennego prawa: wprost pomiary okazały, że co 560 do 600 stóp paryzkich wyżej, zniża się temperatura o jeden stopień Celsjusza czyli stustopniowy. Mając zatem wiadomą średnią temperaturę jakiego miejsca, można łatwo wyrachować wysokość, w której się poczyna granica wiecznych śniegów, czyli kraj lodowy. Granica ta niewszędzie zupełnie jest jednakową i doznaje licznych wyjątków, bo jeszcze inne okoliczności wpływają również na jej podwyższenie lub zniżenie, a mianowicie: najwyższy stopień ciepła do którego dochodzi temperatura w jakiej okolicy: kraje bliższe po-brzeży morskich, mając powietrze bardziej nasycone wilgocią, nie mają ani wysokiego ciepła, ani zimna; i dlatego niższą jest granica wiecznych śniegów, aniżeli w środku stałego lądu, gdzie powietrze jest bardzo suche, a tém samém są bardzo gorące lata i nader ostre zimy. W tych ostatnich krajach podwyższa się ta granica, albowiem wielkie gorąca letnie stapiają śniegi bardziej, aniżeli w krajach nadbrzeżnych. Niemalý wpływ wywierają także na zniżenie granicy wiecznych lodów skupienie

się wielu łańcuchów, tudzież czy z pasmami graniczą ciepłe równiny, czy też wysoko wyniesione wyżyny; nawet mniejsza albo większa pochyłość boków w szczytach, ma niejakię znaczenie. Postępując od równika ku biegunom, zniża się coraz bardziej granica wiecznych śniegów; z wysokości 16,000 stóp, zstępuje prawie aż do powierzchni morza, jak to następujący szereg uważanych wiecznych śniegów pokazuje. Prawie przy równiku, znalazł Humboldt w górach niedaleko Quito, w Ameryce południowej, granicę wiecznych śniegów na wysokości 14,826 stóp; na południe od równika, pomiędzy 15^o a 18^o szerokości, w pobliżu największych szczytów amerykańskich, niedaleko góry Nevada di Sorata, sięga ta granica 16,000 do 16,500 stóp; w pasmie hiszpańskiem Sierra di Nevada (37^o szerokości) śniegi wieczne poczynają się już w wysokości 10,700 stóp, i są prawie na témże wzniesieniu w pasmie północnej Ameryki, zwaném Rocky Mountains (37^o do 41^o szerokości). Tymczasem na górze Etna, w téjże samej szerokości co hiszpańskie Sierra di Nevada, niema wiecznych śniegów, chociaż ten wulkan wznosi się na 10,278 stóp wysoko; w Alpach rozciągających się pomiędzy 45^{3/4}^o a 46^o, spadają pomiędzy 8,200 a 8,500 stóp; a Tatry chociaż o 3 stopnie dalej na północy posunięte, i szczyty ich 8,000 stóp wysokie, nie mają wiecznych śniegów, pomimo, że nierównie niżej powinnyby się znajdować. Przyczyna tego pochodzi od znacznego ciepła panującego w tych stronach, od ich odosobnienia, a ztąd wynikającego przewiewu ciepłych wiatrów z południa, a w części nawet od nadzwyczajnej stromości szczytów. Dalej na północ, są góry z wiecznymi lodami pomiędzy Szwecją a Norwacją, mające widocznie zni-

zoną linią śnieżną. I tak: w pasmach Langefeld i Dorevfield, pomiędzy 61° a 62° szerokości, granica ta jest na wysokości 5,100 stóp; na górze Sulitelma w Laponii, w szerokości 67°, na 3,100 stóp; na przykładku Północnym (Nordkap) na wyspie Magroec, w szerokości 70°¹/₂, na 2,200 stóp. Dotąd nie doszli podróżni do miejsc, gdzieby wieczne lody stykały się z morzem; wszędzie bowiem spotykali wśród potężnych bryt lodów i śniegów wązkie pobraża, na których topniały śniegi, a w czasie lata, aczkolwiek nader biednie rozwijały się rośliny; ztądto istotna granica lodowa, jak się zdaje, znajduje się przy samym biegunie.

Gdyby nie wyżej wymienione okoliczności, granica wiecznego śniegu na Tatrach powinna się znajdować już na wysokości pomiędzy 6000 a 7000 stóp. Wprawdzie w tych wzniesieniach, a nawet nierównie niżej, jakoto przy Morskiem Oku na wysokości 4,200 stóp, są masy śniegu po zapadniętych i wiecznym prawie cieniem okrytych dolinach; ale nie sąto połączone lodniki jak w Alpach, które tyle wdzięku dają ich widokom. Śniegi Tatrowe są wprawdzie odmienne od tęg lekkiej jak puch, niestroszonej, zmarzniętej wody; są one zbiorem gruzelków lodu, podobnych do pozostałych śniegów na wiosnę. W jednym tylko miejscu, w boku wschodnim do Spiza należącym, znajduje się znaczniejsza masa istotnego lodu, przez której środek ciągnie się wydrążenie około 50 kroków długie, a w jego spodzie sączy się woda. Patrząc zdala na te niebołyeczne szczyty Tatrów wydaje się, jakoby niewielkie miały wymiary; jednakże jestto tylko złudzenie, bo góry te nierównie są większe, aniżeli sądzićby można zdala; cała rozległość ich dopiero wtedy się pokazuje,

gdy się do nich zbliżymy. Toż samo stosuje się do plamek i pasków śniegu, które je pokrywają; wiele płatów okrywa przestrzenie kilka tysięcy sążni kwadratowych obszerne, a paski są kilka set sążni długie i 5 do 10 stóp szerokie. Grubość tych śniegów bardzo jest zmienną; cieńszą jest w pasach gdzie od 4 stóp dochodzi do 10ciu; nierównie znaczniejsza jest w płatach, a w niektórych dołach miewa wiele stóp grubości.

Im lato jest cieplejsze, tém więcej maleją, a nawet miejscami znikają śniegi w Tatrach: jednakże w najgorętszych latach, jakoto 1834 lub 1846 nie znikły zupełnie, tylko ich liczba i wielkość zmniejszyła się widocznie. Do drugiej połowy czerwca powszechnie topnieją większe masy śniegów: odtąd mało co znikają, tylko zmniejsza się ich objętość.

Wspomniałem już w opisie Bieskidów, że wezbrania Wisły w czasie lata są skutkiem ulewnych deszczów, padających w tych górach i na Tatrach. Wezbrania te od topniejących śniegów Tatrowych nie mogą pochodzić, albowiem ilość ich w lipcu, sierpniu i wrześniu jest tak nadzwyczajnie małą, że gdyby się odrazu zmieniły na wodę, zaledwieby sprawiły wezbranie Dunajca, który wszystkie wody spadające z północo-wschodnich Tatrów, odprowadza do Wisły. Wszystkie powodzie Wisły, prócz wiosennej, która powstaje z topienia się zimowych śniegów, pochodzą od deszczów. Mniemanie, jakoby lipcowa powódź, tak nazwana Jakóbowka, pochodziła od stopienia śniegów Tatrowych, zasada się na zupełnej nieznanymości istoty przedmiotu.

Spoglądając z pewnej odległości na potężne wirchy Tatrów, mimowolnie następuje się pytanie: jakim sposobem powstały tak potężne masy? co za siły utworzy-

ły tak wielki łańcuch? Pytanie to zostaje w najściślejszym związku z wyobrażeniami o sposobie tworzenia się ziemi. Nigdy mieszkaniec równin nie ma pobudki czynienia podobnego rodzaju pytania; jemuto woda osadza jego piaski i muły, a wezbrania wyrywają doliny i tworzą nierówności. W wielkich górach, a mianowicie dochodzących do znacznych wysokości, takie sposoby pojmowania okazują się niepodobnemi na piérwszy rzut oka. Razu jednego, gdym robił poszukiwania geologiczne pod Poroninem i zastanawiałem się nad połamaną budową warstw piaskowca Karpatowego, uczynił mi pytanie mój przewodnik, mały chłopiec zaledwie 15 lat liczący, z którego żywych, czarnych oczu, przebijał się obudzony umysł: — „Słuchajcie panoszku (tak nazywają zdrobniałym językiem pana), jakim sposobem wyrosły te nasze hole?” — „Jak grzyby w lesie” — odpowiedziałem mu.

Ta napozór prosta rozmowa, zawiera najgłębsze zasady geologii, do których dopiero w najnowszym czasie przyszli uczeni, zajmujący się badaniami nad powstaniem ziemi. W kilku wierszach wyłożę tę zasadę umiejętną, którą w całej prostocie duszy pojął mój mały goralik. Przypatrując się skałom tworzącym Tatry, spostrzegamy dwa rodzaje zupełnie odmienne; jedne dzielą się na warstwy, a miejscami zawierają niezmierne ilości skorup ślimaków morskich, a zatem osadziły się z wód pierwotnego morza; drugie przeciwnie nie mają i śladu szczątków żyjącego jestestwa, składają się z samych ziarn wykrystalizowanych mineralów, i są podobne do niektórych ostygniętych law, wychodzących i teraz z palących się wulkanów; sąto granity, o których teraz nie powątpiewają geologowie, że kiedyś były płynnemi lawami. Długo uspięne ognie w łonie ziemi przebudziwszy się, roz-

sadziły grubą powierzchnię ziemi, złożoną ze skał warstwowych; wtedy powstało mnóstwo nierówności i szczelin, i z nich wydzwigiły się w podziemnych pracowniach przygotowane wyroby ognia. Tym sposobem w Tatrach ze szczelin wapiennych wystąpiły na wierzch granity, i to z taką mocą, że nietylko wydzwignęła się wysoka ta ogniowa skała, ale zarazem i poblizkie wapienie i inne skały na nich ułożone; co zaświadcza o ich warstwy, pierwotnie osadzone poziomo, a teraz pod znacznym kątem schylone na północ. Granity Tatrowe, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przy wystąpieniu z łona ziemi już były stężałe i znacznie ochłodzone, albowiem gdyby były płynnemi, wylałyby się na wapienie z niemi graniczące, a znacznie rozpalone, przepaliłyby je widocznie; tylko piaskowce czerwone, przegradzające granit od wapienia, są bardziej twarde i lekko spieczone. Wydzwigniony granit ze szczeliny ciągnącej się ze wschodu na zachód, tkwi jako potężny klin pomiędzy warstwowemi skałami. Po wyniesieniu się Tatrów, co według wszelkiego prawdopodobieństwa miało miejsce nieco wcześniej przed stworzeniem człowieka, uspokoiły się w tych stronach podziemne siły; teraz niekiedy tylko zadrży podziemne trzęsienie mocniej, aniżeli na równinach, rozciągających się na północ od Tatrów. W jesieni roku 1838 zaledwie dostrzeżone trzęsienie ziemi w Krakowie, silnie zatrzęsło w Szallarach niedaleko Nowegotargu, a jeszcze mocniej w wiosce Żar na Spizu, u stóp samych Tatrów, na końcu północno-wschodnim.

Jeżeli Tatry nie stały się granicą dla rzek, to przecież stanowią najwydatniejszy przedział dla ludzi na ich przeciwnych pochyłościach osiedlonych. Zaiste, niepodobna

znaleźć lepszej granicy; przegroda wysokich grzbietów niepospolite stanowiąc trudności, rozdziela ludzi bardziej jak rzeki i morza. Na porzeczu (Flussgebiet) Dunajca, czyli w północno-wschodniej stronie, rozłożył swe siedziby goral polski czyli Podhalaanin; na porzeczu Orawy i Wagu, czyli w stronie północno-zachodniej i południowo-zachodniej, Słowak; wreszcie porzecze Popradu zajęli Niemcy, sprowadzeni do Węgier w połowie XIIgo wieku, osiedleni w zachodniej części Spiża. Te naturalne zapory, wpłynęły także na zdania religijne ludów, pod tym łańcuchem żyjących: na północnej pochyłości Tatrów żyją sami katolicy, tak Polacy, jako i Słowaki; na południowej zaś słowacka ludność pozostała w części katolicką, w części zaś przyjęła zasady kościoła ewangelickiego. Niemcy wszyscy należą do ostatniego wyznania.

Może się będzie wydawać czytelnikom, że niepotrzebnie zajmowałem się ogólnemi uwagami nad Tatrami; ale uważam, że od zrozumienia ogólnych stosunków, zawisło poznanie szczegółów. Teraz przystępuję do opisu téj wysokiej wyżyny zwanéj Podhalem, i przerzynających ją dolin, któremi płyną nieporównanie piękne rzeki, na nieprzeliczonych miejscach rozbijające się w pianę; następnie zaprowadzę czytelnika do samych Tatrów, mianowicie na ich wysokie wirchy, kąpiące swe wyniosłe czola w eterycznej powietrznicy, a do których prowadzą głębokie, lesiste i najrozkoszniejsze doliny, powstałe wśród rozpekniętych wapieni.

Podhale.

Chociaż w samym Podhalu niemasz dróg bitych, kosztem rządowym utrzymywanych, gościńce w ogólności

są bardzo dobre; niemało do tego przyczynia się łatwość otrzymania żwiru, obficie w rzekach osadzającego się. Nietylko drogi utrzymują starannie mieszkańcy, ale nadto nieprzeliczone mosty na Białym i Czarnym Dunajcu, i innych pomniejszych strumieniach. To staranne utrzymywanie środków komunikacyjnych niezaprzeczonem jest dowodem, że wyższe potrzeby obudziły się także u mieszkańców tych gór, pomimo, że uważani są za ludzi zostających w stanie pierwotnym, jeżeli nie w pół dzikim. Przez dolinę Białego Dunajca ciągnie się wyborny gościniec, a liczne mosty drewniane łączą jęj przeciwne boki.

Szaflary. Dosyć dobra droga $\frac{3}{4}$ mili długa, prowadzi od Nowegotargu do zdaleka bielejących się domów majerza szaflarskiego. Droga ta należy do najrozkoszniejszych w tój okolicy; Tatry co kilkaset kroków zmieniają swe postaci, a wzrok ciągle doznając nowych wrażeń, z przyjemnością spoczywa na tych potężnych massach. Rzędy piramidalne pagórków, odganiają Podhale od doliny Dunajca; sąto owe wapienie ammonitowe wspomniane w opisie Bieskidów, które tworzą pokład w piaskowcu Karpatowym. Pod sterczącą skałą wapienną leży majerz szaflarski; jestto dwór murowany jak i liczne domostwa folwarczne, obwiedzione przytęm białym murem wśród grup bujnych drzew, które niemało uroku dodają tój pięknej siedzibie. Do domów przytyka ogród z gustem założony; krzewy i drzewa odznaczają się bujnym, wesołym wzrostem, i dlatego wydały prawdziwie piękne klomby. Za angielskim ogrodem założony został owocowy, a chociaż drzewa przez kilka lat rosły dobrze, nagle wymarzły jednę zimę;

widać nie mogły znieść zbytniej ostrości klimatu, majerz szallarski leży bowiem nad morzem 1862 stóp, zatem na wysokości odpowiadającej północnym klimatom, w których ustają rosnać drzewa owocowe. Jednakże truskawki, agrest i maliny również są tutaj smaczne, a nierównie wonniejsze, chociaż o miesiąc później dojrzewają jak w Krakowie. Od dworu prowadzi długi rząd wysokopiennych drzew jarzębiny do sterczącej skały wapiennej, stojącej jakoby na straży doliny Białodunajskiej. Mieszkańcy opowiadają, że niegdyś stał na jej szczycie zamek słynny bogactwami; miała być w nim mennica, a pod spodem niezmierne jamy pełne skarbów. Teraz pozostała po niej mała piwnica, i powieści nacechowane fantastycznością góralską. Do tego zamku ściągają się zapewne dwa wiersze, teraz jeszcze w ustach ludu żyjące:

„Kiedy się ruszymy z wirchu Maruszyńy,
Zamek rozbijemy, żaden nie zginiemy” (1).

W miejscu zamku stoi teraz altana murowana, odpowiadająca więcej potrzebom czasu. Chociaż ta skała wznosi się tylko 73 stóp nad dwór szallarski, jednak przedstawiają się już ztąd widoki arcy rozległe a powabne. Kto Tatry zwiedza, niech tego miejsca nie opuszcza; z każdej strony czeka podróżnego nowy a miły krajobraz. Od północy leży u nóg wielka dolina Dunajca, jej środkiem ciągnie się jak srebrna wstążka pomiędzy czarnymi torfami Dunajec, a nad nim nieprzeliczone siola, pomiędzy którymi odznacza się Nowy targ z biało murami. Dolinę tę odgraniczają długie, potężne grzbiety Bieskidów, zakończone w północno-wschodnim końcu najwyższym ich szczytem Babią Górą, owym ba-

(1) Pieśni ludu Podhalan. Warszawa, 1845 r. str. 153.

rometrem Podhala. Dopóki obłoki wieńczą tę masę skalną, nie można być pewnym o jakiejbądź trwałości pogody w tych stronach, tak zwykle pożądanej w krajach górzystych; a gdy po długim oczekiwaniu wyjaśni się ten wirch, wydaje się, że podwoiła się jego objętość, i wtedy trzeba się spieszyć do dolin Tatrów, by korzystać ze sposobnej chwili. Jeżeli pogoda dłużej ma potrwać, natenczas powlekają Babią Górę przezroczyście białawe pary, i chociaż w Tatrach deszcze padają, można być pewnym pożądanej zmiany. Bardzo prosta jest tego przyczyna. Na całym podgórzu Karpackim i graniczącymi z niem krajami, pospolicie wiatry zachodnie napędzają od morza wilgotne pary rozpuszczone w powietrzu, które stykając się z najwyższym szczytem Babięj Góry (5400 stóp wysokim), wystającym nad całe Bieskidy, oziębiają się i tworzą wieńce obłoków, unoszące się nad jej wierzchem. Powszechnie na dwa dni przed nastąpić mającą zmianą, chociaż w dolinie najpiękniej słońce przyświeca, osiadają na najwyższem wzniesieniu te złowroogie zapowiednie; a kiedy się przytém okrywają jeszcze gestemi czarniawymi mgłami, wkrótce można być pewnym deszczu. Wschodnie wiatry przeciwnie spędzają wilgotne pary, i są zapowiednią pogody.

Nierównie bogatszy jest widok ze skały szallarskiej ku wschodowi. U stóp jej leży śmiejąca się dolina Białego Dunajca, i żyzne pola licznymi budynkami urozmaicone; dalej długa wieś Szallary, a na końcu widnokregu wznoszą się masy wapienne z prostymi krojami, gór Czorsztyńskich i Pienin, podobne do wielkich budynków. Ale najwspanialszy jest widok na Tatry: cały szereg gór polskich, pomiędzy Szczyt, a wierzchami sterczącymi nad jeziorem Morskie-Oko i Muraniem, leży przed

nami; dokładnie można poznawać każdy znakomitszy wirch, każdą znaczniejszą dolinę. Szczególnie wspaniale przedstawia się góra Pyszna, i bardziej wystająca masa skalną Wielki Uplaz zwaną. Prawie naprzeciw widza ciągną się wirchy niższe, przed którymi sterczy wyszczerbany Gewant; dalej wznoszą się wyższe szczyty z górą Swinnicą, i za niemi ku wschodowi szereg najwyższych wirchów, aż do niższego widocznego łańcucha Tatrów, zakończającego się z Muraniem. Wyżyna nad którą sterczy nasza skała jest doskonałym ogrodem angielskim, chociaż tam sztuka ogrodnicza najmniejszego nie miała udziału. Nie jestto bowiem płaszczyna, ale wzniesienie składające się ze samych nierówności, którego środkiem ciągnie się zagłębienie podłużne, z którego wyskakują pojedyncze skały. Zebrane w kupki świerki, rosną jakby zawieszane na skałach, inne okrywają podłużne grzbiety; pomiędzy temi drzewami ciągną się pola zasiane owsami, i precudne łączki, majowej zieloności prawie przez cały rok, a nad niemi sterczą wyższe kończaste wzgórza. Przeciwnieństwa dzikiéj i miéj natury tak są tutaj obok siebie rozłożone, że sztuka zakładania ogrodów mogłaby tu czerpać najdoskonalsze wzory. Biały słup murowany z obrazem Zbawiciela Świata, stojący u spodu skały, od którego odbijają czarne świerki, świadczy o pobożności człowieka; przechodzący górale zwykli się tutaj zatrzymywać i modlić. Trudno sobie wystawić miejsce bardziej stosowne do wzbudzenia uczuć łączących człowieka ze Stwórcą wszech rzeczy; wszystko tutaj złożyło się, aby wnieść umysł, a mianowicie samotność i rozkoszne widoki. Kilka piramidalnych gór odgraniczają na południe to zachwycające ustronie; najwyższa z nich Raniszberg otrzymała nazwę od do-

wódzcy szwedzkiego, który podczas wojen na początku zeszłego wieku prowadzonych, zapędziwszy się w te góry poległ, i nadał jój od siebie nazwę.

Dolina Dunajca pomiędzy majerzem Szallar a samą wioską, odznacza się różnaitością widoków. Dalej aż do jój końca w Bańkówce niemasz wapieni, przeważa tylko piaskowiec Karpatowy, i dlatego ustaje różnaitość widoków; góry ich bowiem mają zwyczajne wejrzanie, po których z oddalenia łatwo je poznać można. Wieś Szallary ma piękny murowany kościół i porządne domy ponad rzeką. Mieszkają tutaj po większej części sołtysi, posiadający od wieków jedne grunta i hole. Odwiedziłem z nich jednego; byłto naczelnik familii Kalatów, którego przodkom przybyłym z miasteczka Krompachu ze Spizo, nadał Kazimiérz Wielki dotąd posiadane dziedzictwo. Przyjął mnie w schludnej izbie, w której mnóstwo porządnych było sprzętów; a gdym mu oświadczył, że sobie zyczę widzieć jego nadania, z uprzejmością do był z wielkiej malowanej skrzyni szkatułkę pełną papierów, z nadaniami i potwierdzeniami własności téj familii przez szereg królów polskich aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego. Kalatowie mieli za ten dar obowiązek płacenia umiarkowanego czynszu i rąbania drzewa przez kilkanaście dni corocznie w zamku krakowskim. Warto by było ogłosić te troskliwie chowane dokumenta, aby mieć jasne wyobrażenie o stosunkach socyalnych mieszkańców Podhala.

Wieś Biały Dunajec. Pół mili na południe od Szallar, ciągnie się długa wioska Biały Dunajec, która dała nazwę rzece przy niej płynącej. Nazwy rzék w całych Karpatach pochodzą powszechnie od wiosek blisko ich źródeł leżących. Dla odróżnienia od Czarne go Du-

najca, nazywa się Białym; zapewne od niezmiernéj ilości zaokrąglonych głazów granitu, okrywających wielkie płaszczyzny w łożu téj rzeki, a gdy wody jéj opadają, wtedy zdala świecą rażąca białością. Wieś Biały Dunajec jest nader długą, leży znacznie wyżej od Szallar; prawie na samym początku wymierzyłem mieszkanie jednego z bogatszych sołtysów (Pawlikowski), przy którém obszerny ogród owocowy jest na 2033 stóp wyniesiony. Przybliżając się ku góróm, domy są coraz porządniejsze; pokrzywionych, walących się chat prawie tutaj niemasz, ale natomiast wiele nowych, do których się nie wprowadzili jeszcze przezorni mieszkańcy, a w nich czystą, wielkie okna nader ujmują podróznego. Przed domami sadzić zwykli jesiony, wyrastające do znacznej wysokości; a chociaż ostre tu jest powietrze, sprzyja jednak rozwijaniu się tego drzewa, które służy nietylko ku ozdobie, ale i na pożytek; z niego to wyrabiają Podhaleanie swe zgrabne wózki, mogące służyć za wzór lekkości i mocy. Sposób rozciąglégo budowania wiosek niepospolitą ma zaletę; domy bowiem stykają się z rolami w dolinie, jej bokami i przytykającą wyżyną, i to zapewne jest jedną z przyczyn, dla którój doskonale są uprawiane.

Wieś Biały Dunajec, jak to wyżej wspomnieliśmy, jest bardzo długa; prawie milę ciągle trwa droga pomiędzy zabudowaniami. Miejscami stoją domy gęsto obok siebie, inne przegradzają pola w kupki zebrane. Niemasz wątpliwości, że ostatnie należały do jednego sołtysa, który się rozrodziwszy, rozdał dzieciom swe obszerne grunta, a ci się pobudowali obok siebie. Gdyby nie było wielkiéj tablicy zapowiadającéj nową wieś, niktby się nie domyślił, że się skończył Biały Dunajec, a roz-

począł Poronin, którego koniec północny nazywają Bańkówką.

Bańkówka. Na samym końcu doliny Białego Dunajca, rozdziela się obszerna równina, dotykająca stóp wyniosłych Tatrów, przy spływie dwóch bystro płynących rzek: Poronca ze wschodu, i Białego Dunajca z zachodu. Wieś ta leży w najcudniejszym położeniu i składa się z grupy domów góralskich, leśniczówki i kościoła z probostwem; kilkaset kroków dalej jest cmentarz, obwiedziony kamiennym murem, z którego rogów wznoszą się również kamienne baszty. W niedziele i święta ożywia się nadzwyczajnie Bańkówka; albowiem do kościoła zbiera się niezmierna ilość ludu, przychodzącego często z odległości dwóch mil; dalej bowiem na południe niemasz kościoła. Na płaszczyźnie przed kościołem odbywają się targi, gdzie się zaopatrują odlegli mieszkańcy potrzebnymi przedmiotami do życia: solą, niciami i t. p.

Przy Bańkówce 2203 stóp wyniesionej, tryszcą liczne źródła wśród łąk torfowych; jedno tuż przy kościele, dla jego obfitości i statecznej temperatury mierzyłem przez kilka po sobie idących lat, i znajdowałem, że w miesiącach letnich ma nader stateczną temperaturę, jak to załączony spis okazuje:

18 sierpnia	1839 r.	+7,13° C.
28 lipca	1841	— 7,40 —
11 sierpnia	1843	— 7,45 —
15 —	—	— 7,40 —
10 września	1844	— 7,40 —
2 października	—	— 7,60 —

Średnia zatem jego temperatura wynosi +7,40° C.

Zporównania źródła w Glinnikach z Lubieńskim wyrachowałem, że temperatura jego spada co 100 stóp o $\frac{1}{5}$ stopnia C.; gdyby temu prawu odpowiadała temperatura źródła Bańkówki, musiałaby być o pół stopnia niższą. Przyczyna tej wyższości zapewne pochodzi ztąd, że ta woda nie wypływa prosto ze skały, ale z łąk torfowych i miesza się z deszczową, i tym sposobem staje się nieco cieplejszą. Zresztą zmniejszanie to jest zapewne nieco wolniejszém, i może wynosić na 1 stopień 600 stóp.

○ Kto pierwszy raz znajduje się w pobliżności wielkich gór kilka tysięcy stóp wysokich, temu się wydaje, że te szczyty tuż się wznoszą; ale to jest złudzenie: są one pospolicie o milę oddalone, a nawet i więcej. Tatry wydają się, że tuż są przy Bańkówce; tymczasem jeszcze dobre półtory mili są oddalone. Złudzenie to nawet powiększa się w miarę jak powietrze jest mniej lub więcej czyste; w dniach mglistych, pochmurnych, nierównie są odleglejszemi, ale najbardziej się zbliżają, kiedy po długo trwającej pogodzie zmiana ma nastąpić: wtedy pozornie zbliżają się nadzwyczajnie i wydają się, że są tuż przy nas. Wié dobrze Podhalania co to znaczy; na drugi a najdaléj na trzeci dzień deszcz bowiem przepowiada, a przepowiednia ta nigdy nie myli.

Naprzeciw Bańkówki rozpostarła się wielka kotlinowata dolina, przeszło na milę szeroka i tyleż długa, kształtu prawie romboidalnego; od południa zamykają jéj widokrąg Tatry, od zachodu i wschodu ciągną się mniejsze wzgórza. Dolina ta nie jest zupełnie równą, wznosi się bowiem nieznacznie ku wysokiemu łańcuchowi, a nad strumykami które ją przerzynają, ciągną się rozrzucone wioski lub pojedyncze domki, zamieszkałe przez

właściwych Podhalań, w bliższem znaczeniu tego wyrazu, to jest przez tak zwanych skalnych górali.

Poronin. Wzdłuż szumnego Poronca, czyli wschodniego ramienia Białego Dunajca, ciągnie się droga przez Poronin, rozciąglą wioskę jak wszystkie w krajach górzystych. Domy stawiają tu z okrągłaków porządnie, często bardzo pięknie. Jeden z odznaczających się zewnętrznąścią odwiedziłem, i aby dać wyobrażenie o mieszkaniu goralskiem, opiszę je pokrótce. Sień dzieli dom na dwie równe części; czarna ściana okryta świecącemi sadzami od wychodzącego drzwiami dymu, prowadzi do czarnej izby czyli do kuchni i mieszkania czeladzi; podczas zimy ma do niej dozwolony wstęp krowa, cielę i prosięta z kurami: czystości darmoby kto w niej szukał. Z drugiej strony sieni porządne odrzwia zapowiadają lepsze mieszkanie, i są wstępem do izby białej, gdzie przebywa gazda. Zostałem nader czyste, nawet wygodne jego mieszkanie; podłoga z desek, a ściany chociaż drewniane, są czysto wygładzone. Przy ścianie wokoło obwiedzione ławy; w rogu stoi wielki stół jaworowy, a nad nim rozwieszono obrazy świętych, w których wiele mistrzowstwa nie trzeba szukać, bo sprzedają je na łokcie podczas odpustu. Naprzeciw stołu na ścianie, było kilka pułek, a na nich sztucznie ustawione talerze, miseczki dziwnego kształtu, dzbanuszki polewane, pospolicie pomarańczowego koloru; naczynia te nie służą na użytek, ale na ozdobę. Komin i piec zajmują trzeci róg, a w czwartym stoi szerokie łóżko z licznymi pierzynami, sięgającemi powały; były one powleczone płótnem ciemno-niebieskiem z białemi kwiatkami, a tak czysto i porządnie, że aż miło. Dwa kufry malowane stały niedaleko łóża; małe drzwiczki wycho-

dzą do komórki, gdzie gospodyni ma swą spizarnią i skład odzieży. Zabudowania gospodarskie obwodziły czworograniaste podwórko, wyłożone płaskimi płytami z piaskowca. Naprzeciw domu stała mała stodołka, w jednym boku obórka połączona ze stajnią, a naprzeciw niej inne pomniejsze zabudowania; tam, gdzie domostwa brakło, ciągnęły się parkany, tak, że dziedziniec zupełnie stał się zamkniętym. We wszystkich tych zabudowaniach uważałem miły porządek; wozy i inne sprzęty rolnicze stały w jednej stronie, na drugiej wznosiła się mierzwa złożona w kupy. Dom ten mógłby zaiste służyć naszym włościanom za wzór doskonałości, za istotny ideał!

Niemaló przyczynia się do zamożności Podhalan zajmowanie się handlem i rzemiosłami. W Poroninie mnóstwo jest rzemieślników; jedni sporządzają lekkie a trwałe wózki goralskie, inni zajmują się młynarstwem, lub rzną deski; najwięcej zaś wyrabiają grube płótna. Wielu trudni się handlem bydła i owiec, sprzedają soli z Bochni i Wieliczki sprowadzanéj, inni wychodzą podczas lata do Węgier na zarobki i wracają na zimę do swych siedzib; bo utrzymują, że nigdzie ani tak dobrze, ani tak wesoło, jak na Podhalu; tu człowiek wie dopiero że żyje!

W samym końcu Poronina, leży młot żelazny czyli kuźnica, w której przekuwają surowe żelazo, sprowadzone z Hrabusic (po niemiecku Kapsdorf) na Spizu w Węgrach, gdzie je wytapiają z najlepszego gatunku rudy jaka istnieje na świecie, za pomocą węgla drzewnego, z minerału zwanego węglan żelaza. Tak sprzyjające warunki uczyniły słynnem żelazo kute porońskie; dlatego po całej Galicyi bardzo jest poszukiwaném. Założenie tego młota, wielce pożyteczne dla téj wioski, nietylko

daje zarobkowanie mieszkańcom, ale nadto jest jedynym środkiem zużycia drzewa z niezmiernych lasów Tatrowych, którego gdy kiedyś zabraknie, zapewne zastąpionem w części zostanie potężnymi pokładami pięknego czarnego torfu, czerniącego się tuż za młotem. Zapewne jeszcze piérwój przy znaczniejszém rozwinięciu tego zakładu, i ten wyborny materyał stanie się użytecznym: bo wody do obracania machin taka jest mnogość, że nie wiem, czyby zdołały spotrzebować tę nic niekosztującą siłę, która tak długo wcale nie była używaną.

Wyniesienie nad morze młota porońskiego wymierzylem bardzo starannie, i pokazuje się z 21 obserwacyj, że leży 2283 stóp nad morzem; a chociaż dotyka się prawie stóp wysokiego łańcucha, też same zmiany barometryczne panują tutaj, co w Krakowie. Naprzeciwległa góra Kośłowa, u której spodu warstwy piaskowca Karpatowego nader dziwnie się pogięły, wznosi się 700 stóp wyżej (2965 stóp). Na téjże samój wysokości nieco dalej, są domy wystawione na grzbiecie; jeden z nich, dom Skowyry, znalazłem 2951 stóp wysoko położonym. Na tych grzbietach panuje nader ostry klimat, ale nietyle cierpią mieszkańcy od zimna, ile od wiatrów; wszystko u nich więc zmierza, by się ochronić przed niemi; aby nie dmuchały bezpośrednio, ściany domu pilnie okładają wokół łupaném drzewem; tak, że okna wyziérają jakby z zagłębienia. Prawie przez cały rok zwykli palić w piecach, nawet w najcieplejszych miesiącach, kiedy tego niemasz wcale potrzeby. Takieto nawyknięcia mają ludziel

(Dalszy ciąg nastąpi).

10

HISTORIA
NARODU I PAŃSTWA RZYMSKIEGO,

przez Jana Sz waj n i c a (*).

PRZEGLĄD

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

Kiedy Lucyusz Tarkwiniusz Pyszny po uskromieniu Wolsków, świątynią dla króla bogów na skale Tarpejskiej wznieść kazał, wszystkie bogi ustąpiły z swych posiad, a jeden tylko *Terminus* (bóg Granicznik) nie dał się cofnąć.

„Byłoto wróżbą, powtarzał od wieku do wieku rzymski poganin, że władza i panowanie grodu jego nie miały znać granic” (1).

„Byłoto wróżbą, mógł to dodać rzymski chrześcianin, że im nawet kiedyś miał uledez sam bóg Kapitolu”.

(* *Historia narodu i państwa Rzymskiego podług źródeł i nowszych badań, napisana przez Jana Sz waj n i c a profesora kursów prawnych i pedagogicznych, członka komitetu egzaminacyjnego. Tomów 3. Tom I str. 408, 1845. Tom II str. 733, 1846. Tom III str. 322, 1847. Warszawa.*

(1) Liv. I, 55.

Dwa okresy odznaczyły głównie dzieje ludzkości: tłem pierwszego był bieg jęj do jedności *zewnętrznęj*, drugiego bieg do *wewnętrznęj* (1), a w jednym i drugim odznaczył się szczególną swą misyą gród Tarkwiniuszów.

Dwóch tych okresów wszakże, jak dwa nader odmienne cele, tak tęż nader odmienne być musiały środki, żywioły; stronnicy jednych ze wstrętem więc tylko patrzą na rodzaj drugich (2), i Rzym pierwszego okresu stale odróżnionym został od następnego.

Rzym stary, Rzym z ukończoną swą misyą jest uważanym wyłącznie za Rzym właściwy; właściwa *historya rzymska* obejmuje zwykle dzieje od pierwotnych podań o Rzymie, do upadku cesarstwa rzymskiego na zachodzie. Zakres ten jest tęż właśnie przedmiotem i dzieła p. Sz wajnica.

Historya narodu i państwa rzymskiego, tego narodu i państwa, których byt i znaczenie odznaczyły czas kwiatu i zakończenia Igo okresu, w każdęj literaturze bywa pożądanęm zjawiskiem w swoim waryancie, tęm więcęj jest w naszęj. Literatura polska nie miała dotąd, rzec można, historyi rzymskięj; w wiekach zeszłych mieliśmy wprawdzie kilka jęj przekładów, ale przekłady te (jako: Skrócenią Historji rzymskięj *Justyna Flora* przez Falisowskiego, 1646; Historji rzymskięj *Vertota* przez ks. Jana Sapiebę, 1736; tudzież *Salustyusza*, *Korneliusza Nepo-*

(1) Buchez: *Pomysly* (Introduction) do *umiejętności historyi*. 1833.

(2) Śty Augustyn w dziele „*O Mięście Bożem*” sławę Rzymu dawnego przyrównywa do sławy *korsarza*; przeciwnie Gibbon we wstępie do dzieła: *O chyleniu się i upadku Rzymu*, mówi: iż pierwszą myśl do tego pisma powziął, gdy stojąc śród grodu Cezarów, słyszał obok siebie: „mrużenia mnichów”.

sa, *Tacyta* i t. p.) lub za stare tak z tekstu jak języka przekładu, albo dotykające jedynie kilku szczegółów téj historii, należą dziś nadto wszystkie do rzadkości bibliograficznych. Kompendyum historii rzymskiej Goldsmidta, znane z gładkiego przekładu ks. Olszewskiego, jest tylko kompendyum (1).

Historya którą nam dał p. Sz wajnic, skreśla obraz narodu i państwa rzymskiego od pierwszych czasów nastania, do upadku ich w wieku Vtym. Obraz ten, przedstawia nam w rzędzie faktów ze wszystkich szczegółów dziejów starego Rzymu tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych; każdy fakt stwierdza cytacją, każdy prawie oceniam krytycznie, i mówiąc w ogóle, daje nam w swym zakresie i szczegółach księgę dziejową, jaką tylko zamożniejsze literatury poszczycić się dotąd mogą. Historya p. Sz wajnica jak na rzetelną wdzięczność, tak téż i na zwrócenie szczególnych uwag jest przed innemi zasługująca.

Przedstawienie swych dziejów rzymskich, złożył pan Sz wajnic ze zbioru faktów i oceniania krytycznie dwuznacznych. Uwag naszych nie zwrócimy tu jednakże głównie do tych ostatnich. Żadnych zapewne dziejów szczegóły tyle śledzone, badane i rozwijane nie były, jak rzymskich; w żadnych jednak nie pozostało ich więcej bez pewnych wniosków. Czy np. (biorąc tu losem kilka) pierwotnym plemieniem w Italii było plemię Sykulów? czy Frygo-Thraków? Czy ojczyzną ojców pierwszych Rzymian była Etrurya czy Alba? Czyli w Rzymie od pierwszych królów było i *gens* i *plebs*? Czy pierwsze prawa pisane Rzymian szły z Aten, czy

(1) Rozbiór dzieła tego ze stanowiska krytyki przeczącój, widzieć w Tygod. Wileńsk. z r. 1818, przez J. L.

z tradycyi krajowych z wieku Saturna? Czy prawa rzymskie rolne miały za przedmiot dobra tylko publiczne, czy i prywatne? i t. p. W każdej z tych kwestyj, co do nas, mamy przekonanie takie lub inne; lecz takie lub inne nie może jeszcze, wierzymy, być bezwzględny powodem przyznań albo zarzutów. — O piśmie p. Sz waj nica uczynimy tu kilka uwag ze stanowiska jedynie ogólnych warunków każdego pisma, to jest bezpośredniego stosunku jego, najprzód: do swego przedmiotu, i powtóre: do czytelnika; lub jaśniej, powiemy tu:

1) O stronie dzieła *zewewnętrznej*, czyli obranych źródlach i ich użyciu; i

2) O jego stronie *wewnętrznej*, czyli *wykładzie*.

A najprzód co do strony *zewewnętrznej*:

Jakież są główne źródła historii rzymskiej? jak używano ich dotąd? i jak ich użył p. Sz waj nica?

Najdawniejsi literaturze znani pisarze dawniej historii rzymskiej, byli: *Fabius Pictor* i *Cato starszy*, Rzymianie, oraz *Polibiusz* Greczyn. Pisma dwóch pierwszych znane są jedynie z nader krótkich fragmentów, to jest cytacyj u *Dyonizjusza*, *Cycerona* i *Kwintyliana*; trzeci pisał tylko spólczesne sobie wojny punickie i macedońskie. Pisma te (jako téz i późniejszych dziejowych przed Augustem fragmenta) nie mogą więc być uważane za pierwsze źródła. Pisarze, których dzieła są dziś jedynym istotnym źródłem do pierwszych czasów historii rzymskiej, są historycy z wieku Augusta: *Dyonizjusz Hali karnaski* i *Liwiusz*. Spólczesność i bliska potomność *Liwiusza*, dzieje jego za wyraz rzetelnej tradycyi krajowej przyjęła; tém więcéj więc przyjąć musiała za takie potomność dalsza. Dzieje rzymskie *Liwiusza* za wieków średnich i prawie do końca zeszłego, jako pewność klas-

syczna były uważane. Przy końcu jednak XVII stulecia i przy początku zeszłego, niektórzy pisarze (jak *Peryzomiusz*, *Vico* i t. p.), już mówiąc bezpośrednio o dziejach rzymskich, już pośrednio o dziejach dawnych i metodzie w dziejach, niejakię wątpliwości co do opowiedzianych przez Liwiusza dziejów pierwotnych Rzymu rzucili. Te zwątpienia padły były na żyzną rolę, albowiem na koniec wieku XVIII. W czasie tym, zaprzeczono śród dziejów faktom przez naocznych nawet świadków, a świadków znanych z kądinąd z miłości prawdy przekazywanym; tém więcęć więc uległy podobnemu losowi i dzieje rzymskie. Rozprawa o *niepewności pierwszych czasów historii rzymskiej*, wydana w roku 1793 w Holandyi przez *Beauforta*, cios stanowczy zadała dziejom Liwiusza, i odtąd przed obliczem krytyki ścisłej, pięć pierwszych wieków historii rzymskiej wyłączone zostały z szeregu dziejów. To sprawiło roztrząsanie faktów zewnętrznych; dalsza krytyka jednak (a mianowicie krytyka w Niemczech), posunęła się do wewnętrznego badania. Okres w badaniu tém, sprawił znany krytyk-historyk *Niebuhr*. Niebuhr w nowy sposób wyłożył fakta dziejów wewnętrznych rzymskich, i wykład ten do badań zewnętrznych zastosował. Oparty na swęj krytyce faktów, wniósł, iż mógł lepiej korzystać z staro-rzymskich rapsodów i podań, niż umiał Liwiusz, i dzieje pierwotne rzymskie z własnych ułożył hipotez. Wykład więcęszęj części faktów wewnętrznych przez Niebuhra, powszechnie przyjętym dziś został; wykład zewnętrznych otrzymał także swych naśladowców. W ostatnich np. latach obracając poszukiwania w wykład stylowy, odbili ją we Francyi niektórzy pisarze już szczegółowych, już skróconych dziejów rzymskich, jak: *Michelet*, *Ott* i t. p. Opór wszakże przeciw

wykładowi dziejów zewnętrznych rzymskich przez Niebuhra, zjawił się w samej ojczyźnie Niebuhra. Po wątpleniach i po zniszczeniach, zapragniono znowu twierdzeń, znowu budowy.

Hasło do téj nowéj krytyki dziejów rzymskich antyprzeczącéj, podań broniącéj i wiarę w nie przywracającéj, dał mianowicie Wachsmuth (autor jeżeli się nie mylimy wydanéj téż w tych latach Historji Francji z ostatniego pół wieku) w dziele swém: *Die aeltere Geschichte des Römischen Staates*. Za pismem tém, a mianowicie za duchem krytyki jego, poszedł właśnie w swojéj Historji Rzymskiéj p. Sz wajnic.

P. Sz wajnic w przedstawieniu dziejów pierwotnych rzymskich, wyszedł z metody twierdzącéj, z przyjęcia tradycyji; autor uznał jednakże za zbyt nie wytlumaczyć się z powodu przyjęcia téj metody. Podzielamy ją; gdy jednak do literatury naszéj przenoszona zwykłe była przeciwna, musimy się wytlumaczyć przynajmniej co do nas, dlaczego?

Brak dawnych świadectw był i jest główném źródłem, powodem zarzutów przeciw prawdzie dziejów pierwotnych rzymskich. Tytus Livius pisał o dziejach, które się przed nim stały na wieków VIII; pismo jego jest przeto ściśle mówiąc żadném świadectwem. Przed Liwiuszem byli wprawdzie liczni historycy, lecz ich nie znamy: były roczniki kapłanów, księgi dziejowe urzędowe (*Annales Maximi s. Pontificum, libri Magistratum, libri lintei* i t. p.), lecz te roczniki i księgi nie sięgały czasów zbyt dawnych; owszem, sam Liwiusz (zwrócono uwagę) przy początku swéj księgi VI-téj wyznaje: iż wszystko co powiedział w poprzednich księgach, to jest cały

przeciąg dziejów o królach, konsulach, decemwirach, do zajęcia Rzymu przez Gallów z trudnością kręślił, gdyż mówi: „Pismo za owych czasów zbyt mało jeszcze było upowszechnioném, a chociaż w komentarzach kapłanów i innych prywatnych albo publicznych pamiątkach, świadectwa jakowe istniały, te jednak razem z pożarem Rzymu za Gallów po większej części spłonęły”.

Ten jest zarzut, i przez wzgląd na ten zarzut głównie, potępioną została prawda 5ciu ksiąg Liwiuszowych. Jednocześnie wszakże z Rzymianinem Liwiuszem pisał historią rzymską Dyonizyusz Halikarnaski; Dyonizyusz pisał swą historią po grecku i z duchem greckim, szczegóły przedstawiał nie stronnie, ale krytycznie. do źródeł swoich nie zaliczał historii Liwiusza (1); a jednak pierwotne dzieje rzymskie jeżeli nie w tychże drobnych, w tychże jednak szczegółach głównych, owszem w szczegółach nieraz podania Liwiusza wyjaśniających i dopełniających przedstawił. *Polybiusz*, którego świadectwo 200 latami nad świadectwo Liwiusza jest starsze, który był przyjacielem prawdy (2), który pisał krytycznie i w piśmie swém ściagał co chwila świadectwa spółczesnych sobie Fabiusza i Tymeusza; tradycją jednak o dziejach pierwotnych Rzymu za ustaloną i naruszyć się niemogącą uważał. „Opowiadania moje, mówi

(1) We wstępie do dzieła swego: *Starożytności Rzymskie*, autor ten tak mówi o źródłach swej pracy do spółkrajowców: „Nie sądzicie, że te dziejowe szczegóły, które wam opowiem, będą bajki; bawiłem w Rzymie lat 20, nauczyłem się mowy Rzymian, poznałem pisma historyków ich, jacyemi są: Portius Cato, Fabius Maximus, Valerius Antius, Licinius Macer, Aelius Gellius, Kalpurnius i liczni inni”. I niżej: „Każdy z historyków tych opowiadał dzieje swojego kraju od ich początku, chociaż pokrótce”.

(2) „Historja, mówił, bez prawdy, jest jak zwierzę bez oka; na nic się nie przydaje”.

w rozdz. IX swęj historii, tłumaczę się z jęj zadania, zacząłem od roku 453, t. j. od pięrszj wojny sycylijskięj; chcę pisać co było przedtęm, musiałbym tylko powtarzać co napisali drudzy, a co byłoby i zbytnięm, i nieszlachetnęm" (1). To zaś, czego nie chciał powtarzać i czego nie śmiał naruszać Polybiusz, wniesć możemy, iż nie różniło się wcale od powtarzanęj dalej tradycyi; ilekroć bowiem śród opisu swych wojen czyni przygodnie wzmianki o dawnęj historii rzymskięj (jak np. o *Koklesie* (2) bronięcym mostu, o *królu Anku Marcyusie* (3) i t. p.), wspomina szczegóły też właśnie, które przekazał Liwiusz. Same owe słowa Liwiusza o rzadkości świadectw przed epokę Gallów, są raczję za, a nie przeciw jęgo historii. Skoro bowiem powiada, że świadectwa te przed epokę Gallów rzadkie były, tęm samęm twierdzi że *były*; i gdy dodaje, że za Gallów spaliły się *prawie wszystkie*, tęm samęm świadczy, że nie spaliły się wszystkie (4).

Jakoż opowiadając Liwiusz dzieje rzeczypospolitęj przed epokę Gallów, wymienia ledwo nie pod każdým rokiem nietylko nazwiska konsulów, nietylko wojenne wyprawy, lecz tęż i sądy lub prawa zapadłe, stan zdrowia, stan powietrza, stan urodzajów śród kraju i t. p. szczegóły, które właśnie były zapisywane i które tylko mogły być przepisane z *roczników* (5). I wreszcie mó-

(1) *Polyb.* IX.

(2) *Polyb.* VI, X.

(3) *Polyb.* VI, I.

(4) „..... tum quod parvae et rarae per eadem tempora litterae fuere et quod etiamsi quae in commentariis pontificum aliisque publicis privatisque erant monumentis, incensa urbe pleraeque interierae”. Liv. VI, I.

(5) „Ita enim annales conficiebantur: tabulam dealbatam quotannis Pontifex Maximus habuit, in qua prescriptis Consu-

więc nawet o dziejach z czasów królewskich, samém opowiadaniem świadczy, iż nie sam tworzył tradycyą, lecz owszem, iż nie z jednego źródła czerpał jęj szczegóły (1).

Tradycya więc o tych pierwszych czasach historyi rzymskiej jak je przekazał Liwiusz, żyła przez wieki śród kraju. Treść jęj z wyjątkiem kilku szczegółów o założycielach Rzymu, które sam Liwiusz podał jako dwuznaczność, nie nosi na sobie wcale ani cech niezwykłości, ani szczególnej stronności; i owszem, przedstawia szereg wypadków rzadko pomyślnych dla kraju, przedstawia wszakże szereg harmonijny dziejów wewnętrznych i ohok zewnętrznych, następstwa których były już dalęj przez naocznych świadków widziane i zapisane, a którychto następstw początek i powód w każdym razie taki lub inny być musiał. — Wieki podań, ich jedność, następstwa, mówią więc za dziejami Liwiusza; przeciw prawdzie zaś ich stawionym jest wyłącznie i tylko — *domysł*. Autorowi historyi którą mamy przed sobą, która nam do piśmienności przybywa, nader więc wdzięczni jesteśmy, że nie poszedł drogą przeczącą, że zamiast łatwego zbywania kilku słowami dziejów pierwotnych rzymskich, brania ich za legendy lub mity, lub stawiania

lum nominibus et aliorum Magistratum, digna memoratu notare consueverat, domi, militiae, terra, mori, gesta per singulos dies". *Seruius in Aen.* V, 377.

(1) Mówiąc np. o popisie ludności za króla Serwiusza Tuliusza, dodaje: „Historyk nasz Fabiusz Pictor utrzymuje: iż każdy spisowy zdolnym był do noszenia broni”. *Liv.* 141. Zowiąc Lucyusza Tarkwiniusza synem, nie synowcem starego, mówi: iż poszedł za zdaniem *większości*. „*Pluribus tamen auctoribus filium ediderim*”. I, 46. Mówiąc o walce i krajowości Horacyuszów i Kuryacyuszów, mówi: „Pisarze różnie utrzymują; liczniejsi jednak pierwszych mają za Rzymian. *Auctores, utro que trahunt, plures tamen invenio qui Romanos Horatios vocent*”. I, 24.

w ich miejsce szeregu hipotez, za podstawę w opowiadaniu ich przyjął raczej tradycją jak domysł, i że zamiast zdobytej przez (mówimy to śmiało) pseudo krytykę, dla kilku dziejowych wieków nicości, przedstawił nam w nich napowrót ludzi i dzieje ludzkie.

Podzielamy metodę; mówiąc to jednak, nie zamierzamy bynajmniej bronić sposobu, w jaki się autor trzyma tej metody. Wątpienie źródło ma nie w miłości, lecz nie-nawiści faktów, i dlatego nie lubimy wątpienia; dzieje wszakże nie dla rozrywki lubimy, lecz jako prawdę. Nie lubimy zaprzeczeń; wolelibyśmy jednak w ostatnim razie: nieprawdy przeczenie, aniżeli fałszu twierdzenie. Podaną pierwotnych historii rzymskiej nie odrzucamy z tej jedynie zasady, iż niecałkiem są pewne; lecz skoro niecałkiem są pewne, wolelibyśmy je odrzucić, niż twierdzić, iż całkiem są pewne. Ta jest jednak zasada, krytyka, z której wyszedł p. Sz wajnic w kręśleniu pierwszych wieków swojej historii. Autor w kręśleniu tych wieków wyszedł już nie z metody twierdzącej, lecz (w ostateczność inną wpadając) z ultra twierdzącej. Każdy fakt, każdy szczegół przez pisarza jakiegokolwiek wiary i wieku o czasach tych zapisany, skoro tylko był zapisany, autor jako niewątpliwy i nieprzeparty uważał. Oddział zwłaszcza, w którym rozbięra i objaśnia czytelnikowi pierwsze wieki historii rzymskiej do panowania Numy, głównie w ten rodzaj sądu przybranym został. Oddział ten (t. j. dwa pierwsze rozdziały tomu Igo) jest tak różnym krytycznie od reszty pisma, tak szczególnie wykład nam daje, że może raczej powinniśmy o nim przemilczeć, lub kilku słowy pominąć. Ale oddział ten nie jest wcale odziany w brak krytyki, lecz w szczególny rodzaj krytyki; oddział ten autor owszem w większą może pra-

cowitość krytyczną przyodziął, niż jakikolwiek inny; jeśli więc mu zarzut czynimy, winniśmy się usprawiedliwić z powodów.

Iszy rozdział tomu Igo poświęcił p. Szwajnie twierdzeniu i krytycznemu sprawdzeniu: iż Eneasze Trojanofrygijczyk po zburzeniu Troi przez Greków, przybył na półwysep Italski, i tu z ludem swym dał początek państwu rzymskiemu. Jakaż była rzeczywiście tradycya i historia tradycyi o Eneaszu?

Tradycyi o Eneaszu, jak w ogóle całym dziejom pierwotnym italskim, Liwiusz w historii swój kilka tylko wierszy poświęcił: „Wiadomo jest, mówi, iż po zburzeniu Troi, Eneasze z ostatkiem Trojan przybył do ziemi italskiej, tu zwyciężył i poślubił córkę króla Latynów, założył Albę długą, a jednym z następców jego był Romulus.” Tradycyi tej zaprzeczano jednak spólcześnie w Grecyi, i Dyonizyzus Halikarnaski stwierdzeniu jój całą prawie pierwszą księgę swych *Starożytności* musiał poświęcić. Tradycyi tej zaprzeczono tém więcéj za wieków nowych. Za wieków tych, jak wiadomo, zaprzeczono nietylko iżby Trojanie przybyli do Italii po zburzeniu Troi, lecz nawet iżby Troja była burzoną; nietylko iżby Eneasze był na italskiej ziemi, ale na ziemi Aencasz, zwrócono uwagę, to allegorya albańska o władzy słońca; *Aen* bowiem w językach wschodnich to słońce. Przybycie Trojan przyniosłoby do Italii i bóstwa Trojan: Wenerę, Apollina, Cybełę; Rzymianie zaś nie czcili bynajmniej przez wieków kilka, ani Apolla, ani Wenery, ani Cybeli; wywód więc pochodzenia Rzymian od Trojan i Eneasza, wniesiono, powstać mógł tylko wśród Rzymian od wojen greckich, kiedy rozkrzewiła się w Rzymie mania greczenia się. Odpowiedzito na te i tym podobne

zarzuty, poświęcił właśnie p. Sz wajnic Iszy rozdział swojej Historji i dodał wnioski. Słowo *Aen*, mówi tu między innymi autor, mogło istotnie w Albie oznaczać słońce; nie pociąga to jednak, iżby od tego słońca nie mogło być imię człowieka. Królowie dawni, zwraca uwagę, lubili się nazywać od słońca, i jeszcze ów rzymski Cezar Gabalus nazwał się *Heliogabalus*; bóstwa *Apollo*, *Wenera*, *Cybele*, nie spotykają się w Rzymie przez kilka wieków istotnie; niezawsze jednak jedne i te same bóstwa w starożytności pod jednemi nazwiskami były czczone. *Apollo*, *Wenera*, *Cybela*, zdaniem autora, były czczone w Rzymie od wieków najpiérwszych, lubo pod odmiennemi nazwiskami. Troja dawna istniała; i Homer nie śpiewał bajek, gdyż dzieje te rodzin greckich, śpiewał wśród rodzin greckich, wiedzących o swoich dziejach. — Autor nadto dodaje wywód wykazujący, że zwyczaj, obyczaj, obrzędy, rozsiane po ziemiach latyńskich, miały podobieństwo frygijskich; że różniły się od italskich pierwotnych, i że przeto mogły być tylko skutkiem przybycia Eneasza z swym ludem Trojano-Frygijskim do Italii. „Obrzędy te, mówi autor, nie są najpewniejszym dowodem osiedlenia się Trojan w Italii i przybycia z nimi Eneasza?” 1 — 20; i niżej: „Również obrzędy pogrzebowe zachowane w Rzymie, dowodzą przybycia Eneasza do Italii” 1 — 21.

Pomijamy tu, iż zbijanie przez autora zarzutów przeciw możliwości bytu Eneasza, może być wprawdzie dowodem możliwości jego bytu, ale nie bytu; pomijamy, iż ślady przybycia do Italii kolonii frygijskiej, mogły być tylko skutkiem przybycia kolonii frygijskiej, ale nie Eneasza; pomijamy, iż owszem sam autor wywód swój stanowczo bezużytecznym uczynił, twierdząc po dwakroć, iż te

kolonie były tu już i przed Eneaszem (1). Z przekonań takich lub innych, jak rzekliśmy, nie mamy tu wszakże czynić zarzutów, a zwracamy uwagę na źródła i na metodę.

W owych wywodach czei różnych, różnych obrzędów, faktów zdarzonych, a faktów tych najpewniejszych, jak twierdzi, na jakichże autor źródłach, na jakich się oparł świadectwach? W rozdziale tym całym za jedyne, ale według autora nieprzeparte w pewności źródło, wskazywani są wyłącznie poeci z wieku Augusta: *Virgiliusz*, *Owidyusz*, oraz pisarze o wiek jeszcze po nich później piszący, a przygodnie o obyczajach i zwyczajach italskich sobie współczesnych wspominający: *Serwiusz*, *Festus*, *Macrobiusz* i t. p.

W dowód np. iż dawni Rzymianie błagając bogów, na wzór frygijski głowę okrywali, przytacza autor opis Owidyusza, iż Augur, który poświęcał Numę *velute capite* błagał bogów. Za dowód konieczności przybycia Trojan, kładzie podobnie proroctwo Owidyuszowe: „Wszakże już Karmenta, mówi, przybycie Trojan do Italii, wskrzeszenie w niej wielkiego grodu Troi, zaprowadzenie i cześć italiackich bogów przepowiedziała.” 1—7. Kierunek drogi Eneaszowej, jego do Italii przybycie, czczenie przezeń Cybeli, autor stwierdza cytacyami z Eneidy: „Owe ślubowane zastępy, mówi na str. 4 i 5, przez wieszczę italskiego Marona opiewane, były potomkami Frygów. W Italii kryje się Saturn, w Italii panują Kureci...” Słusznie więc Eneasz idąc za tą wskazówką, zawiązał do Delos. Aniasz król i kapłan w ojcu jego

(1) „Korybanci, kapłani wielkiej matki, przybywszy, mówi autor, do Italii na wiele lat przed Eneaszem, zaszczepili w niej cześć Cybeli” 1, 4. Trojanie zawitawszy pod wodzą Eneasza do italskiej ziemi, znaleźli w nowej ojczyźnie dawny ród Frygów.” 1, 25.

poznaje przyjaciela, a Febus błagany każe szukać dawniej matki." Lub niżej między innymi: „Wielka matka, matka bogów Cybele, nieodstępnie towarzyszy Eneaszowi w podróży. Opieki jej wzywa stanąwszy na ziemi Laurentów. Jej rządzeniem w Nimfy przemienione widział okręty. Do niej przed rozpoczęciem walki z Turnusem modły zasyla: „Matko bogów! która ukochałaś Dydymę, miasto z wyniosłymi wieżami i lwy zaprzężone do twego wozu, wspieraj mnie w tej bitwie” i t. d. 1—17.

Mamyż zwracać uwagę na niewłaściwość, dziwność równych cytacyj? Poeta Homer pragnąc przedstawić nacznie, ludzkie nie od nich zależne skłonienia woli a harmonijne wypadki, wyraził to przez drobnienie, uosobianie szczegółowych bogów. Wirgiliusz naśladował Homera, i w tenże sposób użył machiny bogów: mówiąc o Trojanach i Grekach, starał się powtarzać obrzędy Trojan i Greków, szczegóły słowa odziewał téż w fantazye jak Homer, i owszem nieraz poetyczniej jak Homer; to, co sam Wirgiliusz przed sobą miał za fantazyą, bajkę, nazwał poezją, p. Szwajnic ma za ścisły dowód dziejowy. Autor prowadząc w następnych rozdziałach krytykę faktów, przy wyborze dwóch świadectw nieraz nie wierzy temu, co mówi Liwiusz. Autor nie wierzy temu, o czém świadczył historyk na lat przed sobą 200, a wierzy temu, o czém na lat przed sobą tysiąc i dwieście wspominał poeta. Brać Eneidę za źródło do dziejów pierwotnych italskich, jestto to samo, przyzna nam autor, jak gdybyśmy za źródło do dziejów pierwotnych litewskich, brać dziś chcieli np. (poetyczną zkądinąd) Witolorandę.

Chcieliśmy jeszcze dodać, lecz to co chcieliśmy dodać, przypomniało nam jeszcze jeden krytyki autora te-

go rozdziału odcień; odcień na który jednak tém chętniej zwracamy uwagę, iż nam tajemnicę i powód całej jaśniej tłumaczy.

Chcieliśmy rzec: iż jeśli autor wierzy głoskowo każdemu twierdzeniu Wirgiliusza o tém co było na ziemi, winien tóż wierzyć i w to wszystko, co mówi o niebie — w trojański i grecki Olimp; lecz oto sądzić można, i owszem sądzić wypada, iż autor wierzy istotnie w ten Olimp. We wszystkich wywodach, twierdzeniach w całym rozdziale tym, autor o bogach rzymskich wspomina w sposób, któryby mógł zawstydzić prawowierność Rzymianina dawnego. Na str. np. 10 wspominając o Grecyi przed-Homerowej, autor mówi: „W krainie rządzonej z początku *bogów potęgą*, w której góry, doliny, źródła, rzeki, gaje, lasy bóstw obecnością są *naznaczone*, gdzie Apollo z lutnią lub lirą w ręku trzody pasał; w krainie lubionej jeszcze i odwiedzanéj przez niebian, *kiedy dla występków człowieka opuścivszy ziemię osiedli na Olimpie*, byli niewątpliwie rodowi *śpiewacy*” i t. d. Lub niżej, wspominając o pierwszych królach albańskich, na str. 27: „Nie pominiemy przy stawianiu Alby zdurzenia, piętno dziwu na sobie noszącego. Posągi bogów *nie chciały* przeniesionemi być do Alby, do świątyni dla nich przygotowanéj; bogowie chociaż ofiarami błagani, powrócili do ukochanego Lawinium”. Fakt ten dalej autor owszem za krytyczny dowód przytacza: „Pierwiastek kapłano-władny, mówi na téjże karcie, nie był snadź silny w Albie, kiedy opiekuńcze bóstwa narodu wołały pozostać w Lawinium, jak tam się przenieść”. Czyniąc wzmiankę w tymże rozdziale (na str. 24) o rodzinach rzymskich idących od Encasza i wzięciu Ilium za Sylli, autor dodaje: „Po zburzeniu grodu, przenieśli zwycięz-

cy godło jego do Rzymu, a przenosząc je oddali hold macierzystemu Ilium. // Eneasza i potomkowie chociaż już odrodni, rządili Trojanami. Przepowiednia Neptuna ziściła się do słowa. Dowodzi ona, że Homer miał niezawodne podania". Kończąc podobnie wywód swój o Eneaszu i zbierając co rzekł, autor mówi: „Kiedy więc uroczystości, obrzędy, zwyczaje i w końcu sami bogowie świadczą o przybyciu Trojan do Italii, któż nie pozna prawdy?” i t. d. str. 1, 23.

Cóż znaczą równe twierdzenia i dowodzenia w piśmie p. Sz wajnica? Twierdzenia te nader jawnie zdradzają swój powód, t. j. miejsce swych źródeł. P. Sz wajnic przez obcowanie z pismami, krytyką starożytną, tak się przejmował ich treścią, prznosił w świat starodawny, że zapominał o współczesnym. Autor przytacza dowody, które tylko mieć mogły wagę dla dawnych Rzymian; zbija zarzuty, zbijania których nie potrzebuje, owszem, o istnieniu których nie wie nawet dzisiejszy czytelnik. Uwagi i twierdzenia znajdujące się w dawnych pogańskich historykach, autor wyraźnie żywcem do pisma swojego prznosił lub je rozwijał (1). Taki jest rodzaj

(1) Takim np. właśnie jest owo proroctwo Neptuna, o którym wspomina autor. Przeciwnicy wyvodu Rzymian od Eneasza w Grecyi przytaczali, że Homer przez usta Neptuna prorokował mu: że on i dzieci jego będą panować nad Troją, że zatem Homer nie przypuszczał odjazdu jego do Italii. *Dyonizyusz* przytaczając w swym wywodzie ten zarzut, przytoczył ów wiersz Homera i wykazywał, że ten nie mówi, iż Eneasza będzie rządził Troją, lecz Trojanami, że zatem mogło to być i w Italii. P. Sz wajnic objaśniając to proroctwo w ten sposób: iż Scypionowie i Sylla władali w Ilium, zawstydził jak widzimy prawowierność *Dyonizyusza*. *Dyonizyusz* opierał się na *Homerze* jako historyku, to jest badał, o ile mu dalszy los Eneasza mógł być znanym; p. Sz wajnic mówi o faktach w lat 1000 po *Homerze* zdarzonych, i wychodzi z zasady wszechwiedzy proroctwa Neplunowego. Cały też wy-

krytyki p. Szwajnic w rozdziale 1szym jego Historji; w oddzielny odcień odział autor swój rozdział 2gi.

Jeżeli w rozdziale swym pierwszym autor trzymał się prosto źródeł, to jest pism dawnych, bez przywiązywania wagi do dalszych: w drugim odbijał głównie najnowsze współczesne badania, nie zważając na źródła.

Romulus założyciel Rzymu, który u historyków dawnych był postacią ściśle dziejową, według krytyków nowszych wymysłem, nam współczesnych domniemaną, *allegoryą*; przedstawiony został przez autora głównie jak *allegorya*. Przytoczymy tu najprzód własnymi słowami autora wykład przez niego allegoryczności figury Romulusa i szczegółów o Romulusie podanych, wykład, który autor z całą krwią zimną nam czyni.

„Tajemniczość pochodzenia założycieli wielkiego miasta, mówi p. Szwajnic, spowodowała światłe badania o niepewności pierwotnych dziejów państwa rzymskiego. Uczone badania, prace znakomitych mężów, usunęły tę wątpliwość. *W pierwiastkach Rzymu szczegóły nawet drobne zostały objaśnione.* Starożytność bliżej jeszcze z naturą spowinowacaną, przenosiła cały układ niebieski słońca, księżyca, gwiazd, do krajów mieszkalnych i ich urządzeń”.

wód o Eneaszu na wzór Dyonizyusza, lubo nieraz z odmianami co do źródeł i szczegółów, nieraz też temi prawie słowy prowadzony. Oto jest np. zaczęcie obu wywodów. Dyonizyusz zaczynając swój, mówi: „Quod autem Aeneas et Trojani venerint in Italiam omnes Romani confirmant, et quae in sacrificiis et festis diebus ad ipsos fiunt, idem indicant, et Sibillini libri et oracula Pythica, et multa alia hoc ipsum testantur”. *Dyoniz. Italik:* według przekładu łacińskiego i wydania (które mamy pod ręką) *Henrici Stephani. Antiquitates lib. I, fol. 22.* Podobnie p. Szwajnic: „Przybycie Eneasza do Italii zaświadczone jednomyślnością dziejopisów rzymskich, stwierdzają wyrocznie (?), zjawiska (?), sny (?), zwyczaje, obrzędy religijne, pomniki” i t. p. 1, 18.

„Założycielem będzie kapłan i król, słońce, będzie samo słońce połączone z czasem. Romulus z Remem łącząc w sobie wspomniane godła, są tego rodzaju istotami, a pierwotna historia Rzymu polega na tym podwójnym pierwiastku. W nadziemskim Kwirynowie są rocznym słońcem, ich ojcem czas, słońce, matką natura w czasie, w roku zawarta. Tym sposobem Mars daje im życie, rodzi Rea Sylwia. Pochodzenie jednak nie zabezpiecza ich od prześladowania: Amuliusz każe wyrzucić młode plemię na wodę; rozkaz zostaje spełniony w miejscu, w którym drzewo Ruminalne wznosi rozłożyste konary”.

„Ale któż jest owym okrutnym, nieubłagany Amuliuszem? Zimowe słońce w obrządkach Alban, nieprzyjaciół dwóch szczepów, które mu tron i panowanie odbiorą. A woda? Obraz czasu, jak świadczą owe coroczne przy rzekach i jeziorach ofiary, owe wizerunki z mostów do oceanu posyłane. Czém Ruminalne drzewo? Także obrazem czasu. Dzieciół ptak Marsa przynosił pokarm bliźniętom, wilczyca podawała im piersi: bo i ten ptak godłem jest czasu, jest nim także kanikuła, dlatego pokarmu nie wzbrania. Lituje się nad nieszczęśliwych bliźniąt losem Faustul pastérz królewski i żona jego Akka Laurencya. Słusznie, wszak Faustul jest bożkiem ognia, jest Fajstem Persów, Efestem Greków, Festulem Latynów. A któż nie uzna wyobrażeń przenośnych w Laurencyi, która czyniąc polne ofiary dla pomysłności Rzymu, już dwunastu, już dwóch tylko młodzieńców w swoim orszaku prowadzi? Są nimi Romulus i Remus, znamiona miesięcy, godła słońca, roku na dwie części podzielonego. Laurencya z Herkulesem miała schadzki; z tym bogiem słońca (?) w kostki grywała:

jestto Akka siła bierna przyrodzenia, jój Rzymianie, jako upływającemu rokowi ofiary i cześć boską składali".

„Zakładając gród, obiera Romulus dla powzięcia wieszczby górę Palatyńską, Remus pagórek Awentynu. Jednemu ukazało się sześć sępów, drugiemu w podwójnej liczbie zwiastowali bogowie przepowiednią. Romulus słońce całego roku witał z gronem swoim dwanaście orłów, Remus znamię półrocza, choć pierwszy co do czasu, połowę tylko ujrzał. A zatem brat panowanie mu odbiera: przy pomocy Celera władcy i ręki czasu, zgon Remowi przynosi".

„Stronę przerośną Romulusa, przedstawia jeszcze jego zniknięcie z ziemi i miejsce między bogami Olimpu zajęte. Niknie w obec ludu w miesiącu lipcu nad jeziorem Kapry, wśród burzy i zaćmienia słońca. Jako wódz całego roku, będąc także obrazem zimy, w znamieniu Rema obejmuje panowanie" i t. d. 1, 29, 31.

Kiedy niegdyś po ukończonym okresie tradycji, nastąpił był okres dociekań; pojęcia *zaczynające* okres, z natury swojej nie były odpowiednie do jasnego objęcia przekazanych szczegółów z *ukończonego*. Począwszy od Manethona i Gnostyków (którzy pierwsi bliższe zwrócili śledzenia do szczegółów Wschodu), pierwotne religie i dzieje pierwotne w ogóle, jako zbiór samych allegoryj wyłącznie zaczęły być wykładane. Teologie tłumaczono przez dzieje, dzieje ziemi przez dzieje na niebie i t. p. Tak podobnie za wieków nam bliższych, szczegóły mitologii i legend greckich wykladał np. *Bako*, tak *Vico*, i tak za dni naszych wszystkie pierwotne tradycje i mitologie wschodnie *Görres*, *Kreuzer* i t. p. Los tych faktów podzieliły i rzymskie. Eneasz, nauczano np.

to słońce; Romulus, słońce także; wiek królów, tydzień śród roku; siedmiu królów to siedm dni; rycerze: Korkles i Scewola, Kollatynus i jego małżonka, Koryolan i matka, Wirginiusz i córka, to kilka ballad i legend. Niektórzy wreszcie, jako np. *Court de Gébelin* (w *Monde Primitif*), *Zinserling* (w *Histoire Romaine*), a zwłaszcza *Kanne* (w *Erste Urkunde der Geschichte*), którycho dwóch ostatnich twierdzenia p. Szwajnic w powyższym wykładzie właśnie prawie dosłownie powtórzył, każdą myśl, każde słowo w tradycyi za prawdę, a pomysł allegoryczny z owych pierwszych czasów idący uznali.

Powiedzieliśmy wyżej, jak uważamy krytykę faktom zaprzeczającą; powiemy też prósto, jak uważamy ich wykład przez allegorye.

Allegorye były niegdyś istotnie i owszem są jeszcze i dzisiaj nader powszechne na Wschodzie. Pismo, szczególny podań Wschodu, i w ogóle ludów pierwotnych są ich pełne. Lecz cóż były i gdzie miały granice te allegorye? Allegorye, to tłumaczenie myśli przez obrazy zamiast przez słowa; oczywiście więc tam tylko były w użyciu, tam były konieczne, gdzie brak był słowa. W tém istotę, w tém źródło, w tém też widzimy i granicę allegoryczności. Wierzmy, iż przez obrazy zmysłowe, tłumaczono ludom zmysłowym myśl oderwaną; lecz nie wierzymy, iżby obrazy zmysłowe wykładano im przez myśl oderwaną. Wierzmy, iż gdzie była trudność wykładu, uciekano się do środka lżejszego; lecz nie wierzymy, iżby tam gdzie była łatwość wykładu, uciekano się do trudniejszego.

Pojmujemy np. iż bogowie Homera, jako dopiéro rzekliśmy, byli allegoryą dramatów ludzkich; lecz nie pojmujemy, iżby np. jak wierzył Bakon, dziesięć czynów

Herkulesowych na ziemi, były wykładem dla ludu dziejów konstellacyj na niebie. Co się widzi, nie objaśnia się przez to, czego się nie widzi. Pojmujemy podobnie to, iż Trójca i bóstwa indyjskie były, jak mówi Kreuzer, uosobieniem sił skrytych, praw przyrodzenia; lecz nie wierzymy co mówi tenże, iżby np. legenda egipska o walce *Osirisa z Typhonem* miała być allegoryą dla ludu, iż *Nil* i *słońce* w Egipcie muszą walczyć z wiatrami i piaskami Etyopii. Pojmujemy, iż w biblii duch podstępny i złości mógł być nazwany *wężem*, iż *Jehowah* ukazywał się w krzewie *ognistym*; lecz nie wierzymy z tymi którzy mniemają np., iż wyrażenie „że Kain zabił Abła” (1), miało być wyrozeniem: iż pokolenia złości przemogły porozrodzeniu się ludzi i pokonały pokolenia dobra; nie widzimy bowiem, dlaczego miał się powściągać i być w ten sposób jaśniejszym historyk?

Zasadę tę więc i do pierwotnych dziejów rzymskich stosujemy. Możemy wierzyć, iż niektóre szczegóły ich mogły być w poezją odziane, wyobraźnią dosnute, przyozdobione; lecz nie rozumiemy, dlaczego opisywane w nich czyny ludzkie nie miały być ludzkie, dlaczego i dla kogo miałyby być w allegorye o bytności gwiazd, słońca, czasu i t. p. ujmowane? Przypuszczamy, iż umysł pierwotnych Rzymian nie był zdolnym jeszcze obudzić w sobie najniższej i najpiérwszej z rodzących się władz

(1) Dupuis w *Origine de Cultes* twierdził, iż zdaniem jego Chrystus i 12tu apostołów, byłato allegorya pomyslna przez piérwszych chrześcian, a mająca oznaczać *słońce* i 12 *znaków zodyaku*. Twierdzenie to zkadinał poważnego historyka, przypominamy tu tylko dlatego, by wskazać jak daleko zająć może, zachodzi, branie faktów za allegorye. Ktoś niedawno twierdził dowcipnie, iż za lat 1000, może bohater Napoleon i jego czyny, jako utwór allegoryczny z naszych czasów idący, będą uważane.

pojęcia — *pamięci*, iż nie był jeszcze zdolnym spamiętać jednego żywego nazwiska, jednego czynu, i przypuszczamy, iż już był zdolnym wzbijać się do fantazyi, do obejmowania prawd oderwanych, i owszem, do wykładania ich przez allegorye filozoficzne (1). Pojmujemy, iż pierwotne czasy rzymskie przez społecznych niepoświadczone, poetycznie opowiadane, dla przyjaciół wykładu przez allegorye, mogły być polem do wątpień, do ostrzeżenia dowcipu przy ich wykładzie; lecz aby dziejopisarz tak zimny jak jest p. Sz wajnic, równe domysły, zabawki, brał za prawdę nieporuszoną, to tylko za jakąś chwilę zapomnienia się rachować musimy. Że cały ów ustęp o wykrytym jakoby stanowczo wyjaśnieniu czém był Romulus, był tylko skutkiem zapomnienia się autora, możemy owszem położyć na to dowód stanowczy. Chcemy bowiem w to wierzyć na chwilę, iż wykład ten rze-

(1) P. Majorkiewicz młody autor, o którego pracach piśmieniowych i zgonie przedwczesnym, w roku zeszłym w kronice Biblioteki donieśliśmy, umieszczając w jedném z tutejszych pism artykuł z powodu wyjścia Igo tomu Historji p. Sz wajnica, oświadczał się także za pojnowaniem wyłącznie allegorycznym całej tradycyi o łszych królach rzymskich, a w szczególności o Romulusie i Nume: „Romulus, mówił tam p. Majorkiewicz, jest symbolem życia rozwijającego się w ciągu wieków, a przynajmniej przez długi szereg pokoleń. Ginie ten dziwoląg, ta fantasmagorya ludu i rozprasza się jako mgła, skoro tylko słońce krytyki do niej się dotknie. Romulus dokonywa tego, co tylko wieki całe dokonać mogą: ustanawia małżeństwo, władzę rodziców nad dziećmi, wydaje prawo o nietykalności murów (podanie mityczne o Remie), słowem, daje fizyologijną podstawę życiu. Jest więc Romulus uosobieniem piérwszej doby rozwoju, to jest materyalnej, fizycznej.

Druga doba jest moralna, uduchowniająca piérwszą: jest to oświecenie, uznanie (w postaci mętnego uczucia wiary) tego, co wydała natura; i ten zwrot uosobiony został w dziejach Rzymu w Nume. Któżto jest Numa? sama nazwa pokazuje, że to uosobienie bóstwa (Numen)”. *Przegląd Naukowy z r. 1845, nr. 35.*

czywiście prawdziwym jest: i czémże więc był Romulus? Czy słońcem, czy rokiem, czy liczbą, czy zimą? czy czém podobnym? Romulus, widzieliśmy, był tém wszystkiém według powyższego wykładu.

Nie objaśnia nas tém więcej autor skoro dodaje dalej, iż Romulus będąc słońcem, czasem i rokiem i t. p. był też nadto postacią dziejową. Rozumielibyśmy autora gdyby twierdził: iż Romulus i Remus byli to ludzie, i że tylko niektóre szczegóły hytu ich w allegorye przez tradycyą przybrano; ale p. Sz wajnic nie opiera się wcale na téj różnicy i twierdzi, że jedne i te same szczegóły bytu ich, jedne i te same ich czyny, były razem i faktami i allegoryą. Autor np. jak to widzieliśmy (t. j. na str. 30, tomu 1 swego pisma) utrzymuje, iż Amuliusz który wychował Romulusa był słońcem zimowém; iż woda w którą był rzucony Romulus, była allegoryą czasu; iż

Młody autor, widzimy, w zdaniach tych mniemając zapewne, że przez napadanie na historyczność Romulusa napadał na szkolność, sam trzymał się innej, i w powyrywanych zdaniach, słowo w słowo wyrażał się gwałtem jak szkoła. Mówimy gwałtem, nie sądzimy bowiem, iżby istotnie w to wierzył: że między czasem zbudowania murów a zakazem przechodzenia ich, między prawem o małżeństwie a prawem o dzieciach z tego małżeństwa, powinny być środkować wieki. Autor nie wierzył, iżby lud rzymski mógł objąć pamięcią nazwisko założyciela swojej stolicy, nazwisko jednego króla; a wierzył, iż mógł obejmować wieki, i owszem wyrozumowywać ich fakta i figurami pewnymi symbolizować. Tak wprawdzie utrzymywał już *Vico*; lecz stroną silną *Vico* było dostrzeżenie momentów ogólnych w dziejach, a żadną: uczucie i tłumaczenie szczególnych. Zdaniem naszym ci krytycy historyczni, którzy jak *Vico* i szkoła, twierdzą np. iż nie istniał *Herkules*, lecz że istniało wielu *Herkulesów*; iż nie istniał *Romulus*, *Mojżesz*, lecz że istniało wielu *Romulusów*, wielu *Mojżeszów*: tak czuć umieją dzieje, jak owi krytycy poetyczni poezyą, którzy sądzą, że *Iliada* Homera (poemat, którego główny przymiot wewnątrznie i zewnątrznie leży w całości), była nie dziełem Homera, ale w przeciągu wieków wielu *Homerów*.

odebranie przez brata władzy Remowi i jego zamordowanie, było jedynie figurą; iż 12ście miesięcy potyka sześć. Niżej zaś na str. 32 robi uwagę, iż wyrzucenie i wychowanie Romulusa przez kapłanów mogło być rzeczywiste, tak bowiem właśnie wychowanymi byli w starożytności Mojżesz, Cyrus; iż walka brata z bratem jakkolwiek „właściwiej ma miejsce na niebie, mogła być przecież walką o dostojność kapłańską” i t. p. Nie rozumiemy istotnie, dlaczego autor który tolerował i powtarzał świadectwa: iż bogowie przenosili się sami z Alby do Lawinium, iż Cybela zamieniała okręty w Nimfy, uczuł nagle skrupał krytyczny i wzdrygał się wierzyć: iż Romulusa mógł wychować pastérz Faustulus, iż Romulus mógł mieć brata i t. p. i ma to za allegorye. Z dwóch rzeczy jedna: albo szczegóły o Romulusie podane istotnie były zdarzone, a wtedy allegoryą nie były; lub téż zapisane były jako allegorye, a wtedy nie były istotne. Fakt nie może jednocześnie być takim i innym, w tymże czasie *istnieć*, oraz *nie istnieć*.

Przechodząc od panowania Romulusa do panowania Numy, autor jeszcze raz twierdzi, iż między pierwszym a drugim było bezkrólewie, które jednocześnie istniało i nie istniało: „Po zejściu Romulusa, mówi, nastąpiło bezkrólewie, które nosi na sobie podwójne znamię: „*astro-nomiczne i historyczne*”. Na tém wszakże kończy się i krytyka pierwotnych czasów jego Historji.

Téj szczególnój autora krytyce w tych rozdziałach, téj krytyce która co chwila różna, co chwila zmienna, już wychodzi z miłości faktów, już z nienawiści faktów; już z niewiary w każdy fakt prosty, już z ultra wiary w każdy piórem zapisany; która wątpi o faktach prawdopodobnych, a objaśnia je przez mniej jeszcze po-

dobne; która i zagłębia się w źródła, i bierze jawne bajki za źródła: téj krytyce jakież nazwisko dać mamy? Krytykę tę możemy tylko uważać jako odbicie myśli, zbyt wyłącznie widokiem a natłokiem jednego rodzaju źródeł przeciążonej i rozmarzonej.

Jeżeli Historią Rzymską p. Szwajnica uważać mamy za stworzony dalej idealnie świat ludzki; dwa pierwsze oddziały téj Historii, t. j. krytykę tych oddziałów, możemy chyba uważać za chaos, który zwykł poprzedzać wszelkie stworzenie.

Po téj krytyce pierwotnych czasów dwuznaczných, autor przystępuje do przedstawienia rozwinięcia się dziejów rzymskich w szeregu faktów, to jest szczegółów tak zewnętrznych jak wewnętrznych, przez rządy królów, republikę, rządy Cezarów do upadku państwa. W przedstawieniu tém autor przy wzmiance o każdym fakcie, przytacza świadectwo z którego czerpie. Do r. 313 od założenia Rzymu, *Dyonizyusz* i *Liwiusz*, dalej wyłącznie *Liwiusz*; do epoki wojen punickich, *Liwiusz* i *Polybiusz*, a dalej *Plutarch*, *Cezar*, *Swetoniusz*; i wreszcie do dziejów Cezarów tenże *Swetoniusz* oraz *Tacyt*, *Zosimus* i *Dio Cassiusz* byli głównymi przewodnikami w przedstawieniu dziejów zewnętrznych. Do przedstawienia wewnętrznych oprócz tychże, pomocą były autorowi same fragmenta praw dawnych, zbiory ustaw, oraz społeczna krytyka treści i stanowienia tych ustaw, zwłaszcza w dziełach prawoznawców niemieckich *Hülmana*, *Waltera* i *Huschke*.

W jaki sposób użył autor tych źródeł do skrócenia dziejów zewnętrznych oraz wewnętrznych? zaraz właśnie rzec mamy; tu parę tylko uwag dodamy:

Przytoczenia, t. j. cytacje autora zawsze są wierne i ściśle; ile jednak w krytycznym piśmie mamy do wy-

rzucenia, iż autor wykładu swego nie poprzedził krytyką źródeł, co jednak tém konieczniejszém było, iż dotąd w literaturze naszej tylko ściśle przecząca krytyka źródeł tych znajdowała odbicie.

W razie dwóch różnych świadectw o jednym szczególe, albo dwóch różnych wykładów, autor wymienia wprawdzie oba i oświadcza się za jednym lub drugim; nieraz jednak nie wyjaśnia dlaczego? to jest: lub kładzie żaden, lub nie kładzie żadnego powodu (1).

Co do wyboru źródeł, autor w faktach gdzie są świadkami Dyonizyusz, Liwiusz, albo Polibiusz i Liwiusz, trzyma się częściej Dyonizyusza i Polibiusza, jak Liwiusza; i słusznie, jako krytyczniejszych i nie krajowców. Plutarch jako raczej postrzegacz i kompilator, słusznie także wtenczas tylko użyty za źródło, gdy brakło innych (jak np. do epoki Grachów). Za pierwszych Cezarów częściej był przed autorem Swetoniusz i Dio Cassius, niż Tacyt; za ostatnich wyłącznie Zosimus i Dio Cassius. Nie znajdujemy zaś śladu historyków, których zbiór zwany *Augustą*, *Herodyana* i t. p. pisarzy, zanikowanie w których wpłynęłoby jednak może na kręślenie przez autora więcej wewnętrzne, wypadków i postaci z owego czasu.

(1) Dla objaśnienia, dajemy tu przykłady jednego i drugiego przypadku. Autor np. na str. 405 tomu I zaprzeczając Liwiuszowi, iżby Rzymianie w wojnie z Prenestynami zabrali im między innemi miastami *Velitry*, mówi: „Co do *Velitry*, niewątpliwie się myli; bo rzadko jedném natarciem twierdza się zdobywa”. Na str. 327 T. II autor mówi: „Według Liwiusza wojsko (rzymskie) nieczynne, w obrzędach religijnych zatopione, stało pod Akwilonią. *Prawdziwsze* wszakże jest podanie Zonarasa, że zaczępnie działając wkroczyło do Kampanii”. Zonaras jestto historyk grecki z wieku XII ery chrześcijańskiej; bez innych więc powodów samemu *twierdzeniu* autora nie uwierzymy, iż opowiadanie jego o szczegółach wojny Rzymian z Prenestynami jest od Liwiusza *prawdziwsze*.

Takich źródeł i takiej przy ich ocenieniu i wyborze krytyki, użył p. Szwajnic do swego dzieła; mamy teraz obaczyć jak ich użył, to jest: jaki na ich zasadzie nakreślił wewnątrz obraz czyli *historyę*.

Sposoby opowiadania i przedstawiania historii różne są. Obraz dziejów już przedstawionym być może wyłącznie w szeregu dat, już w rzędzie dramatów, już w rzędzie oderwanych wejrzeń na główne ich powody i skutki i t. p. Wybór tego albo innego z sposobów tych, tak jak wybór ogólnego przedmiotu, zależy zapewne prosto od dobrej woli autora, i według niej sądzonym być musi. Autorowi, który nam daje księgę o gospodarstwie, nie mamy prawa wyrzucać, czemu nie pisze o muzyce; piszącemu o fizyce, iż nie pisze o metafizyce i t. p.; jeśli wszakże donosząc o nowj książce wskazać mamy: jakie znaczenie, jakie ma zająć miejsce w tój do której przybywa gałęzi, patrzeć na nią oczywiście winniśmy według ostatniego rozwicia tój gałęzi.

Historja, ta nauka, która niegdyś w czasie swego poczęcia zajmowała się wyłącznie faktem, wypadkiem; i nauka wprost jój wtedy przeciwna i zajmująca się wyłącznie oderwaną myślą, teorią, *filozofia*: po swych stopniowych przejściach, rozwiciach, spojrzaly się dalej, zbliżyły i wreszcie zbiegły. Filozofia o tyle dziś tylko za godną czegoś jest uznawana, o ile przechodzi w kraj *praktyki*; historia o ile się zajmuje czynami dziejowymi w związku z ich *myślą*. Ostatnim wypadkiem historii i filozofii, jest ich przejście w nową naukę *historyzofiq*. Ta nauka jest zapewne jeszcze w poranku (1). Od

(1) Do nauki tój ściśle mówiąc, mamy tylko dotąd: *pomysły, przygotowania, introdukcyę, prolegomena, antiprolegomena* i t. p.

działa jednak które przychodzi dziś do gałęzi *historji*, mamy prawo wymagać zbliżenia do niej i względu na nią.

Główną cechą i celem *Historji Rzymskiej* p. Sz wajni- ca, było zapewne nagromadzenie faktów do téj *historji*. Autor wszakże wyczerpując swój przedmiot, i to co do- tąd w przedmiocie tym powiedziano było do ogółu swe- go wnosząc, czynił téż i uwagi wewnętrzne o faktach tych. W obrazie swym kręślił autor charakterystyki osób, charakterystyki epok; w przedmowie dał charakterysty- kę całej *historji rzymskiej*. Książka jego wkracza więc rzeczywiście do sfery *historyozofji*, i tém więcej nie jako *chronologiczna* lub *opisowa*, ale téż jako *krytyczna* oce- niana być musi.

Celem książki *dziejowej* jest dać poznać czytelnikowi dzieje. Te dzieje składa rząd *dramatów*, *dramata* dzia- łające *osoby*, *osoby* i *dramata* łącznie a w swym prze- biegu, pewne większe całości *dziejowe*, zwane *okresy*. Chcąc więc poznać i spojrzeć bliżej na wewnętrzną stronę książki p. Sz wajnica, musimy tu wskazać: 1) Jak autor przelewał w niej w czytelnika swego poznanie, t. j. kręślił charakterystykę *dramatów*, czyli szczególnych obrazów *historji rzymskiej*. 2) Charakterystykę osób, « osób tak pojedynczych, jak i zbiorowych (to jest *klass*, *instytucyj* i t. p.); i 3) Charakterystykę *epok*.

Sceny wielkiego *dramatu*, *rozdziały historycznego ro- mansu*, wtedy tylko właściwie oceniać możemy, kiedy znamy już całość *dramatu*, całość *romansu*; *cząstkowych* podobnie określeń, *charakterystyk* w danéj *historji* wtedy tylko rzetelniej ocenimy właściwość, jeśli pozna-

Filozofie historji *Hegla* i *Fryderyka Szlegla*, same siebie podają za zbiór jeszcze wejrzeń tylko ogólnych i wstępów *cząstkowych*.

my piérwój znaczenie téj historyi. Jakież było rzeczywiste znaczenie dawnéj historyi rzymskiéj? i jak je pojął p. Szwajnie? Czy się z tém pojnowaniem autora zgadzamy, czy różnimy, za obowiązek zapewne mamy wytłumaczyć się najprzód sami, jak? i dlaczego? tak, albo inaczej historyi téj pojnowujemy znaczenie.

Jako krzew z ziarna rozrosły, kończy się lubo na licznych ziarnach, ale na ziarnach; tak ludzkość rozstrzelona z jedności, lubo w ostatnim wypadku ma wydać zbiorową jedność, lecz pewną jedność. Fizyczna i moralna jest ludzkość i taki bieg jój. W biegu tym każdą dobę odznacza równie bieg ciała jak i bieg ducha; lecz w jednéj ma przewagę bieg ciała, a w drugiéj ducha. Piérwój rośnie ciało jednostki, jak myśl jednostki; okres przewagi ciała, miał więc poprzedzić śród dziejów okres duchowy. Okres piérwszy dziejowego rozwicia jakiz więc był? Okres ów, mówiąc praktycznie, miał za misją rozrodzić fizycznie ludzkość, poksztalcic ją na pokolenia, na kraje, i napowrót ją znowu w fizyczną jedność, t. j. pod jedną władzę, w ciało jednego powszechnego państwa połączyć. Okres ten musiał więc wydać w końcu *kraj-narzędzie* swego zadania, kraj, który miał odznaczyć kwiat jego, dopełnić go i zakończyć. Tym krajem był właśnie *Rzym*.

Jakież było imię, nazwisko tego, który ów Rzym założył, piérwszy urządził?

Fakta dziejów, to chwile; byt takich lub innych w życiu danego ludu, dziejowie tak przyjmujemy, jak dalej wychowały, złożyły myśl tego ludu.

Duch dziejów ustalił był podania o czasach piérwotnych Rzymu, wśród Rzymu; i chciał ten duch, iżby owa 1sza doba dziejowa, ta poprzedniość, a przeto figura 2éj, ten a nie

inny rodzaj tych podań, tę a nie inną wiarę w ich prawdę, w treść swą włączyła.

Założycielem miasta, które miało rozpocząć dopełnienie epoki piérwszój, miał być *Romulus*. Urodzony z Westalki, powitany najprzód przez pasterzy, i w niebo wzięty, przed odejściem los i zadanie grodu swego miał przepowiedzieć: „Idź i oznajm Rzymianom, rzekł on senatorowi *Julus* znikając, iż tak podobało się bogom, ażeby Rzym mój stał się głową świata całego” (1).

Przez kogobykolwiek z Rzymian i kiedykolwiek proctwo to zapisaném najprzód zostało, pozostało nam jako wyrażenie uczucia i dowód wiary, iż ich dzieje nie ludzkiéj, ale jakiéjs woli bogów były utworem. O przyczynach potęgi i wzrostu dawnego Rzymu spisano tomy; za przyczynę tę już była kładzioną *cnota szczególna*, już *mgztwo szczególne*, już jakaś szczególna *polityka*, którój się trzymać miał senat. Przyczynę tę zdaniem naszym, oceniali wszakże najlepiej spółcześni, kiedy wyrażając się swym językiem, wprost wołą bogów ją zwali. Z trzech pugórków zrazu złożony, szarpany niezgodą zewnątrz, niezgodą wewnątrz, Rzym raczej na zniknięcie nazajutrz, aniżeli kiedyś na tryumf zdał się być przeznaczonym.

Każda wojna przynosiła mu dalej wprawdzie przysporzenie obszaru; żadna jednak z dobrej woli senatu lub ludu, nie była zaczęta. Kiedy np. *Koryolan* przez zemstę nad ludem przyprowadził nieprzyjaciela pod mury Rzymu, wojna ta była początkiem téj, która dalej dać miała Rzymowi południe Italii. Kiedy *Furiusz Kamillus*

(1) *Abi, nuntia Romanis, coelestes ita velle, ut Roma mea caput orbis terrarum sit. Liv. I.*

uchodząc naraził sam Rzym na zajęcie, wojna ta była początkiem tych, które dały Rzymowi jęj północ (1). Świadek blisko wiekowy losów swojego kraju, dyktator Cyncynat mawiał: „Nie wiem czém się to dzieje, ale bogowie łaskawsi są na nas kiedy prowadzimy wojnę, jak śród pokoju” (2). Polybiusz świadek tych wojen, które niespełna w przeciągu lat 53ch władzę Rzymu z granic Italii prawie do granic ziemi rozciągnęły, w *przedmowie* do ich opisu tak mówi: „Fortuna w tym czasie wszystkie sprawy świata skłoniła ku jednej stronie, i zdało się, iż jeden tylko cel sobie była założyła”. Owa dalej wojna domowa, która już za potęgi rzymskiej, mieszkańców państwa podzieliła była na dwa obozy, 20 senatorów, 300,000 wytepiła krajowców, nie zatrzymała była jednak na zewnątrz losów krajowych. Kiedy Tyberyusz Grachus rozdzieliwszy Rzymian przeciwko Rzymian, padł pośród Rzymu; Scypio burzył Numancyą, przyłączył Afrykę. Kiedy Maryusz przywódzca gminu wszedł do Rzymu jako twierdzy zdobytej, Sylla przyłączył Azyą. Kiedy konsul i zbawca miasta Cyncero był wygnanym przez lud, Cezar Galią zdobywał. Śmierć Cezara była zdało się hasłem stanowczego rozpadnięcia się państwa, i państwo to wnet połączyło się ostatecznie pod Oktawianem. „Cała ziemia, pisze Dyonizyusz Halikarnaski, należy do Rzymu; ziemie na których nie zamieszkują ludzie, te tylko nie należą do Rzymu” (3).

Kiedy w ten sposób dzieje mające odznaczyć, odbić materialny okres ludzkości, z całym zewnętrznym blaskiem, jawnością, cechę tę odkreślały; duch w kraju

(1) Mówimy tu naturalnie o ubikacyach, nie o całościach.

(2) *Liv.* V, 9. (3) *Antiquit. lib.* 1.

wzruszał się także i starał się szczytów dobić, lecz w drodze téj przez ciężką rękę chwili był potrącany.

Italia równie jak Grecya, powstała była z osad, z osad azyjskich (1). Cywilizacya z osad (wędrorców z *celem*), przechodzi zwykle stopniem cywilizacyą matkę. Rzym był częścią Italii i odbił ją. Pierwsze czasy historii Rzymu, ukazują nam miasto poksztalone na klasy i walkę, walkę jednostek miasta o przywilejów jedność. Walkę tę prowadzili lud czyli *plebejanie*, oraz *patrycyuszowie*, odnaczeni rodem zaszczytnym, przywilejem piastowania urzędów, wydawania wyroków, prawa wieszczenia, i odnoszenia korzyści z wojny. Władza królów równoważyła ten bój, i król Serwiusz podźwignął był lud; lecz gdy usunięni zostali następcy Tulla, walka swobodniejszą się stała. Całe prawie pierwszych lat 200 rzeczypospolitój, były tylko pasmem zatargów i bojów dwóch stanów. Plebejanie nie otrzymując skutku swych żądań, ustępowali z miasta na Awentyn, opuszczali wodzów na wojnach, zagrażali wyniesieniem się z kraju i założeniem gdzieindziej nowój osady. Środki ich przeciwników były krwawe: patrycyuszowie niejednokrotnie mordowali obrońców ludu (trybunów), przyjaciół jego stracali ze skały Tarpejskiej, nawet nieprzyjaciół zewnętrznych dla odwetu i zemsty nań sprowadzali (2).

Bieg czasu był wszakże tylko szeregiem ustąpień, które zmuszeni byli czynić patrycyuszowie. Urzęda

(1) Kraje południa Europy, powstały były z osad zachodu Azji, jak dalej północ świata nowego, miała powstać z osad zachodu Europy.

(2) *Koriolan, Caeso, Genucius, Spurius Melius, Manlius Kapitolński* i t. p.

w Rzymie pierwotnie były bezpłatne, i lud nie dopominał się zrazu o prawo urzędów; pierwotne domagania się gminu były: otrzymanie obrońców, małżeństwo podług obrzędu Kwiryków (1), równość prawa do podziału ziem zdobywanych i t. p. Lecz gdy następnie stan średni (to jest mieszczaństwo pochodzenia plebejowskiego) wzrosło w dostatki, gdy owe przywileje żądane, a zwłaszcza (po ustąpieniu powtórném na Awentyn) przywilej *komicyj gminnych* został zyskany; rozpoczęła się też walka o *dostojeństwa*. Nowe prawa równie stopniami były uzyskiwane. Tak śród innych r. 374 (przed erą chrześ.) prawo Licyniusza *Stolona* postanowiło: iż jeden z konsulów może być z plebejan; roku 340 prawo *Genucjusza*, iż mogą być oba; r. 338 prawo (sławne w tradycyi ludu) *Petyliusza*: iż odtąd plebejanie nie mogli być w niewolnictwo obracani z powodu niewypłatności; tegoż roku prawo *Publiuszą*: iż z dwóch cenzorów jeden winien być z ludu, i że uchwały komicyj gminnych mają obowiązywać lud cały; i wreszcie roku 287 prawo *Hortensjusza*: iż przedmiotem tych uchwał gminu mogą być nie tylko sprawy gminu, lecz sprawy obchodzące cały lud rzymski. Prawo to było okresem; przywileje klas i jednostek odtąd porównane zostały; lud rzymski na komicjach swych na Marsowém polu zebrany, stanowiął odtąd wszechwładnie o pokoju i wojnie, o sprawach i losach państwa. Czynność ludu obrócona jednomyślnie na zewnątrz, wewnątrz na długo nie miała już pola i żywiołu rozterek. Plebejan i patrycyan nazwiska przeciągały się tylko tradycyjnie, a ich miejsce zajęło

(1) *Connubia cum auspicio majorum seu Patrum*; p. Sz wajnic jest zdania, iż domagano się o *Connubia cum patribus* (z patrycjuszami).

nazwisko *obywatela rzymskiego*. Był téżto czas kwiatu cnót rzymskich, czas głównych zwycięstw i wzrostu potęgi państwa. Zwycięstwa te i tryumfy mniej jednak pożądaný owoc dalej wydały.

Prawo do obywatelstwa rzymskiego mieli tylko Rzymianie i obwód, oraz niektóre miasta szczególne (*municipia*); o prawo to dobijać się dalej zaczęła reszta Italii, prowincye dalsze. Śród Rzymu powód do rozterek zrodziły bezpośrednie skutki zdobyczy. Już prawo Licyniusza Stolona dla uskromienia przewagi patrycyan zastrzegło było: iż nikt z Rzymian nad 500 morgów własności posiadać nie ma. Prawo to, które naruszył pierwszy sam Stolon, w wykonanie nie weszło, a wojny, podboje świata, liczne wnet kolosalne mienia śród kraju stworzyły. Te mienia zrodziły téż dalej obok: widok przeciwnéj ostateczności. Moźnowładzcy poskupywali sąsiednie majątności małe, a posiadacze w krajach podbitych *mass* ziem i niewolników, obchodzić się mogli bez usług swych spółkrajowców. Stan średni stanowiący równowagę zniknął; kraj złożyła tylko klasa bogaczy i proletaryat (1). Bez roli, bez pola do zarobku, lud rzymski rozpoczął był więc na nowo walkę przez swych obrońców. Miejsce poprzedniéj walki gminu i rodowładztwa, zajęła walka nędzy i mieniowładztwa.

Walkę tę rozwinęli najsilniéj za epoki trzeciéj wojny punickiéj: Tyberyus i Kajus Grachowie. Domaganiem się Grachów było: przywrócenie prawa Stolona; przewyżki od 500 morgów roli w pojedynczych własnościach rozdzielenie pomiędzy lud; uzdolnienie ludu do pracy, przez

(1) *Proletarii* zwani byli śród Rzymu ci, którzy nie mogąc ani denarem wesprzeć skarbu i wypraw wojennych, mogli tylko być użytecznemi krajowi potomstwem (*proles*).

zakupienie narzędzi rolnych za summy zapisane świeżo Rzymowi przez króla Pargamu; nałożenie podatku od zbytków; znizenie cen od głównych przedmiotów konsumcyi it. p. Tyberyusz i Kajus Grachowie padli oba pod ciosami możnowładców i ich stronnictwa, (pierwszy z ręki zapłaconej przez własnego szwagra Scypiona Narykę). Stronnictwa możnowładztwa i ludu jednak nie znikły. Stronnictwa te uosobiły się dalej w walce *Maryusza i Sylli*, oraz *Juliusza Cezara i Pompejusza*. „Bez głowy i mowy”, jako ktoś rzekł z nam współczesnych, ale zrazu dziecko szczęścia Pompejusz, był ostatnim przedstawicielem, oraz ostatnim obrońcą dawnego stanu rzeczy i patrycyatu. Przywódzca i protektor proletaryatu Juliusz Cezar, pokonał Pompejusza i wszedł do Rzymu. Juliusz Cezar wprowadził w wykonanie prawo rolne Stolona i Grachów, zniósł długi, zniżył komorne, przywrócił (zniesiony jeszcze po zwycięztwie Sylli) trybunat; sam też za to najwyższym trybunem, rozkazodawcą (Imperatorem) i dożywotnim dyktatorem przez lud obwołany. Spisek, na czele którego stali patrycyuszowie Brutus i Kassiusz, usunął władzcę; lecz go zastąpił wkrótce z temiż przywilejami i temiż tytułami *Oktawian*. Następca Oktawiana *Tyberyusz* wzbraniał się władzy, lecz go do przyjęcia jój zagnił sam senat. „Rzeczypospolita, rzekł mu ofiarując koronę senator Asinius Gallus, jest jedném ciałem; winna też przeto mieć jedną głowę.” (*Tacyt. Annal.* 1).

Rzym odtąd stał się pasmem wypadków zewnątrz jeszcze świetnych, pstrych, jasnych, lecz wewnątrz martwych. Stary duch rzymski, dawno w starój swój wierze, w cnotach jój zgasły, po dopełnieniu swych zadań, przeciągał jeszcze czas jakiś roślinne życie, i wreszcie zmalawszy do końca, upadł i skonał.

Jak o przyczynach wzrostu, tak i upadku Rzymu spisano tomy. Przeciagające się do dni naszych w swym gruncie, poksztalcone za owęj epoki dawnęj stosunki i działy, przeciagają téż i rząd uwag w ich duchu.

Przyczyną upadku Rzymu było, twierdzą dziś jedni, rzymskie gminowładztwo.

Przyczyną upadku Rzymu było, twierdzą znowu inni, rzymskie możnowładztwo.

Nasze zdanie wyraziliśmy już. Przyczyny tak upadku jak blasku Rzymu śród jego starego okresu, leżały w ramach okresu.

Podstawą zakwitnienia i trwania owych stosunków wewnętrznych, do jakich dążył, jakie chciał urzeczywistnić długo lud rzymski, mogła być tylko istotna społeczna cnota; a lud rzymski nie wiedział co to jest cnota.

Cnota społeczna to miłość, a lud rzymski nie wiedział co to jest miłość.

Wyobrażenie cnoty śród Rzymu, leżało w potrzebie missyi epoki, kraju. Główną cnotą śród Rzymu było *rycerstwo*; rycerstwo i cnota, byłato jednoznaczność w języku rzymskim (*virtus*).

Za wieku żywszych jeszcze tradycyji pierwotnych, za wieku wiary, była wprawdzie u Rzymian większa niż u innych ludów społeczesnych *bojaźń bogów*; ta bojaźń bogów i piekieł, jak uważa Polybiusz, większy téż pośród Rzymu za epoki owęj rząd prawości, niżeli gdzieindziej wydała (1); ale byłato także bojaźń, nie miłość.

Jedyną jaką Rzymianin znał miłość, byłato miłość siebie, swęj chwały. Bohaterowie Liwiusza poświęce-

(1) Polib.

nia się czyniąc, nie mówią o innych ich celach, jak tylko o chwale swojej, swego imienia (1).

Patrycyuszowie, jak to dopiero widzieliśmy, drugą część swego kraju uważali jedynie jako stworzoną dla siebie pomoc dla zdobywania uciech i owęj swęj chwały. Lud wiedli na wojnę bezpłatnie, za długi go katowali, albo w niewolnictwo obracali (2). Uważali go owszem za jakies przez innych nawet bogów rządzone utwory (3).

Patrycyuszowie nie zrzekli się, nie ustąpili ludowi najmniejszego z swych przywilejów z miłości, lecz tylko z musu. Rzymianin, który nie umiał jeszcze śród kraju, tém więcej nie mógł umieć za krajem, oglądać brata. Miasta swych przeciwników Rzymianin nie zajmował gdy je zdobywał, ale je burzył; ludzi w krajach zdobytych (bez względu na przymioty ich, możność), w niewolników obracał. Typ starorzymskiej cnoty Kato starszy (kochanek *potajemnych* niewolnic), póty nie usnął, póki nie wyjednał, nie ujrzał zrównania z ziemią wielkiej Kartaginy, której jedyną winą było, iż była hołdowniczką Rzymowi. Wszyscy obywatele rzymscy cieszyli się wprawdzie w końcu bez różnicy pochodzenia i mienia, jednością przywilejów i praw; lecz tylko *obywatele rzymscy*. Na stu milionach ludności, składających za dni ostatnich rzeczypospolitęj państwo rzymskie, tylko dwakroć lub trzykroć sto tysięcy miało udział w tych

(1) „En tibi ut sentias „mówi w Liwiuszu Scewola, kiedy kładł w ogień rękę” quam vile corpus sit iis, qui *magnam gloriam* vident.” *Liv.* 11, 12.

(2) „Jeżeli dłużnik plebejusz niewypłatny, niech pokrajają ciało dłużnika” mówiło prawo XII tablic.

(3) Były u Rzymian *Dii Majorum gentium* i *Dii Minorum gentium*.

przywilejach; resztę świata i resztę ludzi uważali Rzymianie tylko jako zbiór istot stworzonych dla łupu prokonsulów i patrycyuszów.

W państwie tak ukształconém, mogło stać się, zakwitnąć, porównanie jednostek? ich praw? Mógłże osiągniętym być pokój? i mógłże żądanym być pokój?— Pokój który w okresie innym jest głównym środkiem i bodźcem do wznoszenia i szerzenia owoców ducha; wśród Rzymu stworzył tylko ciemność i zniewieściałość.

Dla ducha starego Rzymu i jego państwa, iżby mógł kiedyś zakwitnąć, iżby się w owe zjawiska do jakich zrazu z przeczucia dążył, mógł oblec, wiele potrzeba było. Duchowi temu było potrzebném odnowienie i przedrodzenie. Nie zwycięstwo Maryusza lub Sylli, Pompejusza lub Cezara było mu potrzebne, lecz—*chrzest*.

Ta missya i to w ostatku znaczenie starego Rzymu, missya połączenia różnorodnych krajów w kraj jeden, i źródło jego upadku w potrzebie przemiany ducha, zbyt jawne były, iżby niejednokrotnie dostrzeżone i zapisane już nie zostały, zwłaszcza w tych czasach ostatnich; zapisał też je i p. Sz wajnic. Całość historyi rzymskiej autor właśnie w tym duchu pojął, i wyraził to jasno w przedmowie do dzieła, krótkiej ale treściwej. Podzielamy to wyrażenie zupełnie, i co do nas, wyjaśniliśmy właśnie dlaczego? Charakterystyka wszakże całości danej historyi, nie ścieśnia się do oderwanego jój określenia. Obraz danej historyi składają szczegóły, części, któremi, jak rzekliśmy, są: czyny osób, dramata z osób, harmonijne okresy po sobie idące. Taki więc a nie inny widok tego obrazu ukształcić może dopiero taki, a nie inny widok tych jego części.

Charakterystyki dramatów, osób, okresów, w *Historii Rzymskiej* p. Sz wajnica, nie są wszakże, zdaniem naszym, w harmonii ze skróconą przezeń ogólną; charakterystyki te nawet w swém oderwaniu, nie czynią owszem zadosyć swemu celowi.

Dzieje, jestto zbiór ludzkich czynów, a przeto *dramatów*. Dostrzeżenie w rozwiciu się dziejów: całości szczególnych dramatów, i samo przedstawienie ich żywe, stawać może za wszelkie nawet teorye i wszelkie rozumowania. Księgi np. dziejów ludu Izraelskiego (biblijne), które opowiadają te dzieje w szeregu najprostszych dramatów, o stosunku wszakże jednostek ludzkich do siły twórczej, o sile téj, mówią i uczą dobitniej, niż najwięcej mistyczne księgi innych stron wschodnich, niż nawet rozumowania późniejsze filozoficznych szkół greckich.

Zajęty pojedynczemi faktami, ich zbiorem, rozbiorem, p. Sz wajnic nie miał wcale na oku łączności ich; i rzecz można, nie kręślił szczególnych dramatów w swojej historii. Skutek ten był naturalném następstwem usposobienia, chcemy rzec: natury myśli autora.

Pierwszém źródłem pomysłu kręślenia *obrazu*, być musi *uczucie*. P. Sz wajnic zaś przy wykładzie szczegółów dziejów swych, nie przejmował się wcale ich uczuciem.

Że autor nie był rzeczywiście przejęty uczuciem swego przedmiotu, co do nas, widzimy to już w samej stronie zewnętrznej jego wykładu. Trzy tomy *Historii Rzymskiej* p. Sz wajnica nie mieszczą np. w swych ramach tych szczegółów, jakie dziś każde prawie dokładne dzieło dziejowe, odbijające zamiłowanie przez autora swego przedmiotu, i chęć przelania go w czytel-

nika, z sobą przynosi. P. Szwajnic krytycznego swego wykładu według źródeł i nowych badań nie poprzedził opisem tych źródeł, tych badań, ocenieniem ich, wydań których używał i t. p.; do dzieła swego historycznego nie dołączył karty geograficznej, nie zakończył go wykazem alfabetycznym. Przedsięwziąwszy dać poznać obraz narodu i państwa rzymskiego od pierwszych czasów do wieku Vgo ery chrześcijańskiej, wyrzucił autor masę szczegółów, faktów; lecz w cząstkach tego obrazu żadnych proporcji, szyku, nie zdawał się widzieć i nie przedstawił.

Układ i przedstawienie faktów w Historji p. Szwajnicca, jeżeli nam to pozwoli powiedzieć autor, jest owszem *arcydziełem bezszyku*.

Historja ta niepodzieloną jest ani na *księgi*, ani na *rozdziały*, ani nawet na *okresy*; lub owszem, autor nie dzieli jej na okresy w tomie 1szym i do połowy tomu 2go, od połowy zaś tomu 2go zaczyna podział na *okresy*. W jednych epokach opowiada piérwój dzieje zewnętrzne a potóm wewnętrzne, w innych zmienia porządek i opowiada piérwój wewnętrzne, a potóm zewnętrzne. W opowiadaniu tém czyni wprawdzie pewne oddziały i daje im napisy; napisy te jednak ani jakichś harmonijnych cząstek obrazowości, ani nawet czasu i rzeczywistego przedmiotu do których się zdają odnosić, nie odznaczają. Autor np. swój historyi Italji nie poprzedził opisem pierwotnych pokoleń Italji; mówi jednak o nich i szczegółowie, lecz te opisy dopiéro przy końcu 1go i początku 2go tomu swój Historji, pomiędzy te i owe rozdziały przygodnie porozmieszczał. Pod panowaniem królów, konsulów i decemwirów, autor mówi obszernie i szczegółowie o ich urządzeniach we-

wewnętrznych; prawu XII tablic i kilku innym oddzielne rozdziały poświęca; lecz dopiero po ukończeniu okresów tych (na str. 105 tom II), daje po raz pierwszy oddział z napisem *Prawodawstwo*, poświęca mu kilka wierszy, i donosi w nim tylko: iż Rzymianie od czasu królów zajmowali się prawodawstwem. Pod okresem złotego wieku literatury rzymskiej, t. j. za Augusta, oddział noszący napis: *Nauki, Umiejętności i Sztuki* (III, 12.) nie nie mówi o tych naukach i sztukach; przeciwnie oddział noszący napis: *Nauki, Umiejętności i Sztuki* pod okresem dziejów wewnętrznych za Antoninów (III, 189) mówi szczegółowiej o poetach i mówcach wieku Augusta; oddział znowu tuż po nim idący, równie anachroniczny i prawie jednobrzmiący, mieści przedmiot i napis: *Stan nauk za Augusta*. O religii rzymskiej za Cezarów, mówi autor pod okresem wojen samnickich; o prawodawstwie cywilnym za rzeczypospolitą, pod artykułem: *Prawodawstwo za Cezarów* (III, 182); o neoplatonikach żyjących po Dyoklecyanie, pod okresem: *Nauki za Dyoklecyana*; o historykach z wieku Augusta: *Dyonizyzuszu, Diodorze, Strabonie*, pod oddziałem noszącym napis: *Poezya za Antoninów* i t. p. Nie zarzucamy tu oczywiście brak faktów, ale tylko szyk ich. Historia p. Szwajcya pod względem szyku w niej faktów, jest podobną, rzechyśmy mogli, do mieszkania w które się wprowadziło świeżo gospodarstwo nowe; jest w niem wszystko co jest potrzebne do ubrania i zapelnienia mieszkania, ale nie na swoim miejscu nie stoi (1).

(1) Użyteczność Histor. Rzym. p. Szwajcya jako nicobrazowej, może być głównie podręczną; przy tém jednak nierozdzieleniu faktów ani chronologicznie, ani systematycznie, przyzna autor, że był przynajmniej potrzebnym wykaz abecadłowy.

Prócz bezszyku, brak uczucia w autorze zdradza nam także powtarzanie się. P. Sz wajnic tak dalece nie przejmuję się tém co kręśli, iż jedne i też same myśli, też szczegóły, fakta, po kilkakroć przed czytelnikiem w tychże smyich słowach powtarza. W tomie II np. znajdujemy na str. 102 i 322 oddziały pod napisem: *Religia*, i w obu też prawie szczegóły i myśli o dawniej rzymskiej religii. Idące po sobie pod każdym okresem oddziały w dziejach wewnętrznych, nosząc (jak to właśnie w części widzieliśmy) prawie jednoznaczne napisy, powtarzać oczywiście muszą też szczegóły: każdy okres zawięra np. oddziały: *Nauki, Umiejętności i Sztuki, Stan nauk, Poezja, Wymowa, Historia* i t. p. *Prawa, Prawodawstwo, Prawo zasadnicze* i t. p. Powtarzaniu te są równie, i owszem dobitniejsze są jeszcze w opisie faktów zewnętrznych. Sprowadzenie np. Eskulapiusza z Epidauru, opisuje autor w tychże prawie wyrazach po czterykroć (II, 294, 325, 339; III, 237). Sprowadzenie Cybeli II, 588 i 589 (prawie na téjże karcie). Zawarcie i wylczenie tychże warunków pokoju z Mitrydatesem II, 641 i II, 643. Zumordowanie trybuna Gemcyusza I, 170 i I, 173. Na str. 157 tomu I zakończenie opisu wojen z Ekwami, na str. zaś 179 znowu poprzedni ich opis. Wybiérając z przykładów licznych, wskażemy wreszcie na ostatni rozdział tomu I, noszący napis: *Wyprawy wojenne za Gallów*; oddział ten niezajmujący więcéj jak stronicę, złożony jest przez połowę z tekstu, przez połowę z przypisku; a jak w przypisku, tak w tekście też same myśli, cytacye, też prawie słowa czytamy (1).

(1) O tych i tym podobnych szczegółach nie wspominalibyśmy nawet, gdyby się zdarzyły przygodnie; lecz powtarzając

Brak równy uczucia faktów, łączenia ich, sprawi więc musiał, i jak już rzekliśmy, sprawił: iż autor w rozwijaniu swych dziejów nie przejmował się obrazowością, nie kręślił dramatów. Obrazowość w *Historji* p. Szwajcnica zastępują fakta rozsiane. W opowiadaniu swém autor przywiązuje się tylko zwykle do jakichś szczegółów drobnych i oderwanych, rozbióra je i toczy spór o nie, a nie myśli o całych obrazach. Grupowanie osób i faktów, i grup oddzielanie, jest prawie zupełnie obcém pióru autora. Ta cecha sprawi: iż tak w dziejach zewnętrznych jak i wewnętrznych *Historji* autora, główne oddziały, obrazy, bez wyraźnego widoku, bez wrażenia obrazowego stają i pozostają. W oddziałach np. o *Religii* i *Prawie*, czytelnik znajdzie wprawdzie w *Historji* autora niejednen szczegół, którego naprózno by szukał w wielu innych historyach; jak np. o drobiazgowych obrzędach kapłanów rzymskich, o historyi szczególnych ustaw i t. p., a jednak nie znajdzie tego, co charakteryzującém jest więcej każdy z oddziałów tych, i co przecież główném być musi, gdy o niém może nauczyć każde kompendium. Z oddziałów o religii, czytelnik nie pozna np. nazwiska żadnego boga, którego czcili Rzymianie; z oddziału prawa: gdzie? kiedy? przez kogo zbierane? czém zajmujące się bywały komicye? jakie były nazwiska ich uchwał, co były? a nawet, iż były: owe np. od senatu idące, najprzód ludowi znane (senatus consulta, plebiscita) i t. p. Co do wypadków wreszcie zewnętrznych, autor lub się zajmuje wyłącznie kręśleniem postaci szczególnych, lub sprzeczką o jakowyś fakt

sic przez cały ciąg pisma, niszczą (zwracamy uwagę) obrazowość w historyi.

oderwany (1), lub wreszcie, i to jest najczęstszą treścią dziejów autora, opisem wojen. Całe karty, całe długie rozdziały w Historji autora, zajęte są wyłącznie opisem wojen, to jest wszystkich szczegółów ich, jako: marszu wojsk, kwaterek, zajmowania pozycyj i t. p., opisem, który dla czytelników tém więcej jest próżnym i martwym, iż autor, jak rzekliśmy, ani geograficznój karty do dziejów swych nie dołączył, ani nawet dziejów swych geograficznym opisem Italii nie poprzedził.

Dramatyczność, mówienie przez akcyą, nie jest więc wcale cechą Historji Rzymskiej p. Szwajnica. Autor jednak, jeżeli nie przez obrazy, zajmuje się wiele przez słowa kręśleniem charakterystyk. W opowiadaniu swém kręśli charakterystyki postaci szczególnych, osób zbiorowych, epok i t. p.

Cecha, która odznacza charakterystyki osób (a osób tak szczególnych jak i zbiorowych) w wykładzie p. Szwajnica, musi naturalnie być taż, która towarzyszyła i kręśleniu obrazowości: brak uczucia całości przedmiotu, i pamięci na czytelnika (wrażenie). Charakterystyki, które autor czyni danego przedmiotu, lub więc są zapisaniem tylko niektórych jego warunków a nie ogółu ich, lub téż zebraniem wszelkich zdań o nim, chociażby sprze-

(1) Widzieliśmy to już, i tu jest właśnie miejsce powtórzyć: iż autor w dziele swém toczy zwykle sprzeczki krytyczne tylko o jakieś drobne i oderwane fakta, nie o ich łączność. Autor np. spiera się o to z Niebuhrem: czy pobudką do prawa Stolona była jego żona lub siostra? (II, 2); czy po bitwie pod Gaurem (przeciw Samnitom) Rzymianie korzystne lub niekorzystne zajęli stanowisko (II, 65)? Chociaż przy kręśleniu i ocenianiu bardziej stanowczych dla obrazu, dla dziejów Rzymu szczegółów, jak np. całości jego dziejów pierwotnych, bytności królów, składu i istoty ciał prawodawczych i t. p. autor nie wymieniał nawet: iż istniały i istną różniące się zdania.

cznych, bez względu na wypadkowość. W charakterystykach tych, a mianowicie charakterystykach osób zbiorowych (jako *klass*, *instytucyj* i t. p.), o których tu najprzód powiemy, mamy najpierw do zarzucenia autorowi ten szczegół, który też głównie szkodzi innym częściom jego wykładu, to jest: wychodzenie z przypuszczania poprzedniej już wiadomości przedmiotu, o którym ma być mowa, w swym czytelniku.

Autor, jak w swém ogólném wyjęciu, tak i w szczegółach zaczyna zwykle od wniosków, nie powiedziawszy czytelnikowi ich przyczyn. W zaczęciu np. opowiadania swego o pierwotnych dziejach rzymskich, autor mówi: „Etrurya nie była kolebką Rzymu” (czytelnik dziwić się musi, iż mu autor mówi nie o tém co było, lecz co nie było). Wprowadzając dalej na scenę w opowiadaniu jaką figurę nową, urząd, jaki obrzęd i t. p., autor wspomina o nich najczęściej, jakby o dawno już znanych czytelnikowi (1).

Wychodzenie to z przypuszczania poprzednich wiadomości, jest stanowczo szkodzącém wykładowi Historji p. Sz wajnica. Czytelnik nie jest obowiązany bynajmniej do tych wiadomości; na to owszem czytelnik nabywa książkę, na to przybywa książka w danej literaturze do danej gałęzi: iżby czytelnika tej gałęzi zaznajomiła z przedmiotem, który obraca. I najobszerniej ze szczegółami przedmiotu danego oznajomiony czytelnik, może owszem lub nie wiedzieć o wszystkich, lub je tracić z pa-

(1) Tak np. zaraz na początku tomu I, str. 55 o *Fuffecyuszu*; str. 93 o *Porsenie*; str. 925 o kościele *Janusa*; na str. 82 w przypisku i tekście ocenia i rozbięra autor postępek *Tulii* względem ojca, a nie mówi na czém zależał; wnet podobnie o *prawie rolném*, o *stanowićcém grzywny* i t. p.

mięci *śród chwili*; *tém* więcéj nieobowiązany jest do odgadywania poprzedniego przebiegu własnéj myśli autora. Autor przyzna, że każdy najoderwaniéj nawet swój przedmiot traktujący pisarz (np. w zakresie historii rzymskiéj), nie wyprowadzał nigdy na scenę osób nie opowiedziawszy kto one? nie przystępuje do twierdzeń, do wniosków, nie uprzedziwszy piérwéj: w czém? dla jakich powodów? *śród* jakiego stanu kwestyj je stawia.

Cecha ta odznacza jednak właśnie i wszelkie prawie czynione przez autora charakterystyki klass, instytucyj i t. p.

Jakże np. daje autor poznać czytelnikowi kto byli *patrycyuszowie*? co były *kurye*? *senat*? *komicye*? rodzaje komicyj? i t. p.

Okréślając p. Szwejnic znaczenie patrycyuszów, których nazywa *rodowi*, tak mówi: „*Wieszczba* była różnicą między *rodowymi* i *ludem*; kto prawo wieszczby posiadał, ten wywodził ród z nieba, był patrycyuszem. Romulus nie stworzył téj różnicy między mieszkańcami. Dawne prawa, stosunki i obowiązki wzajemne między nimi, ustalały się tylko i ukształcały pod jego panowaniem. Tak téż dzieje wykazują. Rodowi jako wolni piastują dostojęństwa kapłańskie i świeckie. Plebejusze byli na mozolne prace skazani.” 1—36.

„Kto prawo wieszczby posiadał, mówi autor, był patrycyuszem.” Wyjaśnienie to podobne jest do tego, gdyby ktoś na zapytanie: co znaczył u Rzymian król, odpowiedział: „ten, przed którym chodzili ceklarze czyli liktorowie, był królem.” Patrycyuszowie posiadali istotnie prawo wieszczby, lecz pytanie jest właśnie, kto posiadał to prawo? Byłzeto naród w narodzie? czy lud pierwotny? klasa? kasta? przywilej? i t. p.

Któż rzeczywiście byli patrycyuszowie? *Liwiusz* mówi, iż Romulus utworzył stu senatorów, ci dla zaszczytu nazwani zostali *patres*, a potomstwo ich patrycyuszami (1). *Dyonizyusz*: iż Romulus ludzi bogatszych patrycyuszami, uboższych plebejuszami nazwał (2). Ta niejedność w dwóch świadectwach, dwóch pisarzy źródłowych w ich zdaniach, powiodła do szukania trzeciego. *Vico*, który był podzielił dzieje rzymskie jak *Manethon* egipskie na wiek bogów, wiek bohaterów i ludzi, sądził, iż patrycyuszami byli ci wszyscy, którzy żyli za wieku bogów (to jest pokoju pierwotnego). *Niebuhr* także: iż wszyscy pierwotni Rzymianie składali *gens* (t. j. cały ród rzymski), i że dopiero ludy podbite za Anka Marcyusza, złożyły *plebs*. P. Sz wajnic, jak widzieliśmy, tak od tych wykładów, jak i od pierwszych świadectw różni się i twierdzi: iż rozdział na plebejan i patrycyuszów na długo przed Romulusem już istniał. Nie czynimy zarzutu z opinii (jak uprzedziliśmy), ale przyzna nam autor, że przynajmniej wykład jego (złożony z wniosków), nie skłania na swoje stronę. „Romulus, mówi autor, nie stworzył podziału ludu na plebejan i patrycyuszów.” Czytelnik nie zaprzeczy temu, gdyż mógł nawet nie wiedzieć, iż to przypisywanem jest Romulusowi; twierdzenie jednak następane: że „rodowi jako wolni piastują dostojęstwa, a plebejanie są skazani na ciężkie prace” nie wiemy dlaczego ma być dowodem, iż ten rozdział już istniał przed Romulusem, i że nie mógł równie nastąpić za albo po Romulusie (3).

(1) *Livius* 1, VIII. (2) *Antiquit. lib.* 1.

(3) W określaniu znaczenia patrycyan i w ogóle wielu szczegółów dziejów pierwotnych rzymskich, podzielił p. Sz wajnic wykład poprzednika swego, autora *Historji Rzymskiej*, wydanej

„Kurye, mówi autor, mające źródłostów spólny z Kwirydami, były siedliskiem świętości, ofiar, religii, obrzędów” 38. Czytelnik pyta się jednak: ale cóż były te kurye? byłżeto urząd? sejm? kasta? kto składał je?

„Do senatu, mówi autor dalej, praw początkowanie, uchwał sejmowych potwierdzanie, przez kilka wieków należało” 38. Lecz zkądże powstał ten senat? czém był? kto go składał? i t. p. O *komicjach* i głównych rodzajach *komicyj* (przez kurye, centurye i tryby), o tych głównie żywotnych częściach ciała państwa rzymskiego, o ich składzie, istocie, znaczeniu i t. p., autor nie prawie nie mówi, t. j. w niczém istoty ich nie objaśnia. Autor wypuszcza tylko rząd pomysłanych poprzednio i utworzonych przez siebie nomenklatur: *sejmy rodowe*, *sejmy zbrojne*, *sejmy przez setnictwa*, *willkierze*, *sejmy okregowe* i t. p. (1), nie uprzedziwszy, do zastąpienia ja-

w Warszawie w r. 1824, p. profesora Zinserling. P. Zinserling jednak wylicza przynajmniej przyczyny, dla których *patres* miał za *kaptanów*, a istnienie ich za poprzedzające Romulusa.

(1) P. Szwanjnic w opowiadaniu swém dziejów rzymskich, używa wyrazów rzymskich: *senat*, *trybun*, *dyktator* i t. p.; niektóre jednak wyrazy przekłada na brzmienia polskie i tak je używa. Zamiast np. wyrazów *patrycyusze*, *komicyje*, *procent* i t. p., autor używa stałe wyrazów: *rodowi*, *sejmy*, *stowe* i t. p. Przekład wyrazów obcych już używanych, lecz obojętnych, może być obojętnym; ale przezwanie nazwisk stanów, urzędów, instytucyj i t. p. narodowości jakiej właściwych, językiem narodowości obcej, nie wpływa na wyjaśnienie tych nazwisk. Tłumaczenie nazwisk właściwych według źródłostowu, może nam wyjaśnić znaczenie tego wyrazu źródłostowowie; lecz nie ten odcień znaczenia, jakiego źródłostów tej w danej historyczności nabył. Zebrania np. nam społeczne krajowe: *kongres*, *parlament*, nie tłumaczymy przez *sejmy*; nie tłumaczyliśmy także nigdy nazwisk *parów*, *lordów* i t. p. tém mniej jest więc zdaniem naszym właściwem (jakiebykolwiek autor znajdował w innych językach przykłady), tłumaczyć o nomenklatury, których brzmienie i znaczenie zewnętrzne jest powagą wieków utarte, i których zkądinąd istota, t. j. znaczenie we-

kich nomenklatur łacińskich mają służyć? i w raz utworzonych przez siebie nie trzymając się stale jedności, tak, iż zrozumieć obrazy autora, a tém więcej iść za polemiką jego co do tych obrazów, czytelnikowi niepodobnem jest prawie. Przypuszczanie jakowychś poprzednich wiadomości, o jakiem dopiero rzekliśmy, i w tych właśnie wykładach jest cechą. Na str. np. 241 t. 1, mówiąc o reformach za Serwiusza Tuliusza, które przemieniły skład państwa rzymskiego, autor pisze: „Podział Serwiusza Tuliusza nosi na sobie piętno wojskowości, i ta cecha okazuje się w wyrazach: klasa, setnictwo, w sposobie zwoływania sejm, samym sejmie, który jest narodem zbrojnym, wojskiem i t. p.”. Że podział Serwiusza Tuliusza nosił na sobie piętno wojskowości, autor widzimy objaśnia przez to, co właśnie głównie

wewnętrzne jest przez te wieki zatarte. Dlaczegoż np. p. Sz wajnic komicye przez kurye zowie *rodowym*, a komicye przez setnie *sejmem zbrojnym*? jak pogodził to ze swym z innéj strony wykładem dziejów wewnętrznych? Dzieje świadczą, iż lud rzymski zbierał się od czasów pierwotnych na komicye, czyli wspólne obrady przez kurye, a od Serwiusza Tuliusza przez centurye. Komicye przez centurye czyli przez setnie, równie jak komicye przez kurye, składał wprawdzie cały lud rzymski; głosowanie jednak na tych komicyach było nie przez głowy (*viritim*), jak na komicyach przez kurye, ale właśnie przez setnie, a ilość setni (znaczenie których nie oznaczało wewnętrznie liczby), największą była w klasie Iszój, t. j. najzamożniejszych obywateli; komicye te, uważane więc były przez wielu za podźwignienie i pierwszy krok przewagi wśród Rzymian możnowładztwa. Lecz tę ustawę Serwiusza lud rzymski uważał za źródło, za początek przewagi własnej. Czemu? Według wykładu Niebuhra, rzecz tak się miała: Naród rzymski dzielił się pierwotnie na *gentes* czyli familie, a pewna liczba familij składała kurya; komicye zebrane proz kurye, składały się więc istotnie z całości narodu; lecz gdy dalej ludy podbite złożyły nową klasę, klasę plebejan, skład kuryi stał się arystokracją krajową. Podział więc przez Serwiusza całego narodu na setnie i powołanie go na obrady przez setnie, wcieliły w żywioł ich i ogół no-

objaśnienia potrzebowało; czytelnik bowiem po raz pierwszy słyszy tu o jakichś setnictwach, *klassach*, i jakimś sejmie. Szczegóły zaś, które autor podaje niżej o tymże sejmie, są także opisem raczej niektórych cech jego, wniosków autora, nie zaś jego istoty, przyczyn tych wniosków i t. p. Na str. 241 t. I, po opisie drugiego ustąpienia przez lud na Awentyn, autor dodaje: „Ważniejszém dla ludu było prawo stanowiące powszechność wilkierzy; uchwały sejmów okręgowych obowiązywać miały cały naród”. Czytelnik dowiadyuje się tu, iż sejmy okręgowe miały obowiązywać cały naród, a nie słyszał co są te sejmy? z kąd i kiedy się wzięły? czém się różniły od zbrojnych? kto składał je? Czy wyłącznie lud? czy rycerstwo? czy lud i patrycyusze z okręgów? kogo obowiązywały dotąd? i t. p. Autor w ciągu swojej Historji podobnie o niejednym wspomina

wych plehejan. Lecz p. Sz wajnic nie przyjmuje wykładu Niebuhra co do ukształcenia się *plebs*, dopiero za królów (1. 74), i jest zdania, iż już istniał przed Romulusem; kurye nadto ma za ogół narodu (1. 38). Sejm przez kurye dla czegoż więc nazwał wyłącznie sejmem rodowym? Z określał komicy przez kurye, które nas doszły z pism *Warrona*, *Geljusza* (pisarzy dawniejszych nawet niż *Liwiusz*), nie widzimy bynajmniej, iżby w nich udział mieli sami patrycyuszowie. Komicjom przez centurje dał autor nazwisko sejm zbrojny. Dla czegoż jednak? Czyli dlatego, że ci wszyscy, którzy składali ten sejm, do służby wojskowej byli obowiązani? Lecz sejm tego nie składała klasa VI *Liwiusza* (proletaryat), a zdaniem autora i proletaryat służył wojskowo. Czy dlatego, iż, jak utrzymuje autor, lud na ten sejm zebrany zbierał się zbrojno? Lecz zdaniem innych było owszem warunkiem, iżby się lud na ten sejm zebrany (stojąc pod chorągwiemi swoich centurj), zgromadzał niezbrojno. Z przekazanych nam takich lub innych nazwisk starożytnych *klass*, instytucyj, mamy zapewne prawo czynić domysty o ich składzie, istocie wewnętrznej, ale nie mamy prawa z zasady potworzonych przez nas o tej istocie domysłów, nadawać im od siebie nazwiska. Używanie nadto zamiast patrycyuszów nomenklatury rodowi, dodajmy, już przez to samo jest niedogodne i niewłaściwe, iż nomenklatura ta jest przymiotną.

na urzędzie, instytucji i t. p. bez wyjaśnienia, z kąd się poczęła? co znaczyła? jakie przynajmniej w tym względzie są domniemania, jak np. o dyktaturze, pretoryanach i t. p. Tacyt, który roczniki rzymskie pisał dla Rzymian, mógł wspominać o pretoryanach i nie tłumaczyć czém byli; ale czytelnik dzisiejszy chce się właśnie dowiedzieć o tém z Historji Rzymskiej.

P. Sz wajnic nie określa więc jasno, a nieraz wcale, osób zbiorowych, nie określa téż równie i pojedynczych.

Okréśleniom osób szczególnych, figur, autor wprowadzie liczne zdania, uwagi, całe nawet oddziały poświęcał; cechą charakterystyk tych jednak jest: nie jakowś system patrzenia, cel pewien, pewna pamięć na stosunek danéj jednostki do owéj ogólnej charakterystyki całości historji rzymskiej, o której powiedział autor z góry; ale (jak to już rzekliśmy) albo brak pewien, lub sama zbiorowość.

Charakterystykom postaci szczególnych, kréślonym przez autora w jego Historji, do zarzucenia, mówiąc wyraźniej, mamy: brak nieraz ich rysów głównych, stawianie za główne obojętnych albo domyślnych, przedewszystkiém zaś brak określenia jasnego: znaczenia całej postaci.

Iż znaczenia postaci autora nieodkréślone są jasno, jako za przykład wskazujemy na te, którym poświęcone są całe oddziały.

Uważaliśmy już, iż źródłem główném rozwijania się dziejów wśród Rzymu była walka dwóch klass w narodzie, dwóch stronnictw: zrazu gminu i rodowładztwa, dalej proletaryatu i mieniowładztwa; uważaliśmy téż, iż współczesna nam krytyka, według cechy skłaniania się danéj postaci do tego lub innego stronnictwa, określa

jéj cnotę, wielkość i t. p. Figury np. jak *Koryolan*, *Cyncynat*, *Brutusowie*, *Cycero* i t. p. przez jednych jako typy piérwszych zaszczytów, wybawców kraju, stosownie do pierwotnej tradycyi dziejowej są określane; przez innych przeciwnie, podźwigane są postacie jak *Meliusz*, *Manlius*, *Maryusz*, *Katylina*; sam *Cezar*, jako ofiary zrazu słowa, a daléj pióra patrycyuszów. P. Szwajnic w krésleniu swych figur nie przejmował się żadném stronnictwem, nie objawił żadnej szczególnej myśli, którójby się trzymał w krésleniu tém; miał zaś oczywiście na celu wszelki rys przekazany o figurze danéj w obraz jéj właczyć, i charakterystykę jéj bezstronnie przedstawić. Zdaniem jednakże naszém, nie zachował żadnej jednoci w tém połączeniu.

Autor w ciągu opisu danéj postaci, przytacza o niéj zdania już takie, już inne: już staje na jéj stronie, już na przeciwnéj, i co chwila nam tylko sprzeczność w rysach i wahańie się w sędzie przedstawia. Widzimy przed sobą, że tak powiemy: oczy, usta, ręce i t. p. postaci autora; lecz nie widzimy saméj postaci. Tak w tomie I np. przedstawieni są: *Koryolan*, *Kamillus*, *Manlius Kapitoliński*, *Melius* i t. p. — Dla przykłádu, przytoczymy tu ustęp z rozdziału o tym ostatnim. *Spuryus Melius*, jak wiadomo, był znanym z dobroczynności, sypania jałmużny ludowi; jego wziętość uczyniła go groźnym patrycyatowi. Obrany dyktatorem *Cyncynat* wezwał *Meliusa*, izby się stawił przed sąd; *Melius* wzbraniał się i *Ahala* przywódzca młodzieży patrycyuszowskiéj, trupem go położył. *Liwiusz* przedstawił *Meliusza* jako zdrajcę kraju; dziejopisarze dzisiejsi przeciwnie potępiają przeciwników *Meliusza*. P. Szwajnic w opisie swym téj postaci, przytacza i porównywa zdania o niéj: *Liwiusza*, *Zonarasa*, *Nie-*

buhra, Wachsmutha, i czytelnik poznaje te zdania, ale nie poznaje Meliusza. Autor mówi tu np. między innymi: „Potomność uwierzyła w zbrodnią Meliusza, ale czy współcześni mieli takie samo przekonanie? Zapra gnąłże w istocie Meliusz panowania w Rzymie? Szczodrobliwość jego podobno nie z czystego źródła płynęła. Nie przypisując mu chęci opanowania rządów, pewną jednakże być się zdaje rzeczą, że otoczony przychylnością ludu, wspierany od trybunów, zamierzył zdobyć dla ludu dostojęństwo konsulatu, i piérwszy je sprawować. Śmiała myśl uzbroiła przeciw niemu rodowładztwo; przedsięwzięto ukarać ją w twórcy; a jeżeli rozważymy, jaki opór w daleko późniejszym czasie w podobném położeniu czynili rodowi, pojmiemy, dlaczego Meliusz padł ofiarą niedojrzałych jeszcze wyobrażeń. Zamysł jego miał być zniszczony i ukarany, zabójstwo z tego powodu zdarzone uniewinnione przed ludem, a powszechne oburzenie uspokoić wypadało. Senat dopiął celu: zbrodnia stanu zarzucona Meliuszowi, zamiar włożenia jarzma na Rzymian, obudziły silne podejrzenie. — Byłże czyn Ahali morderstwem? Zapewne postępek naczelnika jazdy i przyznanie mu stosowności ze strony dyktatora mogą oburzać, a jednak czyn trudno nazwać morderstwem. Nie przewidział Cyncynnat stawionego oporu, a opór równie jak wzburzenie ludu, pociągnęły nieszczęsną śmierć Meliusza i przykry kłopot dla popędliwego Ahali”. W przypisku w témże miejscu autor dodaje: „Według Niebuhra, Ahala był mordercą, Meliusz niewinny, bez spółników, bez zapasu broni, i nikt prócz niego nie był ukarany. Rozumowanie wszakże znakomitego dziejopisa przeciw niemu może być użyte. Wina Meliusza nie była zmyśloną. Szczegóły jój może

niedosyć nam są wiadome. Rzymianie z wielu przyczyn sprawiedliwie tylko głównych naczelników karali". 1, 294, 295.

Nie wątpimy, iż autor mógł mieć przed sobą pewne wyobrażenie jasne figury Meliusza; zwracamy tylko uwagę, iż go nie daje wykład. Byłże czyn Ahali mordstwem, pytamy? i byłże Meliusz winny, czy też niewinny według autora? Autor widzimy mówi, iż zabójstwo Meliusza było prawne, i mówi: iż z góry było ułożone i popelnienie jego, i uniewinnienie; mówi: iż Meliusz nie miał chęci opanowania rządów, i dodaje, iż czyhał tylko na urząd pierwszego konsula i t. p.—Twarze figur drugiego rzędu są nam niejasne w Historji p. Sz wajnica, z powodu sprzeczności rysów; twarze pierwszego rzędu dla braku głównych. Przy końcu tomu 2go oraz okresu głównej sławy Rzymu, autor charakterystyce głównych mężów z tego okresu poświęcił osobny oddział, pod napisem: *Charakterystyka mężów społeczeńych z Pompejuszem*. Charakterystyka postaci dziejowych rozwija się i odznacza najdobitniej w samym dramacie; określanie jój w oderwaniu od dramatu, mogłoby więc tylko być skutkiem chęci zwrócenia uwagi na rysy, których sam dramat nie mógł objaśnić. Dramat rzeczywiście to chwila, a postać która w niej działa, nie dla niej działa. Postać działa dla siebie, dla siebie bliższych, kraju, okresu, dla całości rozwicia historycznego; określenie znaczenia postaci pod każdym z tych względów jest właśnie charakterystyką jój, i zapewne wyrażonóm być mogło (jeżeli tak chciał autor) i w oderwaniu od dramatu. Okres, z którego autor osoby do określenia oddzielnie ich charakterystyki obrał, przedsta-

wiał zapewne nader żywotne pole do tego. Byłto okres, który dla Rzymu kończył dnie głównego zadania jego i sławy; okres jakby zachodzącej głowy słonecznej, wielkiej, lecz zachodzącej; tarczy kwiatu w całym rozwiciu, tarczy mającej już opaść, lecz zawsze tarczy; okres nadto całą starożytność kończący, rozwity ile był zdolny świat stary. Taki okres dziejowie, to zbiór postaci, szereg wydatnych zmian wzruszających, wielkimi zwanymi. Co za szczegółem kwiatu, który miał opaść? co za szczegółem związku epoki znikłej z idącą? była każda z tych figur, wielkich już siłą ciała, już myśli, jak *Juliusz Cezar, Cycero* i t. p. to mogła i winna była rozwinąć ich charakterystyka. Czyliż rozwinął ją jednak ów rozdział autora? W rozdziale tym czytelnik widzi istotnie zbliżone nazwiska mężów, którzy byli Pompejuszowi współcześni; przedstawieni tu są: sam *Pompejusz, Cezar, Lukullus, Kato, Cycero* i t. p.; opisane rysy tych figur są wierne, czytelnik nie dowiaduje się jednak o nich nic więcej nad to, co wiedział już z dziejów poprzednich, lub o czemby nie mógł posłyszéć lepiej w ciągu dramatyczności. Mówi tu autor tylko np., iż Pompejuszowi świeciła gwiazda szczęścia, iż blask jéj zaćmiła gwiazda Cezara, iż Lukullus był panem bogactw, iż Cycero „wymowny, cnotliwy i wielostronnie ukształcony, doszedł wysokich urzędów” i t. p.

Mniej dbając o rysy główne, autor zajmował się znowu na to miejsce zapowazném kręśleniem drobnych. Przywiązując się niejednokrotnie do przekazanego przez dzieje jakiegoś drobnego szczegółu, faktu, autor nim przejmował się z gruntu, oddawał mu z całą wiarą, i posuwał się do kręślenia myśli nim kierującej.

Wspominając np. w t. I, na str. 42 o wyprawie wojennej Romulusa na Fidenatów, autor mówi: „Pociągnął przeciw nim Romulus, *wywoławszy może sam zaczepką*, wojska ich na głowę pobił” i t. d. To domniemanie o fackie tak obojętnym i nawet tak dziejowie niepewnym, nie było zapewne pod żadnym względem potrzebném dla charakterystyki Romulusa.

Podzielając zdanie tych, którzy sądzą, iż Liwiusz jako spokrewniony z rodziną Furiuszów, przesadzał w przypisywanych Kamillowi zwycięztwach, i broniąc razem sławy tego bohatera, autor przy odkręśleniu odwrotu Gallów, tak mówi: „Dalecy jesteśmy od mniemania, aby Gallów wracających z okupem poraził i złoto im odebrał; *pojął* ten mąż niezwykły przeznaczenie swoje, uważał się do wyższych celów (t. j. odbudowania miasta), jak do niepewnego nad Gallami zwycięztwa powołanym.” 1—377.

Każdy z ludzi zapewne pełni i wykonywa missyą taką lub inną, lubo bez własnej wiedzy; pełnienie swęj missyi z wiedzą (własność myśli filozoficznych prędjéj jak wojowniczych), dziś nawet jest szczególnym wyjątkiem, a tém rzadsze było zapewne za wieków dawnych. Czy Kamillus *pojął* swój czyn kiedy nie napastował Gallów, i przewidywał wtedy co ma z nimi nastąpić: o tém jeśli nie doszedł nas dziennik myśli Kamilla, nie może dziś twierdzić historyk.

Pisząc niżej o dziejach Manliusza Kapitońskiego, autor mówi: „Gdyby nie duma z jednej strony, a obraza z drugiej, *powróciłby* obwiniony na drogę obowiązku.”

Ogół dziejów—to łączność, pewna harmonia, jakkolwiek z nader przygodnych cząstek na oko złożona (1);

(1), Harmonia świata tego z dysharmonij się składa.” *Tota hujus mundi concordia ex discordibus constat.* Linn. *Systema Naturae.*

każdy szczegół jakkolwiek lichy, z pozoru próżny, to w niej konieczność. Ocenianie dziejowe dziejowych szczegółów, które się stały, jestto rozważanie ich przyczyn, istoty, następstw; lecz nie jestto czynić charakterystykę faktów, które się stały, przypuszczać na miejsce ich inne, które się stać mogły.

Przy równém albo nieodkręśleniu, albo niejasném odkręśleniu dziejowem tak dramatów, jak i osób szczególnych, które częstkami, reprezentantami są epok; nieodkręślonym téż w opowiadaniu autora pozostać musiał charakter epok. Wprawdzie księgi p. Szwajnica mieszcząc i przedstawiając masę szczegółów z każdego okresu, odznaczają téż i pewną ich różność; stają tu np. zrazu przed nami owe burze domowe, zajęcie się główne śród miasta ustawodawstwem; dalej pewna prawość, prostota; dalej zepsucie, zbytki; za Cezarów szczegóły zbytku, jakiego ani przedtém, ani potém dzieje nie przedstawiają; te szczegóły jednak w ogóle, spotykamy albo zbyt w rozrzuceniu, albo w nieodznaczeniu, i nie znajdujemy dobitnych charakterystyk epok, charakterystyk zwłaszcza, ze stanowiska objawionego z góry przez autora, ze stanowiska nam społecznego, kręślonych.

Dzieje państwa za królów i figury królów, kręśli autor jak dzieje za Cezarów; i gdyby nie nazwiska i kładzione od czasu do czasu wskazówki chronologiczne, nie wiedzielibyśmy o różnicy okresów. Uwagi szczególne, które autor także od czasu do czasu o charakterystyce epok tych kładzie, nie wpływają na trafne ich rozjaśnienie.

Kończąc np. opowiadanie o panowaniu króla Tarkwiniusza Pysznego, autor poprawia źródła z których wyłącznie tylko czerpał, mógł czerpać, i tak mówi: „Wi-

zerunek tego króla skrócony przez Dyonizjusza jest utworem fantazyi bez światła; i Liwiusz w swoim obrazie nie był jaśniejszym. Rzym był wielki i potężny za panowania Tarkwiniusza." l. 84.—Historyk Warro uważał, że Rzym za panowania królów podbiwszy 20 królestw, powiększył swe posiadłości nie więcej jak na mil 20. Dyonizjusz i Liwiusz żyjący i piszący za czasów kiedy Rzym trzech części świata był panem, czuć musieli, że przymioty: potężny i wielki, jak najmniej przystawać mogły Rzymowi za Tarkwiniuszów.

Na str. 215 tomu Igo wspomniawszy autor, jak lud rzymski gotował się na wojnę pod Cyncynatem, dodaje: „Żołnierz nie wchodząc w tym okresie prawości i cnoty w rozbiór praw i obowiązków, gotów był na rozkazy wodza.”—Autor jednak właśnie na kilku poprzednich kartach określał, jak lud nie chciał bronić Kapitolu zajętego przez Hardoniusza, i musiano sprowadzać lud z Tusculum; jak w wojnach przeciw Wejensom, Sabinom, Ekwom i t. p. dobrowolnie dawał siebie zwyciężać (str. 212). Fakta te z téjże są epoki, i czytelnik oczywiście albo tym faktem, albo dołączonej charakterystyce epoki musi nie wierzyć.

Mówiąc nadto, a mówiąc po kilkakrotnie o cnotach, kwitnieniu cnot rzymskich, autor zabezpieczając mówi o treści ich. Cnoty Rzymian za ich głównego okresu (t. j. ostatnich wojen samnickich i pierwszych punickich), rzeczywiście miały być wielkie, świadczyli o tém bowiem nawet pisarze greccy; jak widzieliśmy jednak, były takimi tylko w odniesieniu do epoki, natury swój epoki, i ludów współczesnych. Mówiąc o cnotach rzymskich, autor nie przedstawiał ich ani ze satnowiska ich czysto

rzymskiego (własną chwałę mającego na celu), ani ze stanowiska rzetelnej ich właściwości.

W okresie Cezarów, gdyby nie kilka faktów o zbytkach, nie poznalibyśmy, że w starym a konającym Rzymie jesteśmy. Okres ten był wszakże jednym z najciekawszych psychologicznie. Już na półtora wieku przed tym okresem, zginął był w Rzymie wiek wiary, a napływ zdobytych bogactw, zrodził był tylko upadek mężstwa, rozpustę i miłość zbiorów (1). Te żądze powściągnęły były zamieszki, wrócił je pokój. Ta miłość wyłączała siebie, wyłączała chwili, rozsypała się wtedy w faktów tysiące, i w różnych kształtach całe ostatnie 3 czy 4 wieki upadającego Rzymu odznaczyła. Miłość swój dobrej sławy, miłość tém więcej kraju (dawniej z nazwiska przynajmniej znane), zapomniane zostały; miłość ludzi tém więcej została żadną. Zbiór bogactw i używanie ich, były najwyższym i jedynym celem życia każdego; najuczciwsi, najdowcipniejsi, zwracali swą naukę i dowcip do pomnożenia zbiorów, dopięcia władzy. Piastunowie jój pierwsi, stali się téż głównym wyrazem epoki owój. Niekrepowani niczém, nawet sumieniem, wiarą (bogowie sami) w zwracaniu ku temu lub owe-mu swój woli, nie byli téż powściągani w możności zadoczyć uczynienia jój. Złość, dobroć, miłość, nienawiść, chciwość, rozpusta i t. p. wszelki odcień uczuć, skłon-

(1) *Polibiusz* (zakładnik grecki w Rzymie, a towarzysz i przyjaciel domu Scypionów) mówiąc o tej trudności jaką miał Fabiusz Scypio żyć skromnie wśród Rzymu, na rozpustę i zbytki wyuzdanego, dodaje: „I nie należy się dziwić, że zepsucie doszło w tym czasie w Rzymie do swego kresu; po zwyciężeniu Macedonii sądzono, że już można było pędzić życie bezpiecznie, i że nie pozostało jak cieszyć się z panowania nad światem”.

Polibiusz XXXII, fragm. VIII.

ności, w szeregu postaci tych, w posunieniu do ostatnich swych krańców, został uosobionym. Każdy z tych charakterów był typem. Dla przypomnienia czasu i epoki, wskaźmy tu np. na kilka rysów, z typów choćby drugiego rzędu, np. *Kommoda*:

„Zachwycający to był dzień i widok, mówi współczesny mu historyk Herodyan, kiedy młody Kommodus jako nowy Cezar do Rzymu wjeżdżał. Syn Marka Aurelego, po matce wnuk Antoninów, prawnuł Trajanów; piękny, o włosach tak jasnych, iż gdy na nie blask słońca padał, lśniły jak złoto: dla ludu zdał się być szczytem piękności, jego jedyną nadzieją, pychą, być bogiem”.

(Taka myśl, to zajęcie w mieszkańcach owego Rzymu, były jedyne przy wjeździe każdego z *Augustów*).

I te nadzieje Rzymian co do Kommoda, nie były bez pewnych zasad. Zdaniem wielu, myśl męża kształci się z wrażeń dzieciennych; a Kommodus był synem i wychowawcem Marka Aurelego. Cześć dla przyjaciół ojca, kierowała też sercem Kommoda cały rok rządów jego pierwszy, lecz tylko pierwszy. W 2gim zajęły to miejsce głowy przyjaciół nowych, a starych spadły. Spadły głowy krewnych Kommoda, krewnemi i przyjaciółmi syna Aurelego, stał się tylko orszak nierządnic i Rzym rozpustny.

„Cokolwiek dalej tchnęło cnotą, miłością nauk, musiało kryć się albo z Rzymu uchodzić”, mówi Herodyan. Brak wszelkiego oporu woli, uczynił rozum Kommoda, jako niegdyś Koliguli, półobłąkanym. Kommodus kazał się czcić jako bóg Herkules, i jako Herkules chodził po mieście nagi, lwią skórą okryty. Kommodus był w rzutach i strzałach istotnie zręcznym, zręczniejszym owszem,

niż którykolwiek rzymski gladyator, i na igrzyskach publicznych wśród Rzymu, wystąpił jako gladyator. Towarzystwo i obcowanie z gladyatorami dalej nad wszystko przeniósł. Gladyatorom poświęcił odtąd owszem wyłącznie wszystkie swoje godziny, swoje zajęcia; dla gladyatorów spisał i podał na śmierć wszystkich przyjaciół domu, zarządców, nawet kochankę Marcyą; przygoda tylko sprawiła, iż losowi który gotował swym domownikom, sam uległ.

Takie szczegóły, typy, zapewne nie tylko na odkreślenie ich żywsze, lecz też na wykazywanie ich powodów, sprężyn, ich otoczeń i odbić wśród kraju, zasługiwały w historii krytycznej; tém więcej, gdy materiały istną (w ilości dzieł z owych czasów), i gdy już do epoki tej drogi tak torowane (np. dziełem *Gibbona*). P. Sz wajnic jak z życia Cezarów, tak z życia całego państwa za Cezarów dotyka wszakże, że tak powiemy, tylko skieletu faktów, i nie daje ich poznać w ich ciele, w ich właściwości. Autor wylicza tu machinalnie wyprawy wojenne, warunki pokojów, spiski i t. p. jakby określał dzieje późniejszych cesarzy niemieckich lub królów Francji i Anglii. Czytelnik nie widzi przed sobą stanu i barwy społeczności, kończącej całą ogromną epokę starą ludzkości i państwo stare.— Nic też nie słyszy o krzewieniu się, urządzaniu, szerzeniu społeczności nowej z duchem i celem nowym, mającej wznieść okres nowy. Wyjąwszy rozdział o samym Założycielu chrześcijaństwa, autor o szczegółach owych jeżeli wspomina niekiedy, to tylko z duchem i słowem toleranta staro-rzymskiego.

Takie są główne uwagi które nastreczyły się nam, i które zdaniem naszym każdemu przy odczytaniu Histo-

ry Narodu i Państwa Rzymskiego p. Szwajnica nastęrczyć się muszą.

To co rzekliśmy, skracamy tu w parę uwag i dodajemy wniosek:

Historja Narodu i Państwa Rzymskiego p. Szwajnica, opowiedziała i przedstawiła przed nas dzieje z lat więdcej tysiąca; dzieje największego z krajów starożytności, najznakomitszej z epok starożytności. Obraz ich przedstawiła nam w massie szczegółów z każdój sfery dziejowego rozwicia. Każdy z szczegółów tych przedstawiła z poparciem świadectw, z wyborem świadectw. Wielostronność, szczegółowość i wierność, te cechy tak pożądane przy wykładzie historyi każdego kraju, są właśnie główne śród wykładu Historyi p. Szwajnica.

Owoc równój pracowitości i równój treści, przybývający w języku naszym dla wzbogacenia dziejowej gałęzi w piśmienności naszej, musi w nas budzić ku sobie rzetelną miłość; i musieliśmy czuć całą przykrość tój prawdy, lecz razem i sprawdzać przysłowie: „że miłość: kłótnia”.

To, cośmy do zarzucenia trzem obszernym tomom Historyi p. Szwajnica znaleźli, mimo pozorną przeciągłość, w gruncie nie jest wszakże tak liczne.

Mieliśmy i mamy głównie do zarzucenia istotnie krytykę, t. j. przyjęte przez autora zasady do krytyki w 2ch najpiérwszych oddziałach tomu Igo; w dalszych opuszczenia niejakié w przedmiotach i określeniach, opuszczenia dla zrozumienia przedmiotu stanowcze; co do reszty, jedynym przedmiotem zarzutów naszych był tylko wykład.

Wykład, to względ dodatkowy, strona podrzędna, w odniesieniu wartości pisma do jego przedmiotu; wy-

kład jednak jestto punkt związku pisma z swym czytelnikiem, i brak jego może dla czytelnika uczynić bezużyteczném pismo.

Mamy nadzieję, że autor *Historji Narodu i Państwa Rzymskiego*, będzie świadkiem nie pierwszego tylko wydania swojego dzieła; mamy nadzieję, iż w nowém to co opuścił dopełni, co pozginal przekształci: i że to pismo swe, które jest *skarbcem w sobie*, uczyni téż, ile w wieku miłości, i *skarbcem dla czytelników*.

KRONIKA LITERACKA.

Dwanaście śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu, przez Józefa Nowakowskiego, w Warszawie.

Cieszymy się zawsze, ile razy większym zeszytem prac tego rodzaju zatrudniać nam się przychodzi; raz dlatego, że ich więcej, bo u nas rzadko i pojedyncza śpiewka się pokaże; drugi raz dlatego, że w większej liczbie łatwiej dostrzedz dążność i rozumienie rzeczy autora; trzeci raz dlatego, że np. z dwunastu pieśni choć kilka musi być lepszych dlatego tylko, że nim ostatnia się napisze, to poprzednie można przejrzeć i poprawić; czwarty raz dlatego, że taki zeszyt wystarczy na artykuł o kilkunastu wierszach, co nie jest rzeczą obojętną dla recenzenta, chcącego swe zdolności oratorskie w pięknym przedstawić świetle.

Żeby o tym zeszytcie dać z góry zdanie, mające się potem przeglądem pojedynczych ustępów usprawiedliwić, powiemy, że nam się zdaje dosyć udatnym: boć dlatego samego, że pieśni jest dwanaście, wszystkie wyborne nie mogą być prawie. Opracowanie muzyczne niektórych pieśni, niczém do słuchacza nie przemawia; znać, że nie są owocem chwil artystycznych, bo miałyby barwę. Żeby jednak nie być

drobiazgowym, porobimy tylko przelotne uwagi przy każdym numerze, a rozbierzemy obszerniej jeden tylko, który do spostrzeżeń najwięcej daje sposobności; z tém ostrzeżeniem, że nie pominiemy żadnej piękności bez jej wskazania, a co z wad, zamilczymy; nie należy do uchybień tego rodzaju np. zła i niekonsekwentna harmonia, skrzywienie iloczasu języka, nędzna frazeologia, i t. p.

Z pierwszych trzech pieśni, dwie: „Kochanka do gwiazdy“ i „Wiosna“ są pióra znanego naszego sielskiego pisarza St. W., trzecia jest tłumaczeniem z Goethego: *Kennst du das Land* i t. d. przez A. M. Każda z tych pieśni ma swoje piękności i właściwy charakter, ale wszystkie trzy przekonują nas o braku dokładnego przejęcia się każdą z osobna przez kompozytora, bobyśmy nie spotykali w nich tego samego frazesu, który w pierwszej tak narysowany:



powtarza się w drugiej (więrsz 3-ci takt 3-ci) i w trzeciej (więrsz 3-ci takt 2-gi, więrsz 4-ty takt 2-gi). Co się tyczy podkładania textu pod muzykę, zrobimy tu uwagę, że powtarzanie wyrazów lub całych frazesów, usprawiedliwić się da przeważnym ich znaczeniem w określeniu sytuacji, albo przedstawieniem muzyką istotnie wydatną i obraz uzupełniającą. Powtarzanie dla zaokrąglenia peryodu muzycznego nie usprawiedliwia: bo rzecz jasna, że gdy muzyka szerzej się rozwija niż wyrazy, a nowiej nie dodaje im siły, rozwlekłą być musi. To do pieśni pierwszej. Druga raz sprzecznością drugiej, tęsknej zwrotki textu z muzyką wesołą; a trzecia, według nas najwięcej z tych trzech zajmująca, wykracza nieoddzieleniem cudzysłowu: „Pielgrzymie nasz, ach! co się z tobą stało!“ od następujących wyrazów i muzyką silnie złączonych z poprzednimi: „Znaszli ten kraj;“ zdaje się, jakby to jeszcze posagi mówiły. Wyraz: laur, na dwie zgłoski rozdzielać się nie może, a jako jednozgłoskowy i kończący odcinek frazesu, dwóch nut a tém mniej czterech nieść na sobie nie powinien, jak mu to każe robić p. N.

na str. 8, wiersz 1-szy. Nietylko naturze języka jest to niedo-
godne, ale tóż i osłabia dzielność wyrażenia w strofach na-
stępnych; tym sposobem przymiot mowy czysto muzyczny,
zamiast pomagać, zaszkodził kompozytorowi.

Pieśń 4-ta „Wojak“ St. W. zupełnie nieszczęśliwą nam
się zdaje, a to nietylko dla samego pomysłu muzycznego (na-
śladowującego zresztą rytmicznie nutę powszechnie przypisy-
waną Szopenowi), ale i dla nadużycia jego. Wojak, czy do
rodziny, czy do konia przemawia, czy grozi wrogom, czy
mówi o mogącym go spotkać zgonie, zawsze na jedną me-
lodyą się odzywa. Prócz tego, uderza w tej pieśni jakby
umyślne zaniedbanie tekstu pod względem deklamacyi; tak
np. wiersze:

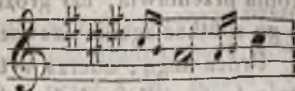
Spieszę, spieszę luby koniu!
Skacze.... lecim wnet!...

każe pan N. czytać bez żadnego znaku pisarskiego, i tym
sposobem dziarski i pełen ruchu wiersz, w chaos zamienia.

Ner 5-ty „Przyczyna“ tegoż autora, zgrabnie jest ułożo-
ny; szkoda tylko, że kompozytor stosowną uwagą nie ostrzegł
śpiewającego, że to „brzydki i stary“ do dziewczyny prze-
mawia. Gdy się o tém dopiero przy końcu dowiadujemy,
będzie się nam zdawało, że jak na starego zalotność była
zbyt lekką i żwawą. Śpiewający powinien naśladować
znękanie, zużycie starości; lepijby jednak było, by już mu-
zyka sama rozumieć to dawała i ułatwiała naśladowanie.
W tym rodzaju lekkiej i komicznej charakterystyki, znamy
w naszej muzyce tylko dwa obrazki St. Moniuszki: „Dzied
i Baba“ i „Kumi Kuma.“ (Patrz: Śpiewnik domowy St. Mo-
niuszki, poszyt 1-szy i 2-gi. Wilno).

Pieśń 6-ta „Gdzie lubi,“ także St. W. należy do najlep-
szych tego zbioru, i odznacza się wdzięczną prostotą. Ró-
żnice w duchu wiersza pojęte i oddane, i gdyby nie wiersz
1-szy str. 15.... „ale nie;“ i tam wybiegłość żwawa muzyki
mimo smętnego trybu (minor), maluje radość; i odwrotnie,
zniżenie intonacyi i zwolnienie ruchu, przy weselszym nawet
zwrocie (major), smutek wyraża. Słowem, piosnka to wy-
borna.

Ner 7-my „Poseł.“ i 8-my „Życzenie“ oba St. W. nieby do zarzucenia nie przedstawiały, gdyby nie było naszym zwyczajem troskliwie badać każdy pomysł autora, co do jego wewnętrznego znaczenia, i obliczać siłę użytych środków do pewnych celów. Ta to skrupulatność żądałaby w Nrze 7-ym akkordu 7^h zamiast 3^h w przejściu z drugiej[do]trzeciej części (wiersz 4-ty, takt 1-szy), a w Nrze 8-ym, by uderzający rys przedgrywki:



i t. d.

powtórzony i usprawiedliwiony był w dalszém rozwinięciu. Tak samotny, znaczy uspokojenie po jakimś rozkołysaniu, którego krótka a spokojna przedgrywka nie przedstawia, do którego tekst nie daje powodu, a które przecież w pogrywce jakby echem do nas przemawia.

Po miłym mazurku do słów Brzdzińskiego: „O mój Jasiu złoty“ i t. d. wypełniającym Ner 9-ty, następuje „Wianek“ Lud. Osieńskiego; nad tym ustępem zatrzymamy się dłużej, aby choć raz wejść w szczegóły opracowania muzycznego i w tym celu przytaczamy cały ten wierszyk:

„Bardzo raniuchno wschodziło słońce,
Mama przy szklanym okienku siedziała;

„Zkądże to, pytam, powracasz córeczko?
„Gdzieś twój wianeczek na głowie zmaczała?“

—Kto tak raniutko musi wodę nosić,
Nie dziw, że może swój wianeczek zrosić. —

„Ej! zmyślasz dziecię! tyś zapewne w pole
„Z twoim chłopakiem w zaloty pobiegła?“

—Prawda matuniu, prawdę wyznać wolę!
W polu z młodzianem chwileczka ubiegła;

Czysta więc rosa letniego poranka,
Posiała łąkami kwiaty mego wianka.

Niech kto jak chce wiersz ten rozważa, znajdzie w nim tylko igraszkę; dziewczyna zrazu zapięra, a potem wyznaje przed matką schadzki swoją z kochankiem. Obrazek pana N. zawiera treść tę samą nihy, a rzeczywiście inną: bo nie uważa ję za igraszkę. Kto ma choć trochę wprawy w tłu-

maczeniu sobie dźwięków muzycznych; kto przekonany jest o potrzebie ścisłego zastosowania kompozycji wokalne do treści już gotowej i nieulegającej zmianie; kto przypuszcza usiłowania kompozytora do osiągnięcia tego celu zdążające: ten pewnie znając ten wierszyk, podług pierwszego pojęcia figlarny, uderzony zostanie dziwną niestosownością przedgrywki jakkolwiek krótkiej, albo nie wiedząc jeszcze o co chodzi, gotów przepowiadać treść dziwną, smutną nawet. Taką istotnie ją czyni muzyka pana N.; jej tok mocno przypomina krój ballady, ale dla braku szerokiego rozwinięcia treści, został tylko zamiarem, zakrojem. Formę zewnętrzną stanowią: wspomniana już przedgrywka, pierwszy wstęp wokalny, dzielący się na trzy części, z których jedna zawiera pierwsze dwa wiersze, będące przygotowaniem scenicznym, że je tak nazwiemy, i zapytanie matki; druga, wybieg dziewczyny; trzecia, podejrzenie matki. Tu następuje przegrywka (intermezzo), drugi ustęp wokalny zawierający wyznanie dziewczyny i dawniejszy wstęp instrumentalny, który tym sposobem stał się pogrywką i świadectwem niejako, że pojęcia kompozytora o treści, z góry wyrobione były i w niczym nie uległy zmianie. Zastanawiając się nad duchem cząstek formę składających, i pomijając wstęp o którym już była mowa, widzimy, że podpisanie dwóch pierwszych i dwóch drugich wierszy pod jedną i tę samą muzykę, stosownym być nie może; pierwsze bowiem są prosto opowiadaniem poety, drugie rozpoczynają dyalog między osobami będącymi na scenie. Gdyby forma całości piosnkę tylko stanowiła, połączenie to ujęćby mogło prędkiej; ale w porównaniu z dalszym opracowaniem treści, wygląda skąpo i niestosownie. Rozdzielenie tych czterech wierszy po dwa, ze stosownym w muzyce wytłumaczeniem, rozsunęłoby korzystnie krańce formy, i dałoby autorowi sposobność silniejszego ucharakteryzowania matki, czego nie zdołała zrobić muzyka przy wyrazach: „Ej! zmyślasz dziecię“ i t. d. Żwawa odpowiedź córki na pierwsze zagadnienie matki, doskonale przedstawia chęć zbycia się natrętnych zapytań i tchnie drażliwością, niby trudno powściąganym

gniewem i żalem za podejrzenia już przewidziane. Nawet poczuwanie się do winy i skwapliwość chcąc się co prędzej zbyć kłopotu, cechują ten frazes nadzwyczaj w charakter bogaty, i prawdziwie mistrzowski choć niedługi. Tuż następują wyrazy matki „Ej! zmyślasz dziecię“ Bylibyśmy za odgrodeniem ich małeńkiem od poprzednich usprawiedliwian córki; charakterby na tém zyskał i przedstawienie także, a żywość prowadzenia nieby nie straciła, bo chociaż zrędna, nie tak skora matka jak córka. Zdaje się, jakoby wypowiedzenie wręcz podejrzeń matki, jakiś namysł, jakieś wahanie się w umyśle córki zrodziło: bo zamiast odpowiedzi, snuje się nowa myśl instrumentalna tam i owdzie, dopóki skrucha uroczystém „prawda!“ nie rozwiąże ust dziewczynie. Wyznanie jój płynie odtąd po téj samej melodyi, która rozpoczęła tłumaczenie treści; ale gdy przyszło do wyrazów „posiała“ i t. d., jakby języka zapomniała, jąka się dziewczyna: „posiała... posiała... posiała łzami!“... a tymczasem przygrywka fortepianu jakieś przerywane łkania słyszeć daje (synkopy), jakąś trwożę czy boleśę objawia (tremolo). Zapewne jestto echo duszy dziewczyny, która wyraźnie kłamie, a raczėj tylko pół prawdy odkrywa; tam jakieś nieszczęście stać się musiało!... Ostatnie takty pogrywki instrumentalnej po takim przeprowadzeniu treści, dziwne przybierają znaczenie; zdają się przemawiać: na sto koni nie dogoni!...

Jeśliśmy się w pojmowaniu muzyki pana N. nie omylili, tak wiérsz przytoczony autor rozumiał i przedstawił; jeśli inaczej, to spadnie na nas zarzut o urojenie, a zwolimy go na kompozytora, oskarżając go o łudzącą pretensyą. Ale nie! chęci autora muzyki zbyt są widoczne by ich nie pojać ale i zadaleko posunięte, by ich nie zganić z tego lub owego powodu. W przytoczonej treści nie niéma, co by pojęcie jój podobne usprawiedliwiało; a więc autor muzyki, treść drobną w pretensjonalny i nieprawdziwy obraz przerobił. Jeśli jednak tylko nasza ciężka fantazyja nie tam dostrzedz nie umie, to autor muzyki tém przynajmniej zawinił że treść bogatą w zbyt ciasne wcisnął ramy, alho tém jeszcze,

że treść choć bogatą, ale mało rozwiniętą słowem, niezdolną też do powtarzania bez ostudzenia żywości przedstawienia, w pewien rodzaj sceny dramatycznej chciał zamieścić, a zmuszony był skupić, co tylko w pewnych odstępach dobrze wyglądać mogło.

Zastanowiliśmy się nad tym nrem zbioru pana N. zbyt długo w porównaniu z innemi; ale nam nie żal, bośmy tu mieli sposobność pokazać, i zdolność muzyki do wydobywania skarbów z łona nie niby nieznaczącej treści, i przekonać się o pięknym zapatrywaniu się na nią kompozytora.

Dwóm ostatnim piosneczkom: „Marzenie“ St. W. i „Cóż ja winna“ Nowosielskiego, mamy do zarzucenia i poprzednio już wskazywany brak jedności. Czemu np. pierwsza nie tą samą figurą instrumentalną się kończy ostatecznie która jej od początku towarzyszy? czemu w ostatnim takcie nowy wprowadza motyw? — Czemu w drugiej takie niepodobienstwo we trzech częściach przygrywki instrumentalnej? Korzyści z tego nie widzimy, a strata widoczna: bo niema najglówniejszej cechy—jedności muzycznej; tém potrzebniejszą w pieśni, że pieśń to jedna chwila liryczna.

Załatwość śpiewu i przygrywki, zapewnie wielu miłośników muzyki obowiązanych jest autorowi. Mniemamy jednak, że mianowicie co do części instrumentalnej, pozbawiło to kompozytora rysów charakterystycznych, i obniżyło wartość niektórych numerów. — Szczęśliwy, komu prostotę faktury z dosadnością wyrażenia połączyć się uda!

J. S.

Berghaus: Physikalisches Atlas. Gotta. 2 Bände.

W tym roku ukończonym został drugi tom atlasu Berghausa, którego tom pierwszy wyszedł w 1845 roku. Obszerny ten *in folio* atlas, obejmujący wiele kart pięknie wykonanych, które przedstawiają graficznie wypadki najnowszych obserwacji.

cyj fizyków, geologów i podaję podróźników, traktuje kulę ziemską pod wszelkimi względami. Wyobrażenie o wszechstronności tego wielce szacownego dla nauki dzieła, najlepiej poweźniemy z przywiedzionej poniżej krótkiej treści jego kart. Tom pierwszy złożony z 5 oddziałów, traktuje meteorologią i klimatologią, hydrologią i hydrografią, geologią, magnetyzm ziemski i geografią botaniczną. Znajdujemy w nim system linii krzywych równo-ciepłych (isoterme) Humboldta, na całej kuli ziemskiej, oddzielnie zaś na północnej pół-kuli ziemskiej, wraz z granicami wiecznego śniegu.

W tabelli załączonej obok planu tych linii w Europie, dostrzegamy, że w Warszawie:

Średnia roczna jest	+	9°20
— w zimie —	—	1°8
— wiosny —	—	8°6
— lata —	—	20°6
— jesieni —	—	9°6

Te wypadki mają być wzięte z trzechletnich obserwacyj (?).

Następnie idą karty przedstawiające średni stan barometru, wraz z oscyllacyami ciśnień powietrza; karty wyobrażające różne wiatry na kuli ziemskiej, wiatry stałe, i t. d. Karta prądów powietrznych na oceanie Atlantyckim, bardzo jest szczegółowa i ciekawa.

Karta spadającej średniej ilości deszczu, na której miejsca deszczowe, np. Sahara, Gobi, wybrzeża Peru, Boliwy są zupełnie białe; miejsca podróźnikowe najobfitsze w deszcze, zupełnie ciemne, inne zaś stosownie do znanych obserwacyj, stopniowo coraz mocniejsze mają cieniowanie.

Karta ogólna stacyj meteorologicznych; szczegółowa karta przyptywu morza na całej kuli ziemskiej, ułożona przez Whewell (Cambridge), bardzo nauczająca, przedstawi jawnie wpływ, jaki wywierają wyspy na zagięcia brzegów, wąskość kanałów, na opóźnianie się chwili najwyższego wezbrania morza w pewnym miejscu i t. p. Podobna jest karta szczegółowa oceanu Atlantyckiego, Wielkiego, i Indyjskiego. Na tej ostatniej, obok linii jednoczesnego przyptywu morza w różnych punktach, oznaczone jest razem: stosunek temperatury

powietrza i strumieni morskich. Nareszcie karta obejmująca układ rzek starego i nowego świata.

Atlas ten obejmuje jeszcze: tablice wyobrażające graficznie oscylacje wysokości wody różnych rzek przez znaczny przeciąg czasu; karty zjawisk wulkanicznych według dzieła Huffa. Karty traktujące geografią roślin, wskazują granice, do których sięgają niektóre rośliny, np. zboża, drzewo chlebowe, trzcina cukrowa, drzewo kawowe, bawełna, indygo, herbata, pieprz, kartofle i wiele innych. Obok załączone są mapki, wystawiające na górach wysokości, do których dochodzą niektóre krzewy i drzewa. Karty magnetyzmu ziemskiego, przedstawiają południk magnetyczny, linie równego nachylenia i równego natężenia magnetyzmu ziemskiego.

Drugi tom atlasu, obejmuje geografią zoologiczną, antropografią i etnografią. Za pomocą krzywych, wskazane są miejsca pobytu małp, zwierząt workowatych, bezzębnych, gruboskórnych, drapieżnych (osobna jest karta miejscowości, w których poławiane są zwierzęta wydające futra, równie jak rodzaju kota), przeżuwiających, ptaków, ziemnowodnych, węży jadowitych i t. p.

Opisując rozkład rodzaju ludzkiego pod względem ubioru ras, załączonem jest na małych mapkach stosunek siły, wzrostu różnych ras, stosunek urodzenia według pór roku i t. p.

Na oddzielnej karcie wskazane są miejscowości, po których grasują pewne choroby.

Zakończa ten tom oddział mapp, obejmujących rozkład ziemi między ludy stale osiadłe, i wiodące koczujące życie. Karta stopniowego oświecenia ludów zamieszkujących świat, wraz z miejscami ich pobytu, naucza, że ludy wyznania protestanckiego w Europie najwyżej stoją pod tym względem.

Etnograficzne karty różnych plemion Iado - Germanów, Niemców, Słowian i t. p. na całej kuli ziemskiej, zakończają ten atlas.

Wypisywać wiele innych bardzo ważnych i ciekawych szczegółowych kart, zawartych w tym atlasie, granice tego pisma nie pozwalają; przytoczyliśmy tylko ważniejsze, gdyż i te zda-

e się dostatecznie przekonywają o obszerności planu, pożytku i prawdziwej przysłudze, jaką autorowie wydaniem tój pracy publiczności wyświadczyli.

Względnie do obszerności, piękności wydania, cena wynosząca u nas około 37 rub. sr. jakkolwiek nieprzystępna dla wielu prywatnych, wcale nie jest zbytęzną.

S. P.

ROZMAITOŚCI.

Wydatki magistratu Starój Warszawy w roku 1579.

Podał T. Lipiński.

Upłynęło już lat 21, jak Łukasz Gołębiowski wydał: „Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy.” Byłto pierwszy raz pojawiający się obraz Warszawy w obszerniejszych zawarty ramach, i aczkolwiek niedokładny, w wielu swych zarysach błędny i niekrytyczny, służył jednak za przewodnika chcącemu się jakotako obznajmic z miejscową dziejowością. Lecz, co w owój dobie było może dostatecznym do zaspokojenia ciekawości czytelnika, dziś przestało mieć swą wartość, gdyż postąpiwszy znacznie na drodze badań historycznych, nie możemy już poprzestać na wiadomościach, które nam autor przed laty ogłosił. Przejęty tą prawdą jeden z uczonych naszych, wygotował w 3ch podobno tomach opis Warszawy; ale trzymając go w utajeniu, drażni tylko naszą ciekawość i wystawia na oczekiwanie poznania nieznanych różnorodnych szczegółów, które dzieło to ma w sobie zawierać. Zanominowany konserwatorem akt dawnych miasta Warszawy, p. Alex. Wejnert, widząc bogaty zapas nietkniętych dotąd materiałów, przedsięwziął je wydawać w piśmie pod tytułem: *Starożytności Warszawskie*, których pierwszy zeszyt ukazał się w styczniu r. z. W każdym z następnych zeszytów (wyszło ich 9),

znajdujemy wiadomości obchodzące nie tylko Warszawianina, ale i każdego lubownika dziejów krajowych: albowiem nie jeden się nowy szczegół wykrył, inny wyjaśnił, sprostował, lub autentycznym dokumentem poparty, utwierdzonym został. Jednocześnie prawie, wystąpił p. Sobieszczański, podając w Bibl. Warsz. na miesiąc marzec: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu Warszawy od najdawniejszych czasów, aż do 1847 r.“ i wielce mozolną swą pracę ukończył w grudniu. Pierwszy z nich, głównie ma na celu obznajmiać czytelników z piśmiennymi pomnikami, dotąd w ukryciu będącemi; drugiego zaś cel i zamiar, sam tytuł opiewa; obu chwalebne są usiłowania, obydwom zarówno zawdzięczamy. Lecz dokładny opis odwiecznego grodu naszego, tak jest niewyczerpanym źródłem, iż wiele jeszcze nad obrobieniem téj monografii pracować pozostaje, i przez długi przeciąg czasu znajdzie się coś nowego do przydania. Wynalezione przeto rękopiśmienne zabytki ogłaszać drukiem, uważam za rzecz niezbędnie potrzebną; mało bowiem na pozór znaczący przedmiot, posłużyć częstokroć może do wyświecenia niejednej ważnej okoliczności. Otóżto jest właśnie, co mnie skłania do podania wyciągu z wydatków magistratu Staréj Warszawy, prowadzonych od 27 sierpnia 1579 r. przez Jakóba Gisz. Namienić tu wypada: że grosz i złoty ówczesne, czynią na dzisiejszą monetę, przeszło 9 1/2 razy więcej.

Exposita na rzeczpospolitą a die 27 augusti 1579.

	Złote	grosze
Na goździe do wieszania zbroi.	—	2
Za pół funta oliwy do zbroi.	—	3 1/2
Za dyle na ławki do rycerskiego domu.	—	4
Na nieszczęsny tryumf na ogniste kule dałem (1)	—	15

(1) Przyjazd Stefana Batorego do Warszawy był powodem do obchodzenia jego zwycięstw; ale w jaki sposób odprawiał się tryumf, i jakie szkody zrządził rząd powstały pożar, zostawiamy to do wyjaśnienia historyografom Warszawy. Bielski mówi tylko: że król zwołał sejm do Warszawy na 23 listopada, i co tam uchwalono, zamieszcza.

	Złote	grosze
Za 2 beczki piwa na ten nieszczęśliwy tryumf.	1	10
Za dzwonięcie na <i>Te Deum laudamus</i>	—	12
Za kamień prochu do dział	6	—
Za świece tywiczne do tryumfu.	—	8
Za banię miedzianą do zegara	2	20
Zegarmistrzowi, co naprawiał	4	—
Miedziana ręka z księżycem do zegara	—	15
Za liber 6 papieru panu Kulińskiemu	—	18
Ubogim więźniom kazali panowie dać elemo- zynę (1).	—	5
Więźniowi na strawę, co miasto zapalił	—	1
Temuż więźniowi na strawę i na słomę	—	2
Mistrzowi kiedy gorzało, co bronił kasy	—	10
Bernardynom kazali panowie dać, co gasili u ognia.	1	10
Solczanom 7, co przyszli gasić, po 1 gr. (2).	—	7
Bartoszkowi dałem, co miasto popisował	—	5
Zegarmistrzowi, co chędożył zegar i tryb no- wy robił.	1	10
Kiedy P. Sigmont witał króla, dałem za 1/2 gar- ca małmazyi.	—	16
Dałem sługom miejskim na piwo, co ubóstwo z rynku zbierali	—	5
Za kłótkę do wieży zegarowej	—	4
<i>Więźnie.</i>		
<i>Die 31 octobris.</i> Niewiastę wsadzono, co mia- sto zapaliła, dałem jej na strawę.	—	2
Jeszczem jej dał na strawę i na słomę.	—	2
Mistrzowi na świecę do męczenia (3).	—	5
Na świecę do męczenia mistrzowi	—	1 1/2
Na świecę kiedy siła męczeń (4)	—	2
<i>Kwartalne.</i>		
<i>Die 14 septembris.</i> Zegarmistrzowi za kwar- tał, od zegara naciągania	2	—

(1) Wyraz panowie, znaczy urzędników w magistracie zasiadających.

(2) Solczanie, mieszkańcy Solca.

(3) Mowa tu jest o torturach, czyli mękach. Na mękach świecami, albo rozpalonemi blachami i szynami żelaznemi palono.

Linde.

(4) Gdyż wiele, znaczna liczba męczeń.

	Złote	groszo
<i>Item</i> , zegarmistrzowi za kwartał	2	—
<i>Munera. (Podarunki).</i>		
<i>Die 15 novembris.</i> Na przyjazd króla JMści od Połocka, kupilem łososia jednego, za co panowie dali	3	15
<i>Item.</i> Ku temuż łososiowi kupilem 4 szynki za Dałem za 4 łososie po 72 gr.	4	—
Za 4 szynki co dla króla JMści, dałem	9	18
Za 4 szynki co dla króla JMści, dałem	4	—
Za łososia i za dwa karpie	2	15
Za karpia wielkiego	1	10
Za łososia	2	—
Postali panowie p. wojewodzie baryłę wina, w której jest 25 garcy, po 5 gr. kwarta, uczyni	16	20
Pani staroście warszawskiej postali panowie marcepan, czyni	2	—
Za norymberskie pierniczki dałem	1	—
Odźwiernemu królowej JMci kołody dałem	1	—
Jeszcze pani staroście wzięto u p. Kulińskiego marcepaników z cukrem	1	12
<i>Studzys i mistrz.</i>		
<i>Die 29 augusti.</i> Dałem 4 sługom miejskim i mistrzowi, po 10 gr. na tydzień ⁽¹⁾	1	20
<i>D. 22 septembris.</i> Dałem nowotnemu mistrzowi jego obyczaj	—	7½
<i>D. 1 octobris.</i> Panowie kazali dać mistrzowi na pożywienie	1	—
<i>Item.</i> Kiedy ten mistrz przywędrował, dałem jego obyczaj	—	15

(¹) Płaca ta, co tydzień jest powtarzana, gdyż studzys ci sprawiedliwości, stają mieli posadę; inni zaś mistrzowie byli wędrowni, jak się z tych zapisek okazuje. Miasto *Biecz* nad Ropą, główne swego powiatu w b. twie krak., słynęło nauką i wyzwaniem się katów, oprawców, ceklarzów, którzy rozechodząc się po całej Polsce, usługi swe nieśli. Rzemiosło to, wielce było rozgałęzione w epoce, kiedy lada miasteczko rządzące się magdeburską, używało prawa miecza i hojnie nióm szafowało. A że, jak wyraża odwieczne przysłowie: „dwaj kaci w jednym miasteczku się nie pożywią” zmuszało to ich do odbywania ciągłych po kraju wędrowek za szukaniem chleba. Klonowicz (*Worek Judaszowy* 1603 r.), mówi: „Kata z starego zwyczaju zową *małodobrym*.”

	Złote	grosze
Żeby mistrz powędrował, kazali mu dać panowie na drogę	—	15
D. 16 <i>novembris</i> , przywędrował mistrz, dałem mu jego obyczaj	—	7½
D. 4 <i>decembris</i> , mistrzowi co ćwiertował chłopca, co krawca zabił	1	—
D. 12 <i>decembris</i> , od 2 prób złodziejów	—	12
<i>Item</i> , co je ścinał	—	15
D. 19 <i>decembris</i> , od 3 prób mistrzowi po 6 gr. <i>Item</i> , przywędrował mistrz, dałem jego obyczaj	—	18
	—	7½

*Wiadomość bibliograficzna o życiu i pracach naukowych
Ludwika Bojanusa (1).*

Bojanus (Ludwik Henryk) doktor medycyny i chirurgii, professor weterynaryi i anatomii porównawczej w b. uniwersytecie wileńskim, radca stanu, kawaler orderów Ś. Anny II klasy i Ś. Włodzimierza IV klasy, członek wielu akademij i uczonych towarzystw; urodził się dnia 16 lipca 1776 r. w Bisweiler, mieście w Alzacyi. Początkowe nauki pobięrał w gimnazyum w mieście rodzinném, a następnie po przeniesieniu się swęj familii do Darmsztadu, kosztem W. księcia wejmarskiego udawszy się do uniwersytetu

(1) Lubo żywot Bojanusa ogłoszony osobno przez prof. Eichwalda po łacinie, nadto umieszczony był kilkakrotnie w pismach krajowych i zagranicznych, między któremi szczególnie pięknie wypracowany, jest pióra godnego jego ucznia i następcy na katedrę, zacnego i uczonego prof. Ad. Ferd. Adamowicza (w *Wizer. Roztrząs. nauk.* 11. Wilno, 1836); na prośbę atoli kilku miłośników nauk i wielbicieli Bojanusa w Warszawie, zrobiłem nowy wyciąg z pomienionych prac i dzieł bibliograficznych, celem ułatwienia w wyszukaniu rozproszonych, a nigdzie razem niespisanych dzieł tego uczonego profesora.

w Jenie, nauce lekarskiej pod sławnymi: Hufelandem i Loderem poświęcał się, i tam w r. 1797, a w 21 roku swego życia, stopień doktora medycyny i chirurgii otrzymał. Wsparły szczodrobliwością tegoż księcia, udał się potem do Wiednia, gdzie pod Janem Piotrem Frankiem w swęj sztuce doskonalił się, i ze znakomitszemi lekarzami, a mianowicie Gallem zaprzyjaźnił. Powróciwszy w r. 1798 do Darmstadt, praktyce lekarskiej przez dwa lata poświęcał się, poczem w r. 1801 kosztem rządu, za panowania Ludwika I landgrafa hessen-darmsztadzkiego, wysłany został do obcych krajów, dla wydoskonalenia się w nauce weterynaryi, celem założenia wyłącznej w tym przedmiocie szkoły. Przez trzy lata 1801—1803 podróżując, bawił w Alforcie. Paryżu, Lugdunie; z Paryża udał się do Londynu, potem do Hanoweru, Wiednia, Berlina, Drezna i Kopenhagi, zwiedzając wszędzie zakłady publiczne lub prywatne naukowe, tudzież znaczniejsze stada koni i owczarnie, oraz główniejsze szkoły weterynaryi, dla zgłębienia téj nauki, a w niektórych miejscach, przygotowane prace publicznie wydawał. Za powrotem do Darmstadt, gdy założenie projektowanej szkoły weterynaryi do skutku nie przyszło, a w końcu 1803 roku ogłoszone zostały programata konkursowe do wakujących katedr w nowo przekształconym i świetnym uniwersytecie wileńskim; Bojanus podał się w dniu 29 kwietnia 1804 r. na kandydata do katedry weterynaryi, przesyłając zarazem rozprawę w języku niemieckim, zawierającą ogólny rozbiór téj nauki. W skutku téj rozprawy, rada uniwersytetu obrała go i potwierdziła w tymże roku na profesora zwyczajnego publicznego z dwoma dodatkowemi kursami, to jest: dozoru kliniki weterynarskiej, i wykładu anatomii porównawczej. W roku 1806 przybył Bojanus do Wilna, i zaczął wykładać dla uczniów medycyny weterynaryę; w kilka zaś lat później i anatomią porównawczą, którychto przedmiotów przed nim nikt w tym kraju nie wykładał nigdzie. W tymże samym czasie dał w ofierze dla uniwersytetu liczną swoją bibliotekę weterynarską, świeżo wtedy z zagranicy sprowadzoną. Po roku 1807 uczestniczył w dozo-

rze lekarskim szpitalów wojskowych, i kilka nader ważnych dzieł i rozpraw w przedmiocie weterynaryi z druku wydał. W późniejszym czasie prawie zupełnie poświęciwszy się anatomii porównawczej, wiele w niej ważnych i pięknych odkryć poczynił, wiele rozpraw napisał i ogłosił, które uwieczniły sławę Bojanusa, i są dotąd jedyne w swym rodzaju. Nadto był on w Wilnie twórcą gabinetów weterynaryjnego i anatomii porównawczej, a wskrzesicielem zoologicznego.

Zwątłone zdrowie przymusiło go do opuszczenia Wilna w roku 1824, a po pięcioletnich prawie cierpieniach, zmarł w Darmsztadzie dnia 2 kwietnia 1827 r. mając lat 51. Cechą wszystkich prac tego męża, mówi p. Adamowicz, była ścisłość w szczegółowych badaniach, i wewnętrzne przekonanie o stopniu pewności, z jaką wnioskować można o nauce przyrodzenia w ogóle z pojedynczych faktów, służących jęj za podstawę. Wszystkie przedmioty nauk przyrodzonych przez Bojanusa wypracowane, równie najzawilsze, jako też najprostsze, noszą na sobie znamię przyjemnego wykładu, i żywość umysłu zgłębiającego przyrodzenie. Też same zalety, towarzyszyły i ustnemu na lekcjach publicznych nauczaniu; a szczęśliwa łatwość wysłowienia i przyjemny organ, czyniły je bardziej jeszcze dzielnymi. Byłato, mówi dalej czcigodny jego uczeń, prawdziwa rozkosz słyszeć i widzieć Bojanusa, kiedy w pięknym amfiteatrze kreślił od ręki trafny dla uczniów rysunek, w téjże chwili objaśniał go wyborną potoczystą łaciną, a w tych objaśnieniach zawsze rzucał śmiało, dowcipne i płodne myśli.

W sądzeniach o rzeczach naukowych był bardzo przenikliwy i rozważny; postępował z pewną metodą i krytyką; w zdaniach atoli swoich nie był uparty, jeśli go słuszne dowody inaczej przekonały. Szczęśliwe połączenie talentu rysowniczego ze znajomością anatomii, ułatwiało mu badania, i dopomagało do zadziwiającej w opisach ścisłości. Rysunki jego anatomiczne owcy i zółwia, obraz szlachetnego konia w truchcie, portrety jego, własnej żony i przyjaciela swego naturalisty Langsdorfa, pozostaną dowodem

jego pilnie kształconych malarskich zdolności. — Bojanus był tkliwy, silnych uczuć, temperamentu żywego, urazy niełatwo zapominający, ale prawy i otwarty, w przyjaźni stały, dla każdego uprzejmy. Cudzoziemiec, wszystkim uczynom krajowcom oddawał sprawiedliwość. Skromny, w każdej okoliczności życia unikał okazałości światowych; nie zajęty sobą, względny dla drugich i pamiętny na ubogich. Wzrostu był więcej niż miernego, budowy silnej chociaż szczupłej, włosów ciemnych, twarzy pociągłej i rumianej, nosa prostego wydatnego, oczu wielkich ciemnych i pełnych życia, wzroku łagodnego, ujęcia miłego i wesołego; przytém cały przyjemną i niewymuszoną powagą tchnący. Oprócz języków ojczystego i łacińskiego, posiadał grecki, francuzki, angielski, duński, włoski, rossyjski i polski. Poświęcał się niekiedy dość szczęśliwie drobnej poezyi, lubił i znał muzykę, konną jazdę i fechtę. Dzieł i rozpraw jego drukiem ogłoszonych, osobno lub po rozmaitych pismach czasowych mieszczących się, tudzież rozpraw w rękopiśmie pozostających, liczą do 50; których następne wyliczenie ze ścisłością bibliograficzną, jakie nam znaleźć udało się, podajemy.

I. Osobno z druku wydane.

1) Eduard Colemann's Grundsätze des Hufbeschlage aus d. Engl. durchaus umgearbeitet von L. Bojanus; mit 6 Kupf. Giessen, 1805, gr. 8vo.

2) Ueber den Zweck und die Organisation der Thierarznei-Schulen. Francfort am M. 1805, 8vo.

3) Anleitung zur Kenntniss und Behandlung der wichtigsten Seuchen unter dem Rindvieh und den Pferden. Riga, Deubner. 1810. 8vo. 128 str. Drugie wydanie wyszło pod tytułem: Anleit. zur Kenntniss und Behandlung d. wichtigsten Seuchen unter d. Hausthieren. Wilna. Moritz, 1820, 8vo. Trzecie wydanie z takimże tytułem in 16o z figur. w Lipsku u Fleischera, 1830. Polskie tłumaczenie przez samego autora wykonane, wyszło pod tyt.: O waż-

niejszych zarazach bydła rogatego i koni. Wilno. 1810. 8ka. str. 131.

4) *Introductio in Anatomem comparatam. Oratio Academica quam ad inaugurandas in Caes. Univ. Vilm. comparatae anatomes scholas die IX ante Calend. Nov. MDCCCXVI habuit.* Vilnae. 1815. 8vo. str. 51.

5) *Des principales causes de la dégénération des races des chevaux et des règles à suivre pour les relever etc.* Discours. Vilna. 1815. 8vo, str. 33.

6) *Wykład sztuki litograficznój; rzecz czytana na sessyi uniwersytetu (przekład z francuz).* 1817. 8vo, str. 13.

7) *Anatomia testudinis Europaeae. II Fasc. cum XLIX tab. aen. fol. maj.* Vilnae. 1819—1821.

8) *Parergon ad L. H. Bojani anatomem testudinis, cranii vertebratorum animalium, scilicet piscium, reptilium, avium, mammalium, comparisonem faciens. icon. illustr.* Vilnae. Moritz. 1821. 4to maj.

9) *Découvertes relatives à l'allantois et la vesicule ombilicale du poulain et observations sur l'apercule branchiale des poissons.* 1815.

10) *De Merycotherii Sybirici dentibus commentatio.* Vilnae. 1823. 4to.

11) *Sendschreiben an G. de. Cuvier, über die Athem- und Kreislaufwerkzeuge der zweischaligen Muscheln, insbesondere des Anodon cygneum. Mit Abbild.* (Aus der Isis. abgedruckt). Jena. Schmid. 1820. gr. 4to.

II. *W pismach czasowych umieszczone byly następné rozprawy, jakoto:*

W Millin's. Magasin Encyclop. 8me année. T. 1, p. 445 avec 2 tables; i w Journal de Physique par Lamétherie. 1802. T. XII, p. 198—215.

12) *Encéphalo-cranioscopie. Aperçu du système cranio-gnomique du Dr. Gall, Médecin à Vienne.*

W Literaturzeitung f. d. Medicin und Chirurgie im ganzen Umfange, herausg. von J. H. Sternberg. 1er und 2er Ibrg. zu 12 Heften. gr. 8. Helmst. Marburg, 1804—1805.

13) Kritische Uebersicht der Fortschritte der Thierarzneykunde in der letzt verflossenen drey Jahrhunderten, mit besonderer Beziehung auf die in diesem Zeitraume erschienene Schriften (1805 V. Hft. p. 381—465).

W Horn Ernst. Archiv. f. Medicin. Erfahrung. Neue Folge. Jahrg. 1811—1814. 1er—4er B. gr. 8. Berlin.

14) Einige Bemerkungen über eine Kritik meiner Abhandlung: Ueber die wichtigsten Seuchen. etc. (1812 pag. 186—7).

W Mémoires de l'Academ. de scienc. de St. Petersbourg. 1815. T. V.

15) De foetus canini velamentis imprimis, de ipsa membrana allantoide. (W tém samém przedmiocie p. t.: Ueber d. Hundsoetus, w Isis. B. III, p. 1616, i Observatio anat. de foetu canino w Nov. Acta. Acad. Caes. Leopold. Car. Natr. cur. T. X Pars 1).

W Mémoires de Societ. Imp. des Natur. de Moscou. 1818, T. V.

16) De amphistomate subtri gueto.

W Russische Sammlung für Naturwissenschaft und Heilkunst. herausg. v. Crichton Rehmann und Burdach. I. 3r. 4r. II. 1—4 stück. M. K. gr. 8. Riga. 1815—16.

17) Bemerkungen aus dem Gebiete der vergleichenden Anatomie (Heft IV. II. B).

W Oekonom. Repertor. f. Liefland. Riga, 1811, 6 B. 8vo.

18) Ueber die Ausrottung der Rindviehpest.

W Isis, Encyclopäd. Zeitschr. vorzügl. f. Naturgeschichte vergleich. Anatomie u Physiologie v. (Lorenz) Oken. Jahrg. 1817—1828, à 12 Hefte. Mit Kupf. gr. 4to. Zurich.

19) Ueber die rima Glaseri und chorda tympani beyrn Kalbe (1818 p. 1423).

20) Ueber die Harnblase des Pferdes und Schafes (1818 p. 1623. 1822 p. 1228).

21) Die Anatomie d. Blutigels (1817 p. 2089).

- 22) Versuch einer Deutung der Knochen im Kopfe der Fische (1818 p. 498—510).
- 23) Kurze Nachricht über Zercarien (1818 Hft. IV. p. 729).
- 24) Sur l'opercule branchiale des poissons (1818).
- 25) Ueber d. Blutig. d. Dottergang bey *Coluber berus* (1818).
- 26) Weiterer Beitrag zur Deutung der Schädelknochen (1819 p. 1360).
- 27) Authelmintica (1818).
- 28) Ueber *Distoma hepaticum* (1821 p. 306).
- 29) Abermals ein Wort zur Deutung der Kopfknochen (1821 p. 1145).
- 30) Ueber d. Mass des Pferdekörpers (1818).
- 31) Sendschreiben an den H. Chevalier G. de Cuvier über die Athem und Kreislaufwerkzeuge d. zweischalig. Muscheln, insbesondere des *Anodom cygneum* (1819 p. 80—99).
- 32) Antwort auf H. Blainvilles gemachte Einwendungen in Betreff des Athem werkz. d. zweisch. Musch. (1820 p. 404 428).
- 33) Ein Wort über die Verhältniss d. *membrana decidua* (1821 B. VIII, p. 268—71).
- 34) Vorschlag zur gleichförmigen Benennung der Knochentheile des Unterkiefers (1822, p. 1228).
- 35) Über die Fersenbänder am Hufe (1825 B. XVI, p. 755).
- 36) Über das Schultergerüst der Schildkröte (1826, p. 428—456).
- 37) Ueber Treviranus Meinung in Betreff d. Teichmuschel (1826, p. 751).
- W Acta nova physico-medica Academiae Caesar. Leopoldino-Carolinae naturae curiosorum, Bonn. T. XII—XIII, in 4to.
- 38) De Merycotherii Sybirici dentibus commentatio (T. XII, p. 1, pag. 265—75, cum tab. aere incis. 1823).

39) *Craniorum Argalidis Ovis et Caprae comparatio* (T. XII, p. 1, pag. 293—300 additae sunt duae tabulae chalcographicae).

40) *Adversaria ad dentitionem equini generis et Ovis domesticae spectantia* (T. XII, p. II, pag. 697—708).

41) *De Uro nostrate ejusque sceleto* (T. XIII, p. II, pag. 413—478 Acced. tab. lith. V).

III. *W rękopismach pozostały.*

42) *Annonce d'un système de physionomie basé sur l'anatomie comparée du cerveau* (1801).

43) *Über die Thierarzneykunst* (1804).

44) *De veterinaria medicina excolenda ejusque disciplina rite ordinanda* (1806).

45) *Über eine Vaterländische Kleidung der Deutschen* (1814).

46) *Monografia zootomiczna owcy, z 600 najpiękniejszych i własnoręcznymi rysunkami i stosownym tekstem.*

Ostatni ten rękopism ma się znajdować w rękę lekarza Eigenbrodt, młodszego siostrzeńca Bojanusa; ogłoszenie zaś jego, podług zdania p. Adamowicza, postawiłoby anatomią owcy, obok anatomii ludzkiej, doprowadzonej w naszych czasach do takiego stopnia doskonałości.

F. M. Sobieszczański.

Wiadomość bibliograficzna.

Przypadkowo dostała się w moje ręce książeczka polska, której żadne dzieło o bibliografii naszej nie wymieniło. Jestto „*Charakterystyka Generała Buonaparty*” z godłem na środku tej tytułowej stronnicy: „*Prawda ku przyjacielom y nieprzyjacielom*”, a u dołu téjże stronnicy: „*w Królewcu, w drukarni G. L. Heeringa y G. C. Haberlanda. 1799*”.

Otóż cały tytuł téj książeczki, którój format jest *in-8vo min.* i którą 96 stronic, dopiéro od 8ej liczhowanych, składają. Na karcie która pó tytułowój następuje, są wyrazy: „*Do Wielmożnego Jmę Pana Rydzewskiego, Stolnika Ziemi Wiskiej, Starosty Raygrodzkieygo (sic) Ojca Dobrodzieia*”; poczm znowu osobna karta, cała zajęta dedykacją, z którój się okazuje, że to dziełko z niemieckiego na polski język przetłumaczone zostało, i że tłumaczem jest (podpisany pod dedykacją) *Józef Rydzewski*.

Jeszcze więdo do przeszłego należące wieku dziełko, skreślające wierny rys charakteru człowieka, który w następnym najwyższą chwałę ziemską zajaśniał, czyta się z nie-malém zajęciem, mimo niepoprawność stylu i w wielu miejscach złą polszczyznę. Oto początek jego od str. 7 (nienaliczhowanój): „*Neoptolem (sic) Buonaparte* narodził się w roku 1763 na wyspie Korsyce. *Markis de Marboeuf*, który jako generał francuzki kommanderował na tej wyspie, zabrał przyjaźń z matką Buonaparty, a owoc ich wzajemney miłości był nasz bohater”. Oprócz téj na samym początku uderzającej niezgodności historycznej, wszystkie dalsze podania o wychowaniu, czynach i charakterze bohatera, są prawdziwe i wierne; nadewszystko zaś jego kampanie we Włoszech dokładnie i z ciekawemi, lubo dziś powszechnie wiadomemi szczegółami opisane. Od str. 67 zaczyna się charakterystyka osoby Buonapartego i różne anegdoty o nim. Dla próby stylu kładziemy następujący wyjątek: „*Co się tycze powierzchowności, tedy pokazuje iego prosty ubiór, nietapierowane brunatne włosy, które po prostu na twarz spadają, że on mało się niemi zatrudnia. Mały iest postawy, chudy, iego rumieniec w brunatność wpada, ma blade y nieco zapadłe policzki; nieco wielki nos, czarne oczy, spoyrzenie iego iest przenikające y śmiałe, mina woienna, a cała postać okazuje człowieka myślącego. Poważne y ciche iest iego obchodzenie się w wielkich kompaniach. Mówi tam mało, po części w zawieszeniu ale z dobrym sądzeniem y wyrozumiale. Żyje y przyjemne*

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

DO CZYTAJĄCYCH TE WIADOMOŚCI.

O korzyściach nauk przyrodzonych. — O stanie ich u nas.

Człowiek wtedy jest zupełnie oświecony, gdy z prawd których podochodzona przed nim, może wyprowadzać inne i tym sposobem rozszerzać granice zakreślone rozumowi swojemu. Żadna droga nie zawiedzie mądrości jego dalej nad tę, którą docieka tajemnic natury; ona go bowiem prowadzi do użycia w praktyce wszystkich metod umysłowego działania, które rozpostrzeć może na cały świat rzeczy istniejących, i to gruntownie poznać, co mu pierwój zdawało się być niepojętém i niepoliczoném.

Ztąd w wieku naszym szybki tych umiejętności postęp, coraz czyściej ukazuje nam prawdę, nie tylko w zakresie świata zmysłowego, ale nawet w sferze wszelkiego rozumowania, wszelkich idei powoływanych do stanowienia jakiegokolwiek teorii. Rachuba (mechanika, astronomia), subtelność dociekań (fizyka), wnioskowanie i kombinowanie (chemia), metodyczne porządkowanie (historja naturalna) i tym podobne szacowne sposoby rozumu naszego, które są tylko wyrazami w dyalektyce, tu zamieniają się niejako w materję tak bierną, że użytki jej stają się prawie dotykalnemi. Dla tego nauki przyrodzone, niegdys tylko dodawane w kształ-

cie wydziałów do akademij, dziś stały się głównem ciałem najznakomitszych tego rodzaju stowarzyszeń uczonych. Na ich postęp zwraca dziś uwagę coraz więcej umysłów tak, iż nie ma najmniejszej obawy, ażeby kiedykolwiek powszechnemu uległo zaniedbaniu to, do czego nieoświecone narody zawsze miały ciekawość, a w czem najoświeceniwsze uczyły nieocenione korzyści.

Jeżeli te umiejętności stosunkowo mały czynią postęp w kraju naszym, to widzimy w nim przynajmniej powszechny szacunek dla nich, a tem samem ogólne dążenie do gruntownego ich poznania. Za dowód tego może między innymi posłużyć miłe od czytelników Biblioteki Warszawskiej przyjmowanie donoszonych przez nią, już od lat kilku, wiadomości o postępie astronomii, fizyki, chemii i w części historii naturalnej. Niejeden skwapliwie przegląda te końcowe każdego zeszytu karty, chełwy dowiedzieć się co z upływem iniesiąca wystąpiło nowego na tę rozległą widownię najczynniejszych natury dostrzegaczów. Taki jest prawdziwym przyjacielem umiejętności, i do takiego miło nam przemawiać. Ale niejeden znowu woła: „dlaczegoż ten niezrozumiały język, jakby miał pewnym tylko, wybranym osobom, a nie całemu ogółowi dozwalać przystępu do ołtarza mądrości? Czemuż te wiadomości z obcych jedynie gromadzą się krajów, a prawie nigdy nie przybędą z rodzinnego?” Zaiście, dwa te ostatnie zarzuty są tak ważne, iż z obudwu wytlumaczyć się musimy.

Nauki przyrodzone rozszerzając nasz rozum daleko za granice jego zwyczajnego działania, stwarzają nowe pojęcia, a ztąd i nowych wyrazów w mowie wymagają. Najniewątpliwszą jest rzeczą, że te naukowego języka wyrazy, *termini artis*, lepsze są nad wszelkie inne, bo one zawsze jeden tylko przedmiot lub jedną czynność oznaczają, i nie mogą być brane dwuznacznie. Niemiennym godłem nauk przyrodzonych jest, że co ma być prawdą, nie może być wątpliwością. Ta zasada rozciągać się musi i do ich języka. Kto więc nie rozumie wyrazów naukowego języka, jasną jest rzeczą, że nie zna nauki. Zaiście, chciałoby ażeby fizyka, chemia, fizjologia i t. p. wykładane były popularnie, jestto żądanie tego co być

nie może: jest to samo co chcieć ażebyśmy to wiedzieli lub znali, czegośmy się nie uczyli; zresztą wiedzieć tyle tylko z tych nauk ile się da z nich wyłożyć mową popularną, gorszem byłoby podobno, niżeli wcale ich nie znać.

Lecz inną jest rzeczą nieustalenie nomenklatury. W języku polskim jest ona jeszcze daleką od tego ustalenia. Biblioteka Warszawska tę wybiera, która jej zdaje się być albo najtrafniejsza, albo najpowszechniej używana. Ale pocóż nam, Polakom, narzekać na to, kiedy ona i we wszystkich innych językach nie jest stałą; co większa, zawsze będzie musiała ulegać zmianom, w miarę rozrastania się każdej gałęzi tych nauk. Wyrazy i wyrażenia w naukach przyrodzonych używane, wtedy dopiero przestają razić, kiedy uczujemy ich potrzebę w języku, czyli co na jedno wychodzi, kiedy poznamy naukę, a w czem tylko dzieła systematyczne dopomódz mogą, bo nasze doniesienia, sąto jedynie najostateczniejsze i świeżo puszczające latorośle każdej z głównych gałęzi tego wielkiego drzewa.

Ażeby zasadniczo odpowiedzieć na drugi z wyżej wymienionych zarzutów, wyznajemy wprawdzie że nasz kraj nie mniej od innych przedstawia zjawisk albo płodów godnych uwagi badacza, lecz w obliczu nauki wszystko to pozostać musi bezowocnem, skoro nie wpadnie w oko badaczów naukowych, a jakich bądź wcale nie mamy, bądź tylko niewielu się szcycimy. Nie dziw tedy, że wiadomości które umieszczamy w dzienniku polskim, przybywają do nas z Francyi, Włoch, Niemiec, Anglii, nawet Ameryki i t. d. to jest z krajów rozdzielonych, że tak rzekę, pod nadzor najbieglejszych i najczynniejszych umysłów badawczych, które i to co przed niemi dostrzeżonem było w zupełności ogarnęły, i na uważanie tego co się dziś staje, wzrok zaprawiły. Bardzo mało dotrzymujących im kroku jest u nas; ilekroć też wydarzyło się, że który z takich postrzeżenia własne ogłosił, Biblioteka najskwapliwszą była z przyjęciem ich w swoje doniesienia, Nie wypada na dzisiejszy stan przyrodzonych nauk, ufać z łatwocwernością wieków dawnych wszystkiemu co kto powie. Na wydzieranie tajemnic naturze zpod najściślejszych

ję zamknąć, uorganizowała się dziś w światłej części Europy i Ameryki, potężna armia badaczy. Jęto nadewszystko i znoszących się z nią ję korpusów, wyrachowanie i systematycznie oraz jakby pod jednym wodzem wojujących, buletyny w naszych doniesieniach zamieszczamy, rzadko ufając tym partyzanckim działaniom maroderów, którzy się z głównym sztabem armii nie wiedzą lub porozumieć nie mogą. Sztuka badania natury uległa dziś prawidłom, które znać potrzeba ażeby z niezachwianą pewnością powiedzieć co dla nauki jest nowém, co i gdzie się do niej odnosi, co jest użytecznym, co zasługującym na wiarę. Pierwszym obowiązkiem dzisiejszego badacza natury jest sumiennosc względem tego co podaje, a ostrożność aż do niedowierzania posunięta, względem tego co odbiera (1). Jeśli świadkiem faktu nie

(1) Niejaki p. Lamarepicquot, Francuz, powróciwszy z Indj Wschodnich do Paryża, przywiózł z sobą znaczny zbiór wschodnio-indyjskich gadów wzorowo zachowanych, który okazując Instytutowi paryzkiemu, dołączył oraz małe przez siebie napisane dziełko (*Mémoire*), obejmujące nowe postrzeżenia nad historją naturalną gadów, a mianowicie węzów, które w stanie życia w Indjach miał sposobność uważać. Wyznaczony od Instytutu stawny zoolog Duméril do ocenienia naukowej pracy p. Lamarepicquot, znalazłszy w niej utrzymywania błędne, tak swój raport Instytutowi podany zaczyna: „Postrzeżenia czynione nad obyczajami i zwyczajami zwierząt, nie przestaną nigdy ważnemi być dla naturalistów, lecz konieczną jest rzeczą ażeby fakta przytaczane przez wędrowników, rozbierane były z największą uwagą, bo jeżeli wprowadzeni zostali w błąd, rozszerzają i akkredytyują przesady, które potem bardzo trudno zniszczyć. Zaufanie niektórym opowiadaniom, wystawionym jako fakta rzeczywiste i pewne, stało się nieraz powodem do wiadomości fałszywych, które się odwiecznie powtarzają, a nawet znajdują się zapisane w dobrych autorach, chociaż dzisiejsza znajomość organizacji okazuje iż niepodobna uznać ich za prawdziwe.” P. Duméril mówi dalej, że do tych uwag dało mu powód dostrzeżenie w dziełku p. Lamarepicquot kilku utrzymowań błędnych, jakoto, że węże mają własność ssania krów, że mogą pić i polykać wiele cieczy i t. d. Mówiąc np. o żmii *demuha*, p. Lamarepicquot powiada czy też powlarza, „że ten wąż dostawszy się do chlewa gdzie są krowy, mlęko im z wymion wysysa, że wymioną krów

był umięjący go naukowo ocenić, nie nadadzą mu powagi nawet owe, dla uwiarogodnienia cudownych zdarzeń, nie-

które wyszał, schną jużto w skutek ran zadanych zębami węży, już też w skutek wrażenia którego doznaje krowa, gdy gad usiłuje dostać się do jej wymion, nadzwyczajnie pragnący ssania". Ale dosyć dla naturalisty (odpowiada na to p. Duméril) znać ogólną budowę części składających paszczę węży, sposób i drogi jego oddychania, ażeby się przekonać że to zwierzę nie jest w stanie skutecznie ssania żadnej cieczy. W rzeczy samej w jego jamie gębowej nie może się utworzyć próżnia, z przyczyny braku warg mięsistych, z przyczyny że kanał nozdrzowy jest zbyt krótki, że nie ma zastony podniebienia, ani języczka przy ujściu tchawicy i t. d. Nadewszystko zaś zęby węży, bardzo kończate i w tył zakrzywione, są nader sposobne do zatrzymania zdobyczy żywej, ale w przypadku objęcia paszczą krowich brodawek, przyczepiłyby się do nich w ten sposób, że sam wąż nie zdołałby się oderwać od miejsca. Na téjże zasadzie odrzuca p. Duméril inne błędne podanie pana Lamarepicquot, o wężu Pitonie z gór Beniskich, który, jak ten wędrownik zapewnia, wypił raz całą butelkę wody.

Wypisaliśmy to prawie dosłownie ze znanego dziennika naukowego: *Annales des Sciences naturelles*, str. 35 tomu III drugiego ciągu, poszyt ze stycznia, 1835 roku. Zobaczmy teraz jak tę okoliczność, prawie spólcześnie uważałby jeden z naszych zoologów, który w Kalendarzu powszechnym na rok 1836 mówiąc o *szkodliwych i nieszkodliwych gadach krajowych*, na str. 41 to opowiada: „W czasie pieszych pielgrzymek moich po Galicyi, pewnego dnia chcąc się schronić przed upałem zbliżającego się południa i dostać jakiego posiłku, wstąpiłem do chaty gajowego niedaleko wsi zwanój Bucze, i zastałem na środku izby dwoje dzieci, które siedząc na ziemi, jadły z miski mléko, a między niemi chleptały (?) z téjże miski trzy potężne (?) węże. Matka tych dzieci widząc moje zadziwienie, uśmiechnęła się i rzekła „Te węże tak się już oswoiły, że nawet sypiają z nami. Patrz pan! oto jest dowód tego co powiadam: „Wtém przystąpiła do kotylski, a podniosłszy pierzynkę którą najmłodsze jój dziecię było przykryte, pokazała mi dwa węże, które jak bicze obok śpiącego niemowlęcia leżały wyciągnięte (??) Wzięła je potem w rękę i położyła między dziećmi przy misce, a te zaraz zaczęły pić mléko z piérwszemi (?)” Niech nas ustrzegą losy od podobnej sumiennosci opowiadania faktów w dziełach umiejętności-wych!

gdys używane, protokolarne formy zeznań słownych, choćby największej liczby widzów i zaprzysięgane przez nich (1).

Nie ludźmy się przeto mniemaniem, że w naszym kraju znajdziemy innym odpowiednią liczbę prawdziwych natury badaczy, prawdziwych znawców rzeczy; a jeżeli dosyć często wprowadzamy do rozmów naszych przedmioty z dziedziny nauk przyrodzonych, pochodzi to ztąd, że nam nie zływa na miłośników tych nauk. Tam gdzie nieuchronność pracowitości zniechęca ku wszystkiemu co jest użyteczne a razem do nabywania niełatwe, w miejsce uczonych koniecznie tworzyć się muszą miłośnicy nauk. Onito w mowie słów pełnej, tak wiele przytaczają nam trudnych do wyłumaczenia faktów, których sami byli naoczniemi świadkami; nietylę czyniąc to przez życzliwość ku naukom przyrodzonym, ile raczej ażeby dogodzić skłonności przechwalania się, tak znanę z myśliwych, którzy nie czem innem są, tylko złemi naturalistami. Duchowni wywyższają astronomią i historią naturalną, jako podnoszące myśl człowieka ku stwórcy tylu cudów przyrodzenia. Bogacze oddają pochwały chemii, dlatego, że ta dogadza ich żądzy zbytkowania; sławią ją i rolnicy, gardzący zwykle innymi oddziałami nauk przyrodzonych dlatego, że te nie mają wprost na względzie źródła ich dostatków. Panie pochwalą fizykę, bo jej doświadczenia podobają się ich oczom. Owoż zkąd rozpoczyna się zwykle apologia nauk przyrodzonych wśród naszych posiedzeń, gdzie każdy okaże, iż widział ten gmach wspinały ze swojej, ale tylko z jednej strony. W obronie tych zelantów, nauki przyrodzone zdają się

(1) Jeszcze i teraz niektórzy się tém ludzą. Niedawno Schleiden, terażniejszy wydawca dziennika niemieckiego: *Neue Notizen*, umieścił w 54 numerze jego na rok 1847, dwa z dzienników angielskich wyjęte, protokolarne zeznania, stwierdzone podpisami kapitana okrętu i czterech świadków z jego osady, jako wszyscy widzieli olbrzymiego węża morskigo; z czego potem gazety niemieckie żartowały, jak wyjawia sam Schleiden na str. 328 nr. 131 z r. 1848 swojego dziennika *Neue Notizen*, przytaczając tam, pewnie na swoją obronę, i trzecie podobne zeznanie, nietylko stwierdzone podpisami, ale nawet przysięgą.

hyć podobne do publicznego ogrodu; jeden uwielbia w nim przechadzkę, drugi ma z niego piękny widok, inny jabłko i t. p., ale niktby nie śmiał z tą samą przyjemnością podzielić kosztów jego utrzymania. Mało komu na myśl przychodzi potrzeba walk z trudem, bez którego zwalczania te piękne i pożyteczne umiejętności, nie dadzą się ani nabyć, ani rozpostrzeć. Zobaczmy tedy na jaki w téj mierze sposób biorą się pisarze nasi, którzy obok wprawy pisarskiej, ledwie tyle co gmin wyobrażenia o tych umiejętnościach mając, raczą jednak uznać je godnymi swojego pióra, i piszą w przedmowie nauk przyrodzonych albo przez litość że mało kto o nich u nas pisze, albo przez grzeczność, że i o takich naukach w dzisiejszym wieku warto nie zapominać. W pierwszym razie sądzą oni, że dla nadania w kraju naszym popędowi postępowi tych umiejętności, należy cokolwiek i jakkolwiek o nich pisać, byleby pisać (1); w drugim biorąc do ręki pióro, zaprzeczają wiary ludziom uczonym, których zowią pedantami, przywiązanymi zawsze do jednej, staréj zasady, i sądzą, że swoim prostém widzi się, zdolni są od razu podeptać i przekroczyć obserwacją ciągnioną przez mnogie wieki i przez najściślejszych dostrzegaczy uczonych (2). Zbyt

(1) Tak pisane są rozbiory dzieł o naukach przyrodzonych w Tygodniku Petersburskim; np. recenzja dzieła Belkego pod tyt. *Mastologia* (w nrch 97—101 z r. 1847), którejto recenzji autor, zapewne od szkół jeszcze nie zaglądając do żadnej książki o historii naturalnej, z najciemniejszym o téj nauce wyobrażeniem, osobliwszą sztuką pisarza, wiele napisał, lubo rzeczywiście nic nie powiedział.

(2) Tu należy np. artykuł z podpisem *T. P.* umieszczony w Rocznicach gospodarstwa krajowego (w nrze I tomu XIII, od str. 44) pod tyt. *O wyradzaniu się ziarna*, którego autor okazując nieznaną sobie fizyologią roślinną, rozpościęra śmiało utrzymywania i zdaje się mówić najlogiczniej, jeśli nie zwrócimy uwagi na to, że wiadome sobie fakta pod niewłaściwe najczęściej kategorie podciąga. Pięknie on rozumuje, ale źle obserwuje, chwytając się nawet wygodnej metody jednego z naszych fizyków, która pozwala nic nie czytać, a o wszystkiem wiedzieć tyle żeby wyrozumować. Obserwacja nie czyni się przez natchnienie, tylko przez śledzenie.

jednostronne zamilowanie tak nazwanych nauk pięknych, które chociaż uczą, to tylko rzeczy powszechnie wiadomych, (zatem nie dziw, że w każdym dowcipku znajdują koryfeusza), czyni umysł niezdolnym do należytego sądzenia o umiejętnościach ścisłych, i uczucia w tej ich ścisłości powabu prawdy. Dla tych np. którzy całe staranie o wykształcenie umysłu poruczyli literaturze powieściowej, którzy nawykli czytać a nawet i pisać bez myślenia, zaiste i Kosmos Humboldta nie będzie jeszcze dziełem popularnym.

Niektórzy znowu kompilacyami wiele spodziewają się dokazać. Prawda że w winnych krajach, a osobliwie w Niemczech, kompilacye stają się nader wielką pomocą w powszechném nauczaniu umiejętności przyrodzonych: ale tam kompilacye są kursami profesorów, są dziełami znawców przedmiotu, wyłącznie mu oddanych. Kompilator dzieła w przedmiocie obcym sobie, choćby postanowił co do liter nawet niezmiennie powtarzać autorów, z których czerpa, zawsze się wyda ze swoim nieznamstwem, śmiech niekiedy obudzającym (1). Jeśli kompilacya ma być bez należytego powiązania faktów, bez jedności planu, bez sądu, stokroć użyteczniejszym jest od niej przekład dobrego dzieła obcego.

Ale wszystko o czém wspomnieliśmy dotąd, ledwie zasługiwało na wzmiankę: bo jeśli w niczém nie przykłada się do postępu umiejętności przyrodzonych, w niczém go też i nie wstrzymuje. Dziecinne zdania o tak poważnej materji jak umiejętności, uderzą niekiedy, niekiedy rozśmieszają, a w końcu

(1) To spotyka autora książki wydanej we Lwowie r. 1845. pod tyt. *Badania w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w królestwie Polskiem* i t. d. prostej kompilacyi bez sądu, zebranej z różnych rozrzuconych świadectw pismiennych, często zastaniającej się nazwiskami autorów, którzy żadnej nie dali rękojmi, że zdolni byli rzecz rozpoznać i zgłębić. Ażby dać wyobrażenie jakim jest znawcą nauk przyrodzonych sąm autor tej kompilacyi. dosyć przytoczyć z niego dwa miejsca: Na str. 224 mówi: „W Warszawie wieje zwykle wiatr zachodni, a ten najmniej przynosi wilgoci”. W rozdziale o roślinności, robi dwa paragrafy: jeden pod napisem *Fauna* (str. 207), drugi pod *Flora* (str. 216), ale i w jednym i w drugim o roślinach mówi.

zawsze zapomniane zostaną. Straszliwsza nierównie owa przewrotna taktyka tych, którzyto nauczywszy się obrotów mowy naukowych, uzbrojeni w zapas wyrazów technicznych, dalecy jednak od rozumienia nawet abecadła nauki, robią się jej reformatorami; nadmą się zatém, jak każdy doktor Sorbony, a jak ów *Bombastus Teofrastus* odpowiednim postaci swojej językiem, połowę świata zdziwią. Podług nich wszyscy, i ci którzy dawniej żyli, i ci którzy teraz żyją, są w błędzie; należy porzucić szkołę zawsze jedną, a puścić gieniusz. jak w poezyi, kierunkiem własnym i wolnemu go polotowi zostawić, ażeby dalej postąpić, ażeby coś nowego stworzyć. O zwolenników swojej nowej teoryi nie troszczą się oni; znajdują ich zawsze, skoro parodując poważne naukowe frazesy, będą niemi obiecywali objawienie tego, co jest za granicami rozumu człowieka. Że ta polityka niejednego przyłudzi, rzecz nie jest bynajmniej dziwna. Każdy powie, jak wielu chorych o doktorze: „niech sobie jak chce kończy na *as, es, us* i podobnie, kiedy ma jednak dać zdrowie, trzeba w jego sztuce uwierzyć.” Słyszeliśmy jak niejeden z tych którzy dopiero na starość wzięli się do miłowania nauk przyrodzonych, z uniesieniem rzekł o jednej fizyce polskiej tu należącej; to mi to fizyka, kiedy ją rozumiem!” Nie można się dziwić że tacy sędziowie z zupełnym przekonaniem przysądżają autorowi całkowitą naukę; bo czy on powiedział *kwasaród z wodorodu*, czy *wodoród z kwasorodu*, ich umysł w obudwu tych wyrażeniach uzna prawdę, ich ucho w obudwu brzmieniach znajdzie tę samą uczoność. Według powszechnego prawa, człowiek rozumny nie wda się w rozprawę z tym, który mija się z rozumem, dlatego podobne dzieła zostają zwykle bez rozbioru, bez uczonego zdania o nich (1).

(1) Oprócz znaney Fizyki Żochowskiego, o której wolelibyśmy zamieścić, należą jeszcze pod tę samą rubrykę, wyborne i sławne *Pomysły do nowéj teoryi fizyki i nauk przyrodzonych*, przez Ludwika Wołyńskiego, umieszczone z wielką czcią w Ateneum, wydawanem w Wilnie (Oddział piąty, tom III, zeszyt III i IV, 1843), a którego wydawca, znajomy belletrysta, żartując sobie z umiejętności, nietylko że wystawił na widok w swoim zbiorze ten óród chorobliwy, ale go nawet wspaniałą etykietą opatrzył. Nie

Nie na tém jedném wszakże kończy się ich zawód: tworzą one sobie różne sekty z pogan, to jest profanów; bo nie da się im uwieść żaden wyznawca prawej wiary, to jest żaden głę-

slyszełiśmy jeszcze, ażeby kto na swoim piśmie tak poważnej jak nauki przyrodzone treści, kładł pseudonim; zaręczamy jednak, że ze wszystkich nowych pomysłów, na jakie p. Ludfim Wołyński w swojej rozprawie natrafia, ten jest najrozumniejszy. Mimo to nie chcemy ażeby p. Wołyński miał prawo powiedzieć, żeśmy ocenili jego usiłowania, bez ścisłego ich rozważenia. Jakkolwiek w tytule jego rozprawy, znajduje się nazwisko nauk przyrodzonych, nie jest to wszakże utwór z dziedziny tych nauk, ale bardziej rapsoda filozoficzna, której autor nie fizykiem jest, tylko metafizykiem; nie doświadcza, tylko rozumuje. Pojmujemy więc, dlaczego ciągle pragnie podpiierać swoje rozumowania matematyką; ale nie możemy pojąć dlaczego np. wmieszać chce Milтона między świadków sprawy zupełnie mu obcej? Przypuszczając, że jest lepszym od nas znawcą poetów (*), zobaczymy jak głęboko zna matematykę. Zaraz w 1 rozdziale wstępnym, p. Wołyński (str. 149) powiada, że $-a$ jest to granica, za którą przechodzi ilość, kiedy się powiększa za $+\infty$. Nie jest to taka definicya ilości odjemnych, jaką matematyka przyjmuje. Bo gdy ilość $(+a)$ będąca nieskończenie wielką $(+\infty)$ dodatnią, przechodzi malejąc aż do zera (0): malejąc ciągle, zamienia się na ilość odjemną $(-a)$; dalej malejąc, przechodzi aż do $-\infty$. Ten przeto stan jest tylko rośnięciem w stronę przeciwną, czyli zmysłowo, ilości $+a$ i $-a$ uważać można za równe, ale na przeciwnych stronach drogi leżące. Zresztą te definicye są nader względne; są to założenia nie zaś dowody, na którychby godziło się jakieś prawa opierać. P. Wot. mówiąc na str. 161 w § 8: „zero nasze znaczy często wielkość jeszcze znaczną” i dalej: „Pylinka pod zmysły po spadająca względem kamienia funtowego jest zerem”, nie zna zupełnie definicyi zera w matematyce. W rozdziale pod tyt. *Kyt i nicość* (str. 156), uczy: „że byt od nicości tém się różni co plus (+) od minus (−)”. I to nieprawda, bo w matematyce minus jest zawsze bytem, zatem nie może być symbolem nicości. Podobnie i w następnym tego rozdziału paragrafie, autor uważa za nicość brak, np. w przestrzeni ciał niebieskich, za granicami światów fizycznych. Choćby były przestrzenie niczym niezapelnione, to nie jest jeszcze absolutną nicością. W roz-

(*) Mamy jednak powód do wątplenia i o tém, bo poeta czuć powinien złą harmonią *forlasse meminisse*, a jaką p. Wołyński przyznał Wirgillusowi używając jego wiersza za godło na swojej rozprawie.

boko przejęty umiejętnością, który będzie tylko ubolewał nad zniewagą swojej nauki, ilekroć czytając ten koran, wpadnie na jakąś analogią myśli lub wystowienia, przybliżającą pozornie fałszywą księgę do świętych kart prawa Bożego.

Oczywistą jest rzeczą, że Biblioteka Warszawska nie mogła nigdy do swoich doniesień odważyć się czerpać z tych mętnych albo i wcale zaplugawionych źródeł, choć nade-

dziale *Miejsce i czas*, mówi autor: „Póki nic nie było, póty też nie było ani miejsca, ani czasu”. Wyobrażenie czasu i miejsca bez wyobrażenia bytu istnieć może; bez bytu mierzyłby ich tylko nie można. Wszędzie autor biorąc niby to matematykę w pomoc, w osobliwsze granice dowodzenia swoje wprowadza. Na str. 172 (§ 20) dochodzi do jakichsi symbolów ∞ i t. d. co bynajmniej nie jest matematyczne, tak jak i całe jego mniemanie w tym paragrafie, jakoby matematyka dopiero potrafiła wytłumaczyć związek materji z siłą, jest błędne. Rozumowania metafizyczne, nie wchodzą w atrybucyą matematyki. Myli się podobnie w § 33 (str 183) sądząc tam, że matematyka porównywa istotę materjalną z niematerjalną. Matematycy nie porównują dwóch istot różnorodnych, cóż dopiero materjalnej z niematerjalną! Oni tylko porównują liczby abstrakcyjne, wystawiają stosunki każdej ilości do jednostek tej samej natury co i same ilości. Ale nietylko w matematyce; p. Woliński nie jest głębokim w żadnej z nauk przyrodzonych, w prostém nawet rozumowaniu. Rozdział pod tyt. *Władza*, tak zaczyna: „Kto umie tylko zastanowić się, uczuć musi, że materya, która ma dziś jakąkolwiek postać i jakiekolwiek działanie. kiedyś musiała ich nie mieć żadnych. Tu dosyć jest pomyśleć o materyi bez żadnej siły i t. d.” Nie wiemy jakiego tu zastanowienia się autor żąda, bo wyobrażenie materyi pozbawionej siły, jest niepojęte, a pojęcie przestrzeni wypełnionej materyą całkiem bezwładną, jest tak niepodobnem, jak przestrzeni i czasu. Autor w ogólności sprzecznym jest w pojmovaniu tej zależności pomiędzy materyą a siłą. Na str. 177 (§ 27), mówiąc o pierwiastkach świat tworzących: materyi i sile, powiada: że *jeden dąży do zajęcia miejsca najmniejszego* (materya), *drugi je zajmuje bez granic* (siła). Jakże materya (sama) dążyć ma do zajęcia miejsca jak najmniejszego? Więcbymusiała być jakąś siłą obdarzona? Podług p. Woł. (§ 32, str. 181), atrakcyja inne ma prawa względem ciał stałych, inne względem cieczy, inne względem gazów i t. p. Tę niegłębokość wchodzenia w naukę, okazuje sama nieściśłość wyrażen. Prawo Newtona (§ 18, str. 170) tak wystowia: „przyciąga nie jest w stosunku prostym z massą, a odwrotnym z kwadrato-

wszystko szacuje to co jest krajowem. A jeżeli kto powie, że literatura nasza dziś już zaczyna się wydzwigać z ubóstwa co do dzieł o naukach przyrodzonych, wspierana prawdziwie uczonemi pracami Tyzenhauzów, Belkich, Jastrzębowski, Zejsznerów i t. p., Biblioteka Warszawska nie wzimiankuje o tak chlubnych dla nas dziełach w swoich doniesieniach na końcu, lecz krytycznym ich rozbiorom najpierwsze karty swoje chętnie poświęca.

A. W.

ASTRONOMIA.

Powrót komety Enkego w roku 1848. Zpomiedzy komet peryodycznych, kometa Enkego, w najkrótszym czasie kończy swój obieg około słońca, jój bowiem peryod wynosi tylko

wą odległością, zamiast: z kwadratem z odległości. W § 24 ma wyrażenie: „potrzeba pewnej ilości przyczyny”. Przez przyczynę rozumiemy powód skłaniający np. do pewnych działań lub ruchów i t. d., a on przyczynę raczej za siłę bierze. W przypisku na str. 151 powiedział: „o tak nazwanych anastomozach czyli połączeniach wen z arteryami”. Anastomozy nie są połączenia wen z arteryami, tylko wszelkie, gdziekolwiek się przytrafia, rozgałęzienia żyłek.

Owóz próbka wiadomości p. Wołyńskiego i dowód jak dalece polegać można na jego myśleniu. Wybraliśmy ją z pierwszej tylko części jego *Pomysłów*, w przekonaniu że czytelnicy nasi chętnie uwolnią nas od roztrząsania drugiej.

Ale nic, że p. Ludim Wołyński u nas stanowi nowe teorye, kiedy i w uczeńszych od nas Niemczech wydarzają się podobne przypadki. Każdy pamięta bo rzecz niedawna, jak wystąpił z taką teoryą nową jeden baron niemiecki w Berlinie, wyraziwszy na okładce swojej rozprawy, że tysiąc ludjorów zapewnia temu, kto go przekona, iż natura inne ma prawo, jak to, które on wykląda. Wszakże na szczęście nauk nie znalazł się tam żaden Kraszewski. Zamilczę o panu Kraszewskim; wołę wierzyć, że z mojego tylko egzemplarza *Ateneum* nie wydarł dotąd 142 karty tomu IIgo, postrzegłszy, iż na nią przez omyłkę wypisał swemu przyjacielowi zbyt zapędny panegiryk, a swoim wiadomościom zbyt wczesne epitafium.

3 lata i 4 miesiące, a droga eliptyczna, którą w biegu swym opisuje, nie przechodzi poza drogę Jowisza. Powrót jej ostatni do punktu przysłonecznego przypadł d. 26 listopada r. z. w którymto dniu najkrótsza jej odległość od słońca, wynosiła blisko 7 milionów mil; od ziemi 21 i pół milionów mil geograficznych. Postrzeżoną była najprzód d. 4 września w Berlinie, wielkim refraktorem przez Gallego. Dnia 24 listopada r. z. uważaną była w obserwatoryum warszawskiém, za pomocą narzędzia ekwatoryalnego. Położenie jej o 1 godz. 33 min. 28 sekund z rana, podług czasu średniego było: w wznoszeniu prostém: $173^{\circ} 52' 12''$, 7. W zбочeniu północném $+15^{\circ} 8' 14''$, 8.

Jestto mała, gołym okiem niewidzialna i jakby mgłą otoczona kometa; ostatni jej powrót tém się odznaczył, iż kometa w biegu swym znacznie zbliżyła się do Merkurego, a ze zmian jakich doznała w biegu od tej planety, można będzie dokładniej oznaczyć masę Merkurego. Dnia 22 listopada zbliżyła się do tej planety na 15 razy odległość księżyca od ziemi, czyli na 780 tysięcy mil geograficznych. Bieg pozorny komety na sklepieniu nieba w ostatnim jej powrocie, był takiż sam jak w roku 1805. Porównanie czasu trwania obiegów tej komety pokazuje, iż peryody jej stają się coraz krótsze, czego innym sposobem wytłumaczyć nie można tylko przyjmując, iż przestrzeń w której planety bieg odbywają, zapełniona jest eterem, który czyniąc opór nadzwyczaj lekkim ciałom, jakimi są komety, dozwala silniej działać słońcu, a przeto zbliżać je bardziej do siebie, a następnie i peryody ich skracać.

* *Planety teleskopowe.* Liczba ciał niebieskich do układu słonecznego należących, w trzech ostatnich latach znacznie się powiększyła, przez odkrycie sześciu nowych planet, gołym okiem niewidzialnych, z których pięć krąży poza drogą Marsa, a szósty Neptun, najdalszy ze wszystkich, za Uranem bieg odbywa. Mniemanie Olbersa na początku tego wieku ogłoszone, jakoby małe planety teleskopowe powstały z rozdzielenia się jednej wielkiej, krążącej niegdyś między Marszem i Jowiszem, przez nowe odkrycia coraz więcej się potwierdza. Do roku 1781 znane były sześć planet gołym okiem widzialnych, to jest: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. Ważne

odkrycia w astronomii zaczynają się od Wiliama Herszla, który wielkim swoim teleskopem odkrył planetę Urana dnia 13 marca 1781 r. w Slough. Na początku tego wieku odkryte były cztery planety, to jest:

Ceres . . . przez Piazzego . . d. 1 stycznia 1801 r. w Palermie.

Pallas . . . „ Olbersa . . d. 28 marca 1802 r. w Bremie.

Juno . . . „ Hardinga . . d. 1 wrześn. 1804 r. w Getyndze.

Westa . . . „ Olbersa . . d. 29 marca 1807 r. w Bremie.

W 38 lat potem odkryte były:

Astrea, przez Henckego d. 8 grudnia 1845 r. w Driesen,

Neptun, naprzód przepowiedziany rachunkiem przez Leverriego,

a odkryty d. 23 września 1846 r. w Berlinie przez Gallego.

Hebe . . . przez Henckego d. 1 lipca 1847 r. w Driesen,

Iris . . . „ Hinda . . . d. 13 sierp. 1847 r. w Londynie.

Flora . . . „ Hinda . . . d. 18 paź. 1847 r. w Londynie.

Metis . . . „ Grahama . d. 26 kwiet. 1848 r. w Markree-

Castle w Irlandyi.

Dla pokazania wielkiego podobieństwa między sobą małych planet, tak pod względem ich odległości od słońca, jako też i czasu trwania obiegów; umieszczamy tu spis dziewięciu planet teleskopowych między Marsem i Jowiszem krążących, ułożonych porządkiem ich odległości od słońca.

PLANETY TELESKOPO- WE.	Średnia odległość planety od słońca wy- rażona		Czas trwania obie- gu planety około słońca	Pochyłość drogi pla- nety względem ekliptyki	Prędkość dzienna planety w biegu oko- ło słońca
	w promie- niach drogi rocznej zie- mi	w milio- nach mil geografi- cznych			
1 Flora	2.20	45	3 98	5° 53'	18' 6"
2 Westa	2.36	49	3 229	7 8	16 17
3 Iris	2.38	49	3 247	5 28	16 6
4 Metis	3.39	49	3 251	5 34	16 3
5 Hebe	2.43	50	3 286	14 47	15 39
6 Astrea	2.57	53	4 40	5 19	14 10
7 Juno	2.67	55	4 132	13 3	13 33
8 Ceres	2.77	57	4 223	10 17	12 52
9 Pallas	2.77	57	4 225	34 37	12 49

* *Zjawiska w r. z. w Warszawie uważane.* D. 22 sierpnia roku zeszłego, uważano podczas dnia w tutejszém obserwatoryum astronomiczném, zakrycie przez księżyc gwiazdy piérwszej wielkości (*alpha*) w konstellacyi *Byka*. Zakrycie przez jasny brzeg księżycy, nastąpiło o 9 godz. 21 min. 25,31 sek. z rana, podług obserwatora J. B.; a o 26,24 sek. podług obserwatora A. P. Zakrycie to uważane w innych miejscach, posłużyć może do oznaczenia różnicy długości geograficznej tych miejsc, podobnie jak zaćmienia słońca.

* Dnia 3 października r. z. przy lekko zachmurzonym niebie, słońce i księżyc przed wieczorem szczególnie zjawisko optyczne przedstawiały. Już w południe słońce otoczone było kołem białém, ale o 4 godz. po południu, najpiękniejszy widok oku się przedstawił; nad słońcem bowiem wznosił się słup świetny, przez którego górny koniec przechodził łuk biały, wklęsłością na dół obrócony. W miejscu gdzie się łuk schodził ze słupem, wychodziły dwa łuki wyżej wznoszące się bardzo świetne, mające brzegi czerwone od strony słońca, osobliwie tam, gdzie się łuki łączyły. Zjawisko w téj postaci trwało do godziny 5 z południa; potem koło wielkie znikło, i tylko słup i łuki świetne pozostały do 6 godziny, 45 min. w. I księżyc tegoż dnia z wieczora blisko piérwszej kwadry będący, przedstawiał piękny widok; przez niego bowiem, osobliwie przez jego różki, przechodził słup albo raczej wstęga świetna koloru blado-różowego. Zjawiska podobne, zwykle zapowiadające zmianę stanu atmosfery, są skutkiem łamania się promieni światła w nadzwyczaj drobnych igielkach lodu, unoszących się w górnych strefach atmosfery, jakie niekiedy w porze zimowej w dniu pogodnym w czasie wielkich mrozów spadające z powietrza widzimy. Rozmaite postaci i barwy, jakie przedstawiają zjawiska światła w atmosferze ziemskiej, zależą od kształtu igielek i drobnych kryształków lodu, od ich większego lub mniejszego zbioru w górnych krainach, nadto od położenia słońca i księżycy względem poziomu, a osobliwie od niskiego stanu temperatury w górnych warstwach powietrza. Znakiem fizyk francuzki Bravais, jeden z członków należących do wy-

prawy naukowej na północ, ogłosił ważną rozprawę, w której tłumaczy wszystkie zjawiska optyczne w atmosferze dostrzegane (*).

* *Zorza północne.* Dzień 19 października r. z. odznaczył się osobliwym stanem powietrza, rzadko u nas w tej porze zdarzającym się. Dzień był tak ciepły, jak w lecie; po południu termometr wskazywał 16,2 stopni ciepła. W wieczór różne zjawiska się pokazały. O kwadrans na szóstą wieczór, w stronie północno-zachodniej dał się słyszeć grzmot kilkakrotnie wśród błyskawic, potem o trzy kwadranse na siódmą wieczór, padał deszcz chwilowy, przy silnym wietrze zachodnim. O 8 godzinie po ustąpieniu chmur, zorza północna w postaci łuny blado-różowej z kilku słabymi słupami, oświeciła północną część nieba przy poziomie, gdzie także i kometa Enkego znajdowała się wtenczas. Kilka świetnych gwiazd spadających przebiegło północne niebo, następnie po 9 godzinie wieczór chmury jednostajnie zakryły niebo. Podczas zorzy, termometr pokazywał 10 stopni R. ciepła; barometr stał wysoko na 27 e. 5,12 linii paryzkich, przy wietrze zachodnim.

* Dnia 23 października roku zeszłego między 10 i 11 godziną wieczór, pokazała się także zorza północna w słabym świetle.

* Dnia 17 listopada r. z. od godziny 7 w wieczór, prawie przez całą noc w różnych przerwach świetna zorza północna jaśniała. Najprzód jasność biała w postaci odcinka koła, znaczną część nieba północnego przy poziomie zajmowała; i ta w stronie północno-wschodniej była tak wyraźna, iż zdawało się, jakoby wschód słońca miał nastąpić. Z tego odcinka, świetne wstęgi blado-różowe do góry się wznosiły, a po ich zniknięciu, w tej stronie niebo przybierało piękną barwę purpurową. Jasność biała przy poziomie i gra kolorów, zwolna pędowały się od wschodu ku zachodowi. Wśród tego zjawiska, kilka gwiazd przelatujących przebiegło niebo; podczas zorzy,

(*) *Mémoire sur les Halos et les Phénomènes Optiques qui les accompagnent*, par M. A. Bravais. *Journal de l'École Royale Polytechnique*. 31 Cahier. Tom XVIII. Paris, 1847, in 4to.

wiatr młyny wiał od zachodu. Barometr, który ciągle opadał, wskazywał 27 cali 7,38 linij par.; termometr pokazywał 4,21 stopni R. zimna. W niektórych miejscach uważano szczególny wpływ i działanie téj zorzy na telegrafy elektryczne; i tak: w Pizie o godz. 9 1/2 wieczorem, na stacy kolei żelaznej, w biurze telegrafu, zdziwiono się niemało, widząc że telegraf elektryczny przestał ruch odhycwać, chociaż poprzednio przez cały dzień jak najlepiej znaki przysyłał; toż samo postrzeżono na stacy kolei żelaznej we Florencyi. Starano się maszyny telegrafu w ruch wprowadzić, jużto przez powiększenie siły prądu elektrycznego, już przez działanie na maszyny i jej części; wszystko jednak okazało się bezskuteczném, uważano także, iż atrament przygnał do elektro-magnesów. Działanie to zorzy na telegraf elektryczny, które się daje także postrzegać podczas wielu grzmotów, dowodzi, że zorza północna jest zjawiskiem elektrycznym.

* Dnia 21 listopada r. z. między 7 i 10 godziną w wieczór, pokazała się znów zorza północna, najprzód w smugach białych, a potem kolorowych. O 7 godz. 33 min. szeroka wstęga różowego światła jaśniała przez chwilę w stronie północno-zachodniej, a potem w kilka minut powstały trzy oddzielne zbiory smug, piękném światłem jaśniejących, jakby trzy wysokie i szerokie wstęgi: jedna w stronie północno-wschodniej, druga na północy tuż pod gwiazdami Niedźwiedzia Wielkiego, trzecia w stronie północno-zachodniej. Po ich zniknięciu, niebo pokrywało się barwą purpurową.

* Dnia 25 listopada r. z. o wpół do jedenastej w wieczór, pokazała się zorza północna w postaci białej łuny przy poziomie.
J. B.

FIZYKA.

O wzajemnem działaniu na siebie czynników natury, czyli sił fizycznych, p. Grove ().* Dostrzegłszy po raz pier-

(1) Jestto treść lekcyj, wykładanych przez Grove w instytucie królewsko-londyńskim.

wszy, jakikolwiek fenomen w naturze, skutkiem szczególnego usposobienia naszego umysłu, usiłujemy to zjawisko podciągnąć, odnieść do innych poznanych już dokładnie zjawisk. Zdaje się, że nasz umysł skłonniejszy jest do rzeczy przeszłych, i że z trudnością graniczącą nawet z niepodobieństwem przychodzi mu wyprzedzić, przyswoić myśl lub zjawisko zupełnie nowe. Nawet, po wykryciu związku nowych z dawniej poznanymi fenomenami, niekażdemu dozwalamy wprost uderzyć na sankcyonowane w nauce ogólne pojęcia, i naturalizowane teorye. A jeżeli nowo wykryte fakta wiodą do innéj teoryi, to i wówczas jeszcze wymagamy, aby te nowe teorye były sformułowane przez osoby, które wykryły pierwsze fakta, zasady: lub też przez ludzi, którym ówczesna epoka największą przyznaje naukową powagę. Każdy inny albo nie śmiać, albo odważywszy się, zwykle naraża się na zapomnienie.

Pierwsze teorye w podobny sposób poczęte, sprawiają żywe w umysłach wrażenie; niepodobieństwo sprawdzenia ich, osłabienia za pomocą doświadczeń, przykry zawsze stan niepewności, i żądza przyczyn, są powodem, iż przyjmujemy te teorye za rzeczywiste i poczytujemy je za nabyte dla nauki prawdy. Tym sposobem wiele myśli, teoryj, przechodzi jak podanie z ojca na syna, i powoli zajmują miejsce w edukacyi.

Następne pokolenia, których umysł i sposób pojmowania zjawisk, ukształconym jest według dawnego punktu widzenia, jeszcze niechętniej porzucają istniejące teorye. Przyswoiły je bowiem w skutek powagi ludzi, którym téj powagi zaprzeczać nie myślą, i w skutek wiary, której zmiana zmusiłaby ich do odnowienia i przewrócenia wszystkich swych idei i pojęć; — a to jest praca, której publiczność uważana za jedno ciało, nie chce i nie może przedsiębrać, chyba bardzo rzadko.

Takie usposobienie umysłu ludzkiego, zdaje się przyjaznem stanowi społeczności. Łatwość w częstém przyswajaniu nowych teoryj i pomysłów naukowych, sprawiłaby tylko zamęt i wieczne rewolucye naukowe. Lecz z drugiej strony, nie można nie przyznać, iż ta, jakby obojętność, nieruchawość usposobienia ogółu, bywa powodem pominiętego trzymania się

uparcie teoryj pierwszych, zwykle niedokładnych. Na to moglibyśmy wiele, wiele przytoczyć przykładów; dość wspomnieć na systemata astronomii.

Przytoczywszy te trafne uwagi, Grove, sławny angielski fizyk usprawiedliwiając się ze swęj śmiałości w sądzeniu o autorach, mających przyznaną powszechnie powagę w nauce, kończy tym zwrotem: że karzeł umieszczony na barkach olbrzyma, chociaż widzi dalej od niego, nie przestaje jednak być karłem.

Następnie autor ocenia krytycznie różne pomysły i subtelności metafizyczne, do których wiodło badanie związków i własności, jakie posiadają ciała zwane powszechnie w fizyce *nieważkami*. Poczytuje on Bakona za pierwszego reformatora w naukach fizycznych.— Starożytni mało lub wcale nie śledzili fenomenów, nie porównywali między sobą faktów; lecz dopuściwszy istnienie pewnych prawd oczywistych za pomocą wywodów syllogistycznych, dochodzili do coraz więcej złożonych wniosków prawd, najczęściej niepojętych. Pierwszy Bakon sprowadził zasadę, że w umiejętnościach fizycznych, nie rozumowaniem, ale tylko drogą doświadczeń wykryć można pojedyncze fakta, zasady, pierwotne przyczyny, z których następnie powstają różne zjawiska. Te pierwotne przyczyny Bakon nazwał *formami*.

Drugi sposób zapatrywania się na zjawiska natury, zwany metodą analityczną, polega na śledzeniu tego, co się wydobywa, co się pozostaje, co się dodaje, co się osadza i t. d., podczas przemian, na jakie ciało wystawiamy. W tym razie przypuszczamy, że każdy fenomen ściśle wiąże się z innym, ten z następnym i t. d.; idziemy więc w ślad za zjawiskiem aż do miejsca, w którém natrafimy na przyczynę podrzędną, wynikającą bezpośrednio z pierwszėj przyczyny faktu. Dziś ten sposób badania powszechnie jest przyjętym; wszędzie natrafiamy na mniemanie: „badaj skutki, chcąc dojść do przyczyny.”

Lecz celem nauk fizycznych nie jest badanie pierwszych przyczyn (form), jak raczej odszukiwanie faktów i ich związków między niemi. Zresztą, jeżeli chcemy używać tego pojęcia „przyczyna,” należy mu w tych naukach tylko względne znaczenie.

Nie należy w żaden sposób utrzymywać, że jeden fakt jest bezwzględną przyczyną drugiego. Nadużycie wyrazu „przyczyna”, było źródłem zamieszania w teoriach fizycznych. Różący przykład podaje nam elektryczność i magnetyzm. Zaraz po odkryciu elektromagnetyzmu przez Oersteda, powszechną była opinia między znakomitemi uczonemi, że te dwa czynniki natury, są w stosunku jak przyczyna do skutku, czyli, że elektryczność jest przyczyną, a magnetyzm skutkiem. A ponieważ magnesy istniały bez przyczyniania się działania elektryczności, przeto dla ocalenia powyższej przywiedzionej zależności tych sił, wymyślono strumienie elektryczne hypotetyczne. Dziś po odkryciu Faradaya, z równem prawdopodobieństwem możemy magnetyzm uważać za przyczynę, a elektryczność za skutek; a idąc iąż samą drogą, wolnoby strumienie elektryczne poczytywać jako powstałe z linii nateżeń sił magnetycznych, ale hypotetycznych. Lepszy jeszcze przykład zamętu w pojęciach wynikającego z błędnego pojmowania „przyczyny” natrafiamy ogrzewając kawałek bizmutu i antymonu w miejscu ich spojenia; wtedy, jak wiadomo, powstaje strumień elektryczny, i drut zamykający obwód tego stosu znacznie się ogrzewa. Zwyczajnie mówimy, że w tym razie ciepło jest przyczyną elektryczności, a ciepło w drucie jest spowodowane przez elektryczność, i to w znaczeniu względnem ma miejsce; lecz czyż podobna ztąd wnieść, że ciepło było pierwotną przyczyną elektryczności, lub elektryczność ciepła? W takim bowiem razie, skutek stając się przyczyną, wywołałby przyczynę przyczyny. Z tych i wielu podobnych przykładów przekonać się można o trudnościach natrafianych w ocenianiu przyczyn zjawisk fizycznych; i dlatego umysł nasz pomimo wolnie przyjmuje przekonanie, że pojęcie bezwzględnych przyczyn podrzędnych nie istnieje, i że odszukiwanie przyczyn pierwotnych jest częścią rzeczą.

Wychodząc z tego stanowiska, Grove rozwija myśl, że ciała zwane nieważkami (cieplik, światło, elektryczność, magnetyzm), nadto ruch, powinowactwo chemiczne, sąto siły współistniejące, posiadające wzajemną między sobą zależność taką, iż np. cieplik może pośrednio lub bezpośrednio wywołać elektry-

czność, a elektryczność ciepłik; lecz że żadna z tych sił nie może być póczytywaną za *pierwotną* przyczynę innych.

Przeliczmy pokrótce z tych czynników.

Ruch. Od czasu Newtona powszechném jest mniemanie, że ciało w ruch wprawione, biegłoby ciągle z tąż samą chyżością, gdyby inne ciało oporem, lub inna siła swém działaniem, nie wstrzymały jego biegu; jak również utrzymujemy powszechnie, że skoro bieg widoczny ustaje przez dotknięcie lub opór innego ciała, wtedy ruch ginie, a siła która go sprawiała, ginie. Grove twierdzi, że siła nigdy nie ginie i że przy pozorném niknieniu, siła rozdrabnia się lub zmienia co do kierunku lub formy. Na poparcie cytuje różne przykłady. Itak: machnąwszy ręką, ruch w ręku wprawdzie, ustaje, ale natomiast przechodzi do powietrza, którego fale łamiąc się o ściany i inne ciała, sprawiają w nich ruch. Tylko z powodu grubości naszych zmysłów, nie jesteśmy w stanie dotykalnie dowieść stopniowego udzielania ruchu coraz słabszego, bo rozdrobnionego. Ruch przez machanie ręką sprawiony, nie daje się czuć osobom, na stóp kilka oddalonym; lecz ruch takiéjże saunéj ilości powietrza, skierowany w jednym głównie kierunku, np. za pomocą tłoka w walcu, może być widzialnym nawet o kilkanaście prętów, a ruch powietrza przez wiatrówkę wzbudzony, może być rozpoznany nawet o kilkaset sążni, przez doniosłość wyrzuconéj kuli.

Skoro ruch ciała wstrzymany jest przez przeszkodę, wtedy wynikły ztąd spoczynek ciała, *zwykle* uważamy za brak zupełny ruchu, a siłę za zniszczoną. Spoczynek ma miejsce, gdy obserwujemy przenoszenie się ciał z miejsca na miejsce; lecz siła wtedy nie ginie, ale objawia się w innéj formie, bo zamiast formy ruchu, ma formę ciepła. Ciepło powstające przez tarcie, uderzenie i t. p. uważać można za dalszy ciąg, lecz zmienionéj już siły poruszającéj. Natężenie tego ciepła jest zmienném, stosownie do ilości ruchu pierwotnie udzielonego ciału, stosownie do twardości ciał uderzających lub trących i t. d. Według tego sposobu pojmowania, wszelkie rodzaje tarcia nie są przeszkodą ruchu, gdyż wywiązujące się ciepło podczas tarcia, jest dalszym ciągiem tegoż ruchu. Śledząc ciała uderzające się pod względem ich jakości, przekonywamy się, że

dwa jednorodne ciała zawsze tylko ciepło wywoływać mogą; trące się lub spotykające ciała, różnorodnie ciepło i elektryczność sprawiają. Zdaje się rzeczą prawdopodobną, że ciepło i elektryczność są sposoby objawiania się ruchu; ruch widzialny ustając, rozdziela się w kształcie różnych fal lub drgań cząstek ciała, i wywołuje objawienie się ciepła lub elektryczności. Od elektryczności do magnetyzmu przejście jest bardzo bliskie. Że światło i powinowactwo chemiczne jako dalszy ciąg ruchu uważane być mogą, o tem świadczy światło przy tarcii, lub iskry elektryczne przy działaniu stosem Volty. Odwrotnie, ruch może być wywołany przez wszystkie przywiedzione siły, np. ruch słomek w elektrometrze, obrót koła elektrycznego, zбочenie igły i t. d.

Ciepło biorąc za punkt wyjścia, wiemy, że ruch głównym jest ciepła objawem, np. rozszerzanie się ciał, tworzenie się par i t. d.

Zjawiska znane pod tytułem ciepłika utajonego, jak wiadomo, główną są podporą teoryi poczytującej ciepłik za materią subtelną. Lecz ta hipoteza materii utajonej, zbyt jest niebezpieczna; ma ona wiele podobieństwa do teoryi flogistonu, jest to jakaś subtelność, żadnym nie dająca się pojąć zmysłem, bardzo podejrzana, i jako taka, tylko w ostatecznej potrzebie przypuszczaną być winna. Podobne hipotezy, na nieszczęście zbyt często przyjmowane, dokładają ciągle nowe nielogiczności do całego rusztowania hipotez, i dlatego wypadałoby ich używać z wielką ostrożnością, przynajmniej w pierwszych chwilach odkryć. Przykład takiej hipotezy stawia Grove w niedawno wynalezioném w Niemczech *świelle niewidzialném*, dziwnej i niestosownej nazwie, służącej do tłumaczenia zjawisk, mających analogią z fenomenem światła.

Uważając ciepłik za materią, potrzeba przypuścić, że ta materia w zjawiskach ciepłika utajonego, jest sama utajoną, śpiącą w materii ciała, niezdolna działać i nie mogąca być wykrytą, póki sama materia ciała trwa w swym stanie nieporuszenia, i dopiero wówczas objawiająca swą bytność, gdy ciało przemienia swój stan. Zdaje się, że daleko łatwiej i logiczniej fenomena tu należące wyjaśnione być mogą za pomocą stosunków dynami-

cznych, to jest uważając ciepłik za siłę mechaniczną. Według Grove, chcąc oddalić od siebie cząstki ciała stałego np. lodu, za pomocą ciała płynnego cieplejszego, np. wody gorącej, potrzeba iżby ciało cieplejsze straciło ilość siły ściśle równą sile koniecznej na utrzymanie cząstek ciała stałego w stanie płynnym. Ciepło obudza elektryczność. Z ciepła powstaje światło, i te dwie siły tyle przedstawiają analogii, że można je pożytywać za modyfikacją jednej siły, jak o tém świadczą zjawiska ciepłika promieniącego i światła, tożsamość praw, którym podlegają odbijanie, załamanie, podwójne załamanie, polaryzacya i t. d.

Co się tycze powinowactwa chemicznego i magnetyzmu, zdaje się, że jedyny dotąd, przynajmniej znany sposób wzbudzenia ich za pomocą ciepła, jest przez pośrednictwo elektryczności.

Elektryczność, jestto własność materji lub pewna modyfikacya siły, która najjawniej wskazuje związek między wszystkimi czynnikami natury. Elektryczność uważana jako siła, wzbudza naprzód ruch, np. przez przyciąganie, odpychanie, zboczenie igły w galwanometrach; objawia ciepło, np. rozpalanie drutów za pomocą stosu Volty; daje początek światłu, np. w łuku galwanicznym; wzbudza magnetyzm we wszystkich ciałach zawierających żelazo; nakoniec jest powodem do wzbudzenia powinowactwa chemicznego, np. doświadczenia Dawy nad alkaliarni.

Światła stosunek do innych czynników, dotąd najmniej został zbadanym. Grove podczas prelekyi następne urządził doświadczenie, dla wskazania związku między światłem i pozostałemi siłami fizycznymi. Tafle przygotowaną do dagueryotypu, umieścił w pudełku napełnionem wodą, i mającém jedną ścianę boczną ze szkła. Ta ściana była pokrytą zasłoną. Między szkło i tafle, wstawił kratę ze srebrnych drutów. Samą tafle za pomocą drutów złączył z galwanometrem, a kratę z termometrem Bregueta. Skoro słońce lub płomień palącego się wodorodu wywarł swe działanie na tafle, skazówki termometru i galwanometru okazały zboczenia. Tu więc ze swia-

ta uważanego za siłę początkową, otrzymujemy działanie chemiczne na tali daguerotypowej, elektryczność w drutach idących do galwanometru, magnetyzm w igle galwanometru, ciepło w spiralnej Bregueta, a ruch w skazówkach.

Grove utrzymuje, że zgodniej z faktami uważać można światło jako powstające nie tak z drgań eteru przenikającego wszystkie ciała, jak raczej z drgań cząstek samej materji, w podobny sposób, jak się rozszerza głos przez drganie cząstek drzewa lub wody. Jako dowód cytuje, że przezroczystość lub nieprzezroczystość ciał całkowicie zależy od układu cząstek; np. szkło przestaje być przezroczystym, skoro zwoła stygnie. Podobnie ciała krystalizowane, stosownie do swęj odmiennęj budowy wewnątrz, rozmaicie działają na światło. Grove poczytuje hipotezę eteru za zbyt śmiałą; sposobność tego subtelnego płynu zmieniania swęj sprężystości stosownie do różnęj budowy ciał, przenikanie w pory ciał, o których istnieniu nie posiadamy żadnego dowodu, i t. p., wiele mają osłabiać prawdopodobieństwo tęj teoryi.

Magnetyzm. Faraday odkrył, że ta siła może obudzać inne, z tą tylko odmianą, że będąc z natury swęj statyczną, potrzebuje być kombinowaną z ruchem; magnetyzm jest siłą kierującą, nie zaś motorem. Wzbudzając elektryczność, można przez jęj pośrednictwo wywołać wszystkie inne siły, które z elektryczności powstają. Stan statyczny magnetyzmu podobnym jest do stanu równowagi, jaki w innych siłach obserwujemy, np. do napięcia różnorodnych elektryczności na ścianach butelki lejdejskiej, lub równowagi ciężarów położonych na ramionach szalki. Lecz ponieważ istnieje ścisła zależność między materją i ruchem, tak, iż niepodobna wyrazić sobie coś zupełnie i trwale nieruchomego; przeto Grove sądzi, że i magnesy nie mogą trwać w stanie bezwzględnie statycznym. Myśl tę potwierdzają ogólne obserwacye osłabienia magnesów przez czas: jednak sam autor potwierdzenia swęj myśli szuka raczej w przekonaniu moralnym, opartem głównie na stanie dynamicznym całej natury.

Powinowactwem chemicznem zwiemy siłę, usiłującą łączyć między sobą ciała różnorodne, i tworzyć z nich ciała zło-

żone. Dotąd zdołaliśmy o tój sile utworzyć sobie najmniej dokładne pojęcie. Zdaje się, że najwłaściwiej pojmujemy tę siłę, zbliżając ją lub biorąc za jednoznaczącą z *ruchem molekularnym*, który dopiero przez nieskończoną liczbę siłek wywołuje wypadkową, zdolną i wielkie masy poruszać. Powinowactwo chemiczne bezpośrednio wzbudza elektryczność. Davy wyrzekł, że ta ostatnia siła jest tylko powinowactwem chemiczném, działającym w oznaczonym kierunku wskrós przez szereg cząstek; lecz dodaje przytém, że niepodobna w żaden sposób określić dokładnie związku zachodzącego między powinowactwem chemiczném i elektrycznością. Pomimo bowiem zależności ścisłej, elektryczność może tam istnieć, gdzie powinowactwa chemicznego niema. Stos Volty, podał sposób mierzenia związku powinowactwa z elektrycznością. Ilość elektryczności w strumieniach, mierzy się przez ilość materji, na którą elektryczność wywarła swe działanie, i jest proporcjonalną do wzbudzonego działania chemicznego; a natężenie strumieni jest proporcjonalniém do natężenia powinowactwa chemicznego.

Ciepło, magnetyzm, ruch, mogą być wzbudzone przez strumienie elektryczne, a strumienie przez powinowactwo; przeto trzy pierwsze uważać należy jako powstające, chociaż niebezpośrednio, z powinowactwa chemicznego. Zresztą i bezpośrednie działanie powinowactwa objawia ciepło, jak to wskazały prace Graha, Hessa, Andrews; równie jak i światło, np. palenie się fosforu w kwasorodzie, w forforescencji i t. d.

Wykazawszy szczegółowo wzajemną zależność czynników natury, Grove nasuwa niektóre myśli, służyć mogące do rozwiązania wielkiego zadania, mającego na celu sprowadzenie działań tych różnych sił do tójże samój jednostki. Między ciepłkiem i powinowactwem chemiczném (według prac Dulonga Petita, a następnie Neumana), istnieje ważny stosunek polegający na tém, że ciepłiki gatunkowe różnych ciał, pomnożone przez ich ekwiwalenty chemiczne, wydają na iloczyny zawsze stałą liczbę. Podobnież, że wiele ciał łączą się chemicznie w różnych objętościach, to jest proporcjonalnie do swych ciężarów gatunkowych. Pierwsze prawo okazuje stosunek powi-

nowactwa z ciepłikiem, a drugie powinowactwa z siłą ciężkości. Jeżeli te prawa okażą się obowiązującymi w całej naturze, wtedy przybędą nam wyrażenia liczebne na trzy czynniki natury: ciepłik, ciężkość i powinowactwo chemiczne. Także między elektrycznością i magnetyzmem, wykryto już związki wyrażone w ilościach; będzie więc można dojść do wskazania ich zależności liczebnie.

P. S.

CHEMIA.

Obecność cukru w wątrobie. PP. Bernard i Barreswil znaleźli w wątrobie ludzkiej i zwierzęcej, dosyć znaczną ilość cukru. Po zafermentowaniu otrzymano z tego cukru wyskok, którego próbę, przedstawił p. Pelouze akademii umiejętności paryzkiej. Żadnym z znanych sposobów nie udało się im otrzymać z wątroby cukru krystalicznego, ale tylko melas nasycony solami. W skutku powtarzanych doświadczeń przekonali się, że cukier znajdujący się w bardzo znacznych ilościach w tkance wątrobianej, w zwyczajnych okolicznościach nie przytrafia się w żadnym innym organie, i że przez to wątroba odróżnia się chemicznie od wszystkich innych trzewów. Okazali nadto, że wątroba zawiera zawsze tenże sam znaczny stosunek cukru, nawet u zwierząt zupełnie pozbawionych istot cukrowych lub mączkowatych, i karmionych przez długi czas samem jedynie mięsem. Zakończają zaś tym wnioskiem, że obecność cukru w wątrobie jest zjawiskiem fizyologicznem zupełnie niezawisłym od natury pokarmu. Powyżsi uczeni w ostatku zawiadamiają, że nateraz zajmują się doświadczeniami dla dojścia, jakim sposobem i za jakich ciał pośrednictwem, tworzy się cukier w zwierzętach. (L'Institut z 15 Novembre 1848).

* *Skroplenie gazu niedokwasu pierwszego saletrorodu.* Szczegóły niniejsze udzielone zostały akademii umiejętności paryzkiej przez p. Dumas.

P. Natterer kazał w Wiedniu zrobić pompę tłoczącą dla skroplenia gazów; za jej pośrednictwem z łatwością można było

otrzymać kwas węglowy i niedokwas 1y saletrorodu w postaci cieczy. P. Dumas używając powyższej pompy, i chcąc przez nią skroplić niedokwas 1y saletrorodu, przekonał się, że potrzeba zachować wiele ostrożności, dla otrzymania ciągłego jak najlepszego skutku.

Ponieważ przez niedokwas 1^{sz}y saletrorodu skroplony, można utworzyć nadzwyczajne zimno, i gdy roboty z nim łatwo się odbywają, p. Dumas przeto podał następane ogólne o nim spostrzeżenia:

„Pod względem urządzania zbiornika: w Wiedniu niedość mocno go zbudowano. Kazałem go powlec żelazem kutem, przez co uzdatniłem go do wytrzymania 800 atmosfer. Oprócz tego tak rzeczy urządziłem, aby zbiornik był otoczony lodem, pompa ciągle oziębiana przez krążenie wkoło niej wody, a nawet aby pręt kłapy nieustannie był skrapiany wodą zimną. Tym sposobem uniknęło się zepsucia skór kłapy, coby nastąpić musiało przez ciepłik wywiązany z gazu uciskanego, i przez działanie tegoż gazu jako ciała palnego.

Przy powyższej ostrożności, można wcisnąć w zbiornik w dwóch godzinach 200 kwart gazu, a dwudziesta część tego, już wystarcza do utworzenia ciśnienia, wyrównywającego 30 atmosferom, w którym zaczyna się skraplanie. Pozostała ilość gazu tworzy ciecz. 100 kwart mogą wydać jej około 200 gram. Gaz ma być zupełnie suchy i czysty, a wtedy dopiero doświadczenie udać się może. Otrzymuje się go z saletranu amonii jak zwyczajnie, i przepuszcza, po poprzedniem wysuszeniu, w zbiorniki metalowe szczelnie zbudowane, zkąd znowu wchodzi w pompy. Kilogram saletranu amonii na doświadczenie wystarcza. Gaz skroplony może się przechować przez dzień lub dwa w zbiorniku. Za otwarciem kruczka od zbiornika, gaz uchodzi; zamraża się w części, a później jako ciecz wypływa. Część zsiadła ma podobieństwo do śniegu roztapia się pod ręką, paruje gwałtownie, przyczem mocno parzy. Cieczy powyższej odrazu można otrzymać 40 do 50 gram; po wlaniu jej w kieliszek, może ona pozostać w nim przez pół godziny lub więcej, przy przystępie powietrza. Dla łatwiejszego jej uważania, wlewa się ją w rurkę otwartą,

wstawioną w naczynie, na którego dnie znajduje się pumex zwilgocony kwasem siarkowym. Tym sposobem zachowuje ona przez długi czas swą przezroczystość.

Niedokwas 1^{szy} saletrorodu ciekły, jest bezbarbny, bardzo ruchliwy, zupełnie przezroczysty. Każda kropelka sprawia na skórze mocne sparzenie. Gaz wydobywający się bezustannie w czasie wolnego zagotowania, ma wszystkie własności niedokwasu pierwszego saletrorodu. Metale zamoczone w tej cieczy wydają taki szum, jak żelazo czerwone zanurzone w wodzie. Żywe srebro zaraz potem krzepnie, tworząc ciało twarde, kruche i białe jak srebro. Potas pływa po powyższej cieczy, bez zmiany swój. Węgiel, siarka, fosfor, jod, także w nią nie ulegają zmianie. Węgiel zapalony pływa po powierzchni cieczy, i płonie częstokroć bardzo jasno, aż do zupełnego zniknięcia. Kwas siarkowy zwyczajny, kwas saletrowy stężony, natychmiast zamrożone zostają. Eter, wyskok, mieszają się z nią, lecz nie marzną. Woda natychmiast marznie, ale wtedy część rozcieku gwałtownie paruje, tworząc pewien rodzaj wystrzału, a nawet mogłoby wyniknąć niebezpieczeństwo, gdyby wlano naraz kilka gramów wody, do powyższej gazowej cieczy." (*Tamże*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W ciągu lata 1846 r. Alexander Nordmann powynajdował w Rosyi południowej obfite składy kopalnych kości. Poszukiwania te ledwie rozpoczęte, wykryły już 5,600 sztuk pojedynczych kości, między któremi 114 szczęk i 2,230 osobnionych zębów, które do 160 indywiduów ze 27 oddzielnych gatunków należą. Miejscami znajdowania się są: głęboki wąwóz nad kwarantanną w Odessie, wieś Nierubaj muszlowy wapień Odeski, wapień pod Kiszyniewem w Bes-

sarabii, trzeciorzędowy wapień pod Kerysz nad morzem Azowskiem, i południowa strona Podola. Pomiedzy wynalezionemi resztami, znajdują się kości następujących tęgoscórnych: *Elephas*, *Mastodon*, *Rhinoceros*, *Equus*, *Hippotherium*; z przeżuwających: *Bos*, *Cervus*, *Ovis*, *Antilope*; z mięsożer-nych: *Ursus*, *Hyaena*, *Canis*, *Felis*; ze szczerowatych: *Lepus*, *Castor*, *Spalax*, *Mus* i *Arvicola*; z wielorybnych: *Ziphius* czyli *Cetotherium* i *Dugong*? (*Fror. Not.* 1848 nr. 92. z *l'Institut* 1847 nr. 720).

* Dr. Meigs uważa, że w piśmie Owena o rozwijaniu się Kangura, równie jako i w pracach Milne-Edwards'a i Puszeta, wiele jeszcze pozostaje do rozjaśnienia, czego sam usiłuje dokonać. Mniema, że już nie można dawać nazwiska płodu i embryona młodemu kaletnikowi (*Didelphys*), kiedy się w worku matki znajdują; bo wtedy organa oddychania i trawienia są już tak czynne, jak u zupełnie rozwiniętego zwierzęcia ssącego: i zdaje się, że żaden z pomienionych autorów nie uważał najwcześniejszego stanu młodych, o czém tylko domysły i wiadomości niedokładne istnieją.

Dnia 18 lutego 1847 spostrzeżono na śniegu (w Ameryce) ślady dwóch kaletników (*Didelphys virginiana*), które prowadziły w wypróchniałe drzewo; znaleziono w tém drzewie dwa dojrzałe zwierzęta, samca i samice, które, wyjąwszy czas parzenia się, rzadko przy sobie bywają; samica zdawała się być ciężarną. Dr. Meigs otrzymał je dnia 27 lutego, i po najtroskliwszém obejrzeniu worka (*Marsupium*) nie dostrzegł żadnego śladu rozwinięcia się gruczołów piersiowych przy podstawie delikatnych brodawek. Było tak aż do 2 marca; 3go gruczoły piersiowe stały się widocznymi, można je było i dotykaniem rozecznąć: odtąd prędko się powiększały, i już 5go tegoż miesiąca stały się twarde i nabrzmiały: następnego dnia, w którym autor nie mógł sam zwierzęcia uważać, służący jego zaglądał do worka, i jeszcze żadnego młodego u brodawek nie znalazł. Rano dnia 7 marca, autor otworzył worek i znalazł młode zwierzątka u brodawek wiszące.

■ Potrzebne więc do przyjęcia młodych przygotowanie worka, odbyło się w przeciagu dni 4, to jest od 3 do 7 marca, a mniemanie, jakoby embryon zupełnie tam gdzie się u skóry worka zawiesza, brodawki ssaniem wyciągał, okazało się bezzasadném; rozwijają się one *pierwej*, zupełnie jak u każdego innego zwierzęcia ssącego.

■ Ciężarnosc macicy doszła zapewne do końca w nocy z 6 na 7 marca, a więc w 17—18 dni od odbytego parzenia się, które pewnie aż do 18 lub 19 lutego trwało; lubo poczęcie mogło już o kilka dni wcześniiej nastąpić.

■ Według professora Owena, ciężarnosc macicy kangura, trwa dni 39; nie zważał on na poprzedni stan brodawek piersiowych. Kangur jest zwierzęciem wielkiem, kiedy kaletnik rzadko nad 15 do 16 funtów waży.

■ Wielce to był przyjemny widok, mówi autor, ujrzeć za otworzeniem muskułu zamykającego, wewnątrz worka 13 młodych kaletników, silnie do tyłu brodawek poprzyczepianych i z chciwością ssących; wszystkie one miały jednakową wielkość, były gołe i ciemno-czerwonego koloru, poruszały przednimi nogami, łapkami i głową całkiem dobrowolnie. Autor odjął jedno od piersi, u której było tak uczepione, że prawie bał się, ażeby go nie rozerwać; nie okazało się wszakże żadne nabrzmienie na końcu brodawki za miejscem ssania młodego. Odtęczenie nastąpiło bez skaleczenia, przynajmniej nie można było odkryć śladu krwi ani na pyszczku młodego, ani na brodawce matki. Ważyło zupełnie $3\frac{1}{2}$ granów, a od mordki do ogona było $\frac{8}{10}$ cala długie. Włożone w szkło od zegarka, czotgało się w niem naokoło i przewracało się z jednego boku na drugi. Przez lupę można było widziéć, iż oddychało przez obydwa nozdrza i pyszczek; zmarło w godzinę i 29 minut po odjęciu od macierzyńskiej piersi. Autor je anatomizował.

■ Język zwierzątka $\frac{1}{3}$ długości głowy wynoszący, był mleczno-biały i pół-walcowato sklepiony, ażeby mógł brodawkę objąć i do podniebienia przycisnąć; pyszczkiem był otwór tylko przez lupę wyraźnie widziéć się dający; jama pyszczka obszerna; przepona bardzo naciągnięta. Serce odziane wor-

kiem serdecznym, było wielkie i silne, również bardzo wielka wątroba. To co wypełniało żołądek, przez mikroskop badane, okazało się kulkami mléka; w zakrętach kiszek było mléko i chyl, tu i owdzie przez żółc żółto zafarbowane; nawet pęcherz moczowy cieczą był wypełniony. Obydwa płuca składały się z samych drobniutkich, przezroczystych pęcherzyków. Sznurka pępkowego żaden ślad, nawet przez lupę, nie dał się znaleźć.

W pięć dni później, 12 marca, odjął autor drugie od macierzyńskiej piersi; to ważyło 12 granów i 32 razy na minutę oddychało. Dnia 18 marca odjął trzecie, które 18 granów ważyło, a ogon miało już tak mocny, że nim uchwycić mogło. Autor wpuścił je do spirytusu, w którym dopiero po 16 minutach żyć przestało.

Tym sposobem, wnioskuje autor, młode kaletniki prowadzą w worku swojej matki zupełnie to samo dobrowolne życie, i opatrzone są całkiem temi samemi środkami do niezawisłego istnienia: układem trawienia, oddychania i nerwowym, co młode innych zwierząt ssących podczas ssania.

Prof. Owen oświadcza się w piśmie późniejszym, przeciw utrzymywaniu autora, jakoby stan brodawki piersiowej podczas ciąży kangura nieuwagą pominął, przytaczając miejsca z swojego pisma dawniejszego, w których jest, że najwyższa brodawka na prawej stronie u samicy kangura, była w użyciu i miała blisko dwa cale długości, gruczoł mléczny był mocno nabrzmiały, gdy trzy inne nieużywane brodawki, były tylko na $\frac{1}{2}$ cala długie, a ich gruczoły mléczne nie dały się widzieć. Piętnastego dnia ciąży (11 września) żadna jeszcze zmiana nie dała się dostrzedz; w 34 dniu brodawka mléczna znacznie się zmniejszyła, bo młode od niej zmarło; trzy inne jeszcze 38 dnia nie zapowiadały bliskości porodzenia, a jednakże nazajutrz znalazło się nowonarodzone młode, u górnej brodawki przez wcześniejsze młode opuszczonej; ta tylko zawierała mléko, gdy inne nie były nabrzmiące.

Dr. Meigs, uznaje za niepodobne do prawdy to, ażeby ssące zwierzę, które oddycha, w którym krew krąży i któ-

re trawi, mogło się rozwijać niezależnie od łożyska (*placenta*); lecz prof. Owen zwraca uwagę na żmiję, która rodzi płód żywy, a ten lubo jest także trzema powyższemi funkcjami obdarzony, rozwija się jednak bez łożyska. Ta okoliczność zdaje się mu nawet nie być tak istotną, bo ptaki, u których oddychanie i krążenie żywszém jest jeszcze niżeli u zwierząt ssących, bez łożyska się rozwijają. Lecz bardzo ważném jest podług niego, oznaczenie przez Meigsa zakresu trwania ciąży u kaletnika, tylko szkoda, iż Dr. Meigs uważając odziwki embryonalne i ich przysadki u młodych kaletników, nie zwrócił zarazem uwagi na macicę matki podczas ciąży i zaraz po rozwiązaniu: badanie, które byłoby mogło od razu rozstrzygnąć pytanie, czy jest czy nie ma łożyska. U kangura, podług Owena, niéma łożyska. (*Id. nr. 100 z The Annals of nat. hist. nr. 134. 1847.*)

* W Wellington na Nowej Zelandyi, pomiędzy kościarni moy (1), znalazł Walter Mantel skorupy jaj potłuczonych. Należą one do rozmaitych jaj, przeto do odmiennych moy gatunków; w ogólności są podobne do jaj strusich, na zewnętrznej jednak powierzchni skorupy, zamiast drobnych okrągłych kropek, mają również drobne, przerywane, króskowate dołki, które u różnych gatunków, rozmaicie są ułożone. Skorupa stosunkowo cieńsza jest niż na jaju strusim, ale wnosząc z jej mniejszej sklepiści, jaje musiało być większe od strusiego. P. Mantel zebrał znowu 700 do 800 kości rozmaitych ze szkieletu tego olbrzymiego ptaka; udało mu się nawet wynaléć kilka żuchw, których jeszcze dotąd nie miano. Zbiór jego jest już w drodze do Anglii. (*Id. nr. 94. z The Annals of nat. hist. nr. 133. 1847.*)

* W zbiorze p. Derter Marsh w Greenfield w Massachusetts, znajdują się niezmiernéj wielkości ornitotychni (2), to jest wyciski śladów ptaka olbrzymiego. Znalazły

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. z., tom II, str. 203; tom III, str. 109.

(2) Zob. Bibl. Warsz. z r. z., tom III, str. 196.

się one w licznych okazach nad rzeką Connecticut, w głębokości 30 do 40 stóp wynosząc; odległość jednego od drugiego śladu 7 stóp wynosi, a długość palców 18 cali. Według tego ptak musiał mieć wielkość prawdziwie olbrzymią, a mianowicie bardzo długie nogi, kiedy takie potężne kroki stawiał. Zalecają jeszcze ten zbiór wyciski stóp ptaków mniejszych, nader pięknie dochowane szkielety ryb kopalne, i jedna z piérwszych monet amerykańskich z r. 1652. (*Id. nr. 97 z The literary Gazette. 1847, nr. 1600*).

* W Nowej Południowej Walii, wszędzie pomiędzy krzakami znajduje się niesłychana moc mniej lub więcej jadowitych węzów, a jednakże, rzecz osobliwsza, rzadko tam kto ukąszonym przez nie bywa. Najmniejszy, znany przesyłającemu gatunek, jest około 8 cali długi, grubości piszczałki, a głowę ma podłużną i przyplaszczoną; przeciwnie wąż dyamentowym zwany, który się w wodzie utrzymuje, niezmierniej dochodzi wielkości. Przed kilku laty znaleziono pod mostem Paramatta takiego, który miał 27 stóp długości. Pośredni między niemi jest wąż czarny, który na 3 do 7 stóp bywa długi, a którego ukąszenie jest śmiertelném, wszakże jadowitszym ma być jeszcze wąż brunatny, który tylko 4 stopy długości miéwa. Inny piękny, długi ale cienki wąż miedzianego koloru, jest mniej pospolity, lecz czy jadowity, przesyłający nie może oznaczyć. Oprócz tego znajdują się różne inne, szare, żółte, zielone i pręgowane gatunki, i ledwie przejdzie lato, a już odkrywają się nowe, jeszcze nieznanne. Wędrownik jeden więcej nad 20 gatunków naliczył. Zwykle za zbliżeniem się człowieka uciekają, niekiedy jednak groźnie mu się stawią, tak iż nie wiadomo jeszcze, czy istotnie boją się człowieka. Przyjaciel przesyłającego, przez czarnego węza, którego na gnieździe napadł, ścigany był aż w ulicę, i byłby niezawodnie został ukąszony przez niego, gdyby się nie był odwrócił szybko i goniącego z rusznicy nie zastrzelił. Wzrok człowieka ostro na węza zwrócony, zdaje się mieć wielki wpływ na niego i hamować jego napad. (*Id. nr. 94. ex. eod.*)

* Skielot żaby samca, według F. Puszeta, znacznie się różni od skielotu samicy, a różnica ta rozciąga się nie tylko do okolic miednicy, ale i w przednim końcu jest widoczną. Wiadomo, że samiec żaby, na 8 do 15 dni przed parzeniem się, z całą siłą obejmuje przednimi nogami samicę, i rzeczywiście cała budowa przodu samca, zdaje się być ku temu zastosowana celowi. Na różnicę pomiędzy samcem a samicą w budowie ręki, już przedtém wielu anatómów uwagę zwracało; u samca jest ona daleko bardziej rozwinięta, i ma nadliczbową, blisko wielkiego palca położoną kostkę. Mostek u samca jest krótszy ale silniejszy, na bokach lepiej rozwinięty; obojczyki także krótsze i silniejsze, więcćj do przyciągania ręki usposobione. Ale najważniejsze różnice zachodzą w budowie ramienia, które daleko dłuższe i silniejsze niż u samicy, na piérwszy rzut oka oznaczyć skielot dozwala; dwie listwy nadają mu wejście płaskie; przedni i górny z tych grzebieni niewiele jest większy jak u samicy, ale grzebień od spodu i ku tyłowi leżący, $\frac{2}{3}$ kości zajmuje i daleko nożowato wybiega; służy on za punkt przyczepienia muskułom zginającym, których działanie do powyższego przeznaczone jest celu. (*Id. nr. 108, z Comptes rendus, 22 nov. 1847, nr. 21*).

* W ostatnim tomie Biblioteki Warszawskiej z r. z. od str. 205 wyłożyliśmy treść pracy p. Robin w przedmiocie budowy i przeznaczenia osobnego organu u płaszczek (*Raja*), odpowiedniego elektrycznemu u drętwików (*Torpedo*) i innych ryb elektrycznych. Niezależnie z tą pracą, zajął się jej przedmiotem A. Retzius, z którego opisanie w Archiwum skandynawskich dopełnień do hist. nat. (Cz. 2, zes. 2, 1847), następujący wyciąg dziennik Froriepa umieszcza:

„Te godne uwagi organa postrzegł najpiérwszy Monro (1785); po nim badali je kolejną: Jacobson, Desmoulins, Mayer i Miescher. Monro opisał je krótko i niedokładnie; widział on tylko dwa z pomienionych organów, w które wchodziła para wielkich gałęzi nerwowych, a które z podskórnymi rurkami, w związku zostawały; poczytywał je za organa do wyłączenia śluzu, pod wpływem potężnych

nerwów zostające. Jacobson przyjmuje pięć takich organów po każdej stronie kręgosłupa; każdy, według niego, składa się z części najistotniejszej, środkowej, i z części obwodowej, to jest z podskórnej rurki. Część środkowa utworzona jest z włóknistej torebki, w której jamę wchodzi gałęzie piątej pary nerwów, dla połączenia się z mnóstwem drobnych, dętych, tępych, na końcu czterema lub pięciu pęcherzami opatrzonych stożkowatych ukształceń; w każdym z nich rozpościerają się, jakby wiotka błona, po wewnętrznej stronie gałęzie nerwowe. Ukształcenia te, są podług niego wypełnione przezroczystą cieczą, i w podskórne rurki przechodzą. Jacobson ukazał ten przyrząd równie u żarłaczów (*Squalus*), jako i u elektrycznych płaszczyk, i dowiódł że nie jest ani organem wydzielania ani też elektrycznym, tylko właściwej rybob tego rodzaju formy narzędziem czucia, odpowiedniemi włoskom nozdrzowym (*vibrissae*) i wąsikom (*mystax*) zwierząt ssących i ptaków.

Zdaje się jednak iż to ciekawe przedstawienie Jakobsona całkiem zapomnieniu uległo, bo następcy jego powtórnie te same organa, i to tylko u płaszczyk, opisywali, nie istotnego nie dodając. Oprócz tego Desmoulins znalazł trzy tylko takie organów pary, uważając je wszakże za narzędzia dotykania: Mayer widział, jak Monro, tylko ostatnią ich parę, i uznał ją za niezaprzeczony rudymet przyrządu elektrycznego. Miescher widział u płaszczyk cztery pary, a udowodnił obecność ich także u żarłacza i u drętwicka, uznał je wszakże za organa wydzielające.

Autor badał te organa u *Raja batia* i *Squalus acanthias*. U płaszczyki znalazł ich cztery tylko pary, sądzi więc że Jacobson ułudził się ich położeniem: ale dr. Karsch domyśla się, że para ku wierzchołkowi paszczy leżąca, u niektórych gatunków płaszczyk podwaja się, i dlatego Jacobson znalazł o jedną parę więcej. Pierwsza para leży według autora blisko paszczy, a ta jest najmniejsza; druga większa blisko pokrycia skórniego na spodniej stronie; para trzecia, kształtu i wielkości orzecha laskowego, leży bliżej strony

grzbietowej, pod chrząstkowatym wyrostem który organ widzenia chroni; czwarta, podobnegoż kształtu, ale nieco większa, leży zewnątrz wielkich masseterów, pomiędzy nimi a obok nich biegnącemi wielkimi pletw promieniami. U żarłaczów znalazł autor tylko najtylniejszą parę na bokach głowy, tuż pod skórą, zewnątrz na masseterach, bliżej ich tylnego brzegu. Do tych wszystkich par idą rurki skórne, ale najwięcej i najdłuższe do trzeciej pary. Trzy najbliższe przodu organów pary, przyjmują rurki od głowy, czwarta do reszty ciała należące rurki”.

Opisawszy dalej kształt i związek tych rurek z innymi organów częściami, autor mówi, że wszystkie nerwy do nich wchodzące, należą do piątej nerwów pary, i że już z tego samego wniesć należy, iż to są organa czucia, które do oczu i uszu przyrównywa. Popiera on tym sposobem i przyjmuje zdanie Jacobsona, zgadzając się z nim zupełnie, że wrażenia udzielają się galaretowatej cieczy wypełniającej rurki, a ztąd do końców piątej pary nerwów przechodzą zupełnie tak, jak ta sama nerwów para odbiera wrażenia przez wąsiki i włoski nozdrzowe. (*Fror. Not.* 1848, nr. 92).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

WARSZAWA

1847.

KRAKÓW.

171. Rozpoznawanie zapaleń ocznych w ogólności, a w szczególności zapaleń ocznych samodzielnych. Napisał Ludwik Bierkowski profesor chirurgii, oraz dyrektor kliniki chirurg. w uniwersytecie Jagiellońskim. 32. Kraków. 1847. Druk Stanisława Gieszkowskiego. Str. XII i 143. Złp. 5.

1848.

WARSZAWA.

86. Pamiętka dla moich dzieci, przez Autorkę Powieści moralnych dla dzieci (M. Monikowską). 12ka. Warszawa. 1848. Nakład autorki, druk Orgelbranda. Str. 149. Złp. 4.

WILNO.

87. Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku, przez autora Pamiętek Starego Szlachcica Litewskiego. Wydanie nowe poprawne we 2ch tomach, ozdobione portretem na stali księcia Karola (Panie kochanku) Radziwiłła. Z godłami:

Nam cunctas nationes et urbes, singuli aut primores, aut populus regunt. Delecta ex his et consociata forma facilis laudari quam evenire, vel si evenit baud diuturna esse potest.

Cornelius Tacitus.

Fortuna variabilis, Deus admirabilis.

Słowa powiedziane Karolowi Gustawowi przy grobie królów polskich w Krakowie, przez jednego z kanoników.

Wydanie Adama Zawadzkiego. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1848. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I, str. XIX i 436. II, 491. Złp. 24.

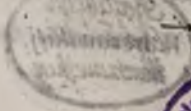
88. Wędrowki oryginalna, z rękopismu nieznanego autora, drukiem ogłoszone, przez Józefa Korzeniowskiego. 12ka. Wilno. 1848. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 357. Złp. 11.

1849.

WARSZAWA.

8. Kalendarzyk dla dzieci przez Stanisława Jachowicza na rok 1849. Rok drugi. Warszawa. W drukarni Stanisława Strąbskiego. Str. 72. Złp. 2 gr. 10.

9. Pamiętnik domowy, Kalendarz i rachmistrz dla wszystkich stanów, na rok 1840. Ułożył i własnym nakładem i drukiem wydał J(an) Glücksberg, księgarz szkół publicznych w król. polskiem. Rok czwarty. 8ka. Warszawa. 1849. (Druk J. Glücksberga). Str. XLVII. 322, i 18. Złp. 2 gr. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Znany powieściopisarz Józef Dzierzkowski wydał nową powieść p. n. „Szpicrut honorowy”, w jednym tomie.

Tom pierwszy zapowiedzianego dzieła R. Swierzbńskiego: „Historja cywilizacji rzymskiej”, już opuścić prasę drukarską.

Wyjątek z listu J. Krasz. do T. z d. 3 grud. 1848.

.....Zdrowie moje dziś trochę lepsze, ale niezupełnie; zdrowie to jeszcze latane. — Sprzedałem moję wioskę i drugięj szukam. Piękny mój Gródek przy swoim wdzięku miał tę wadę, że nie dawał pieniędzy, a bez pieniędzy i na wsi trudno. Dla mnie one między innemi reprezentują: książki, których potrzebuję, sztychy, w których się kocham, i spokój który cenię. — Moje życie spływa mi cicho i jednostajnie przy rysunku, małowaniu, za stolikiem i z książką. — Piszę niewiele teraz i cały czas zajmuje mi mój: „Słownik artystów” i: „Ikonotheka Polska”, które wykończam. — Z nowości piśmiennych mamy tu lub raczej mieliśmy: Władysława Grozy *Gwiazdę*, *Lewiatana*, *Pieśni nasze Ruszejki* (Ad. Pieńkiewicza); prenumerowaliśmy także na *Skelety Sowy*, ale jeszcze nie wyszły. — Athenaeum moje lub będzie wychodzić z nowem życiem i wysiłkiem, lub je zakończę.

Z listu p. Z. z Wołynia.

.....„Szczególniej zajmują dziś u nas dwa pisma wychodzące w Kijowie: *Gwiazda*, wydawana p. Benedykta Dołęgę, i *Lewiatan* p. Alberta Gryffa. Oba te pisma mają wychodzić i na rok 1849. Prócz tego pan J. J. P. znany zaszczytnie ze swych poezyj zamieszczanych w *Athenaeum* i *Gwiazdzie*, przygotował do druku swe prace: „Oto są grzechy mojego żywota, księga pieśni” i „Faktorstwa sądowe, kronika współczesna”, tomów 2. Wydaniem powyższych dzieł, przysłuży nam się nateraz Kijów”.

J. Pietraszewski dr. filoz. i profes. języków wschodnich żyjących przy uniwersytecie w Berlinie, ogłosił w Tygod. Petersb. przedpłatę na: *Opisanie podróży i pożycia w ośmioletnim pobycie na Wschodzie, w trzech tomach, w 8ce.* Jestto opisanie topograficzne, etnograficzne, estetyczne i statystyczne państwa tureckiego, wraz z jego rządem i bezrządem miast, wiosek i t. p. Przedpłata wynosi 36 złp. włącznie z kosztami przesyłki.

Zapowiedziana mappa do art.: „O znaczeniu Zaporozża” będzie zamieszczona w następnym zeszytcie Biblioteki.

Redakcja Biblioteki *W. Kraszewskiej.*



Listopad 1848.

Dostarczenia w Obserwatorium

Miejsce dostarczeń wzniesione jest 317 stóp parckich nad poziom morza
czyli w roku 1841 25' 8" na wschód

Czas godziny minuty sekundy	TERMOMETR siłkopolniowy				BAROMETR w milimetrach sprężonego powietrza				Wzrost Kolumny Wody
	10	1	0	10	10	4	0	10	
0.0	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.1	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.2	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.3	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.4	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.5	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.6	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.7	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.8	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
0.9	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.0	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.1	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.2	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.3	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.4	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.5	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.6	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.7	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.8	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
1.9	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.0	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.1	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.2	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.3	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.4	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.5	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.6	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.7	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.8	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
2.9	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.0	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.1	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.2	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.3	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.4	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.5	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.6	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.7	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.8	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
3.9	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0
4.0	0.0	0.0	0.0	0.0	757.0	757.0	757.0	757.0	0.0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Listopad 1848.

Listopad 1848.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,5" na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		738.21	738.72	739.58	741.61	+ 8.5	+ 8.8	+ 9.6	+ 6.7	97.5
2		744.13	746.01	746.92	747.66	+ 4.8	+ 5.9	+ 4.0	+ 1.8	88.0
3	☾	747.40	747.83	747.08	746.96	+ 1.8	+ 4.7	+ 6.8	+ 2.7	96.7
4		744.02	742.16	736.50	731.72	+ 0.4	+ 3.7	+ 7.4	+ 8.4	92.5
5		731.60	733.46	736.88	737.89	+ 5.2	+ 3.8	+ 2.0	+ 0.1	83.0
6		738.24	738.16	736.44	736.06	- 1.0	+ 1.5	+ 2.7	+ 2.0	87.7
7		737.88	738.08	737.29	739.95	+ 4.6	+ 5.7	+ 6.9	+ 5.0	87.2
8		744.82	747.18	749.27	751.26	+ 1.8	+ 4.1	+ 4.5	+ 0.5	85.2
9		750.95	751.89	753.17	756.54	+ 1.5	+ 3.8	+ 4.0	+ 0.6	90.0
10		757.92	757.94	756.65	756.81	- 1.3	- 0.5	- 0.2	- 0.5	95.7
11	☺	757.67	758.02	757.84	757.92	- 0.2	+ 1.1	- 0.3	- 1.5	96.7
12		757.63	757.45	757.45	756.36	- 3.8	- 1.6	- 0.7	- 1.8	96.0
13		752.09	751.14	745.94	743.76	- 2.5	- 2.0	- 1.0	+ 0.6	96.7
14		738.50	734.80	731.51	735.64	+ 0.8	+ 0.5	+ 0.6	+ 0.9	98.5
15		742.89	745.15	747.45	751.31	- 0.9	+ 0.7	- 1.5	- 3.4	95.0
16		752.39	751.44	744.07	740.23	- 6.3	- 1.3	+ 0.6	+ 0.1	98.2
17	☾	747.62	750.05	749.83	740.30	- 2.7	- 2.2	- 3.2	- 0.3	94.0
18		737.80	737.70	737.14	738.27	+ 1.2	+ 2.2	+ 2.8	+ 3.4	94.0
19		736.99	736.93	738.34	743.16	+ 2.2	+ 2.6	+ 4.1	+ 3.1	93.5
20		751.67	755.63	756.92	755.82	+ 0.4	+ 0.1	- 0.9	- 1.3	91.0
21		752.87	752.67	750.72	751.37	- 2.1	+ 0.9	+ 1.4	- 0.6	86.0
22		751.27	753.78	752.72	751.97	- 1.1	+ 0.8	+ 1.4	- 1.6	92.7
23		750.32	750.06	748.33	748.02	- 2.7	+ 0.5	+ 3.0	+ 0.9	90.2
24		746.81	747.37	747.13	747.54	+ 0.2	+ 2.5	+ 3.6	+ 1.5	91.7
25	☺	747.19	748.30	751.03	754.81	+ 2.0	+ 4.5	+ 2.4	+ 1.0	93.7
26		757.84	759.37	759.87	759.42	- 0.5	+ 0.5	+ 0.1	- 2.8	97.5
27		755.21	754.38	751.30	750.70	- 2.7	+ 1.6	+ 2.8	+ 2.7	94.5
28		748.84	751.27	752.41	752.10	+ 4.8	+ 6.2	+ 6.4	+ 6.1	97.7
29		749.47	748.34	744.86	745.95	+ 5.6	+ 6.1	+ 7.5	+ 8.4	88.2
30		745.68	746.52	743.66	746.22	+ 7.9	+ 8.9	+ 8.6	+ 6.8	87.5
Śre.		747.194	747.729	746.938	747.311	+ 0.88	+ 2.48	+ 2.85	+ 1.76	92.5

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7 względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pochmurny	dészcz	dészcz	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	10.0	
pochmurny	chm. podz.	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Pd.	Pd.		
pochmurny	napót pog.	napót pog.	mgła	PdW.	PdW.	PdW.	-		
mgła grub.	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	7.32	
pr. pogodny	pogodny	pochmurny	dészcz	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdZ.	6.0	
pr. pogodny	pr. pogodny	napót pog.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Pd.		
mgła	mgła	pr. pogodny	napót pog.	W.	W.	PnZ.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		6.0
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		0.2
pr. pogodny	pogodny	pogodny	smugi	PnW.	PnW.	PnW.	W.		6.4
mgła	pochmurny	pochmurny	śnieg drob.	Pd.	Z.	PdZ.	Z.		4.8
pochmurny	śnieg	śnieg	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Pn.		
pochmurny	śnieg drob.	śnieg gęsty	pochmurny	Pn.	-	Pn.	PnZ.		
pogodny.	pochmurny	śnieg	śnieg	PdZ.	Pd.	Z.	Z.		
pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	PdZ.	2.4	
dészcz drob.	pochmurny	pochmurny	chm. podz.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pn.	4.0	
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Z.	Z.		
smugi	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	Z.		
pr. pogodny	smugi	smugi	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdW.	PdW.		
pochmurny	napót pog.	pochmurny	napót pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
pogodny	pochmurny	mgła	pogodny	PnZ.	Z.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	dészcz pada	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Z.	2.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.	1.8	
Śre.								31.92	19.8

	mm.	°.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.293	27	7.272
Najwyżej dochodził — d. 26 o g. 4 w.	758.02	28	0.848
Najniżej — — d. 14 o g. 4 w.	731.60	27	0.275
Średnia zmiana dzienna barometru	5.45		2.42
Największa zmiana dzienna barometru d. 19—20 o g. 10 r.	18.65		8.27
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających	3.358		1.488
Średnia temperatura Listopada wynosi: + i ta jest wyższą o	750.651	27	8.760
od stanu normalnego z 22 lat poprzedzających	10.96 C.	+	1°57 R.
Największe ciepło dochodziło d. 1 o g. 4 w.	0.56	„	0.45 „
Największe zimno dochodziło d. 16 o g. 6 r.	+ 1.40	„	+ 1.12 „
	+ 9.6	„	+ 77 „
	— 6.3	„	— 5.0 „

(Termometrograf wskazał

Maximum: + 8.°0 R. d. 1 i 30

Minimum: — 6.°1 R. d. 16).

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.32	„	1.86
Największa zmiana dzien. d. 4—5 o g. 10 w.	8.3	„	6.6

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi 92.5, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 4.70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest większa o 3 setne niż zwykle.

Dni pogodnych było 4; napót pogodnych 11; pochmurnych 15.

— deszczu 9 (d. 1, 5, 7, 18, 19, 25, 27, 28, 30.)

— śniegu 9 (d. 6, 7, 10, 11, 13, 14, 15, 16, 18).

— mgły 4 (d. 4, 9, 13, 26).

— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 18).

Wody z deszczu spadło 31.92 millim. czyli 14.15 linii paryzkich z śniegu 10.8 millim. czyli 8.78 lin. paryz. razem wody z deszczu i śniegu 51.72 millim. czyli 22.93 lin. paryz. to jest o 7.74 lin. par. więcej jak zwykle.

Wiatry panujące były: zachodnie i południowo-wschodnie.

Wichrów było 5 to jest: Z=2; PnZ=1 i Pd=2.

Listopad r. z. co do temperatury i stanu nieba był zmienny i wilgotny, w ogóle jednak pogodniejszy i o pół stopnia cieplejszy jak zwykle. Pierwsze cztery i ostatnie trzy dni miesiąca były ciepłe; przeciwnie ośm [dni t. j. od dnia 10 do 18 i cztery dni 20, 21, 22, 26 były mroźne. Deszczę i śniegi były częstsze niż lat innych. W dniach 13, 14, 15, 16, śnieg spadł tak obfity, iż sankami jeżdżono, po kilku jednak dniach śnieg stopniał. Pierwszy mroz tej jesieni 1 stop. R. wynoszący, był d. 1 nad ranem i pierwszy śnieg przuszył d. 4 z rana. Elektryczność atmosferyczna dodatna czyli szklana była widoczną w dniach 6, 20, 23, 24, 27; bardzo stałą d. 14, 17, 22, 24, w innych dniach śladu jej nie dostrzeżono.

D. 8 w wieczór obręcz biała otaczała księżyc.

D. 17 w południe koło białe otaczało słońce.

D. 17, 21, zorza północna w świetnych kolorach.

D. 25, zorza północna słaba w postaci łuny białej.

D. 17, 23, plamy na słońcu były widzialne.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY PO KRAJU,

odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, pod przewodnictwem Wojciecha Jastrzębowskiego, w czasie wakacyj, t. j. w miesiącach lipcu i sierpniu 1848 r.

W najodleglejszej starożytności już uznano podróż jako bardzo potrzebny i skuteczny środek wykształcenia ludzkiego; bo też rzeczywiście w żadnej szkole nie da się nagromadzić tyle i tak różnorodnych wiadomości, ile ich podróżując zebrać można. Lecz nietylko ta jedna korzyść ztąd wynika: widzimy w historii, że wszystkie narody odbywające podróże, są zawsze najoświeceniwsze, najbogatsze i bardzo możne: np. Fenicyanie, Grecy, Kartagińczycy, narody niewielkie, przodowały jednak w cywilizacji innym ludom dawnego świata, nieporównanie od siebie większym i liczniejszym. W średnich wiekach miasta włoskie, a z nich szczególniej Rzeczypospolita wenecka, zakwitła i wzniosła się do najwyższej potęgi i sławy tymże samym sposobem, dopóki jej w późniejszych czasach Anglia nie zastąpiła. Prze-

ciwnie zaś Chiny, państwo może najdawniejsze i niemal najrozleglejsze, 6 razy większe od Francyi, a mające więcej ludności jak cała Europa, jest jednak bezsilne, i że tak powiem przestarzałe. Przemysł i nauki są tam na bardzo niskiej stopie i w zupełnym letargu, z którego się nie przebudzą, póki ten kraj będzie tak w sobie zamknięty.

Najoczywistszy zresztą dowód użyteczności z podróży naukowych, widzimy w dzisiejszych najwyżej oświeconych krajach, jak w Niemczech, Francyi, Anglii i t. p., gdzie ludzie wszelkiego stanu po ukończeniu nauk, które ich sposobią do właściwego im powołania, zwykle naukową podróż odbywają; i gdyby tylko jeden nowy i pożyteczny szczegół w każdym miejscu dla siebie przyswoili, to po zwiedzeniu kilkudziesięciu lub więcej miejsc, nagromadzą sobie piękny zapas wiadomości, którychby może w żadnej książce nie znaleźli. To jest też jedną z głównych przyczyn tak prędkiego tam wzrostu i szybkiego postępu wszelkich sztuk i umiejętności.

Jednak każdy, nim zamierzy sobie zwiedzić obce kraje, powinien swój własny wprzód dokładnie poznać; i przeciw temuto zgrzeszyło już wielu, którzy przejąwszy się najlepszymi i najpożyteczniejszymi nawet zagranicznymi zasadami gospodarskimi, nie mając przytém własnego doświadczenia, chcieli je żywcem przyswoić na swęj rodzinnę ziemi, nie zważając na różność klimatu, gruntu, ceny produktów, miejscowości i t. p. Naturalnie że tacy tracić muszą, lecz tylko z własnej winy, a nie przez podróże, które szczególnie po własnym odbywaniu kraju, są dla gospodarzy bardzo potrzebne; przedmiotem ich bowiem najgłówniejszym jest uprawa i polepszenie ziemi, której jeżeli nie znają, nie będą mo-

gli odpowiedzieć zamierzonemu sobie celowi. Przez zwiedzenie kraju, poznają oni różne gatunki gruntu, różne systemata jego zagospodarowania; jedném słowem, rozmaite nowe ulepszenia w gospodarstwie, z których później korzystać potrafią.

W naszym kraju, piérwszy a zarazem jedyny człowiek, który z młodzieżą odbywa gospodarskie podróże, jest szunowny Wojciech Jastrzębowski, professor nauk przyrodzonych w Marymoncie. Onto prowadzi co rok niemal po kraju, piechotą, młodzież pragnącą nabycia nowych wiadomości, nie zważając ani na swój wiek, ani na trudy, znoje i częste niewczasy; onto z młodzieńczą siłą i zapałem wiódł nas to do najbliższych gospodarstw, to na najwyższe góry: sam zawsze naprzód, zagrzewając swym przykładem ducha naszego, osłabionego niekiedy znużeniem, a uprzyjemniając całą naszą podróż swemi nauczającemi rozmowami. Pragniemy téż publicznie złożyć mu nasze winne podziękowanie za tyle poświęcenia się jego dla wykształcenia młodzieży; bo prócz niego, nikomuby się może nie chciało, i rzadko kto byłby w stanie tak korzystnie odbywać takie podróże z młodzieżą jak on; bo obok swoich obszernych wiadomości we wszystkich naukach, a mianowicie w przyrodzonych, zwiedzając nasz kraj przez 20 przeszło lat, poznał go w szczegółach najdrobniejszych tak pod względem klimatologicznym, geograficznym, geologicznym, mineralogicznym i zoologicznym, jak pod względem znajomości miejsc pięknych i ciekawych w naszym kraju.

We wtorek dnia 5go lipca zebrałiśmy się w Marymoncie, lecz że było niesłychanie gorąco, przepędziliśmy ten dzień wesoło na pożegnaniach, a dopiero o 6tej wieczorem, wyszłiśmy ochoczo, pełni zapału poznania jak

najprędzej wzorowych gospodarstw, odprowadzeni od naszych kolegów, którzy życzyli nam dobrej podróży, a może i zazdrościli tak miłej i nauczającej. Pod Żeraniem przepawiliśmy się przez Wisłę, a obrawszy sobie kierunek północno-wschodni za główny, udaliśmy się przez niziny, które czasem zalewowi Wisły podpadają, do Białoleki. Wójt gminy tamtejszej pan Bachniński, ofiarował nam swój dom na nocleg, przyjął nas gościnnie, i bardzo uprzyjemnił nam ten wieczór swemi zajmującymi i nauczającymi rozmowami.

Nazajutrz wstawszy bardzo rano i nacieszywszy się zajmującym widokiem, jaki zawsze sprawia miłośnikowi wsi rozpoczynający się dziwny ruch życia wiejskiego, zwłaszcza w porze sianobrania i żniw, puściliśmy się, po pożegnaniu z uprzejmym gospodarzem w dalszą podróż. Minawszy wsie Grodzisk i Marki, zatrzymaliśmy się dla posiłku w Kobyłce, dobrach pana Pieniążka, gdzie nas uderzył piękny lecz podupadły kościół, założony przez Marcina Załuskiego, biskupa draźnieńskiego, suffragana płockiego, dla zakonu Jezuitów, do którego sam wstąpił i ustanowił missyą jezuicką 1763 roku, której był sam przełożonym. W kilkanaście lat po zniesieniu Jezuitów, kościół ten przeszedłszy różne koleje, oddany został w zarząd OO. Bernardynom, a dziś jest pod tytułem Śtej Trójcy. Od wielkich drzwi po prawej ręce, wznosi się wieża o 5 piętrach, ozdobiona malowidłami i figurami drewnianemi; na lewej stronie stoi druga wieża, lecz niedokończona. Wnętrze kościoła jest również w smutnym stanie, bo większą część obrazów i innych ozdób, czas i wilgoć zniszczyły; środek kościoła i sufit zachował jedynie wiele świeżości i wdzięku, cechującego rękę biegłego mistrza. Niedaleko wielkiego ołtarza,

schodzi się po wschodach do ogrójca i do wielkich podziemnych sklepów, gdzie są ślady katakumb w posadze, bez żadnego jednak napisu umieszczonych. Roku 1766 miały tu być wielka biblioteka i domy do rekolekcyi czyli do ćwiczenia duchownego, osobny dla mężczyzn, a osobny dla kobiet; lecz z nich śladu już niema. Za Stanisława Augusta Kobyłka słynęła wielką fabryką pasamoniczą i mydlarnią, które cały kraj w bogate pasy, jako téż i w mydło zaopatrywały, lecz dziś nie mogliśmy się nawet o te budynki dopytać.

Po skromnym lecz zdrowym posiłku, puściliśmy się dalej; zostawiliśmy na boku Lipiny, lecz w Krzywicach, zastanowiły nas pięknie zbudowane domki włościańskie, z izbami wysokimi i o dużych oknach; opodal od mieszkań stały nowe, kształtne, małe stodołki, śpichlerze, a nawet i wozownie. Droga przez wieś idąca, dosyć prosta i dobra, była wysadzoną drzewami, [co wszystko razem miły urok na przechodniu sprawiało; a że upał był nieznośny i tłumoczki nasze trochę zanadto nas obciążały, więc wstąpiliśmy do jednego domku, w którym wszystko czystością i porządkiem tchnęło. Skrzętna gospodyni wyniosła nam zaraz ze zwykłą włościan naszych gościnnością śmietany i jagód świeżych, i od niej dowiedzieliśmy się, że tę wieś Andrzej hr. Zamojski oczynszował już od czterech lat, licząc po 6 złp. od morgi roli ornój. Podziękowawszy życzliwej gospodyni za posiłek, poszliśmy do Tuła.

Dziedzic tych dóbr pan Kurella, przechodzi dopiero z gospodarstwa trójpolowego na płodozmienne, zaprowadzając kolój 9ciopolową. Włościan swych poczynszował, dając każdemu po 28 morgów roli i 3 morgi łąk, i pozwalając im mieszkać w dawnych do nich na-

leżących chałupach przez 3 lata, poczem obowiązani są czynszownicy swoim kosztem popostawiać sobie domy, wieś drzewami wysadzić i płacić z morga po złp. 3 gro. 10. Dla zachęcenia zaś swych włościan do polepszenia hodowli koni, zaprowadził pan Kurella wyścigi konne, wyznaczając pewną nagrodę koniowi wygrywającemu: pierwszego roku niwyszyscy włościanie chcieli posyłać swe konie, lecz teraz oczekują już dnia tego z upragnieniem, a kilku ponabywali już lepsze konie.

Ztąd puściliśmy się prosto do Jadowa, lecz przecho-
dząc już zmrokiem przez wieś Miąsse i nieco zmordowa-
wani, zostaliśmy zaproszeni na nocleg przez pana Gór-
skiego, właściciela téj wsi, w którego towarzystwie prze-
pędziliśmy bardzo przyjemnie ten wieczór.

W samym Jadowie, należącym do hr. Andrzeja Za-
mojskiego, owiec i krów niema, tylko młoda jałowizna,
a wołów i koni tyle, ile tego gospodarstwo wymaga.
Panowie Teruskiewicz i Tomorowicz, byli uczniowie In-
stytutu agronomicznego w Marymoncie, którzy się tu
bardzo gorliwie zajmują gospodarską praktyką, powie-
dzieli nam, iż przyczyną tego jest to, że te dobra miały
być puszczone w dzierżawę, więc resztę inwentarza prze-
prowadzono na inne folwarki. Nawóz rozpościerają na
duże gnojowisko wybrukowane, gdzie również warstwa-
mi kładą się liście, chwasty z pielienia, śmiecie i błoto.
Na pole wywozi się nawóz po większej części w ziemie,
układa się w wielkie kupy pięćdziesięciosurowe, które
okładają się ziemią, aby utrudnić ulotnienie się jego; je-
żeli się nawóz pali, wtedy przerabia się go wraz z zie-
mią, ustawia w podobną dużą kupę, i jak piérwój zie-
mią się okłada.

Rządca tych dóbr pan Prusiecki, gospodarz bardzo oświecony, obwiózł nas po polach, i widzieliśmy z przyjemnością ogromne łąny, równém i gęstém zbożem okryte. Grunt tu jest żytny, po większej części 1szej klasy, lubo miejscami są i mniej urodzajne kawałki. Kolej płodozmianu jest 6polowa, a mianowicie: 1) ziemniaki na nawozie; 2) jęczmień z koniczyną czerwoną i brzanką; 3) koniczyna z dwoma pokosami; 4) jeden pokos koniczyny, pół nawozu i ozimina, a mianowicie żyto (pszemnicy howiem niewiele się sieje); 5) rośliny strączkowe, np. groch, wyka, soczewica i t. p.; 6) owies.

Roboty gospodarskie załatwiają się najwięcej czeladzią i najemnikami, bo włościanie są po większej części okupnicy. Płacą oni dziedzicowi za każdy dzień ciągły 1 1/2 złp., za pieszy po gr. 20, a za dnie dodatkowe do żniwa po złp. 1; im zaś płaci się za dzień do żęcia oziminy od 50 gr., do 1 1/2 złp. do żęcia jarzyny 40 gr., a do koszenia owsa i grochu od 50 gr. do 2 złp.; do grabienia siana, do kopania ziemniaków i do tym podobnych robót gospodarskich, dostają za dzień od 20 do 30 gr. Co rok każdy włościanin oświadcza się, że będzie opłacał lub też odrabiał. Włościan pańszczyznianych jest już tylko kilku.

Do uprawy ziemi używają się: socha, radło, brony żelazne, płuzki angielskie do oborywania ziemniaków i t. p.; młocka odbywa się na dużej młocarni, połączonej z młynkiem i sieczkarnią; koniczynę, rzepak i tym podobne drobnoziarniste zboża, sieją siewnikiem ręcznym Thaera; wszystkie zaś te narzędzia i maszyny gospodarskie, sprowadzane są ze Zwierzyńca z fabryki ordynackiej, zostającej pod kierunkiem pana Platte.

Przed wschodem słońca ruszyliśmy w dalszą drogę; minęliśmy Zawiszyn, Łochów, między Baczkami a Wieliczną przeszliśmy z powiatu stanisławowskiego do siedleckiego, a doszedłszy do Stoczka, opuściliśmy główną drogę, i wzięwszy przewodnika, przedarliśmy się przez gęsty las dążąc do huty szkła, leżącej wśród ciemnego boru o pół mili od Starej Wsi. Tamtejszy sekretarz, bardzo grzeczny człowiek, pokazał nam najprzód skład szkła, gdzie z przyjemnością ujrzelśmy niektóre piękne wyroby; następnie obejrzelśmy samą hutę, gdzie z zadziwiającą prędkością fabrykanci wydymali wśród duszącego gorąca karafki, szklanki, dzwony, i t. p. duże i małe, grube i cienkie; nakoniec zwiedziliśmy szlifiernię, gdzie machina parowa z fabryki p. Steinkeller o sile 8 koni, mnóstwo obracała kamieni i kół piaskowych, jako też kręgów drewnianych, przy których 8 fabrykantów naraz szkło szlifować mogą. Podziękowawszy uprzejmemu sekretarzowi za pokazanie tych szczegółów, poszliśmy do Nowej Wsi, minawszy Majdany, Kałęczyn, Międzyzyles, Wrotnów i Chruszczówkę.

Właściciel tych dóbr p. Kuszel, oprowadził nas po polach, gdzie ujrzelśmy troskliwą uprawę ziemi, bujnym wynagrodzoną plonem. Gospodarstwo jest czwórpolowe, to jest: 1) pszenica; 2) ziemniaki albo buraki; 3) jarzyna; 4) ugor. Buraków cukrowych uprawiają tu rocznie 15 morgów, i odstawiają je do Sokołowa o 3 mile, biorąc zwykle za korzec złp. 4. Do okopywania ziemniaków i buraków, zalecał nam p. Kuszel gracę swego pomysłu. To narzędzie, zbliżające się swym kształtem do motyki, tém się od niej różni, że się kończy gracą z zagiętymi pod siebie bokami, w kształcie cieślicy; jest ona na stopę szeroka, a na pół stopy wysoka i zaostrzona róż-

wno od spodu. To narzędzie tém głównie się zaleca, że oszczędza nam robotnika, który w gospodarstwie jest najkosztowniejszy: bo dwoma poruszeniami téj gracy, z dwóch stron można nietylko cały krzak dobrze ziemią okryć, ale jeszcze i chwasty wydostaną się lub przynajmniej poprzecinają.

Przed wieczorem, gdy promienie słoneczne mniej dopiekały, odesłał nas ten gościnny obywatel do miasteczka Sterdyń, należącego dawniej do Ossolińskich, następnie do Krasieńskich, a dziś jest własnością pana Górskiego, od którego pan Chudzyński trzyma je obecnie w dzierżawie. Ten obywatel przyjął nas ze staropolską gościnnością; oprowadzał nas po polach, gdzie pomimo trójpolowego gospodarstwa, ma urodzaje bardzo dobre. Przez długoletnie swoje tutaj gospodarowanie, podniósł dobra te z zaniedbanego do bardzo wydoskonalonego, z bezkorzystnego do wiele czyniącego stanu; przekonał nas bowiem autentycznymi rejestrami, że wydobywa teraz czystej intraty dwa razy tyle tysięcy złp. ile dobra te w latach 1829, 1830, 1831 i kilku następnych przynosiły.

Główne roboty gospodarskie obrabia pańszczyzna, której ma: sprzężajnej 32,997, a pieszej czeladniej (to jest takiej, gdzie wychodzą tylko młode dziewczęta lub chłopaki) 37,035 dni. Inwentarze ma piękne, szczególnie konie cugowe, pochodzące z prawdziwej dawniej polskiej rasy tykocińskiej Potockich, która w stanie czystym jest już niezmiernie rzadką.

Zabudowania gospodarskie utrzymują się w dobrym stanie; na szczególną uwagę zasługuje ogromna stodoła litewska na sochach. Rachunkowość gospodarska jest bardzo porządnie prowadzona.

Samo miasteczko Sterdyn jest niewielkie; ma jednak piękny kościół duży murowany, i pałac gustownie wewnątrz urządony z ogrodem.

Niedaleko ztąd, schodzą się trzy tak zwane puszcze: sterdyńska, ceranowska i kielpieniecka, mające 300 włók obszerności, a w których ma być kilkaset sarn i do sta dzików.

Ztąd udaliśmy się w południowym kierunku do Sokolowa, niewielkiego lecz handlowego miasta, które jednak jest dosyć starożytne, bo na początku XVgo wieku bywa już w historii wspomiane. Za czasów Zygmunta Augusta należało ono do zamożnego domu Kiszków; delegowani z miasta Rygi, wykonali tu w r. 1581 przysięgę na przepisane im w Drohiczyńskie ustawy, mocą których uznali nad sobą zwierzchność króla polskiego. W roku 1764 ustanowiono w tém mieście, należącym do Igo Ogińskiego marszałka W. L. jedną z trzech kadencyj sądów ziemskich, przez dwie niedziele odbywającą się; otwarcie zaś ksiąg ziemskich, poprzedzać powinno rok dwoma tygodniami, i tyleż trwać po ich ukończeniu. W r. 1775 znajdowało się tu 230 domów i miasto zakwitło i wzbogaciło się przez handel i fabryki, mianowicie: jedwabne, płócienne, kobierców, kapeluszy, drutów i t. p. lecz z przyczyny wielu klęsk, miasto to później bardzo upadło, i do tego czasu nie podźwignęło się jeszcze; dziś ma ono 3,200 mieszkańców.

O małe ćwierć mili ztąd, udaliśmy się piękną szeroką drogą, wysadzoną drzewami, do Przedziatki, należącej również jak i Sokółów do p. Hirszmanna. Dobra ta nabył on przed 6 laty niezmiernie zaniedbane, lecz przez ciągłą pracę, skrzętność i umiejętne gospodarowanie, oraz wielkie nakłady, podniósł je niezmiernie. Dziś

wszystko tu technie największym porządkiem, czystością i akuracnością.

Dążąc z Sokołowa do Przedziatki, najprzód ujrzeliśmy dosyć duży ogród angielski, zakończony gustownym pałacem, w którego dolnej części jest kąpiel parowa, a później roztoczyły się przed naszymi oczami różne zabudowania gospodarskie, po części nowe i symetrycznie poroźstawiane. Inwentarze mają być liczne i bardzo wysoko poprawne, lecz ich nie widzieliśmy, bo były daleko na pastwisku. Nawóz ze wszystkich stajen przerabia się na kompost na dużych gnojowiskach, i miesza się z chwastami (które starannie i ciągle p. Hirszmann każe wycinać przy drogach i na innych miejscach), z zieliskiem pochodzącem z pielenia, z wiórzyskiem, torfem i t. d., i to wszystko polewa się gnojówką z kwasem siarkowym. Prócz tego, robią się komposta sztuczne, przez zmieszanie popiołu i prozku węgla zwierzęcego, pochodzących z cukrowni tamże będącej; oraz z soli glauberskiej, kwasu siarczanego, chlorku wapna, i tym podobnych pozostałości z jego fabryki wyrobów chemicznych w Warszawie.

Z kolei wyszliśmy w pole, gdzie piękne urodzaje przedstawiły się oczom naszym; dwa łany żyta szczególniej zwróciły uwagę naszą, przez wielki wzrost swój i znaczne rozkrzewienie, bo z każdej kępy 20 i więcej słom wyrastało; również przez swe ogromne kłosy pełne ziarna. P. Hirszmann powiedział nam, że sprowadziwszy przed dwoma laty 4 łuty żyta amerykańskiego, otrzymał z tego przeszłego roku 4 garnce, a z 5 łutów żyta holsztyńskiego, zebrał 6 garncy; i te to dwa gatunki żyta tak nas zachwyciły. Oprócz wielu innych ulepszeń gospodarskich, zajmuje się czynnie p. Hirszmann mar-

głowaniem; do tego czasu umargłował już 500 morgów, na co wydał 12,000 złp.

Z narzędzi gospodarskich widzieliśmy tam: sochy, pługi, radła, płużki do oborywania ziemniaków, do worywania tychże, extyrpatory, znaczki, brony, siewnik ręczny Thaera, siewnik jednokonny Albana, młocarnią zwyczajną konną z młynkiem, sieczkarnią i t. d., lecz prócz tych wszystkich, pokazano nam jeszcze młocarnią ręczną z dwiema korbami, którą dwoje ludzi obraca, a która ma wymłacać, według zapewnienia właściciela, 12 kop oziminy, a 15 jarzyny; p. Hirszmann pierwszy z Anglii ją sprowadził, a pp. Lilpop i Zakrzewski w Warszawie, od niego dopiero model wzięli.

Pokazawszy nam rolne gospodarstwo, oprowadzono nas i po fabrycznym; widzieliśmy porządne browary, w których wyrabiają porter zwyczajny i dubeltowy, piwo angielskie, bawarskie i t. d., gorzelnię, młyn z mączem, cegielnię, w której prócz cegły robią białe, bardzo trwałe dachówki; nakoniec o wiorstę dalej, weszliśmy w obszerne gmachy cukrowni i rafinerji, i wtedyto żalowaliśmy, że nasza podróż wypada w tej chwili, w której gorzelnie, browary i cukrownie spoczywają; widzieliśmy więc tylko rafinerją cukru szczegółowo. Cukrownia ta i rafinerja będąca jedną z największych w naszym kraju, należy do spółki, której p. Hirszmann jest członkiem; lecz w kontrakcie zawarował on sobie, że buraki, drzewo i t. p. produkta gospodarskie, których cukrownia potrzebuje, od niego kupowane być mają; gdyby dopiero on nie dostarczył ich tyle, ile potrzeba, może je spółka z kądiną kupować; buraki też tu obywatele o mil kilka nawet przywożą, sprzedając je korzec po złp. 4.

Ztąd puściliśmy się do Kupietyna, dóbr hr. Szydłowskiego. Zastanowiła nas tu świeżość i nowość budynków; dowiedzieliśmy się, że one powstały na miejscu niedawno zgorzałych. Olój zapaliwszy się w browarze, był przyczyną wielkiego pożaru, który pochłonął także browar, fabrykę krochmalu i kilka innych budynków.

Inwentarze widzieliśmy piękne, lecz owce grają tu główną rolę i są wysoko poprawne. Grunt jest żytni Iszej klasy, tak, jak w całej tutejszej okolicy; gospodarstwo ośmiopolowe, t. j.: 1) ozimina na świeżym nawozie; 2) ziemniaki, zbywający zaś grunt pod groch i wykę; 3) jarzyna z koniczyną; 4) koniczyna skoszona, potem pastwisko; 5) pastwisko koniczynowe; 6) ozimina na małym pognoju; 7) jarzyna; 8) ugor.

Ztąd zwróciliśmy się napowrót w kierunku północno-wschodnim do Jabłonny, należącej do pani Bienieckiej. Droga prowadząca tu, szeroka i równa, jest wysadzona czterema rzędami topól, po większej części kanadyjskich, co bardzo miłe i uprzedzające sprawia wrażenie. Dwór i wszystkie zabudowania gospodarskie bardzo porządnie rozłożone i wybudowane, są opatrzone gromochronami (konduktorami); gospodarstwo jest czteropolowe, pszenicy sieją tu już blisko tyle co żyta, bo pierwszej 300 korcy, a drugiego 400. Rachunkowość gospodarska bardzo porządnie jest utrzymywana.

Po południu, gdy skwar słoneczny zmniejszył się nieco, a my o utrudzeniu naszym zapomnieli, puściliśmy się w kierunku południowo-wschodnim do Gródka. Na wpół drogi ujrzelśmy trzy stosy kamieni polnych, mających kształt ostrokągu ściętego, a wysokości człowieka, oddalonych o parę staj od siebie; są to smutne pamiątki wojny szwedzkiej w roku 1657, w której Ka-

rol Gustaw całą tę okolicę ogniem i mieczem zniszczył, a polegli w obronie, zostali w tych trzech mogiłach pogrzebani.

W Gródku, p. Chojecki okazał nam swe zabudowania gospodarskie, jak: obory, owczarnie, śpichlerz dwupiętrowy, stodoły litewskie na sochach i t. p., które są murowane, prócz stajni, która jest drewniana, pobielana; każdy zaś z budynków, opatrzony jest gromochronami. Z narzędzi gospodarskich, najwięcej na uwagę zasługuje młocarnia Ewansa, młócaca dziennie 30 kop. Gospodarstwo jest 4polowe.

Dobra te mają czarujące położenie: oddaliwszy się o kilkadziesiąt kroków od dworu, wybudowanego na znacznej wyniosłości, znaleźliśmy się na rozległych a wysokich dosyć górach, stanowiących brzegi koryta rzeki Bugu, wijącego się siną wstążką u ich stóp; ten mszcząc się za swe ponizienie, raz roztrąca z łoskotem swe nurty o twarde ich brzegi, to znowu cofa się zapieniony z jękiem, a jaskrawe słońce zatapiając swe rozkoszne promienie w jego bystrych falach, odbija się w tysiącnych tęczowych kolorach.

Zachwyceni pięknnością tych okolic, postępując ciągle nad Bugiem, przyszlśmy na noc do Korczewa. Floryan z Gąsiorowa Kuczyński dostawszy w r. 1429 te dobra od Witolda W. ks. litewskiego, upiększył je wspaniałemi gmachami, i do dziś dnia są one w posiadaniu Kuczyńskich. Teraz stoi tu jeszcze wielki pałac z ogrodem.

Nazajutrz przed wschodem słońca, poszlśmy do Ruszkowa. Droga prowadząca do dworu jest wysadzona ślicznemi starymi jarzębinami, które swym mnogim a wązkim liściem, jako téż czerwonymi jagodami, mile necą i pieszcą wzrok przechodnia. Pan Bądryński oka-

zał nam dobre zabudowania gospodarskie, a mianowicie olejarnią obracaną manezem i inwentarz piękny; gospodarstwo jest trójpolowe. Na uwagę zasługuje tu kościół starożytny, zbudowany na wysokim pagórku za Jana Albrechta, teraz już chylący się ku upadkowi, lecz myślą o jego naprawie, na co jest przeznaczone 18,000 złp. Dawniej były tu zbory luterskie.

Ztąd ruszyliśmy do Konstantynowa, dawniej Kozierady zwanego. Karol hr. Odrowąż Siedlnicki wojewoda podlaski i podskarbi w. k., porządnie miasto to zabudował i okazały postawił pałac. W r. 1775 było tu 189 domów, dziś jest ono dosyć porządne i handlowne, i ma przeszło 2,000 mieszkańców. Nieco dalej za miastem, prowadzi szeroka droga do dużego ogrodu angielskiego, porządnie ogrodzonego; za bramą wybiega gościnna i ładna ulica, między dwoma rozległymi a zielonemi kobiercami murawy, ubranemi niby od niechcenia w rozrzucone piękne klomby, i zapraszająca do dworu obszernego i miłego, złożonego z korpusu i dwóch skrzydeł. Dziedzic tych dóbr hr. Alexandrowicz, gospodarz umiętny i czynny, obywatel gościnny i uprzedzający, dołożył wszelkich starań, aby nam swoje wzorowe gospodarstwo we wszystkich szczegółach okazać, nie zważając ani na swe utrudzenie, ani na duszący skwar lipcowego słońca, za co mu publicznie podziękować mamy sobie za obowiązek.

Zabudowania gospodarskie są tu bardzo porządnie murowane, lecz szczególnież na uwagę zasługuje duża stodoła litewska na sochach leżących, z podmurowaniem i słupami murowanymi. Takie stodoły dlatego pierwszeństwo mają przed innymi, że w nich dużo zyskujemy na miejscu.

Z inwentarza, główną rolę grają owce; jest ich 3,600, te są w ogóle bardzo wysoko poprawne, a zupełnie

szlachetnych czystej krwi, znajduje się około półtora sta. Każda owca ma numer na uchu; parzenie odbywa się z ręki, a rodowód owiec, szczególnie szlachetnych, utrzymuje się z największą akuratnością w osobnych rejestrach, podług których można odrazu dowiedzieć się, kto był ojcem, matką i t. p. owcy oznaczonej tym lub owym numerem. Kotelnica tu jest letnia; ma ona te głównie zalety, że jest mniej kosztowną, bo przy zimowej, tak maciorom jak i jagniętom trzeba dawać najlepsze siano i nieco owsa. Prócz tego, podczas letniej kotelnicy, owce wychodząc zaraz na żyzne ścierniska, wyrabiają w sobie więcej i pożywniejszego mleka; jagnięta przeto tak dla obfitości pokarmu, jak dla sprzyjającego ciepłego powietrza, odchowują się jeszcze przed nadejściem zimy, wyrastają większe, mocniejsze, niepodległe tylu chorobom, a szczególnie biegunce krwawej i kurczowi kołowatemu, na które choroby często jagnięta zimowe zapadają. Przy tych wszystkich sprzyjających okolicznościach, jagnięta wyrastając spore i silne przed nadejściem zimy, nie narażają gospodarza ani na tyle strat, bez jakich zimowy kot rzadko się obejść może (jak zmarznięcie, wyżej wymienione choroby i t. p.), ani wymagają tyle starań i troskliwości. Co się zaś tyczy matek, te po okoceniu się mają jeszcze dosyć czasu do następnej strzyży, żeby się podzwignąć z utraconych sił, tak w czasie brzemienności i porodu, jako też podczas karmienia jagniąt, a przeto wełna przyszłej strzyży zyskuje wiele tak na jej przymiotach, jak i na wadze.

Zarzuty przeciw letniemu koceniu się są głównie te, że parzenie wypada w miesiącu lutym i marcu, to jest wtedy, kiedy owce objawiają mało popędu płciowego, i ztąd wiele pozostaje owiec jałowych, szczególnie

w początku przejścia z kotelnicy zimowej do letniej. Obok tego, kot letni wymaga utrzymania letniego owiec w owczarni, albo blisko położonych pastwisk, bo inaczej ssanie jagniąt nie mogłoby być regularne, a mléko zbyt długo zatrzymywane przez matki, nie byłoby ani tak zdrowe, ani bardzo obfite (1).

Dla wyższego uszlachetnienia owiec, sprowadzają tu barany corocznie z najlepszych owczarni, a młode tryki swego chowu, sprzedają po cenie od 100—220 złp. i więcej.

Bydło jest bardzo piękne; kilka krów i buhai jest czysto tyrolskich, reszta krów, wszystkie ślicznej wiśniowej maści, uszlachetniają się tyrolskimi buhajami. Mléko miejscowy pachciarz zakupuje, płacąc w lecie po 14 gr. garniec, a w zimie po 16 gr. Konie tak cugowe jak i fornalskie są jak najlepiej utrzymywane; między stadniną widzieliśmy kilka dwu i trzechlatków po ogierach rządowych z Janowa, zapowiadających wcześniej najpiękniejsze konie.

Z budynków fabrycznych oglądaliśmy gorzelnię i browar.

Z dóbr tych zdjęto 5 mapp dużych, bardzo dostatecznie i pięknie odrobionych, a każda przedstawia inny folwark. P. Alexandrowicz kazawszy zaprządz, obwoził nas wszędzie około nich, i widzieliśmy we wszystkich folwarkach wielki porządek i czystość, a uprawę mechaniczną roli jak najtroskliwszą; lecz téż za to urodzaje były do pozazdroszczenia, a przychód roczny z dóbr, jakieśmy się o tém sami z regestrów wieloletnich przekonali, podniósł się niesłychanie.

(1) Chów owiec, przez M. Oczapowskiego, tom VIII.

Gospodarstwo przed pięciu laty było tu po większej części czwórpolowe; p. Alexandrowicz dopiero objawszy je na siebie, zaprowadził koleje płodozmianu, stosownie do gatunku i jakości gruntu. Na najlepszym kolej jest 8polowa, dążąca do wyprodukowania jak najwięcej ziarna i roślin okopowych, na lżejszym zaś 10 i 16polowa, w których systemata pastwiskowy z odłogami mają przewagę.

Okazawszy nam wszystkie ciekawe szczegóły swego gospodarstwa, zawiózł nas ten obywatel do Janowa, miasteczka odległego o milę, dla ułatwienia nam obejrzenia ogierów i stadniny królewskiej. Pana Eberhardta podinspektora stada rządowego nie zastaliśmy, ale i tak tamtejsi panowie urzędnicy grzeczni, okazali nam najprzód ogiery stacyowe, tojest te, które corocznie rozsyłane bywają w marcu na całe królestwo, a wracają dopiero w czerwcu. Te konie mieszczą się w dwóch dużych drewnianych stajniach, przedzielonych ujeżdżalnią, a są porozstawiane według swój klasy uszlachetnienia, których jest 3; prócz tego każdy koń stoi w osobnej klatce, na której z przodu u góry napisane jest jego imię, rok urodzenia, imię ojca i rassa z jakiej pochodzi. Widzieliśmy tu bardzo piękne ogiery różnej maści, najwięcej z rassy angielskiej; lecz są i arabskie, tureckie, a nawet dwa małe, grubo-płaskie koniki, należące do IIIciej klasy. O małe ćwierć mili za miastem, jest osada, że tak powiem końska, zwana Wygodą, dla ogierów celnych, klacz stadnych i źrebiąt; szosa do niej wiodąca, wysadzona wybiegłemi drzewami, wije się między zielonemi łąkami i polami, okrytemi dużemi łanami owsa. Będąc jeszcze dość daleko od Wygody, zostaliśmy uderzeni pięknym widokiem zabudowań, podobniejszych do pa-

łaców, niż do stajen, w których arystokracja końska zamieszkuje. Najprzód zwiedziliśmy tu ogiery celne, których było 16; każdy z nich, podobnie jak ogiery stacyowe, stoi w osobnej klatce, lecz piękniejszej, a zamiast drabinki drewnianej na siano, ma każdy osobną kratkę żelazną, zgiętą w półkole, za którą pasza się zarzuca. Bardzo miłe i silne wrażenie zrobił na nas widok tylu doborowych koni, u których głowę, oko, szyję, nogę, tylko podziwiać można. Najpiękniejszy koń w tém stadzie jest Chester, ogier angielski, wzrostu dobrego, skaro-gniady, który chociaż już niemłody, jednak tak przez zachwycającą swoją powierzchowność, jako téż i wysoką stałość rodową, najpierwsze trzyma tu miejsce. Żaden z tych ogierów celnych nie chodzi na stacye, lecz zawsze pozostaje w Janowic; właściciele zaś klaczy chcący z nich użytkować, muszą wprzód o to podawać prośbę do Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych, ta odsyła ją do J. O. Księcia Namiestnika Królestwa, a ztąd bywa ona wracana do pana Eberhardta podinspektora tego stada, który zazwyczaj przyjmuje prośbę za opłatą 200 złp. od każdej klaczy. Następnie obejrzelśmy klacze i ogiery, które na wiosnę zaczęły być tresowane do wyścigów, a ztąd zaprowadzono nas na obszerne pastwiska, w ogóle bardzo dobre, zaraz za zabudowaniami rozciągające się, na których przez cały dzień paszą się klacze stadne ze źrebiętami, nieużywające się już do żadnych robót; sąto młode kobyłki i młode ogierki, niemające więcej jak trzy lata. Pastwisko to, jest podzielone na obszerne kwadraty, porządnie poprzegradzane, w których osobno stadka każdego rodzaju się paszą. Wszedłszy w przegrodę klaczy stadnych ze źrebiętami, byliśmy nieco

zdziwieni łaskawością i śmiałością tak matek, jako i źrebiąt, które nietylko że przed nami nie uciekały, ale jeszcze same do nas przychodziły i odbiegały w figlarnych skokach i wybrykach, jak gdyby chciały nas przekonać o swój zwinności, zgrabności, ręczości i lekkości. Wśród nich znajduje się ciągle człowiek, mający na sobie zawieszony koszyk z owsem; ten podając im go z ręki, głaszcząc i karesując je, obłaskawia młode źrebięta, które napiwszy się mléka macierzystego, uszczknąwszy choćby dla żartu kilka źdźbłów trawy, a potem przegryzłszy to owsem, wyrastają wczesnie na dobre, rosłe i silne konie. Niewątpliwą bowiem jest rzeczą, że w hodowli koni najważniejszém zadaniem jest dobre utrzymywanie koni w 1szym roku ich życia, bo wtedy przyrost ich ciała wynosi 15 cali, w 2gim już tylko 5 cali, w 3cim 3 cale, w 4tym $1\frac{1}{2}$, a w 5tym nakoniec zaledwie $\frac{3}{4}$ cala. Jedną téż z najgłówniejszych przyczyn upadku koni w naszym kraju, jest to tak ogólne złe utrzymywanie stadniny do 4go roku; w lecie bowiem zostawiamy je zazwyczaj na pastwisku, a w zimie na siece, sianie, plewach i tym podobnych karmach, a rzadko kiedy dajemy im ziarna; dopiero gdy koniem pracować zaczniemy, wyznaczamy mu należyty obrok, czasem nawet zbyt, myśląc, że przez to poprawi nam się, lecz to już niewiele pomoże. Wśród tych ogrodzonych pastwisk, znajduje się 10 małych, zgrabnych stajenek, zaopatrzonych każda na 4 konie w obrok i wodę, w które chronią się one przed zbyttem upałem słonecznym, i podczas letnich nocy.

W ogóle zakład ten pod troskliwym kierunkiem p. Eberhardta, jest w kwitnącym stanie, i składa się z 700 koni. Nad korzyściami jakie stado tutejsze sprawia

w kraju, rozvodzić się nie potrzebuje; każdy obywatel zna je doskonale.

Po tak szczegółowém obejrzeniu wszystkich ciekawości janowskich, odwiózł nas p. Alexandrowicz nazad do Konstantynowa, zkąd po miłym wypoczynku, był łaskaw zawieźć nas jeszcze o 1 1/2 mili do Wolki Nosowskiej, będącej własnością p. Ign. Wężyka, a ztąd do wsi Kornicy, niedaleko od piérwszej położonej, a należącój do starostwa łosickiego, dla pokazania nam kopalni wapna. W obu tych miejscach, wypalają dobre wapno z węglanu wapna ziemistego, leżącego od 1 — 3 łokci pod powierzchnią. Według podania miejscowego, bardzo dawno wykopują tu już wapno, i rzeczywiście można śmiało to potwierdzić, patrząc na wiele dużych i dość głębokich jam i lochów, w kilkudziesięciu miejscach porobionych. Wapno to ziemiste, należące do formacji kredowój, znajduje się tak głęboko, że spodu jego nie dokopano się; największą do tego przeszkodą jest woda, zalewająca głębsze jamy, i kosztą wydobywania go z większej głębokości. Ze skamieniałości, znajdują się tu tylko belemity czyli tak zwane strzałki piorunowe, w znacznej ilości, które przy wypalaniu, na doskonałe wapno zamieniają się. Dzierżawca kopalni w Wolce Nosowskiej, płaci rocznie 1200 złp., a w Kornicy 666 złp. 20 gr.

Wróciwszy do Konstantynowa, zwiedziliśmy dokładnie ogród angielski, który jest obszerny i utrzymywany czysto i gustownie. Przebiegłszy kilka ulic szerokich, wijących się między pięknymi trawnikami i klombami, dużemi i małemi, z drzew i kwiatów, weszliśmy raptem do małego sklepienia podziemnego, zkąd wyszedłszy, oczy nasze zmroczone ciemnością jaka w niém panowa-

ła, zostały olśnione blaskiem światła i ślicznością miejsca, które nam się z téj przyczyny urocze wydawało.

Drugiego dnia pobytu naszego w tém miejscu, gdy słońce schyliło swe ogniste promienie ku zachodowi, odesłał nas ten gościnny obywatel do Białej, stolicy powiatu tegoż nazwiska, handlowego i porządnego miasteczka, mającego 3450 mieszkańców, a leżącego o 2 mile od Konstantynowa; ztąd rozstawnemi końmi, pojechaliśmy do małego miasteczka Łomża, jeszcze o 2 mile dalej.

Ztąd ruszyliśmy do Jabłon, dóbr p. Strzyżewskiego, a zarządzanych przez p. Nozdrowicza, bardzo umiejętnego gospodarza, który przychód roczny z tych dóbr podwoił, lecz téż wszędzie panuje tu porządek z akuratnością połączony. Z zabudowań zasługuje na wzmiankę nowy gustowny pałacyk, będący już na ukończeniu, za którym rozpościęra się piękny ogród angielski; budynki gospodarskie są po większej części murowane, śpichlerz o piętrze, stodoły litewskie na sochach; słowem, wszystko okazuje stan kwitnący i porządne prowadzenie gospodarstwa. Owiec jest 3000 wysoko poprawnych; bydło krajowe, uszlachetniane jest szwajcarskiemi buhajami, konie zaś tak cugowe jak i fornalskie, są piękne, rosłe i tłuste. Grunt tu jest jęczmienny Iszój klasy; łąki i pastwiska aż zbyt obszerne (1).

Dotąd mieliśmy czas bardzo sprzyjający; wprawdzie często skwar lipcowego słońca zbyt dotkliwie dawał nam się we znaki, ale za to staraliśmy się południową godzinę przepędzać albo na oglądaniu gospodarstwa do-

(1) Nie wspomniałem jeszcze niektórych ciekawych szczegółów Konstantynowa, Janowa i Jabłonia, dlatego, że je już opisał mój kolega K. Świeżyński, w Bibliotece War. r. 1843, styczeń.

mowego, lub téż na spoczynku, a rankami i wieczorami najwięcej podróżowaliśmy, robiąc od 3 — 4½ mil dziennie; lecz ztąd zaledwo wyjechawszy, spotkaliśmy się z nawalnym deszczem, który uradowany z naszego towarzystwa, odprowadził nas wiernie aż do Horostyty, dóbr p. Szlubowskiego. Grunt tu jest żytni; gospodarstwo trójpolowe. Z fabryk zasługuje na wspomnienie cukrownia, założona na małą skalę, wyrabiająca 4000 korcy buraków; cała fabryka kosztowała trzydzieści kilka tysięcy, same zaś aparata sprowadzone z fabryki Bankowej na Solcu, 25,000 zł. Zamiast pras hydraulicznych do wyciskania soku z buraków, używają tu pras śrubowych po 1200 złp. każda, i wyrabiają dziennie 40 kor. Batardy robią miejscowi ludzie (1), mączkę zaś wyrabia ta fabryka głównie dwojaką: t. j. brunatną, i piękną białą; obiedwie sprzedają do rafinerji sokołowskiéj, piérwszój funt po 26 gr., a drugiej po 40 gr.

Widząc, że się na dłuższą słotę zanosi, wyjechaliśmy w dół, zaledwie osuszeni z piérwszego przemoknięcia. Zatrzymaliśmy się we wsi Brus; p. Jasiński dla słotnéj pory, pokazał nam tylko zabudowania gospodarskie, które są murowane i w porządnym stanie. Gorzelnia jest dosyć obszerna, stodoły litewskie na sochach, a młocarnia ze sieczkarnią połączona, jest całkiem z drzewa zrobiona, niezmiernie uproszczona i na wyłączną zasługuje uwagę: para bowiem dobrych, a cztery gorszych koni obraca manéz, a machina wmyłaca do 20 kóp. Przytém jest ona bardzo tania, i według wzoru może być zrobioną przez każdego dobrego rzemieślnika.

(1) Batardy, sąto wielkie naczynia, kształtu głów cukrowych, w których oczyszcza się sok cukrowy.

Tu dopiero przeczekaliśmy już niepogodę, a przed wieczorem, odwieziono nas do Hańska, ogromnej, ale bardzo biednej wsi. Wszystkie budynki tak dworskie jak włościańskie stare i zbutwiałe, mimo ciągłych i mnogich podpierañ, gwałtem dążą ku upadkowi. Zrażeni biednym wsi widokiem, a nie będąc zmęczeni, ruszyliśmy niebawem do wsi Łowczy na nocleg, będącej na granicy dawnej gubernii podlaskiej i lubelskiej. Podlaskie, a przynajmniej jego strona wschodnia, t. j. okolice nadbużańskie, które zwiedziliśmy, jestto kraj dosyć bogaty i zamójny; grunt po większej części żytni Iszej klasy, urodzaje dobre, szczególnież żyta i jęczmiona udały się tu w tym roku pomyślnie w Lubelskiem, zaś w Sandomierskiem i Krakowskiem, widzieliśmy lepsze pszenice i owsy; łąki i pastwiska bardzo obszerne, lecz często błotniste; lasów nareszcie i zwierzyny jest jeszcze dosyć, a obywatele gościnni. Mylna też bardzo opinia jest, jakoby Podlaskie było niejako wygnaniem Polski, a potwarzają tylko: „co las to leszczyna, co wróbel to zwierzyna, ryby, to karaski, oto szlachciec podlaski.” Ten tylko tak może mówić, co tu nigdy nie był, a ci co tak utrzymują, nie wiedzą zapewne, że Podlaskie jest główną spizarnią Warszawy. Stosowniej byłoby powiedzieć o tej okolicy: łąka, mąka, ryby, grzyby. Jedni chyba włościanie mogliby być powodem tej obmowy Podlasia, są oni bowiem wszyscy wysocy a kościści i chudzy, twarzy długiej, ściągłej, policzków wystających, cery żółto-śniadój, spojrzenia dosyć jeszcze dzikiego, włosów długich i oczów czarnych. Ubiór ich składa się ze sukmany zwykle krótkiej ciemnokasztanowatej lub brunatnej, obcisłych spodni, kurpi i czapki czworograniastej sukiennój, czarnej z barankiem tegoż koloru. Wyznania trzymają się unickiego, a mię-

dzy sobą mówią narzeczem (dialektem) będącém mieszaniną dawnego języka Jadźwingów, polskiego i małopolskiego. Obok tego są dosyć nieporządni, ponurzy i podejrzliwi.

Dotąd szliśmy przez równiny jednostajne i grunta po większej części żytne Iszėj klasy; teraz dopiero dążąc z Łowczy do Stawu w ziemi Chełmskiej, spostrzegliśmy małe pagórki i grunta tęgie rędzinne, od tamtejszych mieszkańców borowiną zwane, w których składzie glina, wapno i czarnoziem mają przewagę i które ciągnąc się rozlegle ku południowi, stanowią sławne swemi urodzajami ziemie hrubieszowską, a dalej wołyńską. Tutaj ujrzelśmy po raz pierwszy osty olbrzymie, przez tamtejszych mieszkańców bodziakami zwane, kapustę wschodnią (*Brassica orientalis*), *Euforbia platefilla*, *Euforbia segetalis*, *Euforbia Exigua*, *Caucalis daucoides*, *Bupleurum rotundifolium*, *Teucrium chamaedris*, *Adonis autumnalis*, *Melampyrum arvensae*. Te wszystkie rośliny oznaczają grunt niezmiernie żyzny i tęgi; to też wegetacya tu różni się od podlaskiej nie tylko jakością roślin, ale jeszcze mnogością tychże i ciemno-zieloną barwą. Osty zwyczajne wyrastają tu dwa razy tak wysoko, jak gdzie indziej.

Pola są tu zasypane skamieniałemi muszlami, zamienionemi w krzemionkę; czasem zdarza się widzieć duże nawet kamienie, składające się z samych muszli, co bardzo piękne sprawia wrażenie; są one raz białego koloru, raz czerwonego, a jako krzemionkowe, są niezmiernie twarde i dobre do wysypywania dróg bitych. Panująca tu formacya jest trzeciorzędna kamienia piaskowego, gruboziarnistego, pod którym spoczywa formacya krédowa, składająca się z opoki krédowej, uży-

wanej do budowli, z kamienia zwanego siwakiem, który daje po wypaleniu dobre wapno, i z właściwej krędy, znajdującą się w ogromnych pokładach pod miastem Chełmem.

Dochodząc do Stawu, przeszliśmy około Dziewiczej góry, składającej się z piaskowca gruboziarnistego, z którego wyrabiają corocznie wiele kamieni młyńskich. Ludowe podanie opowiada nam następującą powieść, o szczególnej nazwie tej góry: Na niej miało stać dawniej zamożne miasto Szczekot; Szwedzi podczas najazdu, zabrawszy parę tysięcy panien, zamknęli je tutaj; lecz pobici później przez Polaków, nie chcąc im oddać żywego łupu, pomordowali wszystkie panny.

W Stawie, należącym do pani Cieszkowskiej, gospodarstwo jest trójpolowe; grunt w ogólności pszenny, tegi, czarny, zwany tutaj borowiną, jest jednak bardzo niejednostajny, tak, że na jednym poletku znajduje się kilka zupełnie odmiennych jego gatunków; pomimo tego, żyta sieją tu tyle tylko, ile na śpiżarnią potrzeba. Główny dochód jest z pszenicy, którąśmy też bardzo piękną widzieli. Jęczmień i owies, z przyczyny utrudnionej na wiosnę uprawy i zanieczyszczenia ziemi owsikiem (*Avena fatua*), rzadko się tu udają. Zabudowania gospodarskie i inwentarze, utrzymują się w dobrym stanie.

Ztąd pojechaliliśmy w kierunku południowo-zachodnim do wsi Stołpia, leżącej nad szosą. Naprzeciw porządnej karczmy, z drugiej strony szosy, wznosi się trzypiętrowa wieża w kształcie równego czworoboku, wysoka około 60 stóp, a każdy jej bok jest szeroki na dwa łokcie przeszło. Cała ta budowla stoi na kopcu, wysokim na parę sążni, od którego ciągnie się jeszcze kawał muru; jeden bok tej wieży, wystawionej z pia-

skowca, już pękł, lecz mimo tego może ona jeszcze bardzo długo stać, gdyż przy jej rozbijaniu, kamienie prędzej pękają, a wapno nie puszcza. Jedni utrzymują, że żąd śledzono dawniej obroty nieprzyjacielskie, i rażono go nawet przez ciskanie z góry ciężarów; drudzy się domyślają, że to jest budynek z czasów przedchrześcijańskich, może świątynia na cześć jakiego bożka; tém bardziej, że w bliskości znajduje się kilka czystych krynic (warunek konieczny u pogan obok ich świątyń); inni nakoniec twierdzą, że Szczek ksiązę Czerwonój Rusi, kochający się bardzo w polowaniu, wystawił tu wśród lasów tę wieżę, a obok niej kapliczkę pogańską, którą potem zamieniono w klasztor; lecz nie widzieliśmy już żadnego śladu budynku. To ostatnie domniemanie jest najpodobniejsze do prawdy; bo dziś jeszcze lasy i góry poblizkie zowią się Szczekotem, albo Szczekawicą.

Od Stolpi do Chełma, jechaliśmy przez las po większej części dębowy, doskonałą szosą, wyłożoną piaskowcem muszlowym (należącym do formacji trzeciorzędnej molassu) skamieniałym, którego obfite łomy znajdują się w górze lasem zarosłej, o kilkaset kroków od drogi.

Na ćwierć mili przed Chełmem, rozciąga się obok szosy, lecz po prawej stronie, między lasem zielona, zachwycająca, choć niewielka dolina, przez którą sący się przezroczysta krynica. Woznica nasz powiedział nam, że to jest *Kumowa dolina*, a przeżegnawszy się, taką nam legendę o niej opowiedział: „Przed dawnymi bardzo czasy, kumowie idąc do kościoła z dzieckiem ażeby je ochrzcić, zatrzymali się w tém miejscu, które wtedy było wielkim gąszczem, dla jakichś złych zamiarów; lecz ich ziemia żywcem pochłonęła, a nazajutrz

miejsonego pod Horstelskiem w roku 1651. Przy kate-

widziano tu już zdroj mruzcący, a w miejsce gąszczu tę dolinkę."

Wjeżdżając do Chełma, zostaliśmy przerażeni widokiem obszernych pogorzeliisk domów, nędzą mieszkańców i w ogóle opłakanym stanem tego miasta. Od burmistrza tamtejszego bardzo uprzejmego, dowiedzieliśmy się o przyczynie i wielkości pożaru, a zarazem byliśmy przez niego oprowadzeni po głębokich podziemiach, wydrążonych pod tamtejszemi domami w skale krédowej. Całe miasto Chełm zbudowane na górze, od wschodu ku zachodowi skłaniającej się, spoczywa na obfitym pokładzie krédy; a że już od bardzo dawnego czasu każdy mieszkaniec wydobywał krédę z pod swojego domu, więc potworzyły się przez to ogromne podziemne sale, z których po wschodach schodzi się do drugiego, a nawet i trzeciego piętra niższego; wszystkie zaś są w czystej krédzie wyrobione. Do drugiego, a tém bardziej do trzeciego piętra niebezpiecznie jest wchodzić, z przyczyny duszącego kwasu węglowego, którego téż tamtejsi mieszkańcy *dusielem* zowią. Teraz jest już wzbronione wszystkim mieszkańcom wydobywanie krédy, bo takie podkopywanie miasta, groziłoby mu niebezpieczeństwem.

Chełm, leżący nad rzeką Uher, nazwany od wysokiéj, wznoszącej się pośród niego góry, należy do najstarszych miast, bo w roku 1101 Włodzimiérz Wielki, miał tu już kościół drewniany wystawić. Do ozdób miasta tego należą: katedra unicka, w której godzien jest uwagi główny oltarz z obrazem Najświętszej Panny Maryi, malowany przez śgo Łukasza, również antepedium srebne z wyobrażeniem zwycięztwa Jana Kazimiérza, odniesionego pod Beresteczkiem w roku 1651. Przy kate-

drze jest seminarjum dla księży Bazylianów. Kościół OO. Reformatów, wybudowany na początku XVIIgo stulecia, jest dość wspaniały i piękny, i w nim znajdują się groby wielu znakomitych mężów, jak Wacława Rzewuskiego, kasztelana krak. zmar. w Siedliszczach w r. 1779 i wielu innych; nakoniec kościółek śgo Ducha, który się już ku upadkowi skłania. Całe miasto było dawniej umocnione i murem bardzo szerokim otoczone, którego ułamki do dziś dnia widzieć się dają; lecz te są tak mocne, że kamienie pękają przy rozbijaniu, a wapno nie puści. Na stronie północno-wschodniej od miasta, wśród bagien i trzęsawisk, wznosi się podobna do wyżej wspomianej starożytnej budowli w Stolpiu; lecz jedna strona téjże jest już całkiem rozwalona, a drugiej połowa.

Ztąd poszliśmy przez miasteczko Rejowiec (które było założone w roku 1574 przez Mikołaja Reja) do Niedziałowic. P. Zgliczyński okazał nam zabudowania dworskie, będące w dobrym stanie, i oprowadzał po polach, gdzie pomimo trójpolowego gospodarstwa, widzieliśmy śliczną pszenicę i bardzo piękne owsy, a mianowicie węgierski i olbrzymi; pierwszy zalecający się plennością i kępiastém rozkrzewieniem, a drugi swym nadzwyczajnym wzrostem; lecz ponieważ z każdego ziarna jedną tylko słomę wypuszcza, wymaga przeto gęstego siewu. Ziemniaki, buraki i tym podobne rośliny okopowe, wymagające głębokiego gruntu, nie udają się, pomimo żyznej ziemi (borowiny); bo na 9 — 12 cali pod warstwą rodzajną, znajduje się już opoka wapienna, łupiąca się łatwo w piękne tafle, i używająca się korzystnie do mурowania. W kilku miejscach wydobywają tu siwak wapienny, z którego przednie wapno wypalają.

O ćwierć mili ztąd na górze stromiej, wśród lasów do dóbr Krupe należących, wznosi się starożytna budowa przez ludzi miejscowych Grobiskiem zwana, której dawności wystawienia nikt z pewnością nie wie. Jestto budynek czworograniasty, wysoki około 20 łokci, a którego każdy bok ma 24 stóp szerokości; na tych ścianach spoczywa piramida mogąca mieć 30 łokci wysokości, zakończona kamieniem ciosowym. Wewnątrz są sklepienia z arkadami, już na kilka stóp od ziemi zasypane. Ten budynek jest wymurowany z cegły bardzo twardej, z takiej, jakiej już teraz nie widać, i z opoki wapiennej, a może jeszcze długie lata przetrwać. Miejscowi ludzie powiadali nam, że to jest dawny grób aryauński, i że lochy podziemne ztąd prowadzą do starego zamku we wsi Krupe, o pół mili dalej będącego. Część tego zanku była wystawioną w roku 1375 przez Krupskich herbu Korczak, którą Samuel Zborowski odnowił i wzmocnił przez opasanie potrójnym walem, potrójnemi przekopami wodą zalanemi; jego następcy w roku 1608 przybudowali tu drugą część zamku, jak o tém świadczą napisy dużemi literami na ścianach, nad pierwszym piętrem. Dziś jeszcze widzieć można ogromne ściany, gdzieniegdzie nawet sklepienie i jedną wieżę; a sądząc po tych zwaliskach, byłto zamek nie tylko obronny, ale nawet bardzo obszerny i wspaniały.

Dążąc do Klemensowa, przeszliśmy w kierunku południowo-wschodnim, przez miasteczka Krasnystaw, Izbicę i Tarnogórę. Dochodząc do Krasnegostawu, stolicy powiatu tegoż nazwiska, przeszliśmy po porządnym, dużym moście, wystawionym na rzece Wieprzu, który o milę poniżej pod wsią Stężyczką zaczyna być splawny. Kazimiérz W. miał kazać wykopać duży staw w tém

piękném miejscu, i od tego pochodzi nazwisko tego miasta. W roku 1569 miało tu już być 205 domów; dziś jestto miasto pięknie zamurowane i wesole, ma przeszło 3000 mieszkańców, a ozdobione jest wspaniałym kościołem katedralnym pojezuickim, drewnianym kościołem i klasztorem ks. Franciszkanów i Bonifratrów, i dwiema cerkwiami unickimi. Z dawnego zamku tu-tejszego widzieliśmy tylko szczątki.

Izbica jestto małe miasteczko, mające 1700 mieszkańców, a zamieszkałe głównie przez żydów, podobnie jak i Tarnogóra, która była założona przez Jana Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana W. koronnego w roku 1570; miasteczko to wkrótce zakwitło i posiadało do 230 domów, dziś jednak znacznie upadło. Oba miasteczka oblane Wieprzem, rozpościerają się wśród żyznych gruntów, obszernych łąk i pięknych widoków.

W Klemensowie wznosi się obszerny pałac wśród rozległego i pięknego ogrodu, zbudowany przez Teresę z Michowskich Zamojską wojewodzinę lubelską, w roku 1750, i od jej syna Klemensa nosi swoje nazwisko; dziś wraz z dobrami należy do ordynacyi Zamojskiej, od której Andrzej hr. Zamojski trzyma je w dzierżawie. Obok pałacu stoi wspaniała oranżerya; posiada ona bardzo wiele kwiatów i drzew rzadkich, jednak najbardziej zwróciły naszą uwagę olbrzymie drzewa cytrynowe, jakie w naszym kraju rzadko widzieć można. Ogród dzieli się na angielski i owocowy; obydwą są obszerne i piękne, każdy w swoim rodzaju; lecz ostatni jest szerokim i wysokim murem opasany, przy którym wije się kręto wino, a morele i brzoskwinie hojnym corocznie okrywają się plonem. W samym Klemensowie niema nic

do nważania pod względem gospodarskim, bo tu jest tylko pałac i ogród; poniżej dopiero w dolinie poza Wieprzem, rozpościérają się obszernie zabudowania gospodarskie. Włościanie tu są już czynszowani od 12 lat, podług tabeli prestacyjnój, rachując dzień pieszy po gr. 15, a ciągly złp. 1; mieszkają oni w porządnym chałupach, i są w dość zamożnym stanie.

Rządca tych dóbr p. Łączkowski, gospodarz bardzo oświecony i czynny, również p. Brandt jako i p. Tomorowicz (były uczeń Instytutu Gosp. Wiejs. i Leśn. w Mar.) którzy się zarządem tych dóbr bardzo gorliwie zajmują, dołożyli wszelkich starań, ażeby to gospodarstwo, należące słusznie do najwzorowszych w naszym kraju, we wszystkich szczegółach nam okazać. Dobra te składają się z trzech folwarków, a na każdym zaprowadzone jest inne zmianowanie, zastosowane do gatunku ziemi.

Na folwarku Michałowskim kolój jest dziewięciopolowa, t. j.: 1) na świeżym nawozie buraki, ziemniaki, brukiow, rzepa, marchew i t. p. w rzędowój uprawie; 2) pszenica jara albo jęczmień z koniczyną; 3) koniczyna skoszona i pastwisko; 4) koniczyna na paszę; 5) pszenica i owies naprzemian; 6) wyka na nawozie; 7) pszenica ozima; 8) wyka i bobik; 9) pszenica lub żyto. W Deszkowicach gospodarstwo jest siedmiopolowe, a mianowicie: 1) na nawozie bobik; 2) pszenica ozima, w tę sieje się na wiosnę koniczyna lub marchew, i zabronowywa się; 3) i 4) koniczyna; 5) owies; 6) wyka na nawozie; 7) pszenica. W Górach zmianowanie jest dziewięciopolowe. Grunt jest średniej dobroci, miejscami trochę sapowaty; w Górach jest najlepszy glinkowaty. Uprawa ziemi w ogóle jest bardzo dobra, pola

wyglądają niemal jak ogrody, a koszta łożone na uprawienie ziemi, zwrócą się hojnie obfitemi plonami, które nas aż zadziwiły. Z narzędzi i machin gospodarskich, widzieliśmy: pługi kształtne z żelaznemi odkładnicami, radła zwyczajne, radła calcami zwane, służące do kruszenia ziemi pod warstwą rodzaju będącej, plużki angielskie do oborywania ziemniaków, inne do worywania tychże, extyrpatory większe i mniejsze, znaczniki, brony żelazne i drewniane, sieczkarnią angielską krającą bardzo szybko buraki, ziemniaki i t. p. na paszę dla inwentarza; młynki rozmaite do wiania zboża, do gniecenia ziarna na osypkę; siewniki różne, młocarnią czterokonną przewozową, którą 6 wołów wraz z manezem przewieźć mogą, a która jednak mało miejsca zajmuje; sikawki dogodnie nietylko w czasie pożaru, ale i do ogrodu, a nawet do mycia owiec, podług nowój metody; kadzie z przedziałami do karmienia wieprzy, i bardzo wiele jeszcze innych narzędzi, których wyliczenie zanadto czasu zabrałoby.

Inwentarze są bardzo piękne; główną jednak rolę grają konie. Przed kilkoma laty, p. A. Zamojski sprowadził z Anglii ciemno-kasztanowatego ogiera Recovery (pochodzącego z matki po Rubens-Mare, a z ojca po sławnym Emiliusie, który jest potomkiem sławnego Eclipse'a) i 4 klacze gniade angielskie czystej krwi. Ogier wyżej wspomniany kosztował 30,000 złp. (mimo tego, że miał gdy go sprowadzono już 16 lat), a każda z klaczy po 10,000; ale co téżto są za konie, a szczególniej Recovery! Oko wielkie jaskrawe, ciska błyskawice na wszystkie strony, głowa mała i sucha, nozdrza ogromne, zdaje się, że ogniem płoną, noga cienka, lecz muskularna; słowem, każda część ciała jakby utoczona,

mogłaby służyć za wzór dla malarzy (1). Obok rączności i szybkości jego, bo w Anglii stawał on w szrankach koni wyścigowych i chwalebnie z nich wychodził, i obok nadwyzwyczajnej ognistości, jest jednak dosyć łagodny. Obywatele chcący go używać do swych klaczy, opłacają po 400 złp., lecz to nie jest zbyt wielka suma, zważając, jak ten koń przelewa wiernie swoje przymioty na potomstwo, tak, że go można odrazu poznać we wszystkich źrebiętach; za jego ojca Emiliusa, płacono w Anglii po 100 dukatów z górą od klaczy.

Oprócz wyżej wspomnianych 4 klaczy czystej krwi, widzieliśmy jeszcze 7 innych pół krwi, wszystkie zaś razem nie pracują nic, tylko chodzą w lecie ze źrebiętami po pastwisku. Całe stado składa się z 72 koni, a każdy stoi w osobnej klatce; hodowla źrebiąt jest tu wzorowo prowadzona, a do wyścigów przeznaczono 7 koni, które małe żokieje z trennerem co dzień ujeżdżają. Ogólnym zawiadowcą tych koni jest p. Messenger; dostaje on rocznie 4,200 złp., a trenner bierze 2,000 złp. i ordynaryą, wynoszącą do 1,000 złp., Oprócz tych dwóch jest jeszcze wielu małych żokiei; lecz też za to każdy koń ślicznie wygląda, każdy jest w miarę tłusty, lśniący łagodny, chociaż ognisty z przyrodzenia. Wreszcie, co jest rzeczą dosyć rzadką, fornalki nawet tutejsze są tak piękne, tłuste i dobrze utrzymane, jak nam się w całym kraju podobnych widzieć nie zdarzyło.

Bydło dawniej było żuławskie, teraz uszlachetnia się szwajcarskimi buhajami. Niedawno sprowadzono z Szwajcaryi ogromnego buhaja i śliczną krowę, oboje

(1) Widzieliśmy w Klemensowie pięknie wykonany rysunek tego konia, załączony do dzieła angielskiego, opisującego jego rodowód i biografię.

pstrokate, za 3,100 złp. Wsszytko było ślicznie wygląda; bo od młodości będąc doskonale karmione, wyrasta większe i silniejsze, a później daje więcej i tłuszcieszego mléka. Krowy dostają w zimie siano, ziemniaki i osypkę, jałowizna mieszankę z brukwią, a woły gnieciony bobik. Z wsszytkiego mleka wyrabia miejscowa Angielka doskonale sery szwajcarskie, holenderskie, angielskie i t. p., przez co dochód z każdój krowy przeszło 100 złp. wynosi.

Jak końmi i bydłem, tak téż i owcami celuje gospodarstwo klemensowskie; są one po większój części czystej krwi, a w zimie dostają prócz siana, surowe ziemniaki w wodzie moczone.

Po półtoradniowym miłym i niezmiernie nauczającym tu pobycie, ruszyliśmy już prosto w Sandomiérskie, przez Szczbrzeszyn, Zwierzyniec, Frampol, Janów, Modliborzyce, Zaklików, Irene i Borowę do Zawichostu.

Szczbrzeszyn nad rzeką Wieprzem, handlowe i starożytne miasteczko, jest o pół mili od Klemensowa odległe. Należy ono do ordynacyi Zamojskiej, a odznacza się swoim liczném gimnazyum, pięknym murowanym kościołem farnym i ogromnym klasztorem Panien Miłosiernych, który jednak bardzo opustoszał. Mieszkańców tu jest 4,000.

W Zwierzyncu, wsi do ordynacyi należącej, byliśmy zbudowani mnogością i rozmaitością zakładów różnych, tak technologicznych, jak i rzemieślniczych. Między piérwszemi odznaczają się obszerne gmachy gorzelnicze z dystylarnią i browary, w których wyrabiają porter dubeltowy i zwyczajny, jako téż piwo angielskie, bawarskie i t. p. P. Neill wydzierżawił od ordynacyi te zakłady, i płaci z nich 10,000 złp. rocznie. Pod temi zabu-

dowaniami, rozciągają się obszerne piwnice, zaopatrzone sownie w krocie butelek, i mnóstwo okseftów napelnionych trunkami.

Opodal od browarów, mieszczą się obok siebie różne warsztaty rzemieślnicze, wyrabiające narzędzia i maszyny gospodarskie; można tam widzieć stolarzy, stelmachów, kowali, ślusarzy i t. p., a wszyscy wykonywają swoje czynność żwawo i biegle. Onito zaopatrują znaczną część kraju we wzorowe młocarnie i siewkarnie, doskonałe pługi, radła i t. d. Dążąc ze Zwierzyńca do Frampola, widzieliśmy łomy pięknego ciosowego kamienia przy wsi Trzęsinach, należącego do formacji trzeciorzędnej. Odtąd przechodziliśmy aż do byłej gubernii sandomińskiej, przez grunta mniej więcej równe i piaszczyste; tu już nie widzieliśmy tych pięknych widoków, jakie nas począwszy od Chelma ciągle zachwycały.

W Janowie godny zwiedzenia jest klasztor OO. Dominikanów, którego fundacją Jan Zamojski wojewoda sandomiński zatwierdził w roku 1660. W roku 1780 było tu 290 domów; dziś to miasto podnosi się przez swoje znaczne fabryki sukna.

W Irenie zatrzymaliśmy się dla zwiedzenia znakomych zakładów żelaznych rządowych. Dla braku rudy żelaznej, sprowadza się ją o milę, z Ostrowca. Najgodniejszą uwagi jest ogromna pudlingarnia, mająca dwie maszyny parowe; corocznie wykuwają tu bardzo wielką ilość szyn różnego rozmiaru. Patrząc na te ogniste piece, wśród hałasu i pisku nasunęły mi się te wiersze mimowolnie:

Te dymne budy,	Tych miechów wycie,
Te czarne ludy,	Tych młotów bicie,
Te lawy wrzące,	Grzmoty, piszczenie,
Tych kół tysiące,	Ze aż sklepienie
Bicie, łamanie,	Niebiosów pęka,
Darcie, stapanie;	A ziemia stęka.

Lubelskie w ogóle jest bogatą i żyzną prowincją, jednak jego część północna i wschodnia słynie urodzajnością ziemi, gdy tymczasem okolice południowo-zachodnie są nieco piaszczyste; przytém część ta Polski będąc wyżej położoną od Podlaskiego, nie ma już tyle bagien, i z tego powodu łąki i pastwiska, których jest dosyć, są doskonałe. Na lasach téż nie zbywa, i drzewo jest tanie, a idąc ze Zwierzyńca do Frampola, widzieliśmy w lasach do ordynacyi należących piękne buki. Włościanie mówią czystą, do piśmiennój zbliżoną polszczyzną, i mają się niezłe; szczególnież w ordynacyi, gdzie od kilku lat będąc oczynszowani, co dzień stają się zamożniejsi.

(Dokończenie nastąpi).

Iabelskie w ogóle jest bogate i żywy prowincja. Je-
-dok jego część północną i wschodnią prawie wrobiają-
-szą ziemie, gdy tymczasem okolice południowo-wschod-
-nie są nieco piaszczyste; przeto w części tej Polaki będąc
-wtedy położeni od Podlaskiego, nie ma już tyle bagien,
-i z tego powodu są do dzisiaj

SZEKLERY I ICH KRAINA.

nie są bogate (z ANGIELSKIEGO).
-sach do odbywania należących niekiedy. Włoszczynie
-mówią czysto do siebie, jakby mówili, i mają
-się między sobą, szczególniej w odbywaniu, gdzie od kilku lat
-będąc oczyszczaniem, co dzień stają się rozmniejszają.

Opuszczając Klausenburg, zwróciliśmy naszą drogę do
-wschodnich i południowych stron Siedmiogrodu, do
-dwóch dystryktów, zamieszkałych przez Szeklerów i Sa-
-sów. Gdy Madziarowie przybyli do Węgier, zastali już
-Szeklerów w teraźniejszych ich siedzibach; a ponieważ
-bardzo podobny mają z nimi język i pochodzenie rodo-
-we, otrzymali od nich liczne przywileje, jakich nie da-
-no innym pierwotnym mieszkańcom tego kraju. Szekle-
-ry otrzymali zupełną swobodę, pod warunkiem strzeżenia
-wschodniej granicy.

Szeklery utrzymują, że pomiędzy sobą od najdawniej-
-szych czasów wszyscy byli równi, wszyscy wolni, wszy-
-scy szlachtą. W początkach nie było stanów uprzy-
-wilejowanych; jedna tylko pomiędzy nimi była różnica,
-a ta powstawała z nierówności majątków; i dlatego bo-
-gaci dostarczali więcej uzbrojonych ludzi na wojnę, ubo-
-dzy zaś stawali sami pod chorągwie konno lub pieszo.
-Ale w ciągu tak wielu wieków niemało zaszło u nich
-zmian; zwolna zaprowadzili bogatsi i potężniejsi mie-
-szkańcy w swych posiadłościach systemat panujący w in-

nych częściach Siedmiogrodu, i teraz znajdujemy w kra-
inie Szeklerów chłopów i właścicieli ziemskich; później
rozdano hojnie po całym kraju tytuły i dyplomata szla-
chectwa, a od pewnego czasu uważają mieszkańcy za
ujmę, kto je nie posiada. Płacenie podatków wywarło
wielkie zmiany na stosunki socyalne, jak i systematy-
czne strzeżenie granicy, w miejscu pierwotnie ledwie
znaczącej służby. A że wszystkie te zmiany były zapro-
wadzone bez ich zezwolenia, uważają je Szeklerowie
jako nieprawne, i z téj przyczyny stanowią oni w Sie-
dmiogrodzie ludność najwięcej nieukontentowaną.

Od rzeczy byłoby rozbiierać ich prawa i ustawy, po-
nieważ najslynniejsi u nich uczeni wyznają, że wśród
téj gmatwaniny, nie rozumieją je nawet sami dobrze.
Ile mi wiadomo, utrzymują, że każdy Szekler rodzi się
szlachcicem, a tém samém gdyby miał zachowane wszel-
kie przywileje, nie płaciłby podatków, ani pełniłby słu-
żby wojskowej prócz w wypadkach, kiedy całą szlachtę
zawezwie król do pospolitego ruszenia. Wiadomo mi
nadto, że są pomiędzy niemi hrabiowie i baronowie,
mieniący się magnatami; dalej, że jest szlachta z dyplo-
matami i ludzie wolni bez tychże, a nadto straż grani-
czna i chłopci; że wolni ludzie i szlachta, którzy mają
tylko dwóch chłopów, płacą podatki, chociaż z innéj
strony mają prawa równe z istotną szlachtą.

Nie wiedzieliśmy o tém wszystkiém, gdyśmy z Klau-
senburga wyjeżdżali. Rozmawiając z Węgrami, zawsze
opowiadali mi oni, że cała ludność Szeklerów składa
się ze szlachty; wjeżdżając więc do tego kraju, rozumie-
liśmy, że się będziemy znajdować w narodzie mającym
równe prawa i przywileje, gdzie niemasz ucisku wła-
ścicieli ziemskich, gdzie nikt nie płaci podatku. Taki

stan wystawialiśmy sobie, i nasza ciekawość rosła w miarę zbliżania się do tego kraju; chcieliśmy uważać wpływ takich urządzeń na stan ludzi. Poznawszy jednakże istotne położenie rzeczy, przekonaliśmy się, że Szeklery aczkolwiek mogli być wszyscy równi i szlachtą, i że chociaż teraz roszczą sobie do tego prawo, takiego jednak stanu rzeczy niéma już u nich, nie wiem od jak wielu wieków.

Jechaliśmy po jednej z najciekawszych części ziemi siedmiogrodzkiej, przez tak zwany *Mezöség*. Jestto kraina znacznej rozległości, nadzwyczajnie żyzna, a pomimo tego z niezmiernie nędznymi mieszkańcami. Ludność składa się po większej części z nieoświeconych Wołochów, których ubiór, domy, są gorszymi aniżeli innych mieszkańców Siedmiogrodu. Pogląd na przyrodę w *Mezöség* równie jest szczególnym, jak i na stan jego ludności. Jestto bowiem jedyna kraina górzysta, niemająca ani jednej malowniczej okolicy. Jechaliśmy ciągle z góry na dół i znowu na górę; co krok natrafialiśmy na okolicę okrytą brunatną paszą, spaloną od słońca, bez drzewa coby cień dawało, i bez wody. W tym kraju tak ubogim w powaby przyrody, domy wiejskie bardzo są rzadkie, i zdaje się, że *Mezöség* jest kraina zapomniana od przyrody i ludzi. Wiele jest jednakże podobieństwa, że wkrótce zostanie więcej poznany; po zaprowadzeniu bowiem poprawnego chowu owiec, rozległe jego pastwiska nabierają coraz większej wartości, a nadto odkrycia w różnych stronach węgla kamiennego (?), otworzą przewidującemu spekulantowi obfite korzyści.

Drugiego dnia w samo południe, przybyliśmy do *Maros Vasarhely*, stolicy kraju Szeklerów, i wprost udaliśmy się do profesora Dosa, przyjaciela naszego towa-

rzysza podróży barona W...s, który z wielką uprzejmością ofiarował nam się za przewodnika. W mieście małe domy a szerokie ulice, nie nadają mu wspaniałego wejrzenia; Maros Vasarhely jest jednakże ważnym punktem, w ziemie bowiem zbierają się tu licznie okoliczni obywatele. Katolicy i protestanci mają tutaj oddzielne kolegia czyli szkoły; do nich pierwszych uczęszcza 300, drugich 800 uczniów. Zakłady te naukowe, nadają zebranemu towarzystwu pewną barwę literacką. Maros Vasarhely jest stolica najwyższego sądu siedmiogrodzkiego, tak zwanego *stołu królewskiego*, przy którym jest najwyższa szkoła prawa krajowego. Każdy prawie młodzieniec szlachcic, zamierzający nieść usługi krajowi, jak i wszyscy prawnicy, którzy ukończyli zwyczajne kursa prawne, muszą tutaj aplikować w sądach, i tych nazywają zwykle *juratami*.

Miasto to szczyci się głównie piękną biblioteką, założoną przez kanclerza Teleki, od którego nosi swą nazwę; zapisał ją familii swojej z warunkiem, aby ciągle stała otworem powszechności. Biblioteka ta składa się z 80,000 tomów, ustawionych w bardzo pięknym budynku, z wzorowym porządkiem. Jest w niej nieustannie otwarta sala, gdzie przychodzić może czytać każda żądana a znajdującą się książkę. Dla utrzymania biblioteki w stanie przyzwoitym, złożone są osobne kapitały; familia ta ciągle powiększa zbiór ten, w miarę swój możliwości. Zdobi ją głównie szczególnie bogaty dobór klasyków greckich i łacińskich, w których szczególnie kochał się kanclerz, mąż pełen rozległych a obszernych wiadomości. Zaczął ją zbierać nie mając więcej jak lat 20, i to w czasie wolnym od zatrudnień urzędowych.

Pomiędzy osobliwościami bibliograficznymi, pokazywano nam biblię Iacinińską z licznymi obrazkami i winietami, pisaną na liściach. Niéma wątpliwości, że ta materia nie była papirusową; mnie się zaś wydawało, że to jest bardzo cienki papier welinowy. Znajdowała się też kopia z manuskryptu Serwatusa, dotąd nieogłoszonego dzieła; spostrzegliśmy jednakże, obróciwszy tytułową kartkę, przytoczenie z dzieła drukowanego w Londynie, tegoż autora. Widzieliśmy piękny rękopis Tacyta, pochodzący z biblioteki Macieja Korwina, w pysznej oprawie, jak wszystkie książki z biblioteki tego króla.

Oprowadzono nas potem po kassynie, które wydawało się nam w stanie kwitnym, jako dobre urządzone zakłady; liczy ono dwieście członków. Ponieważ wielka liczba uczniów nie jest majątną i nie może opłacać składki, a professorowie życzą sobie, aby ci jak najwięcej mieli sposobności uczęszczania tutaj, dla obznajmienia się z użytecznością podobnych zakładów; otworzony został wolny wstęp miesięcznie sześciu uczniom, do którego dobrodziejstwa przypuszczeni, smieniają się kolejno.

Pokazując nam professor stary gotycki kościół, stojący w samym środku twierdzy, dodał, że za panowania Maryi Teresy kościół ten prawie zupełnie zniszczył, ponieważ wtedy niewolno było naprawiać świątynie protestanckie. Józef II dopiero przełamawszy przewagę stronnictwa bigotów, dał pozwolenie protestantom w Vasarhely pokryć dachem ten kościół.

Następnego dnia przejeżdżaliśmy po kraju górzystym, dość pięknym, obsianym licznymi wioskami, zupełnie do siebie podobnymi, aż do *St. Gorgy*, wioski leżącej nad *Kis Kükullo* czyli małym *Kokel*, rzeką, o której już

dawniej słyszeliśmy, bo na jój brzegach rosną wyborne wina. Powiadano nam, że tam będzie karcama, w której znajdziemy czém nakarmić konie i sami się posilimy. Zastaliśmy wprawdzie karcznię, ale biedna gospodyni oświadczyła, że nie ma nic więcej prócz suchego chleba, a co gorsza, nie było owsa dla koni. Służący pomimo tego wyprzęgli konie, a gdym się pytał, co by to znaczyło, zatrzymywać się przed domem, w którym niema nic ani dla ludzi, ani dla koni; uśmiechnęli się i odpowiedzieli: że trzeba sobie radzić, jak można najlepiej. Na końcu wioski stał wielki dwór; nasz stangret udał się prosto do niego z prośbą do zarządcy, by odstąpił nieco owsa. Po drodze dostrzegł Miklosz parę kur chodzących, i wróciwszy, przyniósł je wraz z ich jajami. Szczęśliwy traf chciał, że nasza służba знаła się na sztuce kucharskiej; i gdy jeden robił omlet, drugi sporządzał zupę jajkową i parę smażonych kur. Niema lepszego obiadu, jak kiedy trzeba kontentować się tém, co jest. Ciekawy jestem, jakby sobie pomógł doskonały angielski kamerdyner w tak trudném położeniu?

Według następującego planu ułożyliśmy sobie zwiedzić kraj Szeklerów: najprzód zamierzaliśmy poznać kopalnie soli przy *Szowata*, potem przez *Udvarhely* udać się do dóbr naszego przyjaciela, zamtąd zrobić małą wycieczkę do sławnej jamy w pobliżności leżącej, a dalej wjechać do kraju Sasów i obejrzeć tam dwa wielkie miasta: *Kronstadt* i *Hermanstadt*.

Trzymając się wytkniętego planu, udaliśmy się ponad małym *Kükullo*, prawie aż do jego źródła, piękną a dobrze uprawianą doliną, której ziemia chociaż z przyrodzenia nie jest żyzną, wydaje jednakże dobre plony. Szeklery zamieszkują kraj górzysty, i dlatego są ubodzy; je-

dnak łatwo było dostrzedz, że są czynniejsi od wszystkich narodów siedmiogrodzkich. Rozważając to wszystko, com słyszał o ich charakterze, znajdowałem, że najwięcej mają podobieństwa do Szkotów. Taż sama dumna, toż samo ubóstwo, ten sam duch przedsiębiorstwa, i jeżeli jest prawda, odznaczają się tą samą interesownością. Mówią narzeczem madziarskiem, mało co odmiennem od zwyczajnego języka, którym mówią Węgry; ale właściwie przeciągają w wymawianiu. Podobnie jak Szkoci, nie mają ani wykształconych, ani wytworniejszych obyczajów; w czem nawet bogatsza klasa nie odznacza się. Równoważą jednakże tę ujemną stronę obszernie wiadomości, i zamiłowanie swych zasad politycznych. Podobnie jak Szkoci, starannie wychowują swe dzieci; mało jest wiosek bez szkół, i mało Szeklerów nieumiejących czytać i pisać. Chociaż należą do rozmaitych wyznań, każde trzyma się nader ściśle swych zasad (1); unicy stosunkowo są najliczniejsi, bo mają w krainie Szeklerów około 100 kościołów. Z wyjątkiem żydów i Greków, wszystkie wyznania mają jednakowe prawa.

Nad wieczorem przybyliśmy do Szovata, a że tutaj nie można było przenocować, kazaliśmy szukać przewodnika, aby obejrzyć cokolwiek, zanim się zciemni. Niemało trudności trzeba było pokonać, tém bardziej, że tutaj pojawiła się właśnie cholera, a pierwszą jej ofiarą był jeden z celniejszych włościan tej wioski. Przybyliśmy więc niechęć na pogrzeb, a ponieważ obyczajem jest u Szeklerów upijać się przy podobnych obchodach, by utłumić smutki, zastaliśmy całą wieś w niezwycajnym sta-

(1) Katolicy są podwójni: ormiańscy i greccy.

nie. Przypadkiem znalazł się jeden trzeźwy, który nas poprowadził przez wieś do pagórka, widzianego już z pewnej odległości. Niechże sobie kto wystawi nasze zdziwienie, gdy przybliżywszy się, patrzeliśmy na skałę z soli! Dodam, że nasza zielona góra była czystą solą skalistą; przyjrzawszy się jęj zblizka, przekonaliśmy się, że była tak czystą jak śnieg; wierzchołek tylko, a w części boki, pokrywała glina, na której rozwijała się bogata roślinność trawy i drzewa. Mały strumyk trzeba było przejść, aby się dostać do pagórka, i tam czekał nas bardzo szczególny widok; nietylko jego brzegi, ale w nim leżące kamienie, wzniesione nad wody, okrywały się skorupą białych kryształów, jakby szronem, i pomimo ciepłych promieni jesiennego słońca, nie uwierzyłem, że jest szronem, aż go posmakowałem. Tutaj pilnowała nas warta, i tak długo była w naszej bliskości, dopóki staliśmy przy górze. Wartują bowiem całą górę, aby zapobiedz chłopom kradzenia tak pońętnego minerału. Ten pokład soli, rozciągający się dosyć znacznie, jest zupełnie bez użytku, a potrzebną sól w okolicy, sprowadzają z *Parayd*, kopalni kilka mil ztąd odległej. Pomimo niezliczonych wart, kradną jęj bardzo wiele. I w rzeczy samej, nadzwyczajna musi to być pokusa dla biędnego człowieka, widzącego jedną z pięrszych potrzeb życia, za którą drogo trzeba płacić, w tak nadzwyczajnie wielkiej obfitości; tylko trzeba się schylić aby ją otrzymać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, sami strażnicy najwięcej przyczyniają się do kradzieży. W tęj okolicy nieskończenie wiele jest soli; miejscami chłop potrzebuje tylko przed domem odmieść śmiecie, a znajduje zaraz sól. Wielu utrzymuje, że w samym Siedmiogrodzie

na się zmyślono bieżącą zaledwie i zmyślono

tyle jest soli, że przez kilka tysięcy lat możnaby nią całą Europę zaopatrywać.

Gdyśmy się przybliżyli, widzieliśmy rosnącą kukurydzę na skale z soli, której łodygi i kicie były tak piękne, jakby rosła na najlepszej ziemi; nie mogliśmy także dostrzedz widocznej różnicy pomiędzy roślinami rosnącymi na soli, i na zwyczajnej ziemi. Oglądaliśmy kilka sterczących skał arcy pięknych; na niektórych porobił dęszcz rowki, a z nich sterczą ostre słupy, okryte białymi świecącymi kryształami soli, mające podobieństwo do małych minaretów w gotyckich świątyniach. Na drugiej stronie góry, opowiadano nam, że się znajdują nierównie wyższe a piękniejsze skały; ale do tego potrzeba było godzinę czasu, a już się zciemniło. Następnego dnia zamierzaliśmy je zwiędzić, ale tak mocny dęszcz padał, że tego niepodobna było wykonać.

W czasie nieobecności naszej, dowiedzieli się włościanie o nazwisku jednego z naszych przyjaciół i towarzyszu podróży, którego Szeklerowie namiętnie kochają. Wróciwszy do wioski, z największą trudnością udało się nam wyjechać; ci gościnni ludzie prawie nas zmuszali do zostania, zapraszając do domu właśnie co zmarłego, i do jego opuszczonego łoża.

Nie wiem istotnie, jakie pojęcie mają Szeklerowie o wygodnej karczmie; jednakże to mam przekonanie, że to zupełnie coś innego znaczy, aniżeli u reszty cywilizowanego świata. Omyliliśmy się dnia dzisiejszego dwa razy: rano dowiedzieliśmy się, że wygodna karczma znaczy pusta izba, w której niema nic do jedzenia. Wszyscy opowiadali, że w Parayd zastaniemy wyborne przyjęcie, dlatego więc łoża zmarłego nie przyjęliśmy, i z największą pewnością udaliśmy się ku

wymienionemu miejscu. Niestety sroga była omyłka, zastawszy prózną izbę i alkierzyk! Jeszcze nie wysiedliśmy gdy nam oświadczono, że pokój jest zajęty, i tylko alkierzyk jest do oddania. Siedział w nim szczęśliwy posiadacz pokoju w rogu przy stole, i właśnie według naszego domniemania, kończył swoją wieczerzę, składającą się z kawałka chleba z sérérem owczym. Nieznajomy ofiarował nam uprzejmie za pierwszym powitaniem większy pokój. Był to stary oficer straży granicznej szeklerskiej, który powiadał, że w komórce się zmieści; a gdyśmy się o wieczerzę pytali, potrząsł głową i wskazując na sér, chléb i butelkę bladego wina, pewnie kwaskowatego, zawołał: *Miseria cum aceto!* i nic więcej. Tyle można powiedzieć o wygodnej siedmiogrodzkiej karczmie.

Nie wątpię, że Szeklerowie obok tylu wybornych przymiotów, nazywają to, co my rozumiemy wygodą, przesadzonym zbytkiem, i inne o niej mają pojęcie. W domach mniejszej szlachty, widać mało zamięłowania wygod i ochędóstwa, Nieraz pochodziło to może z ubóstwa, a natenczas nie można przeciw temu nic powiedzieć; ale często widywałem mnóstwo świecideł wśród brudu i niedbalstwa.

Ile było można unikaliśmy domów prywatnych, bo W również wielki miał wstręt jak my do szukania gościnności u nieznanym osób, a do tego większa część Szeklerów mówi tylko po madziarsku: ztąd też nie mogliśmy się z nimi bliżej rozmówić, ani czegokolwiek dowiedzieć i zabawić się. Pomimo tego, nieraz byliśmy do tego zmuszeni, i jeden z takich przypadków opiszę. Otoż raz zaprowadzono nas do wielkiego i pięknego domu; pokój gościnny i buduar były przepelnione mo-

dnemi meblami; pani domu ubrana pięknie a nawet pysznie; całe urządzenie domu odznaczało się starannością, tak rzadko przytrafiającą się w tych górach. Jednak z pokoju przeznaczanego nam na nocleg, powzięliśmy inne wyobrażenie o wewnętrznym zarządzie domu; pół tuzina szyb w pokoju było wytłuczonych, meble najmizerniejsze, podłoga do najwyższego stopnia brudna; a co do łóżek, nie zachodziła najmniejsza wątpliwość, że prześcieradeł oddawna nie zmieniano. W* obrzydził je sobie tak dalece, i tak był rozjątrzonem, iż tym sposobem przyjmowano obcych, że niemało mieliśmy pracy, aż się dał namówić abyśmy przenocowali. Po uspokojeniu się, kazał zdjąć brudną pościel, wyrzucić ją z pokoju i pościel naszą własną przynieść; dopiero rano wymogliśmy na nim przyrzeczenie, że nie wyłuduje gospodarza, za tak nieczystą gościnność. Lecz wróćmy do Parayd.

Ta niegościnność w oberży, nie zmieniła wszakże wesołego usposobienia umysłu, i z niezmiernym apetytem połykaliśmy czarny chleb z terpentynowatym serem; tutaj bowiem obwijają go w korę świerkową, dla dodania mu przysmaku terpentynowego; a gdy Mikloszowi przyszło do głowy, że mieszanina wódki zwyczajnej krajowej z cukrem i gorącą wodą, może odpowiedzieć napojowi angielskich majtków, który grogiem nazywają, i gdy radując się nad szczęśliwą myślą, przybył z wielkim dzbanem dobrze pachnącego, według jego zasad złożonego płynu, wraz z tureckimi fajkami; prawie w nas wzmówił, że nasza szeklerska karczma jest wyborną. Tymczasem większą część stogu siana zniosła służba do izby, i całą podłogę okryła warstwą siana; na to ułożyła poduszki i okryła prześcieradłem. Nim wypaliliśmy

fajki, nie tylko byliśmy nasyceni, ale nadto otwierała się nadzieja wygodnego noclegu. Nic nie może się równać z wesołą myślą, dobrą zdrowiem i służącym umięjącym grog sporządzać!

Następnego poranku zwiedziliśmy kilka kopalń soli, o których nie mogę powiedzieć nic ciekawego; w tych kopalniach tylko pracują w zimie, i to w małej rozległości. Ponieważ kopalnie w *Maros Ujwar* leżą nierównie dogodniej dla spławu soli, bo nad rzeką *Marosz*, dobywają jej tutaj małą ilość dla najbliższych okolic. Ten pokład soli ma być jeszcze potężniejszy, aniżeli znajdujący się w *Szowata*; jednakże okrywa go grubsza ziemia. Niema tu jednakże tej białej, pięknej soli, którą wczoraj widzieliśmy; kolor jej jest ciemno-zielonawy. Nawet aż do tych stron przemycają sól z *Mołdawii*, i po kraju sprzedają, pomimo że tu wszystka ziemia składa się prawie ze soli; zapewnili nas o tem ludzie dobrze znający tutejsze stosunki.

Co krok spotykaliśmy się z cholera. Jeden z naszych koni stracił podkowę, a zanim ją przybito, trzeba było czekać kilka godzin; właśnie zachorowała żona kowalowi i nie chciał jej opuszczać, aż się nie poprawi stan jej zdrowia. Lecz to nie było największą nieprzyjemnością; kilka osób naszego towarzystwa uczuło się tego rana jakoś niezdrowo, i obawialiśmy się, czy się to nie zmieni w cholera. Nie przypuszczając że jest zaraźliwą, wiadomo nam było bardzo dobrze, że również jak i mieszkańcy kraju tego byliśmy na nią wystawieni, a w podróży dla przyjemności odbywanej, sama myśl o niej była nieznośną; i dlatego posuwaliśmy się przed jej, aniżeli wypadało czynić w tej pięknej krainie.

Chcieliśmy zanoćować w Udwarhely, największym miasteczku Szeklerów, ale nader nędzna karczma, a samo miasto mało powabne, były powodem, że pokarmiwszy konie, pojechaliśmy prawie 4 mile dalej do *St. Pal*, wioski naszego towarzysza podróży. Udwarhely nie jest wszakże zupełnie bez osobliwości. Zjechawszy z drugiej góry, u stóp której wybudowane jest to miasto, zapowiadały wiele godnego widzenia trzy kościoły z podwójnymi wieżami, zapadnięty zamek, wielkie białe kolegium i piękny ratusz; jednakże karczma z brudnymi pokojami i z oknami bez szyb, zobojętniła nas na wszystko. W czasie popasu koni, zaprowadził nas W* do jednego z swoich przyjaciół. Był to maly, wesoly karczennik, jeden z tych ludzi, co lubią dobre obiady i długie rozmowy. Zaprowadził on nas na zamek; było to kiedyś najznakomitsza twierdza tego kraju; nieraz staczały tutaj zawzięte boje austriackie i siedmiogrodzkie wojska. O północy przybyliśmy do *St. Pal*, a chociaż dwór właśnie był wyporzadzony i kilku robotników w nim mieszkało, dostaliśmy dobre pokoje, jakich nie mieliśmy od *Klausenburga*.

Kilka dni zostaliśmy w *St. Pal*, w części by W* załatwił swoje domowe interesa, w części by dać koniom wypoczynek. Pierwszego dnia wyszliśmy na polowanie kuropatw, na bagna słone, rozciągające się tuż przy samej wiosce. Jeszcze bowiem i tutaj ciągnie się kraina soli, a chociaż nie widać jej pokładu, to przecież bardzo słone strumyki, źródła, bagna, a nawet rośliny, jawnie jej bytność zaświadcują. Kilka mil trzeba posyłać po słodką wodę; mieszkańcy jednakże piją słoną, i to nie wywiera na nich żadnego szkodliwego skutku.

Na dzień następny, zaprosiliśmy małego karczennika, by nam towarzyszył do jamy leżącej w okolicy. Jeszcze rano, przybył z pochodniami i kilkoma końmi sąsiada, dla okazania cudów Almaszu. Ponieważ ta jama dosyć jest oddaloną od St. Pal, wysłano rano dwóch chłopców z wozem napełnionym żywnością, a myśmy później wyruszyli w wielkiem towarzystwie, składającym się z karczennika, proboszcza, zawiadowcy, nas trzech i dwóch służących; ostatni towarzyszyli nam dlatego, ile mogłem dorozumić się, by było komu fajki nakładać i wypalać je. Jechaliśmy górami i lasami, czasem przez dobrze uprawioną dolinę z pięknymi wioskami. Wieś *Homorad Almasz*, którą przejeżdżaliśmy, była najpiękniejsza i najzamożniejsza, jakąśmy tylko poznali w Siedmiogrodzie. Położenie jej było nader zdrowe, a wokół role bardzo żyzne, tak, że się nam zdawało, że jesteśmy wśród ogrodu; mieszkańcy czerstwi, domy obszerne i czyste, a przecież nigdzie bardziej nie srożyła się cholera, jak tutaj. Cmentarz wydawał się jakby złożony z samych nowych mogił; nawet wiele było grobów świeżo wykopanych, dla przyjęcia nowych ofiar.

Wyszedszy z wioski, spostrzegliśmy jawne dowody zabobonu, chociaż nie spodziewaliśmy się znaleźć go w miejscu, gdzie wychowanie tak jest ogólnem. Pomiedzy dwoma drzewami, rozciągnięto sznur, a na nim nad samą drogą wisiał kawał płótna, podobny do spodni. Mieszkańcy wierzyli bowiem, że w jamie Almasz, którą mieliśmy zwiedzić, znajdują się dwa zakłete nagie duchy, które płaczą i narzekają nad nieszczęsnym losem, i wyjść ztąd nie mogą; często słysząc jak jęczą w ciemnej dolinie Almasz, mianowicie gdy wiatr mocno dmie. Według wieśniaków tutejszych, cholera ma pochodzić

od złośliwości tych dwóch zamkniętych duchów. Aby je przebłagać, wywieszają dla nich suknie; na jednej stronie wioski wisi para spodni, na drugiej zaś koszula; którą więc stronę obiorą do wyjścia, będą mieli gotowe ubiory, przygotowane do przebłagania ich. Opowiadał to zawiadowca, któremu więcej szło o to by mnie przekonać, że on uważa to wszystko za nierozsądek, głupie zabobony, niżeli aby zaspokoić moją ciekawość.

Na pagórku panującym nad tą doliną, albo raczej nad parowem, bo nierównie jest głębszą jak szeroką, spotkaliśmy nasz wóz z żywnością; przy nim palił się wielki ogień, a służba zabięrała się do gotowania. Jęj oddaliśmy konie pod dozór. Trzymając się drzew rosnących na boku góry, zeszliśmy do doliny, przez którą strumyk płynie, a który nieco dalej wpada do otworu w skale, i tym sposobem ginie; kilka mil dalej, na drugiej stronie góry, znowu ma wypływać. Spoglądaliśmy ztąd na pyszny obraz, leżący przed nami. Wszystko odznaczało się szczególnością; strome skały wapienne, wiszące na nich lasy, mały strumyk z łozem kamienistém, otwory trzech czy czterech niezmiernych jam, jakby ku nam zwróconych z obudwóch stron: nadawały całemu temu obrazowi charakter tajemniczej piękności, i nie ma dziwu, że lud wiele powieści opowiada o téj dolinie. Żale owęj uwięzionej kobiety wtedy najlepiej słyhać, gdy wiatr zacznie dąć w owe ciasne szczeliny i zapadliny.

Pominąwszy mniejsze jamy niezbyt głębokie, postępowaliśmy po trudnej do przebycia kamienistej ścieżce, aż do drugiego końca doliny. Na téj drodze schwytaliśmy ptaka, nazywanego tutaj *Czaszar madar* (Gelinotte), rodzaj jarzabka bardzo pospolitego w górach sie-

dmiogrodzkich. Tak był oswojony, że podlatywał parę łokci i w małych odległościach dosiadywał, jak się zdawało bez najmniejszej obawy. Widać, że tutaj nie żyje jeszcze wiele ludzi.

Otwór wielkiej jamy, wznosi się znacznie nad poziom doliny, i wejść do niej tylko można po drewnianych schodach, urządzonych przez dawniejszych podróżnych. W połowie zaslania ją gruby mur, teraz znacznie rozpadły, postawiony oczywiście w zamiarze bronięcia się przeciw nieprzyjacielowi. W czasie powstania Wołochów pod przewodnictwem Hory i Kloski, chowali się w niej Szeklery; oprócz tego jednakże, nieraz stan Siedmiogrodu zmuszał spokojnych mieszkańców chronić się przed okropną srogością tak zewnętrznych, jako i wewnętrznych nieprzyjaciół, że trudno powiedzieć, kiedyby jej nie było potrzeby. Część ta kraju, dla bliskości granicy, bardzo często ucierpiała od obcych napadów, i nie trzeba się dziwić, że się mocno obwarowano przed napadami Tatarów i Turków; pierwsi mordowali każdego, kogo schwytali, drudzy o tyle szanowali człowieka, o ile był zdatnym na niewolnika (1). Nawet dom mojego przyjaciela w St. Pal, aczkolwiek nie był nigdy przeznaczony na miejsce obronne, miał jednakże ślady niektórych środków ostrożności. Pod mieszkaniem stajnie tak są jeszcze urządzone, że z pokojów można zejść do nich skrytymi drzwiami, po krętych schodach, i w razie napadu na dom pładrującej bandy, nimby wyrąbali dębowe drzwi

(1) Betlen Gabor za pomocą wojska tureckiego, został obrany na tron siedmiogrodzki, a chociaż wojsko to nie miało obowiązku popierać bronią jego sprawy, ale li tylko popierało stronnictwo Betlena i tak pokonał bez walki słabego Bathory Gabor; pomimo jednak tego, z wyprawy wychodzący Turcy, zabrali 80,000 jeńców siedmiogrodzkich, których zaprowadzili w niewolę.

i okna, można mieć dosyć czasu dla rodziny wsiąść na konie, i uciekać podziemnymi korytarzami, prowadzącymi na pola.

Wstęp do jamy jest obszerną salą, z piękną gotycką powalą, z której na obie strony wychodzą dwa ciemne korytarze, prowadzące do wnętrza góry. Rozpoznawszy starannie plan jamy, gdy zapalono pochodnie i stanęliśmy w porządku do wstąpienia, nie chciał żaden z wieśniaków przewodniczyć, i nasz mały korzennik musiał na siebie wziąć obowiązek przewodniczenia. Niemałą to było trudnością znaleźć dobrą drogę; liczne bowiem były otwory, łatwo można było się zmylić, i nasz korzennik musiał nateżyć pamięć, przy całej swój znajomości i doświadczeniu. W miejscu gdzieśmy wstąpili, jama ta jest prawie na ćwierć mili długą, i składa się jużto z wielkich sal, jużto z ciasnych korytarzy, przez które za ledwie przecisnąć się można. Niektóre sale bardzo są wysokie i ozdobione stalaktytami. W jednej zwiesiła się potężna masa skalna, podobna do niezmiernej brodawki, i zajmowała przestrzeń od wierzchu aż do spodu, nie dotykając się jednakże ziemi. Postępując dalej, na nową natrafiliśmy zawadę; prócz zbłąkania, mieliśmy przed sobą ze 20 sążni długie bagno, jeżeli tak nazwać można gęstą glinę, podobną do rozrobionego wapna, przyrządzonego do murowania.

Opowiadano nam, że w samym końcu jamy miała się znajdować żyła pełna drogich kamieni, i niemało byliśmy zdziwieni, spostrzegając jamę ze ścianami glinianymi, niemającą innego wejścia, prócz małej dziury, przez którą dostać się, wydawało się wszystkim niepodobnym. Mały korzennik wszakże nie dał się odstraszyć, i utrzymywał, że drogic kamienie są za ową dziurą; po-

łożył się więc na ziemi, zaczął się czołgać jakby robak zagrzebujący się w nią, i w końcu zginął nam z oczu; ale wkrótce wyszedł i zapewniał nas, że dotarł do drogich kamieni, i taką wzbudził ciekawość we wszystkich, żeśmy się także przeciskać zaczęli. W samej rzeczy ciekawy to utwór! Szczelinę na sążen szeroką, wypełniały piękne minerały kwarcowe; byłyto po większej części zaokrąglone ulamki, prawie wielkości grochu, pospolicie bardzo gładkie i szczególniej piękności. W istocie zapomniałem już, jak się nazywały te wszystkie minerały tam znajdujące się, a ile sobie przypominam, byłyto mniej drogie kamienie: jaspisy, krwawniki, agaty i t. d. Dla geologów zapewne ciekawą będzie ta żyła. Że płynące wody zniosły te kamienie, niema wątpliwości; a ponieważ ta żyła leży teraz przynajmniej sto stóp nad poziomem doliny, z tego wynika, że musiała być jeszcze przed powstaniem doliny, to jest wtedy, gdy jeszcze wody wznosiły się nad temi górami. Krzemienie te pozostały się z sobą do tego stopnia, że musieliśmy je młotem odbijać. Gdy się w tej części jamy zgęszczać zaczęło powietrze, trzeba ją było opuścić, bo zaledwie można było oddychać. Poznaliśmy dotychczas dopiero część jamy, ale nad nią rozpościła się druga część, również obszerna; jej otwór znajduje się w innym boku góry, do którego dostęp nierównie trudniejszy, bo po drabinie trzeba do niego wchodzić; ale ponieważ nasza ciekawość zaspokoita się, nieobejrzawszy jej wróciliśmy do domu.

Chłopi tymczasem przygotowali nam dobry obiad, taki nawet, że jednogodnie oddawaliśmy pochwały ich sztuce kucharskiej. Nim się zciemniać zaczęło, wsiadłszy na nasze rumaki, wróciliśmy najkrótszą drogą do

St. Pal. Najbliższy punkt był *Keszdi Vasarhely* (1), a chociaż prawie zupełnie leży na wschód od St. Pal, trzeba było znacznie zboczyć ku południowi dla ominięcia pasma gór, dzielącego dwa te miejsca. Moje notatki z tego dnia nie zawierają nic godnego, oprócz, że spaliśmy na stolkach i stołach, a na wieczór trzeba się było kontentować małemi pstrągami, po które wyszedł gospodarz z wędką. Wstydę się istotnie zajmować czytelnika szczegółami tyżącemi się wygody; czynię to jednakże li dlatego tylko, że to daje lepsze wyobrażenie o stanie kraju, aniżeli obszernie opisy. Cóż może np. obcego więcej obchodzić, jak przypadek, który się nam wydarzył dnia następnego. Wkrótce po wyruszeniu z miejsca, jechaliśmy przez małą wioskę, w której zamierzaliśmy się zatrzymać. Tu dostrzegł Miklosz w domku rolnika świeżo zabite cielę, zeskoczył więc i wrócił z potężnym kawałem cielęciny, aby mieć co na obiad.

Zanim przybyliśmy do *Foldwar*, uczuliśmy zmianę temperatury, i trzeba było wyjąć nasze kożuchy. Przyczynę tego poznaliśmy jeszcze tego samego poranku; obfite śniegi spadły na górach, a białe ich szczyty wdali odbijały się dziwnie przy jasnym oświeceniu słońca, od pól okrytych żółtym zbożem i zielonemi łąkami.

Do *Szepsi St. Gyorgy* zajechaliśmy na obiad z naszą cielęciną. Nie było wioska, ale porządne miasteczko, mające piękne domy i wielkie publiczne gmachy, które dziwnie odbijały od tej dzikiej okolicy. Szepsi St. Gyorgy jest główną kwaterą huzarów szeklerskich, którzy mają za obowiązek strzedz granicę. W jednym wielkim bu-

(1) *Vasar* znaczy miasteczko, *hely* plac; nazwa ta bardzo często powtarza się w Siedmiogrodzie.

dynku jest szkoła dla wychowania dzieci huzarskich, bardzo porządnie utrzymywana.

Przed wieczorem dotarliśmy jeszcze do Keszd Vasarhely, a chociaż nam oświadczone, że tam niema karczmy, dostaliśmy przecież wyborne mieszkanie u piwowara Francuza, który ożeniwszy się z węgierską panną, zamierzył tutaj dokończyć resztę dni swoich. Byłto poczciwy człowiek, i niemało ucieszył się, że nas mógł podejmować w swym domu; obiecał przygotować wieceznię, któraby wynagrodziła nam za poprzednie posty. Rozumię się samo przez się, że nas oprowadził po całym zakładzie i pysznił się niemało z niego; browar jego aczkolwiek niezbyt doskonały, odznaczał się nadzwyczajnym porządkiem. Niemało uskarżał się na sąsiadów, płatających mu wszystkie możebne figle z nienawiści, że nie był krajowcem; wierzę chętnie temu, bo Węgrzy wyrobili sobie teorią, że każdy szeląg, który obcy sobie zarobi, wypada odebrać jego dzieciom. Nasz biędny Francuz uskarżał się także na wysoką cenę chmielu; zmuszonym był sprowadzać go z Czech, a i tam najlepszy sobie zostawiają.

Mieliśmy dosyć czasu zwiedzić szkołę wojskową, w której wychowują chłopców do piechoty szeklerskiej. Założył ją cesarz Franciszek I; w części utrzymuje się z zasiłków pochodzących od króla, w części od Szeklerów. Rząd prowadzi jęj zarząd. W zakładzie tym są chłopcy od 6 do 18 roku; w nim żywią ich, uczą bezpłatnie i ubierają. Jeżeli niewszystkie miejsca zajmą pensjonarze, wtedy mają obcy do nięj wstęp, za opłatą miesięczną po 8 reńskich (34 złp.), i ci używają tychże samych korzyści, co pierwsi. Po ukończeniu

nauk, wchodzą uczniowie do pułków, i posuwają się nawet na stopnie oficerskie. Kurs naukowy obejmuje czytanie, pisanie, arytmetykę, geografię, matematykę, rysunek sytuacyjny i język niemiecki; prócz tego odbywają ćwiczenia ciała, mające styczność z wychowaniem wojskowym. Widzieliśmy ich pisma i rysunki, i muszę im przyznać niemałe pochwały. Zakład ten posiada małą biblioteczkę, składającą się z książek bawiących dzieci. Książki te bywają uczniom wypożyczane, aby w czytaniu nabrali smaku. Wszystkie przedmioty wykładają po niemiecku, wszystkie książki mają w tym języku, i to głównym jest powodem, że o tej szkole wspominają Szeklery z najwyższym wstrętem.

Gdzieś w tych górach ma być wielka jama, o której opowiadano nam szczególniejsze rzeczy. Ile się dało, wypytaliśmy się o nią w Keszd Vasarhely, ale nikt nie umiał powiedzieć coś pewnego o odległości, ani o drodze, którą trzeba by się do niej udać. Wszyscy powtarzali jednoznacznie, że trzeba jechać przez *Torya*, wioskę leżącą u stóp gór, prawie 2½ mili odległą, którą zdaleka widzieliśmy; tam znajdziemy kogo według wszelkiego prawdopodobieństwa, co nam da bliższą o nią wiadomość. W tej nadziei wyjechaliśmy; szczęśliwym sposobem przypomniał sobie W* nim przybyliśmy do wioski, że w *Torya* mieszka dobry jego znajomy Szekler, i że to musi być też sama *Torya*. Pierwszy wieśniak któregośmy spotkali potwierdził to domniemanie, i zaprowadził nas do dworu. Baron A. właśnie był w domu, i niezmiernie ucieszył się, widząc u siebie przyjaciela. Na nieszczęście nie rozumiał baron ani słowa po niemiecku, i rozmowa nasza odbywała się z nim za pośrednictwem W*. Jeżeli mam prawdę wyznać, sądząc,

że gdyby nawet baron umiał ten język, nie mówiłby nim, dla wstretu panującego tutaj ku Niemcom.

Odbywszy pierwsze powitanie po poznaniu pana domu i całej rodziny, poważył się W* objawić życzenie nasze, aby o ile być może najspieszniej zwiedzić jamę. Mówię poważył się, bo dopiero po wielu znakach uczynił to wbrew swój woli; wiedział bowiem dobrze, jak wysokie wyobrażenie o powinnościach gościnności mają Szeklery, i nie mało trudności upatrywał w tém jak się usprawiedliwimy, że całego dnia nie przepędzimy u niego. Dowiedziawszy się baron o naszym zobowiązaniu w inném miejscu, i niepodobieństwie zostania u niego, przyzwolił wreszcie na to; obiecał nam dać stosowniejsze zaprzęgi do tutejszych dróg, sam nawet przyrzekł towarzyszyć do jamy. Zanim przybyły konie, co nierównie dłużej trwało aniżeli było powinno, oglądaliśmy nieco urządzenie domowe szlachcica szeklerskiego. Jak zwyczajnie, dwór nie był o pięttrze; różnił się tylko obszernością od wokoło stojących domów włościańskich. Wielki niebrukowany dziedziniec, obwiedziony stajniami i wozowniami, dotykał drogi publicznej; z drugiej strony stały zabudowania gospodarskie, a za niemi ogród warzywny. Wnętrze domu było skromne, prawie ubogo umebłowane; stosunki bowiem majątkowe barona nie były świetne, chociaż należał do najdawniejszych familij, i co do drzewa genealogicznego, nikt z nim nie mógł się równać: kilka tylko starych portretów, nadawały pokojom rodzaj godności, zresztą wszystko było na wygodę obrachowane, a porządne.

Nietylko tutaj, ale i w całym kraju Szeklerów miałem sposobność poznać, jak nadzwyczajnie kochają i czeżą barona Wesseleny Miklosz. Jego portret wisi w każdym domu, wszyscy o nim mówią. Szeklerowie patrzą na niego, jako na obrońcę ich praw i swobód.

Gdy wreszcie konie nadeszły, wydała się przyczyna tój zwłoki. Baronowa postanowiła nie puścić nas przed obiadem; a chociaż przybywając była dopiero dziewiąta, a teraz jedénasta, zawiadomiła nas, że dano do stołu, — „i zanim konie nakarmią i zostaną zaprzężone, cośkolwiek raczycie panowie przekąsić.” — Wyruszyliśmy wreszcie; przez trzy godziny ciągnęła się nienajlepsza droga długą, wąską doliną; nieraz trzeba było jechać korytem rzeki; dalej zupełnie znikła. Wstępując na górę, pokazał nam baron kilka źródeł mineralnych, a odtąd na milę drogi stanęliśmy przed jamą *Büdös*, czyli jamą śmierdzącą, przed zamierzonym celem naszej wycieczki. Wyszedszy na wierzchołek góry niemało nas zdziwiło, widząc trzy czy cztery dosyć dobre drewniane chałupy, pełne słomy i drzewa spalonego, jak gdyby je właśnie porzucili ludzie. I tak było w istocie: pomimo, że nic o tém nie wiedzieli mieszkańcy w Vasarhely. Źródła w *Büdös* są bardzo używane i uczęszczane przez wieśniaków. Przybywają oni tutaj latem, stawiają sobie chałupki z gałęzi, pokrywają je słomą, i w nich mieszkają, opatrzeni obficie w żywność na 4 lub 6 tygodni. Nie zabawiając się dłużej źródłami, poszliśmy do jamy.

W boku skały dolomitowój jest znaczniejszy otwór, mogący obejmować około dwunastu ludzi; spód jego widocznie pochyła się ku wnętrzu. Przed kilkoma laty jama ta nierównie była większa, ale pozapadała się znacznie podczas mocnego trzęsienia ziemi. Jój spód

i boki okryte są cienką żółtawą skorupą siarki, osadzonej przez gazy, dobywające się z bocznej szczeliny. Wstąpiwszy głębiej do jamy, uczuliśmy swędzące gorąco; uczucie niedające się porównać z żadnym mi wiadomym, zaczynające się od dolnych części ciała, a które coraz bardziej wznosiło się, w miarę zniżania się jamy. Przyczyna tego pochodzi od coraz bardziej stężonego gazu kwasu węglkowego (pomieszanego z małą cząstką wodorodu siarkowego), który się dobywa z otworu znajdującego się w spodzie jamy, i podnosi się poziomo do wysokości jego. Temperatura we wszystkich częściach jamy była jednakową; przekonywałem się o tym ręką, którą zanurzałem w otworze i wyciągałem do góry, nie doznając żadnej różnicy; lecz w kilka sekund, gdy ją gaz obwiał, dało się uczuć swędzenie. Zanurzyliśmy się tak głęboko, że gaz sięgał brody, i ręką zbliżałem go do warg i smakowałem jego kwaskowatość. Utrzymują powszechnie, że rozrzedzony kwas węglkowy zabija życie wchodząc do płuc; ale tym gazem niepodobna było oddychać; drażnił bowiem kanał oddechowy tak silnie, że się ściągał konwulsyjnie, a śmierć nastąpiłaby bezpośrednio przez uduszenie. Najmniejsza część tego gazu dostawszy się do oczu lub nosa, sprawiała ból gwałtowny. Włóścianie krzesząc ogień, mają znak jak daleko można zstępować z pewnością; kiedy już iskry nie spadają, wtedy jest kres, za który przestąpić nie godzi się. *104 dny*

Zabawiliśmy się przez pewien czas w jamie, uważając, jakie wywiiera uczucie. Jak się spodziewać należało, jestto wyborna kąpiel powietrzna, znana dobrze włóścianom okolicznym, którzy corocznie przyjeżdżają gromadami aby jęj używać. Używający tęj kąpieli, udają się zazwyczaj rano do jamy, i zanurzają całe ciało w ga-

zie, dopóki obfite poty nie wystąpią; następnie udają się do zimnej kąpieli, którą na wstępie poznaliśmy. Też same gazy nasycają te wody, lecz zawierają zapewne więcej siarki. Kąpiele w Búdös szczególniej leczą zadawniałe reumatyzmy i skomplikowane cierpienia merkuryalne. Wieśniacy tak mało są oględni na swe życie, że corocznie ginie ich kilku w jamie. Tego roku już wydarzyły się dwa podobne przypadki. Pospolicie nazywają tę jamę morderczą (Gyilkostynk).

Wracając, okazywano nam jeszcze kilka źródeł mineralnych, tryszczących ze wszystkich stron tej góry.

Obejrawszy górę Búdös, zamierzaliśmy zwiedzić ruiny starego zamku, kiedyś mieszkania poprzedników barona A*, a następnie mieliśmy się udać do odległego o milę jeziora Św. Anny; ale wieczorem tak się dęszcz rozpadał, że nie chcąc spać pod gołym niebem, zaniechaliśmy to przedsięwzięcie. Ma to być małe jezioro na samym szczycie góry; niektórzy twierdzą, że to jest krater wypalonego wulkanu. Pospieszywszy pożegnać barona w Torya, wróciliśmy do wygodnego mieszkania u Francuza.

Dnia następnego pożegnaliśmy kraj Szeklerów, przebywszy poprzednio część zwaną *Harom Szek*, jedną z najpiękniejszych okolic na świecie. Cały ten obwód jest równiną nieco wzgórkowatą, wśród najpiękniejszych pól; pokazują się na niej tu i owdzie bogate wioski, zroszone wodami wijącej się *Aluty*. Z dwóch przeciwnych stron, ciągną się dwa najpiękniejsze łańcuchy gór. Co krok zatrzymywaliśmy się, aby napaść oczym cudownym krajobrazem. Ileż niezbadanych skarbów przyrody, ileż wspaniałych krajobrazów nie mieszczą te góry! Opowiadano nam o nieprzeliczonych ja-

mach, skałach, ruinach, wrzących cieplicach, wyziewach nafty czyli skalnego oleju, i nie wiem o czém jeszcze więcej; lecz każdy utrzymywał, że prócz jukasów czyli pasterzy owiec, cudów tych nikt nie zna nawet z imienia.

Znajdowaliśmy w ogólności w całym kraju Szeklerów lepszy stan rolnictwa i wyraźniejsze dowody pilności, aniżeli w większej części Siedmiogrodu; a najwyższy stopień doskonałości, zastaliśmy w *Harom Szek*. Narzędzia rolnicze mają wprawdzie proste, systemat uprawy niedostateczny, a pomimo tego jednak ogólny pogląd na ten kraj dowodził, ile pilność i przemysł zastępują brak wiadomości i kapitałów.

Własność jest tutaj prawie równo podzielona, i dlatego ludzie są bardziej czynni, i wydają, ile mi się zdaje, więcej produktów, aniżeli w innych okolicach, w których chociaż ich pracę umięją stosowniej użyć, przecież wielkie posiadłości wyradzają w massach ludności lenistwo i obojętność.

O ZŁOCIE.

PRZEZ

Jana Mithierwicza.

(Dalszy ciąg).

Ameryka. W końcu XV wieku upowszechniło się mniemanie, że *Ophyr* Salomona, o którym mówiliśmy wyżej, znajdował się nad brzegami Gangesu. W tej-że epoce, nadzwyczajnie zajął wyobraźnię znakomitych żeglarzy i podróżników tajemniczy kraj *Chryse*, nader obfity w złoto, który podług jednych miał stanowić oddzielną wyspę, a podług drugich byłato część *Złotego Chersonesu*, o którego bajecznych skarbach jeszcze za czasów Ptolomeusza wiele rozmaitych chodziło wieści. Obfitość złota, którego wyspy w tych strefach położone, Borneo i Sumatra, dostarczały zapewne niemało, przyczyniła się do utwierdzenia opinii o istnieniu kraju *Chryse*. Wielu uczonych przypuszczało, że drugi również mało znany kraj, lecz bogaty w złoto i korzenie, *Zipangu* (Japonia), był tém samém co *Chryse*. Krysztof Kolumb podzielał zdanie swego wieku o istnieniu niewiadomego złotodajnego kraju, a co więcej, osobiście przywią-

zywał wielką moralną i religijną wartość do złota: „ponieważ, mówił on, ten, który posiada złoto, może dostąpić wszystkiego na tym świecie, otworzyć nawet raj dla wielu dusz” (1). Krysztof Kolumb założył więc sobie odkryć kraj Chryse, albo Zipangu, przypuszczając, że nim jest obszerny ląd stały, tworzący przedłużenie starego czyli azjatyckiego, czyli Indyj za Gangesem; ale nigdy nie sądził, że istnieje nowy, zupełnie oddzielny. Według mniemania, a raczej wewnętrznego przekonania Kolumba, to przedłużenie Indyi zagangesowej, nie miało być bardzo oddalone od Hiszpanii, i właśnie, jak mówi Humboldt, ta największa geograficzna omyłka, spowodowała największe w świecie odkrycie. I Krysztof Kolumb i Ameryk Wespucyusz zmarli z tém przekonaniem, że przybyli do brzegów Indyj, do półwyspu gdzie się znajduje *Cattigara*; dlatego też nie powstał nigdy pomiędzy nimi spór o sławę odkrycia lądu nowego, a zapewne od tego mylnego, lecz początkowo powszechnionego wyobrażenia, Ameryka zachowała dotąd, chociaż mniej już używaną nazwę Indjów Zachodnich. Jakkolwiekbydz, te poetyczne i gienialne pomysły, wytrwałość i nieugięta moc charakteru Kolumba, wskazały Europejczykom drogę do Ameryki, a odwaga, śmiałość i złoto, znalezione przez towarzyszy Kolumba u dzikich amerykańskich wyspiarzy, spowodowały dalsze odkrycia i podboje téj części świata.

Kolumb będąc już na wysokości wysp Bahama czyli Lukajskich, blisko celu swoich życzeń, mówił do prze-

(1) A. Humboldt: *Sur la production de l'or et de l'argent, considérée dans les fluctuations*; rozprawa wydrukowana w *Journal des Economistes*. 1848. Mars, nr. 76, fol. 366.

straszonego nieogarnioną przestrzenią oceanu i rozpaczającego ekwipażu, kiedy ten targnął się na życie nieśmiertelnego żeglarza: „Proszę o trzy dni cierpliwości; jeżeli w przeciągu tego czasu nie pokaże się ziemia, poddaję się waszej zemście”; a Korteż zachęcając swoich żołnierzy do podbicia Meksyku, odezwał się do nich: „Przed wami to, czego szukamy: wielkie niebezpieczeństwo i wielkie bogactwa”.

Krzysztof Kolumb z nędzną flotą, złożoną ze trzech starych okrętów, których wartość nie przenosiła 100 tysięcy franków i z 90 majtkami, którzy stanowili cały jego ekwipaż, dnia 3 sierpnia 1492 roku zaszczycony tytułem admirała i wice-króla wysp i krajów, które może odkryć; opuścił brzegi Hiszpanii, a w miesiącu październiku tegoż roku, wylądował na jednej z wysp *Lukajskich*, *San-Salvador* przez niego nazwanéj. Tam uszczęśliwie ni marynarze, z radością ujrzeni gościnnych dzikich wyspiarzy, którzy podostatkiem mieli na sobie rozmaitych złotych świecideł, i chętnie obdarzali drogim kruszczem nowo-przybyłych gości.

Rozpoznavszy niektóre sąsiednie małe wyspy, Kolumb popłynął dalej, i przybył do północnego brzegu wielkiéj wyspy, nazwanéj przez krajowców *Haiti*, a przez niego *Espagnole*, późniéj *Saint-Domingo*, w tém zawsze przekonaniu, że to jest ląd azjatycki. W czasie jednéj z późniejszych swoich wypraw, Kolumb z téjże samej wyspy (*Haiti*) pisał do papieża *Alexandra IV*: „To jest *Tarsis*, *Ophir* i *Zipangu*. W czasie drugiéj mojej wyprawy, odkryłem 1400 wysp i ląd 333 mil rozległości, należący do stałego azjatyckiego lądu (*de la tierra firme de Asia*). Ten indyjsko-wschodni *Zipangu*, produkuje

kawalki złota (*pepitas de oro*) 8, 10 i do 20 funtów wążące.

Na wyspie, ekwipaż Kolumba za czerwone czapki, perelki, dzwonki, spilki i noże, z łatwością dostawał od krajowców żywność i złoto.

Uradowany Kolumb, zostawiwszy w Haiti niewielką osadę, udał się napowrót do Hiszpanii, żkąd przed siedmiu miesiącami odpłynął. Za przybyciem przedstawił Ferdynandowi i Izabelli sprowadzonych ze sobą wyspiarzy, złoto w kawalkach, ptastwo kolorów jaskrawych, w Europie nigdy niewidziane, bawełnę i inne przedmioty, których rzadkość i nowość, czyniły je nader drogiemi i ciekawemi.

Zapał obudzony przez Kolumba w Hiszpanii, był godnym wielkości odkrycia genialnego żeglarza, który niebawem odpłynął napowrót do Ameryki.

Godłem Nowego Świata stały się poezya, namiętność i bogactwa, o których towarzysze Kolumba zdziwionemu ludowi opowiadali, a które później w połączeniu z dogodnościami i rozkoszą, jakie międzyzwrotnikowe kraje przedstawiają, wabiły ze wszystkich stron pirenejskiego półwyspu ochotników. Hiszpanie, pomiędzy któremi duch bohatera Lamanszy, właściwy owemu czasowi, i *farniente* awanturniczego życia były w modzie, ze wszech stron zbierali się; lud wszelkich stanów od najwyższej do najniższej klasy, wszelkiego rodzaju i przemysłu, awanturnicy, zbrodniarze, rozbójnicy, próżniacy, a nakoniec zapaleńcy, którzy marzyli tylko o sławie: wszyscy z największym zapalem, pełni nadziei i fantastycznych urojeń, udawali się do nieznanéj, nowo odkrytej części świata.

Niesłychany ten zapal przybyłych do Ameryki Europejczyków, żądza złota i duch rycerski, rozszerzyły odkrycia i podboje nowych krajów. Do tego przyczyniła się nadzwyczaj wiele namiętność amerykańskich kobiet, które opuszczały swoich mężów, dzieci, rodziny, i towarzyszyły zwyciężkim hufcom; one wskazywały im tajemne drogi, wykrywały miejsca gdzie żywność była przechowywana, ułatwiały sposoby opanowania opór stawiających punktów, i podzielały z zapamiętałością trudy i niebezpieczeństwa swoich oblubieńców. Najznakomitsza ze swojego pochodzenia, piękności, urody i przygód kobieta, której historia zachowała imię, nazywała się *Dona Marina*; przez szczególne wypadki swego życia, dostała się ona do Tobasco, zobaczyła tam Korteza, namiętnie w nim się pokochała i wzajemnie była od niego kochaną. *Dona Marina* wkrótce wyuczyła się doskonale kastylskiego języka, i służyła nietylko za tłumacza Kortezowi, lecz śmiało i rozumnie radami, stała się główną sprężyną podbicia Meksyku.

Prywatni, sami przez się własnym kosztem, bez wiedzy i pomocy rządu, a czasami łącznie z wojskiem koronnym, robili wyprawy na wyspy i w kraje stałego lądu amerykańskiego.

Z takimi hufcami Ferdynand Korteza w r. 1519 wylądował na brzegi meksykańskiego państwa, gdzie znaleźli nie ubogich i dzikich wyspiarzy, lecz bogatych osiadłych mieszkańców, kraj żyzny, malowniczy, uposażony we wszelkie dary natury i uorganizowany. Hiszpanie w domach mieszkańców i w świątyniach, widzieli obfitość złota; kruszec ten błyszczał na broni Meksykańczyków na ich domowych meblach, na ubraniu; wszędzie

oczy ich napotykały złota podostatkiem, a to właśnie najwięcej podniecało ich chciwość.

W Meksyku panował wtenczas Montezuma, który chcąc pozbyć się nieproszonych gości, posłał Kortezowi wspaniałe podarunki, niesione przez stu Indyan.

Pomiędzy ianemi drogiemi przedmiotami, znajdowały się dwie okrągłe tace, jedna całkiem złota wyobrażająca słońce, a druga srebrna wyobrażająca księżyc; oraz wiele pierścieni, naszyjników, bransoletek i innych cacek z czystego złota, wszystko razem wartości 162,000 *pesos de oro*, czyli przeszło 81,000 czerwonych złotych. Sama taca srebrna, podług B. Diaz de Castillo, miała kosztować przeszło 10,000 dukatów (1) w złocie. Hiszpanie po długich krwawych walkach podbili Meksyk, stolicę i cały kraj złupili. Bogactwa znalezione przez nich, a których część została zrabowaną, można porównać z tradycyjnemi skarbami Szczęśliwej Arabii i starożytnych azyatyckich monarchów. „Oprócz wielkiej massy złota i srebra, mówi *Conquistador* w swoim pierwszym liście do cesarza Karola Vgo (2), przedstawiono mi złote i srebrne wyroby, oraz przedmioty tak drogie, że nie chcąc dać je przetopić, oddzieliłem z nich część przeszło na sto tysięcy dukatów, dla złożenia w darze Waszej Cesarzkiej Wysokości. Przedmioty te były rzadkiej piękności, i wątpię, aby którykolwiek monarcha na ziemi mógł kiedy posiadać podobne. Żebyś zaś Wasza Cesarzka Wysokość nie sądził, że przytaczam tutaj rzeczy bajeczne, oświadczam, że wszystkie płody ziemi i oceanu,

(1) *The history of America* by William Robertson D. D. London, 1837. Notes, str. 1054.

(2) *Essai politique sur le Royaume de la Nouvelle Espagne*, par A. Humboldt. T. III, str. 116.

o których król Montezuma mógł mieć wiadomość, kazał on naśladować ze złota, srebra, drogich kamieni i z ptasich piór, z taką doskonałością, że zdawało się jakby były naturalne. Chociaż większą część dano mi dla złożenia Waszjej Cesarskiej Wysokości, kazałem wszelako krajowcom wykonać wiele innych robót ze złota podług moich rysunków, jakoto: obrazy świętych, krucyfiksy, medale i naszyjniki. Ponieważ *quinta* czyli podatek od srebra, który się płaci Waszjej Cesarskiej Wysokości, czyni przeszło sto grzywien, rozkazałem ażeby złotnicy krajowi przerobili je na półmiski rozmaitej wielkości, łyżki, kubki i inne naczynia do napoju. Wszystkie te wyroby naśladowane z największą dokładnością." Czytając ten wstęp, jak mówi Humboldt, zdaje się, jakbyś słyszał opowiadanie ambasadora europejskiego, wysłanego do Chin lub Japonii. Trudno jednak byłoby pośądzić generała hiszpańskiego o przesudę, kiedy się zważy, że cesarz Karol Vty własnymi oczyma mógł sądzić o wytworności lub niedokładném wykonaniu przedmiotów, które były mu przesłane.

W kraju tak jak Meksyk politycznie urządzonym, złoto uważano i używano jako drogiego metalu i jako pieniądza (1); lecz dzicy wyspiarze, przed przybyciem Hiszpanów mało szacowali ten kruszec. Służył on im więcej jako cacko do ozdoby prostych ich ubiorów, i nie

(1) W *Tenochtitlan*, najwięcej targowym placu w Meksyku, do przybycia Europejczyków, oprócz worków kakao, z których każdy powinien zawierać 24,000 ziarenek, małych sztuczek bawełniane-go płótna i niektórych innych przedmiotów, *złoty piasek* stanowił najlepszy środek zamiany, dla kupna wszelkiego rodzaju towarów i produktów. Dlatego zwyczaj wymagał, aby taki złoty piasek znajdował się w piórkach wodnych ptaków, i żeby pióra były przezroczyste, a to aby lepiej widzieć ilość metalu, wielkość ziarenek i ich gatunek.

przywiązywano do niego żadnej szczególnej wartości; żeluzo zaś, stal i inne metale oprócz miedzi, pomimo ofitości kruszców tych w Ameryce, ludziom amerykańskim przed przybyciem Europejczyków wcale nie były znane.

Hiszpanie opanowawszy Meksyk, z całą zaciętością i chciwością gromadzili zewsząd złoto, dopuszczając się wszelkiego rodzaju bezprawioów i okrucieństw. Jednego razu, kiedy ważąc złoto sprzeczali się pomiędzy sobą, jeden młody kacyk wyrzucił szalę, przemawiając z pogardą: „Dlaczego się kłóćcie za rzecz tak małą i nie nieznaczącą? jeżeliście opuścili ojczyznę dla tego bezużytecznego kruszcu, i dla niego mordujecie tyle ludów, wskażę wam kraj, gdzie ten kruszec tak jest powszechny, że go używają na najpospolitsze sprzęty”. Zapytany o dalsze szczegóły, kacyk zapewniał, że niedaleko od oceanu, który omywa Daryanę, jest drugi ocean, prowadzący do owego bogatego kraju. Byłyto pierwsze wiadomości, jakie Hiszpanie powzięli o Peru. Wyprawa natychmiast została przedsięwzięta. Działo się to 1 września 1513 r., lecz dopiero w końcu 1532 r., zajmwszy peruwiańskie miasto Caxamalca, w dniu 16 listopada z rana, kiedy Inka Atahualpa ze świetnym orszakiem wystąpił przed Hiszpanów, niesiony na tronie, złotem, srebrem i drogiemi kamieniami suto ozdobionym, w celu porozumienia się z nimi; Pizaro, główny dowódca, poduszczony przez fanatycznego księdza Wincentego Valverde, zdradziecko napadł na Peruwiańców, którzy wcale nie spodziewali się bitwy, wymordował mnóstwo ludu, samego Atahualpę wziął do niewoli, zabrał jego naczynia złote i srebrne, i całe miasto opanował, mordując i rabując gdzie tylko była nadzieja zdobycia złota.

Inka Atahualpa uwięziony był w obszernym pokoju, mającym 22 stóp długości, a 16 szerokości. Drażniony niewolą, spostrzegłszy w Hiszpanach szczególniejszą chciwość złota, Atahualpa zaproponował Pizarowi dać za oswobodzenie swoje z niewoli tyle złota, ile obszerny pokój w którym był uwięziony, może zmieścić do wysokości, jak ręką dosięgnie. Propozycja została przyjęta i Inkas rozkazał zbierać z całego kraju złote sprzęty i naczynia, jakie się gdziekolwiek znajdowały. Ze wszystkich stron zaczęto znosić złoto do miasta, lecz nie odbywało się to z pośpiechem, dogadzającym życzeniu Hiszpanów; gdyż większa część skarbów na ten cel przeznaczonych, znajdowała się w *Cuzco* o 140 mil od *Caxamalca* odległym; komunikacje były przecięte, uzbrojone bandy przebiegały kraj i rabowały złoto gdzie tylko je znalazły, bez względu do kogo należało, lub jakie miało przeznaczenie. Zniecierpliwiony Pizaro, kiedy prawie połowa umówionego okupu była zebrana, kazał oddzielić dla cesarza przedmioty szczególniejszego wyrobienia, a resztę przetopić. Masa przetopionego metalu czyniła blisko 1,996,648 *pesos duros*, czyli przeszło 998,324 czerwonych złotych, albowiem po potrąceniu quinty na podatek skarbu (184,074 (1) dukatów), wydzielił żołnierzom przybyłym pod dowództwem Diego Almagro 50,000, wziął dla siebie i swoich podwładnych

(1) Quinta czyli podatek skarbowy, policzony był od srebra 30,000 grzywien czyli 110,000 czerwonych złotych, a od złota 120,000,000 maravedis, czyli przeszło 184,074 czerwonych złotych; a ponieważ w stosunku, summy przez Pizaro dla siebie zatrzymanej i Almagro wydanej, quinta powinna wynosić 203,621 czerwonych złotych, a wynosiła tylko 184,074, z tego wnosić wypada, że przedmioty które nie były przetopione, wartowały 19,547 czer. zł.

764,250 (1) dukatów w złocie, samego zaś Atahualpo, znalazłszy ku temu pozór, oddał pod sąd, który zawyrokuje spalić go żywcem.

Wielu Hiszpanów znajdowało wyrok ten niesprawiedliwym i nadto okrutnym, i dlatego ksiądz Valverde stwierdził go swoim podpisem. Przed egzekucją, kiedy Atahualpo przyjął chrzest święty, Valverde wyrobił to, że poprzednia kara śmierci została zamieniona na inną niemniej okrutną. Inkę przywiązano do słupa i sznurami zaduszono.

Po zdobyciu miasta Cuzco w prowincyi Quito, Hiszpanie więcej złota i srebra zabrali, aniżeli dostali za okup Atahualpy. Według Herrera, na każdego żołnierza których było 480, przypadło po 4,000 pesos czyli przeszło po 2,000 czerwonych złotych, co uczyni 960,000 dukatów w złocie, nie rachując działu dla oficerów i dowódców, a który zapewne był daleko większy.

Te czyny dostatecznie objaśniają systemat ówczesnego postępowania Hiszpanów w nowym świecie. Dalsze odkrycia i podboje krajów przez Hiszpanów, Portugalczyków i inne narody, rozszerzały się stopniowo; znikła już poezya i duch rycerski, a niepohamowana chciwość i fanatyzm religijny, były głównym bodźcem następnych działań.

Przerażony lud amerykański, którego całe plemiona ginęły z rąk straszliwych Europejczyków, stawał jak mógł opór; widząc zaś, że złoto ściągało na niego tak okropne nieszczęścia, starał się wszelkiemi sposobami pozbawiać się lub ukrywać je przed swemi prześladow-

(1) Diego Almagro miał z sobą przy początku wyprawy 70 żołnierzy, a Pizaro w czasie ataku Inki Atahualpy 180, z których 36 było jezdnych.

cami. Ogromno massy złota zatopiono w wodzie lub zakopano w ziemi. W tych czasach, zaginął łańcuch zrobiony z rozkazu Inkasa Huayna Capac, na pamiątkę urodzenia Inkasa Huescar, znany więcéj pod imieniem łańcucha Montezumy, który, jak opowiadają, tak był długi, że kilkaset osób mogło tańczyć w jego okręgu, a który podług podania narodowego, wraz z innymi niezliczonemi skarbami, został wrzucony w jezioro *Chuquito* czyli *Titicaca* (jezioro ołowiane), znajdujące się w Kordylierach (1). Do téj równie epoki, jak się zdaje, należy odnieść zatopienie skarbów w prowincyi Bogota w jeziorze *Gwatawito* (złote jezioro). Legenda obiegująca w narodzie o tém ostatniém, brzmi, że kocyk Manalapa Hgi ożeniwszy się ze słynną z piękności *Ramą*, miał z niéj syna; ten prowadzony przez mamkę na przechadzce wpadł w rzeczkę *Magdalénę* koło miasta płynącą, i zniknął; mamka napisawszy na korze o wypadku który spotkał dziecko, z rozpaczy rzuciła się za niém i utonęła. Rama nie miała już potém dzieci, przeto Manalapa żądał rad od uczonych i kapłanów słońca, na przywrócenie płodności żonie, lecz wszelkie rady były bezskuteczne. Jednego razu zgłosiła się do niego banda koczujących Indyan, znanych w kraju jako kapłani nieba; oni poradzili Manalapie, aby codziennie o saméj północy jak zajaśnieją gwiazdy na niebie, Rama trzy razy zanurzała się w jeziorze *Gwatawito*; ażeby zaś środek ten był skuteczny, Manalapa połowę swoich skarbów powinien był poświęcić opiekuńczemu bóstwu jeziora. Manalapa usłu-

(1) Jezioro *Chuquito* czyli *Titicaca*, ma w obwodzie 240 mil angielskich i 480 stóp głębokości; jezioro to łączy się podziemnym kanałem z jeziorem Parya, a to ostatnie pod Kordylierami z morzem.

chał rady, dopełnił ściśle co mu powiedziano, i wrzucił w jezioro niezliczone mnóstwo drogich kamieni, złota, srebra i innych kosztowności. Jakoż piękna Rama uszczęśliwiła wkrótce kacyka wydaniem na świat drugiego syna.

Pogłoska o tych bogactwach tak była upowszechnioną, że nawet obrachowano wartość ich na tysiąc milionów piastrow; do tego twierdzono, a to jakby na zasadzie urzędowych dokumentów, że hiszpańscy gubernatorowie Don Ferdynand Peres de Kesada i Antonio de Supelveda, przesłali do Madrytu wydobyte z jeziora 850 tysięcy piastrow w monacie, oprócz brylantów i innych drogich kamieni. Pomiedzy niemi miał się znajdować jeden szmaragd, który szacowano 200,000 piastrow. Wiadomości te do tego stopnia uchodziły za pewne nawet w Europie, że w Londynie w 1820 roku utworzyła się kompania dla osuszenia i przepatrzenia jeziora *Guatawito*. Kompania uzyskawszy od rządu kolumbijskiego pozwolenie, do którego wtenczas prowincya Bogota należała, rozpoczęła swoje roboty, i wkrótce wydobyła z wody niejaką ilość złota i drogich kamieni, z czego się przekonano, że narodowe podanie nie było bezzasadne. Roboty trwały przez kilka lat z jednako- wem natężeniem, lecz utrzymywanie przez kompanią żołnierzy na brzegu jeziora, dla obrony poszukiwanych skarbów przeciwko krajowcom, którzy ciągle czynili napady; a z drugiej strony mała ilość wydobytego złota, nieodpowiadającałożonym kosztom, wyczerpały zasoby kompanii; roboty więc do dalszego rozstrzygnięcia akcyonaryuszów zostały wstrzymane. Na początku roku 1825, bogaty londyński negocyant *Robert Dybson*, bawiący za handlowemi interesami w Bogocie, już na

wyjeźdném, przechodząc jednego razu ponad brzegiem jeziora, spostrzegł gałąź palmowego drzewa wysuniętą z wody; wyciągnął ją i ku zadziwieniu swemu znalazł pomiędzy gałązkami oblepioną mułem złotą figurkę, dobrze zachowaną. Uradowany z niespodziewanego wypadku Dybson, gdy wróciwszy do miasta, pokazał zdobyte swoim rodakom, ci opowiedzieli mu z najszczerzą wiarą o niezliczonych skarbach w jeziorze zatopionych. Agenci nieczynnej kompanii, korzystając z zapалу jaki okoliczność ta wywarła na Dybsona, namówili go, aby dalej prowadził osuszanie jeziora. Dybson niehawem odpłynął do Londynu, spięniżył cały swój majątek, i wróciwszy do Bogoty, rozpoczął roboty na własny rachunek, które trwając przez dwa lata, nie odpowiedziały uludnym nadziejom i rojeniom nieszczęśliwego przedsiębiorcy. Dybson utopił cały swój majątek w jeziorze, i zaprzestał roboty nazawsze; naraziwszy się zaś na liczne procesa z wierzycielami piérwszej kompanii, straciwszy zięcia swego, który również postradał swój majątek i z rozpaczcy zabił się, a w końcu żonę i córkę, które w obłąkaniu wkrótce żyć przestały, sam w 1831 r. uległ podobnie obłąkaniu, i w końcu 1843 r. umarł w Londynie w Bedlam.

W miarę podbijania nowo odkrytych krajów, Europejczycy zaprowadzali w nich swoje urządzenia i czynili poszukiwania drogich kruszców, do czego ułatwiały im sposobność, powiastki krążące pomiędzy ludem. Często nawet sami krajowcy wskazywali miejsca, w których się znajdowało złoto i srebro; podobnie jak w syberyjskich tajgach (1), Tunguzy i inne *jasaczne* (2) narody,

(1) Tajga znaczy obszar pokryty lasem, w którym ludzka noga nie postać.

(2) Jasak znaczy podatek, który płacą niektóre narody skórami drogich zwierząt, jakoto: soboli, czarnych lisów i t. p.

zpośród których biorą się zwykle przewodnicy wypraw, czynionych dla wynalezienia kopalń, najczęściej miejsca te wskazują. Czasami téż Europejczycy sami wynajdywali bogate kopalnie: Francuz *Laborde* koło 1760 roku, odkrył jedną z najbogatszych w świecie kopalń w *Zacatecas Veta Grande*. Niektórzy Indyanie wiedzą miejsca, w których wydobywano szlachetne kruszce za czasów Inkasów, i podania o tych skarbach, jako tajemnicę, zachowują w swoich rodzinach. Mówią, że wiadomość o nich przekazują w puściznie następcom, aby kiedyniekiedy mogli w koniecznej potrzebie brać po kawalku złotego kruszcu, a jak nastaną lepsze czasy i powróci panowanie *czerwonych skór*, ażeby mogli swobodnie się zбоgacić. Czasami Indyanie, powodowani wdzięcznością ku jakiemu białemu, dają mu w podarunku złoto i srebro, które dobywają z tajemnych źródeł; lecz nigdy ich nie wyjawiają. Doktor *Tschudi* opowiada wiele powieści przez siebie zebranych, o podobnych tajemnicach przez krajowców przechowywanych. W Peru zdarzył się następujący wypadek: jeden zakonnik żył w przyjaźni z Indyaninem; dostawszy od niego w podarunku sztukę szlachetnego kruszcu, prosił Indyanina, aby mu wskazał miejsce, z którego sztukę tę przyniósł. Indyanin przyrzekł to uczynić, i w nocy przyszedł z dwoma swojemi przyjaciółmi; zawiązali chustką oczy zakonnikowi i zanieśli go na plecach w góry. Tam zdjeli zawiązkę; zakonnik ujrzał się w jakiejś studni, na dnie której ślepiły oczy jego bryły drogich metalów;abrał więc pożądanego kruszcu tyle, ile mógł z sobą unieść w worku. Kiedy napowrót Indyanie odnosili go w taki sam sposób, w jaki przynieśli, przezorny zakonnik rzucał po drodze paciorki ze swego różańca,

w nadziei, że one później doprowadzą go do zachowanych skarbów. Zakonnik już był pewny owoców swojego fortelu, gdy po jego przybyciu do mieszkania, w kilka godzin wchodzi Ludyenin i przynosi garść paciorków, mówiąc, że są z różańca, i że je zakonnik na drodze pogubił.

Przez cały północno-amerykański ląd, zaczynając od 57° północnej szerokości, dalej bowiem ku arktycznemu czyli Północnemu oceanowi, miejscowość nie jest zbadaną; ciągnie się wzdłuż Wielkiego oceanu nieprzerwany łańcuch gór, znany pod ogólnym nazwiskiem *gór skalistych* (*Monts rocheuses; rocky mountains*), a który w rozmaitych krajach zmienia swoje nazwisko, i łączy się z drugim nieprzerwany łańcuchem, *Kordylierami*, przecinającym południową Amerykę w kierunku od północy ku południowi, aż do samej Magiellańskiej cieśniny. Łańcuchy te stanowią jakby jedno pasmo gór, mające od 10 do 30 mil szerokości.

Na prawo od tego najdłuższego w świecie pasma, czyli od strony oceanu Atlantyckiego, w północnej Ameryce, pomiędzy 32° a 48° szerokości północnej, ciągnie się drugi główny łańcuch *Aleghany*, z kilkoma znacznymi odnogami, stanowiącemi jedną grupę.

W południowej Ameryce, od strony oceanu Atlantyckiego, przecinają ląd dwa systemata gór: *Parymeński*, który się ciągnie od brzegów rzeki Orenoko ku Atlantyckiemu oceanowi, łącząc się z kilku innymi łańcuchami, z których główniejszy *Siera-Parime*, znajduje się pomiędzy 5° północnej szerokości a równikiem; i drugi *Brazylijski* systemat, złożony również z kilku łańcuchów, a ciągnący się od 4° południowej szerokości na południe do Montevideo, czyli do 33 stopnia.

Góry amerykańskie w ogólności obfitują w rozmaite minerały, lecz szlachetne kruszce dotąd wykryte zostały w północnej Ameryce, w południowej części Stanów Zjednoczonych i w Meksyku; a w południowej, w Nowej Grenadzie, Peru, Boliwii, Brazylii, Rio La Plata i w Chili.

W Stanach Zjednoczonych zaczęto poszukiwać złota od r. 1814, a produkować je dopiero w dziesięć lat później. Gałąź głównego łańcucha Aleghany, znana pod nazwiskiem *gór Niebieskich* (Blue-Ridge), pomiędzy 40° a 34° szerokości północnej, zawiera złoto; znajduje się ono również w złotodajnych rozsepach, mniej lub więcej obfitych na całej przestrzeni, zawartej pomiędzy wspomnianem ramieniem i wypływającą z niego rzeką *Potomac*, wzdłuż oceanu Atlantyckiego aż do rzeki *Alabama*, wpadającej do zatoki Meksykańskiej i początku rzeki *Tennessee*, wpadającej w Ohio.

Kopalnie tego kruszcu są rozrzucone w prostej linii na przestrzeni 180 mil polskich; wnioskuje także, iż złotodajne pokłady przechodzą na północ i na lewą stronę *Potomac*, lecz w tej części Zjednoczonych Stanów niema niewolników, i dlatego ręka ludzka jest obrócona do innych robót; wydobywaniem zaś złota wcale się tam nie zajmują. W New-Jersey długo wyrabiano kopalnią miedzi, spodziewając się znaleźć złoto, na ślad którego trafiono.

W Wirginii znajduje się złoto przy źródłach rzeki *Rapahonock*, a nawet przy ujściu jej znaleziono raz w łózysku znaczny kawał czystego kruszcu. Początek zaś złotodajnego rozsepu, wykryto w długim, wązkim powiecie, w okręgu *Spotsylvania*, którego wyżej wspomniana rzeka stanowi północną granicę. Rozsep ten ciągnie się w kierunku południowo-zachodnim, i wchodzi

w terytorjum północnej Karoliny, gdzie znowu ciągnie się wzdłuż południowego spadku gór *Niebieskich* (*Bleu-Ridges*) w kierunku południowo-wschodnim, przez okręgi: *Lexington, Salisbury, Concord, Laurenceville, Wadesbourg, Charlotte*; potem zmienia kierunek w prostej linii ku zachodowi, przez okrąg *Rutherfordton*, północną część południowej Karoliny, następnie przez okręgi *Clarksville, Gainsville* i *Canton* w Georginii, nakoniec w kierunku północno-wschodnim przez *Alabama* gubi się w Tennessee.

Trzy są najbogatsze kopalnie w północnej Karolinie: *Anson-Mine* w okręgu *Wadesbourgh*, niedaleko zatoki *Richardsona*, stanowiącej odnogę *Rocky-River*; *Read's-Mine*, na odnodze téjże ostatniej rzeki w *Cabarus* (okręgu *Concord*), gdzie czasami trafiają się kawałki czyli samorodki znacznej wielkości, pod pierwszą powłoką ziemi (1); i *Parker's-Mine*, znajdująca się na strumieniu w odległości czterech angielskich mil od rzeki *Yadkin*.

W amerykańskim dzienniku (*American journal of science*, 1845, April), donoszą, że w obudwu Karolinach w r. 1843 wydobyto złota za 272,000 dolarów, czyli około 367,000 rub. sr. Tamże piszą, że piasek rzeki *Catawba*, wpadającej do rzeki *Centree* (2), został wydzierzawiony przez spekulanta *Gibson*; używa on płaskich czółen czyli łódek, które są na środku rzeki do palów przywiązane: na każdym takiem czólnie znajduje się przynajmniej trzech ludzi, którzy czerpią piasek ze dna

(1) Często trafiają się w tych okolicach kawałki złota, 400, 500, a czasem 600 *penny weights* wążące. Jednego razu, na kilka cali głębokości murzyn znalazł samorodka, który ważył 28 funtów (*Avoir du pois*).

(2) Rzeka *Centree* wpada do zatoki Meksykańskiej.

rzeki kublami na długich kijach przywiązanemi, i zbięrają potem złoto za pomocą amalgamacji z żywém srebrem. Piasek można zawsze czerpać stojąc na jedném miejscu, ponieważ rzeka ciągle go przynosi, a nie będąc splawną, żadnych przeszkód robotom nie przyczynia. Złoto to, jak się zdaje, pochodzi ze złoza (*Gang*) brunatnego hematytu, który się znajduje w powiecie *Centreville*, niedaleko źródeł *Catawby*, w okolicy kopalni węgla kamiennego (1).

Olmsted, professor w Ameryce, który w roku 1825 wydał opis złotodajnego pokładu północnej Karoliny, mówi, że część kraju, przez którą ciągnie się ten pokład, jest bezpłodna i dzika, a mieszkańcy w ogólności biędni i mało oświeceni (2). Chociaż od tego czasu krajowcy dużo pod względem oświaty zrobili postępu, i chociaż daleko więcej otworzono nowych kopalni, lecz wyrób złota w ogólności zmniejszył się; albowiem w kopalniach koło małego miasta *Charlotte* w południowej części, w r. 1828 pracowało 20,000 robotników (3), a produkcya złota wynosiła rocznie od 4 do 5 milionów dolarów (blizko 6,750,000 rub. sr.), teraz zaś cała produkcya roczna Stanów Zjednoczonych, nie wynosi jednej czwartej części téj summy.

W Georginii w okolicach miast *Habersham* i *Hall* (w okręgach *Clarksville* i *Gainsville*) są kopalnie, które uchodzą za najlepsze, lecz w ogólności niebogatę. Wielu tamecznych właścicieli posprzedawali swoje grunta cząstkowo spekulantom za bardzo wysoką cenę,

(1) *Froriep's Neue Notizen*, 1846, nr. 808, str. 248.

(2) *Commercial Statistics* by *John Macgregor*, VIII, str. 372.

(3) *Précis de la Géographie Universelle* par *Malte-Brun*, T. XI str. 244.

a w niektórych powiatach właściciele ziemscy po kilka razy się zmieniali; roboty prowadzą cztery główne stowarzyszenia. Na brzegach rzeki *Chestetee* w powiecie *Cherokee*, odkryto również ślady złota, gdzie zaraz rzuciło się do 5000 awanturników i skopali ziemię na znacznej przestrzeni, bez odniesienia jednak spodziewanych korzyści. W *Alabamie*, jak widać z ostatniego sprawozdania komitetu rolnictwa, znajduje się pięć głównych i kilka mniejszych kopalni złota i srebra w powiecie *Randolph* (M. C'Donald okrąg), których produkcja roczna wynosi do 125,000 dolarów. Od 300 do 500 robotników stale tam pracuje. Znajdują się również bogate kopalnie złota w *Tallaposa*, (okręgu *Dodeville*), a nadto znaleziono rodzime złoto w *Coosa*, *Talladego* i *Chambers* (1).

Podług obrachowania *Chevaliera*, produkcja złota w Stanach Zjednoczonych wynosi w przecięciu rocznie 1800 kilogramów, czyli 6,199,000 franków. Cała zaś produkcja od początku do 1 stycznia 1846 roku, czyni 18,525 kilogramów czyli 63,810,000 franków (2).

W *Mexyku* na całej przestrzeni pomiędzy zatoką *Mexykańską*, od ujścia rzeki *Missisipi* a brzegami *Wielkiego oceanu*, od równoleżnika pod 30° szerokości północnej aż do cieśniny *Panamskiej*, rozrzucone są drogie kruszce, w większej lub mniejszej ilości. Kraj ten szczególnie obfituje w nader bogate kopalnie srebra; złoto zaś w części wydzielają ze srebra, a w części wyplukują z piasków.

(1) *Coosa*, stolica okręgu *Rockford*; *Talladego*, okręgu tegoż imienia, a *Chambers* okręgu *Lafayette* (*Commercial Statistics* by *John Macgregor T. III*, str. 850).

(2) *Revue de deux Mondes*, 1847, artykuł: *Des mines d'argent et d'or du nouveau Monde*, str. 1027.

Od *Veracruz*, w prostym kierunku ku zachodowi do miasta *Colima*, ciągną się szczyty wulkaniczne. Jeżeli poprowadzimy przez nie prostą linią, która przypadnie pod 19° szerokości, i przetniemy ją drugą pod kątem 45° , któraby przechodziła przez miasta *Guanaxuato* i *Guadalupe-y-Calvo*: to na tej linii i na przedłużeniu jej pomiędzy równoleżnikami od 20° do 30° szerokości północnej, będzie główny i najbogatszy pas metaliczny, dość wązki, który obfituje w drogie kruszce i inne minerały. Pas ten ciągnie się wzdłuż gór *Skalistych*, znanych w Meksyku pod nazwiskiem *Sierra Verde* i *Sierra Madre*, po ich zachodniej stronie; wschodni zaś spadek, mniej jest, jak się zdaje, w szlachetne kruszce obfity, i dotąd same tylko kopalnie *San - Luis Potosi* stanowią wyjątek od tej zasady. Srebro wydobywane z kopalni *Catorce*, *Zacatecas* i *Tasco*, zawiera najmniej złota (1): zaś kopalnie *Guanaxuato* i *Guadalupe - y-Calvo*, najwięcej go wydają.

Od źródeł rzeki *Deluerte*, wpadającej w zatokę Kalifornii, ciągnie się mniejsza odnoga *Sierra - de Madre*, która niedaleko miasta *Durango*, styka się z głównym pasmem.

Pomiędzy więc tą odnogą a zatoką Kalifornii, na północ od miasta *Mazatlan*, na przestrzeni od 23° do 30° szerokości północnej, a szczególnie w prowincjach *Sonora - et - Sinaloa*, rozrzucone są najbogatsze w Meksyku złotodajne piaski. Hiszpanie osiedli w *Sonora - et - Sinaloa*, będąc często niepokojeni przez dzikie indyjskie pokolenia, przedsięwzięli przeciwko nim wojnę, która trzy lata trwała, i roku 1771 ostatecznie ich pod moc

(1) *Catorce* i *Zacatecas* znajdują się na wschodnim, a *Tasco* na zachodnim spadku *Sierra - Verde*.

swą podbili. W ciągu téj wyprawy Hiszpanie zwiedzi-
li część kraju, w której nie postali dotąd, i w *Cineguilla*
(w prowincyi Sonora) odkryli równinę 14 mil angielskich
przestrzeni, na której prawie na powierzchni, bo
na 16 cali głębokości, znaleźli nadzwyczajną obfitość sa-
morodnego złota. Często trafiały się kawałki ważące
dziewięć grzywien, a wkrótce nie mając nawet czasu do
przeplukiwania piasków, zebrali tysiąc grzywien złota
w ziarnach. Osoby wiarogodne, szacowały bogactwo te-
go rozsepu na milion *pesos*. Z końcem 1771 r. blisko
dwukroć sto tysięcy osób osiadło w *Cineguilla*, w ce-
lu poszukiwania złota; później zaś w obudwóch prowincy-
ach *Sonora* i *Sinaloa* wykryto nowe rozsepy, nieustę-
pujące swojém bogactwem zlotodajnym piaskom *Cine-
guilli*. W kopalniach *Oaxaca*, gdzie Hiszpanie zaraz po
podbiciu kraju rozpoczęli roboty, oraz w *Villalpando*
niedaleko *Guanaxuato* są rudy skalne, z których teraz
dostają złoto przez odłączanie go od srebra. Za czasów
zaś Inkasów, jak utrzymuje Korteż w opisie historycz-
nym swójój wyprawy, mieszkańcy *Tzapoteca* i *Miatecu-
pan* (1) wypłukiwali tam złoto z piasków.

W najnowszych dziennikach amerykańskich czytamy,
że w Kalifornii na brzegach rzeki *Sacramento* i wpada-
jących w nią rzeczek, odkryto w roku 1848 nowe roz-
sepy tak bogate, że mieszkańcy téj prowincyi opuszczą-
ją roboty rolnicze, a rzucają się do płukania złota, i że
jeden człowiek wypłukuje czasami za 100 i 200 dolarów
szlachetnego kruszcu dziennie. Rzeka *Sacramento*, której

(1) Trudnili się tém szczególnie mieszkańcy starożytnych
miast *Huacayaca* (*Oaxaca*), *Cofolapan* *Atlaeuochahuayan* (*Essai*
politique sur le Royaume de la Nouvelle Grenade. T. III str. 115
A. Humboldt).

źródła dotąd niewiadome. wypływa jak wnoszą z jeziora *Tympanagos*; toczy się przez dziki kraj, zamieszkały koczującemi narody nowój Kalifornii, i wpada do zatoki śgo Franciszka, tworzącej najlepszy port Wielkiego oceanu. Tak zwane jezioro *Tympanagos* stanowi masa mniejszych jezior, bagien i wysp, na których, według zapewnień, bywają wezbrania podobne do morskich; leży ono pod 39° szerokości, a 120° długości, Rzeką Sacramento i wpadające w nią strumienie, zajmują przestrzeń pomiędzy równoleżnikami 30° a 40° szerokości północnej, zatem nowo odkryte złotodajne rozsepy, położone są w tej samej strefie, w jakiej leżą naj słynniejsze ze swego bogactwa od niepamiętnych czasów rozsepy na obydwóch spadkach Bolorskich gór, w środkowej Azji rozrzucone.

Produkcya złota w Meksyku od czasu podbicia, do końca 1845 r. podług obrachowania Chevaliera, wynosić może włącznie z ilością potajemnie z kopalń wyprawzoną, 370,221 kilogramów czyli 1,306 milionów franków; co z porównania produkcyi srebra w meksykańskich kopalniach w przeciągu tegoż samego czasu wyrobionego, daje stosunek co do wagi jak 1:160, a co do wartości, jak 1 frank do 10 fran. 34 centymów (1).

Produkcją tę z powodu wojen domowych, które trwały od r. 1810 do końca 1825, trzeba podzielić na trzy peryody. W pierwszym czyli od czasu podbicia Meksyku do 1810 roku, to jest w przeciągu 290 lat, wyrobiono złota. 254,476 kilog.

(1) Produkcya srebra w tymże samym peryodzie, bez aliażu wynosi 60,782,917 kilog. czyli 13,507 milion. fr. wartości w moneta.

Z przeniesienia	254,476 kilog.
W czasie wojen od 1810 r. do 1826, czyli w przeciągu lat szesnastu.	22,185 kilog.
Od r. 1826 do 1845 włącznie, czyli w przeciągu lat dwudziestu	102,560 kilog.

Razem 379,221 kilog.

W późniejszych zaś czasach, do ostatniej wojny ze Stanami Zjednoczonymi, produkcya złota czyniła rocznie tylko 2,958 kilogramów, czyli 10,200,000 franków. Stosunek jego do srebra pod względem wagi był jak 1:135, pod względem wartości jak 1 frank do 8 fran. 50 centymów.

Pomimo tego mniej w ostatnich latach pomyślnego skutku, z porównaniu powyższych liczb wypada, że produkcya złota w każdym peryodzie powiększała się znacznie, a to w stosunku jak: 0,8 : 0,13 : 0,51, produkcya zaś srebra wzrastała słabiej, a mianowicie jak: 173 : 256 : 359. A ponieważ w porównaniu ze srebrem, stosunek wyrabiania złota jest znacznie większy, jakiegoby spodziewać się można tylko przy wszelkiem możliwem udoskonaleniu środków odłączania go od srebra: wypada przeto przewyżkę tę odnieść na rachunek złota wyplukiwanego z piasków, a ztąd wnosić można, że jeżeli kopalnie żyłne, z których drogie kruszce są wydobywane, zmniejszyły się lub zubożały przez ciągły ich wyrób, zlotodajne rozsepy meksykańskie przedstawiają przeciwny wypadek; i niema wątpliwości, że w pustyniach *Sonora*, *Texasa* i *Kalifornii*, na spadkach *Sierra de San Saba* lub przy początkach rzek *del Norte*, *Plata* i *Arkansas*, a szczególnie pod tąz strefą na zachodnim spadku *Sierra-Verde*, wykryją nowe rozsepy takie bogate, jak syberyjskie lub Azji środkowej.

W Stanach skonfederowanych środkowej Ameryki znajduje się najbogatsza kopalnia złota w prowincyi *Honduras* w *Del corpus* i *Tabanco*, tudzież w górach *Mendon*, pomiędzy *Chiquimula*, a północnymi brzegami nadmorskiemi. W prowincyi *Costa Rica*, są kopalnie drogich metali w łańcuchu *Sierra Aquacante*, również jak i w prowincyi *San Salvador*, która obejmuje kraj zwany przez mieszkańców do tego czasu *Cuscallan*, co znaczy kraj bogactw.

W Ameryce południowej, złoto znajduje się po większej części na zachodnich spadkach Kordylierów, w znacznie zaś mniejszej ilości na wschodnich. Łańcuchy gór systematu brazylijskiego, a mianowicie: *Serra de Espinhaco*, *Serra de Montequiera* i *Cordeliera Aimores*, dla przyczyn dotąd niewyjaśnionych, przedstawiają takiż sam wypadek.

Dawne wice-królestwo *Grenady*, później Rzeczypospolita kolumbijska, od roku 1830 rozdzielone na trzy oddzielne pomniejsze Rzeczypospolite: *Nowa Grenada*, *Venezuela* i *Ecuador*, od początku XVII wieku wydawały drogie metale i prawie wyłącznie złoto. Terytorjum teraźniejszej Nowej Grenady, dostarczało szlachetnego kruszcu poprzednio i teraz go najwięcej dostarcza. Z początku złoto wyplukiwano z piasków, a teraz z rud zaczęto je wyrabiać.

Na międzymorzu Panamskiem, w prowincyi *Veragua*, zaczęto wyrabiać złoto jeszcze za czasów Krzysztofa Kolumba, lecz głównejsze kopalnie i rozsepy Nowej Grenady, z których teraz produkują złoto, znajdują się na zachodnich spadkach trzech łańcuchów, znanych pod nazwiskiem *Kordylierów Choco*, *Kordylierów zachodnich*, i *Kordylierów wschodnich*.

Pomiędzy Kordylierami Choco a Wielkim oceanem, najbogatsze kopalnie istnieją w prowincyi *Choco*, pod miastem *Quibdo*, i w prowincyi *Pasto*, w okręgu *Barbacaos*. W zachodnich Kordylierach, w prowincyi *Antioquia*, niedaleko miasta *Santa-Rosa-de-Osos*, są bardzo bogate złotodajne rozsepy, lecz z powodu nadzwyczaj trudnych i niebezpiecznych związków przez góry, i braku rąk, bardzo się mało z nich wybiéra. Prowincye *Mariquito* i *Popoyan*, również są znane z bogatych rud i rozsepów. We wschodnich Kordylierach, prowincye *Pomplona*, *Socora*, niedaleko miasta *Velez*, jak niemniej okrąg *Neyba*, obfitują w złoto. Tam gdzie się łączą pasma wschodnich i zachodnich Kordylierów, stanowiących główny łańcuch *Kordylierów środkowych*, wypływa rzeka *Magdalena*, wpadająca w morze Antylskie. U źródeł rzeczek wpadających w *Magdalene*, pomiędzy równoleżnikami, pod 2^o i 6^o szerokości północnej, oraz w dolinie *Rio-Cauca*, w ostatnich czasach odkryto najwięcej złotodajnych rozsepów, które pod względem geograficznego położenia, odpowiadają rozsepom afrykańskiemu, znajdującym się w Gwinei czyli Złotym wybrzeżu, a w Azji, znakomitym niegdyś rozsepom *Chersonezu Złotego*. W piaskach rzeki *Rio Hacha*, wypływającej z gór *Sierra Nevada de Santa-Marta* i wpadającej w morze Antylskie, niemniej w rzecę *Rio-Zulia*, która wpada do jeziora *Maracaybo*, odkrywają się często ślady złota.

Terazniejszą roczną produkcją złota Nowej Grenady, rachują na 4,954 kilog. (17,062,000 fr.) wartości; cała zaś produkcya od czasów jak wybiéruć zaczęto, do 1845 r. włącznie, podług *Chevaliera* wynosi 556,840 kilog. czyli 1,918 milionów franków wartości.

W Rzeczypospolitej *Ecuador*, na zachodnich spadkach środkowych Kordylierów, niedaleko Wielkiego oceanu, w okręgu *Loxa*, miasto *Zaruma*, mające do sześciu tysięcy mieszkańców, znane jest ze swoich bogatych kopalń złota. W téjże samej prowincyi za *San Jean de Bracamores* i *San Francisco de Boria*, małemi miasteczkami, które jakby zaginęły w pustyniach, ciągną się obszary mało jeszcze znane, zamieszkałe przez dzikie indyjskie pokolenia. W tych osadach, u źródeł rzek wpadających w rzekę Amazonkę, znajdują się złotodajne rozsepy, których wydajność, z powodu zaciętej nienawiści krajowców ku Europejczykom, dotąd nie jest oznaczona; lecz w ogólności, piaski te słyną jako bogate.

Kończąc o dawném vice-królestwie Nowej Grenady, nie od rzeczy będzie wspomnieć o Rzeczypospolitej *Venezuela*, jako stanowiącej niegdyś część pomienionego vice-królestwa. Terytorjum nowej Rzeczypospolitej *Venezuela*, położone pomiędzy równoleżnikiem pod 2 stopniem szerokości południowej a morzem Antylskim, pokrywa tę samą geograficzną strefę, którą w środkowej Afryce zajmują złotodajne rozsepy na obydwóch spadkach gór *Kong* i *Dzabel-al-Kamar* czyli *Księżycowych*, i w pustyniach podrównikowych; a chociaż dotąd *Venezuela* nie liczy się do krajów słynnych z bogactw metalicznych, jednakże obszerne jej pustynie w XVIIym wieku dały początek powiastce, która tyle zajmowała geografów, o kraju *Eldorado*, nadzwyczaj bogatym w złoto, w stolicy którego, zwanéj *Monoa*, świątynie i pałace miały być tym drogim metalem pokryte. P. Julian de Blosseville w artykule swoim: „*Explorations de l'Amérique*” pisze o *Eldorado* jak następuje:

„W obszerniej części Ameryki, leżącej między rzeką Amazonką, Orynyką, Kordylierami i oceanem Atlantyckim, powinien się znajdować początek najslawniejszej baśni geograficznej o kraju Eldorado — niewyczerpaném źródle bogactw. Po odkryciu tej części Ameryki, Peruwianie i Indyanie z Bogoty i Venezueli, jednocześnie o niej wspominali. Wyszukanie tego kraju wzbudziło zapal chciwości w umyśle niektórych ludzi przedsiębiorczych, a odkrycia przez to spowodowane, zrobiły go ważną epoką w historii geografii. Wszystkie raporta zgadzały się na to, że kraj ten był położony w środku Guyany (1). Ze strony Venezueli podejmowano się największych starań, i wysłano najznakomitszą wyprawę pod wodzą niemieckiego kawalera Filipa von Hütten, który z nielicznym oddziałem Hiszpanów doszedł z nadbrzeża *Caracas* aż do okolic jeziora *Parime*, niedaleko miasteczka należącego do *Omagasów*, którego ważność przesadził. Druga mniej szczęśliwo wyprawa, była wysłana w tę bogatą stronę pod wodzą *Pedra Malaver de Silva* we 20 lat później. W r. 1586, *Antonio Berrio y Oruna*, złudzony tą samą nadzieją, zeszedł z *Kordylierów Bogotskich* na płaszczyznę wschodnią, zatrzymał się nad brzegami rzeki *Orynyko*, i założył miasto *San-Thome*, inaczéj *Vieja-Guyana* zwane. Później *Walter Raleigh*, człowiek uczony, zdolny i znany przez swój nieszczęśliwy zapal do odkrywania krajów zapomnianych, kopalni i do rozszerzania handlu, przedsięwziął wyszukać El-

(1) Niewiadomo kto puścił wieść o istnieniu Eldorado w Gujanie, lecz to pewna, że kiedy *Laravardiere* tam osiadł, łatwo było przekonać się, iż żadna część Ameryki nie była mniej bogatą w złoto jak *Gujana*, i że w ogólności góry jej zawierają mało metaliów. *Malte-Brun, Géographie*, T. XI, str. 703.

dorado; w r. 1695 i 1696 zwiedził nadbrzeża Guyany i bieg Orynoko, ale wiadomo, że głową przypłacił swoje usługi. Nadzieja odkrycia tego ponętnego kraju spowodowała wyprawę Soarresa do prowincyi Charkas, i ona to sprowadziła Federmana z Venezueli do Santa - Fe de Bogota. Naroszcie by uzupełnić spis tych bezskutecznych wypraw do celu urojonego, należy jeszcze wspomnieć o Antonim Santos, który w roku 1780 wyjechał z San - Thome, spuszczać się na dobrą wiarę mniemauego Indyjanina z Parymy. Gdy już 500 mil francuzkich drogi odprawił, przewodnik go opuścił, towarzysze poginęli, a on sam wpadł w ręce Portugalczyków."

Dawne vice-królestwo *Peru*, teraz podzielone na dwie rzeczypospolite: *Peru* i *Bolivia*, początkowo ze wszystkich hiszpańskich osad w nowym świecie, najobficiej dostarczało drogich metali; i chociaż później Meksyk wydawał dwa razy więcej bogactw, jednak peruwiańskie zostały nazawsze w podaniu ludów najpiérwszemi w świecie.

W Peru tak jak i w Meksyku, srebro stanowi główny produkt, z tą tylko różnicą, że w Meksyku wyplukują złoto w części z piasków, co do Peru zaś, nigdzie nie znajdujemy wzmianki o złotodajnych piaskach, które tam bez wątpienia istnieją. Peruwiańskie złoto pochodzi z rud i z odłączenia od srebra.

Kopalnie peruwiańskie drogich metalów, znajdują się w departamencie *Ayacucho*, w miastach *Huancabelica* i *Lucanas*; w departamencie *Puno*, w okolicach miast *Puno*, *Lampa* i *Cailamos*; w departamencie *Arequipa* wśród pustyni w bliskości miasta *Huantajaya* i portu Wielkiego oceanu *Iquique*; w departamencie *Juin*

w *Pasco* v. *Lauricocho*, i w departamencie *Liwertad* w *Mecupampa*.

Najśłynniejsza, chociaż rzeczywiście nie najbogatsza w świecie kopalnia *Potosi*, leży w departamencie *Potosi*, w teraźniejszej rzeczypospolitej *Boliwijskiej*, gdzie również jak i w departamencie *Oruko*, w powiecie tegoż nazwiska, tudzież we wszystkich prawie dolinach *Jungas*, w nizinach rzeki *Tipuani* wpadającej w rzekę *Bini*, i w dolinach otaczających jezioro *Tuicaca*, i w departamencie *La-Paz*, znajduje się kilka innych bogatych kopalń. W górach niedaleko brzegów oceanu, wykryto także złoto, lecz wydobywania go dotąd nie rozpoczynano. Pomimo tego, że Meksyk wydał w dwójnasób więcej drogich metali aniżeli Peru łącznie z Boliwią, kopalnie jednak tych ostatnich bogatsze są co do wydajności, a nawet peruwiańskie są łatwiejsze do wyrobki; lecz że mniej wydały, należy to przeszkodom fizycznym przypisać. Kopalnie peruwiańskie leżą na takiej wysokości, że ziemia zawsze prawie jest tam zamrzła, drzewo nie rośnie, i człowiek niechętnie osiada. W *Pasco*, *Huanca-belica* i *Mecupampa*, osady ludzkie dotykają wieczystych śniegów; jestto północna Syberya podrównikowa, Syberya ze straszliwemi uraganami stref gorących, Syberya bez lasów tak użytecznych przy pracach metalurgicznych, i bez spławnych rzek, któreby ułatwiały handel i dostawę żywności, w peruwiańskich kopalniach niewypowiedzianie drogiej.

Roczną wyróbkę Peru w ostatnich czasach obliczano na 708 kilogr. złota, wartości 2,439,000 franków, a Boliwii na 444 kilogr. czyli 1,529,000 franków; stosunek zaś złota do srebra, co do wartości, wynosi w Peru 1 : 10, a w Boliwii 1 : 7.

Całą wyrobkę złota tak w Peru jak w Boliwii, podług Chevaliera, od początku podbicia do 1 stycznia 1846 r. obliczono na 337,725 kilogr. wartości 1,163 milionów franków; a stosunek całej wyrobki obudwu metalów wynosi: 1 kilogr. złota na 170 kilogr. srebra, czyli 1 frank złota na 11 franków srebra.

W porównaniu z wyrobką Meksyku, Andy peruwiańskie od rozpoczęcia poszukiwań, po koniec 1845 r. wydały blisko jeden miliard mniej drogich metalów, to jest srebra łącznie ze złotem.

Dalej ku południowi, pomiędzy Kordylierami a Wielkim oceanem, istnieje *rzeczypospolita Chili*. Chcąc dostać się do niej z Peru, trzeba się przedziierać przez puste i nieplodne góry, wieczne śniegi i okropne otchłanie. Natura oddzieliła od reszty ziemi ten kraj malowniczy, żyzny i zdrowy. Potęga Inkasów wdarła się jednak do niego wprzód, nim wojsko hiszpańskie; lecz ani jedna, ani drugie nie zdołały podbić zupełnie tej ziemi wolności. Wiosna tam panuje od miesiąca września do grudnia; czas, w którym zwykle rozpoczynają się lata w krajach półkuli południowej. Nadbrzeże składa się z wąskiej płaszczyzny, za którą kilka rzędów gór nagle się wznosi. Wierzchołki Andów, na których z pośród masz śniegu wybucha dwadzieścia wielkich wulkanów, upiększają ten uroczy widok. Wnętrza gór zawierają w obfitości złoto, srebro, miedź i żelazo; znajdują się tam całe góry magnesowe. W okolicach *Guasco*, *Cochimbo* i *Quillosa*, ziemia zdaje się być nasiąknięta materiami metalicznymi.

Niewielki oddział Hiszpanów, pod dowództwem Almagro, po raz pierwszy ukazał się na wyżynach chilijskich w 1535 r., gdzie zebrał znaczną ilość złota, któ-

re tam znajdowało się w wielkiej obfitości prawie na powierzchni ziemi. Od czasu podbicia Chili, płukano tam złoto z piasków; później zaś, a szczególnie od r. 1830, wyrób srebra wziął przewagę. Główniejsze kopalnie złota, znajdują się na północ od Santjago w małych miasteczkach *Lingua* i *Petorca*; kopalnie te podobne do peruwiańskich, leżą już w śniegowym pasie. Góra *Upsalata*, zawiera nader bogate drogie kruszce, których centnar wydaje 60 grzywien czystego metalu. W prowincyi *Colchagua*, miasto *Curico* słynie również ze swojej bogatej kopalni złota. W prowincyi *Coquimbo* czyli *la Serena*, w *Copiapo*, *Chanareillo* i *Huasco* (v. *Guasco*, v. *Santa-Rosa*), i w prowincyi *Aconcagua* w *San-Filipe-el-Real*, są najbogatsze kopalnie srebra, z którego odłaczają złoto. Niektóre rzeczki toczą także obficie w piaskach swoich szlachetny kruszec.

Wydajność złotonośnych piasków w Chili jest nader bogata. Domeyko oblicza ją w przecięciu: lepszego gatunku na 0,000 078 080; podlejszego na 0,000 009 760. Żwiru zaś, mającego wydajność 0,000 001 000 wcale nie płuczą (1). Piaski Renu, Elder, a nawet stepów kirgizkich w Syberyi, są nieporównanie uboższe. W ogólności ziarna złota w Chili i Syberyi, są o 200 do 400, a nawet często o 1000 razy większe, od ziarn znajdujących się w Renie lub w Elderze (2).

Produkcya złota w Chili podług Humboldta, z początkiem XIX wieku wynosiła w przecięciu 2,807 kilogr. rocznie, a teraz obliczają ją tylko na 1,071 kilogr. Cała produkcya złota, od początku do 1846 r. podług Che-

(1) *Annales des mines*, 4 série, T. VI, str. 170.

(2) *Annales des mines*, 4 série, T. X, IV livraison, 1846.

valiero, czyni 248,000 kilogr. (854 milionów franków) wartości, stosunek zaś jej do srebra pod względem wagi, jest 1 kilogram złota na 4 prawie srebra, a co do wartości: 1 złota na 0,19 srebra.

W stanach skonfederowanych *Rio de la Plata*, w prowincyi *San-Juan*, przy mieście *Jacha*, istnieje znakomita ze swego bogactwa kopalnia złota, która podług M. Nunez przynosiła rocznie 80,000 piastrów. Dalej ku północy, w terytoryum téjże prowincyi, w górach *Famatena*, dobywają również złoto. W prowincyi *Tucuman* są dwie kopalnie złota, w prowincyi *Iwuj*, w bliskości miasta tegoż nazwiska, wyniosłości okoliczne a nawet całe pasma gór sąsiednich, zawarte pomiędzy *Rio-Grande* i *Rio-Vermejo*, obfitują w ogólności w drogie metale.

Istnieją nadto w niektórych miejscach obszernego terytoryum Stanów La Plata, inne jeszcze kopalnie srebra, a zapewnie i złota; lecz w ogólności kraje te są mało znane.

Produkcya złota tak Rio La Plata, jak i niektórych stanów środkowej Ameryki, nie jest stanowczo oznaczoną; Chevalier w artykule swoim: „*Mines d'argent et d'or du Nouveau Monde*”, oblicza ją w przecięciu na 500 kilogr. czyli 1,722,000 franków wartości rocznie.

Po Meksyku i Nowej Grenadzie, obszerne cesarstwo *Brazylijskie*, dostarcza z całej Ameryki najwięcej złota; i niema wątpliwości, że góry brazylijskie zawierają nader wielkie skarby dotąd niewykryte, a które człowiek potrafi z czasem opanować. Dotąd, jak mówiliśmy wyżej, wyrabiają złoto w górach: *Serra de Araras*, *Serra de Taugatinga*, *Serra de Espinhaco*, *Serra de Montequero* i *Cordiliera Aimores*.

Znakomitsze kopalnie znajdują się w prowincyi *Goyaz*, pomiędzy łańcuchami gór *Cordiliera Grande*, *Serra Araras* i *Serra Taugatinga*, w bliskości miast *Conceicao*, *Natavidad*, *Cavalcante*, *Pilar*, *Aquaquenta* i *Oiro-fino*, tudzież na południowym spadku urwistych skał, niedługo łańcucha *Pyreneos*, niedaleko miasta *Santa-Cruz*.

W prowincyach *Minas-Geraes* i *San-Paulo*, cała środkowa wyżyna, zaczynając od miast *Cidade-de-Auro-Preto* (dawniej *Villarica*) i *San-Paulo* aż do brzegów rzeki *Yetenes*, zawiera w obfitości, jak się zdaje, złoty kruszec; lecz większa część kopalń na téj przestrzeni znajdujących się, dotąd jest nietknięta, a złoto którego Brazylia dostarczyła Europie, pochodzi z rzek wypływających z gór, a przerywających te prowincye. O 5 mil francuzkich, w stronie południowo-wschodniej od miasta *San-Paulo*, istnieją dawne, najpierw odkryte kopalnie *Jurugua*, już przed dwoma wiekami znakomite, które w owym czasie nazywano brazylijskiém Peru. Otwory z których wydobywano kiedyś piasek do płukania, mają czasami od 50 do 100 stóp średnicy, a od 18 do 20 głębokości. Złotodajne pokłady często tam znajdowano tuż przy korzeniach trawy. Produkcya tych kopalń, podług wiarogodnych podań, wynosiła blisko $5\frac{1}{2}$ milionów piastrow, lubo *Humboldt* o $\frac{1}{5}$ mniej ją szacuje. Wydobywanie z tych kopalń było już zaniechaném, lecz około 1807 roku rozpoczęły się prace na nowo, a teraz (1844 r.), jak świadczy p. *Kidder*, nie prowadzą robót regularnie. Znakomitsza w tych okolicach kopalnia złota z żył, znajduje się na północ, o 10 dni drogi od *Rio-Janeiro*, w *Congo-Soco* (1), i wydobywa z niej kompania

(1) *Corgo-Secco* na niektórych mappach.

angielska. W początku 1829 r. odkryto tam nową żyłę, tak bogatą, iż w pierwszych dziesięciu dniach wydała 344 grzywien czystego metalu; później w tymże przeciągu czasu, tojest co dziesięć dni, wydawała ona regularnie od 200 do 480 grzywien. Wartość złota w sztukach, z Rio-Janeiro do Anglii przez kompanią przesłanego, a pochodzącego z wyrobu pierwszego półrocza 1829 r. od 1 stycznia do 1 lipca, wynosiła 4,166,000 fr.

Słynne niegdyś kopalnie w okolicach *Villarica*, które miastu dały początek, są teraz wyczerpane; kopalnie także założone w pobliżu miast: *Antonio-Pereira*, *Inficignano* i *Catas-Atlas-de-Mato-Dentro*, niegdyś tak bogate, dziś prawie zupełnie zubożały. Inne kopalnie, chociaż bogate, wszelako mniej niż powyższe, znajdują się w prowincyi *Mina-Geraes*, w okręgach i w pobliżu miast: *Paraetatu*, *Sabara*, *San-Joao d'El Reg*, *San-Jose-Campanha* (bardzo bogate), *Santa-Barbara*, *Agna-Suja*, *Fanado* (Minas Nouvas), *Villa de Principe* i *Cahyte*. W łózysku rzeki *Jegitonhonhu* v. *Jiquitonhonhu*, zbierają złoto i diamenty.

W zachodniej Brazylii, w prowincyi *Mato-Grosso*, źródła wpadające z jednej strony w Paragę, a z drugiej do rzeki Amazonek, toczą w piaskach swych złoto. W okolicach miasta *Cujaba*, od roku 1718 wydobywają złoto, a roczna produkcya téj kopalni wynosi 20 arbes, po 32 funty każda. Osada *San-Pedro-del-Rey*, 20 mil francuzkich od *Cujaby* na południo-wschód odległa, liczy teraz przeszło 2000 mieszkańców, z których znaczna część zajmuje się wyrobem złota w okolicach.

W prowincyi *Rio-Grande-do-Sul* czyli de *San-Pedro*, w lasach na brzegach rzek ją przerzynających, niedawne-

mi czasy rozpoczęto nowe zbiory złota, które wypłukują z piasków.

Produkcya złota ze wszystkich kopalni brazylijskich, wynosiła w połowie XVIII wieku, podług urzędowych doniesień, rocznie od 6,500 do 8,500 kilogramów, łącznie zaś z kontrabandą, pokryjому z kraju wyprawadaną. obliczają ją na 12,000 kilogr. Teraz Brazylia znacznie mniej wyrabia rocznie, bo tylko 2,500 kilogr. czyli około 8,610,000 fr. wartości. Cały zaś wyrób złota, od początku do 1 stycznia 1846 r., wynosi do 1,334,400 kilogr., wartości 4,596 milionów franków. Srebra w Bruzylji wcale nie wyrabiają.

Co do wysp amerykańskich na archipelagu Kolumbijskim, podług dawnych historyków, wyspa *Kuba* słynęła ze złota; a chociaż teraz kraina ta wcale nie szczyści się wydawaniem tego metalu, mieszkańcy jednak mają ogólne przekonanie, że wyspa ich leży na pokładzie złoty, którego jeszcze dotąd nie odkryto.

Chęć i nadzieja odkrycia kopalni złota lub srebra, zajmuje najwyższą władzę miejscową do tego stopnia, że prawem postanowiono: iż jeżeli kto z Hiszpanów wynajdzie na wyspie kopalnię złota lub srebra, zostanie wynagrodzony tytułem księcia; każdy krajowiec będzie miał szóstą część w wyrobie; niewolnik otrzyma wolność i 10tą część wyrobu, każdy cudzoziemiec ma prawo do 1/3 części, z tym nadto warunkiem: że rząd we wszystkich powyższych wypadkach przyjmuje na siebie wszelkie koszta prowadzenia robót (1). Długi czas na wyspie niejaki *Watchinango*, krajowiec z pokolenia me-

(1) *Trent huit jours dans les savanes de l'île de Cuba, par J. Tolmer.*

xykańskiego, który prowadził dziwaczne życie i rzadko pokazywał się ludowi, miał w posiadaniu, podług powszechnej wieści, kopalnię złota, którą przed wszystkimi ukrywał. Po śmierci jednak Watchinango, który tragicznie zginął w spotkaniu się z podróżującymi, odkryto, że on rzeczywiście posiadał skarb złożony z grubo wylanych sztab złota, które znalazł w czasie swoich dzikich wycieczek korsarskich, a któryto skarb był przechowywany w skałach *de Boca-Grande*.

Na wyspie Haiti (St-Domingo), Hiszpanie po przybyciu swoim znalazłszy, jak już wyżej powiedzieliśmy, wielką obfitość złota, ogłosili wyspę za należącą do korony hiszpańskiej, i zaraz włożyli na mieszkańców obowiązek dostarczania złotego kruszcu. Osada, którą zwycięzcy założyli w południowej części wyspy, pod imieniem *Santo-Domingo*, dała nazwisko całej wyspie. Podług *Herrera*, kopalnie *Vega* i *Buenaventura*, wydawały rocznie 460,000 grzywien złota; w ostatniej z tych kopalni znaleziono sztukę, która ważyła 200 uncyj. W późniejszych czasach wyrób złota w Haiti znacznie się zmniejszył. Czy teraz istnieją tam prawidłowe kopalnie, o tém nie wiadomo; wszakże *Negrykaszczany* z *Giraba* otrzymują jeszcze niewielką ilość szlachetnego kruszcu w ziarnie.

Na wyspie *Porto-Rico*, gdzie Hiszpanie początkowo zakładali osady umyślnie w widoku kopalni złota, metal ten stał się bardzo rzadkim.

Wszystkie powyższe wyspy archipelagu kolumbijnskiego, najwięcej znane z wydawania złota, leżą pomiędzy równoleżnikami pod 17 a 23 stopniem szerokości północnej, i odpowiadają co do geograficznego położenia strefie, pod którą leżą złotodajne pokłady w Afryce,

w górach *Alaki* czyli *Oalaki*, pomiędzy Nilem a morzem Czerwoném, niegdyś nader bogate.

Wyliczyliśmy znakomitsze miejsca, w których w Ameryce wydobywają złoto; jednakże w porównaniu z ogromną rozległością téj części świata, stanowią one nadzwyczaj małą przestrzeń. Mając wzgląd na położenie amerykańskiego lądu, trudno przypuszczać, aby obszary Wenezueli, Ecuador, Urugaj, Paraguaj, Patagonii, stanów środkowej Ameryki mało zbadane; w północnej zaś te przestrzenie, gdzie się zaczyna pasmo gór *skalistych* wcale nieznanne, nie zawierały w ogólności bogatych pokładów kruszcu, a pomiędzy nim drogiego, który powinienby zapewniać utrzymanie się terażniejszej produkcji na długi przeciąg czasu.

Zresztą teraz w niektórych krajach, nawet mennice mających, ilość wyrabianych drogiej metalów nie jest obliczona. Wiadomo naprzykład, że mennica Guatimalaska w latach 1820 i 1821, przerabiała rocznie na monetę krajowego srebra 9,046 kilogramów czystego metalu, nie rachując niewielkiej części złota. W 1824 r. w téjże mennicy wybito złotój monety z krajowego kruszcu 106 kilogr. Wyżej zaś wspomnieliśmy i o innych krajach, których nie można wykazać produkcji. Chevalier oznacza ją w ogólności na 500 kilogr. złota rocznie, 1,722,000 franków wartości.

Porównyując liczby produkcji każdego kraju o którym mówiliśmy, ogólna produkcya roczna na całą Amerykę (1) wynosi 14,934 kilogr. czyli 51,434,000 franków, a mianowicie (2):

(1) Oprócz wysp archipelagu kolumbijskiego.

(2) Wypadki produkcji tak rocznej jak ogólnej, niżej wykazanej, wzięte są z artykułu Chevaliera: *Mines d'argent et d'or du Nouveau Monde*; w *Revue de deux Mondes*. 1846, T. VIII, str. 1033, 1034.

Stany Zjednoczone Ameryki	Kilogr.	Wartość.
północnej	1,800	6,199,000 fr.
Mexyk	2,957	10,184,000 —
Nowa Grenada	4,954	17,062,000 —
Peru	708	2,439,000 —
Boliwia	444	1,529,000 —
Chili	1,071	3,689,000 —
Brazylia	2,500	8,610,000 —
Różne kraje, których pro- dukcyjna niewymieniona . .	500	1,722,000 —
Razem		14,934 51,434,000 —

W porównaniu ze srebrem, stosunek jej co do wagi jest 1:41 $\frac{2}{14}$, a co do wartości 1 frank złota na 2 fran. 65 centymów srebra (1).

W początkach XIX wieku Ameryka wyrabiała złota rocznie 14,000 kilogr.; wyrób więc jego nieco się powiększył, gdy wyrób srebra zmniejszył się o $\frac{1}{4}$.

Całą produkcją złota w Ameryce, od podbicia jej do 1 stycznia 1846 r., Chevalier tak oblicza:

Stany Zjednoczone pół- nocnej Ameryki	Kilogr.	Wartość.
Mexyk	18,525	64 milion. fr.
Nowa Grenada	379,221	1,306 —
Peru i Boliwia	556,840	1,918 —
Chili	337,725	1,163 —
Brazylia	248,000	854 —
Razem		1,334,400 4,596 (2) —
Razem		2,874,711 9,901 —

(1) Ameryka produkuje srebra w przecięciu rocznie 614,641 kilogramów, wartości 136,476,000 franków.

(2) Wyspy archipelagu kolumbijskiego, jakoto: Kuba, Haiti Porto-Riço i niektóre inne pomniejsze kraje, o produkcji których szczegółowo nie wspominaliśmy, do obliczenia powyższego nie wchodzą.

Liczyby te chociaż nie są niemylne, zawsze jednak mogą służyć za podstawę do wniosków dość ścisłych i pewnych, pod względem handlu, statystyki i ekonomii politycznej.

Wielkie to wprawdzie bogactwa, ale nie mniejszemi są skarby zawarte w wnętrzach gór syberyjskich, a może nawet je przewyższają. Syberya od początku poszukiwań po koniec 1846 r. w przeciągu lat 132, wydała 16,389 (1) pudów, czyli 268,332 kilogr. złota, wartości 917,392,148 franków, a Ameryka od początku po 1 stycznia 1846 r. w przeciągu 326 lat, na 9,952 milionów franków, t. j. przeszło 10 razy więcej. Pomimo to, produkcya złota w Syberyi w ostatnich sześciu latach, od czasu odkrycia złotodajnych rozsepów we wschodniej Syberyi, czyli od r. 1841 po koniec 1846, w przecięciu wynosi 22,800 kilogr. (2); o 7,866 kilogr. czyli przeszło o 25 milionów franków wartości więcej, niżeli terażniejsza produkcya roczna Ameryki; chociaż produkcya gór Rossyi azjatyckiej nie doszła jeszcze do najwyższego normalnego stanu, Ameryka zaś przeszła takowy. W Syberyi produkcya złota powinna się

(1) Produkcya Syberyi podług obrachowania naszego (Biblioteka Warszawska z czerwca 1848 r., zeszyt XC, str. 443, od r. 1704 po koniec 1846 r. wynosi 14,489 pudów, 27 funtów, 93 złotn. 92 dole. Do téj ilości potrzeba dodać złoto wydzielone z altajskiego srebra od 1726 po 1835 r. 1,900 pudów (Annuaire des mines Russie 1835, f. 101, 1836, f. 135), co uczyni razem 16,389 pudów, 27 funtów, 93 złotn. 92 dole. wartości 229,348,037 rub. sr. czyli licząc dla równego rachunku 1 frank za 25 kop. sr. 917,392,148 franków.

(2) Syberya od r. 1841 po koniec 1846 r. wydała 7,549 pudów, 27 funt. 82 złotn. 86 doli; czyli rachując jeden funt rossyjski = 0,409,356 kilogr., będzie 133,603 kilogr.; rocznie zaś w przecięciu uczyni 1258 pud. 27 funt. czyli 22,800 kilogr.

z przeciągiem czasu powiększać, gdy w Ameryce dość, jeśli się na dotychczasowej stopie utrzyma, i to przypuszczając odkrycie nowych bogatych kopalń, dawne bowiem znacznie już są wyczerpane.

Tyle co do złota; lecz Ameryka ma i będzie miała przewagę nad Syberyą w produkcji srebra, w które góry amerykańskie najwięcej obfitują.

Oceania. Przeszliśmy stałe lądy obu półkuli i wskazaliśmy główne punkta dotąd znane, w których się znajdują pokłady lub rozsepy szlachetnego kruszcu; pozostaje jeszcze jeden zakątek lądu, czyli raczej wspaniałe odłamki starożytnego, dawno zaginionego w falach oceanu świata. Przerwane miejscami siłą działaczy wewnątrz ziemi zawartych, te same pasma gór, które formują morze Śródziemne europejskie i przeryniają stary ląd azjatycki od Czarnego do brzegów mórz Chińskiego i Korejskiego, zgubiwszy się w przepaściach oceanu, wychodzą znowu na powierzchnię jego, w miarę ubytku wód na wschodnich brzegach stałych lądów, i tworzą niezliczoną liczbę wysp: od granic południowej Azji, w kierunku południowo-wschodnim, ku przylądkowi Horna. Wśród Wielkiego oceanu, na przestrzeni przeszło 2,100 mil polskich, ciągnie się w tym kierunku labirynt wysp, archipelag bez granic, zawierający kilkanaście wielkich lądów, z których najgłówniejszy co do obszerności wyrównywa Europie (1).

Ogromną grupę tych wysp, geografowie nazwali *Oceanią*, która stanowi piątą część świata. Wschodnią część

(1) Spojrzawszy na mapę zdaje się, że *Australia* czyli *Nowa Holandia* wraz z wyspami Sonda, składały niegdyś część stałego azjatyckiego lądu, od którego zostały oderwane, jak kiedyś może się oderwać Ameryka południowa od północnej, połączonej z tą nader wązkim pasem gór, stanowiącym międzymorze Panama.

Oceanii, większość głosów uczonych nazywa *Malezyą*, środkową *Australią*, a zachodnią *Polinezyą*.

Natura nadała téj części świata szczególnież wybitny i właściwy charakter. Nigdzie na całej kuli ziemskiej, powierzchnia jój nie jest tak usianą nierównościami, nigdzie, oprócz Ameryki, szczegółowe pasma gór, nie mają tak wyrazistego kierunku od północy na południe i tak widocznej *polarności*; łańcuchy te tworzą w środku wielkie wysoki od zachodu na wschód, w głównym kierunku wysp na archipelagu rozsianych.

Znając dotychczas bardzo mało wnętrza największych lądów Oceanii, nie można z dokładnością opisać bogactw jój pod względem minerałów; lecz podania wielu uczonych podróżopisarzy zgadzają się, że na wielu wyspach Oceanii, są bardzo szacowne kopalnie drogich kamieni, i nader obfite pokłady rozmaitych metali, a w téj liczbie i złota, które mogą się równać najcenniejszym kopalniom na kuli ziemskiej.

W *Malezyi*, z tak zwanych *Wysp Sondy*, najbliższym od Azji wielkim lądem jest wyspa *Sumatra* (1), znana już nieco Ptolomeuszowi. Trzy czwarte części téj wyspy, pokryte są nieprzebytym lasem. W górach które wzdłuż przecinają wyspę, Holendrzy w swoim terytorium odkryli kopalnie złota, lecz górnicy niemieccy posłani do *Sillidi*, znaleźli rudę niedość bogatą w kruszec i wyrób trudny. W kraju *Menangkabu* (*Menangkabau*), który stanowi obszerną dolinę otoczoną pagór-

(1) Już mówiąc o Azji i archipelagu Indyjskim, wspomnieliśmy ogólnie między innymi o Sumatrze, Borneo, Celebes i t. d.; ponieważ zaś wyspy te podług podziału geograficznego należą do Oceanii, zatem właściwiej tu wypada szczegółowo zastanowić się nad każdą.

kami, rachują 1,200 kopalń złota. Malajczycy z tego kraju i z *Padangu*, sprzedają rocznie z piasków przez siebie wypłukanego metalu w ziarnach od 10 do 12,000 uncyj (1). Złoto z kopalń *Sipini* i *Caye*, jest 18to lub 19to karatowe. W królestwie *Achem*, zajmującym północną część wyspy, i w sąsiednim mu kraju *Battak* czyli *Battas*, znajduje się także złoto w piaskach. Crawford podaje produkcją roczną tych dwu ostatnich krajów na 35,530 angielskich uncyj (2).

Na wyspie *Sumbava*, w okręgu *Bima*, są kopalnie złota, a płuczą je i z piasków; stanowi ono jeden z głównych artykułów handlu krajowców.

Na wyspie *Tymor*, niektóre rzeki toczą w piaskach złoto, lecz wyrób jego nie jest znaczny.

Na wyspie *Celebes*, w jej północnej części, od międzymorza aż poza obręb okręgu *Bulan*, znajduje się wiele kopalń złota. W okręgu *Ankahulu*, kopalnie położone niedaleko holenderskiej osady *Gorontalo*, wydają złoto już 21karatowe, już 18karatowe. Kruszec znajduje się gniazdami na kilka stóp głęboko pod powierzchnią ziemi, i zwykle mu towarzyszą pokłady miedzi. Pan De Rienzi zapewnia, że w niektórych dolinach złotodajnych kantonów *Celebes*, znajdują kawałki w złożu (*Gang*) od 4 do 12 funtów wagi. Kopalnie *Totok* dostarczają rocznie Holandyi 200 realów czyli uncyj złota, które krajowcy wyrabiają także w okolicach *Keme*. Rocznią produkcją wysp *Celebes* i *Tymoru*, obliczają bliżko na 30,000 angielskich uncyj.

(1) 16 uncyj czynią 1 funt, który równa się 0.494090 kilogram.

(2) 16 uncyj czynią jeden funt *avoir du poids*, czyli 0,453544.

Celebes oprócz metalicznych bogactw swoich, sławny jest z najjadowitszych w świecie roślin. Drzewo *Upas*, o którym na wyspie Jawie krąży tyle powieści, rzeczywiście rośnie na Celebes. Makassarczycy napuszczają pugiwały okropną trucizną, którą z niego wyciskają.

Na wyspie *Borneo*, złoto rozsiiane jest zaraz pod powłoką ziemi. Główniejsze kopalnie są: *Montrado* (*Montradok* v. *Tradok*), *Mandur*, *Lemdak*, *Ambauwang*, *Borneo* i *Bandjer - Massing*. Z nich najbogatsze na całej wyspie leżą w okręgu *Mumpaica* w *Montrado* i *Mandor*. W kopalninch *Montrado* pracuje stale blisko sześć tysięcy Chińczyków, a cały obwód tegoż nazwiska, zamieszkały jest prawie wyłącznie przez kolonistów chińskich, którzy formują kuste stałych krajowych górników. Produkcją roczną kopalni *Montrado* obliczają na 88,362 angielskich uncyj.

Wyspy Filipińskie, odkryte przez Magellana w r. 1521, zajmują geograficzną strefę międzyzwrotnikową, pomiędzy 5° 32' a 19° 38' szerokości północnej.

Mineralne królestwo na wyspach Filipińskich (1) jest bogatsze, niż w jakimkolwiek innym kraju świata. Są tam szczególnie w obfitości dwa metale najpotrzebniejsze człowiekowi: złoto i żelazo.

Bardzo mało jest prowincyj, które nie wyrabiają złota, ponieważ prawie wszystkie rzeki toczą je w piaskach, z których się wypłukuje. Prowincye *Caraballo*, *Camarines*, *Misamis*, *Caraga*, *Nueva-Ecija* i *Gapan* najwięcej go mają. Najbogatsze w złoto miejsca są: *Ben-*

(1) Les Philippines. Histoire, géographie, mœurs, agriculture, industrie et commerce des Colonies Espagnoles dans l'Océanie, par J. Mallat. Paris, 1846. T. I, str. 94, wyjęto dosłownie.

guet, Suguk i Apayao w prowincyi *Caraballo*; *Paracole* i *Mumburao* w *Camarines*; *Pilao* i *Pijoluan* w *Misamis* i w górach *Caraga* i *Cebu*. Na wyspie *Mindanao* złoto jest tak powszechne, że krajowcy zwykle noszą przy sobie sakiewki z piaskiem i ziarnkami złotemi, których używają nietylko do płacenia, ale i na zakłady w bitwach kogutów, które oni lubią namiętnie. Wchodząc na widowisko, natychmiast wydobywają sakiewkę, i wyjmują z niej szczyptę złotego kruszcu mniejszą lub większą, stosownie do zakładu, jaki stawić lub otrzymać zamierzają. Z pewnością twierdzą, że na każdej wyspie do grupy wysp Filipińskich należącej, znalazłoby się złoto. Wszystkie niezawisłe nomady, a szczególnie w *Mindanao* wyrabiają złoto. Mieszkańcy gór, którzy są jeszcze w stanie dzikim, jakoto: *Igorroty*, *Montescos*, *Tingusane*, dostarczają złota i sprzedają je po główniejszych miastach kraju. Złoto z *Gapan* uważane jest za najczystsze; bywa ono zwykle 22karatowe.

Bardzo rzadko zdarza się znaleźć w handlu złoto w kawałkach nieco większych; krajowcy są tak opieszali, że tylko wtedy płuczą złoto, gdy je koniecznie potrzebują, ponieważ wiedzą, że niebawem mogą znaleźć taką ilość kruszcu, jaka byłaby potrzebna na wyżywienie ich familij przez dni kilka. Istotnych prawidłowych kopalń złota dotąd jeszcze nie wykryto, lecz Francuz *Oudan de Virilis*, osiadły na Filipinach od dawnego czasu, natrafił na kilka żył w górach *Caraga* (na wyspie *Mindanao*), gdzie sam mieszka wśród dzikich wyspiarzy, których przejął zwyczaje i wyuczył się języka. Złoto sprzedaje się zwykle po 22 *pesos* za *tael*. Głównie używają je na ozdóbki do stroju, a resztę sprzedają Chińczykom i *Metisom*, którzy prowadzą niém handel. Złotodajne

rozsepy filipińskie zajmują tę samą geograficzną strefę, co afrykańskie pokłady w Senegambii.

Na wielu innych grupach archipelagu Oceanii, jak na przykład w *Nowej Kaledonii* i innych, wykryto w górach metaliczne pokłady, lecz mało jeszcze rozpoznane. W Australii (Nowej Holandyi) wyrabiają nadzwyczaj bogaty miedziany kruszec; w 1844 r. rozeszła się w Londynie pogłoska, jakoby przysłane z Australii dla rozpoznania kawałki rodzimój miedzi, okazały się być czystym samorodnym złotem; lecz później okoliczność ta poszła w niepamięć, i nie wiadomo do jakiego stopnia się sprawdziła.

Produkcji złota w Oceanii nie można podciągnąć pod wyrachowanie; lecz wyrób jego na wyspach Sondy, jakoto: Sumatry, Borneo, Celebes, Timor i innych miejsc Malezyi, oprócz wysp Filipińskich, podają na 4,700 kilogr. wartości 16,189,000 franków (1).

Objasniwszy miejscowe położenie główniejszych punktów, w których rozrzucony jest na kuli ziemskiej złotodajny kruszec, w następnym artykule będziemy mówili o geografii złota, czyli o ogólnym położeniu złotodajnych pokładów. Porównywając je, z zadziwieniem spostrzedz musimy, że zajmują strefy pod jednakowymi szerokościami geograficznymi nie tylko na stałych lądach obudwu półkuli, ale nawet i na wyspach w przestworach oceanów zagubionych. Przejdziemy potem do

(1) P. Crawford podaje powyższą produkcją na 154,865 uncyj, wartości 2,980,000 hiszpańskich piastrow, czyli na 4,700 kilogr. 16,189,000 fr. wartującą. Toż samo obrachowanie przyjęto i w artykule: „*Production et valeur relatives de l'or et de l'argent à différentes époques*. Magasin Pittoresque. Aout, 1848, str. 270 i w *Univers pittoresque: Océanie*, T. I.

statystyki złota, czyli oznaczymy przypuszczalną ilość wydobytego metalu w całym świecie od najdawniejszych do naszych czasów; powiemy ile rachują go w wyrobach zamkniętych w skarbcach, ile w wyrobach w handlu, ile w obiegu, i gdzie mogła podziąć się reszta jego; w końcu zastanowimy się nad znaczeniem złota pod względem handlowym, moralnym i politycznym.

EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Łożefa Horzeniowskiego.

I.

Na Lesznie przed kościołem Karmelitów, między jedenaściami i dwunastą z rana, siedziały dwie baby, które dla zaokrąglenia summy dzisiejszego zarobku, oczekiwały na pobożnych, mających wyjść z kościoła przed jego zamknięciem. Obie w łachmanach, nacechowane tą szpetnością, jaką starym kobietom daje nędza, żebractwo i ślady niegdyś złych obyczajów; poglądały i na siebie z zazdrością, i na pustą ulicę z pewnym rodzajem gniewu i zniechęcenia.

— Djabli cię tu przynieśli— rzekła jedna, poruszając plecami i poprawiając na głowie jakiś wypłowiały galgan, z pod którego wyglądała pomięta szlarka starego czépka i wypadały kosmykami siwe włosy.

— Wolno mi tu siedzieć, jak i tobie— odpowiedziała druga, i zasadziwszy rękę za dziurawy kaftan, także widząc w celu naturalnej obrony swojego ciała, nienawistnie na sąsiadkę spojrzała.

— Gdybyś poszła gdzieindziej, byłoby i tobie i mnie, a tak obie pomrzemy z głodu.

— A jak siedziałam na Krakowskiem - Przedmieściu przed Karmelitami, toś i ty tam przyłaziła, i ja ci nic nie mówiłam.

— Bo wtenczas odpust był; chyba o tém zapomniałaś stara czarownico!— rzekła pierwsza. Nie dała długo czekać na odpowiedź druga, i pokazawszy kilka dolnych i chwiejących się zębów, przymrużywszy prawe oko zaszło pleśnią, podniosła ku niej pięść i rzekła:

— Tyś sama czarownica i jeszcze coś—tły!

Porwała się pierwsza z miejsca i podniosła do góry krzywą laseczkę; ale wtém obie postrzegły idących trotoarem dwoje młodych ludzi, obie więc westchnęły, i pierwsza zaczęła mówić głośno: Zdrowaś Marya! a druga zanuciła chrypliwym głosem: Kyrye elejson, i dalej śpiewała litanią do Najświętszej Panny.

Przybywający oboje byli młodzi, a świeże ich twarze, piękne rysy, oczy pełne wyrazu i wzajem w sobie tonące, strój czysty i pełen gustu; stanowiły dziwny kontrast z pomarszczoną i żółkłą twarzą, z małemi oczkami, obwiedzionemi czerwoną obwódką i z łachmanami pełnemi brudu i nędzy starych żebraczek.

Oboje szli bardzo zwolna, jak gdyby chcieli dać sobie więcej czasu czy do zabrania znajomości, czy do pożegnania się. Nie patrzyli na ulicę, zdawali się nie widzieć, co przed nimi; jednakże panienska oglądała się kiedyniekiedy, jakby ją jaki ogarniał niepokój— i wówczas śliczne jęj lice okrywał rumieniec, a oczy duże, błękitne, z czarnemi rzęsami, schylały się ku ziemi. Wówczas także poprawiała jedwabną chusteczkę na piersiach, których formy kształtne i dorodne były wyraźne pod

szlafroczkim, z ładnego płócienka zgrabnie i gustownie przykrojonym. Z całego jój ułożenia, z jój ubioru, z jój kapelusza słomkowego, z parasolika który miała w ręku, i z rękawiczek ciemnych, widać było wyższe ukształcenie, skromność obyczajów, lecz oraz mierny dostatek.

Kawaler zdawał się mieć więcej śmiałości, więcej lat, więcej doświadczenia i pieniędzy. Tuzurek jego, chociaż podróżny, był bardzo elegancki, kamizelka aksamitna, lakierowane bóty, laseczka ze złotą gałką, kapelusz nowiuteński i rękawiczki jasno-żółte, tylko co wzięte ze sklepu. Ale dwie okoliczności pokazywały, że to nie był stały mieszkaniec Warszawy, piastujący tu jaki urząd, lub zajęty jakim zyskownym przemysłem. Wielkie wąsy, ładnie podstrzyżona czarna broda, tudzież kocyk podróżny, zaprzężony dzielną trójką w krakowskich chomątach, który szedł zwolna ulicą, dowodziły, że to był obywatel ze wsi, który na niejaki czas tylko do miasta przyjechał, oporządził się i do domu powracał. W rzeczy samej, ów młody człowiek, p. Roman Wyżopolski mieszkał w Gostyńskim, a owa panienska, znana na Żytniej ulicy pod nazwaniem Professorówniej, była rzeczywiście córką zacnego emeryta, niegdyś nauczyciela łacińskiego języka, i wraz z ojcem na téjże ulicy mieszkała.

Ponieważ zaś postanowiliśmy rzecz tego opowiadania prowadzić poprostu, bez żadnych poetycznych ogródek, powiemy więc odrazu, jak się ci młodzi ludzie poznali.

P. Roman przed tygodniem przyjechał do Warszawy, i przywiózł z sobą małą siostrzenicę Helunię, dla ulokowania jój na pensyi. Właśnie na drugi dzień po swoim przybyciu siedział na krześle w bawialnym pokoju pani S*, ochmistrzyni znanego zakładu naukowe-

go, a ona obok niego na paradnej kanapie ułożywszy się z dystynkcyą i powagą, kończyła z nim układ, gdy drzwi się otwały i weszła śliczna i wysmukła panienka, zupełnie tak poprostu i tak czysto ubrana, jakieśmy ją dziś widzieli. Ta tylko była różnica, że kapelusik swój słomkowy miała w ręku, w których także trzymała parasolik, i przez to odkryła czoło jasne i czyste jak kość słoniowa, i włosy kasztanowe lśniące, bujne i dziwnie ładnie przyczesane.

Pan Roman uderzony tym widokiem przestał mówić, patrzył z uwagą na twarz nadobną, na figurkę zgrabną i giętką, na rączkę, która trzymała kapelusz i na nóżkę małą i czystą, która lekko wysuwała się z pod sukienki i cicho spadała na gładką posadzkę. Poczawszy się pod okiem nieznanego mężczyzny, panna zaczerwieniła się, i ze spuszczonei oczami przeszedłszy zwolna przez cały salon, zbliżyła się do p. S* i pocałowała ją w rękę. Poważna matrona pogładziła ręką jej twarz i włosy i rzekła:

— Siadaj Kasiu! a ojciec zdrów?

— Zdrów, kazał ucałować rączki pani — odpowiedziała panna, i pan Roman znalazł, że głos odpowiadał twarzy i postaci. Był miękki, wyrobiony, nienadto cichy, nienadto ostry; słowem, wpadł odrazu mile w jego uszy, jakby jaka muzyka, jak echo czegoś już znanego, co się słodko wspomina. Gdy Kasia usiadła, pani S* zwracając się do p. Romana, odchrząknęła i wzięła się do wytłumaczenia mu, jak kosztowném jest utrzymanie w Warszawie, jak wiele musi płacić za lokół, jakich porządków i expensy wymagają od niej rodzice i t. d., a to wszystko dla przekonania młodego obywatela, że jeżeli

żąda sto dukatów na rok za edukacją jego dziesięcioletniej siostrzenicy, to żąda wcale niewiele.

P. Roman, który pierwój ostro się targował i dawał tylko siedmdziesiąt, ni ztąd ni zowąd zmiękł odrazu, i chociaż nie słuchał wcale dowodzenia p. S*, patrząc gdzieindziej, niby ku oknu, niby ku drzwiom, którądy weszła p. Katarzyna, odpowiedział niedbale:

— Dobrze, niech będzie jak pani każesz, mniejsza o trzydzieści dukatów.

Zmiana ta była tak niespodziewaną, ustępstwo które zrobił raptem tak wielkie, że sama p. S*, która spodziewała się, że może krakowskim targiem odtarguje tylko połowę zaprzeczanój sobie kwoty, zaczęła się dziwić mocy i gruntowności swojój wymowy. Wszakże p. Roman wcale inne miał powody. Gdy p. S* mówiła, on poglądając na cudne lice siedzącój naprzeciw niego panny, myślał sobie: że ta śliczna istota musi być albo krewną, lub przynajmniej poufałą w tym domu; że tu będę ją mógł widywać; że może się jój podobam, i że-bym się podobał, zacznę zaraz od tego, że się okaże wspaniałym, niedbającym o pieniądze, a zatem bogatym. Tak pomyślawszy postanowił odrazu, aby siostrzenica jego na pensyi u pani S* została, i dlatego zgodził się na proponowaną płacę.

P. S* widząc, że obywatel tak nagle skruszał, postanowiła także korzystać z niespodziewanego rozmiękczenia jego serca, i ściérając chusteczką kurzawę na brzegu stołu, niby od niechcienia, a właściwie dla pokazania, że lubi porządek, dodała:

— Oprócz tego otrzymam od pana dobrodzieja łyżkę, widelec i nóż srebrny. Także obrus i sześć serwet.

— Dobrze — odpowiedział p. Roman patrząc gdzieindziej.

— Zwykle rzeczy te — rzekła znowu p. S* — zostają w zakładzie naukowym, gdy panna w nim przebędzie dwa lata. Ale ponieważ panowie — dodała ze znaczącym uśmiechem — często bez przyczyny odbieracie nam uczennice, ja mam zwyczaj kłaść za warunek, aby od razu były własnością mojej pensyi.

— Dobrze — odpowiedział znowu p. Roman, zawsze patrząc gdzieindziej.

— Ale półroczne zechcesz pan dobrodziej zapłacić mi przy spisaniu kontraktu — mówiła prędko p. S*, sądząc, że powinna pospieszać i korzystać z dobrego usposobienia młodzieńca, na którego przekonanie tak mocno podziałała.

— Dobrze — odpowiedział jeszcze p. Roman i rzucił nieznacznie okiem na twarz panny, która jakby uczuła to spojrzenie, nieznacznym zapłonęła rumieńcem.

Tu p. S* umilkła i zamyśliła się; pan Roman był także roztargnionym, a panienska siedziała milcząc ze spuszczonei oczami. Pani S* namyśliła się coby jeszcze zaproponować, żeby sobie nie mieć do wyrzucenia, iż nie korzystała z tak dobrej zręczności, i po chwili odchrząknawszy i poprawiwszy się na kanapie, rzekła:

— Zapewne pan dobrodziej będziesz sobie życzył, żeby siostrzenica jego miała w porządku wszystkie książki, sexterna i karty geograficzne, tudzież żeby występowała w sukience mundurowej, jaką wszystkie panienki u mnie mają; na to zechcesz mi pan zostawić dwadzieścia dukatów, z których rachunek panu dobrodziejowi złożę.

Dobrze — odpowiedział jeszcze p. Roman, a p. S* aż podniosła się na miejscu, na którym siedziała, tak ją zbudowała łatwość i zaufanie młodego obywatela. Ale chcąc rzecz doprowadzić do zupełnego skutku, zawsze w tym celu, żeby sobie nie mieć nic do zarzucenia, dodała jeszcze:

— Zapewne Pan Bóg nas zachowa od takiego zmartwienia, ale ponieważ ludźmi jesteśmy, a siostrzenica pana dobrodzieja także, więc na przypadek choroby, zechcesz pan dobrodziej zostawić mi dziesięć dukatów na doktora i aptekę, z których także rachunek jak najskrupulatniej panu dobrodziejowi złożę.

— Dobrze—odpowiedział i tą razą p. Roman, i ostrzegłszy, że Kasia nie wiedzieć dlaczego zapłonila się znowu, spuścił oczy, i dla kontenansu, podniósł kapelusz i zaczął go ręką oglądać. Pani S* zdało się, że już chce wyjść. Postanowiła więc dać pokój dalszym propozycjom, i przestawszy rozumnie na tyłu koncessyach, jak już zrobił, zamierzyła utkwic mu je bardziej w pamięci, co się jęj tém potrzebniejszém wydało, że to dobrze, którym na wszystko się zgadzał, z widoczném wymawiał rozlagnieniem. Powstawszy więc z miejsca, rzekła:

— Pozwoli pan dobrodziej, że ja te wszystkie warunki, na któreśmy się zgodzili, zapiszę. Notatka ta przyda się panu dobrodziejowi przy sprawdzeniu kontraktu, który tu spisać każę u siebie. — Potém obracając się do Kasi, mówiła:—Moja droga! zabaw tu w mojem miejscu pana dobr., ja za chwilkę służyć będę. Jestło moja krewna i uczennica — dodała rekomendując. Słowa te, po których wyszła, wymówione były po francuzku dobrze i czysto. Pani S* użyła tego języka raz z przyzwyczajaje-

nia ochmistrzyni, a powtóre dla pokazania p. Romanowi, jak sama mówi po francuzku; że zatém nie powinien załować swojej powolności, gdyż i siostrzenica jego także tak mówić będzie, jeżeli do skończenia edukacyi na jój pensyi pozostanie.

Gdy p. Roman został sam na sam z panienką, której uroda i ułożenie tak mocno mu się podobały, zmieszał się i sam nie wiedział od czego zacząć. Wyprowadziła go z tego ambarasu p. Katarzyna, zapytując, jak dawno przybył do Warszawy?

— Przyjechałem wczoraj — odpowiedział — A pani zapewne mieszka w tym domu?

— O nie — odpowiedziała wdzięcznym głosem — przebyłam tu lat kilka, gdym się znajdowała na pensyi, a teraz mieszkam przy ojcu.

P. Roman czekał, czy nie doda gdzie mieszka, na której ulicy; ale Kasia umilkła, a spytać jój o to nie śmiał. Żeby się więc rozmowa nie przerwała i żeby pokazać, że umie ją prowadzić, chociaż mówi z osobą nieznajomą; że zna Warszawę, chociaż ją tylko kiedyniekiedy odwiedza, podniósł głowę, uśmiechnął się zawczasu mając powiedzieć coś zręcznego i uderzającego; ale wtém postrzegł, że oczy p. Katarzyny na niego patrzyły, że oczy te były błękitne z długimi czarnymi rzęsami, że było w nich pełno wdzięku i wyrazu: zapomniał więc co miał mówić, spuścił wzrok ku ziemi, i gładząc ręką kapelusz, rzekł z determinacją:

— Jak dziś gorąco!

Uśmiechnęła się nieznacznie Kasia i odpowiedziała:

— Tak, w mieście między murami, zwykle bywa goręcej, niż na otwartém powietrzu. Państwo zapewne na

wsi nie doświadczać takiego upału, jaki my tu czasem miewamy od rozpalonych kamieni.

— My mamy drzewa, mamy ożywiający ich cień — rzekł p. Roman przychodząc prędko do siebie i patrząc już śmielój na te oczy, które i teraz były błękitne, i teraz były piękne, ale już go nie tak mieszały swym cudnym promieniem. — A przytém, dodał, mieszkanie moje na wsi ma z jednej strony las, z drugiej rozległe łąki, przez które przechodzi rzeczka, która po pod samym ogrodem przepływa i daje nam kąpiel wyborną. Ale, dodał poprawiając się na krześle, nic tak w lecie nie zabezpiecza pokojów od gorąca, jak markizy. To téż kazałem je tak urządzić, szczególniej w dwóch salonach wychodzących prawie na południe, że mam w nich zawsze tyle chłodu, ile potrzeba.

To powiedziawszy umilkł p. Roman; a chociaż czuł, że niewszystko co powiedział, było bardzo potrzebném i zręczném; kontent jednak był, że jój dał cokolwiek poznać swoją wieś i swój dom: bo pomyślał sobie w duchu, dobrze niech i to wie. Gdy Kasia milczała, rzekł znowu:

— A pani lubi wieś?

— Nie znam wcale wsi — odpowiedziała z prześlicznym uśmiechem, który odkrył ząbki białe i równe, który ułożył jój usta w tak rozkoszne kształty, że się p. Roman znowu zmieszał; ale szczęściem tą razą nie miał nic do powiedzenia. — Urodziłam się i wychowałam w mieście — mówiła dalej Kasia — jednak zdaje mi się, ile z usposobienia mego wnosić mogę, żebym wieś bardzo polubiła.

P. Roman ucieszył się widocznie posłyszawszy te wyrazy, a Kasia znowu postrzegła się, że były niepotrzebne,

że mógłby sobie Bóg wie co pomyśleć, i zawstydziła się biędna, ale tak jej z tém było ładnie, że już teraz p. Roman poczuł jakby jakieś wzruszenie, jakąś neodpartą chęć zbliżenia się i dotknięcia tój białej rączki, która trzymała chusteczkę, i wyrzeczenia czegoś, coby nie było ani wyrażeniem uczucia, ani zimnym komplementem, ale coby trzymało ów wygodny we wszystkiém środek, z którego i naprzód pomknąć się można, i nazad wycofać się łatwo. Wszakże nie przyszło do tego, gdyż pani S* weszła i przyniosła owę notatkę warunków, które na roztagonionym młodemu człowiekowi wymogła. Wziął je p. Roman nie czytając i schował do kieszeni. Gdyby był je przejrzał, znalazłby, że pani S*, rozmyśliwszy się w ciszy swego gabinetu i śmielsza z piórem w ręku, dodała jeszcze, że na rozmaite, mogące się zdarzyć na pensyi fety, jakoto: na imieniny jej samój i guwernantek, tudzież na jałmużny dla ubogich, dla przychodzących kwestarek i t. d. potrzeba będzie na składki pięć dukatów rocznie, które z góry mają być złożone.

P. Roman pożegnał uprzejmą gospodynią, skłonił się pannie i wychodząc rzekł:

— Jutro o tój porze będę pani służył z moją pupilką, którą opiece pani oddam.

— Będę pana oczekiwać—odpowiedziała pani S*— a ja tymczasem każę spisać kontrakt.

— Dobrze—rzekł znowu p. Roman patrząc gdzieindziej, i gdy oczy jego w tój wędrówce zbiegły się na mgnienie z błękitnymi oczami Kasi, powtórzył z pewnym przyciskiem, jakby chciał być dobrze rozumianym: — Jutro więc, o tój porze—i jeszcze raz skłoniwszy się, wyszedł.

Gdy się drzwi zamknęły, pani S* uśmiechnęła się, i pomyślawszy sobie w duchu: co to jest jednak dar mówie-

nia! poszła na chwilę zobaczyć, co panny robią. Kasia została tymczasem w salonie, wzięła leżącą na stole robotę, ale wkrótce opuściwszy ją na kolana, oparła piękne swe czoło na dłoni, i tak siedziała zamyślona. A p. Roman? — P. Roman szedł zwolna ulicą, dawał się potrącać przechodzącym, i tylko co nie wpadł pod dyszel doróżkarza, który zwyczajem warszawskim mocniej zaciął konie i ruszył z kopyta wtenczas, gdy niespodzianie z jednej ulicy zawracał na drugą.

Czy p. Roman zakochał się odrazu w pięknej Kasi, i to na dobre, tak, jak to czynią wszyscy moi bohaterowie, z wielkióm zgorzeniem krytyki, która im tych raptusów darować nie może; czy tylko podobą mu się tak sobie, nawiasowo, i miał względem niéj jaki obywatelski planik, o tém jeszcze zadecydować mi tu niewolno. Dosyć będzie powiedzieć, że do Marego (który jeszcze wówczas kwitnął) nie poszedł; że do hotelu w którym stał, kazał sobie zwyczajny przynieść obiad, i milcząc zjadł go razem z zapłakaną Helunią; że całe poobiedzie z krawcem się swoim nie widział, na balecie okropnie ziewał, i spał jak najgorzej. Biegli czytelnicy niech z tych symptomatów wniosą o stanie serca i umysłu p. Romana.

Nazajutrz ten sam koczyk, któryśmy już widzieli na Lesznie, wioził p. Romana i strwożoną Helunię ku pensyi pani S*. Właśnie biła umówiona godzina jedenasta. Dom, w którym się mieścił zakład naukowy, już był niedaleki. Biedna dziewczynka, ofiara oświecenia i dobrej pronuncyacji, patrzyła na wszystkie strony, i co moment zapytywała wujcia, czy jeszcze daleko? Ale wujcio nie odpowiadał, oglądał się na prawo i na lewo, jakby chciał kogoś obaczyć, jakby się spodziewał, że na téj ulicy, o téj godzinie, przed samym domem pani S*

lub gdzieś niedaleko, ujrzy płócienkową sukienkę i słomkowy kapelusz.

Zkąd i dlaczego mógł mieć taką nadzieję? tego ani on sam nie wiedział, ani nawet ja nie wiem; a przecież coś mu szeptało, że to niepodobna, aby ich znajomość była tak krótką, tak przelotną, aby się skończyła na jednym wczorajszym widzeniu się, aby już nigdy nie zjrzał w te błękitne oczy, które tak wiele mówiły i nie usłyszał tego głosu, który tak miło brzmiał w jego uszach. Jednakże napróżno patrzył. Wprawdzie widział wiele płócienkowych sukienek, ale te były jaskrawe i zmięte; wiele ocz poglądało na niego, ale wszystkie były czarne lub siwe; wiele głosów pięknych Warszawianek dochodziło do niego z trotoaru, ale te wszystkie były lub chrypliwe jak rozbite dzwonki, lub ostre jak szydła. Straciwszy więc nadzieję, tak bez żadnej zasady powziętą, stanął przed mieszkaniem p. S*, wysiadł, wysadził Helunię, i już miał wchodzić w bramę podjazdową, gdy raz jeszcze spojrzawszy wzdłuż ulicy, ujrzał na przeciwległym trotoarze idącą spiesźnie osobę, która mu dokładnie przypominała tę postać, o której całe poobiedzie myślał i całą noc marzył. Zatrzymał się więc przy drzwiach bramy, przytulił do siebie Helunię, i tak czekał dokąd się uda. Rzeczywiście byłato Kasia. Zrównawszy się z bramą domu, stanęła, przypatrywała się stojącemu przed nią kocykowi, i na jej licu był jakiś wyraz niepokoju i wahania się. P. Roman stanął tak, żeby go nie widziała, i zdało mu się, że czyta wyraźnie w jej pięknej twarzy chęć wejścia do Pani S*, gdzie była pewna, że go zastanie, i obawę spotkania się z nim znowu. Mocno go to ucieszyło i skłoniło do czekania cierpliwie, póki się nie zdecyduje. Nareszcie panienka potarła ręką

czoło, potrząsała głową, jakby chciała powiedzieć: nie, nie trzeba—i poszła dalej.

Wtenczas p. Roman mocno się zmieszał. Przez chwilę sam nie wiedział co zrobić; ale wkrótce rzucił się na krok stanowczy, zapomniał o p. S*, jój przekonywającą wymowie i ładnej francuzkiej pronuncyacyi, wsiadł napowrót do koczycy z Helunią, i kazał zwolna jechać w tym kierunku, w którym panna pósza szybko, jakby sama przed sobą uciekała.

— Więc już nie pojedziemy na pensyą?—rzekła uradowana Helunia.—O! jakże to dobrze!

— Chciałem ci jeszcze jedną rzecz kupić—odpowiedział p. Roman—żebyś miała pamiątkę odemnie.

— Mój dobry wujciu! jak ty o mnie tylko myślisz, —powiedziała dziewczynka i rękę jego całować zaczęła. Ścisnął ją za rączkę p. Roman i zacerwienił się, że skłamał przed dzieckiem. Bo on nie o niéj myślał i gdzieindziej patrzył.

Byli na Krakowskiem-Przedmieściu. Przypadkiem p. Katarzyna obejrzała się, postrzegła koczycy i w nim młodego człowieka, który ją ścigał wzrokiem. Przez chwilę zastanowiła się, jakby się namyślając, co zrobić; potem zwróciła się na lewo, i weszła do pierwszego magazynu, który był obok. P. Roman, którego już determinacya nie opuszczała, wyskoczył z koczycy, wziął za rękę Helunię i wszedł także.

Nic nie może być piękniejszego, jak twarz piękna młodej dziewczyny, kiedy się na niéj w cudnych farbach wymaluje razem radość i bojaźń; razem to przekonanie, że się podobala temu, któremu chciała się podobać, i ten kłopot dziewiczy, aby skłonności jój nie dostrzegł, aby nie usłyszał mocniejszego bicia jój serca,

P. Roman wyczytał te uczucia na jój licu, i przystąpiwszy do niój niezupełnie śmiało, rzekł drżącym głosem:

— Dobry dzień pani! Jak wdzięczny jestem temu przypadkowi.... — chciał coś jeszcze powiedzieć, ale czując że zaczął od nieprawdy i bojąc się, aby się większym kłamstwem nie skompromitował, dał pokój i umilkł.

— Tam zapewne pani S* pana czeka—odpowiedziała ze spuszczonei oczami panienska, jakby mu chciała przypomnieć, co powinien był zrobić.

— Tak — rzekł znowu — pamiętam o tém i już byłem przed jój bramą, ale przypomniawszy sobie, że miał zostawić mojej siostrzenicy jaką ładną pamiątkę, wróciłem tu.

— To siostrzenica pana? — mówiła ośmielając się Kasia — jakie ładne dziecko! Będzie jój tam dobrze; możesz pan być spokojnym. Pani S* kocha uczennice swoje, jak matka.

Helunia stojąc przy kantorze, na którym było tyle ładnych rzeczy, i trzymając na nim obie rączki w rękawiczkach obciętych po palce, przechyliła główkę i spojrziała na obcą sobie twarz p. Katarzyny. Wówczas Kasia nachyliła się, i wzięwszy jój rączkę, pocałowała ją w czoło. Pocałowanie to było dość serdeczne. Zkąd się zaś wzięło i dokąd było adresowane, to Bóg raczy wiedzieć.

— Dziękuję pani — rzekł wówczas ośmielony i uradowany p. Roman — że się moją siostrzenicą interesujesz. Ona biédaczka bardzo się boi téj pensyi. — Podziękuj i ty Heluniu, dodał biorąc drugą rękę dziewczynki, która tym sposobem służyła za przewodnika pomiędzy temi sercami, które się ku sobie pociągać zaczynały. Helunia, mając jedną rączkę w rękach p. Katarzyny, a drugą

w ręku wujaszka, dygnęła, a p. Roman dodał:—Niech pani będzie łaskawa pomoże mi co ładnego dla niej wybrać.

Zaczęli więc wybierać to na sukienkę, to na mantylkę, to wstążeczki, to chusteczki; przypatrywali się wzajem różnym rzeczom; w tém przypatrywaniu się zbliżały się mimowolnie twarze, spotykały się oczy, lekko dotykały się ręce. Było o czém mówić, i nie można było tak prędko się zdecydować, bo i Helunię pociągali do rady, i jak tylko się jój co niebardzo podobało, szukali czego innego. Tak więc wybierali długo, a tymczasem minęła już i dwunasta, a pani S* niecierpliwiąc się, czekając i obawiając się, czy ją nie ubiegła pani P* jój najzaciętsza rywalka, myślała sobie: Otóżto jak nasi panowie cenią wymowę i pronuncyacyą! A zdawał się tak mocno przekonany! Ale jeżeli do tamtój pójdzie, sparzy się niezłe. Niech wreszcie sobie i idzie—dodała chodząc po pokoju.—Co mi to szkodzi, że siostrzenica jego będzie mówić po francuzku jak kucharka.

Już sprawunki były zapakowane i panna Katarzyna spojrzawszy na zegar sklepowy zaczerwieniła się, że bez żadnej potrzeby więcej niż godzinę tam przebyła; gdy p. Roman przystąpił do niej, i obciężając ręką kapelusza, rzekł nieśmiało:

— Miałbym panią o wielką łaskę prosić...

— O cóż idzie?—odpowiedziała zmieszana temi słowy, w których przecież nic nie było, coby zmieszać mogło.

— Mam dosyć długi rejestr sprawunków kobiecych dla mojej siostry, dla mojej matki i innych pan z sąsiedztwa; nie mam tu żadnej mi znajomej damy, któraby mi pomogła. Czy nie raczyłabyś pani poratować mię w tym kłopotcie?

— Kiedyż ja tak mało znam się na tém — odpowiedziała Kasia mocno zaambarasowana.

— Przepraszam, pani tu wybrałaś rzeczy takie ładne. Nie odmowiaj mi pani téj łaski — dodał błagającym tonem, a oczy jego jeszcze wyraźniej prosiły. — Zaraz ztąd odwożę Helunię do pani S* i jutro będę już zupełnie swobodnym. Gdybyś mi pani raczyła wskazać swoje mieszkanie, przysłałbym konie i czekałbym panią o dziesiątej tu lub u Szlenkera.

— Ponieważ pan koniecznie chcesz — odpowiedziała stłumionym głosem — przyjdę o dziesiątej do Szlenkera.

Domyslił się p. Roman, że mu nie chciała powiedzieć gdzie mieszka. Uradowany więc, że otrzymał więcej niż się mógł spodziéwać, nie nastawał, ale ukłoniwszy się uprzejmie i spojrzawszy tak, aby oczy powiedziały jéj to, czego nie mówiły usta, wyszedł. Za nim wyszła i Kasia, a schyliwszy piękną główkę i trąc palcami czoło, weszła do Rezlera kamienicy. Tam w sieniach, oparłszy się o schody i cisnąc ręką bijące mocno serce, pozostała z kilka minut, i potem poszła Miodową ulicą, ztamtąd na Długą, potem na Leszno i wreszcie na Żytną, gdzie mieszkał jéj ojciec, który czekając na córkę z obiadem, dla rozrywki wyszedł na dziedziniec, usiadł na ławeczce przed domkiem, i czytał rozprawę jednego Niemca: „De Particula Quum — ad obtinendum gradum Doctoris Philosophiae.”

Złe spał téj nocy p. Roman, a Kasia jeszcze gorzej. Czuli ona, że te sprawunki są pretextem widzenia się, zbliżenia się do siebie, pomówienia z sobą. Gorzkie sobie czyniła wyrzuty, że i dziś poszła; postanawiała jutro zostać w domu, i wśród tych wyrzutów, wśród tych zbawiennych postanowień, myślała oraz, jakiby

sobie wymyślić interes, aby jutro znowu starego ojca opuścić i pobiedz daleko, w upał, gdzie ją ciągnęło serce, gdzie ją myśli porywać zaczynały. W takim posowaniu się ledwie nad ranem zasnęła, a gdy otwarła oczy, już słońce było daleko, i przy łóżeczku jój stał ojciec, w kwiecistym ale wysiedzianym szlafroku, z czapeczką na głowie, z okularami na nosie, a w ręce drżącą, i założywszy jeden palec w to miejsce gdzie czytał, trzymał ową rozprawę: de Particula *Quum*.

— Napiłbym się już kawy moje dziecię — rzekł stary łagodnie.

— W ten moment, ojcze — odpowiedziała córka; zerwała się z łóżeczka, odpędziła krzyżem wszystkie mary, które ją trapiły, i odzawszy się przedziutko, zajęła się gospodarstwem. Ale już była ósma. Trzeba było i ojca nakarmić, i obiad zadysponować, i przczesać włosy, żeby były gładkie i lśniące, i odziać się porządnie, żeby z sukienki widać było gust i prostotę, i przebiedz taki kawał z ulicy Żytniej na Senatorską, aby o dziesiątej być na umówioném miejscu, aby młody człowiek nie czekał i nie dręczył się czekając. Bo ona to czuła dobrze, że się będzie dręczyć gdyby nie przyszła, i dlatego ten raz, ten raz ostatni przewycięży swoje skrupuły, swoje obawy i pójdzie. Ale więcej już nigdy, to sobie święcie przyrzekła.

Kto się przypatrzył działaniom kobiet, kiedy czego mocno chcą, kiedy postanowiły sobie zrobić coś prędko; kto uważał tę zadziwiającą energią, jaka się w nich wówczas rozwija, tę trafność rozporządzeń, przez które skracają czas i zbliżają się prosto do celu; ten dziwić się nie będzie, iż chociaż p. Katarzyna późno wstała, że i ojciec miał dobre śniadanie, i interes był wymyślony.

ny, i obiad zadysponowany, i w pokojach sprzątnięto, i włoski były ładniej zaczesane niż zwykle, i sukienka wyprasowana i opięta leżała na niej zgrabnie, i miała pozór daleko większej elegancyi i gustu, niż w każdym innym zdarzeniu. Przedział nawet między ulicą Żytną i Senatorską jakoś się skrócił, tak, że gdy stanęła przed ratuszem i podniosła oczy na zegar, jeszcze pięć minut brakowało do dziesiątej.

Nie będę nudził czytelników moich opisaniem drugiego ich spotkania. Dostyc powiedzieć, że już dwunasta wybiła, a jeszcze mało co wybrali; że nazwisko, kolor materyi i jej rozmaite gatunki, podawały ciągle przedmioty do mówienia to o tém, to o owém, do długiego naradzania się, a zatém do patrzenia sobie w oczy, do dotykania ręką ręki, do przelotnego, mimowolnego ścisnienia paluszka, po którym całe ciało zadrżało i twarz oblewała się rumieńcem. Gdy się przyszło rozstać, pokazało się, że z długiego rejestru sprawunków danych p. Romanowi, ledwie dwa czy trzy artykuły zostały zaspokojone; że zatém konieczność wymagała, aby nazajutrz o téjże porze, p. Katarzyna przyszła do Sztumera, gdzieby resztę dokupić można.

Takimto sposobem, mimo świętości pierwszego postanowienia, mimo wyrzutów, które sobie czyniła po pierwszym widzeniu się, mimo łez, które tajemnie wylewała po drugim; widywali się co dzień przez dni pięć, chodzili po rozmaitych magazynach, i kupiwszy tu i owdzie cokolwiek, po godzin dwie lub trzy przepędzali z sobą na rozmowie pełnej czarów, pełnej rozkoszy, pełnej słodkich nadziei. Widzieli oni ohoje jak im było dobrze razem, jak miło i prędko płynie czas, lecą godziny; a jednak pewien rodzaj nieśmiałości, zrodzony

przez szacunek, jaki powziął dla dobrej, pięknej i rozumnej panienki, trzymał na wodzy język p. Romana. Sto razy miał już na ustach: —kocham cię szczerze, serdecznie — a przecież nie wymówił tego słowa. I ona go nie czekała, nie pragnęła nawet, przeczuwając, że tak jest niezawodnie; wiedząc, że gdyby to słowo wymówił, musiałaby także odpowiedzieć tak, lub nie; i wówczas, kto wie, czyby się nie rozbiło jój szczęście obecne o ten próg pewności, za który przestąpiwszy, idzie kobieta albo do ołtarza, albo do hańby. Dziś jój szczęście było pół prawdą, pół marzeniem; dziś ona jeszcze bujała w krainie poetycznej, gdzie jój wolno było wyobrażać się jego panią, jego żoną, jego królową; gdyby wyrzekła tak, zstąpiłaby na ziemię i możeby została tylko jego niewolnicą.

W wilią wyjazdu p. Roman żegnając się z nią na Sto-Jerskiej ulicy, wziął jój rękę i rzekł drżącym głosem:

— Panno Katarzyno! ja jutro muszę już jechać. Czy przyjdiesz pani o dziesiątej do ogrodu Krasińskich?

— Jutro już pan jedziesz? — odpowiedziała nie cofając rączki, i po chwili dodała: —dobrze, przyjdę — i prześliczne jój oczy zabłysnęły jakby łzą, w której złamał się promień słońca i błękit ich podniósł. P. Roman postrzegł jój wzruszenie i byłby jój do nóg upadł; lecz nie mógł tego zrobić, gdyż dużo przechodziło żydów, którzy ich potracali.

Właśnie po tej ostatniej przechadzce w ogrodzie, gdy się już na długo rozstawali, rzekł p. Roman:

— Czy nie otrzymam od pani nic na pamiątkę tych kilku dni szczęśliwych? Może nieprędko tu będę, bo mam wielką podróż przed sobą.

— Pan jedziesz w wielką podróż? — odpowiedziała patrząc nań z żalem i miłością — weź pan tę książeczkę.

Od kilku lat ciągle się na nią modłę. Tam na każdej literze spoczywały tyle razy moje oczy, ona tyle westchnień moich słyszała, tam nie na jednej karcie znajdziesz pan ślady i łez moich. Może panu przyniesie pokój, bezpieczeństwo w drodze—i kiedykolwiek wspomnienie o mnie.

Wziął p. Roman rozrzuwiony drogi ten podarunek, przycisnął jej rękę do ust, i poszli ku bramie, gdzie stał już jego powóz gotowy do drogi.

— Pozwól mi pani — rzekł jeszcze pan Roman — odprowadzić się do domu.

— Odprowadź mnie pan tylko do kościoła na Lesznie. Tam już pójdę sama.

Chcąc niechcąc musiał się zgodzić i poszli zwolna trotoarem, rozmawiając jeszcze, żegnając się; widząc to we wzajemnym spojrzeniu, słysząc w głosie, że się kochają, ale nie czyniąc sobie żadnych oświadczeń, żadnych przyrzeczeń.

Gdy się zbliżyli do owych dwóch żebraczek, od których się opowiadano to zaczyna, jedna z nich wyciągając rękę i przerywając litanią, rzekła:

— Łaskawi państwo! na kawalek chleba! Zlituj się panienko nad starą sierotą—i odebrawszy jałmużnę, dodała:— Jesteś młoda i piękna, będziesz szczęśliwa!

— Opatrz biedną żebraczkę moja panienko! — rzekła druga, przestawszy mówić Zdrowaś Maryo, i znowu po odebraniu jałmużny dodała:— Ale strzeż się! strzeż się! boś młoda i piękna.

— Czemu ją straszysz, stara — odezwała się pierwsza — czy nie widzisz, że aż pobladła.

— Bo i ja byłam taka, jak ona—odpowiedziała druga.— I mnie ostrzegali; ale nie słuchała. A teraz widzisz czem jestem.

Drżenie jakieś mimowolne ogarnęło p. Katarzynę. Rzeczywiście mocno pobudła, kolana ugięły się pod nią; i gdyby jój był p. Roman ręki nie podał, byłaby nie wstąpiła na schody. Gdy weszła do kościoła, upadła na twarz przed pierwszym oltarzem, łzy puściły się z jój oczu, a słowa żebraczki brzmiały w jój uszach i okropny jój obraz souł przed myślą zatrwożoną.

II.

Nie jeden zapewne z czytelników moich nie był na ulicy Żytniej. A przecież to ulica szeroka, długa, niebrukowana, ma parę murowanych domów, kilkanaście drewnianych dworków, i dochodzi do samych wałów miasta. Te jój zalety, mogłyby się wydać niebardzo pociągającymi dla prawdziwych Warszawianów, którym potrzeba koniecznie bruku, kamiennych trotoarów, ciągnących się rzędem kamienic, i co trzeci dom kawiarni lub cukierni; mogłyby niebardzo zachęcić do jój odwiedzenia prawdziwe piękne Warszawianki, którym potrzeba koniecznie Krakowskiego-Przedmieścia, Nowego-Świata i ścisłu algierek, zdolniego ocenić ich wejście, ich chód elastyczny, ich mantyle i kapelusze. Ale jabym chciał zniewolić dla ulicy Żytniej te dusze czule i melancholizne, które mogą się obejść bez szyneczku i bawarskiego piwa, które lubią trawę pod nogami, parkun dla oparcia się i odpoczynku, których serce rozrzewni się widokiem kur grzebiących na śmieciach dziedzińców, których oko zajrzawszy przez szpary parkunów otaczających ogródy, spocznie z rozkoszą na związujących się główkach kapusty, na dojrzewających jagodach agrestu,

i na rumieniących się, jak lica dziewic, wiśniach i malinach.

Otóż w jednym z tych dworków, gdzie był dziedziniec obwiedziony parkanem, gdzie był ogród warzywny i fruktowy, najmował sobie trzy pokoje z kuchenką p. Cypryan Ambrożyski, niegdyś nauczyciel łacińskiego języka w szkole powiatowej, a od czterech lat emeryt, pobierający całkowitą wysłużoną pensją. Niewielki miał on wprawdzie fundusz, ale mu wystarczał, gdyż to był człowiek, który bardzo mało potrzebował. Rano szklanka kawy, dwie lub trzy potrawy na obiad, przed wieczorem w lecie szklanka chłodnego mleka z chlebem, zimą kiedyniekiedy, gdy się czuł niezadowolonym, szklaneeczka herbaty: oto było wszystko czém karmił i utrzymywał swoje ciało. Tak skromny sposób życia czynił go zdrowym, lekkim do pracy, i nie wycieńczał jego szczupłych dochodów. Proporcjonalnie więcej daleko konsumował jego nos, niż on sam; gdyż ze wszystkich części ciała, to była jedna, której dogadzał i którą pieścił. W jego szafce podręcznej, gdzie na jednej półce znajdowały się same łacińskie grammatyki, na drugiej same dykcyonarze i wypisy, stały na trzeciej słoiki szklane z tabaką rozmaitego gatunku. Począwszy od petersburskiej mocnej i zielonej, stały jedna za drugą: holenderka, st. omer, maroko, francuzka ośmio i dziesięciogroszowa, nie mówiąc już o albanco miałkiej i grubiej, która częścią za licencyją, częścią kontrabandowym sposobem wchodziła do szafki. Te słoiki, zamykające czysty i oryginalny kordyał, stały się fundamentem następnych, odznaczonych etykietkami innego koloru, i w których znajdowały się rozmaite mieszanki poprzednich. I tak: petersburska z holenderką, petersburska z francuzką, st. omer z francuzką, holenderka

z albanką grubą, z albanką miłą i t. d. Słowem, ile z pierwiastkowych gatunków można było zrobić kombinacyj, biorąc po dwa lub trzy do jednej, wszystkie były zrobione, w oddzielnym zamknięte słoiku, stosowną oznaczone etykietką, i systematycznie na półce ulokowane. Wiele sobie zacny emeryt nałamał głowy, nim doszedł do trzydziestu słoików, to jest do liczby dni w miesiącu, aby na każdy dzień nos jego miał rozmaite pożywienie i jednostajnym pokarmem się nie znudził. Wprawdzie niektóre miesiące, mające po dni trzydzieści jeden, ambarasowały go cokolwiek; ale go salwował miesiąc luty, z którego mu zostawało dwa słoiki, któremi zapełniał ten niedostatek, ratując się w innych miesiącach to dyetą, to resztkami z każdego dnia, które z tabakierki w osobny słoik zsypywał, i tym sposobem sumaryczną jakąś mieszaninę ze wszystkich gatunków i ze wszystkich ich kombinacyj formował.

P. Ambrożynski celował także w sposobie zaprawiania tabaki, że była miękka, zimna, ani zbyt wilgotna, ani zbyt sucha, ale właśnie taka, że lechtała przyjemnie każdy nos, znajdujący się na przymiotach takiego przysmaku. przylegała rozkosznie do ścian jego, ani lecąc do gardła, ani wypadając na ziemię. Sekret ten przyrządzenia jej tak umiejętnie, stanowił jedyną próżność tego zacnego człowieka. Można mu było powiedzieć, że nie wie jak się tłumaczy popolsku imiesłowiy na *rus* i *dus*, że nie potrafi dobrze użyć *Gerundivum* i nie zna rzędu słowa *jubeo*; w takim razie uśmiechał się tylko ironicznie doświadczony pedagog, ale się nie obrażał bynajmniej. Lecz kiedy kto brał niedbale tabakę z jego tabakierki, kiedy połowę zażył a połowę wysypał, lub zażywszy dobrze, nie posmakował, nie wykrzyknął a! i jeszcze o jedną

szczyptę nie poprosił; od takiego stronił, dąsał się, tracił do niego ufność, a gdy miał jakiś interes, przystępował z wielką nieśmiałością i z żadną prawie nadzieją skutku.

P. Ambrożyński był wysoki, chudy, cokolwiek przygarbiony, miał długie ręce i stopy, które stawał niezgrabnie, zakrzywiając więcej do środka, i nosząc buty z nadzwyczajnie długimi nosami, wprzód jeszcze, nim moda sprowadziła ten wygodny krój obuwia. Chustkę zawsze nosił białą; wprawdzie najczęściej ona była przybrukaną, zawsze jednak podnosiła kolor oliwkowy jego twarzy ściągłej i dość przyjemnej, oznaczonej wystającym i charakterystycznym nosem, czołem wysokim, łysym i pełnym pokoju. A chociaż włosy już siwiejące, z tyłu głowy zaczesywał na łysinę, i zawsze w kamizelce miał grzebyk rogowy; najczęściej jednak spadały one napowrót, buntując się przeciw temu zmuszonemu kierunkowi, rozrzucały się nieporządknie i całej głowie jego dawały filologiczny pozór. Od tego czasu jak otrzymał emeryturę, nosił ciągle długi tabaczkowy surdut; gdyż oko jego, przywykłe do wpatrywania się w tabakę przy częstym jej zażywaniu, przy kombinowaniu rozmaitych jej gatunków i zaprawianiu skombinowanych, polubiło ten kolor i raziło się innymi. Czasem tylko i to w dni wielkiej uroczystości, naciągał dawny, granatowy wice-mundur, z manszestrowym, wypłowiałym kołnierzem i z herbowemi guzikami, i wówczas także brał białą kamizelkę, niezawsze wprawdzie wolną od plam tabaczkowych i ziarn tabaki, sterczących gdzieś między fałdami i zagięciami, zawsze jednak, jak na filologa, dość czystą.

Umeblowanie mieszkania zacnego emeryta było skromne i odpowiednie jego funduszom. Pierwszy pokój był razem salą jadalną i bawialnym salonem. Dla odpowiedzenia temu podwójnemu przeznaczeniu, miał między oknami kanapę długą, pokrytą perkalem w kwiaty, przed którą stał stolik okrągły, mały i mający na środku wrobioną szachownicę; pod ścianą zaś był stół okrągły, z wiszącymi kłapami, obok którego stała kredensowa szafka, a między nią i piecem wisiał zegar z wagami, który dość chrapliwie, ale głośno i regularnie wybijał godziny. Administracya tego pokoju należała do p. Katarzyny. Tu mogła ona sprzątać bezkarnie, ile się jej podobało, i nawet z myciem podłogi nie doznawała wielkiego kłopotu.

Wcale inaczej rzecz się miała z drugim pokojem, który był właściwem mieszkaniem zacnego emeryta, gdzie było jego łóżko, jego szaragi, na których wisiał płaszcz, szlafrok i surdut tabaczkowy; gdzie stały jego buty z długimi nosami, a przy nich szczotki; gdzie były jego półki, na których we wzorowym nieporządku leżały książki w dość znacznej liczbie, wcale dobrze dobrane, ale uszkodzone przez pożyczki, defektowe co do liczby tomów, i mające na sobie odwieczną kurzawę, która wpila się w papier i nawet kolor okładek pozmieniała. Na dolnej półce leżała massa seksternów i innych papierów. Byłyto studia grammatyczne naszego pedagoga i ćwiczenia uczniów, których kilka z każdej klasy zatrzymywał zawsze u siebie, i od roku 1820 z zanotowaniem daty i nazwiska, na pamiątkę postępu uczniów chował. Przy stole jego długim, pokrytym zielonym sukniem, pełnym także kurzawy, dziur i atramentu, stała wspomniana już wyżej szafka z doborem grammatyk

łacińskich, dykcyonarzów, wypisów i ze słoikami tabaki. Ta miała zaszkłone drzwiczki i była zawsze starannie zamknięta. Do tego pokoju p. Katarzyna wchodziła tylko ukradkiem ze ściereczką i szczotką. A chociaż stary nie gniewał się złapawszy ją na gorącym uczynku, bo gniew był uczuciem zupełnie obcym sercu tego człowieka, ale widziała, że go to martwiło, że z roztargnieniem i nie smakując wcale zażywał tabakę i rozsypywał ją po ziemi; że już z mniejszym apetytem jadł obiad, chociaż był barszcz różowy i wonny; że cały dzień unikał swego pokoju, jakby ten stracił już dla niego swój powab, że był wyprzątnięty i czystszy. Bolała nad tém dobra i delikatna córka, i dlatego tylko kiedyniekiedy pozwalała sobie koniecznego uporządkowania, nie myśląc już wcale o wymyciu tam podłogi, która od lat kilku pokrywała się coraz grubszą warstwą brudu, tak dalece, że oko najwprawniejszego naturalisty nie byłoby w stanie dojrzyć słojów drzewa, z którego była zrobiona.

Z tego pokoju były wprawdzie drzwi do pokoju Kasi, ale prawie zawsze na klucz zamknięte. Co dzień jednak dobry ten ojciec otwierał je, wchodził do mieszkania córki, i wówczas serce jego radowało się widokiem dorodnej panny, cieszyło się czystością i elegancją jej sprzączków, jej strojem zawsze pełnym skrzętności i gustu, jej ciągłym zajęciem to robotą i igłą, to książką i piórem, to kwiatkami, które zdobiły jej okno, to modlitwą przy łóżeczku panieńskim, przy którym ją czasem na kolanach zastawał. I wówczas nie wchodził wcale, postać tylko, popatrzył, niekiedy łza zakręciła się w jego oku, i cicho drzwi zamknawszy, do siebie powracał. Bo też rzeczywiście miło było wejść do téj stancyjki, gdzie wszędzie jaśniał porządek, gdzie wszyst-

ko było białe i czyste, gdzie łóżeczko było tak zastane, jakby na niem nigdy nikt nie spał, gdzie każdy mebel, każdy gracik tak się świecił, tak uśmiechał, jakby dopiero co przyszedł od rzemieślnika i ze sklepu. Urok dziewictwa leżał na wszystkiem co się tam znajdowało, a cisza jaka tam panowała, świadczyła jak skromném, jak cichém było to serce, którego pokoju i swobody dotąd nie zamieszało.

Przywyklszy do ciągłej pracy, do ustawicznego zajęcia przez lat trzydzieści pięć nauczycielstwa, p. Cypryan Ambrożynski, doczekawszy się wysłużonego odpoczynku, nie próżnował wcale. Z nalogu, z przyzwyczajenia, ciągle i zawsze myślał tylko o łacinie, i radby jęj nauczać. Gdy rano wstawszy skończył paciérz, gdy już sobie przyrządził i napelnił tabakierkę z tego słoika, jak z kolei na ten dzień przypadał; wtenczas przeglądał grammatyki łacińskie, porównywał jedną z drugą, notował gdzie to lub owo prawidło łatwiej lub trafniej wyrażone, gdzie przykład do prawidła lepiej dobrany. Czasem brał w rękę jakiego autora, ale jedynie w tym celu, aby w nim znaleźć i podkreślić frazes, który się do jakiego trudniejszego miejsca grammatyki stosował. Szczególniej lubił imiesłowyy, *gerundia* i *supinum*, i składnią ich ze wszystkiemi szczegółami i wyjątkami znał na palcach. Także *Ablativus consequentiae*, zwykle zwany absolutnym, wielką miał u niego łaskę, a całą metafizykę partykuły *quum* znał bardzo dobrze, usunąwszy wluśnie teraz ostatnie wątpliwości, jakie mu w tój zawilędj materyi pozostały, tą rozprawą, *ad obtinendum gradum Doctoris Philosophiae*, z którąsmy go już poprzednio widzieli.

Nalóg jest drugą naturą. To też czasem wartując swoje grammatyki, wyobrażał sobie, że się gotuje na lekcję. A gdy wybiła ósma na zegarze, po której zwykle wychodził, żeby się nie spóźnić na dziewiątą, zawiązywał czempredziej chustkę, wołał o kawę i naciągał na siebie wice-mundur, szykując tę lub ową książkę, jaką miał wziąć z sobą. Dopiero gdy weszła Kasia niosąc mu śniadanie, gdy zapytała dokąd się tak rano wybiera, przypominał sobie, że zawód jego skończony, uśmiechał się ze swego roztargnienia, i kiwnąwszy ręką dodawał czasem: — Szkoda! a miałem właśnie świeże przykłady, któreby chłopcom dobrze wyjaśniły użycie słów: *interest* i *refert*. Siadaj Kasiu! powiem ci to, bo to ciekawe i nie w każdej grammatyce to znajdziesz.

Siadali więc oboje; on pił kawę, i trzymając w rękę umoczoną bułeczkę, objaśniał córce ten szczegół grammatyki. Słuchała go panna z uwagą, i choć niezawsze i nie wszystko rozumiała, dla uciechy ojca zagadnęła go czasem tą lub ową kwestyą. Wówczas radość błysnęła w oczach emeryta, zapal pedagogiczny objaśniał jego wysokie czoło, a postęp córki w takich trudnościach, pod którymi nie jeden chłopak szkolny upadał, był jego prawdziwym i niewinnym tryumfem. Nie była też Kasia tak zupełnie obcą w łacinie, jak są inne panny. Ukończywszy nauki u pani S*, częścią dla zabawy, częścią dla ucieszenia starego ojca, którego nad życie kochała, nauczyła się w sekrecie deklinacyj i koniugacyj słów foremnych, i ten zapas nowych wiadomości, przyniosła mu raz na wiązanie w dzień jego imienia prosząc, aby ją wyexaminował. Rozplakał się stary, uściskał i pobłogosławił córkę, i odtąd, gdy go napadała niepowściągniona chęć uczenia, sadzał ją obok sie-

bie i z zamiłowaniem i gorliwością wpajał w nią *rudimenta* téj mowy, którą Horacy pochlebiał Augustowi, którą Wirgiliusz pieścił uszy miękkiego faworyta, którą Cycero grzmiał z mownicy i, przygotowanemi dobrze improwizacyami, zbawiał Rzym i siebie pod niebiosa wynosił.

Wszakże niekiedy, gdy go sumienie dręczyło, że męczył dziewczynę rzeczą, która się jój na nic przydać nie mogła, choć czuł zbliżający się paroxyzm pedagogiczny, nie wołał jój do siebie, ale brał się do poprawiania dawnych ćwiczeń, uśmiechał się niekiedy ze swoich własnych poprawek w pierwszych latach nauczycielskiego zawodu czynionych, porównywał je z późniejszymi, i tak swój własny postęp kontrolował.

Póki był w czynnej służbie, szanowali go zwierzchnicy, kochali koledzy i uczniowie. Wszakże nieraz się zdarzało, że młodszy i mniej ochoczy do uczenia towarzysze, nadużywali jego dobroci i gotowości. Byle go który poprosił, byle zażył ze smakiem i pieśczołą jego tabaki, byle nie odgadł mieszaniny, z której była złożona, czując się niższym do zgłębienia takiego sekretu, zastępował ich z ochotą, tak, że mu po trzy i po cztery godziny lekcyj na tydzień przybywało. Dobroduszny i szczerý, gotów i innemi sposobami przysługiwać się kolegom, wierzył każdej prośbie, i pożyczał ile mógł; wierzył oraz każdej ekuzie, i albo nie śmiał upomnieć się, lub zapominał o długu, jeżeli zręczny dłużnik tłumacząc się z niemożności, delektował się jego tabaką, i chwalił jój wzorową przyprawę.

Takim był ten szanowny człowiek, którego życie upływało dziś w ciszy i nałogowém zajeciu; o którego ograniczonych potrzebach pamiętała skrupulatnie najle-

psza córka, którego sercu i oku starała się przynieść tyle pociechy, ile tylko mogła, któremu umiarkowanie dało zdrowie, a pokój wewnętrzny, cisza i praca, dały humor wesóły i jednostajny. To téż odmówiwszy paciérz i uściskawszy córkę zasypiał spokojnie, koniugując sobie w myśli jaki trudny *Deponens*, lub szykując prawidłą *de consecutione temporum*, i spał cicho do piątéj, o którój zwykle wstawał. Czasem tylko jaki sen przykry, co się i najnotliwszym zdarza, mieszał ten błogi odpoczynek. Niekiedy mu się przyśniło, że słowa *utor* użył z przypadkiem czwartym; że kazawszy któremuś malcowi deklinować *epulum, i*, dopuścił, że ten w liczbie mnogiej mówił *epula, orum* i nie poprawił go wcale; że gdy przyszło do wytłumaczenia składni *Supinum*, zapomniał jak *venio salutatum amicos* powiedzieć siedm razy inaczej, i chociaż go uczniowie o to pytali, wytłumaczyć im tego nie umiał. Zdręczony i zimnym potem obłany budził się wówczas, siadał na pościeli i opamiętawszy się, zęgnął się i dziękował Bogu, że to był sen tylko.

To były jedyne zmartwienia, których doznawał. Zasluszył on swoim usposobieniem, swoim charakterem, swoim sercem kochającym ludzi i naukę, aby nie doznał innych, aby dni jego dopłynęły w téj ciszy, w tym pokoju do téj mety, gdzie cisza wieczna i pokój niczém niezmiészany; aby wprzód jeszcze obaczył i pobłogosławił szczęściu tego dziecka, które tak kochał, i które tak na miłość jego zasługiwało. — Ale życie ziemskie musi wziąć swoje i nie przepuści nikomu. Dognało ono i tego starca nad grobem z gorzką swą czarą, zmusiło go wypić ją do dna, aby przeszedłszy tam, gdzie niéma gorczy i cienia, mógł powiedzieć: i ja żyłem, i ja wiem co to ziemia.

I zaraz w kilka dni po wyjeździe pana Romana, postrzegł nasz emeryt, że córka jego zesmutniała, że roztargniona, że ani w jój zachodzie gospodarskim, ani w uporządkowaniu pokoików, ani w jój ubraniu niéma tego zajęcia, tego oddania się zupełnego robocie, przy którém ona jedynie postępuje i przynosi ulgę i rozkosz. Dawniej sprzątając, prasując swoje sukienkę, podlewając i oczyszczając kwiatki śpiewała sobie, jak ptaszek swobodny, pewny, że ma dość nieba do lotu, dość ziarna na polu do dziennego pożywienia. Od kilku dni ani jedna nuta nie zabrzmiała na jój ustach, ani razu nie przemówiła do ojca sama, ani razu nie przyszła do niego z prośbą o objaśnienie jakiego frazesu z Eutropiusza, który stanowił całą jój łacińską lekturę, którego gdzieś umyślnie czasem nie rozumiała, żeby ucieszyć starego nauczyciela, dając mu powód do długiego tłumaczenia i delikatnych objaśnień. Z początku udawał on, że nie uważa téj zmiany, częściej tylko zachodził do jój pokoiku i starał się zdaleka i nieznacznie postrzeżenie swoje sprawdzić; ale gdy ją raz zszedł na kolanach gorzko płaczącą, zmartwił się seryo i nie mógł zbyć z myśli tego widoku, na który serce jego ojcowskie zabolowało. Wprawdzie Kasia postrzegłszy, że ojciec widzi już jój smutek i obserwuje zmianę jój humoru i twarzy, prędko otarła łzy, umyła oczy zimną wodą i przyszła do niego tegoż wieczora z Eutropiuszem; lecz stary odłożył na inny czas objaśnienie trudności grammatycznych, a posadziwszy córkę koło siebie, zaczął ją badać i wypytywać. Ale ona zbyła go to tém, to owóm; upewniała, że jój tak jakoś smutno się zrobiło, że sama nie wie jakaby mogła być przyczyna téj zmiany jój humoru, że się czuła cokolwiek niezdrową, ale że to już

przechodzi: i zmuszała się biedna do uśmiechu, do wesołości, do rozmowy obojętnej, która nie płynęła z jej serca i której dusza jej nie słyszała wcale. Uspokoilo to cokolwiek ojca; jednak gdy sobie powiedzieli dobranoc, długo jeszcze chodził po pokoju, a leżąc już po odmówieniu pacierza, zamiast innych części mowy trudniejszych i zawilszych, gdy mu się nawinęła mimowolnie prosta deklinacya *filia lacrimans*, przeszedł w myśli przez obie liczby i wszystkie przypadki, i poczuł doprawdy łzę, która się przez zmrużone jego powieki przeciskała.

ob Wszystkiego początki są słabe, nawet biedy i klęsk, które spotykają pojedynczych ludzi i całe narody. I te włości, które ze słabych początków rosną, rozwijają się i wzmagają do nieskończonej nędzy, są najgorsze, są nieuleczone jak choroby chroniczne, jak suchoty, które trawią ciało, wyniszczają życie, póki śmierć nie położy końca i nie da ulgi. Klęski gwałtowne, niespodziane, są jak burze, które mogą złamać; ale gdy nie złamią, przydają świeżości i mocy; są jak zapalenia, które jeśli nie zabijają, podnosi się z nich ciało prędko, i odnowionem niejako tchnie życiem. Ale to, co powoli zabija i kaleczy, zabija dobrze, kaleczy zawsze śmiertelnie.

7 Pierwsze to bolesne wrażenie, sprawione przez smutek i tajoną bolesć córki, zatarło się prędko: gdyż Kasia czując, że nie powinna być powodem niepokoju dla człowieka, który przez trzydzieści pięć lat gorliwie pracował na to, aby miał pokój i odpoczynek, całą siłą woli i miłości utaiła w sobie, co czuła; wróciła do dawnego trybu postępowania, i pracą i zajęciem odpędzała te chmury, jakie nasuwały się na jej piękne czoło, gdy weszła w swe serce, gdy widziała, że tam się usadowiło uczucie silne i może daremne, że tęsknota niewysłowiona

ciągnęła jój myśli za obrazem, za uśmiechem, za głosem młodego człowieka, który może dla igraszki zajął się nią przez chwilę, a teraz oddalony zapomniał, i wkrótce zapewne całkiem zapomni. W nocy tylko pozwalała sobie gorzkich myśli, i często dziewiczą poduszkę, na której głowa jój dotąd tak cicho, tak smacznie odpoczywała, zlała obfitemi łzami, które przynosiły jój ulgę i sen przywoływały.

Odwiedzała także kiedyniekiedy pensją pani S*; każdą razą szła pomiędzy panienki, bawiła się to z tą, to z ową, kończąc zawsze na Heluni, którą przyciągała do siebie, tuliła w swém objęciu, i całując jój oczki i buzię, nieraz czerwieniła się od wstydu i rozkoszy. Dziewczynka przywiązała się do niój serdecznie; nie wiedziéć dlaczego nazywała ją ciocią, i wówczas Kasia drżała od radości i coś prorockiego słyszała w tym niewinnym głosie, i w tém nienauczoném nazwisku. Ale gdy wracała do domu, tém boleśniej dręczyły ją niepewność i niepodobieństwo, aby się ta szczęśliwa wróżba kiedykolwiek ziściła. Owszem, ile razy przechodziła przed kościołem na Lesznie, stawał przed jój myślą obraz owój baby w łachmanach, i słowa jój: „i ja byłam taką, a teraz, patrz czém jestem” rozlegały się w jój sercu i wszelką głuszyły nadzieję.

Często więc postanawiała sobie nie iść więcej do pani S*, lub przynajmniej nie widziéć i nie pieścié téj dziewczynki, która była powodem ich poznania się, i stała się niejako ogniwem między ich sercami. Ale próżne były obietnice, które sama sobie czyniła. Napadały ją chwile niewymownej tęsknoty, i wówczas biegła do domu dawnój swojej ochmistrzyni, prędko, nie patrząc na nic, jak gdyby się na lekcya spóźniła, i skoro tylko mogła bez

widocznego narażenia się na jakieś posądzenie dopaść gdzie Helunię, tysiącami okrywała ją pieszczotami. Raz w takim usposobieniu przyszedłszy, zastała panienkę płaczącą. Nie śmiała zrazu spytać jęj o powód łez, ale dziewczynka sama ją uprzedziła:

— Ciociu Kasiu! — rzekła — patrz, odebrałam list od wujcia. Wujcio pojechał daleko, bardzo daleko, gdzieś na jakieś Pobereże; i czy ja wiem gdzie to Pobereże? To musi być gdzieś na samym brzegu świata, a ja tu zostanę, i nikt po mnie nie przyjedzie.

— Czyż na tak długo wujcio pojechał? — zapytała p. Katarzyna blednąc i siadając, gdyż nogi pod nią drżęć zaczęły.

— Ach! na bardzo długo. Pisze wujcio, że nie wróci aż za rok, albo i później. Patrz ciociu Kasiu! przeczytaj ten list, a obaczysz sama, jaka ja nieszczęśliwa.

P. Katarzyna wzięła, przeczytała; słowa były obojętne, zimne, w żadnym z nich ani śladu żalu, niepokoju, z żadnego ani domyśleć się nie można było, iż się spodziewał, że może i ona je przeczyta, że okiem i duszą wygrzebywać w nich będzie jakiegokolwiek wzmianki o sobie, jakiegokolwiek wspomnienia na dni razem spędzone. Zamykało się w nich proste tylko doniesienie, że jedzie i nie wróci aż za rok, albo i później; upomnienie, żeby się uczyła, żeby była posłuszną, że matka chora i odwiedzić jęj prędko nie może i na wakacye nie weźmie.

Drżącą ręką oddała p. Katarzyna list Heluni, i poszła nie pożegnawszy się nawet z zadziwioną dziewczynką. Chodziła długo myśląc nad sobą, walcząc z bólem, któremu na chwilę mężne jęj serce uległo. Ale jak się często zdarza, że złe gdy przyjdzie, gdy stanie przed

oczami w formach wyraźnych i skończonych, nie tak silnie uderza, nietyłe przynosi spustoszenia, a zatem nie tak straszném się wydaje, jak wówczas, gdy się dopiero przybliża i w groźnej i niepewnej postaci nasuwa; to też i w duszy heroiny naszej znalazło się więcej mocy, niż sama się spodziewała. Nie obeszło się wprawdzie bez zamyslenia w samotności, bez lez przy modlitwie, które skrapiały książeczkę do nabożeństwa, przypominającą jej każdą razą tę, którą oddała na pamiątkę, a zatem i wszystkie przechadzki i wszystkie rozmowy, i cały urok piérwszej miłości: ale powoli, stopniami zaczęła się oswajać z tą myślą, że wszystko to było snem, bańką, która pękła, chmurką w cudne formy ukształconą, którą wiatr rozegnał, żadnego śladu nie zostawiwszy. Takie uważanie wypadku, który zakłócił jej pokój, poczytywała za święty swój obowiązek; rozsądkiem i perswazyą zaszczebiała w sobie, że tak powiem, zapomnienie owęj szczęśliwéj chwili, i gdy pamięć uparta wraca do niéj, gdy to lub owo nasuwało na myśl, jakby drażniąc, słodkie mamidla, odpychała je od siebie pracą, ciągłym zajęciem koło domu, koło kuchni, koło garderoby swojéj i ojcowskiéj, wynajdywaniem nawet zatrudnień, któreby koniecznie pochłonęły w sobie całą jej uwagę. Tymto sposobem przeszła od Eutropiusza do Korneliusza Neposa, przygotowała się do wytłumaczenia życia Anibala, wyszukała w dykeyonarzu wszystkie wyrazy, których nie wiedziała, łamała sobie głowę aby dojść z nich sensu i myśl autora wyczytać. Do téj ostatniéj pracy miała i ten powód, żeby ucieszyć ojca i zatrząć bolesne wrażenie, jakie na sercu jego jej smutek, jej bladość, i cała raptowna zmiana jej wewnętrznego bytu sprawiły.

Tak święte postanowienia, tak rozumnie obrane do tego środki, przyniosły pożądany owoc. Kasia uspokoiła się, wróciła prawie do dawnego stanu, a stary pedagog, gdy pierwszy raz usiadł do tak pożądanej dla niego lekcji, gdy zażył tabaki, jak dawniej sztuknął parę razy tabakierką o stolik dla obudzenia uwagi, i poprawiwszy okulary, zaczął: *Hanibal, Hamilcaris filius Carthaginensis* i t. d. nie posiadał się z radości i zapomniał o wszystkich gorzkich myślach, jakie go przez kilka tygodni dreczyły.

W takim stanie były rzeczy, gdy nowy wypadek wpłynął stanowczo na życie jego, i poplątał znowu ten regularny tryb, jaki sobie ułożył i na którego stałość miał prawo rachować, wysłużywszy trzydzieści pięć lat w mozołnym stanie nauczycielskim.

P. Cypryan Ambrożynski miał dawniejszego kolegę, znacznie młodszego wiekiem, ale z którym razem w jednej szkole nauczał. Nazywał się on Marek Wielowiedzki. Nazwisko zdaje się być i jest rzeczywiście częmsiś zupełnie przypadkowym, i nie powinno być mieć żadnej konsekwencji; historia jednak i życie prywatne dowodzą przeciwnie. Nie mówiąc już o nazwiskach, do których przywiązany urok zasług i chwały, i które wkładają na człowieka pewne obowiązki; ale najpospolitsze i zupełnie nowe, wpływają czasem na powołanie, kierunek umysłu i tryby charakteru. Znałem jednego, który był przeznaczony na księdza, ale że się nazywał Schabowski, został traktyernikiem. Młody jeden chłopak nazwiskiem Kopytnicki, oddany do wojska, uciekł z pułku i przysłał do szewca. A chociaż schwytyany był i dostał plagi, nic to nie pomogło; wykręcił się jakoś od ka-

rabina i wrócił do kopytn, do którego go nazwisko jego ciągnęło. Takich przykładów możnaby wiele naliczyć. Do jednego z nich należy i pan Marek. Już najprzód przez ten wzgląd, że mu dano imię Marek, był próżny jak Marek Tulliusz, krzykliwy jak on, i wszystko co się tylko robiło w sferze jego działania, sobie jedynie przypisywał. Każda jego rozmowa zaczynała się zawsze od *ja*, kończyła się na *ja*, a i w środku (te *ja* stały od siebie gęsto w równych odległościach, jak koły w płocie, które go utrzymują. I rzeczywiście, wszystko co mówił na tém się opierało. Gdzie nie było można wtrącić *ja*, lub do niego rozmowy naciągnąć, tam p. Marek nie umiał się już tak dobrze znaleźć i nie był tak wymownym i tak pewnym tego, co mówił. Chociaż w ogólności nie można mu było zaprzeczyć nauki, gdyż i samo nazwisko jego powoływało go do uczoności; chociaż dobrze umiał po łacinie, czytał po francuzku i cokolwiek po niemiecku, a w młodości przetłumaczył jedną georgikę Wirgiliusza, jakąś tragedią z francuzkiego, i pisywał niegdyś ody i listy wierszem trzynastozgłoskowym; ale było, że się tak wyrażę, literat zastygły, jakich mamy jeszcze rzadkie z dawniejszych czasów exemplarze. On uczył się i pracował do roku 1821. Co do téj pory w literaturze naszój zrobiono, o tém wiedział i to cenił. Ale na tym punkcie zatrzymał się i zastygł; a jakkolwiek kierunek i lot wzięła potém poezya, cokolwiek pomyślano i napisano, to już nie przystało do jego głowy i serca, to uważał za nic, nie czytał wcale, i gdy mu o nowych i celujących uczuciem i imaginacją płodach mówiono, ruszał ramionami, śmiał się ironicznie, i odwołując się do lekcji L. Osńskiego, do tłumaczeń tragików francuzkich, przechodził naturalnie do Wirgi-

liusza i jego georgik, a nadewszystko do owój tragedyi, którą sam przełożył i całą dysputę kończył na ja, w czém już trudno go było przeprzeć i przegadać. Pan Marek prędko porzucił stan nauczycielski, przeszedł do innej służby, i trafiwszy przypadkiem na zwierzchnika, który pozwalał sobie zamydlać oczy samochwalstwem, który wierzył, że w biurze jego wszystko się robi ręką i głową p. Marka, dość wysoko się pokierował. Człowiek tak próżny i tak pełen siebie, jest naturalnie egoistą i w innych względach: bo miłość własna, która jest zasadą próżności, rozciąga to zamiłowanie siebie nietylko do jakiegoś przymiotu umysłu lub ciała, ale i do całej osoby, do całego życia i wszystkich jego stosunków. Ztąd więc ludzie tacy żądają wszystkiego od innych, sami nic nie dając; pragną przysług, do jakich nie są gotowi, jak pragną pochwał i admiracyi, której sami nie mają dla nikogo, tylko dla siebie.

Przypadek zdarzył, że biedna familia przysłała p. Markowi jednego ze swych członków, aby mu dał jakikolwiek kierunek na świecie i kawałek chleba zapewnił. Chociaż on takich komisów nie lubił, i nikim ze swoich krewnych nie zajmował się wcale, tą razą jednak, czyto z pobudek sumienia, czy z innych jakich tajemnych powodów, postanowił popchnąć młodzieńca, który go jakoś więcej niż inni krewni zajął. Gdy go jednak wyexaminował, gdy się pokazało, że nic nie umie, że źle czyta i pisze, że tabliczka Pitagoresa równie mu obca, jak lira tego filozofa i jego złote wyrzeczenia, chciał go zrazu oddać do błacharza lub do lakiernika; ale młody człowiek objawił stanowczo, e amż tylko chęć do stanu uczonego, i sam p. Marek zastanowił się i w sercu swoim poczuł, jakby głos własnej

krwi, który szeptał, aby jój nie poniżał rzemiosłem. Przyszło mu więc na myśl przygotować młodzieńca, aby jako tako zdał examen na nauczyciela szkoły elementarnej, a potem używszy wpływów osobistych i obcych protekcij, wyrobić mu zyskowną posadę. Lecz sam zając się nim nie chciał, bo raz, że uczyć nie lubił i dlatego stan nauczycielski porzucił, a potem żeby to było zajęcie za niskie dla człowieka, na którego barkach stało biuro całe, i który jako literat pamiętał o tém, że chodził na lekcye Ludwika Osińskiego, że przetłumaczył jedną georgikę Wirgiliusza i jedną tragedya francuzką. Mysląc więc komuby powierzyć wyrostka, żeby się nim zajął gorliwie i umiejętnie, przypomniał sobie dawnego swego kolegę, terazniejszego emeryta, którego namiętność pedagogiczną znał i pewnym był, że właśnie teraz, gdy nie ma dla niej pokarmu, wdzięcznym mu będzie za taką pracę, i zajmie się jego pupilem z całą gorliwością.

Widywał czasem p. Marek naszego pedagoga w ogrodzie Krasińskich, gdzie się wieczorem oba przechadzać lubili. Zawsze sam go zaczepiał i do rozmowy zaciągał, zwłaszcza wtenczas, gdy nie miał innej kompanii, gdy nie było przed kim wygadać o herkulesowych trudach, jakie w biurze swoim podejmował, o téj zadziwiającej sprężystości, z którą całą nawę, powierzoną stérowi swemu prowadził, o tém niedbalstwie i niedołożności podwładnych, za których wszystko sam robić musiał. Wszakże nieraz wpadali i na inny dyskurs. P. Marek, który lubił imponować i tém chętniej i głośniej perorował, im pokorniej i z gorętszą wiarą go słuchano, chętnie wszczynał i rozmowę literacką z człowiekiem popularnym, na wszystko przystającym, z człowiekiem staréj daty, który w kwestyach literatury i krytyki żył tylko

wspomnieniami młodości. Śmiech czasem brał przechodzących, gdy w roku od narodzenia Chrystusa pana 1847, słyszeli pochwały gładkiego wiersza Świątyni Weneri w Knidos, lub stanowcze decyzje p. Marka, którymi rozstrzygał spór o klasycyzności i romantyczności.

Fatalność jakaś, która przywiązała się do stóp naszego emeryta jakby go ścigając z tém postanowieniem: otóż nie będziesz miał pokoju, choć pracowałeś na to całe życie, choć jesteś bez złości i bez żądła, choć nikomu nie umiesz wody zamącić, ja ci ją zamączę: sprowadziła i tego dnia p. Cypryana do ogrodu Krasińskich, i zetknęła z p. Markiem właśnie w téj chwili, gdy go ten szukał i wyglądał.

Po przywitaniu się i zażyciu tabaczki, p. Marek, który do wszystkich ludzi skromnych i potulnych przystępował hardo i z wyrazem swojej wyższości, odrazu powiedział p. Cypryanowi o nowym do domu swego przybytku, o swoim wylaniu dla krewnych; i wyłożywszy dalsze swoje względem tego młodzieńca widoki, zaproponował p. Cypryanowi, aby się przygotowaniem go do egzaminu zajął. Jaby to sam najlepiej i najprędzej zrobił, dodał puszczając się, bo ja do czego się wezmę, to idzie; ale ja nie mam czasu, ja robię za wszystkich. Niedawno odebrałem pochwałę na piśmie od naszego zwierzchnika za moje sprężystość. Ty masz czas, dla ciebie to będzie zabawka.

Nie potrzebował tych dowodów stary nauczyciel, i przystał na propozycję z największą ochotą.

Pożegnali się więc, tą razą nic nie mówiąc o literaturze, i umówiwszy się, że młody człowiek nazajutrz rano do p. Cypryana przybędzie, każdy poszedł w swoje stronę. P. Marek obejrzał się jeszcze po ogrodzie, czy

nie znajdzie kogo z podwładnych, aby się przed nim pochwalił z dobrodziejstwa, które dla dawniejszego kolegi zrobił, i aby ztąd wykazała się działalność jego nietylko w biurze, ale i w ogrodzie Krasińskich, nietylko oficjalna, ale i moralna; zaś emeryt nasz poszedł do domu, kontent że będzie uczył i tego tylko żałując, że to nie po łacinie. Ale przyjdę ja i do tego, rzekł sobie pociachu i z uśmiechem, jeżeli tylko chłopak zdatny i ochoczy.

Gdy wrócił do siebie, nic nie powiedział córce, co go spotkało i jaki zrobił układ. Chciał on jój zrobić siurpryzę niespodziewaném zjawieniem nowego ucznia; a chociaż go świérzbiał język, zaciérał tylko ręce, i na twarzy jego widoczne było ukontentowanie. Postrzegła Kasia ten niezwykły stan ojca i zapytała o przyczynę; wówczas stary pogładził ją po twarzy, uśmiechnął się i rzekł: Obaczysz jutro.

Nazajutrz koło godziny dziewiętej chodził już p. Ambrożynski niespokojny po pierwszym pokoju, i wyglądał nowego swojego ucznia. Niecierpliwość malowała się na jego twarzy: jużby chciał go mieć przy sobie i przynajmniej przeexaminować, dla dowiedzenia się co umie i jakiej użyć metody i pedagogicznych sposobów. Ale młody człowiek nie przychodził. Dla skrócenia więc czasu czekania, zawołał córkę, kazał jój usiąść z robotą w rękę, i że jedno drugiemu nie przeszkadzało, powtarzać koniugacyą *volo, nolo, malo*, w których, pomimo pozornego podobieństwa, subtelne pokazywał jój różnice.

Wśród tego mechanicznego zajęcia, Kasia cokolwiek zdziwiona i roztargniona niepokojem ojca, wyjrzała oknem, i postrzegła w otwartej bramie dziedzińca tę samą żebraczkę z Leszna, której zbyć z myśli nie mogła. Stała obdarta i przygarbiona baba na samym progu bra-

my, oparta jedną ręką na laseczce, a drugą pokazywała ich mieszkanie, kiwając tak, jakby wyraźnie mówiła, że z sieni trzeba iść na prawo. W twarzy jej był jakiś wyraz szyderstwa, i uśmiech złośliwy wykrzywiał to lice pomarszczone, poźółkłe i pomięte, w którym nie było żadnego śladu owjej piękności, o której sama mówiła. Przy niej stał młody człowiek wysoki i pleczysty, w surduciku wytartym i ciasnym, w żółtych pluderkach wązkich i brudnych, które nie zakrywały zupełnie cholew jego butów, zdradzających wyraźnie wiejskie swe pochodzenie. Czerwonawą jakąś chusteczkę miał na szyi, a na głowie czapkę szarą z daszkiem, także widać zszarzaną i niedbale na tył głowy spadającą. Twarz jego była przystojna, biała i rumiana, oczki siwe i bystre, włosy niezmiernie jasne, ręce duże i czerwone; ale w całym jego ułożeniu i ruchach było coś rubasznego, co zdradzało wychowanie we wsi zagonowej szlachty, tchnęło karczemką i fuzyjką, było razem hardém i głupowatém.

Zadrżała heroina nasza na ten widok mimowolnie, nie mogąc zdać sobie sprawy dlaczego. Ta postać złowrogiej żebraczki, która ją tak mocno strwożyła, niespodziewanie zjawiona; ten młody człowiek, który widać o nich się dopytywał; ten domysł, że zapewne żebraczka zna ją i może dla jakich widoków ma ją na oku; to oczekiwanie ojca, jego wczorajszy misterny uśmiech i ta obietnica „obaczysz jutro”: wszystko to wprowadziło ją w takie roztargnienie, że nie słyszała wcale charakterystyki czasu przyszłego w trybie oznajmującym, odróżniającej go tak wyraźnie od czasu teraźniejszego w trybie łączącym, którą jej ojciec właśnie w téjże chwili wykladał. Już ją chciał stary upomnieć, że nie uważa, i trzymając w ręku tabakierkę, spuścił ją trzy razy pionowo

ku ziemi dla uderzenia niby w stół, którego wszakże pod ręką jego nie było; gdy drzwi się raptem otwarły, potem zamknęły się z trzaskiem, i ów młody człowiek, którego baba zainformowała, stanął przed niemi. Rzucił on bystro okiem naokoło, posunął prawą nogą w tył, i machnąwszy czapką, którą w mgnieniu oka w trąbkę skrzył i w obie wziął ręce, rzekł:

— Upadam do nóg. A to zapewnoś tu?

— Co tu? — zapytał stary.

— A juźci zapewnoś tu mieszka pan professor — mówił zerkając na Kasię — bo mi to baba powiedziała.

— Któż ty jesteś? młody człowieku! — zapytał znowu zdekoncertowany trochę pedagog.

— Ja? oho! — odpowiedział uśmiechając się — żebym to ja wiedział kto jestem? ale ja sam nie wiem. A nazywam się Marcin Wiedzki, co to mnie tu do pana profesora JW. referendarz przysłał, żebym się uczył. Bo ja chcę się bardzo uczyć. — *Avidus scientiae!* — rzekł sam do siebie p. Cypryan, któremu w téjże chwili przyszła na myśl składnia *Genitivu*, i przez cały ciąg téj rozmowy snuła mu się po głowie. — A co blacharzem albo lakiernikiem to nie będę wcale, żeby mi tam nie wiem co zrobili — mówił dalej młody człowiek. — Wolę drugich rozumu uczyć.

— A, więc to ty? młody człowieku!

— A ja sam, jak mnie p. professor widzisz — odpowiedział kłaniając się niezgrabnie.

— A cóż ty umiesz?

— Ja? proszę pana profesora, oho! ja umiem do celu strzelać doskonale; ja umiem obertasa dobrze...

— Ale mój kochany tu nie o to idzie — zawołał zmieszany pedagog. — Czy umiesz ty czytać, pisać, rachować?

— Rachować? ale! rachować umiem doskonale— odpowiedział uśmiechając się i poglądając na Kasię. — Jak bywało, wujaszek, pan Bartłomiej Siechurski, pan wie, ten, co to jego wszyscy bali się we wsi jak ognia, wywiózł pociemku z lasów rządowych furę lat, to zawsze mnie kazał przerachować; i choć była noc, że oczy wykół, to ja przecież nie omyliłem się i porachowałem wszystkie. Ale takich rachunków, o jakie mnie już JW. referendarz pytał, to takich nie umiem.

— To źle— rzekł zażywając tabakę pan Ambrożynski, i dodał ciszej — *rudis literarum*.

— Eh! nic to— odpowiedział chłopak machając czapką— ja taki będę miał rozum, i jak zechcę, to się wszystkiego prędko nauczę; bo ja...

Gdy to mówił, zwrócił znowu oczy na p. Katarzynę, i postrzegłszy, że jakby z trwogą na niego patrzyła, spuścił wzrok ku ziemi, zaczerwienił się i umilkł.

Kasi dziwnie się jakoś zrobiło. Wstała i wyszła; a młody człowiek prowadził za nią wzrokiem, póki drzwi nie zamknęła, i potem obracając się i widząc, że stary przechadzał się zamyślony, odwrócił się jeszcze raz ku drzwiom i rzekł pocichu; — Oj! oj! jakaż ona śliczna! niechże ją djabli wezmą.

Taki był uczeń, którego p. Marek koledze swemu, w widoku dobrodziejstwa narzucił. Jakie było jego wychowanie, jak się później rozwinął, jakiej zmianie uległa głowa i serce tego nieuka i zaściankowego gburra, jak jego zjawienie się związało się z dalszemi losami naszego emeryta i jego córki: to się w następném rozwinięciu tego opowiadania pokaże.

(Dalszy ciąg nastąpi).

— Nachowaci siel rachowac umiemia doskonale — ob-
powiedzial namieniaczyc sie i pochodzajac na Kasie. — Jak
prawa, w nieszak, pan Hartmann, Stechurski, pan wie-
tak, to to jesto wstawy hall sie we wasz na ogonem, w
wodzi postomian z nasow rachowaci tutej tal, to rachow-
nime katali rachowaciowac, i chod bity nos, to ocy w
kol, to ja rachowaciowac, i chod bity nos, to ocy w
wstawie. Ale talach rachowaciowac, i chod bity nos, to ocy w
L W.

ZNACZENIE

I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michala Głuszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Step.— Stepowa wojna.— Reduty i figury.

Nowo-rossyjskie stepy nie miały jeszcze historyka, chociaż w każdym względzie godne są pióra tak mistrzowskiego i szlachetnego, jak pióro Coopera, poety - malarza i kronikarza stepów amerykańskich.

Widok stepów nowo-rossyjskich robi dziwne wrażenie na człowieku, co je pierwszy raz ogląda, a wrażenie to nigdy się już nie zacięra. Postać ich urocza, szczególnie pod wieczór lub w znoyny dzień letni, swoją wielkością i niezmiernością, jakąś tajemniczą ciszą, równie głęboko działa na wyobraźnię wędrowca, jak widok bezbrzeżnego i niezmiernego oceanu na majtku, co to jeszcze nie przywykł do wiatrów i burz. I teraz jeszcze

przybliżając się od Dniestru lub Kodymy ku nowo-rosyjskiemu krajowi, stopy te nie bacząc na tysiące ich mieszkańców, na wielość sioł i bliskość Odessy, teraz jeszcze wydają się głuchą pustynią. Mieszkaniec północnej lub południowej Rosyi, wstępując na nie, spogląda w te niezmierzone równiny z jakąś zadumą; myśląc, że się nazawsze rozstaje z zamieszkałym światem. Ale czemu były owe stopy na dwa wieki przed nami? a nawet w połowie przeszłego wieku, kiedy były w posiadaniu Zaporozców i nazywały się poetycznym mianem: „Dziemiem polem” u Polaków, a „pustynią” u obcych (*les déserts Zaporosiens, solitudo*)? Ciekawaby była i zajmująca historia, albo przynajmniej opisanie stepów i stepowego bytu Zaporozża, w owej odległej epoce, kiedy krom uzbrojonych zaporozkich komend, krom ukrytej w trzcinie rusznicy hajdamaków, niezliczonych stad i tabunów, gdzieś bielejącej się chaty zimownika, nic więcej nie napotykał śmiały podróżnik. Drog nie było, prócz odwiecznych szlaków, po których ciągnęły karawany po sól do Krymu, po ryby na Don i na Zaporozże albo ze zbożem i towarami do Oczakowa. Tę drogę, nazywano u nas Czarnym szlakiem, a to z przyczyny niebezpieczeństw, jakie spotykały na nim podróżnych i handlarzy, a podobno więcej dlatego, że tym szlakiem najczęściej Tatarzy spadali na Polskę. W języku ludu ukraińskiego, szlak ten nazywał się Szpakowym, od nazwiska przywódcy hajdamaków Szpaka (1), co to umiał doskonale prowadzić czumackie karawany po przesłicznych

(1) Szpakowy szlak albo Czarny, można widzieć na mappie Rizzi-Zannoni; nazywa się on po turecku Kerman-Joli „karawana droga”, a po polsku napisano „droga niedojrzana”, a dalej ku północno-zachodowi „zły krok”.

dolinach i w bliskości wody, nie czepiając wsi, i nie wystawiając na niebezpieczeństwo czumaków w dzikiej pustyni.

Droga ta przechodziła prawie po tej samej linii, co i dzisiejszy handlowy trakt z zachodnich gubernij do Odessy; zaczyna się ona na Wołyniu, dochodzi do Humania, a ztąd skrytymi ścieżkami, głębokimi bezdrożami, po brzegu stepowych rzeczek, dochodziła napróżd do Bałty, potem do Olwiopola, a nakoniec do przeprawy Nikityna na Dnieprze. Druga handlowa droga po stepach, nazywała się „Murawskim szlakiem”, od wyrazu murawy, trawy. Ciągnęła się ona, tak jak i pierwsza, z głębi Małorossyi przez wschodnie stepy Zaporozża; przebywszy wierzchołki Worskły, aż do źródeł rzeczki Berestowaty, wpadającej w Samarę, szła na południe przez wszystkie prawie zaporozkie pałanki do granicy, czyli do Końskich-Wód, i tu przechodziła do ziemi krymskiej. Jakbyto ciekawy był sumienny dziennik takiój podróży po stepach, pełnej niezliczonych niebezpieczeństw, przykrości i niewygód! Zaporozkie stepy nie były wcale podobne do stepów nogajskich lub uralskich.

Na Zaporozżu czumak albo polski kupiec, znajdował obronę od hajdamaków, schronienie w białej chacie zimownika, zwykle stojącej na brzegu głębokiej rzeczki, w rozpadlinach gór, albo przy wykopanej studni, wyłożonej kamieniem, z przywieszionem wiadrem i żłobem, dla napojenia i nakarmienia ludzi i zwierząt. Gospodarz zimowiska zaporozki Kozak, zwykle był i szynkarzem (traktyernikiem); a zatem bezpieczeństwo czumackich junaków, było dla niego nie tylko obowiązkiem, ale i źródłem dochodu i zysku. Znał on dobrze, że sława dobrego zimownika szybko się rozszerza nie tylko na

Ukrainie, ale i poza granicą. Dlatego téż, wyjąwszy rzadkie rozbójnicze napady hajdamaków, pilnujących bydła, karawany mogły być spokojne na Zaporozu, jak w domu. W razie krzywdy każdy wiedział, że albo pułkownik pograniczny, albo patrolujące komendy, albo nawet wojskowa starszyzna strasznie ukarze kijami wi-chrzcziela lub grabieżcę. Ale przeszedłszy za Dniepr przy Nikityna przewozie, czumak moczył swoje odzież i koszulę w diegciu, dla zabezpieczenia się od dżumy i robactwa; nabijał rusznicę, dobywał z wozu pikę, i na piersi zawieszał haman (ładownicę), w której chował drukowany bilet z urzędową pieczęcią i podpisem po-granicznego rosyjskiego urzędnika, z tłumaczeniem tu-reckim tego żelaznego listu. Na nogajskich stepach nie było już ani siół, ani zimowników: dobrze jeszcze było, jeżeli trawa się zrodziła, a woda w polnych rzecz-kach nie powysychała; inaczéj nigdzie nie było można dostać ani pokarmu, ani wody. Od zaporozkiej grani-cy aż do Perekopskiej Baszty, nie widzieli już nic, kromę tabunów albo stad tatarskich, cały rok błakających się z czabanami (pilnującemi trzód, pastuchami), równie dzikiemi jak ich konie, wiecznie z berdyszem lub no-żem za pasem.

I to za szczęście uważało się, jeżeli w jakim aule (wiosce), aga lub murza jaki mieszkał: bo wtedy ruski jarlik (paszport) bronił czumaków od ucisku i grabieży. Ale na gołym stepie, daleko od aul, Nogajcy nie bali się nikogo, i niczém dla nich było, zabrawszy im wprzód bydło i zboże, zarznąć dwóch lub trzech kupczących śmiolków. A ileż oszukaństw przy słonych jeziorach, ile krzywd w Baszcie od wszelkiego rodzaju dyzdarzy, imanów i kajmakanów (urzędnicy tatarscy)!

Ale ktośto odważał się na takie podróże? ktoś mógł albo chciał opisywać sumiennie i zimną krwią, takie wcale nieturystowskie wojaże? Jakież podróznik nie kusi się upiększyć wymysłami opowiadania swojego, przerażony niebezpieczeństwem, albo podżegany miłością własną? A wieleżto było takich, co widzieli sicz, albo step zaporozki? Zaporozcy sami pieśni tylko składali, a czumaki wiedzieli tylko, gdzie zimownicy, gdzie dobra trawa, woda, gdzie łoboda, kiedy trawy brakowało, gdzie mogiła, od której trzeba zwrócić na prawo lub na lewo, albo na jakiej rzece bród pewniejszy dla jego wołów. Polacy często przyjeżdżali do sicity z listami od gubernatorów, albo dla handlu; ale nie umieli rozmyślać o tém co jest, ani pamiętali o przekazaniu czasów swoich i faktów w piśmie dla potomności.

Z rosyjskich uczonych i urzędników, o ile mi wiadomo, tylko astronom Euler, asauł generalny artylerji małorossyjskiej Kologrywy (1768 r.), i generał porucznik Bibików (1760 r.) co to jeździł dla rozgraniczenia Polski od Zaporozża, byli w sicity i całe Zaporozże wszędz przejechali. Ich uwagi i postrzeżenia byłyby nieocenionym materiałem dla historyi kozackiego bractwa. Ale czy który z nich pisał je? Albo jeżeli pisał, to gdzie są te pamiętniki? kto odziedziczył papiery tych gości Zaporozża? Jeden tylko historyk Müller pisał dobrze i prawdziwie o Kozakach; szukał on ich historyi w archiwach. Sami Zaporozcy chwalili jego dzieło, z którego wyjątki, to jest tłumaczenie, posyłali posłowie kozaccy w Petersburgu, jako nieocenioną rzecz do kosza. Ale historia Müllera leży jeszcze w archiwach, i na wstyd i żal nie doczekała się druku. Zaczny i prawy zkadinał autor Historyi Małorossyi D. J. Bantysz Kamiński, który miał

sposobność widzieć utwór Mullera, i odzywający się wszędzie z szacunkiem i bezstronnością o Ukrainie, o pierwowzorach kozactwa, to jest o Zaporozcach; mimo to jednak, poumieszczał w swoim dziele wiele obelg na Kozaków, jakie na nich nieprzyjaciele ich w XVIII wieku powymyślali.

Trzeba więc znowu zwrócić się do kozackich siczowych archiwów, i szukać w nich śladów o stanie stepów zaporozkich w dawnych czasach.

Najlepszym dokumentem na to jest opisanie granic jednej części Zaporozża w r. 1764, zrobione przez wojskowego starszyne Andrzeja Porohnę, z wybranymi do tego starcami, a to podług ustnych podań i uroczysk, samym Zaporozcom wiadomych. Tutaj napotkamy obraz stepowego życia na każdym wierszu tego pomnika: „Od ujścia rzeczki Oreli (sąto słowa tego aktu), *Łyséj górki*, aż do *mogily komisarza Szujalkowskiego*, że na niej ów komisarz, w czasie kiedy Zaporozcy Lachów z Samary wygnali, był zabity (1635); od *Riastkich mogilek*, aż do *mogily Gromowój*, a teraz nazywającej się *Majdaniec*, która dla téj przyczyny gromową się nazywa, że Kozaka na niej grom zabił z koniem. Od téj zaś *mogily*, aż do *mogilek Trzech braci* nazwanych, która dlatego nazywa się „trzej bracia”, że przy niej dawnymi czasy trzej bracia od napaści tatarskiej się odbijali, z których jednego zabito, a dwóch żywcem wzięto. Od *Chraszczowatěj mogily* do *Dunajskiego bajraku* (małego lasku), w uroczysku *Brzoza*, w którémto uroczysku w bajraku, siedział zimownikiem Kozak lewaskowskiego kurenia, Sidor Dunaj, dawnymi czasy tam napadłszy na niego horda porąbała go, i dlatego nazywa się *Dunajski-Bajrak*”.

„Między Bykiem i Dobrowkami mogiła usypana. Od tych zaś uroczysk, na wierzchołku rozpadliny Gryszyńowej, mogiła usypana, i tam Kozak kurenia dońskiego Grysza, dawnemi czasy przez Tatarów zastrzelony, i dlatego ta szczelina nazywa się Gryszyńową i t. d.” W tym dokumencie, obraz całego bytu Zaporozża odbity jak w zwierciadle.

Dla odznaczenia granic brano nie siola ani drogi, ale żywe uroczyska, kurhany, rozpadliny i rzeki. Nazwiska tych uroczysk, są razem ich kronikami: jestto i wojna z Tatarami, i ich napady, bójka z Polakami, życie w zimownikach i pograniczna służba.

Po tychto pustych i niezmiernych a żyznych pustyniach, siedzieli wojacy zaporozkiego towarzystwa od początku XVI do końca XVIII wieku, a nawet i pierwój, jak mówili Zaporozey.

Miłość i upodobanie Kozaka w stepie nie do opisanja. Heżto bitew, najazdów, zwycięstw i klęsk przeszło ponad temi milczącemi równinami, a historyja nic nie wie o nich! Heżto bohaterów pustyni legło tam w mogiły, nieznanym i obcym bratnim swoim sąsiadom! Heżto świetnych czynów, miłości kraju, mężstwa, wierności swojej chorągwi i religii tam się dokonało, a nikt o nich nie mówi, nie było komu zapisać je i podać potomności!

Nie wspomnę tu nic o nader ważnem, ale więćej znajomém opowiadaniu Boplana w jego opisanju Ukrainy, znajomój mu bardzo blisko, gdyż tak żywo i najsprawiedliwiej nakreślił byt kozactwa, jego zapasy z Tatarami, jego bójki z Polakami; ale nie mogę nie przytoczyć wyjątków z innych źródeł, mniej znajomych, a równie pewnych.

W jednej niewydanej jeszcze kronice, a znanój Bantyszowi Kamińskiemu (1), taka jest wzmianka o stepowych wojnach zaporozkich Kozaków. „W r. 1690 wielu dobrawszy sobie za ochotników zaporozkich Kozaków albo miastowych, i uczyniwszy się watażkami (rodzaj stepowych śmiałków, żyjących napadami na karawany tatarskie), bez pozwolenia, z własnej ochoty, kwoli obrony chrześcian od napadów bisurmańskich, i kwoli obrony granic na dzikich stepach po obu stronach Dniepru, powracających Tatarów z ludźmi w Polsce i Rosyi do niewoli zabranemi, rozbijali, odbierając im konie i broń dla siebie, a chrześciańskich niewoluików uwalniając i ojczyźnie ich powracając”. „Hulając zaś po tych pusto-szérokich stepach, gdzie nie było ani jednej ścieszki, ani śladu jak na morzu, jednak owe śmiałki dobrze znając przechody, i jakby na znajomych i bitych drogach, z wielkiem niebezpieczeństwem aby gdzie nie napaść na tatarską zasadzkę, jeździli, nie mając przez cały miesiąc lub dwa miesiące ognia, a tylko raz na dzień twarde pożywienie, trochę sucharów tłuczonych zjadłszy, nie pozwalali zarżéć nawet koniom; jakby dzikie zwierzęta w krzakach ciernistych i kamyszach kryjąc się, z wielką obojętnością dróg swoich w różnym kierunku harcując po stepie, znajdowali

(1) Exemplarz téj kroniki w Odessie należy do urzędnika Filipowicza, i ma następujący tytuł: „Krótkie opisanie Matorossyi, jak ona po czasie panowania Wielkiego ks. Włodzimierza była pod polskim rządem, i jak nieprędko potém, po wygnaniu z niej Lachów przez hetmana Bogdana Zenobiusza Chmielnickiego przywiedziona pod panującą rękę błogostawionej i godnej wiecznej pamięci Wielkiego monarchy cara i Wielkiego ks. Alexieja Michajłowicza samodziерzy wszech Rossyj. jacy potém byli hetmani i czyny ukraińskie, poczęte w roku od narod. Chr. 1340”.

się na umówioném miejscu. Poznawali na tych dzikich stepach drogę swoją w dzień po słońcu, po najmniejszych wypukłościach ziemi, po mogiłach, a nocą po gwiazdach, wiatrach i rzeczkach; i tak Tatarów wypatrzywszy, niespodzianie napadali i małą liczbą wielkich kupy rozbijali, i niewolników do Polski lub Rosyi, jak trzeba było odprowadzali, odbierając za to względy monarsze".

Ale stojąc piersią na straży od muzułmańskiej przodowej straży, mieli Zaporozcy sprawę z równemi sobie synami stepu, Krymcami i Nogajcami, potomkami strasznych napaśników całej Europy. Dlatego bystrość i przebiegłość z obu stron były równe, w otwartém polu równa waleczność, równa bystrość w napadzie, a w razie potrzeby równa szybkość i sztuka w ucieczce od wrogów. Dwie jednak ważne przewyżki mieli Kozacy nad Tatarami: 1) lepszą broń, bo umieli równie dobrze używać broni palnej jak władać orężem i piką; 2) przywyknienie do karności i ładu wojennego, którego wyuczili się od Polaków swoich dawnych hetmanów, a który najpilniej był w wojsku przestrzegany. Dlatego téż bardzo podobnym do prawdy jest opisanie przez Korzę najazdów tatarskich na Zaporozie, i owych ostrożności, jakich nie zaniedbywali nigdy Kozacy przeciw odwiecznym wrogom swoim. „Dzi-cy Nogajcy, mówi on, podobni byli wtedy do drapieżnych ptaków wysoko w górę podlatujących, dlatego, żeby prędzej dojrzec zdobycz i uchwycić ją. Tak i oni, aby napełnić swoje krwi chciwe ręce grabieżą i mordem, zawsze według obyczaju swego wjeżdżali na wysokie mogiły czyli kurhany, po sześciu lub dziesięciu ludzi razem, i przeglądali, gdzie pasą się stada i gdzie ludzie na robocie; wtedy napadali na nich, zabierali do niewoli i po-

rywali bydło. Te napady były bardzo częste, a gromada grabieżców rzadko była liczniejsza jak 20 ludzi na doborowych i wyprobowanych koniach; dlatego zapewne wkradali się w tak małych bandach, aby łatwiej im było uciekać, gdyby się napad nie udał. Tym samym sposobem i zaporozcy beketowi, to jest patrolujący Kozacy, dla ostrożności wjeżdżali na kurhany i ztamtąd przeglądali okolice, czy gdzie nie pokną się tatarskie hordy. Ale do wszystkich redut wydawano rozkazy, aby z liczby patrolujących beketowych Kozaków, zawsze jeden tylko wjeżdżał na kurhan, a nigdy dwóch, trzech lub więcej; aby naród zaporozki znajdujący się na stepie, mógł odróżniać nieprzyjaciół od swoich Kozaków”.

„Było to ogłoszonym po całym Zaporozżu, po wszystkich pałankach, slobodach i zimownikach, a przez to łatwo można było uprzedzić najazdy, bo Zaporozcy ujrawszy nieprzyjaciela, zawsze zachowywali tę ostrożność, że się w kupy zbierali, na dany znak robili tabory z wozów, i połączonemi siłami razili nieprzyjaciela wystrzałami, a często i w niewolę zabięrali, bo każdy osadnik jadąc na step, miał na wozie w zapasie rusznice. Nogajcy zaś strzelali tylko z łuków, i broni palnej nie mieli, a kiedy wypotrzebują wszystkie strzały, wtedy zwykle są już nasi”.

Trudniej było Zaporozcom bić się z podjazdami polskiej szlachty, która po odpadnięciu od Polski Kozaków, nudząc się pokojem, corocznie zapędzała się na Zaporozże pod pozorem ścigania hajdamaków i swoich dezertersów; ale o tém, jak równie o podróży polskich konfederatów po zaporozkich stepach w XVIII wieku, powiemy niżej.

Same nawet uroczyska, wzmiankowane w jarlikach hańskich, w pismach nogajskich i oczakowskich seraskirów, i w papierach polskich kancelaryj: sąto piękne i wymowne wspominki o zaporozkich stepach, i o ciągłych na tój bezludni walkach. I tak: blisko Oczakowa jedno uroczysko na odnodze Bohskiej, nazywało się Urus - Giazdydy, tojest *Ruski bród*, dlatego, że tamtędy Kozacy i ruskie wojska chodziły wojną do Oczakowa. Niedaleko od dzisiejszego Olwiapola była mielizna na Bohu, która się nazywała *Ruską - kosą*.

Ujście rzeki Siniuchy, czyli Siněj-Wody, było miejscem zkąd się zaczynał Czarny szlak albo granica tatarska, tak nazwany dlatego, że nim czarne nieszczęście przychodziło: mordy, grabież, pożogi i czarna śmierć dzuma; a na Wizie, Taśminie, Tykiczu i innych rzecz-kach znajdziecie niejedno uroczysko, które naród nożywa Tatarską drogą „gdzie Tatarzy nogajscy przeprawiają się”. I u nas w XVII i XVIII wieku bardzo długo był wyraz czumbul w używaniu, i w całej zachodniej Ukrainie; a cóż on znaczył? oto napad nagły i niespodziany, rozbój, mordy i pożar, czyli słowem: działanie po czambułsku, tojest jak horda dzambułska. Patrzenie, pod wieczór na stepie, szybkim kłusem, mknie się jaki oddział Zaporozców, z pikami w rękach, z uchem i okiem wszędzie i ciągle przytomném; na przodzie doświadczony śmiałek z dwoma jeźdźcami, na wszystkie strony posyłając oko i ucho, szybuje w prawo i lewo, po polach, kurhanach i wierzchołkach rozpadlin. Na przodzie oddziału chorągry z jasną chorągwią, za nim pułkownik z piernaczem w rękę; oddział zmęczony, konie całe w poście i kurzu, biegną jednak szybko a cicho po stepie.

Byłto podjazd; bo łuna od pałającj się figury dała znać, że wrogi zaleciały na zaporozkie stopy.

Zrana jeszcze dostrzegli Zaporozcy taśmę (śląd) nogajską, i to dosyć liczną; trawa na wielu miejscach zdeptana, a starsi doświadczeni Kozacy wnet zrozumieli, że z poza Dniepru Edyczkały, albo z poza Bohu Edysońcy przebrali się na step, i porwali pewno jaki tabun koni.

Spojrzcie na bok, ot leżą napół ogryzione kości zabitego konia: to Nogajcy tam obiadowali; tam dalej na drugiej taśmie krew. Asaul, starzec kurenia zchodzi z konia, przypatruje się uważnie i poznaje, że to krew ludzka; idzie po tój taśmie, i znajduje w jarze trupy dwóch zarzniętych pastuchów zaporozkich, co pilnowali stad sąsiednich zimowników. Podjazd zatrzymuje się, zaczynają się wypytywania: czy zna kto z Kozaków zabitych ludzi?—Zna. Czy dawno widzieli ich żywemi?—Trzy dni temu rano na czertulskim stepie, kiedysmy jeździli z sianem do zimownika.

—Tak więc, mówi pułkownik, i ludzie zabici i konie porwane nie wcześniój jak wczoraj, lub pozawczoraj. Nasze konie choć zmęczone, dobiegną jeszcze na rano do rzeczki. No bratczyki, pojedziemy.—Zuchy wskakują z ochotą na konie, które jakby ożyły i nowych sił nabrały, poleciały wichrem, i jeszcze zorza nie zaświtała, kiedy już stały nad rzeczką; ale nieszczęściem, i tak zapóźno już było. Tatarzy byli już na drugiej stronie, resztę już koni związanych ogonami, ostatni Nogaj przepędzał przez wodę; ale na szczęście bystre oko Kozaka poznało plemię grabieżców, i pułkownik ma nadzieję, że przez kosz odzyska stratę.

Takie i tym podobne sceny odnawiały się bezprze-

śliłem, może niechcący powtórzyłem tylko jaki raport pułkownika, albo wyrazy opowiadającego czabana, co uciekł od niewoli i śmierci. Wspomniałem tylko w owym obrazku trzy wyrazy: beket, reduta i figura, techniczne stepowe wyrazy, które objaśnić trzeba.

Nie wdając się wcale w etymologiczne wywody, bo oczywiście piérwszy jest tatarski, dwa ostatnie z Polski tam zaszły; przytoczę dosłownie jak Korz. naoczny świadek je objaśnia: „Raduty i figury, sąto własne jego wyrazy, były stawiane po lewój stronie Dniepru, od północno-wschodniej strony hetmańszczyzny, zaczynając od rzeczki Oreli, aż do Końskich-Wód, granicy tatarskiej. Tuż ponad samym Dnieprem, około wody, budowano rodzaj zajezdnych domów, karczem, które się nazywały radutami (reduta, szaniec), tak, że jedna od drugiej była o 10, 20 lub 30 wiorst, stosownie do położenia miejsc więcej odsloniętych, lub więcej zakrytych; mimo to zawsze tak, żeby jedna drugą mogła widzieć. Każda reduta była budynkiem obszernym, szerokim, podobnym do koszar, lub do siczowych kureni, bez żadnych wewnątrz przedziałów, z sienią i komórką co służyła na skład. Pokryte były jak zwykle trzciną, a gdzieniegdzie mchem; miały około siebie obszerny dziedziniec opasany zwykle parkanem, i wewnątrz stajnie dla przybyłych koni. W każdej reducie było po 50 ludzi, którzy się zmieniali corocznie. Kozacy ci stali po redutach na to, aby odbywali bekety, tojest patrole, podjazdy i inne stepowe służby, w razie napadów nieprzyjacielskich. Około każdej takiej reducy były figury stawiane cudnym sposobem, na odległości pół lub ćwierci wiorsty od reducy, a to dla ostrożności od ognia. Każdą figurę stawiali z 20 beczek smołowych,

tym sposobem: z samego początku robili osnowę czyli fundament figury z sześciu beczek, które przewróciwszy na sztorc, stawiali na ziemi cyrkularno, ściśle jedną przy drugiej, nakształt kuczek hetmańskich (1), które obsadzają drzewami na szlakach, ale zawsze tak, że miejsca między beczkami zostają próżne; beczki te ustawiane tak wkółko, wiązali mocno zesmołowanemi linami. Trzeba dodać, że beczki wszystkie miały tylko spodnie dno. Na wierzchu tych sześciu beczek stawiali znowu równie wkółko pięć beczek, powiązanych podobnie jak pierwsze sześć. Trzecie piętro beczek składało się tylko z trzech, czwarte z dwóch, a na samym wierzchu zamiast dachu, stawiali jedną beczkę, nie mającą ani wierzchu, ani spodniego dna, i ta zakończyła figurę. W tej figurze na samym wierzchołku w bezdennéj beczce, zrobiona była zapewne żelazna przegroda z blokiem, na którym zawieszony był sznur tak długi, że oba jego końce leżały na ziemi. Jeden koniec wisiął zewnątrz zrzucony wzdłuż figury swobodnie, a drugi spadał wewnątrz figury, i do tego ostatniego przyczepiony był żelazny drut, z wielkim pękiem pakul, namoczonych w saletrze”.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że w każdej reducie nad hetmańskimi i zaporozkiemi Kozakami, był postawiony jaki najstarszy asaul, który dowodził lub rozporządzał, żeby u figury byli zawsze strażnicy, trzech lub czterech ludzi, a z reszty Kozaków robiono bekety lub oddziały do podjazdów. Kozacy byli zaopatrzeni w najlepszą amunicję, bo każdy miał muszkiet, szablę, cztery pistolety

(1) Kuczkami hetmańskimi nazywały się ogrodzenia około drzew, zasadzonych po obu stronach dróg pocztowych w Małorossyi.

i pikę. Oddziały składały się z pięciu do 10 i więcej Kozaków, i jeździły na doborowych wierzchowych koniach od reduty do reduty, każdy po swojej stacy (stancicy), równie i na stepach, gdzie żniwa i sianokosy bywały; niektóre oddziały zapędzały się do samej granicy, i wypatrywały nieprzyjaciela, z której strony przybędzie. Bywało, że jak tylko nasze oddziały lub bekety zobaczą gdzieniebądź horde przybliżającą się do granic Zaporozża lub hetmańskich, natychmiast Kozacy pędzą do najbliższych redut i biją na trwogę, że nieprzyjaciel blisko. Wtedy asauł pędzi z Kozakami do figury, i zapalają ją za pomocą sznura, piérwój już opisanego. Kiedy figura rozgoreje, to tém samém ostrzega i inne reduty. A tak w bardzo krótkim czasie, bo prawie w jeden dzień, wszystkie figury przy redutach zapalają się, i wszyscy mieszkańcy okolicznych miejsc w stepach, lasach i przy splawach zajmujący się robotami, mogli schronić się ze swojemi stadami i chudobą do słobód i ocalić życie. Po tych znakach trwogi, wszystkie pułki z pałanek zaporozkich zbierały się w jedno miejsce, bili się z nieprzyjacielem, zwyciężali i wypędzali precz poza swoje granice”.

Owoż jak prosto i razem jak malowniczo opowiada Korż o stepowém życiu swych braci Zaporozców, on, także Zaporozec i naoczny świadek.

Z naszej strony uczynimy jeszcze niektóre uwagi. Komuż nie wiadomo, ile to tam znajduje się kurhanów, które naród ukraiński nazywa mogilami, a czasem majdanami. Stepły Wołynia, Ukrainy i Podola, a szczególnie noworossyjskie i bessarabskie na całej przestrzeni od Kremeńczuka do brzegów Dunaju, do Czarnego i Azowskiego morza, pokryte są także kurha-

nami: Dawno już szukają znaczenia tego wyrazu kurhan, tego mitu noworosyjskiego kraju i jego historii. „Jeden Kozak, pisze p. Skalkowski, powiedział mi, że kurhan jest wyraz ruski, w narzeczu ludu zepsuty, *krugan* (krug, koło). Być może, że to od swojej krągłej (okrągłej) formy. Nazywa się zaś mogiłą wtedy, kiedy jest cały, a majdanem, kiedy rozkopany jest we środku; zapewne dla straży, albo schronienia bajdamaków. W podolskiej gubernii widziałem dwa czy trzy takich majdanów, a lud nazywał je kutołowami”.

Ale czas zacięra pomału dawne pamiątki; jest to smutna, ale konieczna jego powinność. To i teraz, kiedy ludność urosła tam w owych krainach, a rolnictwo kwitnie; kiedy nowe miasta i wsie podnoszą się ciągle: to powtarzam i liczba kurhanów znacznie się zmniejszyła, a i te co pozostały, straciły wyraz swój, i mało kto teraz rozumie ich mowę. Ale przedstawmy sobie step, kiedy Korz był jeszcze młody, a było to około r. 1730—1750, albo wcześniej jeszcze w XVII lub XVIII wieku; wtedy cała jego dzika piękność z porozstawianemi gdzieniegdzie redutami, figurami, patrolami, podjazdami i krwawą bójką, stanie nam żywo przed oczy.

Kto wie, czy i inne ludy co żyły na tej ziemi przed Zaporozcami i Tatarami, a których imiona ledwie do nas doszły, nie sypały owych kurhanów na tenże sam cel, aby wpośród nich stawiać i bronić swoich koczowisk.

Jeszcze niedawno na wysokich mogiłach znajdowano dziwne i grubo wyciosane bałwany, które lud przezwiał *babami*. Może to były nimfy stepowe, nieznanne jeszcze znawcom starożytniej mitologii; może to bóstwa opiekuńcze granic, koczujących legowisk, a może téż to ofiary (*vota*), symbola czci i uwielbienia, dzwignione przez owe

narody duchom obrońcom ich życia i stad. Cokolwiek bądź, wdzięczni być winniśmy stuletniemu starcowi, co zachował w swęj pamięci i opowiedział nam to oryginalne opisanie obrony granic Zaporozia. I w samęj rzeczy, jakto malowniczy obraz tych redutów wicznie stojących na straży, w kraju pustym, niezakrytym i nieobronnym z natury; tych figur zagnę płomieniem gorejących na znak niebezpieczeństwa, i zanoszących wieśniakom nowinę straszną, że nieprzyjaciel tuż, i że trzeba szukać schronienia w pałankach albo w znajomych im tylko kryjówkach. Na ten znak ognisty Kozak wskakiwał na konia, brał pikę lub rusznicę w rękę, i leciał harcować za Tatarami, równie dziełami synami stepu.

o) Żał, bardzo żał, że takich powieści ustnych, takich podań historycznych tak mało, a i to co są, niedawnych sięgają czasów! Cobyto za przesliczna, silna i poetyczna zarazem była historia z takich podań złożona!

— Na zakończenie tego krótkiego rysu stepowego życia, owęj kozackiej drużyny, powiem słów kilka o beketach (pikietach), stanowiskach zajmowanych przez Kozaków dla obrony granic i wnętrza Zaporozia.

O takich stanowiskach czyli pikietach, jest wiele urzędowych akt, między innemi przytoczę jeden. Jestto rozkład tych stanowisk, zrobiony na rozkaz hr. Panina, dla uważania obrotów nieprzyjacielskich podczas zimy, 28 listopada 1767 r.

1) „Przy rzece Kamionce. Od tego stanowiska komendy rzeździć się będą na prawo w Saksaganie przy wielkich cierniach, a na lewo po Dniestrze do uroczyska Skołozubowego”.

2) „W dół po rzece Dnieprze, niedaleko od rzeczki Kamionki, która płynie na samęj granicy.”

- 3) Naprzeciw zaporozkiej siczy, od tatarskiego stepu o wiorstę, przy uroczysku *Ciennem*.
- 4) Nad rzeką Dnieprem w uroczysku *Łyséj Górki*.
- 5) W uroczysku *Horodyszczé nad Dnieprem*.
- 6) W uroczysku *Gołéj przystani nad Dnieprem*.
- 7) W uroczysku *Tarasowskiém nad Dnieprem*.
- 8) W uroczysku *Bielinki nad Dnieprem*.
- 9) Na wyspie Chortym na Dnieprze.
- 10) Na wyspie Dębowej na Dnieprze.
- 11) W kadackiej pałance.
- 12) Z téj strony Dniepru, w Samarze, o sześć wiorst od staro-samarskiego retranszamentu.
- 13) Z téj strony Samary w uroczysku *Sadkach*.
- 14) Przy uroczysku *Wolnem i Zajmach*, na téj stronie Samary, na bekecie przy rzece niższej Tersie.
- 15) Przy uroczysku *Łuczynie* z téj strony rzeki Samary.
- 16) Tamże przy uroczysku *Żukowskiém*.
- 17) Przy Samarze w uroczysku *Bogdanowem*.
- 18) Między Samarą i Orelą, do samej linii ukraińskiej.
- 19) Przy protowczańskiej pałance.
- 20) Przy samarskiej pałance.

A razem na 20 stanowiskach było:

Wojskowy starszyzna	1.
Pułkowników	20.
Pułkowej starszyzny	43.
Kozaków parokonnnych	2844.
„ „ pieszych	800.

Razem 3708.

Co wynosi z starszyzną i prostemi Kozakami czwartą część całego uzbrojonego towarzystwa.

Zwrócić tylko uwagę na nazwiska tych stanowisk: wyjąwszy trzy pałanki, co przywodzą na myśl ludzkie

mieszkania, wszystkie inne sąto tylko rzeczki i uroczyska, które jasno powiadają, że wszędzie gdzieindziej był pusty bez końca step, rozgraniczony jedynie rzekami lub innymi żywymi uroczyskami.

Rizzi Zannoni geograf króla sycylijskiego, członek akademii królewskiej nauk w Getyndze i Altonie, wydał r. 1772 mapę Polski, pod tytułem: *Carte de la Pologne divisée par provinces et palatinats et subdivisée par districts, construite d'après quantité d'Arpentages d'observations et des mesures prises sur les lieux.*

Mapę tę składającą się z 24 oddzielnych kart, poświęcił Józefowi Alexandrowi Jabłonowskiemu wojewodzie nowogrodzkiemu, a w dedykacji swój powiada wyraźnie, że pracę tę wykonał wsparty rękopismami samego Jabłonowskiego, owocem dwudziestoletniej jego pracy będących; które Rizzi może uporządkował, dopełnił, a potem wydał w systematyczną całość ułożone. Mapy te tytuły mają po polsku i po francuzku, ale nazwiska wszystkich miejsc, rzek, granic i t. d. są po polsku spisane, co im tém większą czyni zaletę.

Ostatnia karta obejmuje granice Polski zaczawszy od Balty, aż do rzeki Sina-Woda; obejmuje słobody Kozaków hetmańskich i zaporozkich, stepy Tatarów oczakowskich, bessarabskich i nogajskich z ich ordami, jak je w roku 1767 han krymski poosadzał. Znajduje się tu jeszcze dalsze wyciągnięcie Bohu i Dniestru, i Dniepr także od porohów aż do wpadnienia w morze Czarne.

Kto był i co robił w Polsce Zannoni, czy gotową pracę Jabłonowskiego przerobił, czy i co swego dodał? należałoby wyświecić. Bentkowski nic o tém nie wiedział, i przyznał się wyrażnie; Rostawiecki powtórzył do słowa, co było w Bentkowskim, ale także nic nowego i pe-

wnego o geografie polsko-sycylijskim nie wynalazł, co w takim dziele jak Mappografia trzeba było zrobić. Nie należało to do mojego przedmiotu, ale ów nadpis jego pracy, że na miejscu wszystko widziano i mierzone, pod względem Zaporozża niezupełnie jest pewnym.

Dlatego tutaj wypada wspomnieć o owych niedorzecznościach, jakie on poumieszczał w swojej mappie Zaporozża. Służą one za dowód, na jakim stopniu stały wiadomości i pojęcia o geografii Zaporozża i południowej Rosyi w owym czasie. Geografowi temu i innym uczonym, znajoma była tylko zachodnia część Zaporozża, to jest chersońska gubernia, i ta część jekaterynosławskiej, która się na prawym brzegu Dniepru znajduje. Cała zaś wschodnia połowa wolności zaporozkich, najlepsze ich sioła i zimowniki w pałankach: samarskiej, protowczańskiej i orelskiej, nie mówiąc już nic o kałmiuskich stepach, zupełnie były im nieznanymi. Ale i o zachodniej połowie, udzielano uczonemu światu równie dziwaczne i niebывałe nazwiska i wiadomości, jak np:

A. Po całej granicy oznaczonej pokojem belgradzkim, na mocy traktatu zawartego na Wielkim Jagulu 4 listopada 1740 r. oznaczone są na owój mappie następujące twierdze, zaczynając od ujścia Suchego Taszlika w Boh. 1) Taszlik; 2) Michajłowska; 3) Stepanowska; 4) Geromaklejewska przy ujściu Gramokleja; 5) Jen (nowa) Serbia; 6) Nikolska; 7) Wasilkowska; 8) Piotrowska; 9) Andrejewska; 10) Ingulska; 11) Dmitriewska; 12) Aleksiejewska; 13) Antonowska; 14) Iwanowska, na końcu granicy przy samym Dnieprze, niedaleko od ujścia rzeki Kamionki. Nazwiska te i twierdze w sa-

mój rzeczy nigdy nie istniały, ani nawet projektów do ich wystawienia w żadnym archiwum śladu niema. *B.* Cały step dzielił się podług mapy Zannoniego na cztery główne części: 1) step umarłych; 2) step boński; 3) step ingulski; 4) pagórki piaszczyste. Leżały one podług Zannoniego: pierwszy między Czarnym Taszlikiem i rzeką Martwe-Wody, to jest w teraźniejszym bobryńskim, chersońskim i części ananiewskiego powiatu chersońskiej gubernii, a ostatnie w teraźniejszym jekaterynosławskim powiecie, który w dodatku pokryty jest przez Zannoniego nigdy nieistniejącymi lasami.

C. Dalej nazwiska miejsc i żywych uroczysk, niesłychanych i niewidzianych nigdy na Zaporozu, jakoto: Drogo niedojrzano, której jedna część nazywa się „Zły krok” a druga już w Nowej Serbii nazywa się Czarnym Szlakiem; pustelnie śgo Samuela, śgo Zacharyasza, śgo Eliasza, śgo Jeremiasza, śgo Bazylego, śgo Pawła, śgo Hilarego, śgo Grzegorza. Jeziora śgo Konstantina i Bożydara; sęto imiona czcigodne wprawdzie, przywodzące na pamięć życie pustelnicze w Egipcie w III i IV wieku chrześcijaństwa, ale szkoda, że o nich zaporozcy właściciele i gospodarze swych ziem nic nie wiedzieli. Dalej idą: „Boguchwała, Czyste źródło, Martwe jezioro, Białe jezioro czyli Juga, Piękne źródło, Dziki dół, Wielki dwór, Piękne miejsce, Grób Pawłuka, Ciemna dolina, Piękna łąka, Belweder, Piękna góra, Dolina złodziejów, Mazepycy (tańcuch); nakoniec Skok konia białego, Skok wilczy, Skok koguci, Skok owczy i t. d. *Samo z siebie nasuwa się to pytanie: czy te wszystkie wymyślone nazwiska, znakomity geograf Polski i Turcy w swój głowie potworzył, aby dopełnić karty stron i ziem zupełnie mu nieznanym? Nie myślę tak, ale przypu-*

szczam, że w XVIII wieku tak mało jeszcze ludzi zwiedzało zaporozkie stepy, a ci więcej myśleli o swoim bezpieczeństwie, aniżeli o opisaniu miejsc, które przebywali; że tym sposobem i niewiadomość Zannoniego bardzo wytłumaczona. A jak już wyżej powiedziałem, Zaporozcy nie radzi mówili o rozległości, ludności i położeniu swoich wolności, jak to widać z pozostałych papierów i odpowiedzi na zapytania i odezwy mało-rosyjskich i wielko-rosyjskich władz (1).

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) Na zapytanie kijowskiej metropolii: wiele na Zaporozu cerkwi, duchowieństwa i dochodów cerkiewnych; kosz w ogólnikach bardzo zgrabnych odpowiedział: „że cerkwi jest dostateczna liczba, że duchowieństwa niezawsze jednakowa liczba, raz więcej kiedy Kozacy stoją na miejscu po domach, drugi raz mniej, kiedy są na wyprawie, a dochody zależą od łaski wojska” i t. d.

(1) Właścicielem tego rękopisu jest p. Antoni Baran.

ROZMAITOŚCI.

Wyciągi z rękopisu 1749 r.

Mając świeżo pod ręką księgę *in fol.*, zawierającą 352 liczbowanych stronnic, pisaną w klasztorze miechowskim, znalazłem w niej wiele ciekawych szczegółów, kraju i miejscowości dotyczących się (1). Tytuł rękopisu brzmi: *Acta seu gesta historica regni et conventus generalis Miechoviensis, scripta per Jacobum Radliński S. T. Doc., Ord. Canonicorum regularium, Custodum S. Sepulchris, Praepositum generalem Infulatum, inchoata ab A. D. 1748 a mense octobri, et finita in decembri 1749.* Nim podam niektóre ustępy z tego stuletniego zabytku, wypada nieco powiedzieć o autorze, który w spokojném ustroniu kręśląc dla siebie i dla swoich współbraci zapiski, po większej części zakon swój obchodzące, nie silił się ubarwić stylu wygładzoném piórem, lecz wyrażał się dobrodusznie i po prostu.

Ks. Jakób Radliński, proboszcz glny, czyli generał Kantoników Regularnych, Stróżów grobu Chrystusa w Miechowie, autor wielu dzieł, zwłaszcza po łacinie i treści duchownej, niepoślednie między uczonymi swego wieku zajmo-

(1) Właścicielem tego rękopisu jest p. Antoni Paretti.

wał miejsce (1). Poważali go i przyjaźnią swą zaszczycali, zarliwi rozkrzewiciele przygasłego światła w narodzie dwaj bracia Załuscy, o czém kilkakrotnie w niniejszym rękopiśmie zachodzą wzmianki, a między innemi czytamy: „R. 1748 wydrukowałem książkę *in laudem publicae Bibliothecae Zaluscianae, cui titulus: Corona urbis et orbis, gloria et gemma regni Poloniae, universitas scientiarum, publica, amplissima et celeberrima bibliotheca Zalusciana, sermone ligato erecta*”. Z dalszego ciągu okazuje się: że 600 exemplarzy przesłał obu Załuskim, z tych Jędrzej biskup krak., dziękując mu uprzejmie, pisze: „Dałeś dowód, że *spiritus scientiae nunquam senescit*, gdy poetyczna wena w wieku W Pana podeszłym, *juvenili erumpit impetu*”. Józef zaś referendarz K., tak list swój kończy: „Przez rekognicyą wdzięczności starać się będę, aby *per exteras regiones divulgare* godną pracę Wmę P., która mu u potomnych wieczną przyniesie sławę”. Nie ostygła jeszcze i w lat kilka później poetyczna wena w Radlińskim; gdy bowiem 1753 r. ogłosił Józef Załuski: „iż w wigilią Niepokalanie Poczętej N. Panny odprawi się w Warszawie trybem włoskim akademika, czyli akt krasomówstwa i rymopistwa, na którym wolno będzie każdemu literatowi czytać swoje lukubracoye o chwale nieskończonój N. Bogarodziicy Maryi,” nadesłał i Radliński swój wiersz, który za najlepszy uznanym został, czyli jak wyraża ówczesne doniesienie: *obtinet palmam* (2)

Przystępujemy do podania zapowiedzianych wyjątków z tych, że tak nazwę pamiętników klasztornych.

(1) Biblioteka główna Okręgu Nauk. Warsz. posiada 24 pism przez Radlińskiego wydanych, w tój jednak liczbie nie znajduje się dzieło poniżej przytoczone, i *Godzinki o Zwiastowaniu N. M. Panny* 1746 r., o których mówi autor: „a że ta książeczka już wyginęła tak, że jój i sam nie mam, więc ją tu wypisać umyślitem”. Jakoż, całkowicie pobożne te pienia i modlitwy zamieścił.

(2) Ob. w Bibl. Warsz. 1846 r. T. I, str. 471, artykuł mój: Czasy Augusta III, wystawione w piśmiennych z owój epoki zabytkach.

„*Hoc anno 1749* przyjąłem *aliquos nobiles* do konfraternii zakonu naszego, *et ad participationem meritorum ordinis*. Imo: WJmć P. Jana Gołębowskiego komornika sieradzkiego; 2do WJmć P. Lubienieckiego *medicinae* doktora; 3tio Jmć ks. Jana Krośnickiego plebana buszoczyńskiego na Węgrzech będącego; 4to Wmć P. Franciszka Nakwaskiego podkomorzego wyszogrodzkiego, radzikowskiego i kęmlowskiego starostę”.

„*Die 9 augusti* w nocy, miasto Warszawa w wielkiej było trwodze, gdy przy straszliwych grzmotach, *circiter* o godzinie 11 piorun uderzył w wieżę ratuszną, gdzie zaraz kopuła palić się poczęła. Ogień coraz dalej się szerzył, zegar i dzwony *per flammam* zrujnowane były, *tandem* dach i wyższa kondygnacya *sensim* poszły *in favillam*. Kupcy towary swoje ze sklepów około ratusza wyratowali, lubo nie bez szkody; p. podkomorzy K. (1) prezencją swoją i przezorną dyspozycją, do ugaszenia ognia *contribuit*, i ludzie od gwardyi koronnej wiele dopomogli”.

„*Najjaś. królowna polska, Augusta III córka, a teraz Delfinowa francuzka* (2), oddała *in mense augusto votum* złote do obrazu N. Panny Częstochowskiej”.

„*Miraculum Providentiae Divinae, seu praeconisatio Adami Komorowski in Archiep. Gnesnensem et Primatem regni*”. Uważa Radliński za cudowne zrządzenie, że na tę wysoką godność, nie biskup, ale proboszcz katedry krak. wyniesiony został. Mianował go król na początku lipca 1748 r., potwierdził zaś Benedykt XIV d. 22 września 1749 r., z wielkiem podziwieniem całego kraju, a nadto dozwolił mu i następnym prymasom używania sukni purpurowej, podług wzoru i kroju kardynałom właściwej. „*Dum haec nominatio subsecuta fuit, totum regnum obstupuit. Contra istam nominationem Regis, multi se Epi-*

(1) Kazimierz Poniatowski, brat starszy Stanisława Augusta.

(2) Marya Józefa Karolina nar. 4 listopada 1731 r., zaślubiona 10 stycznia 1747 r. Ludwika, syna najstarszego czyli *Delfina*. Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiej.

scopi et Senatores opposuerunt, et expeditionem Romanam pro Archiepiscopatu impediabant, et plus quam per totum annum variis modis literas Apostolicas retardabant (1).

„Taxa mularska *ecclesiae Miechoviensis combustae* (2).
 My niżej podpisani magistrowie mularscy starsi przysięgli m. stoł. Krakowa, od najprzewiel. ks. Jakuba Radlińskiego proboszcza glnego *ordinis Canoniorum S. Sepulchri*, na taxowanie kościoła miechows., jak wieleby jego reedyfikacya kosztowała, zaproszeni, zeznajemy: że nam to jest wiadomo i całemu Wtwa krak, że konwent na gruncie swoim nie może mieć wapna, ani dachówki, ani ziemi dobrej do robienia cegły, a naostatek i piasku do wapna, ale go z wielką pracą i kosztem z ziemi głęboko wykopywać muszą. Zaczém wszystkie materyały do fabryki należące, musi z Krakowa wozić własnymi podwodami, który jest odległy pięć mil. 2re zeznajemy: że konwent nie ma wiele poddanych, ale musi kupować konie i wozy, któremiby pomienione materyały były z Krakowa wożone. 3cie zeznajemy: że konwent nie ma lasów takich, z którychby drzewa mógł zażyć do fabryki, ale wszystkie musi o kilka mil sprowadzać. 4te w okoilczności nigdzie nie masz kamieni sposobnych do palenia wapna, ani ziemi do robienia dachówki. Te wszystkie okoliczności położywszy za fundament, teraz do taxy kościoła, wieleby jego reedyfikacya kosztować mogła przystępujemy, to dodając: że *architectonica* kościoła *certo* przechodzi pięćset lat.

Kamienia do fundamentów i na utwierdzenie wewnętrznych murów, osobliwie filarów przez ogień bardzo potrzaskanych, potrzeba tysięcy 80, jeden tysiąc rachując z łamaniem i zwożeniem zł. 18, czyni zł. 1,440.

(1) D. 28 października t. r. odprawila się w Krakowie w koś. P. Maryi konsekracya Komorowskiego, o czém nasz autor szerpce się rozwódzi, przytaczając nawet miane mowy.

(2) Wspaniały kościół z klasztorem, stał się pastwą płomieni 1745 r. Opis Miechowa ob. Starożytną Polskę T. II, str. 154.

Cegły, miarkujemy 600,000, za którą	zł. 20,800.
Cegły zaś krakowskiej do zasklepienia kościoła, kaplic, grobów i t. d. koniecznie potrzeba 300,000	10,800.
Za wapna skrzyń 1125 z Krakowa	18,000.
Za piasku skrzyń 8,000	4,000.
Gipsu beczek 400 z Krakowa.	4,800.
Dachówki płaskiej 200,000; za tysiąc w Krako- wie należy <i>ordinarie</i> zł. 50, albo z respektu zł. 45, z odwiezieniem zaś.	14,400.
Za ankry potrzeba koniecznie.	17,000.
Posadzki na całego koś. pawiment wynidzie kop 130 białego i czarnego marmuru.	9,268.
Grobsztynów, albo kamieni marmurowych do grobów potrzeba 6	648.
Gradusów marmurowych przed ołtarze, łokci 208	2,496.
Odrzwi marmurowych 2	1,600.
Kamieni płaskich na gżoms, za	950.
<i>Capitella requirunt</i> 34, wynosi	3,672.
Pedestały i bazy pod pilastrami.	3,672.
Kamieni kwadratowych na 1szy rząd, łokci 150	600.
Na ołów do gradusów, do grobów, do starych filarów, do ankier zalewania	500.
Za kamienie na mensy, których powinno być 7	432.
Drzewo potrzebne na zbudowanie <i>ascensus</i> , <i>vulgo</i> rusztowanie, <i>item</i> tarcice, kłamy, liny, dra- gi, piły, młoty, taki, kary, i t. d. rachując i kowala	13,000.
Cieśli 2, dla tych najmniej potrzeba wydać	1,800.
Ponieważ kościół, osobliwie z téj racyi we- wnątrz ze wszystkim zgorzał, że wszystkie ołtarze były drewniane; zaczęm teraz dla uchronienia się niebezpieczeństwa, będą z gipsu robione. Ołtarzy tedy 6 z gipsu, oprócz wyzlócenia i malowania, je- den rachując po 4,000, wielki zaś ołtarz 10,000 <i>plus vel minus</i> , uczyni	34,000.
Robotą mularzów około kościoła i wieży pryn- cypalnej, potrzebować będzie	40,000.

Dzwonnica tak jest od ognia przepalona, że ją trzeba rozrzucić; sama robota mularska z materyałami, kosztować będzie zł. 6,000.

Oprócz tego zostają się do taxowania organy, które były wspaniałe i miały kosztować 30,000 zł. *Item* zostają się do taxowania *stalla* wspaniałe, które tyleż miały kosztować. *Item* ambona, ławki, *baptisterium*, konfessyonały *et chorus communis*, okna, drzwi, dzwony, zegar *et alia requisita*; ale, że te do naszego konsztu nie należą, dlatego od tych taxowania supersedujemy. Rewidowaliśmy téż i konwent, którego reedyfikacya, lubo już jest przed dekretem *S. sedis Apostolicæ* zaczęta, dlatego: że po pogorzelsku, ani *Rms Generalis*, ani kanonicy jego nie mieli miejsca, gdzieby głowę skłonili, i musieli mieszkać *extra conventum*; jednak zważywszy to, co jest *reaedificatum* i to, czego jeszcze niedostaje, pomiarkowaliśmy: że na dokończenie reedyfikacyi konwentu *et officinarum ejus*, najmniej *requiruntur* 70,000 zł. Naostatek dodajemy: że długość kościoła, z małym i wielkim chórem, ma łokci pols. 81 1/2, oprócz grubości murów; szerokość z filarami i kaplicami łokci 41, oprócz grubości murów; wysokość łokci 41 1/2. Przyłączona wieża, wysokości w samych murach ma łokci 72; wewnątrz i *ab extra* od ognia bardzo przepalona i zrujnowana. To wszystko, według sumienia z należytą pilnością otaxowawszy, dla lepszej wiary rękami własnymi podpisujemy się i pieczęcią cechu naszego ztwierdzamy. Działo się w konwencie glnym miechowskim d. 25 września r. P. 1749. Dominik Pucek magister murarski, podstarszy cechu murars. krak. Wojciech Pucek *senior* cechu murars. krak. Maciej Cepigowski czwarty starszy cechu murars. krak”.

„Taxa ciesielska. My niżej podpisani cieśle i magistrowie i t. d. zaproszeni na taxowanie roboty ciesielskiej, takową uczyniliśmy taxę:

Na belcosy albo balki na wierzch kościoła, wynidzie drzewa 61; belcos albo balka jedna kosztować będzie zł. 24, wynosi zł. 1,464.

Drzewa na wiązanie trzeba kop 8	3,200.
Na kaplice belcosów 90	1,440.
Na też kaplice drzewa na wiązanie i insze <i>requi-</i> <i>sita</i> kop 8	3,200.
Załaty rzniete pod dachówkę kop 100	2,000.
Za gwoździe	1,200.
Za większe gwoździe	400.
Na sygnaturę w pośrodku dachu, oprócz blachy miedzianej	4,000.
Od roboty ciesielskiej dachu na kościele i kapli- cach, trzeba będzie dać rzemieślnikom	5,500.
Miarkując wieżę pryncypalną, od roboty ciesiel- skiej, za drzewo i gwoździe, nie rachując blachy miedzianej, potrzeba będzie wydać	28,000.
Za drzewo i wiązanie do dzwonicy	2,000.

To wszystko według sumienia i t. d. (Data, co wyżej).
Jakób Nowerkowicz magister krak. podstarszy. Jan Nowa-
kowski trzeci starszy cechu ciesielskiego, trzy krzyżyki
kładę”.

Z obu tych oszacowań li tylko samego kościoła dotyczą-
cych, wykazuje się przeszło 300,000 zł., a że Mikołaj Dem-
bowski biskup kamieniecki, świecki czyli komendataryjny
proboszcz miechowski, niedostateczny udzielał zasiłek, cią-
gnęła się z nim przeto długo sprawa; wchodził następnie
biskup w różne układy, zesał budowniczego, majstra mular-
skiego i ciesielskiego, którzy oszacowali roboty na 170,000
zł., na co Radliński nie przystawszy, obstawiał za ustąpię-
niem trzeciej części dochodów z dóbr całego probostwa,
a przynajmniej o klucz miechowski. Gdy zaś biskup żadną
miarą na to nie zezwalał, odniósł się Radliński do Rzymu,
przesyłając obie powyższe taksy. Czynny i troskliwy prze-
łożony zakonu, zajmował się tymczasem podźwignieniem
klasztoru, i w miarę swych funduszów inne podejmował
prace, jakoż czytamy:

„Mularze stanęli do roboty *in mense aprili*. Naprzód
zaczęli robić około okien na dormiatarzu *ex opposito* zamku.

i t. d. Ludwisarz z Węgier przyjechał do konwentu *die 17 octobris*, i zaczął robić *ab hoc mense*".

„Zerwanie trybunału w Piotrkowie (1). P. Poniatowski podkomorzy K., który przed kilku laty zabił w pojedynku Adama Tarłę wojewodę lubelskiego, spodziewał się być marszałkiem trybunału za promocją domu Czartoryskich. O czém dowiedziawszy się dom Potockich, onemu przeszkadzał, a kogo innego promowywał. Gdy tedy obadwa domy chciały swego dokazać, deputatów do przysięgi nie przypuszczono, do szabel się porwano, *et toti progressui* trybunału przeszkodzono. Co tedy od początku królestwa nigdy nie było, teraz się przytrafiło, i sprawiedliwość zatomowana".

„Jaki był rok 1749. Rok ten był *in multis fatalis*, naprzód ztąd: że szarańcza na wielu miejscach zboże pożarła, ale, że do Miechowa nierychło przyleciała, więc tylko owsom, tatarkom, prosom i łąkom szkodziła. 2do był *fatalis ex eo*: że był bardzo suchy, zaczęły wszystkie jarzyny popalone zostały od zbytniego gorąca. 3o był *fatalis ex eo*: że oziminy, lubo się udały, jednak są nieplenne i ziarno w nich bardzo małe; zboże jednak jest tanie, że go nie można i sprzedać. 4o, że jako przedtém, tak i teraz bydło prawie wszędzie odchodzi. 5o, że trybunał zerwany, i *hactenus vacat*. 6o, że hajdamacy na Podolu grasują: miasta, wsi, dwory najeżdżają, rabują, szlachtę i księży zabijają. 7o, że *in multis locis* były znaczne *incendia*. 8o, że *in mense augusto*, zjawił się niejaki Pecherzowski najeźnik, który zebrawszy sobie swawolno kupy, najeżdżał dwory, plebanie, karczmy, i rabował; kupców na drogach rozbijał, i wszędzie wiele wioleocyi robił. W lasach niedaleko Pińczowa i Ś. Krzyża, swoje założył *domicilium*, i ztamąd wypadał na różne miejsca. Które rabunki, gdy coraz *invalescabant*, tedy JW. Józef Potocki kaszt. krak., hetman W. K. wysłał przeciwko niemu różne chorągwie, i tak się przecie trochę

(1) Na początku października.

uspokoilo. *Ad finem decembris ów Pecherzowski złapany i do więzienia w Poznaniu oddany, który ma być sądzony post festum Trium Regum*".

Dawszy poznać więcej zajmujące wyciągi z tego rękopisu, dodać należy: że zawiera on korespondencye ks. Radlińskiego ze stolicą apostolską i odpowiedzi na nie, dokumenta różnych uposażeń kościelnych, fundacye świątyń, a nadto liczne wiadomości zagraniczne, żywcem z gazet wypisywane, mianowicie o Turkach, Algierczykach, o ich utarczках z kawalerami Maltańskimi, i t. p.

Tymoleusz Lipiński.

Wiadomość o pomiarach geodezyjnych, wykonywanych w królestwie Polskiem.

Kommissya Rząd. Przych. i Skarbu, zostająca w r. 1828 pod przewodnictwem ks. Lubckiego, powzięła zamiar dokładnego zmierzenia dóbr górniczo-fabrycznych w królestwie Polskiem położonych. P. W. Niemyski, któremu powierzona została ta ważna praca, chcąc korzystnie użyć pojedynczych, poprzednio już wykonanych pomiarów, przedstawił Kommissyi potrzebę założenia sieci trygonometrycznej, w której wzmiankowane szczegółowe pomiary stosownie pomieścićby się daly. W skutek tego wezwany został p. Armiński dyrektor Obserwatorium Warsz. do oznaczenia astronomicznie głównego punktu tryangulacyi. Po wzajemném porozumieniu się, obrano metodę współrzędnych, wierzchołek góry zwanój Łysicą (1) za początek współrzędnych, a południk i równoleżnik tego punktu za

(1) Łysica albo góra śtój Katarzyny, najwyższy punkt w królestwie Polskiem, stanowi krańcową wyniosłość gór ciągnących się przez dwie mile w kierunku którego azymut 71° 51' 50".

osie (1). Geodezyjny ten pomiar uskuteczniony w latach 1828 i 1829 na małej przestrzeni królestwa, został dziś objęty w pracach topograficznych, wykonywanych na ogromną skalę przez wojskowych topografów, zostających pod kierunkiem generała Tenner.

Główny cel terazniejszego pomiaru królestwa, jest połączenie za pomocą szeregu trójkątów prac odbytych w zachodniej części cesarstwa, z podobnymi robotami uskutecznionymi w innych ościennych krajach: Śląsku, Galicyi, dalej z Niemcami, Francją i t. d. (2).

Na tak wielką skalę wykonany dokładny pomiar, pominąwszy wszelkie miejscowe korzyści, posłuży z czasem do sprostowania ważnych pytań dotyczących ziemi, jak również do rozwiązania wielu innych kwestyj.

(1) Z obserwacji barometrycznych, wykonanych jednocześnie z astronomicznymi okazało się, że szczyt Łysicy wzniesiony jest na 1530,426 stóp paryz. nad poziom sali Obserwatorium Warszaw.
 — 1961,816 — — — — — morza Bałtyckiego przy Kopenhadze.
 — 1865,786 — — — — — — — — — przy Gdańsku.

(2) Geodezyjne roboty w cesarstwie, uskutecznione zostały w ostatnich 30 latach na ogromnej przestrzeni między morzami Bałtykiem i Czarnym. Sieć trygonometryczna rozciągająca się między temi granicami, ogarnia 21 gubernij, a mianowicie: St. Petersburską, Nowogrodzką, Estlandzką, Liflandzką, Kurlandzką, Pskowską, Witebską, Wileńską, Kowieńską, Grodzieńską, Mińską, Wolyńską, Podolską, Kijowską, Mohilewską, Smoleńską, Moskiewską, Twerską, Kaluzką, Taurydzką i Bessarabią. Przestrzeń ta zajmuje czternaście tysięcy mil \square geograficznych. Ztąd wnieść można, że przy ciągłej pracy, trygonometryczny pomiar samej tylko europejskiej Rosyi, żadną miarą w naszym wieku do końca doprowadzonym być nie może. Z początku prace w zachodniej części cesarstwa, wykonywane były oddzielnymi grupami bez ogólnego planu, później dopiero połączone zostały w jedną całość. Dotąd wymierzono 15 podstaw tak głównych, jako też i do sprawdzenia robót służących. Metody obserwacji i rachunku w robotach odbywanych pod zarządem generała Szuberta, odmienne były od sposobów, używanych przy pracach prowadzonych pod kierunkiem generała Tenner.

Ze znanych nam rezultatów geodezyjnej niwellacji, wykonywanej dla głównych punktów sieci (1), przytaczamy następujące:

Wierzchołek Łysicy wzniesiony jest na 1882 stóp paryskich nad morze Bałtyckie.

Grunt kościoła ewangelickiego w Warszawie na 338,2 stóp paryskich nad morze Bałtyckie.

Zero podziałki służącej do zapisywania (od 1798 r.) wysokości wody na Wiśle pod Warszawą, wzniesione jest na 237 stóp paryskich nad poziom morza Bałtyckiego. Spadek koryta Wisły między Nową-Alexandryą (Puławy) a Warszawą, wynosi 11 cali angielskich na wiorstę, a między Warszawą a Gdańskiem, tylko 8 cali angielskich na wiorstę. Ta ostatnia pochyłość jest jeszcze prawie podwójną względem spadku koryt Dniestru i Dniepru. Dniepr między Kijowem a morzem Czarnym, Dniestr między Mohilewem a morzem Czarnym, mają spadku 4,6 cali angielskich na wiorstę.

Wspomnienie o Łukaszu Gołębiowskim.

W dniu 7 stycznia b. r. przeniósł się do wieczności jeden z najstarszych literatów naszych Łukasz Prawdzie Gołębiowski, w 80 roku życia, uczony erudyta, i nader łagodnego charakteru. W młodym wieku sekretarz Tadeusza Czackiego, w jego towarzystwie i przy Poryckiej bibliotece, której następnie był zawiadowcą, usposobił się przy dokładnej znajomości języków łacińskiego, francuzkiego, niemieckiego, rosyjskiego, na badacza historycznego.

Po zgonie Czackiego, gdy biblioteka Porycka przeszła do Puław, przeniósł się za nią i Gołębiowski jako jej zarządca. W r. 1818 wstąpił do służby rządowej jako członek towarzystwa do ułożenia ksiązek elementarnych, a obok tego jako członek czynny i sekretarz b. Towarzystwa Warszaw-

(1) Podobna niwellacja w pracach wykonanych w Rosyi, zostających pod przewodnictwem generała Szuberta, wcale nie była odbywaną.

skiego Przyjaciół Nauk. W r. 1832 opuściwszy służbę publiczną, spędził resztę dni swoich w skromnym ustroniu wiejskiem osady Kazimirówki w Hrubieszowskiem, na łonie własnej rodziny, i mimo podeszłego wieku, zajmując się ciągle robotami naukowemi.

Pisma jego drukiem ogłoszone są:

1) *Karita i Polidor*, przez J. J. Barthelemy, tłumaczenie z francuzkiego. Warszawa, 1804.

2) *Podróż młodego Anacharsysa do Grecyi*, przez J. J. Barthelemy, przełożył z francuz. Tomów 7. Wilno, 1819—1825.

3) *Wiadomości z historyi polskiej, dla pensyj i szkół płci żeńskiej zastosowane, z 4ma mappkami*. Warszawa, 1827. 2gie wydanie tamże, 1830.

4) *Ubiory, Lud Polski, Domy i Dwory, Gry i Zabawy w Polsce*. Warszawa. 1830 — 1831, 4 tomy z dodaniem spisu alfabetycznego do wszystkich czterech tomów.

5) *Dzieje Polski za panowania Jagiellonów (Dzieje Władysława Jagiełły, Władysława III, Kazimierza, Jana Olbrachta i Alexandra)*. Warszawa. 1846 — 1848, 3 tomy.

6) *Opis historyczno-statystyczny miasta stołecznego Warszawy; (w Kalend. Politycz. Netto na r. 1826. 2gie wydanie wyszło osobno, Warszawa. 1827).*

7) *Opisanie historyczno i statystyczne województwa krakowskiego* przez Ł. G. (w Kalend. Politycz. na r. 1827).

8) *Opisanie historyczne i statystyczne województwa płockiego*, przez Ł. G. (w Kalend. Politycz. na r. 1828).

9) *O Dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach (w Pamiętniku umiejętności, sztuk i nauk na r. 1825 i 1826. Wyszedł oddruk osobny).*

10) *O Marynarce Polskiej (w Przeglądzie Naukowym na r. 1843, tom I—II).*

11) *Do Gabinetu medalów polskich hr. Edw. Raczyńskiego, dostarczył Gołębiowski text objaśniający do tomu IVgo.*

Prócz tego wiele jest pism Gołębiowskiego, które w Rocznikach b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk i w różnych dziełach peryodycznych drukowane były, i później zapewne uzupełnione będą.

X. J.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Wielka luneta w obserwatorium w Cambridge. Wiliam Mitschel ogłosił wypadki postrzeżeń astronomicznych, wykonanych w dniu 15 września r. z. wielkim refraktorem, znajdującym się w Cambridge, które tu w krótkości podajemy. Narzędzie spoczywa na podstawie wybudowanej z kamieni granitowych, która u dołu ma 20, u góry 10 stóp angielskiej szerokości, i wysoka jest przeszło na 40 stóp. Na wierzchu tej podstawy jest właściwa podpora, czyli statywa, z jednej sztuki granitowej starannie obrobiona, ważąca blisko 26 tysięcy funtów angielskich. Służy ona do utrzymywania przyrządu, nadającego ruch lunecie w kierunku obrotu dziennego. Przyrząd ten mosiężny wraz z rurą lunety, waży blisko 8 tysięcy funtów. Mechanizm jego jest tak dokładnie wykonany, iż dziecko byłoby w stanie nadać ruch lunecie, i w każdym kierunku na niebo ją naprowadzić. Szkło przedmiotowe ma 15 cali średnicy, długość lunety wraz z rurą oczną, wynosi 24 stopy. Wymiary te w porównaniu ogromnej wielkości teleskopu Herschla, a bardziej jeszcze nowego teleskopu lorda Rossa, zdają się być małemi; jednak pamiętać o tém należy, że wspomniane narzędzia są teleskopami zwierciadlanymi,

odbijającymi promienie od powierzchni metalicznej, gdy przeciwnie narzędzie w Cambridge jest właściwą lunetą, czyli refraktorem, łamiącym promienie przez soczewkę przechodzące.

Wiadomo, że dokładne odlanie i obrobienie soczewki achromatycznej, takiego wymiaru jak powyższa, jest nader trudnym zadaniem techniki optycznej; zadanie to najprzód szczęśliwie Fraunhofer rozwiązał. Sławny refraktor obserwatorium Pulkowskiego, jest téż samy wielkości; szkło jednak przedmiotowe lunety w Cambridge, podług zdania znawców, którzy obie te soczewki obok siebie widzieli, i zdaniem samego artysty jest lepszym, a nawet najlepszym, ze wszystkich dotąd znanych. Podpora jest opatrzona mechanizmem zegarowym, który podług obrotu dziennego obrachowany, całe narzędzie w pewnym kierunku na gwiazdę skierowanym utrzymuje. Inny układ kólek, reguluje obrót narzędzia, podług biegu słońca i księżyca.

Noc dnia 15 września r. z. nieszczególnie była przyjazną postrzeżeniom, gdyż niebo było zamglone. Autor tego artykułu naprowadził najprzód lunetę na planetę Wenus, która pogrążona w blasku wieczornej zorzy, gołym okiem nie była widzialną, i wzniesiona tylko na 14 stopni nad poziomem; jednak pomimo mglistej atmosfery, planeta w połowie swój tarczy oświetlona, wyraźnie się pokazała. Autor dla uważania księżyca, nie mógł się dłużej nad planetą zatrzymywać.

Pierwszy przedmiot na powierzchni księżyca, który oko postrzegacza uderzył, była ciemna i głęboka przepaść *Endymion*, po obu stronach jasnym i ogromnym wałem otoczona. Góry przedstawiły się w zarysach wielkich, rzucające cienie; cała rozległość jaką oświetlona część powierzchni przy linii odgraniczającej część ciemną zajmowała, przedstawiała szczątki wulkanicznych działań. Luneta ustawiona była do biegu księżyca; autor przeświadczył się mimo krótkiego czasu postrzeżeń, o bytności szarego światła uważanego przez Schrötera, które atmosferę księżycową ma oznaczać.

Gwiazda podwójna γ (*gama*) Korony, była poprzednio przy 720 razy powiększeniu uważaną. Struwe, który ją wielką lunetą w Pulkowie postrzegał, uważa ją za najtrudniejszy przedmiot niebieski do widzenia. Lunetą w Cambridge, widać obydwie gwiazdy wyraźnie z wielką łatwością. Herschel w swoim teleskopie, widział zawsze jedną tylko gwiazdę bez towarzysza.

Również słaby punkt biały, przy gwiazdzie α (*alfa*) Koroziorka położony, z łatwością był widziany.

Gwiazda podwójna η (*eta*) Korony, która zawsze służyła ze miarą do oceniania dokładności lunet, pokazała się tu wyraźnie, chociaż przedział między gwiazdami wynosił tylko $\frac{1}{3}$ sekundy w łuku.

Potem obłoczek obręczkowy między gwiazdami β i γ (*beta* i *gama*) Liry, wzięty był pod uwagę. W lunetach zwyczajnych obłoczek pokazuje się jak wieniec gwiazdowy, w środku którego nie widać żadnej gwiazdy. Luneta w Cambridge pokazuje pierścień z miejscem w środku już nie wolnym, ale zapelnionym mnóstwem drobnych, słabo świecących, jednak wyraźnych gwiazd; gdy przeciwnie wielki teleskop Rossa, w środku pierścienia mglistość tylko białą pokazuje.

Gwiazda podwójna 61 Łabędzia, sławna w historii dochodzeń paralaxy gwiazd stałych, nad którą Bessel tak wiele postrzeżeń czynił, była następnie uważaną; autor zdziwił się niemało, widząc małe, wyraźne, okrągłe tarcze dwóch gwiazd.

Potem lunetę skierowano na obłoczek mglisty, na pierścieniach Lisa położony; autor jak tylko lunetą spojrzął zaraz postrzegł, jak mglistość rozdzieliła się na drobne, wyraźne, obok siebie położone oddzielne gwiazdy. Dwie osoby przytomne tej obserwacji toż samo widziały. Teleskop Rossa, każe się wprawdzie gwiazd pojedynczych domyślać, jednakże rozdzielić ich nie potrafił.

Najbliższy potem przedmiot badań, był piękny zbiór gwiazd w Herkulesie; nie jednak w nim szczególnego nie

dostrzeżono, był tylko co do blasku i wyraźnego tła znacznie powiększonym.

Świetna gwiazda α (*alfa*) Liry, lubo jeszcze nie przysłała na południk, blask jej był tak silnym, iż za ledwo oko znieść go mogło.

Użyte powiększenia przy powyższych postrzeżeniach, były od 250 do 750 razy; mogą jednak jeszcze być posunięte do 2000 razy.

Do odkryć, których się po tak wybornym refraktorze spodziwać wypadało, należy postrzeżenie krążących planet około gwiazd stałych, które w lunecie jako punkta białe się pokazują, a których autor przy zbiorze gwiazd α (*alfa*) Liry 23 naliczył, wprawniejsze zaś oko pomocnika 35 ich dostrzegło.

Późniejsze dostrzeżenia i wymiary tēm narzędziem, każą się wiele jeszcze świetnych odkryć dla umiejętności spodziwać. (Froriep Notizen nr. 94. Januar, 1848).

J. B.

FIZYKA.

Peytal w następny sposób za pomocą działania elektryczności tłumaczy ukazywanie się trąb napowietrznych. Samo zjawisko przyrównywa do kondensatora elektrycznego, w którym chmury stanowią wyższy, a ziemia niższy krążek; różnica na tēm ma tylko polegać, że w naszych metalowych kondensatorach elektryczności przeciwnego imienia łączą się z sobą odrazu przez metale, będące dobrymi przewodnikami, a w trąbach rzecz ma się przeciwnie.

Wiadomo, że główną przyczyną istnienia elektryczności dodatniej w atmosferze, jest parowanie wody z roztworu solnego (morza). Jeżeli powstająca elektryczność nie rozproszy się w przestrzeni, wtedy pozostaje nagromadzoną w chmurach. Przypuściny, że wiatry z różnych stron pędzą

chmury naelektryzowane ku jednemu miejscu, wtedy to miejsce będąc mocno obciążone elektrycznością, swoim wpływem obudzi w wodach poniżej się znajdujących, stan przeciwną elektryczności. Przytém jednak znaczna część elektryczności chmury przechodzić musi do stanu swobodnego. Skutkiem tego powstają dwa zjawiska: błyskawice elektryczne wynikające z przepływów elektryczności z wyższych części chmury, i nadzwyczajna gęstość chmury. Przyczyną zwiększonej gęstości chmury są pęcherzyki wodne, które składając chmurę naelektryzowaną, odpychają się wzajemnie w skutek swęj elektryczności swobodnej jednoimiennęj; jeżeli jednak ta siła odpychająca zmniejszy się przez rozproszenie się, wtedy czyto ciśnieniem wiatru, czy działaniem ziemi, odbywającęj w tym przypadku funkcją dolnego krążka kondensatoru, chmura się zgęszcza. Chmura zgęszczona, a przytém naelektryzowana, mocno kierowana w swym biegu wiatrem, usiłuje przyjść ku tym punktom ziemi, które pod nią najmocnięj się elektryzują. Wzajemne dążenie ku sobie elektryczności chmury i ziemi, objawi się przez ciągły strumień elektryczny, pędzący z góry ku ziemi lub z ziemi ku chmurze, stosownie do tego, czy chmura lub ziemia w tém miejscu są mocnięj obciążone. Jeżeli elektryczność płynie z chmury, co i najczęścięj się trafia, wtedy cząstki elektryczności z różnych punktów chmury dążąc ku temu miejscu ziemi, w którym przypada wypadkowa wszystkich cząstkowych działań ziemi na chmurę, przybiorą kształt ostrokągu przewróconego. Przeciwnie, jeżeli bieg elektryczności następuje z ziemi ku chmurze, ostrokąg ma kształt przeciwny. Przy tym ruchu, ciała znajdujące się na kierunku strumieni i mogące się naelektryzować, zostaną z wielką siłą pociągnięte ku punktowi, w którym elektryczność ziemi; i chmury zobojetniają się. Stosownie do tego, czy ten punkt leży pod powierzchnią, czy nad powierzchnią ziemi, statki na morzu bywają pochłonywane lub stawy wysuszane, drzewa wyrwane, łamane i w powietrze unoszone.

Naturalną jest rzeczą, że podobny gwałtowny przepływ elektryczności, musi unosić pęcherzyki wodne ku ziemi (które już straciły część siły odpychającej); ztąd wynika bardzo gęsty dészcz, zawarty w granicach wspomnionego ostrokręgu, wylewający na ziemię potoki słodkiej wody, zdolne niekiedy zatapiać okręta.

Głos towarzyszący tym zjawiskom, dobrze się tłumaczy przez drganie powietrza, niezbędne przy takich gwałtownych wstrząśnieniach płynu elektrycznego i ciał. Wiatry wciągające i unoszące ciała stałe w środek trąby, wyjaśnić się dają przez czczość, jaka powstawać musi po gwałtowném skroplaniu pary i zamienieniu się w dészcz ulewny, w którą z przyległych stron dążą strumienie powietrza. Bieg wirowy obserwowany w trąbach, powstawać musi z uderzeń wiatrów poziomo z różnych stron w jedno miejsce płynących.

W końcu opat Peytal tłumaczy, dlaczego strzałami armatniami można niekiedy przerwać trąbę. Na to przywodzi dwie przyczyny. Kula szybko przebijająca trąbę, sprawia w niej gwałtowne wstrząśnienie, rozechodzące się po całej massie, zbliża przez to pęcherzyki wodne, już i tak mocno zgęszczone, a ztąd powoduje raptowne skroplenie. Powtórze, że kula przechodząc szybko, pozostawia za sobą puste miejsce, w które natychmiast wpływa elektryczność wolna trąby, a podobne oddzielenie się elektryczności, musi być przyczyną zapadnięcia się całego zjawiska (*L'Institut.* 762).

S. P.

CHEMIA.

Na posiedzeniu akademii umiejętności paryzkiej, przedstawił p. Regnault pracę p. Saint-Evre, tyjącą się nowych ciał utworzonych z jodoforinu.

Przepuszczając w nadmiarze strumień sinnika (cyanogenium) do roztworu wysokowego jodoformu, ciecz się



rozgrzewa, później przybiera barwę fioletową, coraz ciemniejszą. Zostawiwszy to wszystko w spoczynku, niebawem tworzą się w niej kryształy pryzmatyczne, żółto-żółtego koloru, uszykowane na podobieństwo winnego liścia. Płuczac je powolnie zimną wódką, wydzielają się dwa szczególne ciała, w wysokim stopniu posiadające połysk metaliczny: jedno fioletowe, drugie koloru złotawo-zielonego. Z tych pierwsze zawiera w sobie jodoform i sinnik, czyli w liczbach okrągłych ma 87 na 100 jodu, gdy jodoform posiada tego pierwiastku 97 części. Drugie ciało jeszcze mniej zawiera jodu. Oprócz tego powyższe dwa ciała, a nawet i sam jodoform z rozmaitemi odczynnikami, jak kwasem saletrowym dymiącym, roztworem wyskokowym amonii i siarczku wodorodnego amoniaku, tworzą nowe istoty, któremi nateraz p. Saint-Evre się zajmuje. (*L'Institut* z 22 Nov. 1848).

* *O nawozach najwłaściwszych dla winorośli, przez dr. Verdeil.* Stosownie do nowych widoków chemii zastosowanej do rolnictwa, p. V. zastanawiał się, jakie są istoty zabrane ziemi przez winorośl, i jakimi nawozami ubytek ten zastąpiony być może. Uprawiający zabięra corocznie z winnicy: 1) winogrona, 2) łodygi i liście. Wino zawiera w sobie węgiel, wodoród, kwasoród, i nieco winianu potażu: w łagrze oprócz tego, znajduje się cokolwiek saletrorodu: w wytłoczynach znaleziono wiele potażu, z małą ilością innych soli. Oto więc są ciała, które winorośl ciągnie z powietrza i ziemi. Liście i łodygi winogrodu zawierają w sobie ogromną ilość potażu; nie wspomina się zaś tu o kwasorodzie, wodorodzie i węglu, jako istotach składających drzewo. Mówiąc więc ogólnie, winorośl wyciąga z ziemi potaż, nie zaś fosforany, jak zboża, lub krzemionkę, jak rośliny trawiaste. Należy więc wyszukiwać nawozów zawierających dużo potażu.

Na poparcie swęj teoryi, p. V. przytacza pewną winnicę nad Renem, w której zagrzebują w ziemię liście i łodygi winne, i przez to płodność nie wyczerpuje się, chociaż wcale

inaczej jej nie nawożą. Oddając więc w części ziemi to co się jejabrało, a ma być bezużytecznie zniszczone, oczywiście oszczędza się nawozu.

Ponieważ jednak do wydania wina potrzeba i saletrorodu, należy więc cokolwiek umiærwić winnice i gnojem z obór, pamiętając na uwagę Liebiga, że gnój krwi najwięcej zawiera w sobie potażu, a uprawiający wino nad Renem, doświadczeniem o tém się przekonali. (Treść z pisma *Bibliothèque Universelle de Genève. Novembre, 1848*).

* *O gazach w wodzie studni artezyjskich w Wenecyi.* Dawniejszemi czasy Wenecya opatrywaną była w wodę słodką częścią z 144 publicznych, częścią z 1900 prywatnych zbiorników, w których zbierano wodę deszczową, a częścią z kanału Brenty. Od roku 1825 do 1830 rząd austriacki starał się bezskutecznie o zaprowadzenie tam studni artezyjskich; dopiero w roku 1846 p. Dugousée z Paryża po sześciomiesięcznej pracy wydobyl wodę z gębokości 61 metrów, a dzisiaj jest już tam 6 artezyjskich studni ukończonych, a trzy rozpoczęte. Woda wytryskająca zawiera w sobie gaz wodoród-węglowy i kwas węglowy; skoro jednak przez pozostawienie w powietrzu, te gazy z niej ujdą, zupełnie jest zdatną do picia i innych domowych użytków. (*Annalen der Physik und Chemie v. Pogendorff nr. 7 z r. 1848 w treści*).

* *Berberyn w korzeniu rośliny Columbo.* P. Bodeker robiąc doświadczenia z korzeniem rośliny Columbo, używanej w sztuce lekarskiej, spostrzegł, że tenże zawiera w sobie w znacznej ilości pierwiastek zwany berberynem, otrzymywany jak wiadomo z berberysu pospolitego. (Wiadomość z pisma *Annalen der Chemie und Pharmacie v. Wöhler und Liebig. Juni, 1848*).

* *O kwasie zawartym w liściach ostokrzewu paragwajskiego (Ilex paraguayensis).* Liście to znane są pod nazwiskiem herbaty paragwajskiej. P. Stenhouse okazał, że ciało kryształiczne w nich znajdujące się, jest takie samo, jak teina i kafeina.

Rochloder świeżo badał kwas organiczny, zawarty w powyższych liściach, i przekonał się, że on posiada takie same własności, co kwas kawo-garbnikowy (*caféannique*), wynaleziony w kawie. (*Bibliothèque Universelle de Genève. Octobre, 1848*). J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Felix Dujardin, w swoim podaniu o oczkach (*stemmata*) czyli pojedynczych oczach zwierząt stawowatych (umieszczonóm w *Comptes rendus* nr. 20 z 15 listopada 1847), dowodzi, że oczy wszystkich zwierząt stawowatych: równie pajków i czerwiów jako i owadów, skutecznieją widzenie zupełnie tak, jak oczy zwierząt kręgowych; bo równie każde pojedyncze jako i każde osobne oko składanego oka, złożone jest z optycznego przyrządu, który nakształt soczewki w kamerze ciemnej, rysuje na końcu nerwu przewrócony obraz zewnętrznych przedmiotów. Oko takie przedstawia zawsze środek łamiący, który jest ograniczony powierzchnią wypukłą na jednej tylko, albo téż i na obudwu stronach, i działa jak soczewka, ażeby promienie na całą jej powierzchnią od zewnętrznych przedmiotów rzucone, w leżącym za nią ognisku, na przyrząd czucia zkoncentrować, i skrzyżowanie się wszystkich do obrazu należących promieni ułatwić. Liczne jednak spostrzegamy odmienności, tak w kształcie i w składzie tego przyrządu łamania, jako téż i w sposobie jego użycia względem przedmiotów rozmaitego oddalenia. U niektórych stawowatych zwierząt, znalazł autor stałą, płasko-wypukłą, u innych dwuwypukłą, tylko z błonki rogowej (*cornea*) utworzoną soczewkę, która jeszcze daleko mniejszą soczewką, wyobrażającą *lens crystallina* zwierząt kręgowych, wzmocniona była; przeciwnie inne miały cienką, jednostajnie grubą, jak szkło zegarkowe sklepioną korneę, w której wtedy zamknięta ciecz, jako so-

czewka zbierająca na nerwy widzenia działała. Co się zaś tyczy rozmaitego użytku oka do wyraźnego widzenia mniej lub więcej oddalonych przedmiotów, takowy zależy: 1) na krzywiznie samego środka łamiącego, jeśli długość kamery optycznej jest niezmienna, albo 2) jeśli ta długość jest zmienna, na ściągłości szklatego ciała, które w nowszych czasach nietrafnie soczewką kryształową nazwano, albo na koniec 3) na ściągłości ścian kamery ciemnej, jeżeli, jak u owadów muchowatych, ciecz tylko zawiera. W przypadku tym, sam nawet nerw widzenia jest połączeniem ściągających nitek czyli zakończeń swoich, ażeby tym ostatnim należytą odległość nadać.

Żeby tedy optyczne własności tych małych oczek wy badać, dochodził autor odległości ich ogniska mikroskopnóm mierzeniem, przybliżając aż do $\frac{1}{100}$ milimetra, do czego używał śruby mikrometrycznej, której głowa drobną podziałką opatrzona była. Przy tych wszakże doświadczeniach, nie należy spuszczać z uwagi środka, w którym łamiące ciało jest częściowo lub całkowicie zanurzone. Soczewka oka owadowego, widziana w powietrzu, ma nierównie bliższe, a całkiem w cieczy leżąca nierównie dalsze ognisko. Ażeby naturalne stanowisko takiego oka o ile można przywrócić, trzeba tylko ażeby wewnętrzna jego powierzchnia wypełniona była cieczą podobną do cieczy wewnętrznej zwierzęcia, podczas gdy powierzchnia zewnętrzna wystawiona jest na powietrze; trzeba prócz tego, ażeby się obraz nie z przodu, ale z tyłu téj małej soczewki odmalował. Autor za pomocą kropelki *serum* albo roztworu białka, przytwierdził badane oko wewnętrzną powierzchnią na cienką szklą tabliczkę, którą naodwrot pod soczewkę przedmiotową mikroskopu wstawił, podczas gdy zwierciadło promienie od oddalonego przedmiotu idące, prawie równoległe, rzucało w oś narzędzia i tym sposobem tworzył się obraz pomiędzy ciałem łamiącym (okiem owadu), a przedmiotową soczewką. Podobne doświadczenia z kropelkami oleju w wodzie, albo z bańkami powietrza w cieczy, które dzia-

łały jak dęte soczewki, lub z kuleczkami flintglasu, dały dla odległości ogniska podług promienia krzywizny i skazownika refrakcyi, zupełnie ten sam stosunek, co dopiéro wspomniane drobne soczewki z oczu. Obraz który rysowały, był nadzwyczajnie wyraźny, a jego odległość od ogniska niezmienna; co stosuje się tak do oczu owadów muchowatych i motylowatych, których cienka, sklepista *cornea* łamiącą ciecz zawiera, jako téż i do oczu chrząszczowatych, których płasko-wypukła albo dwuwypukła *cornea* zastępuje miejsce ściągającego ciała szklistego. Ale oczy wielu innych, mianowicie pszczołowatych, równie jak *stemma* pajaków i owadów, przedstawiły autorowi odłomność, która go wiele utrudziła, niżeli zdołał sobie wyjaśnić ich budowę robieniem poprzecznych przecięć tych oczu w rozmaitych kierunkach. Oczy te, zamiast mieć jeden tylko główny punkt ogniskowy, jak w kulistej soczewce, mają ich tyle, ile się da naznaczyć warstw w sklepieniu ich powierzchni, tak, że najrozmaiciéj oddalając od nich przedmiot, idące od przedmiotu promienie światła, zawsze trafiają na jaką warstwę ocznej krzywizny, która wyraźny obraz na retynie wyrysować może. Pokazuje się tedy, że soczewka złożona z warstw spółśrodkowych, których krzywizny promień staje się tém mniejszy, im jest bliższy środka, musi mieć tyleż ognisk co warstw, i że tym sposobem retina, przyjmując ją za niezmienną, jest zbiorem ognisk dla tylu różnie oddalonych przedmiotów, ile się warstw znajduje.

Ale mógłby kto mniemać, że rozmaite obrazy dalszych warstw, mogłyby szkodzić wyrazistości obrazu warstwy pojedynczej. Autor kazał sobie urządzić lupę złożoną z warstw spółśrodkowych i przedstawił ją akademii na próbę. Daje ona cztery osobne, rozmaitéj wielkości obrazy przedmiotu, w miarę jak się ją ku niemu zbliża lub oddala. Można zatem przyjąć, że przy wielkiéj takich warstw liczbie, następowanie wyraźnego obrazu nie dozna przeszkody znacznej ze strony środkujących niewyraźnych. I w rzeczy

samój, obraz który malują *stemmata* pajaków i owadów, w rozmaitych odległościach zawsze jest wyraźny, lubo nie ma świetności obrazu soczewki z jednóm ogniskiem. Łamiące ciała tych *stematów*, według dalszych autora badań, nie mają wpływu na polaryzujące światło, i tém różnią się od soczewki kryształowej, składem zaś chemicznym, równie od błonki rogowej (*cornea*) zwierząt kręgowych, jako i od okryć owadów, lubo zdają się być przedłużeniem tych ostatnich.

Naostatek nie można, jak sądzi autor, z Müllerem i Brantzem uznawać obecności kulistej, odosobnionej krystalicznej soczewki za każdą szczególną, wszędzie jednostajnie grubą błonką rogową (*cornea*); bo właśnie środkowe grubienie wszystkich na sobie leżących warstw téj błonki jest tém, z czego powstaje ciało soczewkowane, od zewnątrz do odcinka kuli, od wewnątrz do prostej lub ukośnej paraboloidy podobne. Tym sposobem *stemmata*, jak dostatecznie okazaliśmy wyżej, urządzone są, nie jak mniema Müller, do widzenia tylko blizkich przedmiotów, ale, jak już sama krzywizna ich łamiącego środka okazuje, zdolne są widzieć we wszelkich odległościach.

Do téj pracy Dujardin'a, przyłącza się ocenienie jój przez dra S. Pappenheim, w nrze 22 *Comptes rendus* z r. 1847 ogłoszone.

Podług Pappenheima, pojedynczo oczy owadów składają się z oddzielnej dla każdego błonki rogowej (*cornea*), i z dwuwypukłej soczewki krystalicznej; ostatnia swoją spółśrodkową pręgowatością różni się od przezroczystej kornei. Soczewka krystaliczna daje się odosobnić i zdaje się mieć jeszcze nakrywkę, czego wszakże autor, dla niedostatku materiału do badań, nie mógł należycie zgłębić: odosobniona, zupełnie świeża krystaliczna soczewka, z którą żadne jeszcze dalsze przygotowania przedsiębrano nie były, miała kształt eliptyczny.

Odosobniona soczewka krystaliczna pajaka, okazała tak na polaryzującym świetle dzienném, jako i przy świecy, bar-

dzo wyraźne zjawiska, a najpiękniejsze, gdy się widoczna blaszeczka w środek wstawiła.

Mimo wszelkie usiłowania i mimo najwyborniejszy mikroskop, nie mógł autor znaleźć ściągального ciała szklistego chrząszczowatych; również się mu nie powiodło z wynalezieniem ściągalnych nerwów Dujardina, a te nadto, ażeby jak Dujardin sądzi, działać mogły, musiałyby chyba poznaniem być obdarzone, któreby im oznajmiało że zbliżają się ku ognisku, lub oddalają od niego. U owadów tylko ze składanemi oczami, nerw optyczny dzieli się, według Pappenheima, na wiązki, z których każda ma swoją oddzielną pochwę, a niekiedy i pigment. Wiazki to otaczają większą lub mniejszą ilość nader delikatnych nerwów pierwotnych, które są delikatniejszymi jeszcze od stożków przez J. Müllera odkrytych. Wiazki te okrywa siatka dychawek, przez co tém niepodobniejszą do prawdy rzeczą autorowi się zdaje, ażeby ściąganie się początkowych włókien nerwowych widzianem być mogło.

Co się zaś tyczy ścian źrenicy, te u owadów są tak twarde, że tylko znacznemu ciśnieniu pod mikroskopem ustępują, i nie żeby się przedłużyć, tylko żeby się popsuć: nie może przeto autor przypuszczać w nich ściągalności na korzyść władzy widzenia.

Nakoniec Pappenheim uważa jeszcze, jak niedokładne rozmiary daje śruba mikrometryczna, jak więc oznaczenia podobne małej są wartości.

* Zeszłego lata, w okolicy Romney-Moores w Anglii, widział W. Allen gościniec w długości kilkomiłowej zasiany niezmiernem mnóstwem biedrzonek (*lady-birds*), które nadewszystko sterczące przedmioty, jakoto słupy szosowe i płoty okrywały. W największej liczbie zbierały się na stronie chronionej od wiatru, który podczas tego wiał od wschodu i od północo-wschodu. Podług *Times*, widziano we czwartek wieczór, pomiędzy 4 a 6 godziną, z wysokości Ramsgate i Margate, długi, na kilka mil od południa rozciągający się obłok, który w kierunku Calais i Ostendy ku południowemu brzegowi Anglii żeglował, podobny słupowi

dymu z parostalka, podczas spokojnego powietrza. Około 10 godziny wieczorem, z powszechnym zadziwieniem przechadzających się, wszystko było biedrzonkami okryte, same nawet osoby, tak, iż ich odzież do czerwonych pancerzy stała się podobną. Nazajutrz cały brzeg ukazał się niemi zasiany; od tamy portowej do Margate, zgarnięto ich do 5 korcy (*Scheffel*). Zkąd przybyły? nie wiadomo. W Brighton zjawiły się w sobotę i w niedzielę, i tysiącami rozganiatano je na wielkiej paradzie i na sąsiednich ulicach; domy równie jak suknie przechodzących całkiem niemi okryte były. Podobny rój nawiedził miasto przed 7 laty, a trzema laty wcześniej w mniejszym stopniu. W Southend powstał taki rój, najmniej z 5 gatunków biedronek złożony, w piątek: na milę zdawało się, że brzeg nawiedzony jest rojącymi się pszczołami. Krocie ich pochłonęło morze, a jednak wszystkie przed wiatrem zasłonięte przedmioty, były niemi jakby farbą powleczone. Zwierzęta przybywały w nocy z wiatrem wschodnim, i radośnie witane były przez wieśniaków, jako wytopiacze mszyc, najszkodliwszych owadów dla węgietacyi. (*Fr. Not. nr. 91 z The Zoologist 1847, nr. 58*).

* Po sześciomiesięcznej suszy spadł 8 sierpnia przeszłego (1846) roku w Broadstairs, na wyspie Thanet, trwały dęszcz, po którym nazajutrz mocny wiatr południowy nastąpił, i przyniósł taką mnogość biedronek (*Coccionella*), że w ciągu trzech dni wszystko w okolicach najbliższych miasta, okryte niemi było, i że się gromadziły do wszelkich zagłębień, schronienia szukając. Biedronek tych trzy były gatunki: najliczniejszy *Coccionella septempunctata* Ill. rzadszy już *C. bipunctata*, a najrzadszy z 9 kropkami. Na dniu 12 znowu wiatr południowy zerwawszy się, porwał wszystkie biedrzonki i zaniósł je do Margate; ztamtąd przeniesione zostały zakrętem wiatru, do Ramsgate; 13go były w Southend i Londynie, a 14 i 15 w Brighton (*Id. nr. 122 z Annals and Mag. of. nat. hist. Sept. 1847*).

* Jużto dawno entomologowie postrzegali, że samice wielu owadów, a osobliwie nocnych motylów, tylko co wy-

szedłszy z poczwarki, a zatém wcale nie zapładniane, niosą jednak jaja, z których wylęgają się gąsienice. Świeżo nad tém zastanawiał się p. Boursier, i przedstawił Akademii (*Comptes rendus*, 20 sept. nr. 12) swoje w tój mierze mniemanie. W doświadczeniach jego, samica jedwabnika zaraz po wyjściu z poczwarki wspięła się do góry po oknie, i wystawiona przez dłuższy czas na słońce, znosiła potém w cieniu dużo jaj, z których następnie wylęgały się gąsienice. P. Boursier tém spowodowany, przedstawił Akademii swoją myśl: czyto nie światło i ciepło słoneczne zapładnia?

Akademia, przez swoich komisarzy do odpowiedzenia na to wyznaczonych, nie mogąc zjawiska wytłumaczyć na zasadzie, którój nie doszła jeszcze nauka, poprzestała na przytoczeniu wielu znanych przykładów w zwierzęcóm i roślinném królestwie, rodzenia bez poprzedniczego zapłodnienia (mszyce podług Lecuwenhoecka, rozwielitki podług Jurine, konopie i t. p. podług Spallanzanego i t. d.), obok czego przywiodła myśli mogące dopomóc temu, ktoby chciał na drodze postrzeżeń i rozumowania śledzić naturę w mowie będącego zjawiska. Wspomniała więc o poczwarkach jedwabnika i rozmaitych innych owadów, które przez 2 do 3 lat w stanie gąsienic zostawały, potém się zwolna rozwinęły, dla rozmnożenia gatunku swojego. Wspomniała, że niektóre indywidua okazują niezaprzeczone cechy prawdziwego hermafrodytyzmu, będąc z jednéj strony mężczyznami z drugiejj żeńskimi, co się nawet okazuje z kształtu i stosunku ich rożków, z ubarwienia ich skrzydeł, które często u odmiennych płci bardzo rozmaite bywa. Naostatek i tę dołączyła uwagę, że w przypadkach, w których większość pewnych samicych owadów, dobrowolne rodzenie się miała, większość ta nawet przez kilka lat w stanie gąsienic zostawała. Tak długie ich istnienie, jako téż wylęganie się w czasie, w którym samców nie ma, zdaje się mieć za cel utrzymanie rodu, który inaczej przez przypadkowe zdarzenia łatwo by mógł zaginać.

* F. Pouchet, *Przyrząd trawienia u komara (Culex pipiens)*. Przyrząd trawienia u tego owada, jest bardzo zawiąłany: pyszczyk składa się ze dwóch żuwaczek, osadzonych szeregiem tęgich, nieruchomych włosków, i dwóch szczecinkami opatrzonych szczek, które są jak ramiona wachlarza ruchome, i do uchwycania pokarmu służą. Naokoło kiszki są ośm drobnych, jajowatych, pęcherzykowatych żołądków, symetrycznie ułożone; każdy połączony z nią krótkim kanałem. Te ośm części nie mogą być porównywano z organami opisanymi przez niektórych autorów, jako pęcherze do wciągania powietrza u wielu owadów muchowatych i motylowatych, bo one mniej lub więcej napelnione są takimi materjami pokarmowemi, jakie się w kiszce znajdują; a prócz tego, w przedziałach czasu od 25 do 30 sekund, widać ściąganie się tych pęcherzy i posuwanie się tego co jest w kiszce. A jeśli się włoży zwierzę do wody zafarbowanej karminem lub indychem, to już w pół godziny widzieć można te pęcherzyki wypelnione materjami farbami; sąto więc prawdziwe żołądki.

Jakkolwiek Swammerdam i Leon Dufour i między owadami ukazali przeżuujące, zdaje się jednak autorowi porównanie to eo do komara niezupełnie trafnym, lubo i budowa i fizyologiczne znaczenie, a nawet rozwinięcie żołądków, przypominają żwacz i drugi żołądek przeżuujących. Wewnętrzna błona tych małych worków jest, jak u wielkich przeżuujących zwierząt, naksztalt plastra pszczelnego, jednak nader delikatnie rozwinięta; pokarm równie i w nich zatrzymuje się czas niejaki, doznaje pewnego gatunku trawienia i znowu tą samą rurą, którą się do żołądka dostał, wraca się w kiszkę. Pokarm wszakże nie dochodzi aż do pyszczka, ulega raczej już w tych pęcherzykach żołądkowych potrzebnej przemianie; odsyłane przez nie do kiszki materje, zawsze są daleko drobniej podzielone, niżeli te, które pozostają w nich jeszcze. Jak przeżuujące w pierwszym życia swojego okresie karmią się mlékami, a akt przeżuwania rozwija się w nich dopiero później, bo dwa pierwsze żołądki ich są jeszcze stosunkowo za małe; tak i młode,

dopiero co z jaja wyklute gąsienice komara, żywią się także z początku tylko ciekłymi materyami, bo również ich żołądki są dopiero rudymenarne i jeszcze do sprawy trawienia niezdatne, a nawet tułów, który je otacza, jest znacznie mniejszy, niżeli w stanie dojrzałości dalszej.

Mimo niezmiernie wielką systematyczną odległość tych muszek od zwierząt przeżuwających, jest wszakże jakieś fizyologiczne podobieństwo między urządzeniem tych pęcherzyków żołądkowych, a dwóch pierwszych żołądków w rzędzie *Ruminantia*. Z drugiej strony, rzeczony pęcherzyki, równie co do swojego kształtu i położenia, jak i co do zachowania się podczas postrzeżeń, podobne są pęcherzykowatym żołądkom poligastrycznych wymoczków, które tak pięknie Ehrenberg opisał. (*Fr. Not. nr. 94 z Comptes rendus 1847 nr. 17*).

* Gąsienice muchowatych, które liście roślin wydrążają, podług Goureaux, znajdują się licznie; ukazują się one na powierzchni liści w kształcie białych plamek, które trzymając naprzeciwko światła, widzieć można w środku tkanki liścia małą, uzbrojoną szponem gąsieniczkę, która z zadziwiającą szybkością liść toczy. Na polu zasianóm lucerną, znalazł autor prawie $\frac{1}{3}$ wszystkich liści przez nie popsutą; mogą się stać przeto nader szkodliwemi. Autor nazbięrał ich z wielu roślin i dociekl, że każda z nich przemieniła się w inny gatunek muszki. Z tćj która była w liściu wiciokrzewu (*Caprifolium*), rozwinęła się *Phytomyza obscurella*, z lucerny zaś, *Agromyza nigripes* i t. p. Gąsienice za pomocą szponów, które im także jako organa poruszenia służą, budują sobie mieszkania w liściach; ale się nigdy w nich nie przemieniają w poczwarkę, lecz w tym zamiarze wkopują się w ziemię. Większa ich wszakże część jeszcze przed tą przemianą ulega zniszczeniu, częścią od niepogód, częścią od gąsieniczników. (*F. N. nr. 107 z Bibl. univ. de Genève r. 1847 nr. 22*).

* W hiszpańskim dzienniku *La Fuculdad* z roku 1847, p. Guzmanu Librero opisał dwa swoje postrzeżenia w przedmiocie pasożyta, którego gatunek podciągnął pod nazwisko *Furia infernalis*, lecz którego owadem nazywa: 1) U pe-

wnego dwuletniego dziecka, ukazał się (1806) w trzeciej części dolnej lewego uda, liszajowaty wyrzut, a gdy p. Librero należycie chore miejsce zbadał, ujrzał pomiędzy skórą a tkanką komórkową ciała, owad (?) do góry i na dół się wijący. Kazał przeto matce mocno przycisnąć palcem na górną część kanału w którym się poruszało zwierzę, a sam położył wielki palec u lewej ręki na dolną część kanału, tak, iż zwierzę zastanowione było. Wtedy ciął lancetem i wyciągnął końcem jego owad wielkości i kształtu wszy świnięj. Rana potem łatwo się zgoiła. 2) W kwietniu 1813 r. udał się do niego po radę 50letni pastérz kóz z wrzodem na lewej ręce. Opowiedział, że w listopadzie r. 1812 dostał nagle w tém miejscu niecznośnego palenia, i już w kilka godzin wyskoczyła pomiędzy wielkim a wskazującym palcem bolesna krostka. Odtąd, mimo wszelkie środki zapobiegające, ciągle się wrzód powiększał. P. Librero kazał pacjentowi rękę kilka razy wymyć, poczem ujrzał przy mocniejszym oświeceni, kanały między tkanką komórkową a tłuszczową, i w tych trzy zupełnie wyżej opisanemu podobne, owady. Po wydobyciu ich, rana się zagoiła (*Id. nr. 110 z Gazette méd. de Paris 15 janw. 1848*).

* J. B. Schnetzler ogłosił w *Bibliothèque universelle de Genève*, nr. 20 r. 1847, anatomiczne i fizyologiczne postrzeżenia nad wrytnicami (*Nais*), uzupełniając prace dawniej w tymże przedmiocie podejmowane przez Trembleja, Bonnetta, O.F. Müllera, i Szmidta. Wrytnicę węzłkową (*Nais serpentina*) znalazł w maju na rzęsie, której korzenie okręcała, i zaraz zwrócił uwagę na układ krążenia u niej. Długie, przy grzbiecie ciągnące się naczynie, z szeregu ściągalnych fałd złożone, porusza się biciami postępującemi od tyłu końca ogonowego, do przodu głowy. Z tego naczynia krew, przez gatunek połykowego pierścienia, ze dwóch silnych gałęzi naczyń złożonego, przechodzi do weny brzusznej. Nader ściągalne, znajdujące się pomiędzy arterią grzbiętową a weną brzuszną węzłki, zastępują niedostającą pulsacyę tamtych. Liczne, mianowicie w okolicy kanału pokarmowego, rozgałęzienia żyłek, połączenia te dwa wielkie układy

krążenia. U daleko większej *Nais linearis*, krążenie jeszcze łatwiej uważać się daje. Wena brzuszna rozsyła na bok rozgałęzienia do skóry, mianowicie w ogonie bardzo liczne i łączące się przez podniesione gałęzie, z naczyniem grzbietowém. Leżące na tyle rozgałęzienia, odnoszą nakoniec krew wonalną do arteryi grzbietowej, i tym sposobem dopełniają układu krążenia.

Trawienie skutecznia się w długim kiszkowym kanale, który w swoim biegu liczne fałdy tworzy. Pyszczyk leży u obudwu wspomnianych gatunków wrytnie od spodu; za nim następuje bardzo długi, białawą pęcherzykową materją otoczony kanał pokarmowy. Właściwy kanał kiszkowy nie okazuje żadnego w sposób oznaczony urządzonego żołądka, i w największej rozległości swojej otoczony jest, równie jak i większa część naczynia grzbietowego, brunatno zafarbowaną warstwą pęcherzyków. Pęcherzyki to służą zapewne do przemieniania wyrabiającego się w kiszce soku pokarmowego, jako téż do wessania i przeprowadzenia go w jamę brzuszną, gdzie jasną, przezroczystą, ziarnkowatą kuleczką zawierającą ciecz przedstawia. I ten chyl okazuje pewny gatunek krążenia, pociągany pulsacją naczynia grzbietowego, tudzież ściąganiem się kanału kiszkowego i mięśniów brzusznych; oblewa on najistotniejsze części układu naczyniowego, jest przez niego wciągany, i bierze potem udział w jego prawidłowém krążeniu. U *Nais serpentina* widzieć można przez całą wewnętrzną powierzchnią kiszkowego kanału, bardzo żywy ruch drgający, niezależny od woli a nawet od życia zwierzęcia, i długo jeszcze trwa na małym, odłączonym od zwierzęcia płątku kanału. Układ nerwowy przedstawia u wrytnie kształt wstęgi, od której ząbkowanego brzegu rozchodzą się nitki nerwowe; zajmuje on całą długość strony brzuchowej, i tworzy pierścień wkoło pokarmowego kanału. Przyrząd mięśniowy jest bardzo rozwinięty; ściany ciała opatrzone są silnymi, ściągającymi mięśniami podłużnymi; dwie tych wiązek biegną na boku przez cały odwłok; poruszają one boczne szczeciny, które u *Nais linearis* tworzą często wiązki wię-

cowatych, jakby rośliny rozgałęziających się nitek. Korzenie tych szczecin otacza pewien gatunek cebulek. Oprócz tego liczne muskuły przytwierdzają kanał kiszkowy do ścian jamy brzusznej; inne przymocowane do ścian odwłoka, otaczają i zcieśniają wpoprzek kanał kiszkowy i naczynie grzbietowe.

Przedewszystkiem jednak rozmnażanie się godne jest uwagi: nowa wrytnica, również przez dzielenie jak i przez zetknięcie się jaja z zapładniającą cieczą, powstać może. Dzielenie może znowu być dobrowolne lub sztuczne. Pierwsze O. F. Müller przy rodzaju *Stylaria* (*Nais proboscidea*) bardzo pięknie opisał. Młoda wrytnica składa się, według niego około ze 16 pierścieni jednakowej wielkości; pierścień tyłowy wkrótce się jej przedłuża, po kilku już dniach okazuje 10 do 12 poprzecznych pasków; powstają na nich szczeciny, a nakoniec na przedniej części starego tyłowego pierścienia, oczy w kształcie kropeczek i ryjek, i odłąd młoda wrytnica jest gotowa.

Dzielenie sztuczne w ściślej jest z poprzedzającym zależności. Pomiędzy pierworodną córką a jej matką, tworzą się często 3 do 4 innych młodych, z których najmłodsze zawsze matczynego indywiduum jest najbliższe. Córki odłączają się zwolna od matki lub od swoich sióstr młodszych, i same powtarzają to dzielenie. Jeżeli które w miejscu zrastania się dwóch indywiduów zostanie przecięte, wkrótce ujrzyć można, że oboje żyją. Nie należy jednak temu dobrowolnemu dzieleniu zbyt wiele ceny przyznawać, bo często-kroć przypadkowe przecięcie zwierzęcia na kilka nierównych kawałków, z każdego wyprowadza indywiduum osobne. Na jednym ze środka ciała od *Nais serpentina* wziętym kawałku, ze trzech pierścieni złożonym, przez kilka dni postrzegał autor wszelkie oznaki życia: ciągle się w nim odbywało krążenie krwi a z niem oddychanie, czucie, ruch i t. d. W chwili przerznięcia zamknęły wyżej wspomniane muskuły tak kanał kiszkowy, jako i wielki pień naczyń; i tym sposobem przeszkodziły wypłynieniu żywiącego soku; zwolna przywróciły się związki pomiędzy

naczyniem grzbietowém a weną brzuszną, i z oderzniętego kawałka stało się nowe indywiduum.

Z tego zdaje się wynikać, że chemiczne i fizyczne siły, które określają widocznie zjawiska życia istoty, we wszystkich pierścieniach wrytnicy mają prawie jednakowe nałożenie, tak, iż całe zwierzę jest niejako zbiorem utajonych w niém indywiduów.

Następnie zastanawia się autor nad organami rozkładania u wrytnic. Pierwszy O. F. Müller odkrył jajeczniki, lecz które dopiero Dugès z dokładnością opisał, czyniąc zarazem wzmiankę i o organach męzkich, lubo nie wszystko w składzie tych ostatnich z równą oznaczył pewnością. Autor wszakże odkrywa zupełną pewność nawet w tém co Dugès miał za wątpliwe, i szczegółowo opisuje tę część organizacyi u gatunku *Nais filiformis*. W organizacyi téj przyrząd żeński leży bezpośrednio za męzkim. W składzie pierwszego zasługują na uwagę kanały, w których widzieć się daje żywy ruch drżący. Drżenie to zachodzi w pewnych włoskach tych kanałów, dostrzeżonych najpierwszy raz przez Schmidta, który z powodu pomienionego ruchu, uznawał je za części przyrządu oddechowego, czemu i autor nie śmie być przeciwnym, zważając, że drgające kanały ciągną się przez te nawet pierścienie ciała, które przechodzą zakres siedliska organów płciowych. Wnosi, że zapewne uskutecznią się niemi wprost wciąganie kwasorodu, i że dlatego może wrytnica bezustannie porusza ogonem, tak pełnym rozgałęzionych naczyń, gdy przeciwnie przód ciała, w którym drgające kanały całkowicie już nikną, w głąb dna wody zapada. Wszakże Ehbrenberg liczy je do przyrządu rodowego (*F. N. no. 91*).

* Ludwik Agassiz, który się teraz w Ameryce znajduje, pisał z Bostonu, pod d. 30 września 1847 r. list do Alexandra Humboldta, treści ogłoszonej w wyjątkach w *Comptes rendus* nr. 19 z 1847 r. Mówi najprzód o rozwijaniu się członków u ukwiałów (*Actinia*) i symetryi w organach tych zwierząt. Młode ukwiały, które z jaj wychował, były aż do nogi którą się ujmują, pięcioboczne, i tylko 10 czułek miały. Główna czczość ich ciała, podzielona była

10ciu prostopadle ustawionemi przegrodami, żołądek znajdował się nad tą czczością i długim łączył się z nią otworem. Młody ukwiał podobny jest wtedy do spianu (*Alcyonium*), z tą tylko różnicą, że zamiast 8 prostopadłych pasów, ma 10 szyb głęboko wewnątrz wchodzących, odpowiadających 10ciu czulkom na obwodzie. Rzeczony szyby są muskularne; określają one razem z kolistemi włóknami powierzchni, rozliczne dobrowolne przemiany kształtu tych zwierząt. Jajeczniki i jądra, które są u tych szyb zawieszony, wcześniej się rozwijają; nowo odtąd powstające czulki, ukazują się najprzód jako zfałdowanie się obwodu przed i pomiędzy już będącemi; tak poczęte, przedłużają się w prostopadłym kierunku jeszcze dalej, tworząc wyskok, z którego staje się blaszka. Nowo wynikłe czulki okazywały, równie jak całe młodociane zwierzę, wyraźne fałdy i muskuly, z których ściągnięcia się powstały. Główna czczość ciała wypełniona jest wodą, która się dostaje do niej pyszczkiem i licznemi, mikroskopnie małemi otworami, których prostopadle szeregi biegną po ciełe, i przez też otwory albo przez czulki znowu się precedza. Strawione materye mieszają się z tą wodą, a że gęba, żołądek i czulki mogą się według upodobania zamykać, dłużej przeto we czczości ciała pozostać są zdolne, póki z wodą wyrzucone albo przez wodę nową rozcieńczone nie zostaną. Czczość przeto ciała zastępuje tu przyrząd krążenia i oddychania. Tenże sam ukwiał (*A. duevisi*) zniósł jaja, lecz też niekiedy i żywy płód wydawał, podobny z jaj wylęglemu. Widać że wszystkie ukwiały jednocześnie jaja i żywy płód wydają.

Dalej donosi autor, że widział świetłę (*Lucernaria*) z 8 oczami, podobnemi zewnętrzną budową do oczu szkarłupniów i chełbi. Oczy te leżały w wycinkach, pomiędzy wiązkami czulków.

Niżej zastanawia się autor nad kamienistą tabliczką (*) u rozgwiazd (*Asterias*), i mniema, że wykrył jej cel i budowę.

(*) Wiadomo że u tych tak osobliwych zwierząt morskich, leży w pośrodku ciała na zewnątrz, nieco na boku, kamienista tabliczka.

Chcąc on zrozumieć krążenie u jeżowców i sposób jakim się dostaje woda do części ich ciała, gdy przeglądał wszystkie dotychczasowe prace w tym przedmiocie, postrzegł że już Tiedemann dociekł układu wodnego który otacza pyszczek i jest w połączeniu z położonemi wewnątrz pęcherzykami czyli skrzelami i ze smoczkami u czulków, ale nie wskazał otworów przez które ten wodny układ przyjmuje wodę zewnątrz. Przy nastrzykiwaniu od serca naczyń czyli zatok, które się wzdłuż kamienistój tabliczki znajdują, zaraz postrzegł autor, że główny pierścień pyszczkowy (*anneau buccal principal*) nie był napelniony, że raczój na końcu kamienistego kanału znalazła się skórkowata banieczka zdająca się być w związku z kanałem. Nastrzykując ją autor, ujrzał że kolorowa massa wciska się nietylko w naczynie pyszczkowe, ale i w pęcherzyki leżące wewnątrz ciała, a nawet w czulki nóg wszystkich. Autor z równym powtarzał skutkiem nastrzykiwanie od górnej strony kamienistego kanału, przyczém postrzegł, że mikroskopne dziureczki, któremi kamienista tabliczka jest zasiana, dochodziły do kanału kamienistego i tym sposobem tworzyły sitko, przez które tylko najczystsza woda w ten kamienisty kanał i skórkowate naczynia do wody pyszczek otaczające, a tém samém do pęcherzyków i do czulków nóg, dostawać się mogła. Muskularna budowa ścian naczyń, objaśnia ciągłe postępowanie wody w całym jój obiegu. Członkowate, od kamienistój tabliczki do ujściowej banieczki idące wapniste kanaliki u rozgwiad, zdają się być przeznaczonemi tylko do chronienia skórkowatych rurek, które bez nich, mogłyby przy tak zmiennem ciele tych zwierząt, łatwemu uszkodzeniu podległy. Niéma ich u jeżowców, u których dziurki sitka prowadzą bezpośrednio

ka (*une plaque pierreuse* Cuv. *Madreporenplatte* Tied.), której wewnątrz odpowiada kanał wypełniony materyą wapienną, co uważano, podobnie jak znajome kamyki w rakach, za zapas materyi na części stałe zwierzęcia, ale nie rozumiano całkowicie tego szczegółu organizacyi rozgwiad. A. W.

dnio od kamienistej tabliczki do skórkowatych, nieopatrzonych stałóm przyodzianiem rurek.

Dostająca się w czułki do poruszeń służące woda, może być wypuszczona przez smoczki u nich. Ta woda rozlewa się tu i owdzie przez kolejne kurczenie się muskularnych ścian czulków i wyżej wzmiankowanych pęcherzyków w ciele będących. Ułożeniem włókien mięśniowych, pęcherzyki te podobne są do moczowego pęcherza.

U jednego gatunku jeżowca z rodz. *Echinarachnius*, znajdującego się nad brzegami Massachusetts, a na którym autor powyższe postrzeżenia czynił, między tabliczkami pól nogowych, już przy sześciokrotném powiększeniu, widać prócz tego bardzo dobrze, w prawidłowe szeregi zebrane otwory, z którymi wewnątrz zostają w związku skórkowate, jak smoczki wysuwalne rurki, które się przedziurawionemi banieczkami kończą. Otwory te ze swojemi rurkami są mianowicie w polach nogowych i nad obwodem liczne, a zaś w polach międzynogowych tylko na obwodzie. Kiedy się te rurki całkowicie rozpostrą, wtedy przewyższają kolce na skorupie; są one w niezmiernej liczbie po całym obwodzie szyby rozstawione, i już przez swoją rurkową budowę różnią się od czulków nogowych, ale więcej przez to, że wewnątrz ciała wiodą. Tysiące tych otworków, odpowiadających szeregom dziurek u ukwiałów, prowadzą wodę do środka ciała i napowrót, a tym sposobem tak u jeżowców jako i u rozgwiazd postrzegamy dwa niezależne od siebie wodnych naczyń układy: jeden ma swoje otwory w kamienistej tabliczce i tylko do niej należące części opatruje wodą; kiedy otwory drugiego, rozszerzając się po całym ciele, zapatrują nią wielką część ciała. U *Echinarachnius* dopiero wspomniane rurki, służą właśnie cudownym sposobem jako organa poruszeń, gdy czułki nóg nigdy nie dosięgają obwodu.

Im bliżej poznawał autor anatomią zwierząt promienistych, tém więcej spotykał podobności nawet we zworzech tak różniących się jeszcze postacią zewnętrzną. U rozgwiazd, znalazł on przyrząd podobny latarni głowowej jeżowców;

wracają tu nawet te same mięśnie i ścięgna; cały wszakże przyrząd jest tak ruchomy i tak przezroczysty, że łatwo go weźmiemy za jedno ze ścianami połyku. (*Fror. Not.* 1848 nr. 98).

* Przy drugiej połowie, to jest przy 8ym tomie dziennika naukowego *Annales des sciences naturelles* z roku 1847, znajduje się kilka tablic rycin, których artystyczne wykonanie usadziło się ażeby wyrównać zamiłowaniu i mistrzowskiemu podolaniu umiejętności tak trudnej, jak jest anatomia niższej organizacyi zwierząt. W przeszłym wieku podziwiano cierpliwość i talent Lyonneta, patrząc na te liczne wizerunki przy jego wiekopomnym traktacie, tworzącym grubym tom in 4to o anatomicznej budowie jednej tylko gąsienicy. Czémże one są obok wizerunków przy wielu dzisiejszych zoologicznych książkach? Ażeby to porównanie uczynić, dosyć jest zobaczyć w rzeczonym 8ym tomie *Annales des Sc. natur.* pierwsze cztery tablice rycin, należące do rozprawy genialnego i pracowitego Milne-Edwardsa, o krążeniu krwi u zwierząt miękkich. Pierwsza i druga przedstawiają anatomiczną budowę słuchoty (*Halyotis*) i czaszok (*Patella*), do których badania powiodły autora dawniejsze postrzeżenia (1), sprawdzane potem przez innych badaczy, że u niektórych niższej organizacyi zwierząt (zachw (*Ascidia*), sprzągli (*Salpa*), welp (*Aeolidia*) znaczna część systematu naczyń zastąpiona jest czczościami w ciele, któremi krew krąży (2). Tu on przekonywa się, że u wszystkich zwierząt miękkich niema znacznej części naczyń krwionośnych, lecz je zastępują proste między niektórymi organami odstępy czyli komory. Za pomocą umiejętnych wtryskiwań zafarbowanej masy w naczynia słuchoty (*Halyotis*), doszedł on, że równie u tych miękkich zwierząt jako i u sepij, wielka czczość, zawarta pomiędzy okryciami głowy, mięśniami połyku i początkiem kanału pokarmowego, wchodzi w skład przyrządu cyrkulacyjnego, z tą różnicą, że u słuchoty czczość ta należy do układu ar-

(1) Zob. Bibl. Warsz. 1846. tom II od str. 208.

(2) Zob. Bibl. Warsz. 1848, tom I od str. 669.

teryalnego, kiedy u pławów (*Cephalopoda*) jest częścią wenałnego. To samo zniżenie arteryalnego układu znalazł autor i u czaszolek (*Patella*), czyniąc preparaty swoje wtryskiwaniem do rozgałęzień arteryalnych cieczy czerwonej, do wenałnych niebieskiej, równie dokładnymi i jasno nauuczającymi, jak miłemi oku i ozdobnemi w wizerunkach po mistrzowsku wykonanych. Porównywa on w dalszym swojej rozprawy ciągu i wiele innych miękkliwych rodzajów pod względem téj samej budowy, już prostując już uzupełniając to, co inni zootomowie podali o nich. Sledzi układ cyrkulacyjny u czernitwy (*Thethys*) z uwagą na sposób w jaki tłumaczył go Delle Chiaje, i u szoldry (*Pinna*) którą już przed nim zajmował się Poli: tamtéj przepyszny wizerunek na tab. 3, téj na tab. 4 tomu 8go wystawiając. We wszystkich tych wizerunkach, przedstawiających się na tle czarném, ciało zwierzęcia białe zdobią rozliczne aż do najdrobniejszych rozgałęzienia czerwone naczyń arteryalnych i niebieskie wenałnych, tak, że te wizerunki nietylko wzorem są, jak przedstawiać niemi najdrobniejsze szczegóły budowy w ciele najwątleszych istot morskich, ale nawet jak uprzyjemnić naukę do której się odnoszą. A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WARSZAWA.

89. Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 roku, skrócony przez F. Max. Sobieszczańskiego. Z ryciną. 8ka. Warszawa. 1848. Druk Strąbskiego. Kart 2 i str. 499. Złp. 13 gr. 10.

90. Tygodnik lekarski wydawany pod redakcją DDr. A. Le Brunn, A. Helbicha i L. Natansona. Rok drugi. 1848. Styczeń do Grudnia. 4ka. Warszawa. 1848. Nakładem H. Natansona, druk Strąbskiego. Kart 3, nrów 52, zawierających str. 416. Złp. 24.

L I P S K.

91. Marja, powieść ukraińska, przez Antoniego Malczeskiego. 16ka. Lipsk. 1848. Str. 88. W oprawie złp. 6 gr. 20.

1849.

WARSZAWA.

10. O własności, przez Adolfa Thiers, autora Historji Konsulatu i Cesarstwa. Przekład z francuzkiego. Część I. Warszawa. 1849. 12ka. Nakład G. L. Glücksberga, druk St. Strąbskiego. Kart 2 i str. 209. Z pren. na część II, złp. 10.

11. Pamiętniki pogrobowe Chateaubrianda. Tłomaczył Leon Rogalski, Tom 1, 12ka. Warszawa. 1849. Nakład G. L. Glücksberga, druk St. Strąbskiego. Str. 196. Z pren. na 3 tomy złp. 15.

12. Pamiętniki pośmiertne Chateaubrianda, przełożył O. Stanisławski. 12ka. Tom 1. Warszawa. 1849. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Str. 278. Z pren. na 3 tomy złp. 10.

13. Powołanie kobiety. Przekład z języka angielskiego (p. P. Dubrowskiego). Z godtem:

„Si le sort ne nous donné le talent pour être célèbres, il est presque toujours possible de fire (sic) un travail qui nous rende utiles”.

12ka. Warszawa, 1849. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 182. Złp. 5.

14. Źródło wiadomości dla dziełek polskich, czyli abecadlnik powszechny ułożony sposobem postępowym: od poznania liter do pierwszych zasad główniejszych naukowych przedmiotów. W dwóch częściach, przez starego przyjaciela dzieci. Podarunek i nagroda dla chłopczyków i panienek. Dzieło ozdobione (4) rycinami. 8ka. Warszawa. 1849. Druk Strąbskiego. Nakład J. Bernsteina. Str. 139 i rejestru kart 2. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Historia Literatury polskiej Jana Majorkiewicza, drugie wydanie, wkrótce wyjdzie z pod prasy z drukarni Józefa Unger. Ostatni okres opatrzony jest przypisami i dodatkami wydawcy.

W Wilnie ma się drukować rękopis Juliana Bartoszewicza, wielce dzieje nasze obchodzący, p. n. „Królewicze biskupi. Żywoty czterech kapłanów”.

„Dzwonu Literackiego” oddział 2gi, tom pierwszy, już wyszedł z pod prasy. Tomy następne w oznaczonym okresie wyjdą.

Józef Korzeniowski wykończył dramat p. n. „Autorka”.

Dramat Gutzkowa „Pierwsze wystawienie Świętoszka Moliera”, przełożonym został na język polski przez jednego z naszych literatów.

Przy drugim tomie „Album Literackiego”, pod redakcją K. Wł. Wojcickiego, zamieszczone będą facsimilia kalendarza ściennego z 1532 roku, wraz z obszerną wiadomością o kalendarzach polskich.

Wyjątek z listu M. Gr.

„Teraz przynajmniej jestem pewny, że mój rękopis „O Sztuce” stanął w Warszawie (u Orgelbranda). . . Dałem także do druku dzieło: „O ukraińskich mogiłach.” Tablice zawierające plany takowych i rysunki przedmiotów w nich znajdujących, będą ciekawe i niejaka wartość mojemu dziełu nadadzą”.

„Teraz zacząłem pisać rys piśmiennictwa polskiego, a raczej literackiego ruchu w Polsce od r. 1832 do 1848. Lubo przez cały ten przeciąg czasu zostawałem w największym oddaleniu od wszelkich głównych ognisk literatury, wszelako ścierałem z nich wiadomości starannie, śledziłem za niemi, i starałem się mieć jasne pojęcie fizjonomii ludzi i rzeczy. Jeżeli to potrafię dokładnie wyłożyć, nie będzie bez interesu, a w każdym razie pochwalam sobie, że to nie będzie tak sucha i jednostronna nomenklatura, jak mniemane historie literatury polskiej W. D. i M. Powziąłem myśl tego pisemka, upatrując że w tych szesnastu latach piśmiennictwo nasze odbyło cykl zupełny, i posiada swoją historię; fakt z faktem ściśle związany, i jeden od drugiego zawisły. Wszelako tu się kończy także niniejszy okres; ten, który po nim nastąpi, musi być zupełnie odmienny. Nie wiem czy to dziełko wydam, ale starać się będę koniecznie je napisać”.

Autor *Soplicy, Listopada, Zamku*, występuje w nowym zawo-
dzie—w zawodzie polityczno-filozoficznym. Ta nowa strona nie-

wyczerpanego daru rozwinęła się w nim skutkiem spóczesnych wypadków europejskich, które uważa z właściwem sobie natchnieniem, zasobem wielostronnych wiadomości, i z tego *udzielnego* stanowiska, na jakim nawet w najdrobniejszych utworach swoich zwykł przebywać... Utwor ten, złożony z listów oddzielnych, wyczerpujących po kolei prawie wszystkie zagadnienia moralne i polityczne, wiążące się ze spóczesnemi wypadkami, przeznaczony jest do Tygodnika, i będzie naprzód ogłoszony w felietonach tej gazety, nim zostanie osobno wydany. (Tygodnik Petersburski).

W Wilnie miały wyjść przed N. Rokiem następne dzieła, które dotychczas nie znamy jeszcze w Warszawie:

1) Rocznika literackiego na rok 1849 tom IVty, pismo zbiorowe, ozdobione portretami, wydane przez *Romualda Podbereskiego* (r. sr. 2).

2) Pamiętnik naukowo-literacki, pismo zbiorowe na rok 1849, pod redakcją *Romualda Podbereskiego* (r. sr. 1 k. 50).

3) Przygody człowieka nierzucającego cienia, powieść fantastyczna w 1 tomie (r. sr. 1).

4) Aerolit, przez *Ludwika Podbereskiego* (r. sr. 1).

5) Przy kominku, gawędy szlacheckie (r. sr. 1).

6) Msza święta, wierszami, z klasycznych poetów polskich objaśniona. Ze wstępem o duchownej poezji polskiej. (Dochód przeznaczona się na rzecz Dobroczynności Wileńskiej).

Zeszyt piérwszy dzieła p. n. „Przekłady poetów łacińskich epiiki Zygmuntofskiej,” obejmujący poemata Klemensa Janickiego, przekładu Władysława Syrokomli (pseudonym), już wyszedł z drukarni J. Zawadzkiego w Wilnie.

J. Kremer w Krakowie wygotował „Encyklopedyę nauk filozoficznych”; za parę miesięcy zamierza wziąć się do druku. „Listy z Krakowa” ma następnie ukończyć.

M. Wiszniewski siedzi w Genui i podobno zupełnie zdołował; trudni się handlem.

† W końcu zeszłego 1848 roku, zmarł *Kajetan Kieleński* znany a utalentowany rytownik. Jako uczeń budownictwa w b. uniwersytecie Alexandryjskim w Warszawie, zachęcony od Jana Piwarskiego, u niego sztuki rytownictwa nauczył się, a sposób i metodę jego przejął. Później robił w sposobie nieocenionego naszego rytownika *Marcina Płóńskiego* głowy starców, żydów, ubiory ludu i widoki miast; szczególnie atoli w ryceniu dawnych pieczęci zyskał sobie w kraju i za granicą niepospolitą sławę.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



Dostarczenia w Obserwatorium
 Dostarczenia w Obserwatorium jest 377 kóp parafinich nad poziom mor.
 czyli w roku 1841-2, na waga

TERMO-METR		BAROMETR	
w stopniach		w liniach słowiańskich	
10	1	10	1
100	10	100	10
99	9	99	9
98	8	98	8
97	7	97	7
96	6	96	6
95	5	95	5
94	4	94	4
93	3	93	3
92	2	92	2
91	1	91	1
90	0	90	0
89	9	89	9
88	8	88	8
87	7	87	7
86	6	86	6
85	5	85	5
84	4	84	4
83	3	83	3
82	2	82	2
81	1	81	1
80	0	80	0
79	9	79	9
78	8	78	8
77	7	77	7
76	6	76	6
75	5	75	5
74	4	74	4
73	3	73	3
72	2	72	2
71	1	71	1
70	0	70	0
69	9	69	9
68	8	68	8
67	7	67	7
66	6	66	6
65	5	65	5
64	4	64	4
63	3	63	3
62	2	62	2
61	1	61	1
60	0	60	0
59	9	59	9
58	8	58	8
57	7	57	7
56	6	56	6
55	5	55	5
54	4	54	4
53	3	53	3
52	2	52	2
51	1	51	1
50	0	50	0
49	9	49	9
48	8	48	8
47	7	47	7
46	6	46	6
45	5	45	5
44	4	44	4
43	3	43	3
42	2	42	2
41	1	41	1
40	0	40	0
39	9	39	9
38	8	38	8
37	7	37	7
36	6	36	6
35	5	35	5
34	4	34	4
33	3	33	3
32	2	32	2
31	1	31	1
30	0	30	0
29	9	29	9
28	8	28	8
27	7	27	7
26	6	26	6
25	5	25	5
24	4	24	4
23	3	23	3
22	2	22	2
21	1	21	1
20	0	20	0
19	9	19	9
18	8	18	8
17	7	17	7
16	6	16	6
15	5	15	5
14	4	14	4
13	3	13	3
12	2	12	2
11	1	11	1
10	0	10	0
9	9	9	9
8	8	8	8
7	7	7	7
6	6	6	6
5	5	5	5
4	4	4	4
3	3	3	3
2	2	2	2
1	1	1	1
0	0	0	0

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Grudzień 1848.

Grudzień 1848.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,45" na wschód

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	748.58	749.70	747.88	747.94	+ 3.8	+ 5.2	+ 4.6	+ 4.1	92.7
2	749.42	750.46	748.59	746.74	+ 2.5	+ 4.4	+ 2.8	+ 2.4	94.7
3	744.74	745.19	744.06	746.25	+ 0.8	+ 1.8	+ 2.7	+ 2.1	97.5
4	747.34	749.50	750.64	750.21	+ 0.8	+ 2.0	+ 1.6	+ 1.4	95.5
5	747.33	747.11	744.44	743.64	- 2.7	- 0.7	+ 0.5	+ 2.3	90.8
6	744.07	745.58	745.85	746.54	+ 1.4	+ 1.4	+ 1.6	- 0.3	91.2
7	744.46	744.07	745.79	750.15	+ 0.6	+ 3.6	+ 5.7	+ 5.3	94.2
8	749.61	750.70	751.21	753.17	+ 5.4	+ 8.7	+ 9.4	+ 9.2	96.0
9	754.61	755.50	755.90	757.38	+ 9.1	+ 9.2	+ 8.8	+ 8.3	97.7
10	756.08	756.25	754.98	755.23	+ 8.1	+ 7.7	+ 7.5	+ 9.2	92.7
11	754.61	755.57	755.27	753.65	+ 8.7	+ 7.0	+ 6.5	+ 6.1	91.7
12	752.23	752.42	753.12	754.16	+ 3.3	+ 4.7	+ 7.7	+ 6.8	91.0
13	754.94	755.37	754.39	755.45	+ 5.6	+ 5.6	+ 6.1	+ 5.9	94.0
14	755.85	756.41	754.81	753.68	+ 5.6	+ 5.5	+ 5.0	+ 4.8	100.
15	752.43	752.36	754.23	752.10	+ 4.0	+ 5.0	+ 5.0	+ 3.7	100.
16	752.73	753.53	751.20	748.03	+ 2.3	+ 1.8	+ 4.0	+ 5.5	99.2
17	745.51	745.03	741.32	743.01	+ 5.8	+ 6.4	+ 7.2	+ 3.0	92.0
18	748.55	751.48	752.62	753.02	+ 3.3	+ 2.7	+ 2.4	+ 1.8	91.2
19	754.48	755.48	757.69	760.15	- 5.8	- 7.6	- 11.6	- 12.5	99.0
20	760.95	763.37	765.90	768.67	- 14.1	- 9.2	- 11.6	- 14.5	100.
21	769.00	769.31	766.78	763.98	- 14.5	- 12.2	- 9.2	- 6.6	100.
22	763.36	764.32	766.50	767.12	- 4.2	- 2.6	- 2.8	- 3.0	99.0
23	767.91	768.43	766.85	765.86	- 3.6	- 2.9	- 1.9	- 1.8	97.0
24	764.67	764.03	762.82	756.56	- 2.1	- 1.4	- 1.3	- 1.7	97.0
25	755.08	754.09	755.41	755.27	- 0.5	+ 1.0	+ 0.5	+ 0.5	95.0
26	761.91	764.03	765.15	766.72	- 2.1	- 1.5	- 1.3	- 1.3	92.7
27	766.75	767.42	766.16	765.84	- 2.9	- 2.3	- 3.2	- 4.5	93.7
28	764.75	765.64	764.96	765.05	- 4.8	- 4.8	- 5.4	- 5.0	96.0
29	764.99	766.06	765.18	765.04	- 3.6	- 4.1	- 5.7	- 7.0	94.0
30	764.11	764.25	762.52	760.91	- 7.5	- 6.9	- 5.9	- 4.5	100.
31	759.27	760.51	762.18	764.06	- 5.6	- 7.8	- 11.0	- 18.2	99.5
Śrc.	755.502	756.238	755.883	756.090	- 0.09	+ 0.64	+ 0.60	- 0.23	95.6

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'3", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	de- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pogodny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdZ.	pdZ.	PdZ.	PdZ.	0.2	
pr. pochm.	pochmurny	pogodny	pochmurny	Z.	pdZ.	PdW.	PdW.	2.4	
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pr. pochm.	Pd.	pd.	PdZ.	Z.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	chm. podz.	smugi	pogodny	Pd.	pdZ.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	pd.	PdZ.	Z.	4.2	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdZ.	Z.	Z.	Z.	2.6	
dészcz	dészcz	dészcz b. dr.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	7.6	
pochmurny	pochmurny	dészcz drob.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.2	
dészcz	pochmurny	smugi	smugi	Z.	Z.	Z.	Z.	1.2	
pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
mgła grub.	mgła gruba	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	-	-		
mgła	mgła	pr. pochm.	poch. mgła	-	-	-	PnZ.		
mgła poch.	pochmurny	poch. mgła	dészcz	Z.	Z.	Pd.	Z.	4.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	Z.	Z.	Z.	Pn.	2.4	
pochmurny	dészcz	pochmurny	napót pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		4.0
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	PnW.	PnW.	PnW.		
pochmurny	chm. podz.	pogodny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.	0.1	
pr. pogodny	chm. miejs.	śnieg drob.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	-		
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	-		
pochmurny	pochmurny	mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	0.2	
śnieg drob.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	-		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	-		
pochmurny	śnieg pru.	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	-		
Śrc.								24.8	4.3

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	755.928	27	11.099
Najwyżej dochodził — d. 21 o 10 g. r.	769.31	28	5.032
Najniżej — — d. 17 o g. 4 w.	741.32	27	4.624
Średnia zmiana dzienna barometru	3.56		1.58
Największa zmiana dzienna barometru d. 17—18 o g. 4 w.	11.30		5.10
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 22 lat	4.274		1.895

poprzedzających	751.654	27	9.204
Średnia temperatura Grudnia wynosi: + 0 ^o .23 C. + 0 ^o .18 R.			
i ta jest wyższą o	2.74	„	2.19
od stanu normalnego z 21 lat			
poprzedzających	— 2.51	„	— 2.01
Największe ciepło dochodziło d. 8 o g. 4 w.	+ 9.4	„	+ 7.5
Największe zimno d. 31 o g. 10 w.	— 18.2	„	— 14.6
(Termometrogaf wskazał Maximum: + 8.0 ^o R. d. 8 w. Minimum: — 14.0 ^o R. d. 31 r.)			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.46	„	1.97
Największa zmiana dzień. d. 18—19 o g. 10 w.	14.3	„	11.4

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95.6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 5,24 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 24.8 millim. czyli 10.99 linii paryz; z śniegu 4.3 millim. czyli 1.91 lin. paryz.; razem wody z deszczu i śniegu 29.1 millim. czyli 12.90 lin. paryz. to jest o 2.55 lin. par. mniej jak zwykle.

Dni pogodnych było 2; napót pogodnych 9; pochmurnych 20.

— deszczu 11 (d. 1, 4, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 16, 17, 18).

— śniegu 3 (d. 19, 21, 25).

— mgły 4 (d. 14, 15, 16, 24).

— szronu 1 (d. 30).

Wichrów 1 PnZ.

Wiatr panujący Zachodni.

Grudzień był słotny, wilgotny, przeszło o 2 stopnie R. cieplej-szy jak zwykle, deszcze były częste, ale nie obfite; śnieg trzy razy tylko przuszył i to w małej ilości. Wilgotność powietrza jest blisko o 2 setne większa jak w stanie normalnym; wyjąwszy dzień piąty i trzynaście dni ostatnich, inne dni były ciepłe i powietrze było łagodne. Pod względem stanu powietrza Grudzień był więcej jesiennym niż zimowym miesiącem.

D. 2 i 11 wieczorem, koło białe otaczało księżyc.

D. 6 między godziną 6 i 7 w wieczór zorza zwierzyńcowa świeciła w stronie zachodniej.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY PO KRAJU,

odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, pod przewodnictwem Wojciecha Jastrzębowskiego, w czasie wakacyj, t. j. w miesiącach lipcu i sierpniu 1848 r.

(Dokończenie).

Z Ireny poszliśmy już prosto do Zawichostu przez grunta mniej więcej piaszczyste i lesiste. Na wstępie w Sandomierskie zachwyciliśmy się wspaniałym widokiem Wisły, téj matki rzek naszych, wijącej się szeroką taśmą po wschodniej stronie dopiero co wspomnionego miasta, które zabudowane w części domami drewnianymi, a w części murowanemi, oraz pięknymi kościołami i licznymi śpichlerzami, liczy obecnie 2,600 mieszkańców. Zawichost jest miastem dosyć starożytném, bo jeszcze Bolesław Wstydlivy założył tu w r. 1258 klasztor dla zakonnicyk stęj Klary, których przelożoną była sta Salomea, wdowa po Kolomanie królu halickim, córka Leszka Vgo i Grzymisławy księżnej ruskiej, a siostra Bolesława Wstydliwego; lecz dla częstych napadów tatar-

skich, te panny zakonne przeniosły się najprzód do Skały, a nakoniec do Krakowa.

Tu zaczyna się glina tak zwana sandomińska, powszechnie sławna nawet za granicą ze swój urodzajności, a składająca się głównie z gliny, drobnej krzemionki, wapna i małej ilości wodoru żelaza, któryto tój ziemi jój żółtawy kolor nadaje.

O znacznym stosunku krzemionki wchodzącej w skład ziemi sandomińskiej, zapewnia sama dość wyraźnie dająca się czuć jój ostrość pomiędzy palcami, a o bytności wapna, udzielającego tój ziemi własności marglu gliniastego, przekonać się można z burzenia, jakie daje się na niój postrzegać, kiedy ją polewamy jakim kwasem, a nawet mocnym octem.

Ziemia sandomińska odznacza się tą własnością, że potoki wody śniegowój i deszczowój, łatwo wydrążają w niój głębokie parowy, których pochyłości porastają potém esparcettą, macierzanką i innemi pastewnemi oraz lekarskiemi roślinami, stają się nietylko pożytecznemi dla zwierząt i ludzi, ale jeszcze miły czynią widok dla oka podróżującego, jaki zawsze okolice wzgórzyste nam sprawiają. Wyrwana ziemia przez pomienione potoki, niesioną bywa do Wisły i nadaje jój znaną płową barwę, a osadzając się podczas powodzi na niskich jój brzegach pod imieniem *mutu* czyli *mady*, udziela im swojój żyzności, jakiej przykład przedstawiają nam na znaczną skalę pola sieciechowskie, żuławskie i wszystkie tak zwane Powiśla. Ziemia o którój tu mowa, nie samym tylko okolicom Zawichostu i Sandomierza jest właściwą: bo także większa część lubelskiego, krakowskiego a nawet płockiego, oraz ziemi dobrzyńskiej i chełmińskiej, jój winne są swą żyzność. Pozbawiona ona jest,

mianowicie w południowych okolicach naszego kraju, prawie całkowicie zwyczajnych kamieni polnych i żwiru, w skutku czego właśnie daje tak łatwo w sobie wydrążyć przez potoki, pomienione głębokie wąwozy i parowy; ale nierzadko natrafiają się w niej kości olbrzymich zwierząt przedpotopowych, które wraz z kamieniami polnemi, jakie się szczególnie w okolicach północnych na polach w tej glinie znajdują, przez wodę (na krach lodu) z północnych okolic w nasze strony, kiedy te jeszcze były zajęte morzem, przyniesione zostały.

Ziemia sandomińska, wraz z innemi gliniastemi i piaszczystemi pokładami, stanowi tak zwaną *formacyą potopową*, która spoczywa bezpośrednio na *formacyi krédowej*, jak to uważaliśmy w samym Zawichoście, gdzie właśnie opiera się ona bezpośrednio na krédzie chlorytowej czyli żelaznej opoce krédowej, zafarbowanej tém samém połączeniem chemiczném (1), które nadaje zwyczajnemu szkłu butelkowemu zielonawą barwę. W innych miejscach, wspomniona formacya potopowa spoczywa na *formacyi gliny plastycznej* czyli garncarskiej, i na tak zwanych *skałach trzeciorzędowych*: co w wielu miejscach na urwistych brzegach Wisły, jak np. koło Warszawy, Płocka i Dobrzyńa widzieć się daje.

Co do wspomnionych wąwozów, które woda wydrążyła w glinie sandomińskiej, wypada tu uczynić uwagę, że w niektórych miejscach używają już oddawna przeciwno temu złemu bardzo prostego i skutecznego środka, jakim jest grodzenie poprzecznych chruścianych płotków w tychże wąwozach, i zasadzanie ich wierzbiną lub

(1) Krzemionkan potażu i żelaza.

innemi drzewami; przez co nietylko zapobiega się dalszemu wyrwaniu z nich ziemi, ale jeszcze otrzymują się tym sposobem piękne gaiki, które zwłaszcza w tak bezleśnych okolicach, jakimi są sandomińskie i krakowskie, stają się, a przynajmniej stać się będą mogły kiedyś bardzo użytecznemi i miłemi.

Wśród gór i wąwozów, między zielonemi dolinkami i złotemi łąkami słynnej tutejszej pszenicy, poszliśmy do Sandomierza. Na małe ćwierć mili przed tém miastem, zatrzymały nas godne widzenia tak zwane *góry Pieprzowe*, wznoszące się przy lewym brzegu Wisły. Należą one do formacyi przechodowej, a składają się z łupku tromatowego czyli szarowakowego, który się tu piętrzy w dość wysokie strome skały, złożone z warstw prawie pionowo nad powierzchnią ziemi, siłą ognia podziemnego wystawionych. Lecz nie pożałuje swych trudów, kto się dostanie na najwyższe szczyty tych gór; wnet bowiem odstąpią mu się miasteczka i wsie na mil kilka nawet odległe, obszerne bory wydadzą się tylko jak gaiki, pola jak ogrody, łąki jak trawniki, rzeki jak srebrne wstęgi; jedna Wisła, posuwając się wolnym krokiem u ich podnóża, usiłuje utrzymać swoją wielkość prawdziwą, lecz i ta coraz bardziej się zwęża, maleje i znika nareszcie.

Sandomierz zdaleka uważany, do dziś dnia zachowuje pozór starożytnego miasta: zbudowany jest bowiem na wzgórzu dość wyniosłym, stanowiącém część lewego brzegu Wisły. Ma 5 kościołów wraz z kilkoma klasztorami, nad któremi wznoszą się drugie tyle wyniosłych wież i ostatki zczerniałego muru, postawionego przez Kazimierza Wielkiego. Przytém jest tu zamek zbudowany przez tegoż króla, a odnowiony przez Zygmunta Igo,

i ratusz z wieżą, co wszystko przekonywa nas o dawniej wielkości, zamożności i kwitnącym stanie tego miasta. Dziś ono już znacznie podupadło; wszystkie dawne budynki, szybkim bardzo krokiem dążą ku upadkowi: mur otaczający miasto, jako téż i bramy (których ma 4 główniejszych), są w opłakanym stanie, nawet bruku nie ma w znacznej części miasta! Godną zwiedzenia jest tutejsza katedra wspaniała i okazała, w której wiele pięknych ozdób widzieliśmy; szczególnież zasługują na wspomnienie obrazy dawnego już bardzo pędzla, a przedstawiające męczeństwa poniesione w Sandomierzu w czasie pierwszego napadu Tatarów r. 1241 (1). Obecnie znajduje się tu 630 domów i 3000 mieszkańców.

Koło Sandomierza, a szczególnież ponad stromemi brzegami Wisły, w bliskości kościoła katedralnego, znaleźliśmy bardzo rzadkie i prawie nigdzie w kraju nieznajdujące się rośliny, znane w Botanice Opisowej pod nazwiskiem: *Sisymbrium tenuifolium*, *Zygophyllum fabago* i *Xanthium spinosum*.

Opuściwszy piękne brzegi Wisły, których trzymaliśmy się od Zawichostu, puściliśmy się do Ossolina, dóbr hr. T. Potockiego, których zarządem trudni się gorliwie p. Zimmerling b. u. I. G. W. i L. w M. Niedaleko za dworem wznosił się zamek sławny przepychem i bogactwami swemi, zbudowany w r. 1636 przez Jerzego Ossolińskiego; zwaliska jego wznoszące się od fundamentu na skale krzemionkowej (kwarcowej), należąc

(1) Jeden z dotąd żyjących legionistów wysłanych na wyspę San-Domingo, pułkownik W., zapewniał, że widział w pewnym kościele na wyspie Kubie kopią tych obrazów.

do formacyi przechodowej, przypominają jeszcze świeżość téj budowli.

W Pęchowie, dobrach p. Piątkowskiej, gospodarstwo znacznie się podnosi; grunt tu jest doskonały, pszenny, Iszej klasy, tak jak wszędzie w okolicy; podstawą pól jest tu formacya krédowa, a na niej dopiero spoczywa glina urodzajna.

Dążąc ztąd do Plant, dóbr p. Łempickiego, zatrzymaliśmy się w wiosce Ujazd, dla podziwienia olbrzymich zwalisk zamku tutejszego, zbudowanego przez Krzysztofa Ossolińskiego wojewodę sandomierskiego, w r. 1631. Zamek ten należał do najpiękniejszych w Polsce, i do dziś dnia jego gruzy są pomnikiem dumy i bogactw założyciela. Przez 30 lat tłumy jeńców i niewolników pracowały nad wystawieniem jego, a koszta budowy 5 milionów wynosić miały. Zamek ten szczycił się groźnie 4 basztami na pamiątkę 4 pór roku; sal w nim było tyle, ile miesięcy; pokoi, ile tygodni; a okien, ile dni w roku. Gród ten stoi na wzgórzu skulistém (formacyi przechodowej), niedaleko lasu; dawniej był wałami i fosami otoczony, a w środku miał studnię kamienną, w której znajdowała się obficie woda źródłana bijąca, lecz teraz jest już w części zasypaną. Po moście spuszczanym wchodziło się do bramy zamkowej, gdzie wyrobione są z kamienia w dużym kształcie po prawej stronie topór, a po lewej krzyż; sęto herby założyciela, od których téż cały gmach nosił nazwisko *Krzyż-topór*. Zamek ten miał aż trzy piętra, a przepych jego miał być nadzwyczajny i to we wszystkich szczegółach; bo żłoby nawet w stajni miały być marmurowe, a przed każdym koniem we framugach, które jeszcze dobrze znać, miały się znajdować zwierciadła.

Dziś jest już wszystko w ruinach, lecz te ruiny nawet wprowadzają każdego w podziwienie dawniej wielkości i sławy tego zamku, i nakazują niejako poszanowanie dla jego starości pełnej pamiątek.

O patrz! - bezsilny starzec jak dumnie wznosił czoło,
Choć mu je troską zorał nieprzyjazny los,
Patrz, jak dumnym wzrokiem spogląda wokoło,
Choć może czas, ostatni wnet mu zada cios (1).

Obok tego zamku stało wiele jeszcze budynków, lecz ręka czasu zniszczyła już wszystkie; zostały tylko zwaliska jakiegś budowli, które miejscowi ludzie za dawną pralnię podają.

W Kobylanach, dobrach p. Rudnickiego, byliśmy zbudowani porządkiem i akuratnością, panującą w najmniejszym zakątku, oraz pięknnością budynków gospodarskich, posuniętą aż do zbytku. W stajni i w oborze, przedzielonych od siebie ścianą, porobione są u góry małe otwory skośnie w odległości kilku stóp od siebie; takie otwory znajdują się i w innych ścianach, równie ukośnie prowadzone, lecz idące od wschodu ku zachodowi, tym bowiem sposobem dęszcz, śnieg i t. d. nie mogą dostać się tak łatwo wewnątrz budynku, a przewietrzenie jego odbywa się jak najlepiej; przytém powietrze obudwóch stajen miesza się, i wywierą przez to zbawienny wpływ tak na bydło, jak i na konie. Bydło jest krójowe, uszlachetniane szląskimi buhajami; każda krowa stoi na łańcuchu w czystości, i przynosi 60 złp. czystego zysku za mléko, zakupywane od miejscowego pachciarza. Chociaż cały inwentarz jest piękny i dobrze utrzymany, jednak owce grają tu główną rolę, tak przez swoje wysokie uszlachetnienie, jako téż i przez znaczną

(1) Przez M. G.

liczbę; wszystkie są znaczone na uchu, a parzenie odbywa się od ręki. Gdy się jagnię urodzi, zapisuje się w regestr numer, który mu na ucho przyciśnięto, jako też numer ojca i matki; przez co rodowód owiec każdemu może być okazany, a owczarnia taka nie może jak tylko podnosić się ciągle, tém bardziej, że nowe tryki bywają corocznie sprowadzane, dla wyższego uszlachetnienia stada.

O stodołach, kurnikach, które są na piętze, i innych budynkach gospodarskich, nie mogę nic więcej powiedzieć, jak żeby mogły służyć za wzór do naśladowania; tak w każdym miejscu jest coś nowego do nauczenia się, co i pożytek przynosi, a oko zatrzymuje i pieści. Przed 15 laty, były tu między zabudowaniami gospodarskimi góry i doły przykre; p. Rudnicki dopiero zniwellował to wszystko i zrównał z wielkim kosztem na dwa równe dziedzińce, z których jeden o wiele niżej leży od drugiego.

Gospodarstwo jest czteropolowe, a uprawa mechaniczna gruntu bardzo staranna.

W Opatowie zatrzymaliśmy się dla obejrzenia starożytnej wspaniałej kolegiaty; szczególnież zdoła ją wiele malowideł *al fresco*, wyobrażające różne wypadki z pisma świętego; również godne zwiedzenia w tém miejscu są okazałe groby Szydłowieckich, dawnych posiadaczy tego miasta. Jedna część Opatowa zamieszкана jest tylko przez chrześcian, i w téj części miasta jest dosyć obszerny rynek; żydzi mieszczą się w znacznej odległości w kilku ulicach niebardzo porządných. W ogóle jednak miasteczko to jest bardzo handlowne, ma 480 domów i 2000 mieszkańców.

Dążąc ztąd do Brzostowy, wsi należącej do dóbr Ćmielów, spostrześliśmy mnóstwo esparcetty dziko rosnącej, oznaczającej bytność wapna w gruncie.

W Brzostowej, p. Ostromecki okazał nam tamtejszą cukrownią, założoną w roku 1840, a urządzoną przez p. Clemandot, dyrektora tój cukrowni; kosztowała ona 60,000 złp., a przerabia rocznie około 8,000 korcy buraków, wyciągając 9 funt. cukru z każdego korca. Ponieważ tu nie ma rafinerji, więc wyprodukowany cukier odstawia ta cukrownia do Szymanowa, sprzedając po 28 gr. funt; koszta zaś dostawy każdego centnara cukru wynoszą złp. 4.

Niedaleko ztąd, w rozległej nizinie, leży niewielkie miasteczko Ćmielów, mające 180 domów, położone nad rzeką Kamienną, w którym znajduje się fabryka porcelany i fajansu. P. Weis dyrektor tych zakładów, zaprowadził nas do głównego składu, gdzie widzieliśmy mnóstwo prześlicznych wyrobów porcelanowych i fajansowych, mogących walczyć z zagranicznymi o pierwszeństwo; lecz że tego dnia było święto, więc w samej fabryce nie byliśmy.

Trzymając się brzegów rzeki Kamienny, doszliśmy obok jój łożyska do Bodzechowa, gdzie są znaczne zakłady żelaza, a mianowicie piec wielki i parę fryszerek. Znajduje się tutaj kilka gatunków rudy żelaznej, z których ruda ilasta płowego koloru, jest najlepsza; składa się ona z niedokwasu czerwonego żelaza, jako téż z kwasu węglowego i krzemionkowego. Wszystkie maszyny obraca wyżej wspomniana rzeka, będąca tu koloru brudno-żółtego i bardzo mętna.

Jeżeli dalej jeszcze pójdziemy za biegiem tój rzeki, dojdziemy wkrótce do miasteczka Kunowa, sławnego

według podań dawnych pisarzy z kopalni marmuru różnokolorowego, a szczególnie czerwonego i zielonego, którego tu teraz ani śladu nawet niema. Miasteczko to jest małe; prócz kościoła murowanego, ma same drewniane domki, a nawet nie jest brukowane, pomimo obfitych łomów kamienia piaskowego, znajdującego się za miastem. Większa część ludności tutejszej składa się z kamieniarzy i rzeźbiarzy z ojca, dziada i pradziada; przed każdym też domem można widzieć ogromne głazy, już to nieobrobione jeszcze, już to w kształcie kamieni młyńskich, nagrobków, różnych świętych i t. d.

Łomy piaskowca w tém miejscu są bardzo obfite; góry piętrzą się obok siebie, przedzielone tylko głębokimi wąwozami, na dole których mruczy kryształowy strumyk, pieniąc się po kaskadach, a każda góra błyszczy doskonałym kamieniem. Na wierzchu znajduje się najczęściej formacja piaskowca białego, współczesnego formacji krédowej, przykrytego warstwą ziemi urodzajnej.

Ztąd udaliśmy się pięknymi okolicami wśród wąwozów i gór, zawierających dopiero co wspomniany piaskowiec, do Garbacza, dóbr p. Gołuchowskiego, a w których p. Ablamowicz b. u. I. G. W. i L. w M. gorliwie się zajmuje gospodarstwem. Inwentarze utrzymane są tu w dobrym stanie, a zabudowania gospodarskie są bardzo porządne. Na uwagę zasługuje duża stodoła murowana, długa na 132 łokcie, a 32 szeroka; gorzelnia jest również murowana i w niej znajdują się: maneż obracany końmi, który porusza stępy do tłuczenia gipsu (jestto pomysł właściciela), młynek do mielenia ziemniaków, walce do gniecenia słodu zielonego, przytém jest pompa sprowadzająca wodę rurami o wiorstę na drugie piętro budynku; znajduje się tam również kiszka 40 łokci dłu-

ga, która w czasie pożaru łatwo może być zastosowana do sikawki.

Grunta są tu podzielone na urodzajne i na mniej żyzne. Na pierwszych zmianowanie jest 9polowe, a mianowicie: 1) ziemniaki na świeżym nawozie; 2) jęczmień z koniczyną; 3) i 4) koniczyna; 5) pszenica; 6) owies z koniczyną; 7) koniczyna; 8) pszenica; 9) owies. Na gruncie mniej żyznym, zaprowadzona jest kolej 4polowa, to jest: 1) żyto; 2) owies z koniczyną; 3) koniczyna; 4) ugor. Dawniej było tu dosyć, szczególnie na wzgórkach, tak zwanéj *bielicy*; jestto margiel gliniasty, na którym nie się rodzić nie chciało, i z téj przyczyny znaczna część gruntów spoczywała bez żadnego prawie użytku. P. Gołuchowski uważając, że *esparcetta* (*Hedysarum onobrychis* v. *Onobrychis sativa*) wszędzie sama wyrasta obficie, sprowadził nasienie takowéj z Wiednia, i zaraz obsiał część pomienionych nieużytków. W pierwszym roku *esparcetty* prawie nie było znać, w drugim bardziej się już zazieleniła, w 3cim znacznie się podniosła i była koszoną, a w 4tym, 5tym, 6tym i 7mym była ogromna, ciemno-zielona i dwa razy do roku się kosiła. Po upływie tego czasu pole to zostało zaorane, a *esparcetta* tak poprawiła ziemię swemi korzeniami, które w niej pozostały, że cała kolej płodozmianu bez nawozu doskonale się udała; poczem znowu uprawia się *esparcettę*. W téj kolei dwa razy zasiewa się z wielkim pożytkiem pszenica na tak użyzniejszej ziemi, na której dawniej, to jest przed uprawą *esparcetty*, nawet owies nie udawał się. Wielka szkoda, że wspomniona pastewna roślina jest jeszcze tak mało rozpowszechniona w naszym kraju; tém bardziej, że się krzewi bujno na najgorszym nawet gruncie, na suchym, na płytkim, wszędzie,

byleby warstwa dolna była wapienną: a jednak rolą na której rosła użyznia, daje siano najlepsze ze wszystkich roślin pastewnych, schnie bardzo prędko, w stanie zielonym spożyta nie odyma bydła, trwa na jednem miejscu bardzo długo, i nakoniec daje kilkakrotny obfity pokos do roku. Oprócz tak korzystnej uprawy esparcetty w dobrach garbackich, zasługuje tu jeszcze na wzmiankę ta okoliczność, że na jednym pognoju sadzą tu często dwa razy i to tuż po sobie ziemniaki; drugi plon jest wprawdzie mniejszy od pierwszego, ale zawsze tak znaczny, że się uprawa należyście opłaca. Koniczynę gipsują tu z wielkim skutkiem; pokazano nam kilka zagonów, umyślnie niegipsowanych, które się bardzo nędznie wydawały, ohok ogromnej ciemno-zielonej gęstej koniczyny posypanej gipsem.

Widzieliśmy w dobrach tych ogromne łomy piaskowca czerwonego, używającego się do budowy i na kamienie młyńskie, a należącego do formacji piaskowca czerwonego, spoczywającego bezpośrednio na skałach przechodowych.

Ztąd odesłano nas do Nowej Słupi, miasteczka leżącego u podnóża góry Sto-Krzyżkiej, a mającego już znaczne wysokie położenie. Droga ćwierć milowa ztąd na wierzchołek dopiero co wspomnionej góry, była dla nas niezmiernie utrudzająca i przykra, ponieważ koń z bryczką, ciągnący nasze podróżne rzeczy za nami, ustał na samym wstępie, byliśmy przeto zmuszeni wciągać sami bryczkę po bezdrożach i urwiskach, bo prostej drogi niéma; jednak rozweselała i rozśmieszała nas myśl porównania naszego przypadku z przeprawą Annibala lub Napoleona przez Alpy. Po drodze widzieliśmy z kamienia niekształtnie wykutą klęczącą osobę znacznie już uszkodzoną, i kilka ka-

pliczek murowanych. Góra ta zowie się Sto-Krzyżką od małego kawałka drzewa z krzyża Chrystusa Pana, który śty Emeryk królewicz węgierski miał z natchnienia Boskiego darować kościołowi znajdującemu się już podówczas na wierzchu téj góry; dziś jest ona po większej części zarosła gęstym lasem, jednak znajdują się tu w kilku miejscach wielkie łomy skały krzemionkowej (kwarcowej), niezarosłe lasem, bo tam kamień leży na kamieniu. Takie miejsca zowią tu *łysicami*, a nawet całe pasmo gór dostało od nich nazwisko *Łysych*; na tychto łysicach, według ludowego uważania, mają czarownice swoje harce i tany na miotle odprawiać.

Góra Sto-Krzyżka wznosi się dziś na 1882 stóp nad poziom morza, lecz zdaje się, że musiała być wyższą kiedyś, czego domyślać się można z tego, że od dołu do góry ciągle się zwężając, kończy się nagle równiną dosyć wielką; przytém widzimy u wierzchu szczególnie rozburzone skały (zapewne skutkiem trzęsienia ziemi), które formują łysice, i które zasypawszy całą górę, zatrzymują się dopiero u jój podnóża. Na szczycie téj góry znajduje się starożytne opactwo Benedyktynów, założone w r. 1008 przez Bolesława Chrobrego; w roku 1447 i 1459 z przyczyny wielkiego pożaru, musiało być drugi raz odbudowane; nakoniec w r. 1777, okropny ogień jeszcze raz ogarnął te mury, które się od niego tak porysowały i popekały, że je musiano rozebrać i zupełnie nie wykończono tego opactwa aż w roku 1806. Kłasztór tutejszy jest już nieco opustoszały, a kościół chociażby równie potrzebował reperacyi, jest jednak jeszcze bardzo wspaniały. Wyłożony jest on kamieniem ciosowym z piaskowca kunowskiego, bo skała krzemionkowa z przyczyny niekształtności swych łomów i tru-

dnosci z jaką się obrabia, jest mało zdalna do budowy; wewnątrz zaś kościół ozdobiony jest 7 ołtarzami z taką liczbą obrazów, przez Smuglewicza po mistrzowsku wykonanemi. W wielkim ołtarzu zwraca uwagę śliczny obraz wystawiający Tróję Świętą, na ścianach zaś po 3 z każdej strony uderzają następujące obrazy: 1) śty Benedykt, zatrzymany pomimo swój woli późno w noc wraz z kilku zakonnikami w mieszkaniu swój siostry świętej Scholastyki przez ogromną burzę, sprowadzoną na modlitwę téjże świętej, która chciała się cieszyć dłużej rozmowami duchownemi swego brata (1); 2) Zwiastowanie N. P. Maryi; 3) ofiarowanie krzyża złotego z częstką drzewa z krzyża Jezusa, tutejszemu klasztorowi, przez śgo Emeryka syna Gejzy króla węgierskiego (któryto krzyż tu się znajduje); 4) śty Bonedykt umierający; 5) znalezienie krzyża Jezusa Chrystusa; 6) śmierć śgo Józefa (2). Przymiędzy zdobią jeszcze ten kościół piękne grobowce Oleśnickich, znajdujące się w ich kaplicy, i wieża bardzo wysoka, z której uroczy i zachwycający jest widok na kilkanaście mil w około; ogromne lasy rysują się tu jak klomby angielskiego ogrodu, wsi i domów dokładnie rozeznac nie można, a góry sąsiednie dosyć nawet wysokie, znacznie maleją.

Zszedłszy z téj góry drogą przykrą wśród łomów skały krzemionkowej, wstąpiliśmy do wsi Krajna dla obejrzenia znakomitej owczarni rządowej, mogącej się liczyć do najpiérwszój w naszym kraju, zkąd ruszyliśmy prosto

(1) Reguła tych zakonników nakazuje im noc koniecznie w klasztorze przepędzać.

(2) Dlatego wyliczyłem te obrazy szczegółowo, że należą słusznie do arcydzieł znakomitego naszego malarza F. Smuglewicza.

na szczyt góry Śtój Katarzyny, u podnóża której widzieliśmy pogorzeliśko kościoła z klasztorem PP. Bernardynek, założonego za panowania Kazimierza Jagiellończyka, który się spalił dopiero w roku 1847.

Wejście na górę Śtój Katarzyny od strony klasztoru jest równie dosyć utrudzające; jest ona, tak jak góra Śto-Krzyżka i wszystkie okoliczne gęstym lasem zarosła, w którym znajdują się głównie buki, jawory, świerki i jodły, a niedaleko wierzchołka natrafiliśmy na kilka obszernych łysic ze straszliwych łomów skały krzemionkowej, wśród których znajdują się drobne kryształy górne na niektórych łomach. Kryształ górny jestto krzemionka krystaliczna, mająca zazwyczaj postać graniastosłupa sześciobocznego, zakończonego piramidą także sześcioboczną. Wchodząc na tę górę, byliśmy okrażeni tak gęstą mgłą, że trudno było dostrzedz jakiegokolwiek przedmiotu, kilkanaście kroków odległego; lecz gdyśmy się już znaleźli na jej szczycie, wznoszącym się na 1962 stóp nad powierzchnią morza, znaleźliśmy się wśród najpiękniejszej pogody, a mgła, przez którą nie mogliśmy przedtém dobrze patrzeć, była to chmura, na którą teraz dumnie patrząc, widzieliśmy, jak pod naszymi nogami przechodziła. Ztądto spostrzegliśmy, że całe pasmo tych gór rozgałęzia się na dwa ramiona: jedno ciągnące się z zachodu na wschód od Miedzianej góry ku Opatowu, odznacza się głównie górą Śtój Katarzyny i Śgo Krzyża; drugie zaś ramie idzie w kierunku południowym od Śgo Krzyża, między miastami Łagowem i Kielcami.

Opuściwszy góry Łyse, udaliśmy się w Krakowskie ku Kielcom.

Sandomiérskie, a przynajmniej jego południowo-wschodnia część którą zwiedziliśmy, jest żyzną i bogatą krainą; ziemia sandomiérska słynie nawet za granicą za swój pszenicy, a bliskość Wisły sprzyja bardzo handlowi. Lasów, prócz w wyżej wymienionej ziemi, jest jeszcze dosyć, brak zaś lasu w tej okolicy ztąd pochodzi, że na tak dobrym gruncie zboże nierównie większy dochód przynosi niż drzewo. W powiecie opatowskim wyrabiają wielką ilość żelaza, góry Kunowskie zaopatrują znaczną część Polski swemi kamieniami budowlanemi i rzeźbiarskiemi, lud nakoniec jest wesoły, ochoczy, zdrow i silny.

Kielce jestto miasto starożytne, bo za panowania Kazimierza II Sprawiedliwego założono tu już kolegiatę. Należało ono do biskupów krakowskich, którzy tu lubili przebywać; jeden z nich wybudował na wzgórzu zamek, który połączył z kolegiatą. Starowski twierdzi, że w bliskości miały tu być kopalnie złota, srebra, miedzi i lazuru, z których biskup pod miastem, a król pod Chęcunami pobierali dochody. Dziś miasto to jest piękne, ma 360 domów po większej części murowanych i 4,400 mieszkańców chrześcian, a ozdobione jest wspinałą kolegiatą N. P. Maryi; znajduje się tu również szkoła wyższa realna, seminarium, obszerny szpital dla chorych, i piękny ogród spacerowy publiczny.

Najawszy sobie konie, ruszyliśmy ztąd przez Chęciny do Jędrzejowa. Ujechawszy ćwierć mili, byliśmy naprzeciwko dość wysokiej góry *Karczówki*, leżącej jednak w znacznej odległości w bok od głównego traktu; na tej górze wznosi się kościół z klasztorem OO. Bernardynów, wydający się uroczyście zdaleka. W połowie drogi między Kielcami a Chęcunami leży Białogon, sławny fabrykami swemi żelaznemi, w których wyrabiają wszel-

kie maszyny a szczególnie gospodarские, żelazne balkony i t. d.; lecz że tego dnia było święto, więc nie wstępowały tam, dopiero w Chęcinach zatrzymaliśmy się trochę, dla zwiędzenia zwalisk starożytnego zamku, będącego na wysokiej górze, u podnóża której osiadłe jest samo miasto. Dawniej było ono zamożnym, miało bowiem kopalnie srebra, lazuru, ołowiu i marmuru; dziś jednak miasteczko to bardzo podupadło, nie ma nic prócz dobrego marmuru, z którego miejscowi rzeźbiarze wielką część Polski swemi wyrobami zaopatrują, a zamieszkuje jest w większej części od 2,000 żydów, trudniących się troskliwie handlem.

Wejście na górę zamkową jest dosyć strone i utrudzające, ale widok jest zachwycający na kilka mil wokoło. Zczerniałe ostatnie szczątki tego starożytnego grodu, są jeszcze bardzo mocne, szerokie i wiele lat przetrwać mogą z pewnością. Zamek ten zbudowany jest na pokładach wapienia przechodowego (marmuru) siniego i paskowanego, wznoszących się prawie pionowo nad powierzchnią ziemską; przyczyna zaś tego pionowego kierunku pokładów, o których mowa, jest ta sama, jaką wymieniliśmy, mówiąc o górach Pieprzowych, znajdujących się pod Sandomierzem.

Jędrzejów jestto wesołe miasteczko, mające 1,500 mieszkańców samych chrześcian; jest ono ozdobione dawnym kościołem farnym, a teraz znacznie się podnosi przez dwa walne jarmarki na konie: jeden na Śty Jan, a drugi na Śty Michał, na które obywatele zjeżdżają się o kilkanaście mil nawet.

Ćwierć mili za miastem, rozpościera się starożytne opactwo Cystersów, otoczone szerokim murem, a zało-

żone w roku 1140; było ono dawniej bogato uposażone, do niego należało miasto Jędrzejów i wiele dóbr ziemskich, lecz teraz dochody jego są niezmiernie zmniejszone. Klasztor tutejszy jest nieco opustoszały i podupadły, również jak i kościół, który jednak pomimo tego jest jeszcze bardzo wspaniały; sławne są jego organy, które mają być największe w Polsce, lecz podczas ostatniego pożaru, część ich ogień zniszczył. W tym kościele leżą szacowne zwłoki wielkiego kronikarza naszego Wincentego Kadłubka, który będąc biskupem krakowskim, porzucił infułę, przenosząc ubogi habit Cystersów, nad bogactwa i honory swoje poprzednie; zasnął ten święty człowiek w Bogu roku 1223.

Na milę od tego miasteczka, rozkładają się wśród pięknych widoków w powabnym miejscu dobra Zagaj, własność p. Chwaliboga. Grunt tu jest dobry pszenny Iszój klasy, lecz trochę zaciężki i pracowity, bo do pługą mniej jak sześć wołów zaprządzić nie można, a obok tego grunt ten ma i tę niedogodność, że gdy tylko susza dłuższa nastanie, to zaraz ziemia bardzo stwardnieje, a nawet i popęka, i wtedy żadna już uprawa jej mechaniczna jest niepodobną. Urodzaje widzieliśmy tu piękne, szczególniejsz pszenica była śliczna. Ponieważ w dobrach tych brakuje łąk, więc sięją tu wiele roślin pastewnych, które sownie siano zastępują, czego najlepszym dowodem jest pięknie wyglądający tutejszy inwentarz.

Ztąd odwieziono nas do miasteczka Pinczowa, położonego w pięknej okolicy nad Nidą, a zamieszkałego po większej części przez żydów; posiada ono 620 domów i 4,100 mieszkańców, ma obszerny rynek, w środku którego była niegdyś fontanna. Znajduje się tu kilka kościołów, z których najznacniejszy jest klasztor OO. Refor-

matów, a całe miasteczko było dawniej mocnym murem opasane. Od północnej strony miasto osłonięte jest górami dość wyniosłemi, w których są łomy kamienia wapiennego grubo-ziarnistego, należącego do tak zwanój formacji Ścio-rzędnej, doskonałego do budowli i na rzeźby, bo wyjęty z łona góry, jest dość miękki, później zaś twardnieje i jest bardzo wytrzymały na wpływy powietrza. Na jednej z tych gór stał wielki obronny zamek, zamieszkały najprzód przez Oleśnickich, następnie przez margrabiów na Mirowie z Gonzagów Myszkowskich, którzy tu ordynacyą założyli, a nakoniec po wygaśnięciu tój familii, przeszła ordynacya w ręce hr. Wielopolskich, którzy się tytułują margrabiowie z Wielopolskich Gonzagi Myszkowscy.

W okolicy tego miasta widzieliśmy mangan w stanie ziemistym.

Dążąc ztąd do Buska, natrafiliśmy na kilka skał gipsu blaszkowatego, który się tu w obfitości znajduje, a w wielu miejscach stanowi wraz z gipsem zbitym, łupkowatym, podstawę gruntów ornych, często tak płytko pod powierzchnią ziemi znajdującą się, że ją lemieszem dosięgają. Grunt wszędzie jest bardzo tłusty, ciemno-żółty, a miejscami zupełnie czarny, pszenica téż w tych stronach doskonale się udaje; lecz mieszkańcy muszą używać do orania najmniej 6 wołów, a nawet często zmuszeni są 8 zakładać. Tu widzieliśmy także dość często anyż i koper włoski na polach uprawiane. Góry tutejsze obfitują w kamień wapienny doskonały do murowania, bo jest twardy, a łupie się w cienkie tafle.

Busko jest niewielkie, lecz porządne, czyste, a w lecie wesołe miasteczko; dawniej było całkiem drewniane, lecz teraz ciągle się wznosi i corocznie prawie powię-

ksza się nowemi budynkami murowanemi. Gustowny piękny kościół i ogród spacerowy będący w środku miasta, jako téż inny spacerowy z owocowym połączony, znajdujący się zaraz przy mieście, są głównemi jego ozdobami.

Ćwierć-milowa ulica, piękna i szeroka, czterema rzędami drzewek wysadzona i drobnym żwirem wysypana, prowadzi stąd do źródła i łaźienek. W drugiej połowie przeszłego stulecia, była w tém miejscu znaczna warzelnia soli, lecz że ta fabrykacya nie przynosiła należytego zysku, więc ją zaniechano, a natomiast wymurowano okazałe łaźienki, takie, jakie dziś widać. Dobra, hu-czna muzyka rozweselała przez cały poranek licznie zebranych gości ze wszystkich części Polski, którzy tu bawiąc się zdrowie odzyskują.

Przechodząc przez wieś Skorocice, zostaliśmy zdziwieni ogromnemi skałami gipsu blaszkowatego; tworzą one tu piękne grotty, lochy podziemne i pieczary, szkoda tylko, że głębiej nieco są wodą zalane.

W dobrach Zagość, warstwa rodzajna ziemi jest bardzo płytka, bo opoka wapienno-gipsowa znajduje się zaraz od kilku, do kilkunastu cali pod wierzchem; z téj téż przyczyny drzewa tu rosnać nie mogą, nawet rośliny okopowe, jak ziemniaki, buraki i t. p., niebardzo dobrze się udają. Niedaleko wsi płynie rzeka Nidu, która chociaż dosyć szeroka, jest jednak w tém miejscu bardzo płytka.

Dobra Złota, położone w powiecie miechowskim, należące do hr. Wodzickiego, noszą słusznie to nazwisko od doskonałej, że tak powiem złotodajnej ziemi. Kminek czyli karolek (*Carum carvi*) rośnie tu dziko w wielkiej obfitości. Zboża wszystkie, a szczególniejsz pszenica,

udoją się bardzo dobrze, a przytém grunt tu jest znacznie lepszy i pod uprawę mechaniczną zdatniejszy, niż około Buska. Zabudowaniu gospodarskie są bardzo porządne, gospodarstwo płodozmienne jest oddawna zaprowadzone, jeszcze przez ś. p. wojewodę Stanisława Wodzickiego uczonego botanika. Szczególniej spodobał nam się tu żywy płot z głogu, zasadzony z dwóch stron drogi, blisko rowu, który tak się rozkrzewił gęsto i szeroko, że żadne zwierzę domowe przez niego przedrzećby się nie mogło.

Przechodząc przez Pełczyska, weszliśmy na górę zwaną Olbrecht, na której dawniej stał zamek obronny; lecz już z niego nawet szczątków trudno dopatrzeć. Przed kilku laty wykopano na téj górze tak wiele brakteatów cienkich, że ich było pełna taca z górą; opisem ich miał się zająć uczony Strzelecki. Dobra te porządne mają zabudowania gospodarskie, a z fabryk zasługuje na wspomnienie cukrownia. Ziemia tu jest doskonała, i ma w sobie znaczny stosunek marglu.

W Wielkiej Kaźmierzy, dobrach hr. Łubińskiego, oblanych rzeką Nidzicą, zatrzymaliśmy się dla obejrzenia cukrowni i całego gospodarstwa, które ma być wzorowe; lecz że nie zastaliśmy właściciela, musieliśmy poprzestać na samém obejrzeniu budynków, które są w pięknym stanie.

Przebiegłszy wsie Radziemice, Łętkowice, miasteczko Słomniki, Iwanowice, Rzeplin, Smardzewice, i Cianowice, zatrzymaliśmy się w uroczym, zachwycającym Prądniku Czajowskim.

Wszystkie dopiero co wspomniane wsie, leżą w rozkoszném położeniu; wyniosłe wzgórza mijają się naprzemian z zielonemi dolinami, a rzék i szumiących

strumyków, nigdzie nie brak. Grunt, szczególnie między Szkalbmierzem a Słomnikami jest bardzo żyzny, bo obok pewnego stosunku gliny z piaskiem, zawiera jeszcze w składzie swoim znaczną ilość wapna i czarnoziem, i onto stanowi owę sławną proszowską ziemię. Niedaleko wsi Iwanowic, zaczyna się formacja krédowa, łącząca się z formacją wapienia Jurajskiego, składającego wszystkie skały w Ojcowie, około Krakowa i przedłużającego się przez Pilicę, Częstochowę i Wieluń aż ku Sieradzowi.

Minąwszy wieś Cianowice, zesłiśmy niespodzianie z obszernej równiny, między coraz głębszemi wąwozami i parowami w głęboką, długą, lecz wązką dolinę, umajoną kwiecistą murawą, a otoczoną sinemi skałami, piętrzącemi się groźnie w różnych kształtach: raz okropnych, przerażających, to znowu powabnych, zachwycających. Tu zdaje się, jakoby blade i nagie skielety olbrzymów natrzęsały się szyderezo i chciały nas zasypać swemi gruzami, wiszącemi pochyło nad naszą głową; tam znów cudownie ubarwiona nieznaczna pochyłość, okolona jakby chórem aniołków, wyciągających ręce i uśmiechających się ku sobie, wydaje się przełękłemu wzrokowi cudowną, jak wstępem do raj, i wprawia w obłęd zachwycenia...

U podnóża wyniosłej góry, na przykrój dosyć spadzi stości, stoi skromny lecz gościnny domek Indykówiej. ośmdziesięciokilkoletniej staruszki, która jednak mimo podeszłego swego wieku, jest zupełnie zdrowa, silna, chodzi z wielką łatwością po przykrych górach, wszystkie zmysły ma jeszcze żywe, i jest lekarką całej okolicy. Pod jéjto miłą strzechę i myśmy przysli odpocząć po tylu różnorodnych wrażeniach, a przez cały trzech-

dniowy u niój pobyt, przekonała nas ta młoda, że tak powiem staruszka, o swój uprzejmości, gościnnosci i bezinteresownosci.

Niedaleko téj chatki, sterczy wysoko szeroka, sniada skała, zupełnie prostopadła i na pierwszy rzut oka nieprzystępna; z drugiejj jednak strony, można choć z wielką trudnością wejść na jój wierzchołek. Z niego widok, szczególniejj podczas wschodu i zachodu słońca jest uroczy, porywający myśl, czucie, duszę ku Stwórcy naszemu, który tak cudowne rzeczy jedném słowem wyprowadził z niczego. Wykuwszy w tém miejscu otwór w twardym głazie, osadziliśmy dość duży krzyż dębowy, przepasany cierniową koroną, któregośmy sami zrobili i tam wciągnęli, na miejsce dawniejj tu istniejącego.

Najwyższym szczytem z całego pasma jest góra Chełm, cała zarosła lasem. Jużeśmy byli na jój szczycie, gdy słońce ubarwiło dopiero niebo czerwoną zorzą, która zaczęła się nieznacznie złocić, aż nareszcie cała ognista kula wybiegła, i obląła lśniącemi promieniami całą przyrodę, budzącą się dopiero z uspienia. Rzuciwszy dalej wzrokiem, ujrzeliśmy świetne buszty i wieżyce starożytnego Krakowa, za którym bielilo się jakby chmurki i obłoczki całe pasmo Karpat. Zmroczeni tak wzniosłym widokiem, spuściwszy oczy, spostrzegliśmy, iż stojemy na urwisku zawieszoném nad bezdenną przepaścią, którą słońce dopiero co rozjaśniło; cofnąwszy się prędko z miejsca tak niebezpiecznego, poszliśmy obejrzeć grote tak zwaną *Królewską*.

Bez przewodników zaopatrzonych w łuczywo i kagance, niepodobna jój zwiędzić, a nawet trudnoby ją znaleźć: bo się ukrywa wśród lasu, a otwór jest zasłonięty chrustem i kilkoma wyniosłemi głazami, które podobnie

jak Cerber pilnują wejścia do téj czarnej otchłani. Zauściwszy się w jéj wnętrze, zostaliśmy zdziwieni jéj obszernością; ma bowiem 140 łokci długości, 35 szerokości, i 10 łokci a miejscami i więcej wysokości; z téj sali zeszlśmy po drabinie do drugiej, odznaczając się nie tak długością, jak raczej głębokością i szerokością, wyrównywającą długości. Z tych dwóch pieczar przechodzi się do innych, lecz już mniejszych, które giną gdzieś w ciemności. Okropne, lecz zarazem zdumiewające wrażenie sprawiają te grotty; są one chłodne wilgotne i tak okopcone od kagańców, że się całkiem w czarną szatę przybrały, a przytém są nasrożone mnóstwem sopli czyli nacieków (stalaktytów), od kilku do kilkunastu cali długich.

Druga pieczara godna widzenia zwana *Jaskinią ciemną*, jest z wielu względów podobna do poprzedzającej, lecz jest okrągła, ma 40 łokci długości i szerokości, i będąc krótszą od piérwszój, jest od niéj dużo wyższą. Oprócz tych dwóch grot, znajduje się tu jeszcze wiele innych, lecz dużo mniejszych. W tychto naturalnych podziemnych sklepieniach, ukrywał się Władysław Łokietek, będąc poszukiwany i śledzony od wojsk króla Wacława; a że nieszczęśliwy król tułacz najwięcej przebywał w grocie najpiérwój opisanéj, jako w najobszerniejszój, więc od tego wypadku przezwano ją *Królewską*.

W krwawych walkach Łokietek o prawa korony,

Tu się krył, z tronu Piastów po trzykroć strącony;

Ztąd po trzykroć niezgięty najtwardszemi kłeski,

Oreż w murach Krakowa zatykał zwycięzki.

Przemogła los stateczność, i słuszności sprawa,

Odzyskał król z naddziadów spływające prawa.

A gdy go przeznaczenia niepozbędne siły,

Z tronu do grobu ojców przeniesić się zagnali;

Syn pomny doli jego i losów przemiany,
Ku czci ojca drogiego wzniosł Ojcowskie ściany (1).

O pół mili dalej, w najpowabniejszym położeniu, na wysokości prawie niedostępnej górze, spoglądał warowny zamek Ojcowski na otaczające go olbrzymie skały, w najdziwniejszych i najróżnorodniejszych kształtach. Wystawił go Kazimierz Wielki, i na pamiątkę tułactwa swego ojca w tych stronach, nazwał zamek Ojcowem. Mikołaj Koryciński kasztelan sądecki i starosta tutejszy, poniósł znaczne koszta na jego odnowienie; przed niedawnymi dopiero czasy, rozburzono jego groźne mury, będące świadkami tylu wypadków, a zostawiono tylko wysoką ośmio-boczną basztę z ciosowego kamienia, zbudowaną jeszcze przez Kazimierza Wielkiego, która, chociaż już pięć wieków przetrwała, będzie jeszcze przez wiele lat swym wierzchołkiem chmury roztrącać, urągać się wściekłościom burz i nawałnic, wyciom wichrów, hukom grzmotów i piorunów.

Zniknąłeś pyszny zamku!... smutne twe zwaliska,
Zalegają minionej świetności siedliska;
Wzniosłe wieże, co niegdyś roztrącały chmury,
Szczętami zasypały wierzch skalistej góry.

Żaloba i smutek blady,
Siadły na miejscu gmachu ostatniego Piasta;
Już wszystkie jego zatarły się ślady,
I wszystko chwastem zarasta! (2).

Franciszek Wężyk zostawił nam piękny wiersz na ścianie wieży Ojcowskiego zamku, napisany do Kazimierza Wielkiego założyciela tych murów:

O największy z monarchów! ty, którego zwłoki,
Zbyt rychło duch opuścił, pojmany w obłoki,
Twa dłoń straszna dla zbrodni, dla cnoty łaskawa,
Dała nam: przemysł, miasta, rękodzielnie, prawa;

(1) Fr. Wężyk, Okolice Krakowa, str. 39.

(2) Przez Julią Grabowską.

Pokój wam i cześć wieczna, drogie dla nas kości!
 Możnaż winić twą czułość, dziwiąc się wielkości?...
 A łzy, które po tobie lud wylewał cały,
 Są najpiękniejszą częścią nieśmiertelną chwały!

Idąc z Ojcowa do Pieskowej Skaly, przechodzi się na wpół drogi około Grodziska czyli Pustyni świętej Salomei. Jest tu kościółek wystawiony na wysokości spadzistej górze i domek, w którym ta święta mieszkała. Do dzisiaj pokazują tu ołtarzyk, przy którym święta Salomea się modliła, łóżko kamienne na którym bez pościeli sypiać miała, i wiele innych tym podobnych ciekawości. Koło ołtarza wyryte są na kamieniu następujące słowa: „Salomea, córka Leszka Vgo, urodzona w r. 1202 dnia 6 maja, zmarła roku 1268 dnia 17 listopada, żona Kolomana halickiego, pochowana u OO. Franciszkanów (w Krakowie), uświęcona roku 1662”.

Pierwotnie był tu obronny gród czyli zamek, i do dzisiaj są wydatne ślady dawnych okopów; dopiero później Bolesław Vty Wstydlivy przerobił go na klasztor, obsadził Franciszkanami, sprowadzonymi z Zawichostu, które bogato uposażył; lecz gruzy tego klasztoru już dawno się zatarły, a na ich miejscu stoi dzisiaj skromny kościółek z wieżyczką. Obok niego mieszkał ś. p. pustelnik Sobionowski, który był pierwój żołnierzem, poetą i urzędnikiem; o nimto napisał ktoś na murze w Grodzisku następujące wiersze (1):

Patrz na ten domek skromny, tam mieszkał mąż święty.
 Którym posługami w ojczyźnie zajęty,
 Zanosił przed tron Boga swój trzodki ofiary,
 Ściągał na okolice wszelkie niebios dary;
 Wspierał nieszczęście, ślubne poświęcał ogniwa,
 Owoce roczne, polne błogosławił żniwa.
 Uczył cnoty, hodował w ubóstwie człowieka,
 Przewodniczył wszem życiu, chwala go więc czeka!

(1) Delila, Ziemiaństwo.

Mężny w boju, a na pustyni sługa czysty,
 Prawdziwy byłto ojciec; jak wiąz rozłożysty
 Sto lat przeżył, gdy pod nim lud się rozweselał
 I sto lat mu swych cieni, pomyślnych udzielał.
 Któżż nieszcześnie uszło jego rąk cnotliwych?...
 Bóg tylko wie, ilu uczynił szczęśliwych!....

Przez całą dwumilową dolinę Ojcowską, która się wije kręto między dwoma blademi ścianami skał, wznoszących się w wysokie piętra, a nasrożonych tysiącem fantastycznych postaci, pędzi rozhukana rzeka Prądnik; raz roztrąca ona z łoskotem swe kryształowe wody o sterczące skały, raz się zakręca, lecz zaraz rozwija, to znów huczy, wre, pieni się, kipi i pryska, póki dalej nieco nie uspokoi się. A patrząc wtedy na ten płytki potok przezroczysty, zawracający się w mały wir, trudno by uwierzyć, że o paręset kroków, rozpocznie on znowu swoje szalone skoki i płąsy. Prądnik, chociaż jest małą rzeczką, jednak w swym gwałtownym pędzie porusza koła wielu młynów, tartaków, papierni, a przytém żywi w sobie mnóstwo żarłocznych pstrągów (*Salmo fario*) i małych brzydkich rybek o dużych głowach, zwanych przeto głowaczami albo pałozami (*Cottus Gobio*).

Dolina Ojcowa jest bez wątpienia najpiękniejszém ustroniem w Polsce, w którém przyroda hojnie rozacza swe wdzięki bez żadnej pomocy człowieka, upajając go tylko swemi rozkoszami, zadziwiając wielkością dzieła i śmiałością wykonania.

Co duszę zachwyci i co oko pieści,
 W dolinach Ojcowa, wszystko się to mieści.

Wstydem byłoby, gdyby kto chciał szukać za granicą pięknych widoków, nie poznawszy wprzód tej lubej krainy!

Niech dziwi Szwajcaryja Alpami swojemi,
 Mnie miłszy Ojców, bo na mojej ziemi.

Roślinność jest bardzo urozmaicona w tój stronie, i znaleźliśmy tu wiele rzadkich roślin, na które drugi raz natrafić już nie mogliśmy; lecz tutaj spostrzegliśmy piérwszy raz, że na małych spadzistych poletkach, zdobytych przez człowieka u stóp wysokich gór, nać ziemniaczana w części, lub zupełnie poschła, i odtąd ten smutny widok ciągle nam towarzyszył we wszystkich wsiach i dobrach. W skałach zaś tutejszych, składających się z wapienia Jurajskiego, widzieliśmy kilka krzemieni wydających się jakby wrosłe.

Droga z Grodziska do Pieskowej Skały byłaby bardzo zajmującą, bardzo piękną, gdyby nasz wzrok nie był świeżo zepsuty cudownemi obrazami; bo i tu piętrzą się skały w kapryśnych kształtach, lecz już nie tak śmiało, nie tak hardo, nie tak groźno!...

Zbliżywszy się do Pieskowej Skały, spostrzegliśmy najprzód ogromną nagą skałę, pionowo stojącą i poszczerbioną; ma ona u dołu około 18 sążni, a u góry do 30 sążni obwodu. Jestto tak nazwana maczuga Krakusa, albo skała Sokoła, lub nareszcie pałka Herkulesa, strzegąca niejako wstępu do ogromnego zamku Pieskowej Skały, który stoi na wysokości górze, tak, że gdy się spojrzy z jego okien w głęboką równinę, przerziętą Prądnikiem, rzeka ta wydaje się tylko jakby sina wstęga. Zamek był dawniej bardzo warowny; w chwili gdyśmy go oglądali, był na nowo odnawiany i będzie mógł jeszcze bardzo długo przetrwać. Posiada on przeszło 100 pokoi, przytém godną zwiedzenia jest kapliczka bardzo piękna, studnia w skale wykuta nadzwyczajnej głębokości, i loch ciemny zwany Dorotką, do którego miano wtrącać dawniej przestępców, skazanych na umorzenie głodem; lecz loch ten musiał być

później zasypany, bo jest teraz bardzo płytki, o czém przekonaliliśmy się naocznie.

Niedaleko za zamkiem, rozpoczyna się ogromna wieś Sułoszowa, jedna z największych w całym królestwie, bo składająca się z 386 domów i ciągnąca się blisko na milę wzdłuż; lecz jakże to przykro było naszemu wzrokowi, przywykłemu do powabnych i wesółych obrazów, patrzeć na tyle zebranych razem chat dymnych, z małemi zakopconemi okienkami! Z końcem téj wsi, zaczynają się ogromne zsepły piasków, wśród których brnęliśmy przez wsie Kosmołów i Olelin do Olkusza. Miasto to należało dawniej do bogatszych, bo jego kopalnie, rozciągające się na milę pod ziemią, dostarczały corocznie 600 grzywien srebra i 50,000 centnarów ołowiu. Za panowania Jana Kazimiérza ucierpiało ono wiele od Szwedów, którzy roznosząc śmierć i pożogi po całym kraju, i to miasto znacznie zniszczyli; zabrali wszystko srebro które znaleźli, ołów, gleitę, wszelkie narzędzia górnicze, jako téż i samych górników, również jak i ich konie, za pomocą których wyciągano z podziemnych kopalni wodę, która się tam ciągle sączyła. Lecz mylnie utrzymują niektórzy, co podają, że kopalnie olkuskie ustały od wojny szwedzkiej z Karolem Gustawem, będąc wtedy zatopione; gdyż w roku 1659 wydobyto tu srebra i ołowiu wartości 489,284 zł. starych, czyli terażniejszych złp. 1,956,136 (1). Lecz później kopalnie te ciągle upadały, a woda coraz więcej szkód robiła; w r. 1673 wyciągnięto z kopalni tych srebra i ołowiu za 1,356,685 złp. terażniejszych. W roku 1702 Karol XII król szwedzki zniszczywszy całą okoli-

(1) Górnictwo w Polsce przez H. Łabęckiego, str 251.

cę i z Olkusza wszystko co mógł zabrał, a resztę zrujnował, i z téj przyczyny nie robiono nic w kopalniach przez trzy miesiące, gdy tymczasem woda coraz bardziej je zalewała i piaskiem zasypywała: i to było może główną przyczyną, że w r. 1712 główne sztolnie się zapadły, i już więcej nie można było wydobywać rud kruszcowych.

Z upadkiem źródła bogactw, upadło téż i miasto Olkusz; teraz pozostało tu tylko pełno zwalisk z ogromnych dawnych budynków, przekonywających jeszcze o dawnym zamożnym stanie tego miasta. Obecnie trudnią się mieszkańcy tutejsi najwięcej kopaniem galmanu czyli rudy cynkowej.

Niedaleko od Olkusza, stoją na wysokiej górze w części zarosłej drzewami, gruzy zamożnego niegdyś zamku Rabsztyńskiego, okolonego obszernymi równinami piaszczystymi.

Minąwszy Bydlin i Złożeniec, zaczęliśmy znowu napotykać urocze widoki; najprzód wzgórze zaczęły się mijać z dolinami, aż póki tych nie zastąpiły wyniosłe sine skały, nasróżone kilkopiętrowymi szczytami, przerażające urwiska i przepaści, lub rozkoszne pochyłości; wśród takich obrazów doszliśmy do Smolenia, wioski leżącej na pięknej, wysoko położonej równinie. Obok ogrodu, zaraz za dworem, piętrzył się na prawie niedostępnej, wysokiej górze skalistej obronny zamek; dziś wyszczerbione jego gruzy, posiwiałe i mchem porośłe, wprowadzają jeszcze w zadziwienie, jak człowiek mógł wystawić w tém miejscu tak ogromne mury, które jeszcze niejedno pokolenie przetrwają. Wstęp na tę górę jest niezmiernie przykry, a do zamku niepodobna się dostać, jak za pomocą dłuższej drabiny, którą tu w tym

celu postawiono; lecz kto pokonawszy wszystkie trudności, dostanie się na sam wierzch, ten będzie hojnie wynagrodzony wzniosłym i uroczym ztamtąd widokiem, rozciągającym się na blisko 10 mil wokoło. Godną zwiedzienia jest wykuta studnia niezmiernie głęboka, której używają teraz do robienia szrótu.

Droga ćwiercio-milowa ze Smolenia do Pilicy jest bardzo pośpieszna, bo ciągle prawie idzie się z góry; lecz zaraz po deszczu jestto przykry zjazd, bo grunt będąc glinkowaty, jest dosyć śliski.

Pilica jest niewielkiem, trochę nieporządnem miasteczkiem, mającém 1000 mieszkańców. Tutaj stał niegdysь okazały zamek, należący do rodziny Pileckich, z której Elżbieta, wdowa po Granowskim kasztelanie nakielskim, poszła za Władysława Jagiełłę króla polskiego. Na miejscu zamku, powstała z jego gruzów duża budowla zwyczajnego kształtu; poniżej téj budowli, wypływa z góry obfite źródło, uważane za początek rzeki Pilicy.

Ztąd ruszyliśmy do miasteczka Koniecpola, leżącego na granicy Krakowskiego i Kaliskiego, przeszedłszy przez wsie Pradła, miasteczko Lelów i Drochlin. Grunt wszędzie tu jest lekki piskowaty.

W Pradłach są znaczne zakłady górnicze żelazne, lecz je nie oglądaliśmy, bo były w spoczynku.

Lelów jestto upadające miasteczko, mające 800 mieszkańców; dwa kościoły stojące przy sobie, w oplakany są stanie. Dawniej jednak kwitnęło ono handlem i przemysłem, było możne, bogate i obronne; gruby mur wystawiony przez Kazimierza Wielkiego opasywał to miasto naokoło, a nad wszystkimi budynkami wznosił się warowny zamek.

Krakowskie jest w ogóle bogatą i żyzną krainą. Grunt jest po większej części doskonały, gliniasty, pszenny, czyli jak go tu nazywają rędzinny. Proszowska ziemia słynie ze swęj urodzajności; część tylko południowo-zachodnia, to jest Olkuskie, ma pola w ogóle piaszczyste i wiele skał. Brak lasów w wielu miejscach daje się czuć dotkliwie, co ztąd pochodzi, że dobry grunt na polu użyty przynosi większy zysk niż las. W górach tutejszych znajduje się różnego rodzaju kruszec, i tak: w Miedzianęj górze niedaleko Kielc, wydobywano niedawno miedź i mangan; koło Kielc jest ołów; w Olkuszku kopią rudę ołowianą; pomiędzy Olkuszem i granicą szlązką wydobywają obficie galman czyli rudę cynkową, ruda zaś żelazna znajduje się w wielu miejscach w wielkich pokładach; w Chęcinach i we wsi Słopiec w powiecie kieleckim, są łomy marmuru siniego i różnokolorowego; we wsi Szklarach w powiecie olkuskim, marmur jest czarny; w Dąbrowie spoczywają obfite pokłady węgla kamiennego, a we wsi Mierzęcicach, blisko Siewierza, kopią glinę ogniotrwałą, używaną głównie na musle czyli piecyki do wytapiania galmanu czyli cynku i t. d.

Krakowskie z przyczyny swego wzgórzystego położenia, napełnione jest mnóstwem zachwycających widoków, z pomiędzy których okolice Ojcowa można słusznie nazwać Szwajcaryą polską. Rzeki Wisła, Nida i Pilica, ułatwiają przemysł i handel, który jednak z drugiej strony jest ścięsniony przez złe drogi. Co się tyczy ludu, ten jest wesoły, niski, krępy, lecz dorodny i żywy, a przytęm ubiera się gustownie, szczególnięj w święta.

W Koniecpolu, gniaździe sławnęj rodziny Koniecpolskich, godny zwiedzienia jest kościół, wystawiony z kamienia ciosowego w kształcie krzyża, przez wiekopomnęj

pamięci Stanisława Koniecpolskiego kasztelana krakowskiego, wielkiego hetmana koronnego, zmarłego w Brodach, dnia 26 marca 1646 roku. Miasteczko to, należące teraz do hr. Potockiego, ma 1500 mieszkańców, jest dosyć porządne i wesołe, i ma wiele fabryk, z których znaczniejsze są: fryszerka i pudlingarnia żelaza, równie jak i fabryka i walcownia żelaza i miedzi. O małe ćwierć mili stąd leży wieś Chrzastów, stanowiąca jedną całość z Koniecpolem; jest ona ozdobiona okazałym pałacem, przerobionym z obronnego dawniej zamku, jako też dużym i gustownym ogrodem. Inwentarze są liczne, dobrej rasy i pięknie wyglądające; budynki gospodarskie utrzymują się w doskonałym stanie, a sama wieś jest bardzo dobrze i porządnie zabudowana.

W dobrach tych zręcznie jest urządzona pralnia dla owiec poniżej młyna; woda ze stawu przypływa do rynny umieszczonej nad pralnią, rynna zaś ta ma umyślnie porobione w sobie otwory, i przez nie wylewa się do pralni strumieniami, pod które podstawiają się owce; brudna zaś woda ma wolny odpływ na łąkę.

Przed kilku laty p. Potocki sprowadził irrygatora z Hanoweru, który mu przez parę lat urządził nawodnienie łąk; część ich nawodniona jest sztucznie czyli w zagony, a część dziko. Wprawdzie nawodnianie jest rzeczą bardzo kosztowną, szczególnież sztuczne, bo wydatki jednego morga mogą wynieść do 600 złp., dzieki zaś od 100 do 200 i więcej złp. w miarę mniej lub więcej sprzyjających okoliczności; ale jakże sowicie wróca się gospodarzowi te nakłady! bo łąki, które się raz tylko kosiły, mogą się kosić trzy razy; mchy, skrzypy, sitowie, wełnianki, tużyce i t. p. mniej użyteczne rośliny wyginą, a natomiast puści się delikatna, jedwabista tra-

wka z koniczyną i innymi doskonałemi pastewnymi roślinami, które niesłychanie podwyższą wartość siana. Łąki nawet torfowe i błotne, gdzie trudno było przystąpić, przemieniają się w doskonałe. Lecz ponieważ przez nawodnienie wszystkie rowy trochę się zamulają, a szczególnie rowki skrapiające czyli rozlewające, przeto osobny człowiek jest przeznaczony do tych łąk, który je pilnuje od szkód i rowy czyści.

Grunta orne podzielone są na żyzniejsze i chudsze, i w miarę ich dobroci i siły, zaprowadzone już są od dawna stosowne koleje płodozmianu. Uprawiają tu z wielkim pożytkiem żyto egipskie, wyrastające wysoko, krzewiące się kępiasto i mające duże kłosa; jedno ziarno tego żyta wydaje zwykle do 30 słom, i z tej przyczyny sieje się zazwyczaj niezmiernie rzadko.

W cukrowni tutejszej wyrabiają cukier za pomocą maceracyi czyli wymoczenia. (Opis tej cukrowni jest w Rocznikach Gospodarstwa Krajowego tom IV, hr. 1 z roku 1844, przez T. P.). W roku 1844 cukrownia ta wyrabiała 39,000 funtów cukru; wartość jego wynosiła przeszło 40,000 złp., a przy fabryce było 23 ludzi zatrudnionych (1).

Okazawszy nam swoje wzorowe gospodarstwo, odwiedził nas p. Potocki do Maluszyna, dóbr hr. Ostrowskiego, lecz przejeżdżając koło łąk do tychże dóbr należących, a które niwellowano i w których rowy kopano, ażeby mogły być nawodniane, zatrzymaliśmy się, aby je lepiej obejrzyć. Mnóstwo ludzi pracowało tu nad zdzieraniem darni, którą przewracano korzeniami do góry,

(1) Patrz w Kalendarzu Powszechnym na rok 1846: „Wykaz cukrowni w królestwie Polskiem, na zasadzie statystycznych wiadomości z roku 1844.”

jako też nad zniżaniem wzgórków, a zasypywaniem dolin, którą czynnością kierował irygator, według planu swego niwellacyjnego; dalej nieco, kopano według poprzedniego zaznaczenia rowy i t. d. Bez wątpienia, jestto praca bardzo mozolna, i pewnie każdy zniechęciłby się nią, ktoby był tylko przy robieniu nawodnień; lecz przebieżmy kilka staj dalej w to miejsce, gdzie łąki od kilku lat już nawodniane, schodzą się z łąkami nienawodnianymi, cóżto za różnica niezmierna! Na jednakowym gruncie, o kilka łokci odległe od siebie łąki, a jedna jest mchem zarosła i małą pozólkłą trawą, druga zaś ciemnozielonój barwy, okryła się ogromną, chociaż delikatną trawą, między którą wzrastają najlepsze pastewne rośliny.

Inwentarz cały jest bardzo piękny i troskliwie pielęgnowany; owce szczególnie są bardzo wysoko poprawne, a nawet znaczna ich ilość jest zupełnie czystej krwi.

Z fabryk gospodarskich zwiedziliśmy cukrownię; jestto porządny budynek, w którym wyrabiają z wielką korzyścią cukier przez wyciskanie soku, czyli przez wytłaczanie.

O trzy mile stąd jest folwark zwany Bąkowa-góra, należący jeszcze do Maluszyna; porządne zabudowania folwarczne rozpościerają się tu na znacznej już wyniosłości, na szczycie zaś góry, gęstym lasem zarosłej, sterczą czerniałe zwaliska obronnego, jak się zdaje, choć niewielkiego zamku, w którym mieszkała rodzina Bąków.

Z Maluszyna odesłano nas do Chelмна, dóbr p. Skórzowskiej, których zarządem trudni się p. Borkowski b. u. I. G. W. i L. w M.

Gustowny pałac okazałe wewnątrz przybrany, stoi tu wśród ładnego w dawnym guście pozostawionego ogrodu, pełnego pięknych drzew i kwiatów, między którymi jest nawet wiele rzadkich.

Chociaż cały inwentarz jest bardzo ładny i wzorowo utrzymany, jednak owce grają tu główną rolę; są one po większej części zupełnie czystej krwi, a przed parą laty, owca z tutejszej owczarni otrzymała nagrodę na wystawie zwierząt w Warszawie.

Okolice tutejsze są piękne, pełne ładnych obrazów i wyniosłych wzgórków; nad wszystkimi jednak panuje opiekuńczo wysoka i gęstym lasem zarosła góra Chełm, mająca w swém wnętrzu łomy piaskowca, podobno do trzeciorzędnej formacyi należącego. Górę tę liczą nasi geografowie do rzędu najwyższych w kraju, a z jej wierzchołka, równie jak ze szczytu Bąkowej-góry, uroczy na wszystkie strony rozwija się widok.

Z dóbr tych odwieziono nas do miasteczka Radomska, z którego koleją żelazną wróciliśmy do Warszawy d. 14 sierpnia 1848 roku.

Zamierzywszy sobie zwiedzić część Mazowsza, Podlaskie, Lubelskie, Sandomińskie i Krakowskie, nie mogliśmy się nigdzie zatrzymywać jak tylko bardzo krótko, mając tak wielką drogę przed sobą. W przeciągu więc naszej 40dniowej podróży, nie byliśmy w stanie poznać dokładnie tylu wzorowych gospodarstw i różnych w nich ulepszeń, nie mogliśmy zgłębić należycie systematu ich zagospodarowania, własności gruntu, miejscowości, i wielu ważnych szczegółów. Jeżeli więc niedokładnie opisałem te gospodarstwa, które zwiedziliśmy, jeżeli nawet pobłądziłem w ich skręśleniu, na to tłumaczę się krótkością czasu (bo wakacye się kończyły) i różnorodnością celu naszej podróży, w której nie pod samym tylko gospodarskim względem staraliśmy się kraj poznać, ale i pod wszystkimi w ogóle.

Wacław D.

O POWOŁANIU LEKARZA.

Wyjątek z listu pierwszego (*)

Dra Ferdynanda Dworzaczka.

Rzadko sąd o lekarzach jest sprawiedliwy; jedni zbyt pochlebnie ich sądzą, drudzy nawet wyjątków w niekorzystnym ich ocenianiu nie przyjmują; dla jednych lekarze są ludzie uczeni a przynajmniej naukowi, dla drugich lekarz jest prostym rzemieślnikiem, nie umie czego się nauczyć był powinien, jest rutynistą, a nadewszystko grubym materyalistą. — człowiekiem bez religii i poezji, zbyt oswojony z cierpieniem, aby to do jego serca trafiło, zbyt oswojony z trupem, by uczuł całą uroczystość konania i uczcił tajemnicę śmierci. Nie podejmuję się z tych zarzutów niewinnić lekarzy, nie podejmuję się ich bronić; stanąć jednak muszę w obronie nauki, i nie

(*) List ten napisałem z powodu okoliczności, o której tu dlatego nie wspominam, ażeby się komuś nie zdawało, że go zaczepiam; jestem nieprzyjacielem wszelkiej polemiki, i ani jej lubię wywoływać, ani dam się do niej wciągnąć.

dozwolę aby skalana została grzechami tych, którzy się za wyznawców jej, za jej kapłanów ogłaszają.

Nauki lekarskie nikogo nie upoważniają, aby człowieka zbezcześcić, by jego organizm za nie innego, jak za zbiór organów uważał, a życie za bieg maszyny, za grę organów, za mechaniczne, fizyczne i chemiczne działanie.

Gdyby nożem i szkielkiem można przedrzeć się do tajemnic organizacyi; gdyby nożem i soczewką można wysledzić wszystkie kryjówki materji; gdyby drobiaz, nieważąc można ją przymusić, aby nam wydała swoje tajemnice; gdyby w grobie zamiast trupa można znaleźć źródło życia: — nauka fizjologii, nauka o życiu inneby już dzisiaj zajmowała stanowisko. Wyroki, które się na świadectwie samego tylko noża i szkielka opierają, tak mało zasługują na zaufanie, jak te, które się opierają na zeznaniu w torturach męczonych, którzy się do wszystkiego przyznawają o co ich oskarżono.

Jacyto ludzie ścignęli na lekarzy tę obelżywą w oczach rozumnych opinią, która tylko nieoświeconym polecieby ich mogła jako uczonych, że oprócz materji nic innego nie przyjmują? Jacyto ludzie dobijają się jakby o sławę, by o nich powiedziano, że w nic nie wierzą?

Czyto byli ci, którym nauka lekarska winna swój wzrost i swoje świetne stanowisko, na jakim ją teraz widzimy? Czyto byli tacy, których za reprezentantów medycyny zgodzono się uważać? Tacy nareszcie, którzy u prawdziwych znawców, przed właściwymi sędziami, nabyli prawa wyrokowania w sprawie tak uroczystej, żywotnej?

Wszystkie nauki, wszystko co należy do umysłowego i duchowego życia człowieka, wspólny łączy węzeł; z jednego czerpają źródła swoje życie i swój wzrost,

i do jednej dążą prawdy. Nauka, która zamiast przykładania się do wzrostu i kwitnienia wspólnego wszystkich nauk, zamiast wyrabiania w sobie elementów żywotnych dla całego życia duchowego ludzkości, wyrabia truciznę dla niego, jest albo fałszywą nauką, albo też w złych rękach zdziczałe drzewo, które [zamiast zdrowego, trujący niesie owoc. Bindą kto się na niem nie pozna!

Medycyna nie może się przyznać do tych, którzy na jej kapłanów ścignęli opinią, że są ateistami, którzy religijność ich podejrzaną uczynili.

Lekarz mógłby powiedzieć jak Newton: „ja więcej znam Boga i silniej w niego wierzę, bom się lepiej przypatrzył jego dziełu”. Nikt też gorliwszego i czystsze świadectwa nie składał o Bogu, jak wielcy lekarze wszystkich wieków: bo potrafili się uchronić więcej jak inni od bezbożnego wpływu późniejszej filozofii. Ciągłe ona wprawdzie spogląda swoim pożądliwym, zyzowatém spojrzeniem na nauki lekarskie; przymilania jej obłudne nie zdołały ulaskawić i ugłaskać nieubłaganą i surową loikę nauk ścisłych, nie udało się jej infiltrować się do nich, aby zwołnić ich szczelność i treściwość, aby im udzielić swojej własnej elastyczności, i rzucić tym sposobem w objęcia sofistów. Wszakże niezawsze z takim wstrętem medycyna odpychała filozofią, niezawsze tak bojaźliwie wszelkiego z nią unikała zetknięcia; nieufność tę wywołało wiarołomstwo filozofii. Któż pierwszy zerwał ten świetny związek, który obiedwie te nauki uzupełniał? który medycynę, jak mówi Hippokrates, zrobił boską?

Filozofia zniecierpliwiona powolnym i ostrożnym postępowaniem obserwacji, zniecierpliwiona kontrolą, którą do-

świadczenie nad nią rozciągnąć chciało, zniecierpliwiona czekaniem na nowe fakta, które miały zappełnić przestrzeń rozdzielającą już wiadomych, aby je tém samém lepiej objaśnić i żywotnym węzłem związać; wyrwała się z więzów materyalnych, porzuciła towarzystwo faktów, wyszydziła leniwe doświadczenie, ze wzgardą pożegnała rozsądek, ogłosiła się wyzwoloną, samodzielną, i wyprowadziła myśl z tych ciasnych zmysłowych granic, za towarzyszkę jój dając obłudną i nader elastyczną dyalektykę. Odtąd nic dla niej nie było tajnego, myślenie samo sobie chciało wystarczyć; a czerpiąc w nieskończonóm źródle przypuszczeń, tworzyła światy, wynajdywała prawa i prawdy, orzekła naturę Boga, jeżeli raczyła go przypuścić. Rozwód ten dla obudwóch nauk był fatalny; filozofia błąkała się w krainie marzeń, a medycyna wolała wpaść w gruby materyalizm, wolała w letargu zasnąć, jak przyjąć jarzmo filozofii, jak wyrzec się doświadczenia, wyrzec się faktów, które filozofią obrażały i jój wyrokom stały na przeszkodzie. Lecz ten letarg zagrażał śmiercią, bo duszą każdej nauki jest myślenie; myślenie wiąże w jedną ożywioną całość doświadczenia zasoby i nabytki, empiryzm prosty, to grób nauki. Choroba nie odbiera zupełnie nadziei wyzdrowienia, choroba jest zawsze życiem jeszcze, które zręczny lekarz na drogę prawidłowości sprowadzić potrafi.

Filozofia w swojej chorobliwej zarozumiałości twórcza, w swoim własném łonie szukała i wynajdywała prawa życia; nie pytając wiele o doświadczenie, wysnuła sama z siebie *a priori* naukę fizjologii i patologii, tak dalece, że żadnego nie było ze starożytnych filozofów, zacząwszy od Talesa do Arystotelesa, któryby o fizjologii i patologii nie rozprawiał. Powodzenie swoje, swój

wzrost w najświetniejszych dla Grecyi czasach, filozofia ani swojej treści, ani swojej wewnętrznej winna była budowie; kwitła tylko potęgą gieniuszów ożywiona, żyła tylko jako własność, jako systemat pojedynczego człowieka; najczęściej od mistrza tylko rozumiana, smutnego doznawszy po jego śmierci osierocenia, zepchnięta ze swego tronu, aby innemu systematowi miejsce ustąpić, posłużyła tylko jeszcze za kamień grobowy najczęściej niezrozumianego filozofa.

Taki był jój los w Grecyi, nie innego doznała losu i później. Filozofia nie zdołała dotychczas wznieść się na stanowisko katolickie (powszechne), jest ona dotychczas niczém więcej, jak systematem indywidualnym, jak opinią pojedynczego mistrza i w niego wierzących uczniów. Filozofia nie mogąc znaleźć dla siebie własnej podstawy, na którejby swoją budowę oprzeć mogła, zasadę, z którejby swoją treść wysnuć zdołała; oddawna dostrzegając, że nagość jój przed oczami jaśniej widzących, źle zakrywają wielkim mozołem zebrane pompatyczne niezrozumiałe słowa, urzędowe, że tak powiem, formuły i poetyczne wykrzykniki, że jój czczość i ubóstwo wszędzie przebija: rzuciła się trapiąca i niepokojona głodem na wszystkie strony, gdzie dla myśli spodziewała się znaleźć pokarmu.

Ta potrzeba treści, ten powrót filozofii do nauk zasadniczych, do nauk doświadczenia, to pojednanie myśli z materją, świetną obiecywały przyszłość umysłowemu życiu człowieka, i łatwiejsze wyzwolenie jego ducha; lecz niestety, filozofia nieszczerym pocałunkiem przywierze zawarła. Nieumiarkowana w swojej zarozumiałości, despotycznie chciała panować, wymarzone swoje

prawdy rozumowi i naukom bezwarunkowo narzucić, albo też wszelką zapomniawszy godność, dała się bezwstydnie użyć na posługę zabobonów i dumie, złą woli i złej chęci; zamiast prawdzie, służyła fałszowi, zamiast człowieka oświecić, pomogła go w błąd wprowadzić. Jakże usprawiedliwi filozofia swoje względem teologii i religii zachowanie? Czy strzegła, aby nieskalaną była idea Boga, aby zachowana była w całej swojej czystości? czyż nauczyła ludzi szanować tajemnice Boskie? czy dostatecznie stanęła w obronie nieograniczonej mądrości, dobroci i wszechmocności Boga? Niebaczną kiedy w swojej zarozumiałości człowieka aż do Boga wzniosła, nie dostrzegła, że naokoło niej Boga do rozmiarów człowieka sprowadzono, i to jeszcze do jakiego człowieka! człowieka, któryby w czystej nauce ewangelii znalazł swoje potępienie, człowieka, którego się rozum wyrzeka. Napróżno filozofia wyliczać nam będzie swoich męczenników; całe pogaństwo oskarża ją przed obliczem Boga prawdziwego, że zbyt spokojnie i obojętnie przypatrywała się bachanaliom na Olympie; oskarżać ją będzie chrześcijaństwo, że niedosyć strzegła czystości nauki ewangelii, że dozwoliła pogaństwu i zabobonowi zaszcześcić się w czystym łonie Chrystusowego kościoła; a cała ludzkość oskarżać ją będzie, że miasto przyspieszyć, opóźniła wschód prawdy, której promienie z trudnością przedzierają się przez czarną mgłę, która z różnych jej nieprzyjaznych źródeł pochodząc, na ich drodze się nagromadziła. Człowiek lubo w uroczystym milczeniu, lecz gotów do nowych wysiłków i nowego poświęcenia, ciekawym obejmuje okiem cały horyzont, ażaliż gdzie nie dostrzeże nowej dla siebie gwiazdy, nowych promieni, oznajmujących, że blizką już jest chwila,

w której się mają spełnić proroctwa jego serca. Lecz niestety! ileżto razy zawiedzionym został w swoich nadziejach, i głos radości ileżto razy zamienił się w krzyk boleści!

Czyż filozofia jest bez winy, że wizerunek który na waszych piersiach wisi, że ołtarz na którym podwójna spełniła się ofiara, na którym ludzkość ofiarowała Bogu co w niej jest Boskiego, na którym Bóg ofiarował ludzkości co w nim jest człowieczego, bo skonało u jego stóp pogaństwo, które swoich bohaterów bogami, a swoich bogów ludźmi robiło; że krzyż, na którym Chrystus za ludzkość umierał i w swoich mękach przebaczył swoim prześladowcom, zesechł i zbutwiał na gruncie suchym i nieczystym waszego serca? Zniknęły z niego wszystkie ślady dla ludzkości na nim przelanej krwi, od czasu, jak przestało zamieszkiwać w waszych piersiach, od czasu, jak przechodząc przez wasze usta skonało, straciwszy dźwięk i moc, słowo ewangelii. Księgę, którą w waszych rękach trzymacie, a której litery zamazała krew przez tę samą rękę przelana, wypalił ogień stosów przez tę rękę podłożony, wyplukały lzy waszych ofiar. To nie jest ani krzyż, ani księga chrześcian; nasz krzyż jest wizerunkiem życia, odkupienia i przebaczenia; wasz jest symbolem samój tylko męki i śmierci; w naszej księdze są słowa łaski, pociechy i przebaczenia grzesznikom, słowa miłości bliźniego; a w waszej tego wszystkiego być nie musi, bo tego nie ma ani w waszych wyrokach, ani w waszych czynach.

W Warszawie, dnia 30 stycznia 1848 r.

ZNACZENIE I WEWNĘTRZNE ŻYCIE ZAPOROŻA.

PRZEZ

Michała Głuszczyńskiego.

(Ciąg dalszy).

V.

Religijność i urządzenie cerkiewne na Zaporożu.

Wpółród krwawych walk i zaciętych prześladowań, jakie wywołała reformacya w całej zachodniej Europie, w żadnym na świecie, oprócz Polski narodziu, nie wiadano i nie chciano wiedzić, co to jest tolerancya. U nas tylko miała ona schronienie, a nawet prawem była zabezpieczona. „Tu bowiem, mówi p. Wiszniewski (1), przy granicy samym środkiem kraju idącej kościoła zachodniego i cerkwi wschodniej, umyśly do różnic w religii już oddawna były przywykły. Tu Rusin po rusku, a Ormianin po ormiańsku się modlił; tu żyd

(1) Hist. Lit. Pol. T. VI wstęp.

talmudzista żył spokojnie obok karaity, a Tatarzyn li-tewski swobodnie w koranie czytał”.

Wszystkie opinie i sekty religijne mieściły się w Polsce, a jednak nigdy do krwi rozlewu nie przyszło. To też dopóki szła ona w polityce swojej za rozsądkiem naturalnym, charakterem wysoko tolerancyjnym, który jej tak świetne imię w dziejach tamtego wieku zjednał; dopóki monarchowie aż do Zygmunta III włącznie, pojmujący dobrze narodowość i stanowisko polskie, nie im przeciwnego nie stanowili, owszem zawsze w tym duchu działali: toć też Ukraina i Zaporozie sercem i duszą lgnęły do Polski. Już gdzieindziej powiedziałem, że wszystkie królewskie przywileje nadawane tamtej krainie, zawsze zapewniały jej mieszkańcom swobodne wyznawanie wschodniej wiary. Kazimierz W. zawładnąwszy Czerwoną Rusią, zrównał zaraz tamtejszych Greko-Rossyan z katolikami we wszystkich prawach i przywilejach, a Władysław Jagiełło, Władysław Warneńczyk, Kazimierz IV, Alexander, Zygmunt I stary i Zygmunt August, za zgodą wszystkich stanów rzeczypospolitej, nadali także same przywileje Ukraincom i Zaporozcom, w których równając ich z Polakami, zapewniają im zupełną swobodę w wyznawaniu ich greko-rossyjskiej wiary. Henryk Walezyusz potwierdził te prawa i przywileje, a Wielki Batory, najuroczyściej je odnowił, rozszerzył i umocnił, zabraniając wszystkim urzędnikom mieszania się w sprawy i sądy cerkiewne, i zabezpieczając swoim królewskim przywilejem, równość zupełną i opiekę prawa katolikom i Greko-Rossyanom bez żadnej różnicy. To też zarobił sobie Batory na piękną i rzewną dumkę zaporozką, w której między innymi Kozak śpiewa: „Służylib' jemu, korolu Polszczy po wiry i po prawdy, jak Bogowi, szczo

żywie wysoko na niebi i wo wiekib' wieczny, nie złom a dobrom, ta molitwaju swoho Pana wielkaho korolu Polszczy, jak Boga'b szanowali" (1). Ale wnet czarne

(1) Kozak dowiedziawszy się, że Batory nowe urządzenia i przywileje ma nadać Kozakom, śpiewa: „Stużylibyśmy jemu, królowi Polski, wiarą i prawdą jak Bogu, co żyje wysoko na niebie, na wieki wieczne, nie złóm, a dobróm i modlitwą swojego pana, wielkiego króla Polski, jak Boga czciłibyśmy”.

W rozdziale o dumach i pieśniach zaporozkich, całą tę dumę o Batorym umieszczę, jako żywy i niezaprzeczony dowód miłości, jaką miał u Kozaków, i obejrzatęj roztropności we wszystkich jego urządzeniach.

Przykro dlatego i boleśnie jest czytać, kiedy o takim mężu, pełnym prawości i godności historycznej, uprzedzenie, zawziętość, a może gorzej jeszcze niezrozumienie tego, co to jest prawdziwy historyk, kiedy powtarzam o takim człowieku, w tym czasie, kiedy historyka powołaną jest za nauczycielkę ludów, i na boginią prawdy, spotykamy wyrazy pełne żółci, szkalowania, a nie obwijając w bawetnę, najzupelniej niegodziwe; którym na szczęście prawdziwie oświeceni nie uwierzą, a plama zład niezmazaną zostanie na autorze. Tak opisał Batorego Sołowief, w wydanyim przez siebie zarysie historyi Matorossyi, umieszczonym w Oczysztych Pamiętnikach z 1848 roku w nr. 11. Oto są jego wyrazy: „Niéma może ani jednej historycznej osoby, któraby obok pozornego blasku i wielkości, miała tak czarne znaczenie w historyi narodów, jak Stefan Batory. Państwu Moskiewskiemu odebrał przybaltyckie prowincye, a tém samém przeciał mu drogę do połączenia się z zachodnią Europą. Do Polski i Litwy wprowadził Jezuitów, i tym sposobem w świecie słowiańskim był największym przytlumicielem oświecenia”.

W kilku tych wierszach, prawie co wyraz to bład, lub przekręcenie. 1) Historyka i potomność bezstronna nasza i obca nawet, osądziła już Batorego i przyznała mu rzeczywistą wielkość, a nie pozorną; dlatego właśnie, że nie w nim czarnego nie dojrzała, a wszędzie prawość, mężtwo i sprawiedliwość. Dla nas jest on największym monarchą, a dla obcych znamienitym mężem, i sławy tej p. Sołowief swojemi bezstawnemi wyrazami nie zachwieje, a tém mniej nie zniszczy. U nas jest przysłowie: porwał się jak z motyką na stołec. 2) Wojnę o Inflanty zastał już Batory zaczął; przyczyna jęj wiadoma, a zdobycze wojenne przez Stefana poczynione, wcale go nie zaczerniają. 3) Nie zna p. Sołowief nic a nic historyi polskiej, kiedy sprowadzenie Jezu-

widmo, w czarnej rogatęj czapce, w czarnej sukni, zwichnęło narodowy rozsądek, skrzywiło łagodny i nie a nie niefanatyczny charakter Polaków, a mając za sobą nieprzeniknioną chytrność, wywołało owe nieludzkie prześladowanie ludzi, co ze wszystkich swoich pierwiastków życia, najwięcej szanowali uczucie swe religijne, co całą duszą do swego prawosławia byli przywiązani. Byłoto więc nie po ludzku i niepolitycznie drażnić Kozaków z téj strony, i gdyby ówczesni przodkowie nasi, chociaż trochę lepiej znali byli wewnętrzne życie i pojmovali lepiej znaczenie kozaczyzny, nie daliby się byli nigdy uwieść zgubnym podszeptom jezuickim. Ale myślano u nas za Szweda, że Kozak, to bagatela, fraszka, chłop; zapomniano tak długiego braterstwa i razem dokonanych czynów, a powstanie przeciw tak srogiemu uciskowi przewano buntem, i na sejmie 1638 r. postanowiono, że: „Kozacy zaporozcy *pro rebellione* wszystkie swoje prawa, przywileje, starszyny i dochody i inne *decora in perpetuum* utracają i w chłopów są obróćeni”.

Cerkiew zaporozka była zupełnie niezależną od żadnej hierarchicznej władzy greko-rossyjskiej, była pod władzą i rozrządzeniem kosza; a kiedy Kozacy zaporozcy nie chcieli przyznawać zwierzchnictwa swych metropolij, tém mniej zapewne chcieliby zależeć od katolickich, a bardziej jeszcze katolicką lub uniacką wiarę

itów do Polski na Batorego kładzie, bo my tu wiemy dobrze i zapisane mamy w księdze, (o czém p. Solowief nie raczył się przekonać), że Jezuitów do Polski sprowadził Hozyusz 1566 r., a do Wilna biskup Protasewicz 1569; to oczywiście jeszcze było przed Batorem. Przystajemy na-tém cośmy powiedzieli, zostawiając czytelnikom Biblioteki, uczynienie sobie w nosków o zdolnościach historycznych i krytyczném zapatrywaniu się autora.

przyjmować. Nigdy też żadne nowatorstwo nie wkra-
dło się między Zaporozców i Ukraińców. Krwawa wal-
ka przeciw unii i samo odpadnięcie kozactwa od Polski,
są na to rażącymi dowodami.

Powiedziałem już gdzieindziej, że zaporozkie towa-
rzystwo, najważniejszym warunkiem istnienia swego
uważało prawosławną wiarę; tak dalece, że nikt nie
mógł być przyjętym w jego liczbę, jeżeli się nie ochrzcił
gdy był niechrześcianinem, lub jeżeli nie przeszedł, gdy
był innéj religii, na prawosławną greko - rosyjską
wiarę.

Oprócz przywiedzionego już w rozdziale III rozpo-
rządzenia z r. 1767, przytaczamy tu jeszcze słowa kijow-
skiego metropolity Timofeja Szczerbackiego, z listu jego
pisanego do naczelnika siczowych cerkwi, Makarego,
w którym między innymi pisze on, że prośbę jego i ata-
mana koszowego Daniela Stefanowa „o przystanie ole-
ju świętego dla chrzczenia i namaszczenia nowo tam przy-
bywających i żądających przyjęcia prawosławnej wiary,
heretyków i różnych języków ludzi” spełnia (1754,
9 lutego). Różnowierców Zaporozcy tak nie cierpieli,
iż gdy się o ich osadach w swych granicach dowiedzieli,
to w rozporządzeniu posłom swym w Petersburgu da-
nym, poruczyli im, aby prosili rządu o oddalenie owych
różnowierców; „dlatego, że w wojsku zaporozkiem taka
jest ustawa, żeby w całej zaporozkiej ziemi nie było,
i nie żyło ani jednego różnowierca”.

Cerkiew tedy zaporozka była cerkwią greko-rossyj-
ską i nie miała od ogólnej innéj różnicy, jedno oddziel-
ne, i że tak się wyrażę oryginalne urządzenie.

W ułamkach znalezionej przez pana Skalkowskiego
kozackiego zaporozkiego archiwum, udało się mu od-

szuknę kilka dokumentów oryginalnych i w kopiach, dających pewniejsze wiadomości o urzędzeniu zaporozkiej cerkwi. Te dokumenta tak są ciekawe i tak mało znajome, że je dosłownie ztamtąd przepisuję, i do wiadomości podaję. Dokumenta te bardzo ciekawe dla przedmiotu samego, są jeszcze niezbitym dowodem na to, że cywilizacya i język polski znacznie się już były na Zaporozu i Małorossyi rozszerzyły, bo wszystkie te odezwy z kosza do Kijowa posyłane, pisane są, jak to zaraz zobaczymy, po polsku, a gdzie indziej tylko ruski pozostał wyraz; tak, że bez tłumacza nieznający języka polskiego, niby dziś w nich nie rozumiał. Część tych dokumentów pochodzi ze zbioru aktów pod tytułem: „Kopie listów najprzewielebniejszego moskiewskiego i wszech Rossyi i wszystkich północnych krain patriarchy Joachima, i innych małorossyjskich przewielebnych archirejów. Także i od dawniej byłych Ich Miłości panów sławnego wojska zaporozkiego koszowych atamanów, i od całego tegoż wojska zaporozkiego towarzystwa w Kijewo-Międzygorski monastyr przysłanych uniwersałów, wiernie w tę księgę wpisanym, i z oryginałami porównanych, dla wiecznej i niezatartej każdemu pamięci i wiadomości”.

Przy samym początku obejrzenia urzędzeń cerkiewnych na Zaporozu, spotykamy dwie ważne okoliczności:

1) Żądania i pretensye kosza zaporozkiego do niezależności ich cerkwi i duchowieństwa od ogólnej rosyjskiej cerkwi i hierarchii, czyli poprostu od kijowskiego i małorossyjskiego metropolity. Służy to za nowy dowód ich zakonnego sposobu bytowania, bo równie i klasztory katolickich zakonników Śgo Benedykta, Śgo Franciszka, Śgo Bernarda i każda inna reguła, miała

swego oddzielnego generała, to jest duchownego naczelnika, z członków tegoż zakonu wybranego, bez którego woli i wdania się, żadne rozporządzenia papieża wykonane w zakonach być nie mogły i nie mogą; w rycerskich zaś zakonach, wielki mistrz był takim generałem duchownym.

2) Szczególne poszanowanie kijowskich świątyń, a największe ku „wielkiemu kijowo-międzygórskiemu święto-Przeobrażeńskiemu monasterowi”. Ta okoliczność zasługuje na najstaranniejsze zglębienie, bo w niej tkwi najpewniejszy dowód na to co powiedziałem, że Kozactwo wypłynęło z południowej Rusi.

Co się tyczy cerkiewnych stosunków, pozostało w archiwum wyżej napomnioném kilka listów wzajemnych prawie układów, a w nich wyraźnie widzimy, że sicz zaporozka ze swojemi posiadłościami, od dawnych czasów należała, jako parafia do międzygórskiego-kijowskiego monastera, który od samego tylko patriarchy wszech Rosyji zależał. Kosz zaporozki w pismach monasterskich nazywano „*Ktytorem*” (1).

Zaporoże przyjmowało do swych cerkwi duchownych pasterzy nie innych, tylko mnichów należących do owego klasztoru, i do siczy, i do samarskiego monasteru, i do święcenia świeckich duchownych w pałankach. Jak to było w pierwszych chwilach nastania Kozaków, nie wiemy, ale w końcu XVII wieku znajdujemy na to oryginalne dowody. I tak: sławny ataman koszowy Iwan Dymitryewicz Sierko, pisał 1676 r. do opata międzygórskiego klasztoru: „Powtórna naszą z czołobitnością zanosim prośbę, za radą i uchwałą (sic) całego wojska, rarcz

(1) Ktitor, syndyk, kollator, opiekun kościoła lub klasztoru.

(sic) nam Przechacność Wasza, naradziwszy się (sic) z bracią, przysłać jaką osobę na pełnienie służby Bożej, gdyż panowie (sic) diaki świeccy do tego niesposobni; choć jacy i są, to nie umieją sobie cenić (kosztowaty) łaski wojskowej, i chleba spokojnie pożywać (używały)".

„Owoż tak całe wojsko obradziło (sic), żeby jego dochód na klasztor śty szedł, gdzie za całe wojsko zaporozkie Boga miłościwego błagają, i tam był szpital wojskowy. O to powtórnie (sic) i po dziesięć razy prosząc, modlitwom świętym waszym siebie poruczamy. Pisano w siczy nad Czartomłykiem, 16 maja 1676 r.”

Po siedmiu latach później, to poddanie siczy klasztorowi międzygórskiemu, dopełniono następującymi wzajemnymi listami czyli umowami:

(1) „Grzegorz Iwanowicz ataman na tot (ten) czas koszowy, Grzegorz Mieczenko sędzia koszowy, Leontyi Konstantyjewicz pisarz, Mateusz cesarski asaula, i my atamani wszystkich kureni, na imię Wasil Oleksienko ataman kurenia krylewskiego: Jakób ataman kurenia ireklewskiego, Jan Staganjo ataman kurenia koreniewskiego, Paweł ataman kurenia kooryłowskiego jako i wsia (wszystka) atamania kurenuu w tym roku iduczym (idącym) niżej opisanym, tak i całe towarzystwo kurenne, nizowe wojsko Jój Carskiej Prześwietłości zaporozkie, oznajmujemy tém pisaniem naszym teraz, i na potomne czasy, iż nam wsiemu (wszystkiemu) wojsku zaporozkiemu bili czołem na piśmie, nasi duchowni ojcowie, czestny (przechacny) pan ojciec Teodozy Baśkowski opat kijowski i międzygórski, z całym soborem swoim, z bracią swoją, żebyśmy na potomne czasy i la-

(1) Dosłownie w oryginale ten dokument przywodzę, dodawszy w nawiasie tłumaczenie wyrazów czysto ruskich.

ta potwierdzili pisaniem naszym wojskowym to, żeby tiepier (teraz) i zawsze z ich monasteru międzygorskiego i kijowskiego, a nie z innéj jakiej obiteli (świątyni) świaszczenniki (księża) przysłani z monasteru, służyli Bożą służbę w cerkwi Opieki Przenajświętszej Boga Rodzicy naszej zaporozkiej, i wszystkie prawidła potrzebne do spasionia (zbawienia) wojska odprawowali, i duchownemi ojcami towarzystwu byli. A tak my całe wojsko widząc przez czas niemały, ojców międzygorskiego i kijowskiego życie inoczeskoe (zakonne) przystojne, gościnne i czyn ich monasterski pochwały godny, na zbawienie ludziom polezny (pożyteczny); uważając ich przysługi niemałe w wojsku naszym i w cerkwi naszej, i widząc cerkiewny porządek w cerkwi Pokrowskiej siczowej stateczny, i odprawianie w niej służby Bożej po monastersku, i z tego wszystkiego ciesząc się: tedy my wojsko całe, jednostajnie poradziwszy się z sobą dobrze, tę czołobitność ojców wyżéj pomienionych przyjęliśmy i do skarbnicy wojskowej schowali, i na ich żelanie (żądanie) pozwoliliśmy to, aby cerkiew święta Pokrowska nasza zaporozka i cała parafia zawsze przy nich była, żeby na potomne czasy zawsze nieodmiennie z monasteru międzygorskiego kijowskiego przy świętej cerkwi naszej Pokrowskiej służbę Bożą odprawowali, a wojska zaporozkiego ojcami duchownemi byli. To sobie jednak warujemy, aby z monasteru na to święte dzieło przysyłano ludzi sposobnych, statecznych, świaszczenników dwóch, diakona i ustawnika, które to nasze uzwolenie wojskowe jednogodne, tém naszym pisaniem wojskowym przy pieczati (pieczęci) wojskowej stwierdzamy teraz, i na potomne czasy, zawsze. I chcemy i prosimy, aby téj woli naszej wojskowej, która za

wolą Bożą stała się, i naszego postanowienia tego, nikt teraz i na potomne czasy nie kasował i nie odmieniał, żeby wojskowe słowo, zwłaszcza nie przeciwne woli Bożej, owszem sławę Bożą pomnażające, było zawsze poważane, stateczne, i jak skala nie podwizne (niewrzuszone). Działo się w koszu wojska zaporozkiego nizowskiego, r. 1683, października 4 dnia”.

Nie bacząc na tak jawne żądanie całego wojska i dawne obyczaje Zaporozców, zapewne nie chciało się kijowskiemu duchowienistwu ustąpić jednej ze swoich świątyń zaporozkiej owczarni, słynnej ze swojej szczodrobliwości ku cerkwiom, bo znajdujemy, że w roku 1686, kijowski metropolita Gedeon polecił cerkwie nizowego wojska poddać pod władzę jego katedry. Międzygorski monaster był posłusznym, odwołał przez naumyślnie posłanego do siebie mnicha Tarasia, znajdujących się tam braci, a tymczasem zaniósł do patriarchy wszech Rossyi skargę przez posłów swoich Irodiona, diaka Gabryela i mnicha Filareta.

Zaporozcom nie spodobały się wcale takie rozporządzenia metropolity, i koszowy Fedor Iwanika tak odpowiedział opatowi monasteru międzygorskiemu Teodorowi, na jego żądanie: „Nie mogliśmy wydziwić się takiej niełasce i niemiłości Przewielebności Waszej, że zostających braci u nas chciała Przewielebność Nasza przez wysłanego ojca Tarasia do świątyni swojej ze wszystkim zabrać. Może Nasza Miłość ku świątyni międzygorskiej nie jest wdzięczna? Boża i nasza cerkiew, między koczowiskami agoryńskimi zostająca, nie podlega władzy JO. księcia metropolity kijowskiego, bo nie w małorossyjskim znajduje się horyzoncie, ale za granicą, w polach tatarskich, na pomnożenie czci Bożej, a na

duchowną wojskową potrzebę, jako prawosławnych chrześcian, w którejto cerkwi i my modląc się Panu Bogu, całości ojczyzny naszej przestrzegamy, krew naszą przelewając. Jako wierni ojczyźnie naszej i życzliwi synowie znajdujemy się, jako z wierném poddaństwem monarsze Jego Carskiej Prześwietnój Wielkości, tak i z należném dobrodziejowi naszemu Jaśnie Wielmożnemu Jego Miłości panu hetmanowi uszanowaniem i będziemy wielkiemu monarsze i patryarsze i Jego Miłości panu hetmanowi dobrodziejowi naszemu czolobitnie zasylać, ażeby za pokorną naszą prośbą, łaska i przychylnie było zezwolenie, międzygorskiej świątyni i naszej cerkwi wojskowej, do której i dawniej byli świętej pamięci Jaśnie w Bogu Oświeceni metropolity nie interesowali się, tedy i teraz nie należy Jaśnie Ośw. księciu metropolicie kijowskiemu w niepotrzebne się wtrącać. Nie będzie cerkiew Boża i nasza oddzielona od monasteru międzygórskiego, dopóki w Dnieprze wody, i naszego wojska zaporozkiego stanie. W siczy; 29 maja 1686 roku”.

Tutaj trzeba zrobić uwagę, że osoby duchowne, podobnie jak wszystkie inne stopnie i wydziały w koszu, mogły pełnić swój obowiązek tylko przez jeden rok, a potem zastępowane były przez inne, albo dawne zostawały na swoich miejscach, jeżeli na nowo przez wojsko były wybrane i potwierdzone z łaski wojskowej. To nazywało się „zwyczajną przemianą”. Zwykle we wrześniu przybywali z międzygórskiego monasteru zakonnicy, a zostawali do jesieni następującego roku. Jeżeli dawniejsze duchowieństwo podobało się Zaporozcom, to je zostawiali, a w razie przeciwnym, przemieniali na nowoprzybyłych. W tymże samym czasie zbierali dla monasteru bo-

gate jałmużny w całym wojsku, i kilkanaście wozów nalożonych rybami, solą, futrami i winem, na ofiarę braci świętego zakonu, a czasem bydło i konie posyłał w podarunku.

Tym sposobem Zaporozie, aż do chwili nieszczęśliwego swego upadku i przejścia pod turecką władzę, roku 1709, miało swoje oddzielną cerkiew, należącą nominalnie do patriarchy moskiewskiego, a w samej rzeczy podległą zupełnie koszowej władzy. Kiedy na Zaporozu pobudowano siola, a w nich powystawiano cerkwie, to świeckie duchowieństwo postrzygał albo naczelnik koszowych cerkwi, albo przybywało ono z innych miejsc, i wykonawszy przysięgę koszowi, dostawało od niego przychody w pałankach.

W r. 1734, jak tylko Zaporozcy otrzymali przebaczenie od cesarzowej Anny Joannowny, a nowy kosz w bliskości starej swęj sicy założyli, to natychmiast udali się do „świętego miasta Kijowa” po błogosławieństwo. Ale teraz widać już bardzo blizki wpływ na sprawy zaporozkie rossyjskich wojennych władz. Kijowski wojenny gubernator hrabia von Wejsbach, był pośrednikiem między kijowską katedrą i zaporozkiem wojskiem. Sama nawet starszyczna zaporozka przemówiła językiem więcej pokornym dla cerkiewnej hierarchii. Za pośrednictwem owego gubernatora, metropolita kijowski Rafael, posłał swoje pasterskie błogosławieństwo „na założenie kosza”, to jest nowęj sicy na rzece Podpalnej, i wybudowanie w niej podług starego obyczaju nowęj cerkwi Opieki Matki Boskiej (1734 r. 3 kwietnia). Dowiedziawszy się o tém były międzygórski opat, a potem biskup czernichowski i nowgorod-siewierski Irodyon Żurachowski, pisał do koszowego Jana Małaszewicza,

prosząc razem z braćmi dawnego swego zgromadzenia „aby według dawnego zwyczaju, wojsko znowu ich za duchownych sobie przewodników przyjęło.” Na to koszowy 23 grudnia 1734 roku odpowiedział biskupowi i prosił: „Raczie międzygórskim zakonnikom objawić, żeby oni raczyli w nadziei przebywać, że my ich, za radą naszych wojskowych, kurennego atamana i innych starców nie unikamy, i życzymy sobie za duchownych przewodników sobie wziąć, niech tylko do wiosny poczeka ją, dopóki my na tém naszym terazniejszém mieszkaniu, pod Jego Cesarskiej Wielkości potężną władzą nie ustalimy się.” Tym sposobem międzygórski monaster wszedł w dawne swoje prawa, i stale co rok posyłał jak dawniej do „rycerskiego wojska zaporozkiego, dawnych swoich dobrodziejów” mnichów do siczowych cerkwi, i do odnowionego w tym czasie Pystynno-Mikołajewskiego monasteru, zdawna wybudowanego przez Zaporozców na rzece Samarze. Piérwszym naczelnikiem cerkwi w nowój siczy był od biskupa Irodyana jeromonach (1) Paweł Markiewicz, z najpochlebniejszym dla wojska zaporozkiego zatwierdzającym pismem.

Ale powtarzam, że bez względu na głęboki szacunek kozactwa dla kijowskich świątyn i w ogóle dla duchowieństwa, zawsze jednak władza koszowa uważała samą siebie tylko głową wojskowej cerkwi, a nawet przewodnikowi swemu międzygórskiemu monasterowi w tym przedmiocie nic a nic nie była podległą. Owoż przykłady tego i tamtego:

(1) Jeromonach, znaczy w porządku hierarchii cerkiewnej zupełnie to samo, co nasz zakonnik, mogący mszą odprawiać, ksiądz mszalny; świąszczennik jest ksiądz niezakonnik.

W roku 1769 nie bacząc na rozkaz Rumińcowa, kosz nie chciał się zgodzić na to, ażeby będący na wyprawie przy wojsku jego trzej jeromonachowie, byli poddani pod władzę ober-świąszczennika czynnej armii. Również kiedy kijowski metropolita Gabryel żądał w roku 1774 od naczelnika siczowych cerkwi jeromonacha Włodzimierza, aby przesłał do konsystorza wykaz statystyczny o liczbie zaporozkich cerkwi, duchowieństwa, jego dochodach, przywilejach i t. p. koszowy sam w imieniu wojska odpowiedział: „że ponieważ cerkwie zaporozkie, od dawnego czasu wprowadzonym porządkiem budowane były przez wojsko, utrzymywane przez nie, pod główném i zupełném zawiadowaniem wojska znajdują się, to uważa za niepotrzebne tym przedmiotem zajmować metropolią”. Oto znowu list w tym samym duchu koszowego Kałniszewskiego, do rządzącego w koszu sędziego Mikołaja Tymosiejewicza, 1773 r. 3 lipca: „Odebraliśmy wiadomość, że z kijowskiego międzygórskiego monasteru przysłani zostali jeromonachy, jak w sicz, tak i do samarskiego monasteru, gdzie jeromonach Herman postanowiony, a on tak dobrze jest wyuczony, że może i kazania mówić. A takich kaznodziei brak jest w siczowej cerkwi, to ojcu naczelnikowi siczowych cerkwi Włodzimierzowi raczcie powiedzieć, żeby jego, Hermana, zaraz do siczy na ciągły byt przysłał, a tam do Samary z siczy któregokolwiek jeromonacha posłał. A że jak wiadomo w samarskim monasterze przysłały tam jeromonach Koszman, ten co to już w siczy był, i obok postępków nieczystych, albo nieczynnych, odjazd do Kijowa tak nieporządny zrobił (wyjechał bez pozwolenia kosza), i dlatego i dla innych przyczyn nie zasługuje na to, ażeby gdziekolwiekbądź w zaporozkich granicach się znajdował, dla-

tego raczcie ojcu naczelnikowi oświadczyć, żeby tego Koszmana rozkazał nie zatrzymując w Samarze i nigdzie w zaporozkich granicach, zaraz do Kijowa do międzygórskiego monasteru odprawić."

Ale za to nabożność i religijność Zaporozców była nadzwyczajna; oto kilka na to przykładów:

„Zaporozcy, co dotąd, jak z oburzeniem mówi Skalkowski, słynęli dzięki bezstronności historyków, jako hajdamacy lub dzicy rozbójnicy, niby Nogajcy, mieli jednakże 14 cerkwi stałych, a dwie ruchome; niehardzo mała liczba". O liturgią i duchowne nauczanie wojska władze koszowe tak bardzo się troskały, że nawet przy wyprawianiu na granicę czasowych oddziałów do pałanek ingulskiej i bohogardowej, razem z niemi wyprawiano i cerkiew. Dla utrzymania téj cerkwi, oddzielano część dochodu pałanki, to jest: podatek od przewozu, dochód z ryb i część zdobyczy na polu bitwy. I tak: w r. 1772, są dwa kwity ktitorów owych cerkwi, na odebranie przez nich, raz 20 maja z gardowych dochodów na cerkiew 90 rub. i 40 kop.; drugi raz ze zdobyczy zabranéj pod Oczakowem 73 rub.

Ciekawa jest bardzo skarga lisiczników i bazarników z całém towarzystwem, na bohogardowego pułkownika w r. 1758: „Wielmożności Waszój donosimy na pułkownika, że podawali Kozacy na Gardową cerkiew naprzd 14 ziarn peret i przedane te perły za 15 rubli; potem dali Kozacy kielichów (sic) srebrnych pozłoconych trzy, z tych jeden z przykrywką i krzyżem, i materyi różnego koloru, i groszy trzy kopy, a nie wiedzieć gdzie on to podział. Waszój Miłości pokornie prosimy, ażeby kogo tam z waszój komendy wyznaczycie, tego my będziemy słuchać, a pisarz i asaул zdadzą się nam tak-

że. A my was najpokorniej prosimy, żebyście wy nam przysłali na pułkownika Trofima Szczerbinowskiego, a ten pułkownik niechaj przyjdzie wojsku dziękować, a kto u nas będzie pułkownikiem, to niechaj temu pułkownikowi nie daje nic, póki on rachunków nie złoży. On zaś Trofim nie prosi się do nas, ale wojsko bohogardowe jego do siebie prosi, a Waszój Wielmożności pokornie prosimy, żeby Trofim był nam panem nieodmiennie”.

Dziwna mieszanina pokory i imponującego tonu; ale służy to za jasny dowód znaczenia wojska, i wpływu towarzystwa na swoje sprawy.

Cerkiew na Gardzie często była niszczona przez Tatarów i Polaków, po oderwaniu się Kozaczyzny, ale nie bacząc na to, wielu mnichów, szczególnie z zagranicy, tojest z prawosławnej południowej Polski i Mołdawii, przybywało tam po jałmużnę. Z tego powodu pisał raz koszowy 1772 r. do tamtejszego pułkownika Suchina: „Dowiedzieliśmy się, że bez paszportów włączając się mnichy i zakonnicy i inne duchowieństwo, służbę czynią i kazania powiadają i inne potrzeby pełnią bez pozwolenia kosza, czego im czynić nie wypada. To też polecamy wam zaraz brać ich, i do tego nie dopuszczać, i kazać bezpaszportowym odchodzić do ich klasztorów. Za tém baczyć i doglądać winien bohogardowy jeromonach ojciec Wikon, któremu na jego doniesienie, to pisanie czynimy”.

Korż wspomina tylko o dziewięciu cerkwiach zaporożkich: w sicy, w samarskim monasterze, w Nowosielicu, w Nowym i Starym Kadaku, i w siolach Karnachowie, Romanowie i Mochilewie. Znajdujemy, że oprócz tych były jeszcze następujące: jedna w Kamion-

ce na samej granicy, druga w kałmuskiej pałance, trzecia w Nikitynie, której szczątki w r. 1835 widział p. Skalkowski, czwarta w 1774 r. wybudowana była w Kottowku, piąta w Łyszkowku i t. p. W zaporozkich zaś siedzibach czyli zimownikach, gdzie cerkwi nie było, stawiano bóżnice, to jest małe drewniane budynki, w których zawieszano obrazy, i palono lampy. Za tak było, mamy dowód w skardze pułkownika perewieziekiego Dymitra Stigajły, w której między innymi powiada, „że Tatarzy napadli na zimownik Kozaka Gardieja Połozy przy rzece Ingulcu, i zabrali bóżnicę, i obraz malowany na płótnie, a wyobrażający Zbawiciela Jezusa Chrystusa, poszarpali, podeptali nogami i na ziemię rzucili” (1759 11 maja). Szczodrość Zaporozców w upiększaniu świątyń pańskich i w świadczeniu dobrodziejstw klasztorom była powszechnie znaną. Koszowy Piotr Kałniszewski, gdy jeździł z pisarzem Globą na oddanie pokłonu do Kijowa, na własny rachunek wybudował kamienną cerkiew w międzygórskim monasterze, pod wezwaniem śgo Piotra i Pawła, a drewnianą w mieście Romnie na Ukrainie. Oprócz tego dużo pomagał do wykończenia sobornej cerkwi śgo Mikołaja w mieście Łochwicu, której dożywoćnim ktitorem był wojskowy sędzia Mikołaj Kosap.

W roku 1768 tyle mnichów przybyło do sicy i na Zaporozie po jałmużnę dla prawosławnych klasztorów kijowskich, wielkorossyjskich, ukraińskich i greckich, że kosz przymuszony był na dwa lata zakazać dawanie jałmużny, żeby mógł własne swoje cerkwie poprawić i upiększyć. Tęj szczodrości w jałmużnach podajemy kilka przykładów:

W roku 1768 metropolita kijowski Arseniusz, dziękując koszowi za jego dobre chęci dla cerkwi, prosi, aby podług dawnego zwyczaju dozwolił posłanemu od siebie katedralnemu mnichowi zbierać jałmużnę, na wielką kijowską świątynię Śtój Zofii. W tymże roku Piotr Kalniszewski pisał do Jefrema świętego patriarchy Śgo miasta Jerozolimy i Palestyny: „Podług mego przyrzeczenia, posyłam dla cerkwi przy grobie Zbawiciela dwa kielichy i dwie patyny i gwiazdę srebrne wyzlacane, i błagam najpokorniej, aby je raczył przyjąć, i na nich służbę Bożą odprawiał”. Opat Grzegorz ze świętej ateńskiej góry, pisze do kosza z podziękowaniem za jego liczne łaski i zawiadania, że on na świętą górę przybył, i w wybudowanym przez siebie ruskim klasztorze z bracią znajduje się, i za wojsko się modli (1767 r.) Konstantyn archimandryta carskiego i patriarszego greckiego zgromadzenia, dziękuje wojsku za przysłanie monasterowi, oprócz cerkiewnych aparatów i innych cerkiewnych rzeczy, pieniędzy w summie 2,500 rs. Byłato dosyć znaczna wtedy summa, sądząc z tego, że całe wojsko brało z kassy cesarskiej żołdu tylko 6,000 rs.

Równie ciekawy jest list założyciela Mołdawo-wołoskiego zakonu Dragomirny, jeromonacha Paisiusza, pisany do kosza 2 czerwca 1768 r., w którym między innymi powiada: „Monaster nasz nazywający się Dragomirną, przybyłym nam z pięćdziesięciu braćmi od Śtój ateńskiej góry, wydzielony jest od szlachetnego hospodara mołdawskiego i przewielebnego metropolity w najzupełniejsze posiadanie, z należącemi do tego monasteru dobrami. Bracia-że nasi, jak ci, co przyszli z nami ze Śtój ateńskiej góry, tak ci, co już tu z nami się połączyli, których wszystkich jest teraz 150 liczba, żyją spokojnie,

cicho, posłuszni przykazaniom Chrystusa, z których większa część jest rossyjskiego rodu, a najwięcej z prawosławno-znamienitej zaporozkiej krainy."

I władze duchowne czasem okazywały swoje życzliwe usposobienie dla starszyny zaporozkiej. Tak w r. 1756, w czasie przebywania w Petersburgu Daniela Gładkiego i innych deputatów, najświętszy synod darował dla siczowej Pokrowskiej cerkwi biblią nowego przekładu, czém nadzwyczajnie zachwycił i udurował całe wojsko. W r. 1772 Gabryel metropolita kijowski posyłając do wojska po jałmużnę dwóch mnichów, posyła zarazem wojsku zaporozkiemu swoje pasterskie błogosławieństwo, a sędziemu wojskowemu na znak wdzięczności za pomoc do wystawienia cerkwi Pantelimonowej, święty obraz.

Zaporozcy szczególnie lubili upiększać swoje cerkwie, i utrzymywać swoje duchowieństwo jak najprzystojniej. Oprócz zwykłych ofiar, zawsze przy rozdzielaniu łożdu, prowiantu i dochodów z karczem, szynków, sklepów, z polowania i rybolówstwa, a nawet wojennej zdobyczy, wojsko jedną część, zwyczajem uprawnionym oddawało na cerkiew, a drugą na szkołę będącą przy cerkwi. Kozacy, jako ludzie bezżenni, umierając, chociaż oddawali swoje mienie krewnym albo kurennym towarzyszom, zawsze jednak przekazywali jakąś część na cerkiew i dla duchowieństwa. Chociaż najbiędniejszy, każdy Kozak chciał być pochowanym uczciwie, i zostawiał na to największą część swego mienia (1).

(1) Oto przykład, który wykazuje zarazem i dbanie Kozaków o pogrzeb przystojny dla siebie, i ich szacunek dla duchowieństwa, a nadewszystko rzuca światło na obrządki pogrzebowe

W r. 1775 wysłanemu po żołąd pułkownikowi, polecono zamówić w Moskwie srebrny świecznik, ważący 5 pudów, a na dwu arszyny wysoki. Nie mogąc uskutecznić tego polecenia w stolicy, Kozacy poruczyli wykonanie jego w Głuchowie majstrowi Köppen (Carl-Gustaw) za 3,000 rub. sr. W roku 1774 na prośbę wojska i za wstawieniem się Potemkina, cesarzowa mianowała naczelnika siczowych cerkwi Włodzimierza Sokalskiego archimandrytą. Kosz ze swęj strony, oprócz tego, że mu sprawił w Moskwie bogaty krzyż na piersi i mitrę, naznaczył mu na ogólnej radzie 300 rub. sr. pensyi, summę dla nich bardzo znaczną. W r. 1775 kozowy Kalniszewski pisał do archimandryty kijowskiej pieczerskiej ławry, Zosima, że „wojsko ma to życzenie, żeby w siczowej cerkwi Opieki Matki Bogarodnicy były złote naczynia duchowne, takie, jakie najpiękniejszej i najwspanialszej roboty są w kijowskiej pieczerskiej ławrze, i dlatego podług tu ich wzoru zamierzeli bardzo zrobić swoje. Dlatego przez panów starszyn, którzy teraz po

u Kozaków. W r. 1772 w miesiącu lipcu, znajdujący się w stobodzie Ciernowce, dla wyleczenia się z choroby Kozak zaporozki z kuszczewskiego kurenia Grzegorz Pokityło, umarł, rozdawszy testamentem całe swoje mienie, i gotowizną 9 rs. naznaczył na pogrzeb swój. Summa ta była użyta jak następuje: 1) na wspominki: gorzałki za rs. 3 kop. 50; chleba za kop. 36; ryb za kop. 25; grochu za kop. 10; ogórków za kop. 15. 2) Na podzwonne dano 25 kop. 3) Na obicie trumny dano 30 kop. 4) Na stawnik (świecznik) o dwóch kurkach (świecach woskowych) i za sukno 17 kop. 5) Za 10 ewangelij odczytanych 1 rs. 6) Diaczkom za pogrzeb 10 kop. 7) Za ewangelie diaczkom 20 kop. 8) Ponamarowi za pogrzeb 15 kop. 9) Księdzu za pogrzeb 50 kop. Pozostały jeden rubel polecono oddać babie, u której Kozak mieszkał, i która go leczyła, a służącemu swemu 80 kop. które on użył na nabożeństwo za swego pana, i na obiad biednym. Dwa swoje konie oddał: jednego za kulbaką dobrą i całym przybozem cerkwi Cudotworcy Mikołaja, a drugiego księdzu.

zółd do stolicy posyłają się, do Kijowa złoto przysłane będzie." Prosił on zarazem o wskazanie, komu by wykonanie téj pracy poruczyć można było. Ten pomnik nabożności Zaporozców, pisany był 1 maja 1775 r., to jest na kilka dni przed upadkiem samym kosza, o którego blizkiem zniesieniu, sławne wojsko zaporozkie ani pomyślało kiedy.

W każdym razie, szacunek głęboki dla cerkwi i duchowieństwa wyraźnie się objawił. Jeszcze jeden na to dowód: W r. 1768 wojskowy asał Sidor Biały, z obowiązku swego objeżdżając palanki, przyjechał do Nowosielca, gdzie zwykle samarska starszyzna mieszkała, i ztąd napisał do kosza: „Dowiedziałem się ja, że przybyły z Jerozolimskich krajów z klasztoru świętego Jana apostołskiego jeromonach Neofit, mając przy sobie święte relikwie, w Nowosielcu za zbieraniem jałmużny już od dwóch lat siedzi, a nie bywając jak to jest jego powinność w cerkwi, siebie w bezprzestanném wielkiém pijanństwie nurza, a święte relikwie w poniewierce zostawia. Dlatego ja sam personalnie zobaczywszy, że w saméj rzeczy tak jest, tego jeromonacha dopóki nie wytrzeźwieje pod dozór, a święte relikwie do nowosielskiej cerkwi wziąć rozkazałem." Potém tego zakonnika z całym jego mieniem, a święte relikwie w umyślnie na to przygotowaném schowaniu, odesłał do sicy. Kosz widząc, że mnich miał paszport od Serafina patriarchy konstantynopolitańskiego i od rosyjskiego feldmarszałka hrabiego Buturlina, jak również i formalne pozwolenie od wojska na zbieranie jałmużny, na schadzce postanowił wypuścić go, wyprawić do jego ziemi, dawszy mu przytém fundusz na drogę.

Drugi przykład jeszcze lepiej i żywiej potwierdza ów głęboki szacunek Zaporozców dla cerkwi i ich namiętność ku upiększaniu cerkwi i okazałości w odprawianiu służby Bożej. W r. 1769 przybył do sicy z Kijowa za najwyższym zezwoleniem Anatoliusz biskup Miletu, który przebywał w Petersburgu i ztamtąd powracał; wojskowa starszyna, a jeszcze więcej towarzystwo, które nigdy nie widziało, jak taki archirej odprawia służbę Bożą, tak się zachwyciło nim, że zaprosiło biskupa do pozostania nazawsze w sicy, do przyjęcia pod swój zarząd nizowej owczarni, i w tym celu sprawiło bogate naczynia cerkiewne i wszystko, co do nabożeństwa było potrzebne. Wiadomość o tém wkrótce doszła do Kijowa i do Petersburga. Najświętszy synod przez hetmana Razumowskiego natychmiast zawiadomił kosz, że chociaż biskupowi Anatoliuszowi, dla niektórych politycznych przyczyn dozwolono mieszkać w sicy do pewnego czasu, ale mu, jako odłączonemu od ruskiego kościoła, nie tylko archirejskie, ale nawet każde inne odprawianie służby Bożej jest wzbronione. Wojsko nadzwyczaj się zmartwiło tym rozkazem, ale natychmiast wyprawiło biskupa z sicy, zasypawszy go gościńcami i pismami, a donosząc hetmanowi o jego odjeździe, nie mogło powstrzymać się, aby nie wynurzyć uczuć swoich i nie uczynić uwagi, że „widokiem odprawiania służby Bożej przez archireja, całe zaporozkie nizowe wojsko bardzo było rozradowane. Że zaś to miasto (sicz) leży blisko granicy, to też przez wielość przybyłych obcego narodu ludzi, chwała Boża wielką korzyść przez to miała.” (Raport koszowego Aleksieja Bielickiego, zdany hetmanowi d. 24 grudnia 1759 r.).

Korz w swoim opowiadaniu, wspomina także o zaporozkiej cerkwi. Oto kilka wyjątków z jego ciekawej opowieści: „Między zaporozkimi obyczajami, były także i nabożne obrzędy, odnoszące się do chrześcijańskiego zakonu i różnych cnót, albowiem między Kozakami wielu było nabożnych, nadzwyczajnie lubiących chodzić do cerkwi: upiększali cerkiewne obrazy, sprawiali (sic) bogate chorągwie, krzyże, zbogacali różne sprzęty, i potrzebne do służby Bożej narzędzia w cerkwi, zwykle drogiemi kamieniami wysadzać i wspaniale wyrabiać kazali, tak, że w całej Rosyi zaledwie gdzie była zaopatrzona która cerkiew lepiej od zaporozkiej; szczególniej pod względem dostatku cerkiewnego, to jest piędziężnej kasy, z tój przyczyny, że Zaporozcy byli bezżenni, mieli wiele tysięcy piędziży, wiele bydła i koni po zimownikach. Wrazie śmierci Kozaka, cały jego majątek przechodził na cerkiew siczową i na monaster samarski. Cerkwie klasztorne i siczowa były drewniane bez ogrodzenia. Przy ostatniej znajdowała się wielka i wysoka dzwonnica z czterema oknami, w których stały armaty tak dla obrony od nieprzyjaciół, jak i dla strzelania w czasie wielkich cerkiewnych świąt, szczególniej w dzień Wielkiej Nocy, w dzień Trzech Króli, w dzień założenia cerkwi d. 1 września i t. p. W czasie święcenia wody d. 6 stycznia, Kozacy ze wszystkich kureni i z poblizkich pałanek i zimowników, konni i piesi, w zupełnym uzbrojeniu, w najlepszych sukniach, zbierali się podług kureni naokoło cerkwi, ze swojemi chorągwiami, na koniach żywemi i bogatemi farbami umalowanymi, i artylerya kozacka była tam także. Kiedy zbiorą się w cerkwi, to takie wielkie mnóstwo narodu bywa, że zajmuje nietylko całą przestrzeń miejsca około cerkwi, ale i cały obszer-

ny miejski rynek. I stoi całe wojsko, konnica i piechota w ścisłych jak mur szykach, z odkrytą głową aż dotąd, dopóki się liturgia nie skończy. Po jej skończeniu, proboszcz jako główna osoba, wychodzi z cerkwi z krzyżem, za nim wszyscy zakonnicy i księża parami, i z obrazami, i święcami szli na Dniepr odprawiać Jordan. Całe zaporozkie wojsko, wolnym krokiem podług kureni szło za nimi, i rozkładało się po brzegach rzeki. Kiedy proboszcz zanurzał krzyż w wodę, to wszystkie armaty i wszyscy mający broń palną dali trzykrotny wystrzał, a po skończeniu ceremonii długo jeszcze strzelali, jak się komu podobało, i wtedy wracali do siebie." Bardzo właściwem jest wspomnieć tu o jednym jeszcze religijnym zwyczaju u Zaporozców, to jest: o wypominaniu umarłych i poległych na polu bitwy. Zapewne w Pokrowskiej cerkwi była na to osobna tablica, bo są w archiwum dwie wzmianki o takiem wypominaniu. Pan Skalkowski szukał ich w téj cerkwi w r. 1845, ale ani ksiądz, ani starostowie cerkiewni nic o tém nie wiedzieli. W r. 1770 z pochodnego kosza przysłany był spis zabitych w bitwie pod Oczakowem „za wiarę i ojczyznę" Kozaków, z poleceniem umieszczenia ich w listę wypominanych, i odprawienia w siczowój cerkwi za nich nabożeństwa (panichidy), i takież nabożeństwo odprawiać we wszystkich zaporozkich cerkwiach. Potém do wszystkich komend posłano polecenia, żeby o wszystkich Kozakach poległych, takież same spisy i na tenże sam cel przesłane były do sicy. W r. 1773 naczelnik siczowych cerkwi Włodzimierz, pisał do wojskowego pisarza Jana Globy: „Za ś. p. Jana Burnosa byłego wojskowego sędziego, i zmarłego na wyprawie, nabożeństwo odprawione, i dzwonili, i psal-

terz czytali szkolnicy, i w tablice na coroczne wypomnienie, nazwisko jego wpisane."

Jeszcze jeden rys religijny Zaporozców leży w tém, że lubili namiętnie śpiew kościelny. Ponieważ pochodzili w zawiązku swoim z słowiańskiej krwi, to téż lubili pieśni kobzarzy i lirników, śpiewane przy dźwiękach bandury lub cymbałów; ale śpiew kościelny sprawiał im najwyższą radość. Kiedy mówić będę o zwyczajach i obyczajach domowych na Zaporozu, wspomnę, że kiedy koszowy i starszyzna znajdowali się 1771 r. w Kodaku, i zostali zaproszeni w gości do jednego świaszczennika, to autor dziennika pochodnego zrobił uwagę w opisanii przyjęcia, jakiego doznał koszowy i starszyzna, że jego wielmożność „i przez śpiewaków był hawiony”.

W siczy przy świętej Pokrowskiej cerkwi „na monasterskiem podwórzu” była szkoła, gdzie ochotników, szczególnież dzieci uczyli pisać i czytać. W niej był wyłączny oddział dla śpiewaków, zostający pod dozorem duchowieństwa.

Podług opowiadania naocznych świadków, znajdowało się tam zawsze około 30 dorosłych Kozaków, którzy poświęcili się w zawód posług cerkiewnych, to jest ustaników, zakrystyan, diaków, i czasem zostawali i dyakonami. Oprócz tego było w siczy 50 szkolników, mających swój osobny kureń, swojego osobnego atamana kurrenego i swojego kucharza. Zapewne przyjmowano tam dzieci Kozaków, przeznaczonych do wojska, i te nieszczęśliwe chłopaczki, których Kozacy porywali katolikom i żydom, żeby ich potem przechrzcic na prawosławną wiarę. Między innemi przywilejami, mieli oni wyłączne prawo kolendowania, to jest śpiewania hymnów świętych pod oknami siczowego towarzystwa, roznosić

zboże z powinszowaniem na Nowy Rok (1), a jaje w Wielką Niedzielę, dzwonić w dzwony, a czytać psalterz za umarłych i poległych w bitwie, przedawać kurki (świeće) i t. p., za co dostawali mnóstwo rozmaitych zapasów żywności, a przytém i pieniądze, które składały ogólną szkolną kasę, pod zarządem atamana. Ale ponieważ ci chłopcy chowani byli zawsze obyczajem żołnierskim, jak to zobaczymy z podziału corocznego żołdu cesarskiego, z którego widać, że i oni dostawali ołów i proch, jak i inni na stopie wojennej będący: mogli dlatego wchodzić w towarzystwo, szczególnież jako pisarze.

Najprzewielebniejszy Gabryel, teraz arcybiskup chersoński i taurycki, w swoich pamiętnikach o samarskim Pystynno-mikołajewskim monasterze, wydanych w Odesie 1838 r. opowiada bardzo szczegółowo jego początek, przemiany i całą historią. Mówi on, że w tym klasztorze za naczelnictwa księdza Teofana, przebywali zastarziali z zaporozkiej starszyny: były koszowy Filip Fedorów, były wojskowy tłumacz Jan Szwydki i inni. W r. 1735 mieszkał w tymże klasztorze i umarł wojskowy pisarz Dymitry Romanowski, i pochowany był tamże sędzia Mojżesz Suchy, i wiele innych ze starszyn.

Kończąc to krótkie obejrzenie stanu i życia religijnego Zaporozców, nie mogę nie zrobić jednej jeszcze uwagi: gdzie się podziały te cerkiewne bogactwa po zajęciu i zniesieniu sicy, która przecież wzięta była pod przywództwem prawosławnych naczelników, przez rossyjskie

(1) Ten zwyczaj kołody zależał na Zaporozżu na tém, że dzieci zamiast słownego powinszowania, rozsypywały w domu różne zboże pomieszane, mówiąc przytém: „Na szczęście, na zdrowie, na Nowy Rok, niech Bóg rodzi żyto, pszenicę, i wszelaką pasznicę” (paszę). Zapewne byłto zabytek słowiańskiego obrzędu kołody.

regularne wojsko? Pan Skalkowski widział opisanie zostających ciągle przy Potemkinie sprzętów, zabranych w siczowej cerkwi; ale opis ten mieści same tylko liche szczątki, niepodobne wcale do szczerze okazałych darów, jakie na ofiarę Bogu znosiło ciągle do swęj cerkwi prawosławne zaporozkie wojsko.

VI.

Sądownictwo i sądowe obyczaje Zaporozców.

Przedewszystkiēm trzeba zrobić tu uwagę, że wszystkie pozostałości piśmienne sądowe po Zaporozu, tyczą się samych spraw kryminalnych; z cywilnych zaś tak mało się pozostało, że z nich możemy tylko ten wniosek prawdopodobny uczynić, że ich wcale nie było, że sprawy cywilne odręcznie i ustnie rozsądzano, sposobem, jaki nam Korż w swoich opowiadaniach zostawił. Powtarzam więc, że dokumentów spraw cywilnych, to jest: tyczących się praw osobowych, praw własności, szkody, umów, pretensyj i t. d. bardzo mało pozostało, a i te są bardzo nowe, prawie wczorajsze, chociaż w formie swęj są zajmująco-oryginalne. Najlepszym pomnikiem dotąd znajomym było opowiadanie Korży, i dlatego w zupełności je tu powtarzam, chociaż żadnym innym współczesnym dowodem historycznym sprawdzić jego wiarogodności nie można. Dostyć jest przypomnieć sobie to, com powiedział o składzie wojska, jego duchu, pochodzeniu i działalności cywilnej, żeby przestać się dziwić, dlaczego niēma u nich sądowych rozpraw pod względem osobowości i stanu. Nikt nigdy na Zaporozu nie pytał się nikogo o akta urodzenia, chrztu i śmierci;

nikt nie przynosił z sobą i nie nabywał nieruchomości własności. Nie było sprzeczek granicznych wewnątrz kosza, bo w zimownikach „siedzieli” nad rzeczkami i razem posiadali niezmierne pola i łąki. Sprawy handlowe, o długi, o zabranie osobistego mienia albo zdobyczy na polowaniu i rybołówstwie, były zapewne, ale jak już powiedziałem, rozsądzone były poprostu, zdrowym rozsądkiem, słownie, jak to zobaczymy na przykładach, które tu przytoczę.

I. Sądownictwo cywilne.

1) *Sprawa o niesłuszne domaganie się pieniędzy*, zaczęła się w r. 1745. Były wojskowy pisarz, a potem właściciel ziemski w Małorossyi i towarzysz wojskowy (1) Aleksiej Pietrusza, będąc jeszcze pułkowym starszyną i pisarzem kałmuskiej pałanki, za karę za jakieś przewinienie zabrał Kozakowi mińskiego kurenia Stefanowi Czarnemu, co siedział w zimowniku na rzece Jelancyku, bydło i inne jego mienie. Kozak przybył ze skargą do pałanki, ale pisarza już nie zastał, bo ten pojechał na radę do kosza; dlatego obyczajem zwykłym, ów Kozak wzajemnie w jego mieszkaniu zabrał także bydło, oprócz tego rubel i 50 kop. piędziemi, burkę, i t. p. rzeczy. Po upływie kilku lat, kiedy Pietrusza opuścił wojsko i zamieszkał w Małorossyi, przez różne nieszczęśliwe okoliczności zubożał, a wtedy przyciśniony potrzebą, wspominał sobie Kozaka Czarnego, i za pośrednictwem hetmańskiego zarządu, zażądał zadosyćczenia od Czarnego, który wtedy był żonatym, i jako

(1) Co znaczył towarzysz wojskowy, obszerniej o tem mówiłem w art. „O hetmanach małorossyjskich” w Bibl. Warsz. z r. z.

pospolity człowiek mieszkał w samarskiej pałance, we wsi Czernieczomie. Wezwany do kosza Czarny, objaśnił jak się ma rzecz, i został uznany za niewinnego i wypuszczony; ale z rozkazu atamana koszowego Grzegorza Fedorowa, z uwagi, „że Pietrusza znajduje się w dokuczliwej nędzy i biędzie, z uwagi na jego dobrowolną i płaczącą prośbę”, dał mu 40 rub. sr. i wziął od niego własnoręczny na to rewers 2 czerwca 1756 r. w którym powiedziano: „Gdy Stefan Czarny dał tłumaczenie i uniewinnił się, to od pana koszowego przykazano ze wszystkiój mojej pretensyi (sic) 146 rub. sr. i 80 kop. zapłacić mnie (Pietrusze), tylko 40 r. sr. I że wyżej wzmiankowaną summę 40 r. sr. pieniędzy ja od niego otrzymałem, i na niego, Czarnego, nigdzie i w żadnym sądzie i prawie skarżyć nie będę (nie będę czołobitnik), w pałance samarskiej, przy pułkowniku Pietrze Szabelniku ze starszyzną, ten rewers mój ja dałem, i na nim się podpisałem”.

Zdawało się, że sprawa już zupełnie skończona; ale uparty Ukrainiec nie był zadowolniony z 40 rub. sr. i przez małorossyjską wojskową kancelaryą znowu domagał się nietylko pozostałych pieniędzy, ale i ukarania Stefana Czarnego. Kosz po drugi raz ściągnął pod strażą oskarżonego do kosza, i trzymał go kilka lat to w turmie, to za poręką na wolności; nakoniec widząc jawne ze strony Pietruszy krętarstwo, wydał następujący ostateczny wyrok:

„R. 1764, 22 lipca, na skargę wojskowego towarzysza Aleksiego Pietruszy, Kozak i mieszkaniec samarskiej pałanki Stefan Czarny, ściągnięty był przez rozkaz i konwojowany (sic) do kosza, i oprócz tego wzywano go jeszcze pod strażą do kosza razy kilka, który przed

sądem wojskowym był, i na doniesienie byłego atamana koszowego Grzegorza Fedorowa, że oni piérwéj między sobą zupełnie się pogodzili (sic), tak, żeby już do Czarnego, za odebraniem przez Pietruszę 40 rub. sr. zrzekł się wszelkiéj pretensyi, i żeby się na to podpisał, jako od niego nic więcéj żądać nie będzie; ale że on, Pietrusza, na tém nie przestając i nie wytrwawszy w słowie i w daném piśmie, jego, Czarnego turbuje (sic) niewinnie, kosz utrudza napróżno, bez najmniejszój przyczyny. Dlatego żeby na przyszłość, jeżeli Pietrusza znów sprawę wytoczy, po Czarnego więcéj nie posyłać, i zupełnie Pietruszę odsunąć z żądaniem: to dla wiadomości na wieczny czas do sprawy ich zapisano i podpisano, roku, miesiąca i dnia jak wyżej napisano". Tu następuje podpis pisarza wojskowego:

„Z rozkazu pana koszowego atamana Filipa Fedorowa, i wyżej wzmiankowanego byłego koszowego atamana Grzegorza Fedorowa, wojskowy pisarz Jan Głoba”.

2) *Wyrok w sprawie o dług.* „Rozkaz kosza, samarskiemu pułkownikowi Karpowi Hurtowemu z starszyzną. Kozaka i mieszkańca samarskiego Hryskę Białego, wprowadzona o niezapłacenie sprawa z mieszkańcami samarskiemi: Charkim Próżnym i Janem Syczkiem, przez nas przejrzana. A po przejrzeniu okazało się, że oni Charko Próżny, i Jan Syczek, powinni zapłacić jemu, Białemu, pieniędzy 46 rub. i 67 kop., jakie pieniądze Charko Próżny zaraz 23 rub. i 33 1/2 kop. zapłacić powinien, a Syczek za powrotem z Krymu w dom swój takowąż część, bez żadnego opóźnienia, zapłacić jemu Białemu ma. O czém do was, dla wypełnienia tego piszemy” 1772 r. grudnia 7.

3) *O wyprowadzeniu śledztwa.* Rozkaz (order) kosza, do wojskowego asaula *Teodora Zawieziona*. „Na skargę Kozaka i mieszkańca zarządu protowczauńskiej pałanki, wioski Bajbakówki, *Jakóba Gluchego*, na byłego atamana tamtejszego *Prokopa Samarskiego*, mając my za odebraniem tego zjechać do oznaczonej slobody Bajbakówki zaraz, i na skargę jego, *Gluchego*, z przeciwną stroną zrobić, podług samej sprawiedliwości dojrzałem okiem rozbiór; a kto się pokaże winnym, temu bez niczego rozkazać, pokrzywdzoną stronę zaspokoić, tak, żeby więcej o tém žaloba (skarga) nie dochodziła do nas”. 1772 r. 8 grudnia.

4) *O dawności posiadania (przedawnienie).* „Rozkaz wojskowemu starszynie *Andrzejowi Porochnie*. Ze *Samary* wdowa *Hanka Silicha* skarży się, że jej mąż mając potrzebę ogrodu, zajął na to miejsce w *Panczowem*, gdzie zasadził czarne i rodzące fruktowe drzewo, rozporządzając niém przez 13 lat swobodnie. Teraz zaś wy ją od tego odsuwacie, i jeżeli do tego dojdzie, że ją odsuniecie, to ona bardzo pokrzywdzona będzie, dlatego, że jest wdową i bez pomocy żadnej. Że zaś z tego przedstawienia pokazuje się, że jej mąż z nią tam przez 13 lat rozporządzał i zagospodarował swoją pracą, to i rekomendujemy wam, żebyście wy żalując się *Silichie*, w posiadaniu przez nią tego ogrodu nie przeszkadzali, i bez niczego powrócili. Jeżeli zaś tego miejsca potrzebujecie, to możecie wybrać tam, gdzie można, i zgodnie z porządkiem” 1774 r. grudnia 10.

5) *O umowach.* „Rozkaz wojskowemu starszynie *Lucyanowi Wielkiemu*. Wdowa *Popadia Nowa-Kodacka Akalina* skarży się do kosza, że ona dłużno wam 500 rub. zupełnie oddała, na co i kwit na papierze dostała od was.

Nie hacząc na to, wy żądacie jeszcze jakichś tam procentów, i za nie zabraliście jój bydło i konie. Ona przedstawiwszy wam kwit, dowodzi: że wy idąc na wyprawę dali jój 2000 rubli, pod tym warunkiem, żeby ludziom je wypożyczać, a o procentach umowy nie było. Ona wypożyczyła z waszych pieniędzy 500 rub. i odebrała tylko 200, a 300 przepadło; dlatego ona swojemi pieniędzmi tę stratę zapełniła (sic) i prosi, żeby koszt rozkazał bydło jój powrócić, inaczej ona zupełnie zrujnowaną będzie. My rozpatrzywszy jój zażalenie i kwit wasz w oryginale, w którym napisano 1774 r. kwietnia 27: „Ja niżej podpisany dałem ten kwit, mieszkanca Nowo-Kodackiej Akulinie, ojca Wasilija nieboszczyka żonie, na to, że ona mnie winna była 500 rubli. To ona mnie ich wszystkie zupełnie oddała, wyżej wspomniana Akulina. Na co się i podpisuje własnoręcznie krzyżem. Kozak kurenia diadkowego, Lucyan Wielki”; znajdujemy, że ona, Popadia, nie jest wam nic dłużną, i dlatego niesłusznie zatrzymujecie jój bydło i konie: to też rozkazujemy wam, abyście wy nie podawając na uniewinnienie żadnych wymówek, za odebraniem tego pisania zaraz zatrzymywane przez was bydło i konie jój Popadii Akulinie powrócili”. 1774 r. grudnia 8.

6) *O nierównem rozdzieleniu kary.* „Rozkaz wołoskiej slobody (1) naczelnikowi. Wołoszyn Atanazy skarżył się, że z niego były pułkownik w Kodaku Popowicz wziął pieniędzy 16 rubli za to, że jego kozy w bajraku na tę summę narobiły szkody (sic), a kozy były nie jego

(1) Wołoska sloboda powstała z osiadłych na zaporozkiej ziemi Wołochów i Mołdawian, a wziętych w niewolę przez Tatałów i odbitych przez naczelnika zaporozkiej flotylli Daniela Trzeciaka r. 1733. Istnieje ona dotąd pod nazwiskiem Wołoskich hutatorów przy mogile niewolnika, o 21 wiorst od Jekaterynostawia.

samego, ale i innych Wołochów: Jana, Dymitra, Eustachego i Wasila, a prosił, żeby i ci Wołosi byli pomocnikami w powróceniu jemu skarżącemu się Atanazemu w tę liczbę pieniędzy, wiele z nich na każdego i na Atanazego przypadnie, podług rozkładu; dlatego rozkazuje, żeby ze skarżącego się, obżalowane i pretendowane pieniądze 16 rub. sr. na równe części podzieliwszy, ściągnąć i oddać skarżącemu się za kwitem, jeżeli tak się rzecz ma jak on przedstawił” 1774 r. grudnia 3.

Z tych sześciu przykładów wywiedziemy prawdopodobne, a nawet pewne wnioski:

1) Widać jasno z tych spraw i sposobu ich rozstrzygnięcia, że wyroki kosza były w ostatniej instancji, bez apelacji. Wnet za wydanym wyrokiem, przychodziły do kosza doniesienia z pałanek, albo raport asaule wojskowego, że rozkaz kosza wykonany został. Jak już powiedziałem wyżej, asaul wojskowy był podług naszego sposobu wyrażenia ministrem policyi i sprawiedliwości na Zaporozu, i ciągle znajdujemy dawane mu poruczenia, albo wyprowadzić śledztwo na miejscu, albo wykonać wyroki rady, albo ścigać zbrojną ręką złodziejów, hajdamaków i grabieżców. W tych działaniach asaul miał sobie dodanego do pomocy wojskowego dobosza, którego znaczenie jest bardzo podobne do byłego w zachodniej Europie *Prevost*, urzędnika przytomnego zwykle przy wykucyach; czasem też bywało przy asaule po kilku atamanów kurennych.

2) Nasuwa się tu zaraz bardzo naturalne pytanie, na czém zasadało się sądownictwo i wyroki kosza? Powiedziałem już, że wyjąwszy pisarzy zaporozkich, żaden Kozak, nawet koszowy ataman nie był i nie mógł być piśmienny, jak mawiano na Zaporozu, czyli nie był nau-

kowo wykształcony; następnie nie było, bo nie mogło być praw zasadniczych pisanych, a wszystko opierało się na prawach zwyczajowych, podawanych tradycyjnie od niepamiętnych czasów i na zdrowym rozsądku. W tym względzie nikt tu na nich nie wpływał, ani Polska, ani Rosyja. Niema najmniejszego śladu, aby coś z praw dwóch tych po kolei nad Zaporozem stojących państw przeszło do Kozaków. Kosz powiada poprostu: „my rozpatrzyli. my tak postanowiliśmy”. Wyraz ten, tak święty na Zaporozu „*stary obyczaj*” miał tak ogromne znaczenie i powagę, że nawet w aktach urzędowych Polski i Rosyi do niego się odwoływano, i mówiono: „aby w tym, lub owym razie postąpić podług starego obyczaju”. Co się tyczy samego wykształcenia się pojęć prawnych na Zaporozu, oczywiście pokazuje się z przytoczonych wyżej przykładów, że:

1) Dowody piśmienne w sprawach bardzo były szanowane w koszu.

2) Że znajome już było także przedawnienie (*praescriptio*) i prawo pierwszego posiadania (*jus primi occupantis*).

3) Sprawiedliwość w wyrokach była zadziwiająca. Naumyślnie przytoczyliśmy sprawy samych prostych Kozaków, wytoczone przeciw starszynie wojskowej, a kosz zawsze wyrokował na stronę pierwszych.

4) Że nakoniec, chociaż w kancelaryjnym języku sądowym używano języka bardzo do polskiego zbliżonego, jak to na samych przytoczonych dokumentach widzieliśmy, ale mimo to pierwiastek prawa i sądu, był zawsze swój, przyrodni, patryarchalny. Zawsze jednak, chociaż zaledwie dojrzone, są ślady i tu wpływu Polski na Zaporozie. Dwa wyrazy „żałobliwy i obżałowany”, zamiast

ruskich *istec*, powód i *otwietsyk*, pozwany, są wzięte zupełnie z dawnego sądowego polskiego języka, ale dwa te wyrazy używane były w całej Małorossyi, kiedy do tamtej krainy w XV wieku wprowadzony był spolszczony statut litewski.

Jakąż tu rolę grał pierwszy urzędnik w Zaporozżu, po koszowym? wojskowy sędzia. Ze wszystkiego się pokazuje, że on rozbięrał sprawę, objaśniał ją i rady prawne podawał; koszowy decydował, a asaул wykonywał. Tyle o sądownictwie cywilném. Teraz przejdziemy do sądownictwa kryminalnego, już wybitniejszego, i obejrzymy je tymże samym sposobem.

II. Sądownictwo kryminalne.

Przytoczę najprzód kilka przykładów spraw kryminalnych, a potem zrobię kilka uwag nad jego duchem, i znaczeniem.

1) *Sprawa o obelgi*. „Rozkaz samarskiemu pułkownikowi. Mieszkanca samarska Anna Perechrystka, jak nam przedstawiacie, przez Kozaka kurenia kaniowskiego Teodora Malara zelżona o „nieprzystojność”; a ponieważ ten jej występki nietylko do niej, Perechrystki, ale raczej ku zbezsławieniu całego wojska zaporozkiego się tyczy, to wy go wygnali aż do powrotu naszego z Kodosku, dlatego wam pułkownikowi z starszyną rozkazujemy, owego Malara wyszukać i żeby drudzy takich nieprzystojnych złości robić nie odważali się, na strach innym, publicznie (sic) na bazarze kijami ukarać, i o wykonaniu tego zaraz nam raportować”. 1772 r. grudnia 7.

2) *Sprawa o napomnienie przestępców.* Wyjątek z sądowego śledztwa i inkwizycji, wyprowadzonej ze Stefana Czarnego.

„On Stefan Czarny, połączył się 1745 r. z dowódcą hajdamaków lewaskowskiego kurenia już umarłym Achtirą, i z nim będącemi trzynastoma ludźmi, z niemi niemały czas przeżył, przestając na chwytaniu bydła tatarskim czabanom. Gdy posłani od kosza do wspomnianego dowódcy i jego towarzyszy umyślni (po wielu na wielkich zagranicznych stepach szukaniach ich i nieznaledzeniu), żeby po stepie przestali się włóczyć i Tatarom krzywd czynić, i jeżeliby przyszli na dobrowolną pokutę w sicz bez niebezpieczeństwa, i na to, że włóczyć się i kraść nie będą w siczowój cerkwi wykonali przysięgę, to dlatego będą mieli przebaczenie w koszu. Wtedy on z przywódcą i innemi towarzyszami zaraz pojechali do sicy, i za przyjazdem, po dostatecznym wtedy byłego atamana koszowego i starszym ustnem napomnieniu, w cerkwi na nieczynienie już w przyszłości żadnych samowolności, przysięgli, od wszystkich w koszu rządowych i całego towarzystwa wojskowego; za wszystkie ich przestępstwa, ze względu na dobrowolne ich zdanie się na pokutę, zyskali przebaczenie.... a on Czarny zaczął żyć w Samarze, to jest w siole Nowosielicy na rzece Kilczynie i t. d. 1756 r. 2 czerwca”.

3) *Sprawa o zuchwałstwo przeciw pogranicznym władzom.* „W roku 1763 zażądani byli i wyprawieni do twierdzy stój Elżbiety trzej zaporozcy starszyny, dla oznaczenia granic i rozstrzygnięcia mogących powstać granicznych sporów. Jeden z nich, pułkowy starszyna i pisarz Andrzej Semionów, a po nazwisku Towstik, zauważywszy wiele nadużyć przy rozgraniczeniu, przeciwnych

duchowi najwyższych poleceń cesarzowej, protestował (sic) bez odwołania się do swoich starszych towarzyszy, i w przytomności generał-porucznika Melnugowa rzekł: „Czyż tu takie miejsce, że wszystkich gwałtem obdzierają?” Obrażony generał, nie chcąc sam być sędzią obwinionego, odesłał go do kosza. Starszyzna wojskowa, żeby okazać bezstronność swoją ku takim nieprzystojnym postępkom, osądziła Towstika: „przy zebraniu całego kosza ma być surowo naganionym, i podług *abyczaju* ma być przywiązany publicznie na bazarze do armaty przez cały tydzień.”

4) *O karach.* a) *Przez odjęcie części ciała.* „Włóczy się po Zaporozżu najemnik (najmit) Hrycko Kapusteńko, mający 25 lat życia, znajdując się na łowieniu ryb w kałmiuskiej pałance, służył przy zakładzie zaporozkiego Kozaka, korsuńskiego kurenia, Demka Kumpana. Dnia 24 marca wieczorem napił się pijany (upił się), i pokłóciwszy się o fajkę tytoniu z Zaporozcem Nikitą Taranem, uderzył go nożem. Widząc zaś, że go mocno ranił, przeląkł się, zaczął uciekać, ale ponieważ noc była bardzo ciemna, nie mógł nigdzie uciec. Przybiegłszy do rybackiego zakładu, ze strachu ukrył się był w rybną beczkę, ale na gwałt (sic) Tarana, zbiegli się drudzy Kozacy, i ujrawszy co zaszło, zaczęli czynić poszukiwania, a znalazłszy go w beczce, zrewidowali, i znaleźli w odzieniu nóż cały skrwawiony; wzięli go i trzymali całą noc pod strażą, a tymczasem dali znać jego gospodarzowi Kumpanowi, który dostawił go natychmiast do kałmiuskiej pałanki, a potem odesłano go do kosza i t. d.” Wyrok 1767 r. 8 sierpnia, ukarany na schadzce odcięciem jednej nogi.

b) *Kijami.* „Kozak płatniewskiego kurenia Iwan Pastryda służył w różnych zimownikach, i przy łowieniu ryb w Gardzie uczciwie aż do 25 kwietnia 1767 r., jadąc zaś do noworossyjskich słobód, zatrzymał się na noc w zimowniku na rzece Czarnym Taszliku, u zaporozkiego Kozaka. Tutaj z drugim upiwszy się (napiwszy się pijony), stracił zupełnie pamięć, i służącego tegoż zimownika, co poszedł ku jego wozowi, kułakami i duhą tak silnie bił, że ten trzeciego dnia umarł.” Wyrok d. 8 sierpnia 1767 r. na schadzce: ukarany okrutnie kijami i na pokutę oddany.

5) *Zmniejszenie kary.* Pewien mieszkaniec zaporozkiej wsi Liebiedynki, w protowczańskiej pałance, będąc obwiniony przez jakąś kobietę o grzech, który najsrożej karany bywa na Zaporozu, podpadł ciężkiej odpowiedzialności; mszcząc się za to, nie tylko ją zabił, ale nawet tyrańsko nożem pokrajał i w pałance do téj zbrodni przyznał się. Wzięty pod areszt i dostawiony do sicy, oddany został pod sąd: Oto wyrok kosza, udzielony wojskowemu starszynie Porochnie, dowodzącemu w zadnieprowskich pałankach: „Przysłany przy waszym raporcie w kosz, z zarządu protowczańskiego, wioski Liebiedynki, mieszkaniec Wasil Burkut, chociaż za jego w zabójstwie cudzej kobiety winę, podlegał karze śmierci... ale że ma u siebie małoletnie dzieci i żonę, i żeby one nie zostały się bez wyżywienia, po roztrząśnieniu jego sprawy w koszu, zamiast takiej przypadającej na niego za to kary śmierci, był tu okrutnie ukarany kijami, i odesłany do dawnego mieszkania na pokutę” i t. d. 1767 r. 8 sierpnia.

Zasługuje tu na uwagę ta okoliczność, że kiedy jeszcze wyrok kosza nie był wydany, kosz rozkazał woj-

skowemu asaule pojechać do wioski Liebiedynki, i zabrawszy bydło zabójcy, rozdzielić je, podług *obyczaju*, na trzy części: jedną dla kosza, jedną dla starszyny wojskowego Porochny, jako głównego miejscowego naczelnika, trzecią zaś część bydła, i cały ruchomy majątek winnego, który przypadł głównej starszynie w sicz, został oddany żonie jego na jej utrzymanie i dzieci jej.

6) *Kara pod szubienicą i poręczenie.* Zaporozki Kozak kurenia połtawskiego Maksym Szulga, kilka lat ciągle hajdamaczył, szczególnie zaś zajmował się kradzieżą koni w Polsce i Budzaku, ale w jednym szynku na rzece Sołance, gdzie się on ukrywał, został przez wojskowego asaula pojmany, i do sicz przywieziony. Oto wyrok na niego: „Po dostateczném ukaraniu kijami pod szubienicą, przez wojsko i świaszczenników wyproszony, i wypuszczony za poręczeniem 3 stycznia 1759 r”. Następnie zaraz poręczenie jego brata i innych towarzyszy, następującej treści: „Że jego, Szulgę, wzięli na poręczenie, że napotém kraść nie będzie, my w tém obowiązujemy się, i powinniśmy odprowadzić go do monasteru podług jego przyrzeczenia. Jeżeli zaś on, Szulga, znowu kraść zacznie, i na niego pretensya dojdzie, to my pokrzywdzonych wynagrodzić i jego wyszukawszy do kosza dostawić mamy”.

7) *Kara za sodomski grzech.* Wyrok na Kozaka, co się shańbił tém przestępstwem (który prawda natychmiast żałował za niego, i sam się do niego przyznał) był następujący: „Na schadzce przy pęgierzu postawiony, i kijmi na śmierć zabity. 1758 r. 16 lipca”.

8) *Pęgierz.* Ten słup stał przy samej dzwonnicy siczowej Pokrowskiej cerkwi, a kara skazująca na stanie

przy nim w obecności całego wojska, była najsromotniejszą dla Kozaka. Oto przykłady téj kary:

„W 1758 roku 11 czerwca, Kozak Gerwazy Roby za pobicie w pijaństwie poczynione, ukarany przy słupie kijami, i tam umarł.—Kozak paszkowskiego kurenia, Teodor Litwin, za ukradzenie drugiemu Kozakowi konia, do słupa w siczy był przywiązany”. Taż sama kara wyznaczona była na dezserterów, którzy w czasie wojny samowolnie od swoich proporców (sic) uciekali na step, pod pozorem prac gospodarskich. W r. 1770 koszowy pisał do wojskowego sędziego: „Dezserterów zbiegłych z ekspedycyi (wyprawy) ukarawszy na bazarze kijami, trzymać u słupa aż do powrotu mojego do siczy”.

9) *Kara śmierci.* Mówiąc o składzie i rządzie wojska zaporozkiego, powiedziałem, że koszowy był głównym sędzią i najwyższym naczelnikiem wojska, tak, że jego wyroki nawet skazujące na śmierć, bez żadnej apellacyi wykonywane były. Odwołać się od nich nie można było nigdzie, ani nawet do najwyższej władzy, a tém mniej do hetmana małorossyjskiego, który we wszystkich stosunkach Kozaków zaporozkich z Polską a potem z Rosyją, był jedynie tylko pośrednikiem, a i to w niektórych tylko razach: bo kosz zaporozki zawsze sam w imieniu swoim bezpośrednio przez posłów swoich z Polską i Rosyją się znosił.

Rosyja wprawdzie chcąc na swój ład przekształcić pomału Kozaków, surowo rozkazywała, szczególnież ukazem z dnia 13 marca 1749 r. aby takie wyroki posyłano do potwierdzenia do wyższych władz; ale mimo to trwały one aż do końca istnienia Zaporóża.. Pan Skalkowski w odszukaném przez siebie archiwum kozackiem, o którym tyle razy już mówiłem, znalazł cały spis urzę-

dowy, przedstawiony przez kozowego Pawła Kozielowskiego granicznej kommissyi ustanowionej w Bachmucie, dla rozstrzygnięcia sporów dońskiego i zaporozkiego wojska, 17 listopada 1747 r. w którym wykazano, że:

1) Kozak Iwan Pokutiło w 1744 r. został powieszony przy siczy.

2) Kozak Suchy, za kradzież kijami na śmierć w Samarze 1746 r. był zabity.

3) Kozak Paweł Szczerbina w tymże samym roku w samarskiej pałance był powieszony, a trzech innych w siczy także powieszono.

W roku 1770, ponieważ armia rosyjska była obecna w Zaporozżu, i głównie dowodzący nadzwyczaj pilnie strzegł wszelkich ruchów zaporozkich, to więksi przestępcy byli już wysyłani przez pograniczny rosyjski zarząd na Syberyę, to jest do robót w kopalniach lub fortecach. Mimo to w 1770 r. 11 sierpnia Piotr Kalniszewski ataman kozowy, pisał z kosza pochodnego do sędziego Brzuchowieckiego o Kozaka złodzieja Zimę: „Ponieważ on Kozak Zima zasłużył na karę śmierci, rozkazać podług ogólnego wyroku, ohwiesić w protowczańskiej pałance na rzece Oreli, gdzie on przestępstwa czynił.”

10) *Ciekawy wyrok o poręczeniach.* W liczbie wyroków kryminalnych, znajduje się jeszcze jeden następujący, bardzo oryginalny pomnik, który wydał mi się tak ważnym, że go w całości wypisuję: „W 1755 roku 29 września, od nas niżej podpisanych atamana kislakowskiego kurenia, Samuela Szczerbiny z towarzyszymi, dane to w kosz wojska zaporozkiego niżowego atamanowi kozowemu Grzegorzowi Sierce pismo, że przyjęliśmy my Kozaka kurenia kislakowskiego Kiryła Piśmiennego,

trzymanego w prochowni pod strażą, za jego z przyczyny hajdamactwa przestępstwo, na swoje utrzymanie, za naszym poręczeniem, i że on podług potrzeby i wezwania dostawiony przez nas będzie, a najwięcej, że on od tąd kraść już nie pójdzie, i nigdzie ze złodziejami wspólnictwa żadnego mieć nie będzie, w tém obowiązuujemy się. Jeżeliby zaś nad spodziewanie i przez naszą nad nim nieopatrność w jakim podejrzeniu mógł się znowu ukazać, wtedy my niżej podpisani podlegamy wojskowemu sztrofowi (sztrof, kara pieniężna), i za niego Piśmiennego odpowiadamy. Chociaż za jego winę wypadałoby go pod strażą w prochowni z innymi przestępcami trzymać, i podług wojskowego obyczaju sztrofować (karać), jak to nawet przez wojskową starszyznę postanowione było; jednakże, jako on Kozak Piśmienny wielu Kozakom i postronnym ludziom na niemalą summę pieniędzy zadłużył się, to Kozacy zaporozcy wedle obyczaju swojego, a raczej z jakiejś ku niemu złości, zamierzają zebrawszy się, jeżeli on do prochowni oddany będzie, jego jako złodzieja na śmierć zabić. A gdy zabity będzie, to kureniovi naszemu płacić za niego pieniędzy na niemalą summę przyjdzie napróżno, i dla téj bardzo ważnej przyczyny, aby na niego taka śmierć nie przypadła, uprosiliśmy my Jego Miłość atamana koszowego Fedorowa i starszyny wojskowej, pod wyżej opisaném zobowiązaniem się, na poręczenie nasze, jego, Kozaka Piśmiennego wypuścić, i wypuszczono; i według obyczaju naszego, jako starszynie wzmiankowanemu panu koszowemu Fedorowi, przyjąwszy do rąk wyżej pisanego złodzieja, iż ataman z towarzystwem, daliśmy za jego trudzenie się jednego czerwonce, i daliśmy go nie ze złodziejskich, a z kurenych pieniędzy, i za to, jeżeliby mogła

jaka turbacya wyjść, my sami odpowiadać będziemy."
Następuje podpis.

Z przywiedzionych dotąd przykładów kryminalnego sądownictwa i wyroków kosza w Zaporozu, widać, że postępowanie prawne było proste i bardzo krótkie. Przestępcę trzymali w prochowni lub więzieniu, i przyprowadzali do badania, dopóki nie przyznał się do winy. Prochownia było pewny rodzaj piwnicy, gdzie przykuty do armaty przestępca, uważany był jako w „sekwestrze” (nie na wolnej nodze), i czekał tam gorzkiej swęj doli. Powiadam gorzkiej, nie bez przyczyny, bo aresztanci musieli w wilgotnej owęj piwnicy naciepić się głodu i zimna, tak, że wielu z tego umierało, jak to w aktach ich sprawy zapisywano. Jeżeli przy badaniu napomnienie nie skutkowało, obwiniony szedł na tortury. Oto przykład takich tortur i pożytku z nich:

W roku 1774 jakiś młodzik Nikou chwalił się przed Kozakiem Borysem Szewcem, że on dostał spadek, za który postanowił sobie i jemu koni kupić, żeby na kampanią być gotowym, bo, dodał młodzik „jeżeli na wyprawę nie pójdziemy, to ponieważ panów wybijać będą, żeby i nam śmierć przez zabicie nie przytrafiła się.” Widać, że podobny zamysł już w 1768 r. kłut się na Zaporozu, bo Kozak Borys Szewc upiwszy się w Nowym Kodaku, rozpowiedział to w karczmie; starszyzna wzięła Kozaka w sekwestr i wprzód poprostu badała, a potém przez tortury, a na wyroku wydanym na niego, znajduje się następująca uwaga:

„7 kwietnia, tego Szewca gdy piérwszy raz badali batogami, to powiedział, cośmy wyżęj przytoczyli (powtórzył co słyisał od młodika); kiedy go przyprowadzili do naocznęj konfrontacyi z młodikiem i znów pytali, to nie-

szczęsny nie bacząc na batogowanie, rzekł: „że ja to ze swego strachu takie wyznanie zrobił, gdyż nic takiego nigdy nie było”; trzeci raz pytany (na tortury brany) powtórzył to samo, to jest, że on nic nie wie: od których to trzech tortur „on Szewe po czterech dniach i umarł w jamie” naiwnie dodaje wyrok.

Kiedy przestępca przyznał się do winy, to starszyzna na schadzce wydawała wyrok, który wojskowy pisarz w akta śledcze wpisywał; i takięto wpisy przytoczyłem wyżej oznaczonemi liczbami. Wykonanie sentencji (sic) wykonywał wojskowy dobosz publicznie na bazarze, przy szubienicy albo u pęgierza, albo partykularnie na schadzce, podług wielkości przestępstwa.

Jak w sądownictwie cywilném i jego charakterze, widzieliśmy zupełnie oryginalne postępowanie i rysy rodzime, tak samo i w sądownictwie kryminalném i jego charakterze tenże sam rys wybija i prostoła: żadnych formułowych i długich przewodów, żadnych obron i wykręcań nie widać tu, bo nie było prawa pisanego, a tylko prawo zwyczajowe, prawo rozsądku naturalnego, w którego naturze już leży to, że nie podpada żadnemu przekręceniu pod karą głupstwa i najobrazliwszój nielogiczności. Same nawet tortury nie znaczyły u Kozaków żadnych wyszukanych męczarni, a poprosto bicie; boby sprzeczném było, gdyby u ludzi sądzących się obyczajem przodków, obyczajem starym, obyczajem rozsądku, były męczarnie jak u zupełnie dzikich, albo u obłąkanych teoryami scholastycznemi; Kozacy ani tém, ani drugiem nie byli. Prawda, że kary ich kryminalne mają na sobie jakiś charakter grubości i brak uczucia człowieczeństwa; ale nie trzeba zapominać, że wypłynęły z charakteru i sposobu życia Kozaków, i dla-

tego téż i zgwałcenie wszelkiej reguły kozackiej, nie mogło tam za małą rzecz być poczytane, boby podkopywało towarzystwo, stojące tém jedynie, że się silnie w jedności w sobie trzymało. Dlatego zapewne wszelkie przestępstwa przeciw ogólnej kozackiej regule, wszelkie podburzania i bunty, karano u nich najsurowiej i najskryciej, zwykle w nocy, a ci nawet co wiedzieli o wypadku i o karze, nigdy o tém nie rozmawiali; udawali jakby nie wiedzieli, w tym celu zapewne, „aby zły przykład dółej się nie szerzył”, jak mówi Starowolski (1).

Przy takim natężoném uczuciu religijném, jakie na Zaporozu miało miejsce, wszystko inne przed niém ustępowało; nawet badania i wyrokowanie sądowe przerywano w pewnych dniach na praktykę religijną szczególnie poświęconych, chociaż nie byłyto uroczyste święta. W roku 1762, w kodackiej pałance przyaresztowano dwóch młodzików, podobno za zabicie jakiegoś mieszkańca. Na zapytanie pułkownika kodackiego, jak postąpić z aresztantami, kosz wydał następujący rozkaz: „A jako w terażniejsze postne dni, przy nastąpionėj piérwszej siedminy (tygodniu), śledztwa uczynić nie należy i nie można do końca tych dni, a przytrzymanych ojcowie żyjący w Kodaku są ludzie osiadli: dlatego rozkazujemy, obwinionych ojcom ich, aż do mającego w ich sprawie rozbióru, za pismem oddać na porękę, z tém, żeby oni na wezwanie gdzie będzie potrzeba, ich dostawili.” 1762 r. 21 lutego.

Przykłady spraw kryminalnych przytoczone przeze mnie, mógłbym w liczbie bardzo jeszcze powiększyć, aleby to nie dodało jasności przedmiotowi, a jedno-

(1) Institut. Rei militaris. L. III, C. 25.

stajnością znudziłoby i zmordowało; i te co dotąd wyliczyłem, bardzo dostatecznie wyobrażają obyczaje sądowe Zaporozża. Na zakończenie wypiszę jeszcze to, jak Korż w swoim opowiadaniu przedmiot ten wystawia: „Prawa i zakony zaporozkie, mówi on, podług których oni sądzili i rozstrzygali między stronami spornemi, są następujące”:

„Kiedy się trafiło, mówiąc dla przykładu, że dwa Kozacy między sobą pokłóć się, albo pobiją, albo jeden drugiemu po sąsiedzku szkodę uczynią, to jest: swoim bydłem potratują zboże lub siano, albo inną jaką krzywdę jeden drugiemu przyczyni, a między sobą nie mogą się pogodzić: to oba oni, kupiwszy w bazarze po kołaczu, idą pozywać się w pałankę, do której należą, i położywszy kołacz na stole, stawają przy progu, kłaniają się niziutko sędziom i mówią: „Kłaniamy się panowie chlebem i solą”. Sędziowie zaczynają się rozpytywać: „Jakie wasze dzieło (sprawa) panowie mołojcy?”. Wtedy pokrzywdzony mówi piérwszy, ukazując na swojego towarzysza: „Ot panowie, jakie nasze dzieło: ot ten mnie pokrzywdził, ot tyleto szkody swoim bydłem zrobił, a nie chce mi zapłacić, co wypada za wypaszenie siana i za wybój zboża”. Sędziowie zwracając się do oskarżonego: „Nu bratczyku, czy prawda to, co na ciebie towarzysz każe? (powiada)”, na co oskarżony odpowiada: „To co że panowie to wszystko prawda, że ja szkodę zrobił swojemu sąsiadowi i nie odrzekam się, ale nie mogę go zadowolić dlatego, że on za dużo odemnie żąda, a szkody nie ma tyle”.—Wysłuchawszy ich, pałanka posyła od siebie Kozaków dla obejrzenia szkody; po ich powrocie, jeżeli skarga okazała się sprawiedliwą, sędziowie mówili do oskarżonego: „No i coż ty bratczyku, czy zga-

dzasz się zapłacić szkodę swojemu sąsiadowi, czy nie?" Wtedy ten, co szkodę zrobił, kłania się znowu sędziom i odpowiada: „No cóż państwo, kiedy za dużo odemnie żąda; ja nie zgadzam się na zapłacenie, w woli waszój”. Sędziowie długo obie strony namawiają do pogodzenia się; jeżeli strony sporne godzą się, to sama pałanka sprawę ich rozstrzyga i odsyła do domów, jeżeli zaś oskarżony uprze się i nie pogodzi się w pałance, to ich odsyła do „siczy”.

„Kiedy prawujący się przyjdą do kosza, to jeden drugiego się pyta: „A co, do czyjegoż kurenia naprzód pójdziemy?” Poszkodowany mówi zwykle: „Chodźmy bracie do naszego kurenia”. „Nu, dobrze i do naszego kurenia” odpowiada pozwany. Wszedłszy do kurenia przedstawiają się atamanowi kurennemu i mówią mu: „Bądź zdrów bat'ku!” „Bądźcie zdrowi panowie mołojcy—odpowiada ataman—siadajcie”. „Taj nie, bat'ku, niema czasu siedzieć, my mamy dzieło (interes) do ciebie”. „No, mówcie jakie wasze dzieło”, pyta się ataman, a wtedy znowu poszkodowany opowiada cały wypadek, i swoje krzywdę, i jak się już sądzili w pałance. Ataman wysłuchawszy go pyta się oskarżonego, jakiego on kurenia, a dowiedziawszy się, woła chłopców (posługujących): „Pójdźcie zaraz, takiego kurenia atamana poprosić do mnie”. Kiedy ten ataman przybędzie i usiądzie, to pierwszy ataman pyta się go: „Czyto waszego kurenia Kozak?” Drugi ataman wypytawszy się o to Kozaka, otrzymuje odpowiedź: „Tak bat'ku, waszego kurenia”. Poczém znowu sprawa opowiada się, a ataman mówi jeden do drugiego: „No, co bracie będziemy robić z temi Kozakami?” A drugi ataman obraca się do nich: „Tak was już bratczyki i pałanka sądziła?” „Sądziła bat'ku”, odpo-

windają oni, i kłaniają się. Atamani namawiają prawujących się: „Pogódźcie się bat'enki, zadowolnijcie tu jeden drugiego, i nie morzcie (morzyć, męczyć) władzy”. Kiedy zaś oskarżony odpowie: „A cóż bat'ki, kiedy on zużdużo wymaga”, to atamani widząc jego upór, mówią do obu Kozaków: „No, terazże bratczyki pójdziemy wszyscy czterej do sędziego, co jeszcze powie sędzin?”. „Dobrze — odpowiedzieli Kozacy — poczekajcie tylko bat'ki, pójdziemy na bazar i kupiemy kołaczy”. Tym sposobem wszyscy czterej udają się do sędziego. Naprzód wchodzi atamani, kłaniają się i mówią: „Bądź zdrów panie dobrodzieju!” Sędzia odpowiada: „Zdrowi bądźcie i wy panowie atamani! proszę siedzieć”. Potém przychodzą prawujący się Kozacy, kłaniają się sędziemu, kładą kołacze i mówią: „Kłaniamy się wam dobrodzieju chlebem i solą”. „Dziękuję, panowie mołojcy za chleb i sól” odpowiada sędzia, i obracając się do atamanów, pyta się ich: „Coto są u was za Kozacy i jakie dzieło mają?” Jeden z atamanów rozpowiada po szczególe całą sprawę, wyrok pałanki i ich własny. Wtedy sędzia obraca się do oskarżonego: „Tak ty bratczyku, poszkodowawszy tego Kozaka, kiedy was już sądziła i pałanka, i atamani, i ja rozsądzam, abys zadowolnił poszkodowanego, a ty nie chcesz tego zrobić z uporu, chociaż ze wszystkich stron jesteś winien”. — Ale trafia się, że oskarżony nie chce przystać na ten wyrok, stoi na jedném upornie, i powtarza to, co i piérwój: „Ta cóż, dobrodzieju, kiedy zawiele odemnie żąda”. „Tak ty nie zgadzasz się bratczyku? „Nie dobrodzieju”. „No, teraz wy panowie atamani idźcie z nimi do kozowego, tam będzie im już ostateczny sąd i wyrok; idźcie z Bogiem panowie atamani, a wy bratcy zabierzcie z sobą i wasz

chleb i sól". „Da nie, panie dobrodzieju, my sobie kupimy inny na bazarze". „Zabierzcie, zabierzcie! — z gniewem powtarza sędzia — i nie zatrzymujcie atamanów, bo nie wasza jedna sprawa dla nich". Nakoniec zabrawszy swoje kołacze, Kozacy z atamanami idą do kurenia koszowego, wszyscy kłaniają się, mówiąc: „Zdrowy bądź wielmożny paniel". Kozacy położywszy kołacze, dodają: „Kłaniamy się wielmożnemu panu chlebem i solą" i zatrzymawszy się u drzwi, jeszcze raz się kłaniają, na co koszowy odpowiada: „Zdrowi bądźcie panowie atamani! Dziękuję mołojcy za chleb i sól; cóżto panowie atamani za Kozacy?". Atamani znowu rozpowiadają całą sprawę po szczególe. Koszowy zamyśliwszy się nieco, obraca się do oskarżonego i mówi mu: „No, jakże ty bratczyku myślisz skończyć z tym Kozakiem? Was sądziła pałanka, was sądzili atamani, was sądził i sędzia wojskowy, a teraz sprawa doszła i do mnie, a ja rozsluchawszy się, przyznaje, że pałanka sądziła waszą sprawę dobrze, co ja także potwierdzam; znajduję cię we wszystkiem winnym. Tak, cóż ty mi powiesz? czy ty zgadzasz się na wynagrodzenie pokrzywdzonego?" „Nie, wielmożny paniel zawiele żąda". — Koszowy powtarza głośno i z gniewem: „Tak ty bratczyku nie zgadzasz się?" „Tak, wielmożny panie, nie zgadzam się. U woli waszój". „No, dobrze" wstawszy i wychodząc z kurenia, mówi koszowy. Atamani i Kozacy wychodzą także, i kłaniając się, mówią mu: „Bądź zdrów wielmożny panie"! „Bądźcie zdrowi panowie atamani, i panowie mołojcy bądźcie zdrowi, a o nas nie zapominajcie" mówi koszowy, a wyszedłszy z kurenia zwołuje swoje dwornię: „Stróże, kijów". Sługi biegną i przynoszą kije w wiązkach. Wtedy wielmożny mówi: „No, kładź się,

już my ciebie nauczymy, jak prawdu robity i panów szanowaty". „Pomiłuj, wielmożny panie!” krzyczy wtedy Kozak nie swoim głosem. „Nie, bratczyku, niema już pomiłowania, kiedyś ty taki uparty. Kozaki! na rękach i na nogach siadajcie! Stróże! bijcie go kijami dobrze, żeby znał dlaczego klótnia zła". Kiedy kije zaczną między sobą rozmawiać, po tój i owój stronie, winny Kozak milczy, a słucha co powiedzą. I kiedy winnego już dobrze ucześnieją, to jest 50 albo 100 kijów dadzą, wtedy koszowy krzyknie: „Dosyc". Stróże trzymają kije swoje na ramionach, stoją jak żołnierze z bronią na straży, ale Kozacy przytrzymują jeszcze winnego, czekając ostatniego zasądzenia. Koszowy znowu obraca się do obwinnionego; „Posłuchaj bratczyku, jak ciebie pałanka osądziła, i ile poszkodowany żąda, zapłać mu, nie odkładając, natychmiast zapłać, przy moich oczach". Wtedy obwiniony odpowiada: „Czuje, wielmożny panie! czuje i gotów jestem wszystko wypełnić, co rozkażesz". Koszowy mówi dalej: „A chociaż cię wybili, to znoś to zdrów, żebyś ty nie dużo mędrkował i nie upierał się. A może ci jeszcze dolożyć co kijów?" Ale winny z krzykiem i jękiem odpowiada: „Będzie tego dla mnie dysyc, do śmierci nie będę przeciwie się, będę szanować państwo". Wtedy nakoniec koszowy hamuje się i rzeknie Kozakom i stróżom: „No, będzie, wstawajcie, a Kozaka na wolą puszczajcie, a kije na potém schowajcie".

Naumyślnie zachowałem sposób opowiadania Korzy przysłowiowy, bo jest charakterystyczny i bardzo malowniczy; a przytém widać jasno z niego prostotę i patriarchalność całego postępowania sądowego w Zaporozżu. Żadnych nigdzie pism, żadnych skarg, żadnych obron,

zadnych wywodów i badań piśmiennych; wszystko ustnie i wszystko od ręki, prędko i wcale niekosztownie.

Oprócz owego przykładu klójących się dwóch stron, Korz opowiada także jakie były główne kryminalne kary na Zaporozżu.

1) *Szubienica (szybienica)*. Były one stawiane w różnych miejscach nad większemi szlakami (drogami), prawie w każdej pałance. Przestępcy, doprowadziwszy go wierzchem (na koniu) pod szubienicę, zakładali węzeł na szyję i uderzywszy konia, wypędzali go, a nieszczęśliwy tym sposobem zawisł na sznurze. Czasem wieszali do góry nogami, czasem za żebro na żelaznym haku; i wisiał tak przestępca, dopóki i kości jego nie rozsypią się na przykład i strach drugim, i nikt go ztamtąd zdjąć nie śmiał pod karą śmierci.

2) *Ostry pal*. Byłto drewniany słup, wysoki na sześć arszynów i więcej, z żelaznym ostrym zakończeniem u góry, na dwa arszyny długim. Na ten pal wbijali osądzonego tak, żeby ostry koniec na pół arszyna wystawał plecami, i siedział na tym palu nieszczęśliwy dotąd, dopóki nie wyschnie i nie wykruszy się jak uschła ryba, tak, że kiedy wiatr powieje, to on kręcił się w kółko, i grzechotały wszystkie jego kosteczki.

3) *Kije*. Kije i to niebardzo grube, i podobne do biczu u cepów, które zboże młóca, dębowe albo z innego jakiego mocnego drzewa. Przestępcę przywiązywali albo przykowali do słupa w siczy lub pałance na rynku, wokoło słupa stawiali rozmaite napitki: wódkę, miód, piwo i brańę, wiele kołaczy, a zaraz obok tego i całe wiązki kijów. Osądzonego przymuszali do jedzenia i picia. Nakoniec każdy Kozak brał kij, i wypiwszy kielich (korak) gorzałki lub miodu, powinien był uderzyć przestępcę, dodając: Oto tobie wraży synu, żebyś nie kradł i nie rozbijał, my wszyscy za ciebie całym kurenem płacili” i takim sposobem osądzonego bili, dopóki na śmierć nie zabili.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODHALE I POŁNOCNA POCHYŁOŚĆ TATROW,

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejcznera.

(Dalszy ciąg)

Mur. Naprzeciw Młota Porońskiego, na drugiej stronie rzeki Poroniec, widać skupione domy wioski Mur, zamieszkałej przez bogatych soltysów, słynnych z tego na całym Podhalu; do tej zamożności stosuje się wiersz ich piosnki: „Bo murzańskie dziewczki siadają w pokojach.” Więcej jak ćwierć mili ciągnie się ta długa wioska środkiem wąskiej a głębokiej doliny; rzecz dziwna, że w niej nie masz ani jednego domu murowanego, chociaż nazywa się Murem. W końcu tej wioski nagle zwraca się droga na przeciwny bok góry, która tak nadzwyczajnie wydaje się pochyłą, iż zdaje się, że na nią niepodobna wjechać. Bez wątpienia konie z równiny nie wyciągnęłyby na nią nawet lekkiej bryczki, gdy tymczasem krepie koniki góralskie, wstępują pod górę z zadziwiającą łatwością, jakby ich to nic nie kosztowało; nie widać nawet na nich jakiegokolwiek zmęczenia.

Bukowina. Wstąpiwszy na obszerną, jałową, nadzwyczajnie pustą wyżynę, pokazuje się rozległa wioska Bukowina, około 3000 stóp nad poziomem morza wyniesiona. Wielka ta dziedzina (1), składa się z licznych kupek domów po różnych stronach rozrzuconych; jedne stoją na bokach zasłoniionych od wiatrów wyższym brzeżkiem, drugie chowają się po dołach. Tylko owsy i ziemniaki uprawiają tu mieszkańcy, ale pierwsze są nadzwyczajnie biedne, tak, że trudno pojąć, jakim sposobem zwraca się zasiów. Ziemniak (grul) Podhalańska jest tutaj tą błogą nieporównaną rośliną, od której zawisł byt człowieka i zaludnienie tych gór. Na drodze prowadzącej do Morskiego Oka, niedaleko Leśniczówki, wybudował właściciel Bukowiny p. Homulacz karcznię, w której znajdzie podróżny kilka porządných pokoi, i pierwsze potrzeby do życia. Miejsce to ze wszech miar dogodne jest dla zwiedzających Morskie Oko, bo najbliżej leży przy tém jeziorze; tutaj wreszcie zajmują się wprawni przewodnicy do téj wyprawy, znający wszystkie zakątki tych części gór; tu się wreszcie zajmują także konie i wózki, zdatne do podróży po drogach Tatrowych, które należą do rzędu najgorszych.

Własnymi końmi ani powozami nie można się puszcać do Morskiego Oka, kto nie chce być wystawionym na nieprzeliczone trudności. Bukowianie znają dobrze potrzeby podróżnych, są nader usłużni, a do tego ze wszech miar pewni. Chociaż Morskie Oko od Bukowiny jest na $2\frac{1}{2}$ mili odległe, jednakże do wygodnego odbycia téj podróży tam i napowrót potrzeba 15 godzin. Jeżeli widok na wioskę Bukowinę nie ma nic ponętnego,

(1) Tak nazywają Podhalanie swe wioski.

to przeciwnie widok na Tatry jest nader okazałym. Na przeciw sterczą najwyższe wierzchołki, wznoszące dumne swe szczyty w krainę obłoków, i widać długie grzbiety od nich wyskakujące, przedzielone głębokimi dolinami; ze wszystkich odznacza się dolina Spicmana ostremi turniami, i zdaje się, że wszystkie jej wierzchy są zbiorem samych skalistych iglic. Bardziej dziko-malowniczej doliny nie znam w tém pasmie. Obraz ten niemało podnosi czarny las świerkowy, rozpościérający się przed nią. Przy skręcie na południe, ciągnie się droga bujnym lasem świerkowym umajona, ale ten krojobraz nagle się zakrywa, i trudy po drodze nierównej czuć się dają dotkliwie, bo z jednego wału na drugi trzeba zjeżdżać. Wreszcie, gdy zstąpimy do doliny Białki, witają nas obszernie majowej zieloności polany. Dolina ta już jest w samym łańcuchu Tatrów, i ma wszystkie charaktery i fizyonomią Alpejską; niemasz tutaj obszernych błoi, tylko same łąki, lasy, skały, pomiędzy któremi przedzierają się szumiące strumienie. Na samym wstępie stoi na obszernej polance kilka szałasów; pasterze zazwyczaj oczekują tu na podróżnych, ofiarując co mają najlepszego w tych górach, t. j. kwiaty i poziomki. Owoc ten dojrzewa tutaj w lipcu i sierpniu, i tak jest doskonały, że większych a smaczniejszych nie widziałem nigdzie. Za temi polanami otwierają się najpiękniejsze widoki: na przeciwniej stronie Białki, wznoszą się ostrokregowate siwe skały, ozdobione jakby dla odjęcia im dzikości grupami świerków, tu i owdzie pozaczepianych; dalej widać na bokach tych gór ślady niezmiernego pożaru, który przed kilkoma laty zniweczył gęsty las, i dotąd jeszcze czernią się opalone pnie. Posuwając się w górę nad rzeką Biał-

ką, odgraniczającą Węgry od polskich krajów, a która niezmiernie wartko i prawie w samych małych wodospadach płynie, droga ciągnie się gęstym borem i staje się coraz dzikszą; gdy jeszcze nagle otworzy się przed nami równina kamienista, mamy przed sobą obraz największego zniszczenia, bo przed nami leży obszerna równina, okryta samemi białemi zaokrąglonemi głazami granitu, środkiem których płynie mała rzeczka Roztoka, biorąca początek w wysoko położonych jeziorach, nazywanych Pięć Stawy.

Poglądając w czasie posuchy na ten mały strumyk, nie można pojąć, jakim sposobem taka ilość tak wielkich kamieni tu się zwała; ale o gwałtowności jego przekonujemy się, gdy mały deszczyk spadnie w tych górach; wtedy strumień ten niezmiernie wzbięra, i podobny jest do wielkiej rzeki. Rزتokę dobrze znają mieszkańcy i wiedzą, jak jest niebezpieczną; przezorny Podhalaanin nie przejeżdża po wezbranój, i czeka aż wody jój spłyną. Niejeden zuchwały goral zginął w jój nurtach z końmi i wozem, i zaledwie daleko znalazła go żona w Białce albo Dunajcu. Od doliny Rزتoki pogorsza się niezmiernie droga; nieustannie trzeba się wspinać pod górę, która w kilku miejscach tak jest stroną, że się wydaje, iż niepodobna na nią wjechać; ale co jest niepodobieństwem dla zwyczajnych koni, to pokonywają koniki goralskie, i wyciągają wózki z pośrodku zwałonych granitów, tworzących tę szczególną drogę. Wzniosłszy się jeszcze na trzy stopnie wyżej, świerki widocznie karłowacieją, a na gałęziach osiadają szarawo-niebieskawe mchy, 3 do 4 stóp długie, nadające tym drzewom cechę zgrzybiałości.

W bliskości Morskiego Oka, powszechnie zatrzymuje się podróżna karawana, przy źródle płynącym z gruzu granitowego, dla orzeźwienia się źródlaną wodą. Do najwyższego stopnia zmęczeni wśród ogromnego upału, przybyliśmy tutaj, i tak została nam ta woda w pamięci, że mówiąc o pięknościach Morskiego Oka, ciągle wspominali towarzysze o źródle. Dwa razy mierzyłem jego temperaturę, i prawie jednakową znalazłem, to jest:

16 sierpnia 1839 r. $+ 4^{\circ}, 15 \text{ C.}$

7 września 1844 $4 \quad 25.$

Morskie Oko czyli **Rybie**. Odtąd jeszcze jest dobre ćwierć mili nader mozolnej drogi do naszego jeziora, stanowiącego granicę dla drzew; wyżej bowiem przestają rosnać. Wstąpiwszy na mały pagórek, nagle otwiera się nader wspaniały widok na Morskie Oko; Podhalanie właściwie nazywają je Rybie jezioro, albo przez skrócenie Rybie, od licznych pstrągów żyjących w jego wodach.

Szczególne nazwa Morskie Oko, powtarza się w kilku miejscach w Tatrach i w innych im przyległych górach, i zdaje się być raczej nazwą zbiorową, aniżeli jakiego pojedynczego jeziora. Jeziora mające ciemne, prawie czarne wody, zdała podobne do oka, zwykli tak nazywać mieszkańcy obdarzeni bujną fantazją. W Tatrach zachodnich pod górą Raczkowa, już Liptowie, na pochyłości południowej, małe jeziorko nazywają Morskie Oko; podobnie mają nazywać jedno jezioro przy Styrbie na Spizu. W niskiem pasmie, bardziej południowem, rozciągającym się pomiędzy Przeszowem a Tokajem, którego południowy koniec nazywa się Hegyallya, znajduje się także Morskie Oko.

Widok na to jezioro jest nadzwyczajnie pięknym i uroczystym; umysł przejmuje zadziwienie. W zwierciadle modrych jego wód przeglądają się nagie skały sterczących wirchów granitowych, przeszło 3000 stóp od niego wyższych, a których szczyty gubią się w eterycznych wysokościach; bok góry naprzeciwległej przepasują białe wstęgi śniegu, miejscami widać na nim i większe płaty, które ciągle topniejąc w czasie lata, zasilają spadające kaskady. Bok wschodni nie jest tak stromy; oddziela go potężny próg, na którym jest inne jezioro, zwane Czarny Staw; dalej dopiero wznoszą się znowu wyniosłe szczyty. Bok zachodni nie jest ani zbyt stromy, ani skalisty; okrywają go krzaki jasno-zielonej kosodrzewiny, jakby dla odjęcia dzikości temu krajo-brazowi. Na pierwszy rzut oka wydaje się to jezioro niezbyt wielkiem; jednakże rozpatrzywszy się dłużej, oceniamy dopiero jego wymiary, gdyż np. ludzi na drugim końcu chodzących zaledwie można poznać, i długo trzeba się wpatrywać, aby ich odkryć pomiędzy skałami. Według pomiaru nadleśniczego Kleina z Bukowiny, Morskie Oko zajmuje przestrzeń 56 włók i 441 kwadratowych sążni wiedeńskich; obwód jego wynosi 4200 kroków, szerokość 400 do 500 kroków, a długość 1600 kroków. Obwód jego jest dosyć foremnie owalny. Wody jak łaźnia przezroczyście nie powleka żadne obce ciało, żadna wodna roślina; zbliżka mają ów precudny kolor zielono-szmaragdowy, a zdala ciemnoniebieski jak powierzchnia morza; w szklance też sama woda jest jak łaźnia przezroczyista, i nie ma ani śladu zieloności lub błękitu. Błękitny kolor jest zapewne przy czyną, że upatrywano w tém jeziorze podobieństwo do morza, i wysnuto owe powieści daleko i szeroko opo-

wiadane po polskich krajach. O Morskiem Oku czyli Rybiem, z którego Białka bierze początek, opowiadają Podhalanie następującą powieść: „Jakiś pan płynąc okrętem na morzu Adryatyckiem, w czasie okropnej burzy rozbił się; sam ledwie życia nie stracił, a wszystkie jego kosztowności potonęły w głębinach morza. Smutny szukał nad brzegiem długo szkatułki pełnej drogich kamieni, ale nadaremnie. Podróżując po świecie, zwiedził Tatry i głośne Morskie Oko, i jak zwyczajnie czynią podróżni, płynął pełcią (tratwą) na niém urządzoną. Wtém nagle ujrzał różne kawały okrętu na powierzchni jeziora; zwinne jochasy złowili prędko te przedmioty, i z niemałym zadziwieniem przekonał się, że tutaj znalazła się jego szkatulka, która utonęła w morzu Adryatyckiem. Była ona wcale nienaruszoną, bo zawierała wszystkie kosztowności, i dodają zwyczajnie, że pod ziemią z morza tu przypłynęła”.

Jak dalece ta baśń wiarę znalazła po całym kraju, opowiem co mi o tém udzieliła osoba godna wiary. Za panowania Stanisława Augusta przysłano temu królowi z Morskiego Oka części tego okrętu, rozbitego na morzu Adryatyckiem, i dla osobliwości, te wielkie belki zostały w tutejszym zamku zawieszone, i były przystępne każdemu dla obejrzenia.

Wszystko to co prawią o połączeniu tego jeziora z morzem, o szkatułkach i częściach okrętu z niego добытых, jest piękném zmyśleniem; podobne bowiem połączenie jest wprost przeciwne zasadniczemu prawom fizyki. Według ścisłych obserwacyj barometrycznych, wyniesienie tego jeziora jest 4200 stóp paryzkich nad poziomem morza. Gdyby się to jezioro łączyło istotnie z morzem podziemnymi kanałami, musiałyby z niém mieć

jeden i tenże sam poziom, gdyż według praw fizyki, płyny znajdujące się w rurkach spółkujących, a za takie uważaćby wypadało morze i w mowie będące jezioro, układają się do równowagi, czyli przybiórają jeden i tenże sam poziom. Wysokość do której się wznosi płyn w jednej rurce, jest też sama, co i w drugiej. Wreszcie mierzyłem bezpośrednio głębokość tego jeziora i przekonałem się, że dno wszędzie można dotknąć; tylko rozmaita jest jego głębokość w różnych stronach: największa okazała się w okolicy skały zwanój Mnich, wznoszącej się naprzeciw szałas, gdzie dochodzi do 151 stóp paryzkich. Nawet można się przekonać z pewnością z czego się składa jego dno; w tym celu spuszczały ciężarek przytwierdzony do liny a obłany łojem, nabierał wyciski od mniej więcej grubego żwiru. Wreszcie wody Morskiego Oka nie są wcale słone; owszem, jestto napój, jaki tylko natrafiamy w wysokich górach. Z tego jeziora wypływa znakomita rzeka Białka, w której żyje zwyczajny pstrąg, właściwy słodkim wodom. Rozpoznawał go p. Ludwik Agassiz z Neufchatelu, niepospolity znawca ryb żyjących i skamieniałych, i uznał go zupełnie podobnym do żyjącego w strumieniach lepiej poznanych części Europy, a mianowicie na wyspach Wielkiej Brytanii, w Skandynawii, w całych Niemczech, Szwajcaryi i Francyi, w Tybrze i wodach przerzynających Lombardya. Jestto zwyczajny pstrąg łososiowy (*Salmo Fario*, *Lachsforelle*). W Morskiem Oku żyje jeszcze inny mały pstrąg odmienny od zwyczajnego, wraz z wielkimi dotąd niepoznanymi rybami. Te małe pstrągi porównywałem ze znajdującymi się w zbiorach zoologicznych w Berlinie i Mnichowie, i znalazłem je odmiennymi od dotąd znanych; wszelkie jest prawdopodobieństwo,

że to jest nowy, Morskiemu Oku właściwy gatunek ryby. Stojąc na pelci (tak nazywają Podhalanie tratwę z okrągłaków zbitą), widać na dnie mnóstwo snujących się wielkich ryb, 4 do 6 i więcej stóp długich. W tej zupełnie przezroczystej wodzie, mianowicie kiedy jej powierzchnia jest spokojną, można rozróżnić przedmioty aż do głębokości 20 do 30 stóp, które szczególnieją się wyraźnemi, gdy pada na nie promień słońca; wtedy widać każdą bryłę granitu, a między niemi żwiry i te wielkie ryby. Życzyłoby należało, aby jaki miłośnik rzeczy ojczystych, zajął się zbadaniem tych ciekawych jestestw. Niemaloby potrzeba będzie pokonać trudności w ułowieniu tych ryb, gdyż woda zupełnie jest przezroczysta, a za najmniejszym poruszeniem, sploszone kryją się w głębiach jeziora. Ale na wszystko znajdują się środki, byleby były chęci. Johasy paszący owce nad tém tajemniczém jeziorem, opowiadają o pokazujących się w czasie burzy strasznych potworach; bez wątpienia te wielkie pluskające się ryby, zwiększone w bujnej fantazyi górali, są temi mistycznemi istotami.

W miesiącach letnich, odwiedzają liczni podróżni to ze wszech miar ciekawe jezioro, słusznie uważane za najcenniejszy punkt w całych Tatrach. Nieraz wielkie zbierają się towarzystwa z 20 do 30 osób złożone, i ozywają nagle te samotne ustronia; wtedy wzbudzone echa przez liczne wystrzały z moździerzey, odbijające się od potężnych ścian skalistych, sprowadzają z przyległych szalasów pasterzy, którzy witają podróżnych, przynoszą im w darze kwiaty z najwyższych szczytów, mléko i sery, i opowiadają liczne szczegóły o sobie i o potworach Morskiego Oka. Aby podróżni mieli jakakolwiek ochronę, wybudował właściciel tej doliny i jej lasów p. Ho-

mulacz obszerny dom drewniany, zawierający wielką izbę dla gości, a kuchnię i sień dla służby. Prócz ścian, nie zostanie tu podrózny nic innego jak drzewo na opał, które sobie ściąć musi, czyste powietrze, wyborną wodę, cudne widoki i niezmierny apetyt, który własnymi zapasami musi zaspokoić. Obok domu, wystawił jeszcze p. Homulacz pomnik z żelaza lanego, wyobrażający popiersie p. Tasse, gubernatora Galicyi, na pamiątkę, że raczył odwiedzić te strony.

Nie masz wątpliwości, że najwspaniałej przedstawia się Morskie Oko w czasie jasnego dnia, kiedy promień słońca przyświeca, a przezroczyste jest powietrze; ale również zajmujące są zmiany przed nastąpić mającą burzą. Opowiem com doznał przy tém jeziorze wśród ciepłego dnia sierpniowego. Poprzednio przez kilka dni najcieplejszą była pogoda; rano, kiedyśmy się przebudzili w Młocie Porońskim z pierwszym brzaskiem, niebo było zupełnie czyste, nie pokazywała się najmniejsza chmurka, i cudnie pięknie wschodziło słońce z poza Tatrów, przyświecając w ciągu całej podróży do Morskiego Oka. Gdyśmy opływali po jeziorze, zaczęły się na szczytach pokazywać jakby różczką czarodziejską wywołane białe mgławce obłoczki, podobne do welonu unoszonego przez wiatry; obłoczki te bezustanku pojawiały się i znikaly, każdy późniejszy widocznie większą miał objętość, aż wreszcie znaczniejsze łącząc zaczęły się z sobą z sąsiednich szczytów, a zarazem spadły na nas zostających na jeziorze, wielkie pojedyncze krople. Jednakże wkrótce wystąpiło słońce w całej świetności, znowu spoglądaliśmy na te niebotyczne szczyty, gdy wtém grożący jakiś mrok coraz bardziej szerzył się po całej dolinie, jakaś nieodgadniona cie-

mność zwiększała się co chwila a chociaż słońce jeszcze świeciło, widocznie zciemniało się wokół, chociaż za ledwie była 1 po południu. Zbliżające się chmury sprawiły to zaćmienie widokregu; wkrótce mgła do dymu podobna wypełniła dolinę, i okryła wszystkie przedmioty, wreszcie na szczyty nasunęły się ciemne obłoki, i odrazu spadły z nich wielkie krople, tak, że ledwie mieliśmy dosyć czasu zdążyć do szałasu; krople coraz się mnożyły, aż wreszcie spuścił się ulewny deszcz, kilka godzin trwający, wśród okropnych piorunów. Ile razy zdawało się że deszcz ustaje, tyle razy wracał z nową gwałtownością. Uderzania grzmotów są tutaj prawdziwie przerażające, bo trzaski ich przez odbijające się echa nie mają końca; nieraz zdawało się, że się skończyły, aż znowu dały się słyszeć, jakby z odległej doliny przybyły.

W przeciwieństwie z tym obrazem dziennym, opiszę dwie nocy w tém szczególniejszém ustroniu. Nocując w szałasie nad tém jeziorem, począł w nocy padać niezmierny deszcz, a gdy po kilku godzinach zmniejszył się, wśród zupełnej ciszy nagle dały się słyszeć zdala niezmierne huki, tak, że przebudziły nas ze snu. Bryły odrywającego się granitu od ścian prostopadle sterczących nad Czarnym Stawem, sprawiły te huki, i kilka razy potem powtórzyły się ponure, przytłumione trzaski. Wreszcie muszę wspomnieć o jednej nieporównanej nocy, jakiej doznałem nad Morskiem Okiem. Byłoto już na początku jesieni w dniu 7 września 1844 r. Gdy poznikały mgły oblegające wirchy, pokazały się wieczorem gwiazdy, a nad ranem wystąpiła wązka kosa księżycy. Niebo było nadzwyczajnie czystém, bo zdawało się, że gwiazdy były jeszcze raz tak wielkie jak zwy-

czajnie; wydawały one cudnie piękne, spokojne światło. Zrazu gdym wyjrzał, sądziłem, że ogromna góra wznosząca się z drugiejj strony jeziora, tuż jest przy szalasię, że znikła przestrzeń, którą oddziela jezioro. Ten szczególny widok, przy doskonałej ciszy, przerywany tylko szmerem wlewającej się wody do Białki, niewymownie miłe zostawił wspomnienia. Nie wątpię, że podobne nocne widoki, mogą nadać umysłowi zwrot ku mistycyzmowi.

Czarny Staw. We wschodnim boku zagłębionej doliny Morskiego Oka, na progu około 500 stóp wyżej położonym, rozpościera się inne jezioro, zwane Czarny Staw. Niktby nie sądził spoglądając z szalasu Morskiego Oka, że się tam mieści na obszerniej przestrzeni znaczniesze jezioro. Droga do niego nader jest utrudzającą; potrzeba się więcej jak pół godziny wspinać w górę na stromy, skalisty bok, na którym gdzieś rosną trawki. Niektórzy uważają Czarny Staw za właściwe Morskie Oko; nic tego wszakże nie usprawiedliwia, i jak wyżej wspomniałem, nazwa ta zbierowa odnosi się do Rybiego jeziora. Wszyscy Podhalańscy zawsze to wyższe jezioro nazywają Czarnym Stawem. Okropność jest jego charakterem; zdaje się, że tutaj życie zupełnie ustało, że tu dziedzinę martwój natury. Oko nie spotyka tu nic innego, jak szare ściany granitu, gubiące się w obłokach, i czarną wodę jeziora. Woda ta właściwie nie jest czarną, gdyż podobna jest do zwyczajnej; tylko spód torfowy nadaje jój tę ponurą barwę. Czarny Staw ma postać podłużnego czworoboku, i jest nieco mniejszy od Morskiego Oka; zajmuje przestrzeń 37 włók i 1481 sążni □. Na prostopadłych ścianach szarego granitu, wznoszących się nad tém jeziorem, widać tu i ówdzie żółte plamy; odmienny ten kolor pochodzi od odrywających się brył

od ścian. Skąły te odpadają najczęściej na wiosnę, bo woda wcisnąwszy się pomiędzy szczeliny granitu, przez zamrożenie powiększa swą objętość, rozsadza je, a gdy na wiosnę wraca do stanu płynnego, oddzielone skały odrywają się, i z hukiem wpadają do jeziora, zostawiając żółte ślady. A tak praca przyrody nieustannie zrównywa nierówności.

Dawniej aż do wysokości tego jeziora, to jest do wału wystającego nad niem, rosły drzewa, jak to świadczą białe sucharzo (tak nazywają mieszkańcy Tatrów stojące pnie zeschniętych drzew); drzewa te musiały oddawna umrzeć, bo nie mają na sobie ani śladu kory, z czego można wnosić, że tutaj dawniej panował cieplejszy klimat. Prawie na wierzchu wału, blisko kaskady, która odlewa wody Czarnego Stawu do Rybiego, wystawił biskup tarnowski Grzegorz Ziegler krzyż z lanego żelaza, z napisem: „*Hic non plus ultra, non supra nisi in cruce D. N. J. Christi. 1823.*” Krzyż ten jednakże nie sprawia najmniejszego wrażenia, gdyż zupełnie ginie, jakby drobnotka wśród tych olbrzymich szczytów.

Granica drzew przy Morskiem Oku. Szalaś Morskiego Oka ważnym jest dla geografii roślin; leży bowiem na granicy drzew Tatrowych, to jest świerków, jodeł i buków. Nasza sosna zwyczajna nie znosi ostrości klimatu, panującego na tych wyniesieniach; po ostatni raz spotyka podróżny to dobrze znane w Polsce drzewo w dolinie Dunajca przy Ludzimiérzu, gdzie wielkie a bujne lasy sosnowe, znaczniesze przestrzenie okrywają. Przy szalaśie o którym mowa, właściwie nie jest granica dla drzew Tatrowych, wznosi się ona jeszcze 150 do 200 stóp wyżej, a w innych częściach tego łańcucha, dochodzi aż do wysokości 4600 stóp. Przyczyna

tego zniżenia, pochodzi zapewne od zbytniego zacieśnienia doliny Morskiego Oka. Wśród świerków i jodeł, pokazują się tu po raz pierwszy rośliny znoszące jeszcze zimniejszy klimat; pomiędzy niemi odznaczają się krzaki do sosnowych podobne kosodrzewiny, tak zwanéj od jej łukowatych gałęzi do kosy podobnych. Botonicy nazywają kosodrzewinę *Pinus mughus* (Wahlenberg). Limba u Podhalan, u botaników *Pinus cembra* (Linneusz) dochodzi w Tatrach aż do wysokości 4800 stóp (1). Z wejżenia drzewo to jest bardzo podobne do naszej zwyczajnej sosny, ale bliżej przypatrzwszy się, wiele spostrzegamy różnic; i tak: śpilki ma wysmuklejsze, a w małych pochwach przy osadzie zawiera ich pięć, gdy tymczasem sosna tylko dwie; szyszki zaś są bardzo odmienne w dwóch tych drzewach: limbowe mają wielkość pięści dorosłego człowieka, a w nich zawarte nasiona podobne są do jąder laskowego orzecha, i równie jak te są smaczne. W ogólności limba rzadkiem jest drzewem w Tatrach; pospolicie stoi pojedynczo, tylko czasem kilka tych drzew rośnie obok siebie, nie okrywając jednakże znacznych przestrzeni, jak to bywa w Alpach. Drzewo limbowe należy do najlepszych w naszym pasie ziemi, gdyż nietylko nadzwyczajnie jest ściśłem, ale nadto przejęte wonną żywicą, odstrasza robaków. Dobrze zna jego własności Podhalanin, i dlatego staje się coraz radszem w Tatrach, tak, że zachodzi obawa, że kiedyś zupełnie zginie, i tylko wiadomość pozostanie o niem, że kiedyś tu rosło.

Okolica za Mnichem. Naprzeciw szlaku Morskiego Oka, sterczy skała zwana Mnich, która nawiasem

(1) Wahlenberg, *Flora carpathorum principalium*. Goettingae. 1814, str. 309.

mówiąc, nie ma i najmniejszego podobieństwa do postaci ludzkiej; ostra ta piramidalna skała ma około 300 stóp wysokości.

Za Mniczem, na godzinę drogi ku południowi, rozdziela się okrągła, zagłębiona dolina, prawdziwe morze kamienne, składające się ze samych zaokrąglonych potężnych brył granitu. Uroczystej ciszy tutaj panującej, nie przerywa żaden głos, tylko czasem daje się słyszeć mała piskliwa ptaszyna, gnieździąca się w kosodrzewinie, lub świstak (Marmotte), albo dziki kozioł, mieszkańiec tych wysokich dziedzin. Dalej postępując ku grzbietowi, rozdziela się drugie kamieniste zagłębienie do pierwszego podobne, a w samym końcu widać zmaląły grzbiet Tatrowy, do niskiego wału podobny, który dzieli Polskę od Węgier. Niktby nie sądził spoglądając się ztąd na niego, że się wznosi przeszło 6000 stóp nad poziom morza.

Kopalnia na Spisglancu. Na północnej pochyłości tego grzbietu, jest zarzucona kopalnia zwana Spisglanc, do której wiedzie nader stroma droga, obok smugi śniegu około 300 kroków długiej, a 10 szerokiej. Kto chce obejrzyć tę kopalnię, musi mieć wiele wprawy do chodzenia po niebezpiecznych górach, nie doznawać zawrotu głowy, bo łatwo może życie postradać. Pokład ten metaliczny jest zapewne żyłą przerzynającą granit, ale o tém nie można się teraz przekonać, bo kopalnię zawałiły nieprzeliczone bryły kamieni.

Z ułamków z niej wydobytych i jeszcze teraz leżących, widać, że wydobywano tutaj minerał zwany panabazem, zawierający w sobie miedź i srebro, a zapewne i części antymonu, od którego pochodzi nazwa Spiessglanz. Sądząc po rozrzuconych ułamkach zdaje się, że ten pokład

nie był obfitym, i dlatego wkrótce opuszczony został; gdyby w tych wysokościach był nawet bogaty kruszec, trudnoby przewidzieć, czyby się kopalnia mogła korzystnie utrzymać, albowiem niezmiernie przeciwności trzeba pokonywać, aby się koszta nakładu wróciły. Już sama odległość od miejsc zamieszkałych, niemało stawia trudności dla górników, a w zimie dostęp do niej zapewne jest niepodobnym dla ostrości klimatu, i niezmiernych śniegów, zalegających po dolinach. Sprowadzenie materiałów potrzebnych do odbudowania kopalni, stawia także nieprzebite trudności; drzewo tu już nie rośnie, i przytém nawet niema jakiegobądź drogi dla pieszych.— Im większe są trudności, tém większą mają ludzie wiarę do przedmiotów niedających się osiągnąć: to zapewne jest przyczyną, że Podhalańskie opowiadają sobie obszernie i szeroko o niezmierności skarbów w ich górach zawartych, o sterczących mnichach z litego złota, o corocznie przychodzących w te strony Niemcach, Czechach, Włochach, którzy przez kilka tygodni tutaj kopią skorby, a potem wychodzą niezmiernie obładowani. Nikt ich zejść nie może gdzie pracują; tylko przybywających niekiedy dostrzega zbłąkany pastérz. Nawet pisma o tém krążą pomiędzy niemi, wskazujące, jak się dostać do tych nieprzebranych bogactw, i niemałego pozyskać potrzeba zaufania, aż je udzieli. Aby mieć wyobrażenie o tym cudownym utworze góralskim, daję odpis z rękopisu, pochodzącego bez wątpienia z przeszłego wieku, który pisał człowiek obznajmiony z alchemią, nieraz bowiem są do niej czynione alluzye:

Trakt, którego Włoszy idą in secreto w góry krakowskie zwane Tatry. „Od miasta grani-

cznego Białą (1), do Kuperszadów (2), wzdłuż wody, która na Białą ciecze, gdy przyjdiesz na wierzchy, zostanie woda w dolinie po lewój, a na prawej ręce ujrzyś szłaś na strzelenie do zachodu. Idź za chodnikiem łąkami, między dwa wirchy do doliny, a tu będą trzy wirchy, turnie wysokie; idź tą doliną, z której woda ciecze na Białą i Kiesmark, a tu jest do Zielonego plessa (3); a gdy przyjdiesz łąkami między dwa wirchy ku jednemu korytu albo wałowi, ztąd idź chodnikiem aż do Czarnego-lasu."

„W tym lesie jeden potok na krzyż, który ciecze około owego plessa. Idź tedy chodnikiem na dwa strzelenia z chakawnice, a wychodząc z lasu, wnijdiesz na drugi szłaś podle chodnika, zwany pod Uplazem, nad Jaworowemi sady; gdy potem wychodząc z lasu i nie dochodząc szłaś, ciecze drugi potoczek krzyżem od lewój ręki; z doliny małej, obróć się do tego szłaś na lewą rękę potoczkiem do góry od doliny, a tak zostawiwszy szłaś na prawej, przyjdiesz chodnikiem do kosodrzewiny, gdzie na lewój stronie na dwa strzelenia ujrzyś Kołowe plesso. Idź kosodrzewiną wyrąbanym chodnikiem na sam rygiel, tam ujrzyś przed sobą opodal przed doliną, na drugiej stronie jeden szłaś; patrz dalej, ujrzyś przed sobą blisko jedną łączkę. po tej idź przez kosodrzewinę, aż przyjdiesz między rygiel; zostanie łączka na lewój, a po prawej wyżej ciebie są spady wysokie, z których woda ciecze do plessa trzeciego od Pol-

(1) Miasto na Spiżu, przy wpływie Białki do Dunajca.

(2) Góry zwane teraz Koperszady.

(3) Plesse, jest wyraz słowacki, znaczy jezioro. Zdaje się, że to Zielone jezioro leży na stronie węgierskiej, i nazywa się *Grüner See*.

skiego plessa; ten spad dalej w lewo będzie, który jest fałszywy; tym się wielu uwodzi, którzy nie mają prawdziwego opisanja, (opis, wyrażenie goralskie). Na tym spadzie są znaki, tych się masz trzymać, tojest: głowa, ręka, krzyż, sześć gwiazd wyciosanych na gładkiej skale. Na drugim spadzie te znaki: 3 ręki, 3 krzyże, 12 gwiazd, słońce, litery: T. M. W. P. Z. Z. Z. G. N. W. Ale się tego waruj wyjawić każdemu, boby każdy znalazł to miejsce; potem się obróć na dół, idź nad wodę, aż ci zostanie po lewej ręce lasek podle wody; opodal znajdziesz ognisko przyprawione, kędy my legamy, gdy niepogoda na nas przyjdzie. Idź w lewo na dwa strzelenia; po prawej ujrzysz przy samym schodniku jeden świérk, na nim wyrąbany taki znak W^W; idź przecie dalej, aż na jeden rygiel będzie chodnik, ujrzysz między dwoma ryglami jedną wymulę, którądy woda schodzi podczas powodzi; obróć się w prawo rygłem na górę, idź jakoby na dwa strzelenia z procy; na prawej ręce idź chodnikiem wyrąbanym w kosodrzewinie, a gdy się straci, idź na zachód, na ciśnienie kamieniem, ku jednej skale, która jest jak kopa siana. Na téj skale znajdziesz wiele znaków, miarkuj sobie gdy przyjdiesz do domu, abys trafił; najciężej przyjdzie na dwóch miejscach wleźć w górę; a ujrzysz dziwnie maluczką łączkę, na niej pagórek, gdzie cudzoziemcy wypoczywają i pokarmem się posilają. W lewą łączkę schodzi się ryglów siedm, a ty będziesz na boku, a między końcem tych ryglów jest Żabie jezioro, gdzie się rygle w jedno schodzą. Pierwszy rygiel od Zielonego plessa; drugi od Polskiego plessa; trzeci od Małego Kolbaczu; czwarty od Wielkiego Kolbaku; piąty od Wołowego plessa; szósty od Czarnego plessa; siódmy od Jaworowych sadów. Uj-

rzysz na zachód jedne wrota, albo fórteczkę wysoką jak dwa słupy, a tak spuścić się możesz; przykro się widzi, ale dobrze iść nią, bo się zda, że nie znijdziesz; dlatego z siedmiu tysięcy ludzi, ledwie jeden obierze tam iść ale i stary człowiek tam iść może. Jest tam wyrąbany chodnik, to sobie miarkuj, gdzie ujrysz jedną wodę, a to jest Żabie jeziorko; będziesz nad niém patrzeć, ale tedy wnijsć do niego nie możesz, ale musisz około pójść. Jest tam blisko wysoka turnia, a na niej mnich, jakoby go bardzo misternie wyciesał; a koło gardła jakoby złota pacęta, a to jest najwyższy znak od Pana Boga postanowiony; słońce skoro wynijdzie, najpierw mnicha oświeca. Pod tą turnią wysoką jest druga turnia wyższa, trzecia jeszcze wyższa, każda opodał od siebie, a na jednym ryglu stoją rzędem. Jestto dolinka Żabiego jeziorka najskrytsza. Pójdiesz chodnikiem prosto na dół ku jednej skale na jedno strzelenie po lewój, a gdy ku niej przyjdiesz, stań sobie, a patrz pilnie. Ujrysz pod sobą turnie, miarkuj sobie, jest jeden szeroki kamień, położony przy skale przez rozpadliny, a na nim głowa człowieka wyrobiona, a na drugiej stronie dołu jest most wyrąbany; po tym przeszedłszy, puść się na dół niedaleko rozpadliny, a ta rozpadlina będzie tobie po prawój; dobrze poznasz którędy tam ludzie przechodzili. Przeszedłszy, ujrysz kamień jeden szeroki czarny, na którym sobie cudzoziemcy ogień zakładają; pod tym kamieniem znajdziesz czekan, i gracę, i złoto jako groch i orzechy włoskie i większe, z wierzchu czarna łuszczka, a wewnątrz czyste (1); jeżeli tego nie chcesz brać, idź

(1) Zapewne kule siarczyku żelaza, czyli pirytu.

przeciwno temu turniejowi, kędy mnich stoi, ujrzyś dobrze, już cię tak uczyć nie trzeba, a tak idąc prosto ujrzyś lepiej jak woda spada, a dzieli się na dwie części; wyższy spad mały, niższy zaś większy, a trzeci największy, które spada tak wysoko, jak trzy lub cztery wieże kiesmarskie. Największy i najprzedniejszy spad jest jakoby pod się zawieszisty, a przez to zawieszenie idź u samego spadku; pod tém zawieszeniem jest dziura albo rozpadlina, a tu woda wpada albo do Żabiego jeziora, to jakoby koryto, podobne siennemu wozowi mało większe, jakoby je naumyślnie ciesał, a obok niego skały dziwne jak piec, a widzi się, jakoby miały upaść; między temi skałami jest wiele dziur małych, większych i wielkich. A gdy tam przyjdiesz klękni na kolana, a podziękuj Panu Bogu, iż ci tam dał dojść, i prosz, abyć dopomógł w zdrowiu wyniść, a używać i chwalić swoje Boskie sprawy i ubogim dobrze uczynić; a potym bardzo patrzaj, ujrzyś tam jedną dziurę, jest na łokieć od ziemi, do której najciężej wniść: znajdziesz garnek złoty, jako wina beczka, brunatny, jako szkarłat, a gdy odetchniesz, mieni się jako miódź najczerwieńsza. W tym garnku siedzi drogie kamienie *Carbunculas*, a ziarna są jak bób, groch i jako łaskowe orzechy, jak gołębie jaja, jak kokosze i gęsie; a gdy siekierą odetniesz, tak się wylupi kamień jak orzechy, ale daj kamieniom pokój, bobyś musiał z niemi chodzić do Wenecyi. Nabierz raczej złota coć Pan Bóg dał, na tym przestań. Potem idź pod spód do ziembka, skrzysz tam ognia, potem kołać czekanem albo siekierą, gdzie będzie bębniło otwórz, albowiem mocno bardzo zaprawiona dziura; wleź tam, znajdziesz po prawej ręce garnek złoty, jako piwna beczka, nakrapiany drogiemi kamieniami, którego jedno noszenie na

200,000. Co w nim jako groch, temu daj pokój; potem patrz, po prawej ręce jest tam drugi garnek złoty, jak winna beczka, ten rąb, a wynieś co możesz; tam sobie miarkuj, ujrzysz wyżej dwanaście stopniów wyrąbanych, wleź w górę, tam słup złoty stoi jako żywy, i w środku tego cmentarzyka, od tego słupa albo mnicha ciągną się promienie i odnogi złota na wszystkie strony przez te siedm rygle, jako od lasu odrastają młodniki i zaś wychodzą; tam jest słup srebrny albo matka drogiego kamienia karbunkuły; tam siedzi król Gregorius. Będzie świecić koroną swoją, która jest ze złota, srebra, karbunkułu (1), szafiru, dyamentu, rubina; to z drogiego kamienia, masz dosyć, nabierz, a Panu Bogu daj chwałę żeć dał takowe dury. Widzieć dalszy w tej rozpadlinie cmentarz, alem ja ku niemu dalej nie chodził; tam drugi mnich złoty wielki, a koło niego znajdziesz nakształt kury, gęsi, kaczki, orły, jastrzębie, wszystkie ze złota szczego ptastwo, przyrodzenie siedzące na jajcach złotych, a to jest matka pomiędzy temi jajcy; znajdziesz i wiele jajec z drogiego kamienia; to wiedzieć masz, jeżeli dojdiesz cmentarza, nie bądź łakomy, abyś znać matki którój z jajec nie chciał wziąć, nie czyn tego, bobyś zgrzeszył mając dosyć co innego brać, a ulakomiłbyś się na wielkie dziwy Boskie, które Bóg sobie ku czci i chwale zostawił i stworzył; albobyś z tego miejsca nie wyszedł, albobyś nigdy nie przyszedł, albobyś wpadł w wielkie nieszczęście; ale możesz wziąć z pod matki jajec co, a zostawić, niewszystkie zabrać, a gdy przyjdiesz znowu w rok, to wszystkie zastaniesz, bo ten tam skorb nigdy nieprzebrany; a to pisanie nazad do Żabiego jeziora

(1) Dyament.

ka przyszedłszy spal, albo je mocno zachowaj, ażeby do ręku złych ludzi nie przychodziło”.

Pięć Stawów. Dwie drogi prowadzą z Morskiego Oka do najwyższych jezior Tatrowych, nazywanych od liczby, Pięć Stawów: jedna przez grzbiet dzielący doliny Morskiego Oka i Roztoki; druga doliną Roztoki, od wyżej wspomnionego ujścia kamienistego téj rzeki. Droge ostatnią obierają pospolicie podróżni, albowiem jest wygodniejszą a bezpieczniejszą; mianowicie dla mniej wprawnych w chodzeniu po górach. Od Pięciu Stawów obierają podróżni pospolicie pierwszą, bo bliżej do Morskiego Oka.

Już była spóźniona pora roku, gdyśmy się dnia 6 września 1844 roku puścili do Pięciu Stawów doliną Roztoki. Pogoda nie nie zostawiała do życzenia, a powietrze nadzwyczajnie przezroczyste, poodślaniało nieprzeliczone wirchy, cudnie oświetlone; w pobliskich odróżnialiśmy każdy najdrobniejszy załamek. Za każdym krokiem na téj drodze, bogate różnaitością przedstawiały się widoki, jeden od drugiego cudniejszy.

Właściwie w téj dolinie niemasz drogi, tylko nieco szersza ścieżka, po której idą owce i konie obładowane sέραmi i mléczywem; prowadzi do szałasów stawiar-skich, znajdujących się na kamienistój równinie Pięciu Stawów.

Ta nadzwyczajnie dzika dolina, przedstawia obraz walczących pomiędzy sobą sił przyrodzonych. Boki jój nadzwyczajnie wysokie, wznoszą się od spodu parę tysięcy stóp wyżej; środkiem płynie w nieustannych spadkach szumna Roztoka, unosząc niezmierne kupy potężnych głazów; gęste lasy wypełniają całą dolinę, i wznoszą

szą się na bokach do pewnej wysokości; wyżej sterczą skały całkiem nagie.

Dolina ta bardzo jest nierówna, bo składa się z samych wałów, tak, iż każdy następny jest nieco wyższy, i tym sposobem podnosi się zwolna w górę.

Prawie w połowie drogi widzieliśmy, że rozpoczęto te niezmierne lasy zużytkowywać, przez zwęglanie je na miejscu; węgiel odwożą do huty żelaznej Zakopanego. W innych miejscach napotykaliliśmy dawniejsze poręby, a nieprzeliczone pnie okrywające boki gór, odbijały dziwnie od poważnej zieloności świerków.

Po wyrąbaniu lasów w Tatrach, jakby siłą czarodziejską wywołane, puszczają się zwykle na nowinie krzaki malin; czasem zastępuje je poziomka. Miłe te owoce dojrzewają dopiero w połowie lipca, i trwają często do końca września; nieraz na święty Michał przynoszą je pasterze zwiedzającym tę dolinę. Poziomki te szczególnie lubią rosnąć na wywrotach, na gliniastej ziemi, i odznaczają się słodyczą i wielkością nieznaną na równinach.

Co za przyczyna wywołuje do życia dwie te rośliny, zapytywano się nieraz, a chociaż przyczyna ta wydaje się nieodgadnioną, w istocie bardzo jest prostą. Nasiona malin mogą leżeć bardzo długo w ziemi, i dopiero gdy nastąpią sprzyjające im okoliczności, to jest otwarte powietrze i promień słońca, zaczynają puszczać kiełki i rozwijają się bardzo szybko. Łatwo można się o tém przekonać, wzięwszy nieco ziemi z gęstego lasu Tatrowego, gdzie od niepamiętnych czasów nie było śladu maliny lub poziomki, gdyż po dostatecznym jój wypłukaniu, znajdują się zawsze te nasiona w mniejszej lub większej ilości.

Postępując wyżej, przerzedzają się gęste świerki, i jak przy Morskiem Oku, wieszają się na nich siwe warkocze właściwego nitkowatego mchu. Pochyłe płaszczyzny okrywa trawa świeżej zieloności, jak nasze łąki na wiosnę, a miła ta barwa odbija dziwnie od potężnych ścian, najeżonych licznymi skałami, które noszą miano Szczoty, zapewne od podobieństwa do szczotki.

Nie dochodząc do Pięciu Stawów, pokazuje się szczególny wodospad. Z potężnej ściany skalnej, wydającej się prawie prostopadłą, na znaczniejszej wysokości, płyną równoodległe pasy wody, rozczepinające się widłowato, i następnie gubiące się odrazu w boku góry; nie widać nawet, gdzie się podziwiają te strumienie. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że woda dobywa się ze skały; ale bliżej przypatrzwszy się owej ścianie, spostrzegamy mały ustep, gdzie właśnie zbierają się wody w pewnym rodzaju małego morskiego oka, z którego wypływa ten również szczególny jak malowniczy wodospad, niemogący się jednak równać co do ilości wody i wspaniałością z wodospadem, biorącym początek w Pięciu Stawach, znanym pod nazwiskiem Siklawej wody. Strumień ten, 4—6 stóp szeroki, jest 150 stóp długi, i w wierzchniej części dzieli się na dwa ramiona, ale w $\frac{1}{3}$ wysokości łączą się i spadają prosto na dół jako jeden potężny pas, rozbijający się w pianę. Siklawą wodą jest najcenniejszym wodospadem Tatrowym; sownicie wynagradzającym wszystkie doznane znoje, które wypada ponosić przybywając do niego. Walka przeciwności z rozkoszami, nadaje właśnie podrójom po górach ten niewymowny urok, ten właściwego rodzaju przyjemności.

Wodospad ten równa się tylko z najslawniejszemi w Alpach i Pireneach, albo z owym licznie odwiedzanym

Staubach w Szwajcaryi, lub z wodospadem przy St. Martin w Sabaudyi.

Sikława woda jest początkiem rzeki Rostoka. Mały ten strumyk w czasie pogody powiększa się zadziwiającym sposobem, przez najmniejszy deszczyk. Z rozległych płaszczyzn na których leżą Pięć Stawów, i z potężnych boków tej doliny, spadają zewsząd wody, i wtedy z niewymowną nagłością wzbiera, porywając ogromne bryły granitu i z pędem niesie je do rzeki Białki, okrywając niemi znaczniejsze płaszczyzny.

Od spadku Sikławej wody do płaszczyzny Pięciu Stawów najtrudniejszy jest dostęp; trzeba się wspiąć na górę po nagiej skale, obok smugi śniegu. A gdy wreszcie po cztero-godzinnéj mozolnej podróży, dostaniemy się na obszerną dolinę Pięciu Stawów, zawiedzeni jesteśmy w oczekiwaniu, bo widok na nią nie ma nic zachwycającego, i nie może iść w porównanie z powabami doliny Rostoki. Na obszernéj kamienistej płaszczyźnie, świecą w pewnych odległościach okrągłe stawy, 6121 stóp nad poziom wysoko położone, nad któremi niema śmiało wznoszących się wirchów; zmałyły bowiem podobnie jak przy kopalni na Spisglancu, i wydają się jak niepozorne kopce, kilkaset stóp wysokie. W tej dolinie widać tylko tu i owdzie kupy kamieni, lub płaszczyznę zieloną: tylko przy piérwszém jeziorze, z którego wychodzi wodospad, rośnie kosodrzewina, odejmując tym sposobem w części posepność tej wyniosłej doliny. I tutaj nadzwyczajna panuje cisza, przerywana czasem piskliwym głosem ptaszyny, mieszkańca wysokich okolic. Aby krajobraz wzbudzał miłe uczucia, potrzeba nietylko skał uderzającej postaci, ale i bujnej roślinności: tego wdzięku życia, co tajemniczo

przemawia do duszy. Tego wszystkiego niemasz przy Pięciu Stawach, a przecież widok nań ma w sobie coś co przyciąga ujemnymi zaletami, jeżeli się wolno tak wyrazić, bo wywołuje smętne uczucia.

Najwyższy staw tuż przy samym grzbiecie, jest najmniejszy, i kształt ma kulisty. Często jeszcze w lipcu nie topnieją na nim zimowe lody, i dlatego nazywa się Zmarzły, okolice zaś *do Zmarzłego*.

Drugi staw jest owalny, małego większy od pierwszego.

Trzeci jest podłużny, tak szeroki jak pierwszy, ale nierównie dłuższy.

Czwarty większy od poprzednich, ma nieforemną, podłużną postać.

Każdy z tych stawów leży wyżej jeden od drugiego wśród niezmiernych kup głazów granitowych, a z jednego do drugiego ściekają wody w małych kaskadach.

Piąty staw najniższy jest i zarazem największym. Według wspomnianego nadleśniczego Klejna, zajmuje przestrzeń 64,080 kwadratowych sążni wiedeńskich. Z tego stawu wypływa strumieniem 10 do 12 stóp szerokim, najwspanialszy wodospad Tatrowy, zwany Sikkawa woda.

Zdawałoby się, że pomiędzy temi głazami tylko martwa panuje przyroda; tymczasem nawet tutaj są szalasy, nazywane Stawiańskie, w których stoją owce przez 4 do 6 tygodni, pasząc się po najwyższych szczytach, okrytych wonnymi ziołami; z ich mleka wyrabiają najlepszą bryndzę góralską.

Chętnie opuściliśmy tę straszną, głuchą pustynię, aby się udać do Morskiego Oka, drogą trudną do przebycia, miejscami nawet niebezpieczną. Nieraz mówiłem z oso-

bami, które ją odbyły, a te zawsze wspominały o niej z uczuciem zadowolenia, że miały tyle odwagi przejść po tych trudnych miejscach. Pokonanie bowiem niebezpieczeństw ma zawsze coś pojętnego, i w miarę większych trudności, jest bardziej przyciągającym.

Na drodze do Pięciu Stawów świeciło właśnie słońce z całą wspaniałością, i ciepło było nawet nieznośne, ale przybywszy pod Sikławą wodę, od czasu do czasu poczęły przeciągające mgły zakrywać słońce, osiadać na stawach i otaczających je wirbach, pomiędzy którymi odznacza się tak zwany Hruby wirch. Lecz wkrótce rozdarły się mgły, a widok był tém pojętniejszy, że nagle poodstaniały się różne części tego obrazu, i zdawało się, że spadła zasłona. Wśród téj walki ciemności ze światłem, gdy rozproszyły się mgły zupełnie, przewodnicy nasi osądzili, że możemy się udać na noc krótszą drogą do szalasu Morskiego Oka, przez dwa strome grzbiety Kopę i Świstówkę. Przeszło pół godziny z prawdziwą pracą trzeba się było piąć na grzbiet Kopy. Tymczasem z wolna zakrywało się słońce, a gdyśmy byli na przeciwnym brzegu, coraz gęstsze mgły napływały od północy, zakrywając odleglejsze wirchy, potem bliższe, aż wreszcie nie mogliśmy odróżnić przedmiotów, nawet na kilka kroków przed nami. Zimno i wilgoć dały się uczuć dotkliwie. Przewodnicy zaczęli się pytać o drogę, widocznie się wahali, a na domiar wszystkiego złego, ścieżka ciągnęła się po niezmiernych kupach kamieni i tak była mylną, że i najwprawniejszy mógł pobłądzić. Szczęśliwy traf chciał, żeśmy pozostali na dobrej drodze i stanęli na Świstówce, gdy mgły zmieniwszy się w wielokroplisty dészcz, opadły i zmaczały nas do nitki; ale

zawsze było nam jakoś raźniej, bo rozpoznawaliśmy otaczające przedmioty. Lecz nowa powstała trudność przy schodzeniu, bo trawy stały się nader ślizkimi, i ledwie można było postępować; wtedy przewodnicy musieli nas za rękę prowadzić, i niemało czasu kosztowało takie zstępowanie. Tymczasem mrok zapadł; szczyty były wprawdzie jeszcze dosyć jasnymi, w dolinie jednakże już noc panowała. Zupełnie było ciemno, gdyśmy przybyli do szalasu Morskiego Oka, i niemało było nasze zdziwienie, gdyśmy się znaleźli zupełnie suchemi. Sprawia to znakomicie rozrzedzone powietrze; warstwa bowiem o 4000 do 5000 stóp mniej ciężka, przyspiesza i ułatwia parowanie. Nieraz błota w tych stronach bywały niezmierne, w parę dni jednak wysychały, a często nawet niewiele trzeba było godzin, by poznikwały.

Droga na doliny Jaworynę Rusinową i Flipkę. Wracając z doliny Roztoki do Młota Porońskiego, obrałem inną drogę, nie przez Bukowinę, ale idącą u stóp Tatrów albo na ich pierwszych wyskakujących grzbietach, okrytych gęstemi, często nieprzebytymi lasami świerkowemi, czyli smerkowemi, mówiąc narzeczem podhalańskiem. Właściwie nie jest to droga, ale licha, często gubiąca się ścieżka, na której trudno konno przejechać. Kto chce tedy wędrować, niechaj będzie przygotowany na mozolną podróż pieszą, o której mało co godnego jest wspomnienia, bo wiedzie bujnymi lasami, w których nie postala siekięra od niepamiętnych czasów. Wyszedszy na grzbiet dzielący dolinę Roztoki od doliny Spiecmiana, można widzieć, ileto przewaliła burza owych lasów dziewiczych. Na znaczniejszej płaszczyźnie leżą powalone w najdzikszym nieładzie niezmierne pnie 40 do 50 stóp długie. Trudno sobie wystawić stra-

szniejsze zniszczenie. Niektóre pnie już zbutwiały, a rozsypanych się w próchno, dały materiał bujny z nich wyrastającym roślinom i licznym kwiatom, które odznaczają się żywą a piękną barwą. Wymienię tylko bardziej uderzające, jakoto: *Aconitum cammarum* i świecznik czyli *Gentiana centaurium* Linneusza, z kwiatem okazałym pięknego niebieskiego koloru, który się rozwija w połowie sierpnia. Inne pnie powlekają mchy zielone, przez co wydaje się, jakby kobiercem były powleczone. Ledwie przechodzić można w pośrodku tych wywrotów, uginających się gałęzi i puszczającej młodzi.

Dolina Filipki. Tak postępując wśród gestych lasów, mile witaliśmy obszerniejszą równinę, okrytą świeżą zielonością; byłato równina Jaworyna Rusinowa, a za nią zaraz druga znaczniejsza zwana Filipką. Na tej rozległej przestrzeni stały w środku biedne szałas, których nadzwyczajna nędza, dodawała im właśnie wdzięku. Trudno ujrzyć coś bardziej malowniczego nad te domki, które zdaje się, że co chwila upadną. Środkiem Filipki płynie potok w nieprzeliczonych wodospadach, wpływający do doliny przy skałach czerwonego marmuru. Filipka nie należy do rzędu dolin głównych, lecz do pomniejszych; nie opiera się bowiem o grzbiet granitowy, ale o niższy wapienny. Ze wszech stron otaczają ją mniejsze góry wapienne, pokryte bujnemi lasy, i to jest właśnie powodem, że jej krajobrazy mają w sobie coś nader przyciągającego, jakiś tajemniczy i miły urok.

Ten obraz odznaczający się bogactwem roślinności, bujnemi trawy i drzewami, stoi w dziwnym przeciwieństwie do owych strasznych widoków Pięciu Stawów. Rośliny wywierając czarodziejski wdzięk na człowieka, wywołują w duszy lubie uczucia pokoju. Połamane ska-

ły i zwalone ich kupy, zdaje się, że wyziębiłyby i najgwałtowniej bijące serce.

Szałasy Filipki zamieszkują dziewczki, paszące krowy po przyległych lasach i górach. Każdy właściciel wysyłając krowy do hól, dodaje do nich, stosownie do ilości, jedną lub dwie pasterki, które je doją, chowają mleko we własnych naczyniach, i robią z niego sery i masło. Od czasu do czasu przybywają do nich gazdowie z żonami, dla zabrania nabiału do domu, a zarazem przywożą mąkę i grule czyli ziemniaki. Te szczególne karawany, ciągnące się często w długim rzędzie po wązkich ścieżkach, bardzo charakteryzują Tatry, i są im wyłącznie właściwe. Krowy zostają pospolicie w holach 10 do 12 tygodni.

Aby dokładniej poznać dolinę Filipki, trzeba wstąpić na przyległą górę Przystóp, bezpośrednio nad nią wzniesioną, a ta mała podróż wynagrodzi się sownicie. Wchodząc na tę górę, nie mogłem dosyć nacieszyć się bujnymi bukami, bo nigdzie w Tatrach, a zapewne i gdziekolwiekbądź, niema bardziej okazałe wyrosłych. Zapewne na to wpłynęła wapienna skała, na której rosną i właściwy klimat. Wyżej przeważają świerki, a jako osobliwości, pokazują się pomiędzy niemi pojedyncze jawory, *Acer occidentalis*. Drzewa te jednakże mają tutaj chorobliwe wejrzenie; powszechnie zwracają się w jedną stronę ich konary, a przeciwną okrywają zielone mchy, co się niemało przyczynia do nadania im wejrzenia zgrzybiałości.

Spoglądając ze szczytu Przystopu, wydaje się dolina Filipki nader małą. Zagrodzone polany, a na nich szalasy leżą przed nami, jakby na planie doskonale wykonanym; ludzie zaś są jakby kropki, i to przekonywa, ja-

kie przestrzenie dzielą widza od tych miejsc. Dalej rozpościera się wyżyna Tatrowa, poprzerzynana dolinami i rzekami, wraz z licznymi siołami, którą odgraniczają wyższe grzbiety Bieskidów, a z tych odznacza się, dobrze nam znana skalna masa Babięj Góry.

Widok na to, co jest rozległym, ma jakiś niewymowny powab; szczegóły giną, a ogół ogarniamy, i to jest przyczyną tego zadowolenia, którego doznajemy bawiąc na wysokich szczytach.

Droga z doliny Filipki ku Młotowi Porońskiemu, odznacza się wielką różnaitością. Za skałami czerwonymi, stojącemi jakby na jęj straży, wypływa rzeczka zwana Złoty-Potok. Jaka przyczyna tęg nazwy, trudno powiedzieć. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zawiera złota, albowiem metal ten zwykł się znajdować w Tatrach tylko w granitach, a nigdy w wapieniu, z którego płynie nasz Złoty-Potok, połączwszy się przy wiosce Ciche z rzeczką tęgże nazwy, wypływającą ze wschodnich pogórków. Potok ten odtąd zwany Ciche, łączy się następnie z wartko płynącym Porońcem, i już jako znaczniejsza rzeka płynie pomiędzy Murem a Młotem Porońskim.

Wioska Ciche leży ze wszech miar malowniczo, gdyż na kraju długiej a wzniesionej równiny, ciągnie się szereg domów, które z doliny wydają się, jakoby stały na grzbiecie wzniesionym.

Młot Poroński leży prawie naprzeciwko dolin mających liczne jeziora, a położonych na zachód od doliny Pięciu Stawów, mianowicie naprzeciw potężnej góry, zwanęj Waxmudzką, podobnej do ogromnego wału, a która dla znacznych wymiarów, widziana jest prawie na całym Podhalu. Aby zwiedzić z Poronina te części Tatrów,

weszliśmy na małe wzniesienie, na którym ciągnie się długa wioska Sicha. Za nią rozpościła się prawie pół mili dalej nader powoli wznosząca się płaszczyna. Pod samemi stopami Tatrów, jest płaszczyna nader kamienista; wydaje się, jakby zsypane były kamienie, pomiędzy którymi rosną rzadkie krzaki jedliny. Weszliśmy wyłomem w wapieniu do doliny Skalnite, nazywanej od wirchu tegoż imienia. Z jednego jej boku tryszczy mnóstwo bardzo obfitych źródeł (bo więcej jak dziewięć ich narachowałem), zwane Wywierzyskami, od wydobywającej się gwałtownie wody, co tak szczęśliwie nazywa Podhalaanin *wywieraniem*.

Kópka i Kopa. Z góry Skalnite wstąpiliśmy na smukłe, do stogów siana podobne trzy góry, zwane Kopy, a jedna za drugą coraz wyżej wzniesionych. Pierwszą nazywaną pospolicie Kópka, okrywają drzewa, a dwie drugie, nierównie wysmuklejsze, ubarwiają kobierce trawy. Trzy te góry połączone są chodnikami nader szczególnymi; zdaje się, że są sztuką wyrobione, i jakby posypane drobno potłuczonymi kamykami; jednakże pochodzi to od rozsypującej się łupkowej skały, z której składają się boki tej góry.

Góry Kopami zwane, w porównaniu do przyległych szczytów, są nadzwyczajnie małe; jednakże uważane same przez się są wyniosłe, bo średnia Kopa wznosi się 4127 stóp, a tylna Kopa, czyli jak ją nazywają mieszkańcy Zadnia Kopa, 4303 stóp. Z Kóp postępując lasami, stanęliśmy na równinie Waxmudzkiej, z której wstąpiliśmy na rolę téjże nazwy. Widoki z tego podłużnego grzbietu nie są bez wdzięku; u stóp leżą wyniesienia gestemi lasami okryte, dziwnym sposobem zmalale; ku

południowi zaś odstaniają się nieprzeliczone szczyty, jedne od drugich wyższe i bardziej dzikie.

Grzbiet Waxmudzki ciągnie się ze wschodu na zachód, a z części nagle zwróconej na południe, wyskakuje szczyt zwany Nad Zielonym, 6737 stóp wysoki, sterczący nad jeziorem Zieloném. Wymierzyłem tu granicę drzew, i znalazłem, że się rozpoczyna na wysokości 4528 stóp, a zatem wznosi się wyżej, aniżeli przy Morskiem Oku, bo też boki tej góry zewsząd są otwarte.

Widok z Nad Zielonego jest obszerniejszy od poprzedniego. W stronie południowo-wschodniej nieprzeliczone wirchy jeden za drugim wyskakują, a dolina Pięciu Stawów leży jakby u stóp: z przeciwnej strony rozciąga się jeziorzko, co dało temu szczytowi nazwę. Podhale przedstawia się ztąd jako równina poprzerynana srebrnymi wstęgami, nad któremi widać długie, rozciągle wioski.

Aby zmierzyć barometrem wierzch Nad Zielonym, potrzeba się było nieco dłużej zatrzymać na wierzchu tej góry; tymczasem stan nieba nie sprzyjał wcale temu przedsięwzięciu. Od zachodu ku wschodowi pociągały pojedyncze chmury na rozległym widokregu niebios, a z wysokości można było widzieć ich przebieg i zmienną pogodę w różnych stronach. Tam świeciło słońce, tu ciemne pasy znaczyły spadające deszcze; czasem równiny mocno się zakurzyły, i w miarę jak spadał deszcz, przeciągały się owe pozorne tumany, niebędące niczem inném jak wilgocią, unoszącą się przy powierzchni ziemi. Przez dwie godziny byliśmy widzami w różnych stronach spadających deszczów, gdy nagle chmura wyszła z poza Babięj Góry i wprost ku nam zmierzała, jakby przyciągana igłą magnetyczną. Lunął kroplisty deszcz, i zmo-

czył nas do nitki, ale właśnie skończyły się obserwacje; znaleźliśmy wysokość téj góry 6,737 stóp.

Po zmoczonych kamieniach ostrożnie trzeba było zstępować. Mrok począł zapadać, a gdyśmy się zbliżali do szałasu Waxmudzkiego, była noc ciemna. Uprzejmie przyjął nas bacą, tak nazywają naczelnika pasterzy owiec, częstował wszystkiém, co miał najlepszego w swoim letniém gospodarstwie: żętycą czyli słodką serwatką z owczego mléka, po którój pływają płatki séra, słodkiém i kwaśném mlékiem i tą serdecznością, co z serca płynie.

Właśnie z nami przyszły owce na noc. Dójki w oddzielne miejsce zapędzone wydoili pasterze. Następnie zlano mléko do kotła i zagotowano; przez dodanie zupuszczki z żołądka cielęcego zwarzyło się, a sér odcedzał bacą od żętycy. Po całodziennych trudach znużeni johasy wieczerali, bawiąc się wesołemi dowcipami, i tak byli rozochoceni, jak gdyby w to wszystko opływali, co daje życiu przyjemność. Dym powstający z palącej się kosodrzewiny niezmiernie nam dokuczał; oczu nie można było otworzyć, tak był gryzący. W wysokich szałasach, wzniesionych nad granicę drzew, a do tych należy Waxmudzki, nie palą niczém inném jak temi krzakami, a johasy tak się do niego przyzwyczaili, że im nie czyni żadnej przykrości.

(Dokończenie nastąpi).

EMERYT.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Josefa Hołzenciewskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Jezeli któremu z czytelników naszych zdarzyło sięjechać traktem do Łomży, którego biała linia sunie się nad malowniczymi brzegami Narwi, ten pamięta zapewne okolicę niezłą, lesistą i dosyć smutną, co się poewej stronie traktu za Pułtuskim zaczyna, i poza Sieluń ku Ostrołęce ciągnie. Tam o małą milę od Sielunia, na pochyłości przytykającej z jednej strony do wielkich lasów rządowych, a z drugiej do lasów także niegdys wielkich, a dziś najeżonych tylko spruchniałemi pniami i gestwiną drobnych sosenek, rozlega się ku dolinie i rzeczce wieś szlachecko, nazwiskiem Siechurska Wola. Jestto główna siedziba Siechurskich, Wielowiedzkich, Małowiedzkich i poprostu Wiedzkich, bez żadnego przyrostka wielość lub małość wiedzy oznaczającego. Z téjto wsi wyszedł nasz p. Murek, którego matka, z domu Siechurska, ciągle tam w biédnym dom-

ku swym mieszkała i tamże przed dziesięciu laty umarła; w téj wsi także urodził się i wychował nasz Marcin Wiedzki, *vulgo* Marcinek, z niewiadomego ojca i krewnój p. Bartłomieja Siechurskiego, którego, jak sobie to czytelnicy przypominają, nazwał swoim wujaszkiem.

Matka łotra Marcinka, jak go tam powszechniej, zwłaszcza gdy podrośł, nazywano, kobieta młoda, przystojna i po urodzeniu tego chłopca zawsze smutna, płacząca i chora, mimo gwałtowności charakteru p. Bartłomieja u którego mieszkała, i różnych podstępów, jakich używały sąsiadki i krewnie, żeby z niej wydobyć sekret który tajiła, nie dała się skłonić do żadnych wyznań, i wołała cierpieć prześladowanie, a niekiedy i szturchanie znośić, niż zdradzić nazwisko człowieka, którego widać szczerze pokochała.

Gdy wszakże przykrości, wymówki i szyderstwa doszły do ostatnich gronic; gdy p. Bartłomiej podpiszyszy sobie raz we własnej karczmie, gdzie i żonę zaciągnął i także spoił, wrócił do domu w błogiej niepamięci rzeczy terażniejszych i przyszłych, i postrzegł Maryannę Wiedzką siedzącą na ganeczku i oczekującą ich powrotu; zamiast być wdzięcznym za czujność nad domem opuszczonym przez gospodarza i gospodynię, napadł na nią że ich szpieguje, że krzywdzi ich dom, że nie tylko ją, ale jeszcze nie wiedzieć jakiego jój chłopca karmić muszą, i chwyciwszy po brutalsku za kosę bujnych jój włosów, chciał ją obciąć, jako niewłaściwie zdobiącą jój głowę.

Wyrwała się z rąk jego nieszczęśliwa kobieta, wbiegła do izby, i wzięwszy na ręce dwuletniego wówczas Marcinka, o godzinie dwunastej w nocy, innemi drzwiami przez ogród uciekła. Krzyk i przekłectwa pijanej pa-

ni Siechurskiej ukazały mężowi drogę, którą ofiara jego gniewu zemknęła. Rzucił się za nią także p. Bartłomiej z nożycami w rękę, chcąc koniecznie swego dokazać i zdjąć z téj znękanéj głowy zdołający ją warkocz; ale nogi mu nie służyły, oczy zachodziły mgłą, płatał się między grządkami, zawadzał o kapustę i buraki, i nareszcie zaczepiwszy się o wasy ogórków, upadł w głęboką bruzdę i uderzył się łbem zamroczonym o brzuch potężnej dyni, która w łożu tém spokojnie sobie leżąc i oczekując porannéj rosy, tak gwałtownego ciosu się nie spodziewała.

Uwolniona tym sposobem od pogoni Maryanna, przelała przez oryny ogradzające ogród, i tuląc w swém objęciu płaczące i przestraszone dziecko, poszła gdzie ją oczy niosły.

Dom p. Bartłomieja Siechurskiego był na brzegu wsi. Zaraz za jego ogrodem leżało niewielkie pole, zasiane żytem, którego kłosy można było policzyć; a dalej były krzaki jałowcu i mieszające się z niemi krzaki sośniny, coraz gęstsze, coraz dziwniejszych form, coraz smutniejszy widok całej okolicy dające. Gdzieśgdzie tylko sterczał pień dawno już ściętego drzewa, dogniwały pod nogami wióry i gałęzie, a tu i owdzie podnosiła się wysoko sosna koślawa, niezgrabna i podcięta, tak, że tylko na wierzchu zostawiono jéj czub gałęzi, aby miała czémkolwiek nagość swą osłonić.

Noc była ciemna, krzaki smutno szeleścili, wokoło leżała pustynia głucha i posępna, z gęstwiny niewyraźnie ograniczonej, wymykające się wysokie i nagie drzewa dziwaczne przybierały postaci; a jednak, mimo trwogi, jaką biędną kobietę ta pora i ta okolica przejmowały, szła ona coraz dalej, coraz prędzej, nie wiedząc dokąd dąży i gdzie odpocznie.

Nareszcie gdy minęła wyniszczony las, należący do szlachty Siechurskiej i obaczyła się przed potężną ścianą puszczy rządowej, gdy zajrzała w ciemne jój łono i usłyszała nad głową swą szum olbrzymich drzew, jakby głos zapytujący: po co tam wchodzisz? gdy się obejrzała wokół i obaczyła się samą wśród nocy, w miejscu dzikim i odludnym, taki strach ją ogarnął, że z całej siły zaczęła biedz napowrót. Ale wkrótce pozbawiona wszelkich sił usiadła pod pierwszym drzewem, ułożyła płaczącego chłopca na kolanach, a gdy się utulił i zasnął, gdy i ją pierwsza trwoga ominęła, zakryła twarz rękami, i myśląc nad położeniem swoim, gorzko płakać zaczęła.

Sen nie przyszedł ulżyć jój troskom i dać chwilowe ich zapomnienie; bo sen, choć niezawsze trzyma z fortuną i często panów unika, ale przyjaciel pokoju i pracy, ucieka także od wielkiego nieszczęścia, zwłaszcza gdy to jest skutkiem własnej winy, jakby nie chciał przeszkadzać sumieniu w jego robocie i czuwania jego przerywać. Przesiedziała więc tak biedna kobieta do dnia samego. Dopiero gdy słońce zeszło, gdy ranek odświeżył całą naturę, gdy się obudziły wesole ptaszki i śpiewać zaczęły, oschły jój łzy, opadło cokolwiek ciężaru z jój serca, i widząc przed sobą wszystko tak zielonem, tak świeżem, tak pełnem życia, nabrała odwagi, postanowiła radzić sobie jakkolwiek, i nie oddawać się rozpacz. Ale gdy pomyślała, że wkrótce zapewne umrze, że dziecię jój zostanie sierotą, znowu serce jój zwątlalo i słabnące siły odebrały odwagę. Przyszło jój także na myśl, że nie ma ani odzienia, ani grosza przy duszy, ani żadnego świadectwa; że jeżeliby nawet odważyła się zebrać przed znalezieniem gdzie służby, wziętoby ją za

włóczęgę, odprowadzonoby do wsi, i wróciłaby z podwójną hańbą tam, z kąd teraz przed wstydem i urąganiem ucieka. Te gorzkie myśli skłoniły ją uciec się do ostatniego środka, który i dawniej już przychodził jej do głowy, ale którego dotąd chwycić się nie śmiała. Wzięła więc śpiące jeszcze dziecko na ręce i poszła na powrót do wsi, ale kołując zdaleka od domu krewnego, przed którego gwałtownością uciekła. Na drugim końcu wsi był domek Wielowiedzkiej. Tam udała się biedna Maryanna. Stała z pokorą, ale z rezygnacją przed matką p. Marka, i upadłszy jej do nóg, wyznała przed nią swą winę i wyjawiała ten sekret, który przed całą wsią i innymi krewnymi z takim uporem tała.

Zasmuciła się staruszka, gorzko zapłakała, ale litując się nad biednymi sierotami, utuliła płaczącą Maryannę, pocałowała ładnego chłopca, i wzięła pod swoje protekcją matkę i syna.

Wszakże nie na długo posłużyła Maryannie dobroć zamożnej kobiety, i nie mogła jej osłonić przed impetem szlachcica, który chociaż po trzeźwemu miał popędy szlachetne, i prosty, nieuczony, ale bardzo zdrowy sąd o rzeczach, stawał się burdą gwałtownym i na nic nie uważającym, gdy dobre serce swe w wódce skąpał i jasny rozum swój zalał.

Gniwał się p. Bartłomiej na siostrę, że przyjechała do domu swego Maryannę i przestał do niej chodzić. Ale raz dobrze pijany, gdy wracał z sąsiedniej karczmy z kilku towarzyszami i mimo mieszkania jej przejeżdżał, Marcinek właśnie wylazł na ulicę i za wrotami się bawił. Nastraszyło się dziecko krzycząc i pijanej zgrai i mocno płakać zaczęło. Matka przejęknioma płaczem chłopca, nie zważając kto jedzie, wybiegła za wrota. Ale za-

późno się postrzegła. Jeszcze nie doszła do płaczącego syna, gdy p. Bartłomiej zeskoczył z wózka, schwycił ją za włosy i tarzając nieszczęśliwą po ziemi, bił okrutnie i nogami deptał. Próżny był płacz dziecka, próżne krzyki siostry, która z izby wyszła. Dopiero gdy Maryanna bez zmysłów upadła, opamiętał się trochę pan Bartłomiej, a koledzy chociaż także pijani, pochwycili go bezsilnego prawie i na wóz wsadzili.

Okropny ten wypadek, którego sam p. Bartłomiej darować sobie nie mógł gdy się wytrzeźwił, zniszczył do reszty zdrowie znękanéj moralnie kobiety. We trzy miesiące potem Maryanna umarła, a Marcinek został sierotą na łasce matki p. Marka. Nie było mu tam źle wcale; owszem, pieściła go i psuła przywiązana starszka, odejmując sobie, żeby miał dobrą strawę i odzienie; łajac jedyną sługę i parobka, gdy przyprowadzili chłopca do placzu, gdy mu odmówili jakiego zachcenia, lub za jaką psotę i swawolę skarcili. Tym sposobem Marcinek doszedł do lat dziesięciu, nic nie umiejąc, niczem nie chcąc się zająć, rumiany, ładny, z jasnemi jak len włosami, ale bujny swawolnik, kłócaący się zęb za zęb ze starszemi, a z rówiennikami stojący zaraz do bójki i kułaków, gdy go słuchać nie chcieli, gdy nie przystawali na jego łotrowskie pomysły, gdy nie pozwalali aby im rej wodził, i we wszystkich grach, we wszystkich psotach i figlach przewodniczył.

Zaraz po śmierci Maryanny i w pierwszym jeszcze żalu, napisała Wielowiedzka do syna, uwiadamiając go o zeznaniu nieboszczki, okręslając jéj żal, jéj hołotę i smutną utratę zdrowia i życia, oraz donosząc mu o swojém biédném położeniu, i prosząc na wszystko, aby do niéj przyjechał.

Ale p. Marek, który już wówczas porzucił był stan nauczycielski i właśnie był na drodze skarbienia sobie ufności zwierzchnika, którego biuro brał na swoje barki, wymówił się obowiązkami nowego urzędu, przysłał matce kilkaset złotych, a o zmarłej i o jej dziecku nie wspominał ani słowa.

W przeciągu następnych lat ośmiu, kilka razy jeszcze pisała do syna Wielowiedzka, przychodząca do coraz widoczniejszego upadku i w siłach i w nędznym swym gospodarstwie, wspominając o swojej wielkiej biedzie, i o potrzebie pomyślenia o edukacji i kierunku chłopca, któremu już rady dać nie mogła; ale p. Marek zawsze nie miał czasu, za każdym listem posyłał jej po kilkaset złotych, o chłopcu zaś, jakby nie rozumiał o czem mowa, żadnej nigdy nie czynił wzmianki.

Tak doszły rzeczy do roku 1837. Staruszka znękana niedostatkiem, wiekiem, troską o dalszy los chłopca, do którego się najserdeczniej przywiązała, a nadewszystko niewdzięcznością i zapomnieniem własnego syna, który rosnąc w honory i zamożność, zbywał ją lichym datkiem, a zdawał się wstydzic zagonowej szlachcianki, z której wziął życie; ciężko zachorowała, i przy braku zupełnym lekarskiej pomocy i wygód, widziała się bliską śmierci.

W tak smutnym znajdując się położeniu, chociaż żałona na brata za gwałt, jakiego się w jej oczach dopuścił, chociaż od czasu tej haniebnej sceny nie widziała go wcale, posłała jednak powiedzieć mu, że umierając pragnie się z nim widzieć i z nim pomówić.

P. Bartłomiej Siechurski, znacznie młodszy od siostry i mający dla niej mimowolny szacunek, gdyż w całej wsi była poważaną, a żalując przytém oddawna swojego

postępuku, i wyrzucając sobie skutki tak zwierzęcej gwałtowności, czekał tylko podobnego wezwania, i nie zwlekając poszedł, skoro je odebrał.

Gdy stanął przy nędzném łóżku starłej kobiety, zmieszony i przejęty bolem zagryzł wąsy, miał żylastą ręką poły szaraczkowej kapoty, którą miał na sobie, pobladł widocznie, i przyciskał powiekami oczy, jakby chciał wepchnąć nazad łzy, które się mimo jego woli wydobywały.

Długa była między niemi konferencya. Dowiedział się w niej widać p. Bartłomiej o wszystkiém, obowiązał się zapewne do sekretu, gdyż powróciwszy do domu smutny i mocno zalterowany, nie nikomu o treści rozmowy nie mówił. Wieczorem był znowu u siostry; i przez trzy dni, które jeszcze przebyła na ziemi w męczarniach konania, prawie jój nie odstępował.

Gdy umarła, sprawił jój pogrzeb jak mógł najporządniejszy; biédny jój i walący się domek zamknął, a ubogi dobytek i Marcinka, zabrał do siebie. Ta zmiana tém bardziej dziwiła sąsiadów, a szczególnież żonę, że w czasie pogrzebu siostry ukląkł na grobie Maryanny, bił się mocno w piersi i płakał; że dał na mszę żałobną za jój duszę, a chłopca, którego widoku dotąd unikał, dlatego, jak mówił gdy był podpiły, żeby się nie unieść i kości mu nie połamać, nietylko do domu przyjął, ale jeszcze pieścił i karesował.

Takim tedy sposobem Marcinek znalazł się pod opieką p. Bartłomieja, przypatrywał się coraz bliżej jego obyczajom, i jego sposób życia, a nawet wyrażenia przejmował.

Z początku bał się on niezmiernie swojego nowego wujaszka; ale wkrótce oswoił się z jego djabłami, któ-

re p. Bartłomiej zawsze liczył na krocie, nauczył się unikać pierwszego impetu jego gniewu; a gdy postrzegł w ręku jego kij lub polano, widła lub cep, a nawet nóż lub topór, gdy nadto dojrzał nad gestami brwiami jego rumieniec i plamę czerwoną na lewém policzku, wtenczas zmykał jak sarna, sadził przez płoty i kłody, i nie wprzód przyszedł do domu, aż miarkował, że się wujaszek wyspał i do zwyczajnego stanu powrócił.

Nie gniwał się o tę ostrożność p. Bartłomieja; gdyż od czasu pobicia słabój i bezbronnój kobiety, co sobie zawsze wyrzucał, wdzięcznym był każdemu, kto jego gwałtowności unikał. Owszem, chwalił potém śmiejąc się zręczność chłopca, polubił go za śmiałość i przytomność, a Marcinek ozuchwalony taką pobłażliwością trzęwego p. Bartłomieja, i czuwając tylko nad tém, aby pijanemu nie wpadł w ręce, rósł jak źrebiec na stepie bez hamulca i wędzidła, bujał po wsi, tysiączne robił psoty, upędział się za dziewczętami, zaglądał już czasem do karczemki, zaprzyjaźnił się z lasowemi w puszczy rządowej, i wykradłszy wujaszce schowaną dobrze suzyjkę, puszczał się z nią w las, i często dopiero drugiego lub trzeciego dnia wracał.

Tak doszedł do lat siedmnastu; zmężniał, rozwinął się fizycznie, nauczył się dobrze strzelać, na wszystkich uroczystościach pierwszym był tancerzem, silny i z dzieciństwa przyuczony do kułaczków, nikomu z drogi nie ustąpił, a mając za sobą powagę i potężne ramię p. Bartłomieja, często nawet i starszym śmiało postawił czoło i ostro odburknął.

Jednakże trzeba mu i tę oddać sprawiedliwość, że z wielu względów był p. Bartłomiejowi użytecznym.

P. Bartłomiej był gospodarzem wiejskim; ale szczuple pola które posiadał, nie wystarczały na jego utrzymanie. Radził więc sobie jak mógł: skupował drzewo i sprowadzał je do Narwi; podejmował się dostawy różnych produktów do miasteczek, gdzie bywały jarmarki; a nawet najmował się furmanką i woził do Pultuska a czasem i do Warszawy to jakiego panicza, który dążył po fortunę, to jakiego żydka, który wiózł cichaczem przemyczone towary pruskie. Otóż równie w gospodarstwie, jak i w tym przemyśle, przydał się p. Bartłomiejowi Marcinek, gdyż miał ten przymiot, że co mu powiedziano odrazu pojął, co mu kazano zrobić, to zrobił dobrze i prędko, a to zawsze z tój pobudki, aby naznaczonego sobie *pensum* zbyć się jak najrychlej, aby znowu być swobodnym i pobujać według woli i zachcenia.

Rok za rokiem Marcinek stawał się nieodłącznym towarzyszem swojego wujaszka we wszystkiém, co zysk przynosiło, gdzie potrzeba było dozoru, śmiałości i zachwalstwa. Najkapitałniej usługiwał mu w ekspedycjach nocnych po drzewo, dla dopełnienia skupionego w części materiału przedsiębranych, już jako przyjaciel stróżów rządowego lasu, już jako znający dobrze wszystkie jego ścieżki i drożyny. Na jarmarkach, przy najmie koni i furmankowaniu, służył czasem za woźnicę, i śmiałą postawą, gburowatym pozorem i słowem odstraszał każdego, kto by chciał albo nadużyć koni, albo umniejszyć co z ceny, albo jakimkolwiek sposobem wykręcić się od umowy.

Za takie przysługi był tóż towarzyszem p. Bartłomieja i w tém, co tenże uważał za ulgę po pracy i konieczną dla gospodarza rozrywkę. Prowadził go więc z sobą do karczemki, pozwalał wypić kieliszek jeden i drugi,

póki był jeszcze trzeźwym; ale gdy sobie sam podochocił, nietylko do większej liczby zachęcał, ale często zmuszał chłopaka iść z sobą na wyścigi, kto kogo przepije. Podobało się to szermierstwo Marcinkowi, i wkrótce nietylko z p. Bartłojem i z jego upoważnienia, ale i z innymi i bez jego wiedzy szedł tym sposobem o lepszą, i dobijał się wygranój. Na ucztach w niedziele i święta, na które zgromadzały się do karczmy i kobiety, rej wodził. Lubiły one łotra Marcinka, bo był swawolny i śmiały, bo za jego staraniem miały często muzykę, bo w pierwszą parę w Krakowiaku on zawsze stawał i nie zająknął się nigdy, gdy przyszło dwuwiórsz zabawny zaśpiewać; a w obertacie tak tancerkę swoją unosił, tak nią obracał, tak trzymał doskonale w silném ramieniu, że się jój w głowie przewracało, a nogi prawie ziemi nie dotykały.

Do nauki nie miał Marcin wielkiej ochoty, chociaż miał zdolność i nie był tak zupełnie *rudis literarum*, jak to p. Cyprian wyrzekł. Był we wsi jeden chłopak chorowity i ułomny, który w szkółce parafialnej sąsiedniej znajdował się lat kilka, wyuczył się doskonale czytać, pisał bardzo dobrze i niezłe rachował. Niedoleżność fizyczna była powodem, że rodzina do której należał, uwolniła go od wszelkiego cięższego zatrudnienia, i pozwalała zajmować się książką i piórem. Chociaż młody, bo ledwie liczył rok ośmnasty, był już niezmiernie poważny i zupełnie spokojny sensat. Starsi lubili go za chętną usługę, gdy trzeba było któremu list napisać, lub prośbę skoncypować, lub skargę na sąsiada ułożyć i czytelnie przepisać; ale równieciż, że się z nimi nie wdawał, do ich gier i swawoli nie należał, nazywali go rabinem garbatym i rozmaicie prześladowali. Marcin Wiedzki, który przy całej bujności obyczajów, gwałtowności i zu-

chwalstwie charakteru, miał dobre serce, ni ztąd ni zowąd uzalił się nad prześladowanym garbusem, i stanął w jego obronie, tak skutecznie, iż objawivszy kolegom, że łeb rozwali każdemu, kto choć palec zakrzywi na garbatego notaryusza Siechurskiej Woli, odstraszył wszystkich i zjednał kaléce zupełny pokój.

Wywdzięczając się za taką przysługę, garbusek ofiarował się uczyć Marcinka. Że ta propozycya zrobiona była p. Bartłomiejowi samemu, że ją stary szlachcic z wdzięcznością przyjął i wychowawca swego do przyjęcia jéj zobowiązał, dla ucieszenia więc opiekuna swego wziął się Marcinek ochoczko i do téj pracy, i w przeciągu kilkunastu miesięcy nauczył się niezłe czytać, pisał dość zgrabnie, rachował jako tako; słowem, okazał i w tym względzie i wielkie zdolności i to mocne postanowienie, że gdy czego chciał, tego pewnie dokazał. Byłby może wkrótce nauczycielowi swemu wyrównał, ale garbusek zachorował, umarł, i tak edukacya Marcinka na rok prawie przed przybyciem jego do Warszawy przerwała się zupełnie.

Takim był ów uczeń p. Cypryana, który mu się nie-szczególniej, ale stosownie do tego wychowania, jakie w Siechurskiej Woli odebrał, zaprezentował. Wdaliśmy się cokolwiek może zadługo w szczegóły tyżące się jego dzieciństwa i młodości, za co najmocniej czytelników naszych przepraszamy, upewniając oraz, że im się to przyda w dalszym ciągu téj historyi, jeżeli ją czytać zechcą, i jak sobie pochlebiamy, zajmą się losem naszego Emeryta i jego pięknej córki.

Marcin Wiedzki byłby może dotąd zostawał w rodzinnej swój wiosce i tam po dawnemu bujał, ale następujący wypadek skłonił p. Bartłomieja do pozbycia

się tej prawej swojej ręki, i do pozbawienia Siechurskiej Woli jej lwa i najznakomitszego tancerza.

P. Marek, czy ulegając' jakiej pokusie łakomstwa, czy chcąc tylko zaimponować w miejscu swego urodzenia podpisem: Referendarz Stanu Marek Wielowiedzki, czy z innych jakich powodów, przypomniał sobie w lat blisko dziesięć, że matka jego umarła, że taż matka miała dom i dobytek, i napisał dość ostro do p. Bartłomieju, że doszło do niego, iż wuj wszelką pozostałość po siostrze zabrał, a zatém że powinien, jeżeli nie zwrócić, to przynajmniej z niej się wyrachować, i o przekaz legalny na siebie prawego właściciela poprosić.

P. Bartłomiej przesyllabizowawszy i wyrozumiawszy ten list, krzyknął z gniewu tak, że się dom zatrząsł; pochwyił się za wąsy jakby je chciał z korzeniem wyrwać, i tak w osłupieniu i namyśle stał na środku izby, nie wiedząc zrazu co począć.

W tej chwili wszedł Marcinek, i zadziwiony taką frasobliwą i gniewną postacią wujaszka, wiedząc oraz, że dziś jeszcze w karczmie nie był, zatrzymał się przy drzwiach i myślał, cobyto znaczyć mogło.

Podniósł wówczas głowę p. Bartłomiej, spojrział na swego wychowanka, i uderzając się ręką w czoło, zawołał:

— Aha! poczekaj ty Jaśnie Wielmożny! oddam ci, oddam do kroćset tysięcy djabłów, com zabrał.

Tém postanowieniem wzmocniony, wziął czapkę, nasunął ją na prawe ucho, i narzuciwszy na ramiona szaraczkową kapotę, poszedł prosto do karczmy.

Marcin postrzegł list, który wujaszek rzucił, przeczytał go jak mógł, i domyślając się, że to właśnie musiał

być powód jego gniewu, bojąc się oraz, aby ze złości nie zrobił jakiej burdy, pobiegł za nim także.

Zastał go już za stołem u przyjaciela propinatora, człowieka biegłego w swoim rzemiośle, tak dalece, że arędując od szlachty siechurskiej ich karczmę za kilkaset złotych, nietylko że im nic nie płacił, ale jeszcze od nich to fantami, to gotówką, to różnemi produktami do kilkuset złotych rocznie wybierał.

Gdy Marcinek usiadł naprzeciw wujaszka i oddając mu rzucony list o powód gniewu zapytał, nastąpiło objaśnienie, za tém poszły odgrążania się p. Bartłomieja, że się da we znaki siostrzeńcowi swemu choć on Jaśnie Wielmożny, i wreszcie zrobiona została Marcinowi propozycja, aby się udał do Warszawy, i tam się do czego sposobił.

Z początku Marcinek zmieszał się i zafrasował. Żał mu się zrobiło Siechurskiej Woli, téj długiej, szerokiej i piaszczystej ulicy, po której pelzał jak dziecko, po której swawolił z innemi chłopcami jak niedorostek, na której już dużym będąc chłopakiem tyle dziewcząt nastraszył i wyściskał, tyle klótni przebył, tyle kułaków rozdał, tyle zwycięstw odniósł; żał mu się zrobiło téj świeżej i czystej rzeczki, gdzie się tyle razy kąpał, gdzie zakradłszy się w krzakach łożyny wypadał nagle, zabiérał odzienie kąpiących się kobiet i dopiero nadrożywszy się z niemi dobrze, oddawał; żał mu było i lasów rządowych, gdzie tyle wiewiórek grochem wystrzelał, i koników p. Bartłomieja, i nawet psa Kruczka, słowem wszystkiego na co spojrzął, wszystkiego o czém tylko z różnych epok życia wspomniął.

Postrzegł p. Bartłomiej żal chłopaka i lzy które się w oczach jego kręciły. I jemu żal się zrobiło wycho-

wańca, którego polubił, który był wiernym jego towarzyszem i przy ekspedycjach nocnych i przy plugu i kosie, i przy kieliszku i burdach, nieodłącznych od tych gęstych libacyj. Byłby może odstąpił od tego przedsięwzięcia, natchnionego pierwszém uniesieniem gniewu; ale Marciniek otarł łzy, nalał sobie kwaterkę wódki, połknął ją duszkiem, i pomyślawszy że obaczy Warszawę, że jak mu się tam nie podoba drapnie sobie jak nic, i powróci do Siechurskiej Woli, zawołał:

— Eh! cóż robić! Niech się dzieje wola Boża i wujaszkowa; gdy tak trzeba, pojedę.

Tu dopiero zaczęli nawzajem wynurzać sobie przywiązanie, żegnać się i całować. Każdy wyraz miłości, wzajemnych przysług, i każde pocałowanie polewali kordyałem, którego im propinator dostarczał; a gdy na końcu wspomnieli sobie, p. Bartłomiej siostrę rodzoną, Marciniek pierwszą opiekunkę i dobrodziejkę swoją i swęj matki; wtenczas rozwodząc się nad jęj biédnym stanem, nad jęj chorobą, nad jęj śmiercią i zapomnieniem niewdzięcznego syna, wśród ubolewań i płaczu tak się spili, że gdy nazajutrz p. Bartłomiej otworzył oczy, obaczył się na ławie propinatora, a Marciniek gdy się przebudził, zdziwił się, że był ubrany i na stole w karczmie oparty.

Nikogo to zapewne nie zastanowi, że tak ważne postanowienie dojrzało w karczmie i przy kieliszku. Kto zna nasze dzieje i obyczaje, ten wie dobrze, jaką rolę grał i gra kielich we wszystkich aktach naszego dawnego i terażniejszego życia, we wszystkich naszych radościach i smutkach, we wszystkich nadziejach i planach. Brzęk jego, czy się on napęlnia wódką, czy miodem, czy szampanem, miesza się z krzykiem dziecka przycho-

dzącego na świat, z płaczem poetycznym młodej piękności, gdy podaje rękę kochankowi i spieszy przed ołtarz, z ponurym odgłosem dzwonów, towarzyszących umarłym na cmentarz. Kielich u nas to dawca kredytu, to protektor suplikantów, to pochodnia rozjaśniająca zawiłane sprawy, to bęben, który budzi odwagę, to zorza, której promienie oświecają chmurną naszą przyszłość. Wszakże nietylko u nas tak się dzieje. Jestto wszędzie i było zawsze. Józef Lemaistre, ów rzadki pisarz, którego gieniusz i nauka nietylko że jego samego postawiły na czele autorów naszego wieku, ale wystarczyły jeszcze do wykarmienia kilku znakomitości literatury naszej, z właściwego sobie stanowiska mówi o tym przedmiocie. Ciekawych dowiedzenia się, jak filozoficzno-religijne miały i mają znaczenie uczty w życiu społeczności, odsyłamy do drugiego tomu jego Wieczorów. My wspomnieliśmy o tém nie dlatego, aby się popisać, żeśmy także Lemaistra czytali i znamy źródło, z kąd mądrość czerpać można, ale żeby choć w części wytłumaczyć p. Bartłomieja i jego wychowauca Marcinka, że ulegli słabości, która jest wrodzoną naturze naszej, i której cała ludzkość od wieków ulegała i ulegać będzie.

W kilka dni po przespaniu się w karczmie, wychodził z Bednarskiej ulicy na Krakowskie-Przedmieście p. Bartłomiej w nowej szaraczkowej kapocie, w granatowych spodniach, w wysokich aż do kolan bótach, w nowej czapce zawieszisto ku prawemu uchu pochylonej, oglądając śmiało na przechodzących, gładząc kiedyniekiedy siwe i duże wąsy, i podnosząc plecy szerokie okazałej swój i dość imponującej postaci. Z jego ruchów i wejrzenia widać było, że mu Warszawa nie obca, że go ani algierki paniczów, ani salopy i kapelusze pań nie

zadziwiały, ani ruch i wrzawa miejska nie trwożyły. Rumienca nad brwiami jeszcze nie miał, plamy czerwonej na lewém policzku jeszcze nie było; widać więc p. Bartłomiej był trzeźwym, ale oko jego jaśniało, i jaśniało zapewne tylko postanowieniem rozmówienia się z siostrzeńcem, jak na to zasługiwał.

Za nim szedł Marcinek w tym samym ciasnym surduciku, w żółtych pluderkach, czerwonej chustce na szyi i czapce szarej na tył głowy spadającej, w których jużśmy go widzieli. Gapił się on ogromnie. Bawiły go beczki malowane na szyldach szynków przy rogu ulic; śmiał się z kielbasek drewnianych, które wisały nade drzwiami sklepów z mięsiwem; rachował okna kamienic i doliczyć się nie mógł; chciał zaczepiać przechodniów i pytać co to, a co owo; pokusa go brała otrzeć się o jaką dziewczynę, przebiegającą z koszykiem; a gdy wpadł w tumult przed pocztą, zagłuszony hurkotem karét, koczów i dorożek, brzękiem przeraźliwym wozów wiozących próżne beczki; odurzony ściskiem przechodzących, to panów, to żydów, to wystrojonych dam, to żebraczek w łachmanach; zmieszany nagłym wrzaśnięciem chłopca, wołającego: piasku!; popchnięty przez woźnego z plikiem aktów, nie mógł się wstrzymać, żeby nie zawołał:—Aj! aj! co tu ludzi! Niechże ich wszyscy djabli wezmą!

Gdy stanęli na Długiej ulicy przed kamienicą, w której p. Marek mieszkał, p. Bartłomiejowi jakoś markotno się zrobiło. Na czczo źle przystępować do tak ważnego interesu, pomyślał sobie; obejrzał się więc na prawo i na lewo, i postrzegłszy w oknie niedaleko ładne, białe, przezroczyste butelki z różnokolorowym płynem, splunął, pogładził wąsy lewą ręką, i wszedł

z determinacją. Tam wypił sporą lampeczkę anyżówki, Marcinek poczęstował tylko małym kieliszkiem słodkiej i różowej wódki, i tak umocniony na duchu, wszedł do sąsiedniej kamienicy pod bramę, przypatrzwszy się wprzód dobrze numerowi na niebieskiej tabliczce wypisanemu, i porównawszy go z notatką, którą miał w zanadrzu.

— Czy tu mieszka p. Marek? — zapytał stróża, który z wielkim kluczem w ręku siedział sobie na przymurku, nigdzie nie patrząc, i założywszy pracowicie nogę na nogę.

— Jaki pan Marek? — odpowiedział po niejakiem czasie stróż, zmiarkowawszy, że do niego mówią.

— Jaśnie Wielmożny referendarz — rzekł uśmiechając się ironicznie p. Bartłomiej.

— Wielowiedzki?

— Tak, Wielowiedzki.

— Aha! słyszałem — odpowiedział stróż nie zmieniając pozycji, kiwnąwszy tylko parę razy nogą, która była oparta na drugiej.

— Którędyż nam do niego? — mówił zniecierpliwiony szlachcic.

— Nie wiem — odpowiedział stróż, odwracając się — bo ja tu dopiero tydzień. Ale może na pierwszym pięttrze.

Marcinek miał już wielką ochotę poczęstować zuchwałego niedbalca po swojemu, ale widząc, że pan Bartłomiej się nie uniósł, i sądząc, że to tak w Warszawie być powinno, dał pokój i poszedł za wujaszkiem na wschody.

Na pierwszym pięttrze stanęli przed drzwiami, do których przybita była tabliczka, i na niej złożonemi literami napis. P. Bartłomiej zaczął sylabizować, a Marcinek

wyczytał, że to były drzwi referendarza Wielowiedzkiego. Pociągnął p. Bartłomiej za rączkę na grubym drucie wiszącą, i wewnątrz odezwał się dzwonek.

— Ehei a to dzwoni—zawołał Marcin.

— Bo drzwi zamknięte—odpowiedział p. Bartłomiej ze znajomością rzeczy.

— A na cóż oni się zamykają? chyba że tu dużo złodziejów.

— Nie odzywaj się z niczém—rzekł p. Bartłomiej—bo to miasto, a tyś jeszcze tu nie był i nie nie wiész.

— Aha! rozumiem—odpowiedział chłopak machnąwszy czerwoną ręką—ale zmiarkuję ja tu wszystko prędko.

Otwarły się drzwi i wyszedł lokaj w kurteczce w paski, w ciemnych szarawarkach, w trzewikach i z serwetą w ręku.

— Czego?—zapytał mierząc zuchwale wzrokiem szlachcica w kapocie i jego towarzysza w biednym surduciku.

— W domu p. Marek?—rzekł burząc się już p. Bartłomiej.

— Jaki pan Marek?

— P. referendarz Wielowiedzki, do wszystkich djabłów—krzyknął p. Bartłomiej.—Idź mu powiedz, że Bartłomiej Siechurski tu jest i chce się z nim widzieć.

— A to mi wielka persona!—rzekł rejterując za drzwi lokaj, i mając zamiar zamknąć je prędko. Ale żylasta ręka p. Bartłomicja już była na klamce i drzwi stanęły murem, i ruszyć się z miejsca nie dały. Zmieszał się cokolwiek sługus, jednakże nie tracąc fantazyi, przybrał oficjalną minę i rzekł:—JWPan zaraz wychodzi

do biura i nie ma teraz czasu. Jeżeli macie interes to idźcie tam.

— Idź ty do diabła Niemcze trzewickowy! — zawołał gniewny p. Bartłomiej, odepchnął lokaja i weszli oba z Marcinkiem, którego już język i ręce świerzbiały, ale milczał dlatego, że mu wujaszek nie kazał się odzywać.

Był to między dziewiątą i dziesiątą z rana. P. Marek rzeczywiście wychodził do biura, chcąc dać przykład akuratności i złapać na uczynku którego z opóźniających się podwładnych, aby mu zmyć dobrze głowę, i aby się okazała ta zadziwiająca sprężystość, o której i sam zawsze mówił, i za którą niedawno odebrał pochwałę w osobnym na to reskrypcie.

Usłyszawszy wrzawę, która go cokolwiek zadziwiła brakiem uszanowania, wyszedł do przedpokoju z sali bawialnej w kapeluszu na głowie, z laską w ręku, i ze wstążeczką w pętlicy.

Za pierwszym rzutem oka nie poznał p. Marek swojego wuja. Jeszcze był wówczas młodym nauczycielem, gdy jedne wakacje w Siechurskiej Woli u matki przepędził, gdzie właśnie Georgiki Wirgiliusza tłumaczył, i tłumaczenie swe Maryannie Wiedzkiej, często wówczas u matki jego przesiadującej, czytywał. Ale od dwudziestu trzech lat w rodzinnej wiosce swój nie był, i nikogo z krewnych swych nie widział.

Dumnie spojrzawszy na zagonowego szlachcica, który się tak zuchwale do domu jego wdierał, rzekł p. Marek:

— Co to za śmiałość, mój kochany, czego tak hałasujesz? Kiedy ci mówią, że nie mam czasu, to muszę być zajęty. Ja mam niejedno na głowie.

— Ja mówiłem, że Jasny Pan wychodzi do biura; ale on pchnął mnie i wszedł gwałtem — rzekł lokaj.

— Gwałt w moim domu?—zawołał pan Marek—czy wiesz, czém to pachnie? Takiego burdę potrafimy tu prędko ukrócić.

— Wielka mi osoba, jakiś pan Bartłomiej Siechurski — rzekł znowu lokaj, ośmielony obecnością i hardą postawą pana.—Nie widzieliśmy takich Bartłomiejów—patrzaj!

— Bartłomiej Siechurski! — wybąkał zmieszany cokolwiek p. Marek, i obracając się do lokaja, dodał: —Idź do roboty.

Spojrzał lokaj na pana, rzucił okiem na szlachcica, który stał wyprostowany, milcząc i pogładzując tylko wąsy, i ruszywszy ramionami, wyszedł.

— Więc to p. Bartłomiej Siechurski?—rzekł wówczas p. Marek łagodniejszym tonem.

— Brat rodzony twojej matki, p. Marku, który przyszedł tu zdać ci sprawę z sukcesyi, jaką wziął po niej, i zwrócić ci, co zabrał do siebie—odpowiedział p. Bartłomiej zagryzając wargi, i mnąc ręką polę kapoty, na której się zwykle pastwił, gdy wybuchnąć nie mógł lub nie chciał.

— Czyż ja tego seryo chciałem!—mówił dalej referendarz poglądając na Marcinka, którego rysy obudziły w nim dawno zatarte wspomnienia.

— Już czy seryo, czy żartem, to mnie nic do tego—rzekł chmurząc się p. Bartłomiej.—Ale ja, choć nie Jasnie Wielmożny i nie referendarz, choć nieuk i hołysz zagonowy, choć mnie mają za burdę i pijaka, jestem przecież uczciwy szlachcic, i chcę się z tobą mój Jasny Panie porachować sumiennie, aby nic twego przy mnie zostało.

— Co mi tam—odezwał się krzepiąc się p. Marek, ale zawsze poglądając na barczystego chłopaka, który

stanowił potężny odwód p. Bartłomieja. — Ja o takie głupstwo nie dbam. Napisałem, bo mi się tak podobało, a teraz mówię: posiadaj sobie p. Bartłomieu coś wziął, jak posiadałeś, i dajcie mi pokój. Ja nie mam czasu. — To powiedzinwszy ruszył ku drzwiom, chcąc wyjść czém-prędzój z domu.

— Nie masz czasu mówić z bratem twojej matki—rzekł podnosząc głos p. Bartłomiej i stając ode drzwi—i nazywasz go p. Bartłomiejem, i spieszysz się tak że z nim gadasz w sieniach i z nakrytą głową, jak gdybyś miał wróble pod kapeluszem. Jeśli nie masz innój izby, gdziebyśmy mogli swobodnie pomówić, to mniejsza o to, i tu jest stolek, ja sobie i tu usiądę; mnie twarda ława nie zastrasza. Ale szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie, a cóż dopióro referendarzowi. Kiedy tobie kapelusz do łba przyrósł gdy mówisz z wujem rodzonym, to i wuj może także nakryć siwą choć pustą głowę, i tak z tobą pogadać. To rzekłszy usiadł, nałożył czapkę i nacisnął ją mocno na prawe ucho.

Postrzegł p. Marek, że to nie przelówki, że łatwiej w biurze buszować, gdzie podwładni radzi nie radzi muszą znosić przymówki, tolerować przechwalania się i pokornie patrzeć na pompatyczne miny zwierzchnika; że szlachcie, który nie ma nic do stracenia nie da sobie za imponować, tém bardziej, że ma za sobą chłopaka, którego twarz, jakby jaki *corpus delicti* do niego przemawiała. Zdjął więc kapelusz p. Marek, obejrzał się czy go lokaj nie podsłuchuje, i rzekł ciszej:

— No, no, niech się wuj nie gniewa! Chodźmy tam; tam nam będzie wygodniej.

— Chodźmy, jeżeli chcesz i zmiarkowałeś się trochę—odpowiedział szlachcie podnosząc się i zdejmując

także czapkę. Potém obrócił się do Marcinka, który został na miejscu, mnąc swoje czapkę, i dodał: — Chodź i ty chłopczę z nami, bo tu najwięcej o ciebie idzie.

Tylko, tylko co p. Marek nie zapytał wuja, coto za chłopak; ale spojrział raz jeszcze; twarz jego ocknęła znowu wspomnienie, które chciałby zatrzyć w pamięci, zawstydzil się więc i zamilkł.

Gdy weszli do salonu, ubranego przyzwoicie i nawet ze zbytkiem, p. Marek posadził wuja i wziął się do żywania tabaki, gdyż nie wiedział od czego zacząć. Wyprowadził go z ambarasu p. Bartłomiej, i oglądając się po pokoju i gładząc wąsy, rzekł:

— Pięknie tu u ciebie, p. Marku, bogato, czysto, słowem po pańsku.

— Cóż to dziwnego — odpowiedział p. Marek. — Pracuję lat tyle, mam znaczenie i ufność mojej władzy, dość wysoki urząd i niemałą pensyą. Ale bo też ja robię za wszystkich, i żeby nie moja sprężystość... tu chciał już wpaść na ulubioną materiją z której trudno go było zepchnąć, ale prosty zagonowy szlachcic pierwszą tylko część jego odpowiedzi zrozumiał, i kładąc ciężką swą rękę na jego ramieniu, skonfundował go tym rubasznym gestem i odrazu zatrzymał.

— Nie to prawda dziwnego — rzekł potém — że masz dostatek, że u ciebie bogato i ładnie, kiedy masz wysoki urząd, dobrą płacę, i kiedyś nie hultaj i nie pijak taki, jak ja. Ale to dziwna, że już oddawna nie jesteś w biédzie, że już oddawna miałeś więcej niż ci było potrzeba, boś sam i nieżonaty, a twoja matka umarła w nędzy, a ja, hołysz i burda, zamknąłem jój powieki, zimne jój ciało obwinąłem w łachmany, włożyłem między gołe cztery deski, i nikt z blizkich nie szedł za tą

trumną, tylko ja i ten chłopak, i nikt za nią nie płakał, tylko ja i ten chłopak; to źle mój Jasny Panie, to dziwna, że ci pan Bóg wszystko dał, tylko pamięci nie dał.

To powiedziawszy powstał, przeszedł się po pokoju, i połą od kapoty otarł łzy, które mu się w oczach zakłęciły.

Nigdy p. Marek bardziej pomieszany i zawstydzonym nie był. Kurs wymowy, którego niegdyś nauczał, wyleciał mu z myśli, i cała sprężystość, za którą niedawno reskrypt pochwalny odebrał, nagle go odstąpiła. Chciał się tłumaczyć, chciał się wymawiać brakiem czasu, zajęciami urzędu, posyłaniem zasiłku matce; ale p. Bartłomiej mocniejszy dobrą sprawą, uzbrojony prostym, szlacheckim rozumem, który tylko przed wódką ustępował, przerwał mu:

— Daj pokój p. Marku, bo będziesz musiał łgać, a to brzydko na referendarza. To uszłoby w karczmie takiemu pijakowi, jak ja, gdyby miał potrzebę wykryć się, że zapomniał o gnieździe z którego wyszedł, że zapomniał o piersi, co go wykarmiła, i dał jój zeschnąć w bolu i niedostatku. Ale my prości ludzie tego nie umiemy. U nas po pijanemu robi się burda, a czasem i coś takiego, co człowiekowi całe życie siedzi, jak ćwiek w głowie, jak robak w sercu; ale po trzeźwemu brat nie wstydzi się brata, syn matki, ani ojciec dziecka. To tylko u was się praktykuje, kiedy uczony rozum siądzie na miejscu prostego, chłopskiego rozumu; kiedy ot taki kusy fraczek zepchnie z pleców szlachcica siwą kapotę, a kapelusik ściśnie głowę, któraby powinna pod czapką ołyścić i posiwieć. To tylko wam się zdarza, co nie pijecie wódki, ale wino, gdy was przypadek, lub jakie лихо spanoszy. A wiész czemu p. Mar-

ku? Oto temu, że kiedy sowa zkogucieje, to wyżej szkoła lata i zapomina głupia, że była sową.

— Panie Bartłomieju!—zawołał zniecierpliwiony p. Marek i powstał z miejsca.

— Nie nazywaj mię panem Bartłomiejem, do kroćset tysięcy djabłów!— krzyknął rozgniewany szlachcic i położył obie ręce na ramionach referendarza.

Siadł referendarz na krześle, jakby antabą przymocowany, a p. Bartłomiej odgarnąwszy z ust wąsy, żeby mu nie zawadzały, tak dalej mówił:

— Siedz i słuchaj. Wywołałeś mię sam z legowiska; teraz masz tu Siechurskiego niedźwiedzia, który ryknie po swojemu do twojego pańskiego ucha. Chciałeś, żebym się wyrachował z tego, com wziął po twojej matce. Oto jest wszystko, co twoja matka zostawiła: chałupę walącą się z dziurawym dachem, przez który woda ciekła na jej siwą głowę; z pobitemi oknami, przez które wiatr świstał koło jej uszów; z wygniłą podłogą, z pod której wyłaziło różne robactwo, gdzie legły się myszy i harcowały szczury, nie dając jej zasnąć i zapomnieć o nędzy. Tę chałupę zamknąłem; przez lat dziesięć dowaliła się ona do reszty, dogniła do szcztetu, i możesz sobie wziąć co jeszcze stérczy, jeśli odważysz się tam zajrzeć. Zabrałem skrzynię z rzeczami i bielizną twojej matki. Skrzynia była bez zamka, i znajdował się w niej stary kaftanik, parę podartych czépców i trzy dziurawe koszule. Łachmany te, z innemi drobniejszymi, leżą tam dotąd. Możesz je obaczyć, jeżeli zechcesz; ale ci ich nie oddam. Weźmiesz za nie nowe i całe. Tamte zostaną u mnie na pamiątkę biedy mojej siostry i serca jej syna. Zabrałem dwie krowy, które już zdechły, i parę koni, które ją wywiozły na cmen-

tarz. Za ten dobytek otrzymasz inny, bo ja twojego nie chcę. Nareszcie p. Marku, wziąłem tego sierotę, którego ci oddaję. Twoja matka kochała go, jam go wychował; więcej on pewnie szanuje jój pamięć, niż ty. Wolalby zostać przy mnie, niż u ciebie. Ale ja go zatrzymać nie mogę; weź go, weź go sobie.

Tu umilkł p. Bartłomiej wysilony temi słowy i żalem głębokim, Marcinek płakał rzewnie i głośno; a p. Marek, jak winowajca, któremu czytają wyrok, siedział z zakrytą twarzą i czuł w głębi duszy każde słowo, co go jak ostrze zakłuwało. Nareszcie nie mogąc znieść tego stanu porwał się z miejsca, spojrział na płaczącego chłopca, i przybliżając się do p. Bartłomieja, rzekł stłumionym głosem:

— Dostyć wuju! dostyć! Źle się stało, to prawda; zapóźnom się opatrzył, ale tamtego naprawić już nie można. Wuju—dodał odprowadzając go na bok —kto jest ten chłopiec?

— Pytasz mnie o to?—rzekł marszcząc brwi p. Bartłomiej.

— Czy on wie wszystko? — dodał jeszcze ciszej pan Marek.

— On nic nie wie, ja wiem wszystko—odpowiedział szlachcic odwracając się.

— Cicho, wuju, choćże ze mną.—Prędko poszedł do gabinetu p. Marek; szlachcic patrzył za nim przez chwilę, pokiwał głową, ale wreszcie wszedł także i drzwi się za nimi zamknęły.

Marcinek został sam w pokoju. Stał z początku zamysłony, kiedyniekiedy jeszcze łązy ocięrał; ale że drzwi ciągle były zamknięte, znudził się swoim smutkiem, zaczął się przypatrywać różnym rzeczom, przyglądać obra-

zom, dotykać palcami bronzów, i nareszcie usiadł na miękkim krześle, poprawił się, rozparł, i rzucając okiem wokoło, rzekł półgłosem:

— Jak tu ładnie! niechże go diabli wezmą!

Blizko pół godziny trwała rozmowa p. Marka z wujem, której nikt nie słyszał, której treści wszakże domyśleć się można, przypomniawszy sobie zwłaszcza Wirgiliusza i tłumaczenie jego Georgik. Gdy wyszli z gabinetu, p. Marek był niezmiernie blady, krzepił się jednak i udawał spokojność; cała zaś postać p. Bartłomieja wyrażała dumę i radość, że dokazał swego, i powinności, która mu dawno ciążyła na sercu, dopełnił.

Marcinek obaczywszy ich, powstał z krzesła, a p. Bartłomiej rzekł:

— Chodź tu chłopcze! pocałuj w rękę i upadnij do nóg JWielmożnego referendarza, który cię bierze pod swoje opiekę i wyprowadzi na ludzi, jeżeli będziesz pilny i posłuszny.

Marcinek zdziwiony tą zmianą mowy i głosu wujaszka, sam nie wiedział co zrobić; ale postrzegłszy marsa na jego brwiach, przystąpił prędko do p. Marka, nachylił się do jego kolan, a gdy ten go podniósł i pocałował w głowę, popatrzył mu chłopak w oczy, zamyslił się trochę, i potem tkliwiej jakoś i szczerzej rękę jego uściskał.

Takim sposobem Marcin Wiedzki dostał się do domu p. Marka. Nazajutrz pożegnał się on z swoim kochanym wujaszkiem, który podpił sobie na waletę, płakał i ściskał płaczącego także od żalu chłopca, i upominał go ciągle, aby bronił Boże nie pił, aby się uczył i słuchał, aby po mieście nie biegał, żadnej psoty nikomu robił, i żadnej burdy nie wszczynął; oświeciwszy go, że co

miasto to nie wieś, że tam wójtowi można było pogrozić, a tu wezmą i skórę wygrzmocą. Nadewszystko polecał mu, aby o téj rozmowie, którą słyszał nikomu nie rzekł, aby p. Marka szanował i nigdy do niego inaczej nie mówił, jak JWPaniol co JWPan każe? a przed innemi nie nazywał go inaczej, jak JWielmożny referendarz.

Upadł do nóg p. Bartłomieja rozrzewniony chłopiec, gdy ten już miał siadać na wózek; przyrzekł że wszystkie dopełni, jak mu polecił; kazał raz jeszcze pokłonić się Siechurskiej Woli — i pobiegł, oglądając się za odjeżdżającym swym dobroczyńcą.

Po takiéjto scenie, po takiéj rozmowie p. Marek w kilka dni po wyjeździe wuja wrócił do dawnéj spokojności i dawnego zamięłowania siebie. Serce jego, które energiczne choć proste słowa szlachcica wyciągnęły jak na torturach, zbiegło się znowu do swéj skurczonéj egoizmem postaci, jak guma elastyczna, gdy ją ręce ciągnące odpuszczą. Chciał on co prędzej pozbyć się z domu chłopca; i gdyby mu był Marcinek nie objawił wręcz, że się chce uczyć, że jeżeli ma być blacharzem lub lakiernikiem, to wróci do Siechurskiej Woli do pługa i do cepa, byłby może p. Marek tę pierwszą myśl swoją przeprowadził do skutku.

Teraz wiemy już jaki mu przeznaczył zawód, jak go ulokował i jak się chwalił dobrodziejstwem, które i krewnemu i dawnemu koledze zrobił.

Wróćmyż więc na Żytną ulicę, a znając już lepiej Marcinka i jego antecedenecye, obaczmy jak będzie korzystał i z gorliwości zacnego Emeryta, i z towarzystwa jego pięknej córki.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Wędrowki Oryginała, przez J. Korzeniowskiego. Wilno.

1 Tom. 1848.

Od dwóch lat i nasze peryodyczne codzienne pisma zaczęły częstować swych łaskawych prenumeratorów romansami w felietonach. Dotąd obyczaj ten praktykował się najszczęśliwiej w samym Paryżu; inne stolice, które w ślad za nim poszły, naśladownictwa téż odniosły owoce: felietony ich były blade, wymuszone i ciche; tak, że zaledwie właściciel pisma wiedział o tym dodatku. My, przyznać to sobie możemy, szczęśliwsi i zręczniejsi jesteśmy w naśladowaniu francuzczyzny: przez wprawę nawet doszliśmy do téj doskonałości, że naśladowac umiemy być oryginalnemi. Stosując rzecz do felietonów naszych, nie stoimy niżej od Paryżan; tam Dumas i Sue okraszają dzienniki olbrzymiami romansami, tu Rzewuski, Szyrmer i Korzeniowski; Rzewuski i Szyrmer w Tygodniku Petersburskim, Korzeniowski w Gazecie Warszawskiej.

Tym sposobem ukazał się najprzód Listopad w felietonie Tygodnika, a następnie Zamek Krakowski. Poważna treść Listopada uwalnia nas od wszelkich uwag, które mogłyby stanowić przedmiot do oddzielnej krytyki; pod względem jednak formy i artystycznego wykończenia uczuciowej mianowicie strony, niech nam będzie wolno choć nawia-

sem tu wspomnieć, że tak Listopad jak Krakowski Zamek wiele do życzenia zostawują.

Mamy mówić o Wędrówkach Oryginała; zdawać się komu może, żeśmy odbiegli od przedmiotu; bynajmniej. Listopad i Wędrówki są dziełami znamienitych w literaturze naszej autorów; oba ukazały się najprzód w felietonach gazet polskich, a potem wyszły w oddzielném wydaniu. *Wędrówek* strona artystyczna jest stroną główną, w *Listopadzie* i *Zamku Krakowskim* jakkolwiek stanowi to drugiego rzędu przymiot, znalazła jednak rozgłośną krytykę równie ustną jak pisaną o artystyczném swém wykończeniu, której my zdania w zupełności dzielić nie możemy, i w dalszych ustępach zwrócić się jeszcze będziemy musieli ku téj artystyczności, dla wykazania jój braków.

Poznaliśmy talent powieściarski Korzeniowskiego niedawno; bo pierwsze w tym rodzaju płody, dopiero przed trzema ukazały się laty, i bez ubliżenia prawdzie oświadczyć możemy, że te płody należą do najcelniejszych w naszej literaturze. *Spekulant* i *Kollokacya* są dzisiaj powszechnie znane. *Spekulant* nawet w ciągu dwóch lat drugiego potrzebował wydania, tak był poszukiwany i tak ogólnej stał się przedmiotem sympatii. O wartości *Kollokacy* zdania są podzielone; większość skłania się do *Spekulanta*, może dlatego, że czytelnikami najserdeczniejszymi romanów są kobiety, które rade widzieć zdradzieckich kochanków na cel wzgardy wystawionych, a może dla powszedniejszej a tém samém przystępniejszej treści. Co do nas, kładziemy bezwarunkowo *Kollokacyą* na pierwszym miejscu, tak dla treści, jak dla artystycznego wykończenia.

Wędrówki Oryginała przypominają łatwością pióra, zręcznością dyalogów, autora obu wspomnianych powieści; różne są wszakże w treści i celu. *Kollokacya* i *Spekulant* były pisane pod wpływem innych pojęć, w sferze innych obyczajów; *Wędrówek* miejscem rodzinném jest Warszawa. Biorąc treść do powieści z życia towarzystw Wołynia lub Podola, prawie niepodobna wyminąć się z klasą tak zwaną obywatelską, czyli, że musimy pisać powieść szlache-

cką, szlacheckie obyczaje malującą; tam bowiem dwie są tylko wyraźniejsze warstwy w społeczności: szlachecka i kmięca. To też Spekulant i Kollokacya, szlachetczygnę dzisiejszą i przeddzisiejszą doskonale przedstawia. U nas w mieście, które możemy już wielkiem nazwać, różnorodniejsze są pokłady towarzystwa, różnorodniejsze ich obyczaje i życie; przedmiot więc do powieści może być niekoniecznie szlachecki. Wędrówki Oryginała dotyczą w wykazanych nam dotąd obrazach klasy najliczniejszej i najrozmaitszej. Początkowe rozdziały pisane są jeszcze w znaczeniu zwyczajnym *wędrówek*, bo jeszcze autor, widać w przeglądzie swym, nie przyłgnął więcej do jednej jak do drugiej okolicy. Oko jego zatrzymuje się na wszelkich spotykanych obrazach i serca ich dotyka. Im dalej, tém widoczniej wędrówka oryginała staje się podróżą, podróżą specjalną. Autor wybiera sobie jedną klasę towarzystwa, klasę artystowską, i nad jęj życiem równie wewnętrznem, jak zewnętrznem czuwa.

Nie podamy tu materyalnej treści dzieła, to jest nie przytoczymy osnowy, która ogranicza się zwykle na intrydze miłosnej. Prózneto wyciągi z rozmaitych stosunków kochanka do kochanki, kombinacyj przeszkód i pomocy, kończące się na ślubie lub śmierci kilku osób; czasem tylko ani na jednym, ani na drugim. Nam idzie więcej o treść myślową romansu i o kształt budowy, w której duch jego mieszka. W Wędrówkach forma opowiadania w początku zbliża się do pamiętników; tak nawet autor sam ją nazywa, podstawiając w miejscu swoim istotę moralną, wzbogaconą praktyką życia, poglądem zdrowym i trafnym na rzeczy i ludzi. W nazwaniu tęj istoty *oryginałem*, jest pewien rodzaj ironii; postępowanie bowiem jego nie ma w sobie nic na dziwaczność zakrawającego. Widzimy go owszem takim, jakim każdego widzielibyśmy chcieli. Każdy krok obmyślony, przewidziane jego następstwa, uczciwość prosta bez pretensyi, dobroczynność cicha, z zastanowieniem sprawowana i rzucana na serca gotowe jeszcze przyjąć wszelkie dobre ziarno. Jakaś wszakże tajemniczość spokojną

i surową postać jego okrywa, i to zapewne dodaje zajęcia i uroku fizyonomii zkadinał zimnej. Zdaje się, że autor nie bez celu nazwał człowieka rozumnego i szlachetnego oryginałem, to jest rzadkością między ludźmi. Może jesteśmy zepsuci trochę cudownościami dzisiejszych powieściopisarzy francuzkich, ale wolelibyśmy w oryginale wędrującym widzieć istotę więcej excentryczną, więcej wzniesioną nad popolitości ziemskie. Duch jego wyższy, imaginacya ognistsza, odbiłaby się w wyraźniejszych rysach od tłumy zwyczajnymi drogami chodzącego. Wzniesiony nad popolitość, w rzutach i poglądach na ludzi, obejmowałby wydatniejsze tylko skrzywienia i ułomności towarzystwa; mniejsze musiałby pomijać, patrząc z wysokości swego gieniuszu. Nie chcemy przez tę uwagę poprawiać kreacyi autora, przyjmujemy ją owszem w warunkach danych; taka nam wszakże mimowoli nastarczyła się myśl, takie wreszcie dręczyło nas przecucie biorąc książkę do ręki. Oryginał p. Korzeniowskiego jest istotą praktyczną, i ma cel najwyraźniejszy wpoić w nas zasady praktycznego życia, których nam bez wątpienia bardzo brakuje. Wszystkie błędy i ich następstwa w naszym życiu pochodzą nie z braku zdolności, bo tych mamy pewnie nie mniej od najzdolniejszych, ale z braku praktyczności. W tę to stronę słabą społeczności autor uderza i silnymi często razami pragnie wzbudzić krążenie zastygłej krwi, popchnąć do działalności leniwego ducha. Tak z początku wprowadziwszy nas do salonu niby literackiego, wskazuje, że towarzystwo nasze nie umie i nie chce zająć się czémkolwiek poważniejszem w chwilach niby wypoczynku, na tak zwanych wieczorach; że wszelka refleksyi potrzebująca rozprawa nudzi je i rozgania; że do rozrywek godnych człowieka, rozrywek umysłowych, skwapliwsza u nas płeć piękna: czyta i lubi czytać. Z pociechą spotkaliśmy się z tą prawdą; a żałujemy, że w zbyt szczupłych ramach obraz zamknięty. Za to, nie dzielimy bezwarunkowo zdania autora co do usposobień naszej powszechności dla dzieł dobrych w literaturze. Obojętności przyczyn szukać trzeba w źródle, a nie w skutkach. Jeżeli znamienitego pisarza lub jego

dzieło spotyka czasem wzrok zimny lub chwilowa obojętność, pochodzić to może z wielu bardzo, napozór błahych, ale w gruncie sprawiedliwych przyczyn względnie do tego, który patrzy zimno i obojętnie. Raz obojętność jest tylko formą, pod którą ukrywa się zazdrość; tej nie szczędzą półautorowie, półtalenci, półfilozofy, słowem, głowy napół uorganizowane. Czyż reszta towarzystwa za jednego lub dziesięciu może odpowiadać? Drugi raz obojętność jest formą osłaniającą głupstwo, najlepszem zresztą sercem i chęciami obdarzone. Wtenczas objawiają się wymagania bez granic, pretensye bez granic; wtenczas żądają gwałtem, aby autor tak widział i tak sądził, jak każdy przypadkowy czytelnik i wszyscy razem widzą i sądzą; żeby naraz wszystko widział i wszędzie; słowem, niewolno mu widzieć i patrzeć po swojemu. Takie wymagania nie mają i nie powinny mieć wartości sądu, jak świadectwo nieletnich nie ma siły dowodu, a błąd dziecka nie jest publicznie karogodnym. Idąc dalej i śledząc przyczyn przekonalibyśmy się, że wina nie leży w massie, ale w wyjątkach; że massą zawsze ma instykt zdrowego sądu, że tón samém za massę nie można uważać ani Rawy, ani Płocka, ani Warszawy, ani Łodzi, ale wszystkie razem miasta i wsi z ich rozsądnymi i wykształconymi czytelnikami. Zdania tedy gorzkie o naszym ogóle nie dadzą się usprawiedliwić, i zapewne w dalszym ciągu *Wędrowek* autor choć w części je odwoła.

Po tych obrazach towarzyskich, gdzie opowiadania autora, przepłatają pamiętniki Oryginała, gdzie poznaliśmy na samym wstępie dwie główne osoby powieści: Julisją i pana Kazimiérza, i przeculi z wybornie urządzonej expozycji, że te istoty zajmą nas szczególnie, choć je autor z niechęcia tylko naznaczył; po tych tedy przytoczonych obrazach, wchodzimy w szereg scen, bez przerwy zajmujących, i z nadzwyczajną tkliwością skreślonych. Chwila zjawienia się młodego wiolonczelisty, pana Karola, a wkrótce potem Marty czulej, niewinnej i nieszczęśliwej, jest górującą w powieści. Odtąd cztery tylko osoby składają dramat tkli-

wy a często rozzdzierający; tak są pełne prawdy, uczucia i dobrze pomyślanego efektu. Karol i Marta, Kazimiérz i Julisia, grają wszystkimi uczuciami na bolesną nutę. Karol artysta, pełen zapału do sztuki, z imaginacją gorejącą, którą podnosi jeszcze dokuczliwa nędza i uczucie talentu; Marta piękna i skromna, której serce całym bogactwem, a miłość nieograniczona jedynym przewodnikiem głowy. Kazimiérz młody, bogaty, jednak wolny od wad, jakimi majątek i imię odziedziczone oblega tę klasę ludzi; Julisia podobna do Marty z położenia, ale wyższa od niej umysłem, nauką wzmocnionym. Marta i Julisia potrzebują walczyć ze skłonnościami serca; Marta, dla której całym skarbem uczucie i przewodnikiem uczucie, poddając się jego władzy, pociąga za sobą Karola, jako ofiarę poświęcenia do ołtarza. Julisia wyższa rozumem, uczucie silne poświęca dla obowiązków wdzięczności, i do poświęcenia równego skłania Kazimiérza. Oryginał zdała czuwa nad temi istotami; żaden krok, żaden czyn wyraźny z jego strony nie wspiera ich w tej trudnej walce obowiązków i uczucia. Zdaje się tylko, że szlachetny jego duch raduje się w ciszy nad tryumfem wielkiej cnoty, na największe wystawionej próby.

Jak w 1szej części Wędrówek do zjawienia się Karola, zmieniają się obrazy obyczajowe, krytycznym o nich poglądem Oryginała oświecane, tak tu w drugiej części, wybrańce tego opiekuna serc prawych, wolne od jego wpływu, same na świat namiętności puszczone, żyją własnym życiem, pod wodzą wrodzonego dobrego instynktu. Ta część nie jest już obyczajową, ale uczuciową. Pierwsza dla tak wprawnego pióra, dla takiej znajomości ludzi, jakiej p. Korzeniowskiemu trudno zaprzeczyć, była igraszką, wypożyczkiem przy pracy nad Wędrówkami; druga przeciwnie wymagała oprócz znajomości serca młodego, żywości kolorów, śmiałości rysów, a nadewszystko ciepła, którego zdaje się, młodość tylko może być właścicielką. A przecież ta druga część jest piękną, pełną i żywą, jest nieskończenie wyższą od pierwszej. W tym miejscu, właściwie możemy uczynić zwrot do romansów autora Pamiętników Staroego

Szlachcica, a mianowicie do ich uczuciowej strony. Jakiż tam język tych kochanków, do czego podobna ich miłość? Jaki dyalog! w każdym miejscu można go przerwać bez szkody dla całości, a nieraz opuścić z prawdziwą korzyścią dla dzieła i autora. Kochankowie w chwilach zapалу sercowego wyglądają jak owi starzy aktorowie, co niegdyś grywali role bohaterów i po dwudziestoletniej przerwie, w zastępstwie znowu czasem adonisów udawać im każą. Z musu więc powtarzają za sullenem leniwo bystre wyrazy miłości, z niewłaściwemi do tego przestankami; kobiety znowu, kiedy chcą być bardzo czule, wpadają w nieprzyzwoitość. Dla sprawdzenia, radzimy ciekawym przejrzyć troskliwie trzeci tom Listopada, ostatnie kilka rozdziałów. U Korzeniowskiego dyalog jest naturalny, łatwy, a jak najkrótszą drogą zbliżający do celu. W Wędrownkach Oryginała szczególnie ujmuje nas ten dyalog, wdzięk słowa serdecznego, boleści nieudanój, rezygnacyi wzniosłej i tej harmonii i pełności obrazów. Najpiękniejszą jest postać Karola artysty, z losem, narzuconą kochanką i sztuką walczącego; słabiiej odznaczonych rysów i bez ruchu jest sizonomia Kazimierza, przy której szlachetna Julisia tém wyraźniej z obrazu występuje. Charakter artysty, życie jego wewnętrzne, doskonale oddane: obraz nieprzesadzony a poetyczny; życie zewnętrzne w stosunku do naszój społeczności, uchwycone w najprawdziwszych i najwydatniejszych chwilach. Karol, to artysta, który nie otrzymał u nas prawa obywatelstwa, bo artyści wszyscy muszą z gotowemi przyjeżdżać wieńcami; my tym wieńcom przypatrujemy się tylko z podziwieniem, ale ich nie dajemy. Prawda ta niestety, aż nadto często przykładami stwierdzona. Obce tylko imię ma dla nas urok, swoje, nie sympatyą obudza, ale coś zimniejszego od obojętności. Pod wpływem takiego przekonania, autor przedstawił nam koncert Karola w rozdzierniających nagą prawdą wyrazach. Scenę tę liczymy do najlepszych, i w ogóle wszystkie, wielkie troski lub rezygnacyą malujące. Nie powinniśmy może dodawać, że obrazy te są ciągle zajmujące i w miarę postępu silniejsze budzą uczucie; bo

scena żadna nie robi wrażenia, jeżeli nie jest dobrze przygotowaną i w harmonii koniecznej z następnymi. Moglibyśmy zarzucić autorowi, że zbyt ponuro dał tło całej tej powieści od zjawienia się Karola; raz naciągnięta struna smutku lub bólu, brzmi w różnych kombinacjach i sile to wzrastającej, to malejącej aż do końca. Ton taki trudno utrzymać, jakkolwiek jest z wielką sztuką utrzymany; wrażenie tém silniejszym się staje, im rozmaitszych strun naprzemian dłoń artysty dotyka. Zamało powiedzieliśmy o Marcie, która bez zaprzeczenia do bardzo szczęśliwych kreacyj należy. Szczególnie piękną jest jako żona Karola; piérwój miłość kochanki prowadziła ją ślepo, teraz miłość żony równie nieograniczona, ale bardziej święta przerodziła ją w istotę wzniosłą, rozumną, gotową na wszelkie ciosy. Przedtóm słowa jój proste traciły swój urok, gdy je nad stan i pojęcia swe bujniejszymi przeplatała; teraz po ciężkich próbach serca, duch jój wzmocnił się, przejrzał i prawdziwą boskością zajaśniał. Wolimy ją w tej epoce, i pewnie sam autor dumniejszym okiem na Martę jako żonę Karola patrzy. Gdyby piérwsza epoka życia Marty była tak szczęśliwie skręśloną jak druga, dalibyśmy jój piérwsze miejsce przed Julisją, nawet przed Karolem, i do najpiękniejszych kreacyj jego policzyli, nie wyłączając ani dram, ani powieści. Dla losu tych trzech istot: Karola, Marty i Julisi, w sercu czytelnika przechował się zapewne najżywszy interes i niecierpliwość do dalszych części Wędrówek Oryginała. Inne drugiego rzędu indywidua, pomocnicze do uwydatnienia piérwszych, jako: kasztelan, kasztelanowa, ich wnuczka Ewunia i siostra Oryginała, mają wszystkie cechy prawdopodobieństwa i żyją własnym życiem. Tak całej powieści treścią jest walka z życiem na wszystkich stopniach towarzystwa; na wyższych dobrowolna, na coraz niższych coraz więcej konieczna, od losu nieodłączna i coraz sroższa.

L. E.

ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

(Ciąg dalszy).

S.

Z powiatu łukowskiego. Od miast: Żelechowa, Adamowa, Baranowa, Końsko-Woli, Puław, Bobrownik, Stężyca i Maciejowic. Wsie: Ostrożeń, Gończyce, Sokół, Sobulew, Kaleń, Korytnica, Dutki, Kloczów, Okrzeja, Rososz, Ryki, Moszczanka, Pogonów, Zyrzyn, Zagrody, Osiny, Wola Osińska, Wronów, Gołąb Banów i t. d.

Ceremonie i śpiewy weselne tych stron podobne są do poprzedzających, jako i do tych, które z powiatu opoczyńskiego dawniej już opisane zostały. W poniżej zatem umieszczonym zbiorze, okażą się tylko wzajemne ich różnice.

W dzień na zmówiny przeznaczony, zbierają się parobcy i dziewczęta do domu rodziców panny-młodej lub do karczmy. Wtenczasto pośród mnóstwa na bezżennych miotanych przycinków, przy obieraniu drużby weselnej między młodzieżą, śpiewają dziewuchy następną pieśń:

150. Hej poszły były panny panienczki — do kalinecz i —
lnianki rwać,
Lnianek nie wyrwały — sflukły i stargały — nic nie
znać.

- I napotkały Oleksego Wawrzka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na myszy—ledwie pod nim dyszy—on
jedzie.
- I napotkały Wojtka Michałowój—i zobaczyły—on jedzie:
Ou jedzie na szczurze—uwiązł mu łeb w dziurze—
on jedzie.
- I napotkały Jaśkowego Juzwę—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na kocie—z nosa mu parkocze—on jedzie.
- I napotkały Stefanowój Leona—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie se na psie—a pies szczeka zawsze—on je-
dzie.
- I napotkały Matysowój Maćka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na suce—pięścią w tyłek tłuce—on jedzie.
- I napotkały Jakubowój Franka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na świni—trzyma się szczeciny—on je-
dzie.
- I napotkały Benedyktowego—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na wieprzu—szuka w tyłku pieprzu—on
jedzie.
- I napotkały Wincentowego Piotra—i zobaczyły—on
jedzie:
On jedzie na pliszcze—pod ogon ją iszcze—on jedzie.
- I napotkały Mikołajowój Bonka—i zobaczyły—on jedzie:
On jedzie na wole—pod ogon go kole—on jedzie.
- I napotkały Marcinowój Grzełę—i zobaczyły—on je-
dzie:
On jedzie na ośle—woła bodajś oślepl—on jedzie.
- I napotkały Kacprowego Tomka—i zobaczyły—on je-
dzie:
On jedzie na słoniu—szuka w tyłku tytoniu—on je-
dzie.
- I napotkały Balcerowój Stacha—i zobaczyły—on je-
dzie:
On jedzie na smoku—o kosmatém oku—on jedzie.
- I napotkały Adamowój Walka—i zobaczyły—on je-
(*pan młody*)
dzie:
Jedzie na koniku—w granat-żupaniku—on jedzie.

Rozchodząc się do domu, nuć tego dnia:

151. Oj kowalu, kowalu—da zróbże mi klódeczkę,
Da żebym zamykała—da do ślubu wstążeczkę.
Oj kowalu kowalu—da zróbże mi zameczek,
Da żebym zamykała—da do ślubu wianeczek.

Przy rozplecinach śpiewają tu: (porównać z nr. 5, 32 i 51).

152. Nie żałuj-se moja Kasieńku zapłakać,
 Kiedy będą złoty warkocz rozplatać.
 Braciszku który—choć i nierodzony,
 Rozpleć mi warkocz, będziesz zbawiony.
 Chodzi braciszek po sieni,
 Trzyma szczoteczkę w kieszeni.
 A ja warkoczku bratek twój,
 Rozczeszę, rozpletę warkocz twój.
 Ty warkoczku ognisty,
 Bywałeś na plecach zdobnisty,
 Ty warkoczku mój złoty,
 Z wodą popłyną twoje uploty.

Po wydaleniu się pana-młodego z družbą, druchny nuca
 na dobranoc (patrz nr. 9):

153. Wyszła na pole—stała sobie,
 pod jaworem w chłodzie;
 I wyglądała—swego Jasieńka,
 z której strony pojedzie.
 Jedzie Jasieńko—jedzie najmiłszy,
 po zielonej dąbrowie,
 Rozprószył-ci te—strusie pióreczka,
 konikowi po głowie.
 Nie tak-ci mi żal—strusich pióreczek,
 com je sobie rozprószył,
 Ale mi cię żal—dziewczyno moja
 com cię marnie opuścił.
 Puścił konika—na pastewniczek,
 z uzdeczką hej z uzdeczką,
 Już ja nie będę—miły Jasieńku,
 już u ciebie dziewczeczką.
 Koniczek lata—koniczek płasa,
 na cugle następuje,
 Kasieńka płacze—Kasieńka krzyczy
 i rączki załamuje.
 Kasieńku nie płacz—Kasieńku nie krzycz,
 nie psujże sobie główki.
 Weź se chusteczki—z mój kieszoneczki,
 i utrzyj sobie oczki.
 Teraz chusteczka—i ta jedwabna,
 i ta nie nie pomoże,
 Moją urody—moją swobody,
 pożał się mocny Boże!

Żebym ja wiedział—dziewczyno moja,
 żeś moja być nie miała,
 Stawiałbym stolki—kopałbym dolki
 da żebyś kark złamała.

Nazajutrz przed wybraniem się do kościoła, następujące bywają tu nucone pieśni: (patrz nr. 35 i 90, śpiewana i nad Bugiem).

154. W polu ogródeczek—w polu malowany,
 Któż go pomałował—Jasieńko kochany,
 A w tym ogródeczku—zakrzciały gwoździki,
 Zaprzęgaj Jasieńku-te wronne koniki i t. d.

Zamiast nr. 36, 57, 71, 89, 114 i 129.

155. Po cożeś mnie moja matko za mąż wydała,
 Kiedy ja się w gospodarstwie nie zaumiała;
 Bo za chłopem trzeba robić,
 Mało kiedy pięknie chodzić
 matulu moja.

Zaprzęgajcie kare konie pod te karoce,
 Niech pojedą, niech zobaczą jego pałace;
 Bywajże mi zdrowa matko,
 Chowałaś mnie zawsze gładko
 bywaj-że zdrowa.

Zamiast nr. 13, 37, 58 i 72, pod Maciejowicami:

156. Siadaj-że siadaj Maryś kochanie,
 Już-ci koniki pozaprzęgane.
 Już koniki stoją w wozie,
 Już nama płacz nie pomoże
 Maryś kochanie.

Jakże ja z wami będę siadała,
 Kiedym się z tatulem nie pożegnała:
 Zostań z Bogiem i ty ojcze,
 Bywały tu za mnie goście,
 teraz nie będą.

Siadaj-że siadaj i t. d.

Jakże ja z wami będę siadała,
 Kiedym się z bratem nie pożegnała:
 Zostań z Bogiem i ty bracie,
 Bywałam ci na zawadzie
 teraz nie będę.

Siadaj-że siadaj i t. d.

A zostańcie i wy okna,
 Com bywało warkocz plotła,
 teraz nie będę.

A zostańcie i wy progi,
Com związała o was nogi,
teraz nie będę.

Dwa warianty melodyi powyższych pieśni, umieściłem pod nr. 157 i 158.

Zamiast nr. 91 i 117:

159. A z góry z góry—jadą Mazury;
Jedzie, jedzie Mazureczek,
Wiezie, wiezie mi wianeczek
z dalekiej strony.
Przyjechał w nocy—przed moje oczy,
Stuku, puku w okieneczko;
Otwórz, otwórz kochaneczku,

Również: wody koniom daj.

160. Wyjechał w pole—krzyknął na konie;
Obejrzyj się kochaneczko czy wszystko twoje.
Wszystko to moje—co w karabonie,
Tylkom sobie zapomniała wianka na stole.
Czyli się wrócić—czyli nie wrócić,
Czyli swojej matuleńce serca nie smuć.
Wyrzekł: dalipan—wróćę ja się sam,
Nieszczęśliwe słowo jego, złamał nóżkę koń.

Przed samym kościołem (zobacz nr. 116 i 132):

161. Pod borem sosna—pod nią topola,
Ożeń się mój Jasieńku, bo ci niewola i t. d.

Wracając od ślubu, po przegraniu marsza weselnego (patrz w nutach nr. 162):

163. Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek boso,
Trzebaby się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.

Kiedy zasiądą do obiadu (urządzeniem którego zajął się wybrany podczaszy), tak śpiewają sadzając państwa-młodych na przedniejszym miejscu:

164. O da, prosimy, panie podczaszy—o tę pannę młodą—
prosimy,
O da, niechże ją za cisowym stołem — niechże ją wi-
dziemy.
O da, prosimy, panie podczaszy — o pana młodego —
prosimy,
O da, niechże go za cisowym stołem — niechże go wi-
dziemy.

O da, prosimy, panie podczaszy — o białą gołąbkę do
stoła,

O da, prosimy, panie podczaszy — i o wdzięcznego so-
koła.

Już nam idzie, panie podczaszy—wianek ruciany —już
idzie,

Już nam idzie, panie podczaszy—i Jasio kochany—już
idzie.

Przy daniu na stół ryb i kapusty, starszy družba śpiewa:

165. A kiej będziemy tego karpia zażywać,
A raczże go nam, Panie Jezusie, Najświętsza Panno,
przeżegnać;
A przeżegnaj go, Panie Jezusie, Najświętsza Panno,
przeżegnaj,
A daj dolę tym dwojgu ludziom—dolę daj.

*

Niechże się po rzepie wszystko wiedzie,
Stulichna (*kapusta*) po wszystkim obiedzie;
Jak stulichnę zjemy,
To podziękujemy.

Powstawszy od stołu śpiewają chórem (patrz nr. 22 i 135):

166. A dyć były stoły—to wszystko cisowe,
Podziękujmy Panu Bogu i gospodarzowi z jego miłą go-
spodynią po obiedzie—po dobrym.
A dyć były łyżki—to wszystko cynowe.
A dyć były miski —to wszystko gliniane.
A dyć były obrusy.—to wszystko niciane.
A dyć była cebula—to wszystko z Torunia.
A dyć były przyprawy—to wszystko z Warszawy.
Podziękujmy Panu Bogu i gospodarzowi z jego miłą go-
spodynią po obiedzie—po dobrym.

Oczepiny odbywają się nazajutrz, przyczém śpiewają zdją-
wszy wianek z głowy panny młoděj (p. nr. 26):

167. Zrobiłam ja matuleńce uciechę,
Wsadziłam ja swój wianeczek pod strzechę.
Niechże będzie matuleńce uciecha,
Niechże chodzi w moim wianku i strzecha.
Miło było matuleńce i miło,
Jak chodziła Kasineczka po bydło,
Jeszcze będzie matuleńce i milěj,
Jakci będzie w kolebeczce li li li.

Kładąc czépiec, na który zawijają chustkę:

168. Matulu moja—dodaj zawoja;
 Zawój gotowy—stary nie nowy,
 Pięknie zwinięty—w skrzynię zamknięty.
 Braciszek skoczył—zawój rozłoczył,
 Siostrzyczkę zawil—pobłogosławił.
 Braciszek idzie—zawojem wieje,
 Jego siostrzyczka—od żalu mgleje.

W czasie oczepin, daje się słyszeć przegrywka na skrzypcach (patrz w nutach 169). Prócz tego śpiewają:

170. Oj płakała ja wczora—da i będę i dziś,
 Oj nie mogę ja wianka—z drobnej rutki uwić.
 Oj nie mogę go uwić—nie mogę go złożyć,
 Da muszę swój wianeczek—w kolebeczkę włożyć.
 Oj chodziłam w wianeczku—chodziłam w rucianym,
 Da teraz i w czépeczku—teraz i w nicianym.

Po oczepieniu następują tańce i wrzawa powszechna. W jednym z dni weselnych następnych, śpiewają: (p. nr. 124)

171. O Boże, Boże! co mnie mąż bije,
 Niema takiego, co pożałuje;
 Przyjdź, przyjdź matuleńku — przyjdź, przyjdź naj-
 kochańsza, ty pożałujesz.
 Matula jedzie—w te nowe wrota,
 Trzyma chusteczkę z szczerého złota,
 Bij, bij, zięciu dobrze — aż się na niej skóra odrze,
 zła panną była i t. d.

K. W. Wójcicki w swoim zbiorze Pieśni Ludu Tom II, str. 67, podaje pieśni weselne z Lubelskiego, które w okolicach Lublina i Piasków w taki sposób bywają śpiewane. Druchny przy robie niu wianka (p. nr. 103):

172. Wiła Marysia wianeczek,
 Z drobnej ruteńki serdeczek (*korona kwiatu*),
 Z swemi druchnami go wiła.
 Jedna ruteńkę szczypała,
 Druga równianki (*girlandy*) równiała,
 Trzecia snopeczki (*bukiety*) wiązała.
 Wyszła Maryś do ogroda,
 Rumiana kieby jagoda;
 Z ziółkiem tak się rozmawiała:
 Nie będę cię przesadzała,
 Zimną wodą podlewała.

Jest-ci tutaj młodsza siostra,
Jeszcze ona nie dorosła,
To cię będzie przesadzała,
Zimną wodą podlewała.

Przy rozczesywaniu kosa (*warkocza*) pannie młodej siedzącej na dzieży:

173. W kalinowym lesie—woda kamień niesie,
Maryś na nim stała—swe kosa cesała,
Co włoszek upadnie—to woda zagarnie.
Płynicież moje włosy—do matki wrakoszy!
Jak tam popłyniecie—przed wroty stanicie,
Pytajcież odemnie—nie tęskniąż bezemnie?

Drużbowie jadąc konno z panem młodym:

174. Spieszmyż swacia—bracia!
Jedźmyż żywo po nią,
Po dobrą gosponią!

Za przybyciem pana młodego (p. nr. 125):

175. Znasz-ci Jasieńka—chłopca dziarskiego?
Znasz-ci miłego—co po cię jedzie?
Ojca przeprosił—koniu osiodłał,
Ubrał się pięknie—zaraz tu będzie.

W czasie zabierania się gromady do wyjścia:

176. Kłaniaj się Marysiu—kłaniaj się młodo,
Padnij raz i drugi—rodzicom do nogi.
Po cóż mam się kłaniać—za co mam dziękować,
Kiedy mnie rodzeni—nie chcą u się chować?

Przy błogosławieństwie rodziców na progu:

177. Przepróż Marysiu—swoję mateńkę,
w czemeś ją przegniewała;
Jak nie przeprosisz—jak nie przebłagasz,
nie będziesz doli miała!
Mój tatusiu! mój rodzony—nie daj mnie od siebie,
Niechże schodzę, te zamszowe trzewiczki u ciebie!
Moja córuś! moja rodzona—jużes się u mnie nabyła,
Jużes nie jedne takie trzewiczki—u twych rodzonych
schodziła.

Już słoneczko za sadami,
Młoda Maryś jedźże z nami!

Proszę ja was o to—żebyście mnie poczekali,
Niechże ja się przejdę—do rodzonych na poradę,
Jeśli każą to pojadę.
Jużeśmy u nich byli—już nam cię pozwolili.

Wybierając się do kościoła:

178. A już idźcie—poganiajcie,
z mojej matenki domu!
Niech ja nie widzę—niech ja nie słyszę,
mojej matenki żalu.
Boć to matenka—hoć to kochana,
tak płacze, tak żałuje;
Jako kukułka—jako kukułka,
w zielonym gaju kuje.

Gdy marszałek weselny oddaje druchnie ślubne pierścienie:

179. Pośród pola—kuźnia stała,
A w tej kuźni—dwaj kowalczyki.
Łado! Łado!
Biją młoty— w pierścień złoty,
Z młodym Jasieńkiem—ku ślubowi,
Łado! Łado!

W czasie jechania do kościoła:

180. Od terema—do terema (*bezdroże tu izbu*),
My do ślubu dziś jedziema.
Wię to pan Jezus—Matka Najświętsza,
Czy go weźmiema.
Od Boga ślub,
Od ludzi sąd,
Od matenki wesele.

Powracając z kościoła:

181. Pod czereśniami—pod kalinami,
barwinek zielony;
Spiesz się matenko,
już Jaś ożeniony.
Od terema do terema,
jużeśmy po ślubie,
Wzięty on według zakonu.
Od Boga był ślub,
Od ludzi jest sąd,
Od matenki będzie wesele.

Przed domem:

182. Czas! czas! godzinienka schodzi,
Matka niech z chaty wychodzi.
Zkądżeście dwór najechali?
Cisowe wrota złamali,
Zielone podwórze zdeptali,
Łado! Łado!

Nie frasuj się matuniu,
 Jutro rano przyjedziemy,
 Waszą szkodę naprawiemy,
 Łado! Łado!
 Otwórz mateńko, otwórz,
 To twoja córeńka,
 Łado! Łado!

Przy nakrywaniu stołu:

183. Rozstaczajcie bielone obrusy na stole,
 Rozstawiajcie misy i talerze.
 Nie ubędzie tych sprzętów na stole,
 Bośmy uczciwi goście w tym domie.

Gdy przy końcu uczyty družba z palmą w ręku błaznuje,
 mówi:

184. Zdaleka ci goście byli,
 Dobrze oni jedli, pili;
 Ni na stole skóreczki,
 Ni pod stołem kosteczki.

Po uczcie:

185. Powstańcie panowie—powstańcie swatkowie
 Dziękujcie za ucztę—Bogu i mateńce.

Gdy panna młoda na klęczkach podaje wianek matce (p.
 nr. 103, 104):

186. Marysiu! weź wianek w dłońie,
 Oddaj go matce w pokłonie:
 Moja mateńko! moje kochanie,
 Przyjm ten wianek córki w danie.
 Matka wianka nie bierze,
 Bo od żalości nie zdoła;
 Serceż moje, żalość moja,
 Czemuż ty mi nie zapłaczesz?

W czasie oczepin (p. nr. 168):

187. Matuniu moja—ćodaj zawoja!
 Matka do skrzynie—zawój rozwinnie.

Kładąc czépiec, zawój i zawijkę:

188. Marysiu! koraliku mój złoty!
 Gdzieś działa pozłociste uploty?
 Dałam ich matuleńce schować już,
 Bo mi czas gospodynią zostać już.

W czasie oczepin:

189. Przykryło się niebo obłokami,
 Przykryła się Marysia rąbkami;

Okrył się jawór zielonym listewkiem,
Młoda Marysia bielonym czepieńkiem.

Po oczepinach:

190. Zakukała zyzuleńka za borem,
Zapłakała Marysienka za stołem!
Nieszczęśliwa godzinerka i chwila:
Jużci ona kawalerom niemiła.

Po oczepinach:

191. Zima, zimeńka—bardzo bieleńka
czy runo nas napadniesz?
Pytam cię się—młoda Marysiu,
do kogo ty przystaniesz?
Przystałabym ja—do mojej mateńki,
do siostrzeńki i do tateńki,
Ale nie chcą mnie zimować—dłużej w chacie chować.
Przystańże do Jasieńka,
On cię będzie zimował—na wiek u się chował.

Po wzięciu ślubu (p. nr. 11):

192. Prowadzili bratkwie siostrę ze dwora,
Nie wiedziała którą dróżenką iść miała.
Staęła jak biała lilija przy drodze,
Patrzala któredy rodzina jej pójdzie.
Rodzina jedzie—białą liliją mija,
Ona wstała—zapłakała
nie wzięcie ją!
Młody Jasieńko jedzie—białej lilii nie mija
Ona wstała, rozśmiała się—
wziął—ci ją!

Przy końcu wesela:

193. Ej! na weselum była—nicem nie użyła,
Trzewiczkim zdarła—głodu się namarła.
Oj wesele, wesele—było i nie będzie,
Była ci Maryś bięda—jeszcze większa będzie.
Wesela godzina—biędy wiek!

Przytaczam tu (nr. 194 i 195) marsza weselnego i przegrywkę w czasie oczepin z okolic Markuszewa. Także taniec zwany *powolnym* (nr. 196) zbliżony bardzo do poloneza, i drugi taki (nr. 197) z okolic Steżycy i Bobrownik nad Wieprzem.

9.

Od Jasła, Krosna, Bieczu i Górlie. W jednym z naszych pism czasowych (Prz. L. rok 4, tom 2) umieszczono opis obrzędów i pieśni śpiewanych w czasie wesela w tamtych stronach. Że opis ten jak najwierniej skreślony, doskonały przedstawia obraz zwyczajów ludu w obwodzie jasielskim, przytaczam go w całości, jako ważny i pełny kłos do ogólnego snopa pieśni weselnych wniesiony.

„Dawnyto obyczaj, że się ludzie zwykle pod jesień żenią i weselą. Wypływa to z istoty życia rolniczego ludu. Jesień jest niejako spoczynkiem rolnika, całorocznej pracy nagrodą. Kiedy więc pola zasiane, hrogi pełne, gumna zamknięte, śpichrze i komory ładowne, kiedy bydło na zimowej stanęło okole, a w chacie przy wieczorowym ognisku miło i potulnie; wówczas zaczynają się snuć z *zalotnikami dziewczosłęb* pod strzechy, kędy sobie obmyśleli dziewczkę. Na dziewczosłębów upraszają sobie zalotnicy ludzi trzeźwych, uczciwych, wiekiem nieco podeszłych a wymownych. Zazwyczaj żenią się parobcy aby mieć pomoc w domu, wyłączenie za domem; ale nierzadko mięwa i serce swój udział w tej sprawie; często w tych serdecznych stosunkach silne i niezwykle budzą się namiętności, które wychodząc ze zwyczajnych kolei sielskich, tragiczny biorą koniec”.

„Od *zalotów* i *zmówin* bierze swój początek ono zbliżenie się dwojga ludzi wzajemne. Kiedy dziewczosłęb z zalotnikiem w dom przybywa, przynoszą z sobą gorzałkę i przypijają naprzód do rodziców, potem do dziewczyny. Jeżeli dziewczyna kubek przyjmie, jestto znakiem, że się zalotnik podobał, a na ich związek zezwalają ojcowie. Jeżeli zaloty pomyślny skutek wzięły, idą nazajutrz narzeczeni z rodzicami i z pokłonem do księdza plebana na pacierze. Ksiądz przedstawia obowiązki przyszłego stanu. Gdy się sprawią z nauki i słowa Bożego, wychodzą opowiedzie w następną niedzielę. Po dwóch opowiedziach z ambony, poczyną młody z drużbą spraszać gości na wesele. Przyjeżdżają naprzód do narzeczonej, którą już odłąd *młoduchą* zowią. Młoducha przybięra pana młode-

go, daje mu białą chustkę, którą przez ramię przewiesza, i przypina mu do magierki wstążkę i snopeczek ruty. Podobnie przystraja družbę, poczem oba kolejno krewnych, sąsiadów, przyjaciół, dwór i plebana na wesele proszą. Družba miewa oracyą do każdego, i musi do każdego przypijać z osobna; ztąd przystoi:

Oj družba, družba,
Ciężka twoja służba!

Tym sposobem odprawują także mieszczanie wesela swoje, z tą różnicą, że się mieszczki w jupkach i czółkach, a mieszczanie w żupanach i kontuszach noszą, do którego stroju *trzcina* przystoi.

Kiedy więc do młoduchy družba z młodym przychodzi, przystraja ona także i ich laski, wiążąc do gałki rutę i wstążkę. Przez cały zaś przeciąg wesela, mają mieszczanie obok rznież muzyki i dętą *kapelę*. Zaprosiny na wesele odbywają się po mieście pieszo.

Oracya družby:

198. Niechaj będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Przychodzimy tutaj z prośbą, a niesiem ukłony;
Jak Bóg rozesłał na ucztę po świecie narody,
Tak też wysłał nas, prosić na weselne gody.
A proszą przez nas rodzice młodego i młodej:
A naprzód prosi pan ojciec, potem pani matka,
A potem ten tu pan młody i młoducha gładka.
A potem krewni obojga, tę wszystką rodzinę,
Na poniedziałek, na szóstą godzinę.
Do aktu weselnego,
Do kościoła Bożego! (*klania się*)
Gdzie się chrzczą ludzie, przy chrzcie mianują,
I sakramenta wszelkie przyjmują, (*klania powtórne*)
A zaś z kościoła Bożego
Proszą do domu swojego, (*klania potrzebie*).
A proszą przez nas uczciwie,
Wszystko co żywie! (*klania poczwarte*).
Na wódki barylkę, na jedną i drugą!
I na stós kołaczy, i jeden i drugi!
I piwa beczułkę i jedną i drugą,
I sera gomółkę i jedną i drugą!
I na te cietrzewie, co siedzą na drzewie,

I na te łabędzie, co siedzą na grzędzie,
 Na te kuropatwy, co połów ich łątwy,
 I na te dziki, co ryją trawniki,
 I na tego tura, co to z niego rura,
 I na te główeczki, co tulą listeczki,
 I na te świeće, co dają Gorlice.

Na barana białego,
 Na koguta czubatego,
 Na skrzyпка wesołego,
 Na beczkę wina starego,
 Na pieczywo chleba z nieba
 I na miskę kaszy naszej. (*kłania popięte*).
 Toć na parę tych zajęcy,
 Przytém może na co więcej,
 Co Bóg zdarzy,
 Kucharz zwarzy,
 Prosim szczerze i uczciwie,
 Wszystko co żywie!
 A będziemy jedli, pili,
 I pospołu się cieszyli,
 I weseli do niedzieli,
 Jak w niebie anieli!

Amen. (*kłania po szóste*).

Kiedy już cała sproszona drużyna, drużba z muzyką idzie do domu młodego, ztamtąd do młoduchy, przygrywając wszystkim pode drzwiami. Poważnym starożytnym tańcem poczyna się każde przygrywanie, a kończy się wesoło i skoczno.

Po wyjściu trzech opowiedzi, przychodzi całe wesele do dworu, i młoducha oddaje *kolacz* dworowi, podobnie jak koro-
rowaj na Rusi. Od poniedziałku zaczyna się wesele, a trwa trzy dni; u ludzi zasobnych i tydzień cały.

Dnia tego, kiedy ślub być ma, odbywają się w domu rodziców młoduchy *rekwiny* czyli *zrekwiny*. Jestto obrząd z pogaństwa idący (?), który śluby w kościele czynione poprzedza. Tamto przyrzekają sobie młodzi nawzajem, jako się już nie odstąpią do śmierci; podobnie poręczają się za nich ludzie stateczni, jako młodzi dotrzymają przyrzeczenia tego, a że oni sami przestrzegać będą w przyszłości spraw wszystkich stadła tego, i nakłaniając go do uczciwego poży-
cia z sobą, do bojaźni Boskiej a miłości ludzkiej. Pan mło-

dy przynosi z sobą na ten obrząd pierścionki, a młoducha daje dwie białe chustki. Pierścionki zakładają się wówczas młodym na palce, a ręce ich wiążą chustkami i zwą to *ręko-waniem*. Chwilę jedną mają młodzi powiązane ręce na znak utraty wzajemnej wolności, co krewni i rodzice widzą, żalą się i płaczą nad niemi. Starościna zawiązuje ich ręce, a chustki te chowają się całe życie, i kładą się do trumny dopiero obojgu pod głowę. Po tym obrzędzie, następują *blagosławieństwa* i *przeprosiny*, to jest, po odebraniem błogosławieństwie rodziców i krewnych, przepraszają młodzi przytomnych za wszystko, czém się tylko kiedykolwiek im narazić mogli, a swacia poczyna pieśń przeprosin i pożegnania domowych progów:

199. Przepraszam was moje ściany—ciebie piecu polewany,
 Któż was bielić będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Przepraszam was drzwi cisowe—i was stoły jaworowe:
 Któż was myjać będzie—kiedy mię nie będzie?
 Przepraszam was miski, łyżki—wszystkie moje towa-
 rzyski;
 Któż was sprzątać będzie—kiedy mię nie będzie?
 Przepraszam was wszystkie progi—co chodziły moje nogi,
 Któż tu chodzić będzie—kiedy mię nie będzie?
 Dziękuję wam pani matko—żeście mnie chowali gładko,
 I wam panie ojczę—żeście mnie wydali.
 Dziękuję ci ogródeczku—com chodziła w twym wianeczku.
 Któż cię pléć tu będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Dziękuję ci rozmarynie—i goździku mój na grzędzie;
 Któż cię sadzić będzie—kiedy mnie nie będzie?
 Dziękuję ci drobna rutko—już ci mię tu niedługutko;
 Któż cię nosić będzie—kiedy mię nie będzie?

Kiedy już całe wesele do kościoła ma wyruszać, wówczas zachodzą wozy i konie, i rzecz się takim ładem odbywa: Na koniu, z białą chorągwią jedzie przodem starszy drużba, którego na ten raz *stanowniczym* zowią. Za nim i po bok wozów jadą *swatowie poddružbowie*, chłopaki z konia furmanią zasłane drabiniaste wozy, które po jednej i drugiej stronie grabin weselna zajmuje drużyna. Na pierwszym jedzie muzyka, na ostatnim młoducha, młody, z niemi starostowie. Po złotém czółku poznać starościnę, po wieńcu z ruty młoduchę,

po różdze starostę; trzyma on ją poważnie dla pogrozy na dzieci. Każdy druźba, swat i przydanek, ma przez ramię białą lub kolorową chustkę przewieszoną, u czapki rutę i wstążkę, u boku rutę i barwinek. Szumno i dworno, śpiewający, trzaskający, staje swacia przed kościołem. Po ślubie zaprasza staroscina wszystkich na śniadanie do gospody. Zanim tam staną, potrzeba się wprzód woźnicom opłacić; zajęchawszy w jarugę lub przekopę, zdejmują bicz z biczyska, i poczynają wiókać, jakoby zagrzeźli. Druźbowie śpiewają wówczas:

200. A jakże ja ztąd wyjadę— a jakąż mi dacie radę?

Albo zleście na śród błota— albo dajcie koła z płota.

Zleźlibyśmy, tu nieładnie— dalibyśmy, tu nie składnie!

Wio podsobny, jabłkowity— bo już lżej o talar bity.

Tu podaje druźba woźnicy w czapce złożone pieniądze; on zakłada bicz i jedzie dalej. Zazwyczaj dwa razy powtarza się ta sama swawola. W gospodzie zastaje już druźyna na stołach zastawione śniadanie. Gody te trwają do późnej nocy. Kiedy się kończą, bierze starszy druźba na znak powagi różgę z rąk starosty i wyprasza gości z poza stołu do tańca, poczem znowu różgę oddaje starości. Dopiero poczyną się wesolść, a wśród przelicznych podjazdowych krakowiaków i mazurów, śpiewają pieśń o wianeczku troistego ziele. Troistém tém zielem jest *ruta*, *rozmaryn* i tak zwany *goździk szlachecki*.

201. Wianuszku, wianuszku troistego ziele,

Nie będzie, nie będzie bez ciebie wesela!

A cieszą się, cieszą moje przyjaciele,

Że ja ostawiła, wianuszek w kościele.

W kościele, w kościele mój wianuszek świeci,

Na srebrnym łańcuszku, na jedwabnej wici.

Późno w nocy dopiero odprowadza staroscina z nieliczném gronem niewiast i bez muzyki młoduchę do domu młodego. Skoro zaświtez, ucieka młoducha do matki, w pogoń za nią przybywają tam druźbowie i przydankowie, śpiewając pieśń pastępną:

202. Uciekła mi przepióreczka w proso,

A ja za nią nieboraczek boso;

Trzeba będzie pani matki pytać,
 Czy pozwoli przepióreczkę chwycić.
 Ej, chwytaj ją mój Jasieńku w sidła,
 Tylko z piórek nie oberwij skrzydła.

Młoducha płacze, tuli się do matki i nie chce iść z niemi; uprowadzają ją gwałtem. Kiedy jedni jej uprowadzeniem są zajęci, chwytają inni po sieniach i dziedzińcu kury, kaczkę lub króliki, żeby przyszedłszy z młoduchą do domu młodego, mieli się z czém postawić, i mogli dać jemu dowód szczérości. Wtenczas to odsyłają rodzice wiano młoduchy; muzyka gra na dworze, a niewiasty sadzają młoduchę na środku izby na jej skrzyni posażnej, i zaczynają ją czepić. Swatowie zaś idą i spraszają gości. Jedni są wysłani od rodziców młoduchy, drudzy od młodego, a jak jedni, tak drudzy ubiegają się o to, ażeby jak najwięcej gości na swoją stronę sprosili. Są też i dnia tego dwle muzyki, z których jedna tu, a druga tam przygrywa. *Czepiny*, w innych stronach *oczepinami*, *czepczynami* zwane, poczynają się tém, że starościna z jedną szwaczką wieniec młodej odejmuje, włosy rozczesuje i we dwa warkocze spleta, które dokoła głowy potem wiążą. Jedna z nich jeden, a druga drugi warkocz plecie. Młoducha siedzi i płacze. Na splecione warkocze kładzie starościna czepiec, siatkę na sposób koronki tkaną, potem wiąże głowę długą białą chustką, i przypina do niej wstążki. Przytomni kładą na czepiec młoduchy pieniądze. Rozczesując włosy, poczynają niewiasty czepiny starożytną i najwięcej między ludem upowszechnioną pieśnią o chmielu:

203. Oj chmielu, chmielu! szerokie liście,
 Moją panienkę, oczepiliście.

Potem śpiwają:

204. Na krakowskim moście—panny Boga proście,
 Żeby się zjeżdżali—do jejności goście.
 U dziewczyny w sieni—stokroć się zieleni,
 Cóż mi po stokroci—kiej dziewczynę wzieni.

Dalej:

205. Toczy się wianuszek—toczy po ulicy,
 Gdzież się podzieli—moi zalotnicy;

Jeden poszedł na łów—drugi na zające,
Trzeci wolki pasie—na zielonej łące.
A żal to im patrzeć—na oczy młoduchy,
Bo wianek jej biorą—a stroją w rańtuchy.

Następnie:

206. Zielona rutka, jałowiec,
Lepszy młodzieniec niż wdowiec,
Boby mi wdowiec wymawiał,
Lepszą ja tamtą żonę miał;
Dzieciby na mnie płakały:
Lepszą my tamtą mać miały.

W czasie kiedy tę pieśń niewiasty śpiewają, wpadają družbowie z przydankami do czeladniej izby, tłuką garnki i rozwalają piece. Z urzędu broni im tej swawoli kucharka, i piec czasem uchroni, ale garnki zazwyczaj potłuką. Po oczepinach wchodzi muzyka z gośćmi do izby, a starościna zaczyna taniec z młoduchą. Przetkańcowawszy z nią, oddaje ją młodemu; wówczas to udaje młoducha kulawą, i krzywi się w tańcu i utyka. Starościna wkłada jej na głowę czapkę młodego i przychwała, że jej to z tym bardzo pięknie; lecz ona ciska czapkę o ziemię. Trzy razy powtarza się to samo, a każdą razą po zrzuceniu czapki, bierze znowu starościna młoduchę w taniec. Ze starościna tańcząc nie utyka, a po trzech razach tańczy już i z mężem. Wówczas to przyspiewuje starościna do młodego:

207. Daję ci ją z dobrą sławą,
Młodą, zdrową, niekulawą;
Panujże z nią, panuj,
Szanujże ją, szanuj.

A młody staje w tańcu i oddając starościnie pocziwość, klania się nisko, dziękuje za żonę i przyrzeka, że ją będzie szanował. Skoro pierwszy taniec dokoła z młoduchą obejdzie, zasiada ona między niewiastami na ławie, a družbowie śpiewają: (p. nr. 154).

208. W polu ogródeczek—w polu ogrodzony,
Któż mi go ogroził—braciszek rodzony.
A w tym ogródeczku—czerwone goździki,
Zaprzęgaj Jasnienku—cisawe koniki.
Jak ich mam zaprzęgać—kiedy się targają,

A żal to dziewczynie—iż ją za mąż dają.
 A dają ją dają—pojadę ja za nią,
 I będę też patrzył—czy jej ładnie panią.
 A siadła zasiadła—miedzy imościami,
 A ocięra oczka—złotemi piórkami.

Około południa, zbiera się cała weselna drużyna z obu domów do młoduchy, a pod wieczór zasiadają *do obiadu*. Po obiedzie znowu muzyki, śpiewy i tańce. Kiedy już do upadłego szaleć przychodzi, wówczas to wyprowadza starszy družba kucharkę, która obiad wydała, i śpiewa:

209. Ejże dała, dała, dała,
 Bodaj zawsze tak dawała!

Puszcza ją w kolój. Taniec ten kolejny zwą *kucharzem*. I wówczas to już śmieją się, i są podług słów družby: weseli—jak w niebie janieli.

(d. c. n.)

O. K.

Dawne pismo wójta warszawskiego z r. 1459.

Jak w poznawaniu wszechświata każda roślina drobnowidzowa, każdy pyłek na skrzydłach motyla, poucza cierpliwego badacza o skrytych prawach przyrodzenia, częstokroć nawet na równi z tém, co mu objawiają wielkie zjawiska przyrody; tak w pięknej a obszerniej dziejów umiejętności, najmniejszy pomnik ubiegłych czasów równie obchodzić powinien ciekawego badacza, jak całkowite dziejów księgi: bo on go objaśnia a częstokroć poucza o zdarzeniach, drobnych okolicznościach, lub o zwyczajach tych minionych czasów. Ztąd każdy wyrwany niepamięci zabytek, bezwarunkowo jest zajmującym, a tym ciekawszym się staje, im dawniejszych lat sięga. W tém przekonaniu uważam za pożyteczne podać do wiadomości starożytników następny rękopis z roku 1459 dan w Warszawie, jeszcze więc za panowania Bolesława IV ks. warszawsko-zakroczyńskiego,

zmarłego bezpotomnie w r. 1492 (1). Pisany on jest w języku starodawnym niemieckim; umieszczam go tu całkowicie z zachowaniem ówczesnej pisowni, i łączę obok dosłowny przekład polski:

(Na wierzchu).

Den Erzâmen vnd wol weyzen
h'ren burg'meijst' vnd
rotma' czu toren vnsern gutten
gôn'ern
ader wo ma' kölmisch racht
fint.

Unsern frûtlighn' (*) grus mit merûge alles gutt' czu alzer czeyt czu vor wysentlich sey euch erzame' vnd weyzen h'ren vnd vns befûden gutte gon'er wye das czu vns eyne zache entstanden ist czwoschin czvehen brudern wye des eyn' den andern vor gericht geladen hot vmb eyne sum'e geldis alz vmb funczig schok halbe g' alzo is dène i dem scheppin buch geschrybn' stet von worte czu warte vnd lawt alzo It' Alhy ist kom'en vorgehegkt ding (2) Johaês foyt geborner bruder andr'foyt' vnd alzo hot der

Poważnym a mądrym mężom: burmistrzowi a rajcom Torunia, nam dobrze życzliwym
abo gdzie się rządzą prawem chełmińskiem.

Nasze przyjacielskie pozdrowienie, a poinnożenie wszelkiego dobra po wszystkie czasy. Niech to wam będzie wiadomo poważni a mądrzy mężowie, a zawždy nam dobrze życzliwi, iż u nas niejaka sprawa zaszła, pomiędzy dwiema bracią, a jako jeden drugiego przed sądy pozwał o niektórą liczbę piéniędzy, jakoby o 50 kop połowicznych groszy, a to za się zapisano jest w księdze ławniczéj, a brzmi tak słowo w słowo. Item stanąwszy przed sądy gajone Jan Wójt, rodzony brat Andrzeja Wójt-

(1) Patrz tabl. genealog. ks. Mazow. w dziele: Rys. Hist. Stat. M. Warsz. p. F. M. Sobieszczańskiego, 1848, str. 16.

(*) Litery z daszkiem oznaczają skrócenia.

(2) Sąd zagajny, sądy gajone *iudicia legitime vel ex formula indicta* (Cnapius Th.). Gajny v. gajony, prawnie otworzony, rozpozety, *gesetzlich eröffnet oder gehegt*. „Któryby majster rzemiesło utracił, taki do gaynego cechu chodzić nie może”. (Szczerbica. Saxon. 183). Obacz Lindego Słow jęz. pols.

vor gesprochen' Johaës bekât des h' schuldig ist seynem brud'andr' fûczig schok halbe g'off der ganczen fotey i der stat worschaw vnd d' vor genâte Johaës zal gebn' vnd bezalen czins alle Jar Jarlich iij schok von dem gelde alzo lange bis h' dy fumczig schok beczalet áno dni m^occcc^oxl qrtó (3) vnd off des schepet andr' foyt vnd sprach lybn' h'ren des sey euch i dechtnis des dy fumczig schok vorschrybn' sint vor vnser teylúge Vnd do stút sey' bruder Johaës des gleich vnd schepet (4) vnd sprach lybn' h'ren lot des auch i dechtnis sey' des dy fumczig schok sint vorschrybn'

ta, pomieniony Jan zezna je winnym być bratu swemu Andrzejowi 50 kop połowicznych groszy, na całym wójtostwie w mieście Warszawie, a jako pomieniony Jan, ma dawać a płacić czynszu rok rocznie 3 kopy od onych pieniędzy, potąd aż wypłaci przerweczone 50 kop. R. P. 1444. A na to rzecz uczynił Andrzej Wójt a powiedział: Mili Panowie, niechto będzie w pamięci waszój, że te 50 kop, zapisane są przed działem naszym. A na to powstawszy również brat jego Jan, a rzecz czyniąc mówił: Mili Panowie, niechże to będzie w pamięci, że one 50 kop zapisane były przed podziałem; i za-

(3) W Główném Archiwum krajowém, w księgach miejskich miasta Starój Warszawy, wójtowsko-fawnicznych, nr. 525 fol. 163 znajduję oryginał tego zeznania po łacinie, w te słowa: *Item veniens ad iudicium bannitum Johannes Advocatus frater germanus Andree Advocati recognovit praedictus Johannes quod tenetur fratri suo Andree quinquaginta sexagenas de medijs grossis super Advocatia in Civitate Warschoviensi et praedictus Johannes debet dare et pagare tres sexagenas annuatim ab eisdem pecuniis tam álu donec eisdem quinquaginta sexagenas non exsolveret, sept. est A. D. 1444.* Jestto jeszcze jeden dowód na poparcie zdania tych, którzy utrzymują, że język niemiecki miał użytek bardzo ograniczony w kraju tutejszym, i że więcj do korespondencyi lub aktów za granicę idących, niż do sądownictwa wewnętrznego był używanym.

(4) *Recht sprechen, schöpfen, beschliessen — schaffen, schöffen, schöpfen* quod est statuere, decernere. (Christ. Gottl. Haltavs. Gloss. Germ. Maedli aevi. Lipsk, 1758. pag. 1643).

vor der teylůge Vnd dornoch stůt Johaęs foyt vad sprach ey' entwort lyhn' h'ren h'richter vnd lybn' scheppen dy fumczig schok noch des buches lawt dy hab ich ym lange beczalet vnd genug der vor gethon vn' wyl des bezewgen mit dem scheppen buche vnd begere des buches czu lesen alzo fonde wurde auch sey' zache geschrybn' dy lawt von worte czu worte alzo It' alhy seynt komen dy vorsichtign' man vorgehegt ding Andr' foyt mit sey'n' gebornes wast' dorothea vnd lorencz kurschner mit sey'n' tochter vnd habn' offenkant des yn der vorsichtyge Johaęs foyt genug hot geton vor dy gůtter vaters vnd mutter, mit zolcher weyse des Johaęs foyt zal von yn ewygen fride habn' i allen seynten gůttern vnd i der ganczen fůtreye act' feia sexta p' festũ scil' andree Anno dni m. cccc^o xl sexto (5) vnd i dem

się powstawszy Jan Wójt rzekł odpowiadając: Mili panowie, panio sędzio i mili ławnicy, one 50 kop wedle słów księgi dawno już jemu zapłaciłem i zadosyć uczyniłem, a chcę dowieść tego księgą ławniczą, i żądam księgi by przeczytać. A jakoż znaleziona jest sprawa jego zapisana tak słowo w słowo. Item stanąwszy przed sądy gajone, przezorni mężowie Andrzej Wójt ze swoją rodzoną siostrą Dorotą i Wawrzyniec Kuśnierz ze swoją córką, zeznali, że im przezorny Jan Wójt zadosyć uczynił z majątku ojca i matki w taki sposób, że Jan Wójt ma mieć od nich wieczysty pokój we wszelkim majątku swoim i w całym wójtostwie; działo się w szóstą niedzielę po świętym Andrzeju. R. P. 1446. I w tém poróżnili się między sobą. My zaśie pytalіśmy się ich obie stronie, ażali chcą poprzestać na na-

(5) W tychże jak wyżej księgach miejskich nr. 525. fol. 211, pod r. 1446 czytamy w oryginalnym zaspokojeniu o którym mowa, w tych słowach: „Causa Johannis Advocati”. „Item venientes ad Judicium bannitum providi Viri domini Andreas Advocatus cum sorore sua germana Dorothea, et cum Laurentio Pellifice et filie sue (sic) recognoverunt publice quod providus Johannes Advocatus ipsis satisfecit pro bonis Patris et Matris tali modo, quod jam Johannes debet habere ab ipsis pacem aeviternam in suis bonis et in tota Advocatia”.

worden sy czwetrachtig vnder eynander vnd do frogete wir sy von beyden toylen ab seyn wolden lossen genügen an vnsern kölmisch rechte do vorlybeten sy is von beyden teylen czu dem ersten mole czum andern czum dritten vnd czum furdê mole vnd do lis wir is i vns buch schreybn' vnd alzo noch in wykör vnd noch vnserm rachte wolde wir yn ey' ortel sonden habn' vnd alzo warff sych andr' soyt aus vnserm stat racht vnd warff sych an furstliche macht vnd an den rot des landes vnd lude sey' brud' Johaês i des lant racht wed' ir beyder wykör Vnd do dy h'ren des landes vnd des fursten rot ir beyder zache vorhorten alzo noch der ausschrift des buches do toten sy alzo edele weyze vnd cluge h'ren vnd goben dy zache wed' i vnser stat racht vnd sprochn' sint dem mole des sinicht wellen gefollig sey' dem stat rechte, vnd ir beyder wykör so sint dy zache ken dem kolme ad' wo

szém chelmińskim prawie, a oni z obu stron zgodzili się na to, po raz pierwszy, po drugi, po trzeci i po czwarty raz, a naonczas kazaliśmy to zapisać w naszą księgę i zająć się znowu do wielkierz (6), a wedle prawa naszego chcieliśmy im sąd wynaleźć. A oto Andrzej Wójt zrzucił się z prawa naszego miejskiego, a poszedł do mocy książęcej. a do rajców krajowych i zapozwał brata swego Jana do praw krajowych, przeciwko wielkierzowi własnemu, ich obu. A wysłuchawszy panowie krajowych sądów, a rajcy książęcy, rzecz ich obu i wypisy z księgi, tak uczynili oni szlachetni, mądrzy a rozważni mężowie, a odestali sprawę napowrót do naszych miejskich praw, a powiedzieli, że naonczas jeżeli oni nie zechcą poddać się miejskiemu prawu, i wielkierzowi oboicznemu, niech sprawa idzie do Chelma, albo tam gdzie przodem innych chelmińskie prawo zachowują; a na to zasię zgo-

(6) *Wielkierz, wilkierz.* Miasta osadzone na prawie magdebur-
 skiem miały wolność czynienia uchwał wielkierzami od słowa
 niemieckiego *Willkühr* zwanych (Czacki pr. 1 279). Wilkierz dla-
 tego tak jest rzeczony, iż wiąże tylko tych, którzy nań zezwalają
 (Szczerb. Sax. 47. Croj. Obrz. 20) (patrz Lindego Słow. Jęz. Pols.).

kolmisch recht vorleget ist vnd dorezu vorwylkorten sy aber des gefollig czu sey' vnd do is weder gmaine ó (?) des statracht do stut' Johaens foyt vnd fordert noch ey' vrteyl vnd sprach h' richt' vnd scheppen ich frogo noch ab mey' bruder sey' zache vorlorn hot ad' was ey' racht sey sint dem mole des sich mey' brude hot aus dem stat racht geworffen vnd hot sich í des lant-racht geworffen vnd hot weder sey' eygen wylkor gethon vnd wir wolden off des key' vrtel sprachn sint dem mole des dy h'ren des landes si an kolmisch racht geweyset habn ken dem kolme ad' wo man das oberste rach findet vnd dorúme so bit wir euch alzo erber vnd weyse h'ren geruchet vns czu vnderweyssen durch ewer schrift welcher sey' zache gewónen hot des stet vns gegen ewer erberkeyt czu czu vorschuldia mit dem seyt gote bevolen & gegeben' czu worschawe an der metwoche noch der heyligen drey konigen tage anno dñi m^occcc^ol^oix^o vnder vnser stat igesigel

foyt vund scheppen der stat Warschau ew' gutten frunde czu aller czeit.

dzili się oni posłusznemi być, a tam jest znowu zwyczajne i (?) miejskie prawo. Więc stanąwszy Jan Wójt żąda jeszcze jednego sądu, a prawi: Panie sędzio a ławnicy, pytam zasię, czy mój brat przegrał sprawę swoją, a co za prawo jest natenczas, iż mój brat miejskiego się prawa odrzekłszy, krajowego prawa się jął, a uczynił przeciwko własnemu swemu wielkierzowi? A my na to nie chcieliśmy sądu czynić, abowiem rajcy krajowi odesłali ich do prawa chełmińskiego do Chelma, abo gdzie się najwyższém prawem sądzą. Prosiemy tedy was poważni a mądrzy mężowie, raczcie nas nauczyć przez pismo wasze, który z nich sprawę swoją wygrał, a za to my przeciwko waszym miłościom obowiązani będziemy. Z tém polecamy was Bogu i t. d. Dan w Warszawie, we środę po Trzech Królach Roku Pańskiego M. CCCC. L. IX. pod pieczęcią miasta naszego

Wójt i ławnicy miasta Warszawy, wasi dobrzy przyjaciele po wszystkie czasy.

Ciekawy ten rękopis pisanym jest staro-niemieckim charakterem, na papierze szmatowym, wielkości średniej kwadratowej (13½ i 14½ cali warsz.). Znak wodny w papierze przedstawia bawolą głowę, między jej rogami wznoszące się ostrze, które na wierzchołku swém utrzymuje siedmiolistną różę. Podobne znaki wodne w kilku odmianach znajdują się stale na wszystkich prawie papierach w księgach Metr. Wójtowsko-ławnicznych i t. p. z drugiej połowy XV wieku w aktach Starój Warszawy (7).

Oprócz zajęcia, jakie obudza niniejszy rękopis, przedstawiając sposób wywodzenia spraw jeszcze tak prosty i pierwotny, niemało też objaśnia i potwierdza domysły o stosunkach, jakie zachodziły pomiędzy sądownictwem krajowém a miejskiém czyli chełmińskiem, które książęta mazowieccy nadawali oddawien szczególnym osobom, a później, tojest w r. 1413 i całemu miastu Warszawie. Nadto okazuje, iż pomimo to, prawa krajowe (a raczej zwyczaje *Consuetudines*) miały swoją appellacją i moc, i że jeszcze w tym czasie powaga odwoływania się do miast niemieckich, naprzykład Chełmna, była we zwyczajach w Mazowszu, kiedy jak świadczy niniejsze staropismo (*Archeotyp*), jeśli nie po wyrok, to przynajmniej po radę tam się udawano urzędownie, gdy tymczasem w Polsce od r. 1356 Kazimierz Wielki ustanawiając appellacją do Krakowa, odwoływania się do miast niemieckich zakazał. „Kiedy do nas przechodziły osady niemieckie, powiada Czacki, przechodziło z nimi i prawo magdeburskie, które dawało wolność osobistą i prawidła w sprawach, a karało występnych srogością dla dzikich Saksonów przepisaną. W XIII wieku za Bolesława Wstydlivego, po wprowadzeniu prawa magdeburskiego do Krakowa (w r. 1257), podział osad był widoczny, na prawo polskie i na prawo niemieckie. Przenoszenia do prawa niemieckiego liczne mamy przykłady. W tym samym

(7) Obacz rysunki tych znaków wodnych, czyli filigranów w licznych odmianach, w dziele Bibliogr. ksiąg-dwoje, tab. XVII, a mianowicie nr. 44 i temu podobne.

wieku Krzyżacy w Prusiech porządkowe ekonomiczne przepisy od Flamingów, a prawo z Magdeburga brali (bardzo wszakże złagodzone, winy przez połowę mniejsze pisano; patrz Dogiela: Cod. Dip. passim). „Pozwalano aż do Kazimierza Wielkiego panowania appellować w sprawach do Magdeburga”; a dalej znowu mówi w przypisku. „1356 r. wystawiwszy Kazimierz W. nieprzyzwoitość appellacyi do władzy obcej, zdzierstwa sędziów w Magdeburgu, znosi tę appellacyą i stanowi wielkorządowe sądy, i w ciągu tego urzędzenia mówi: *„Itaque cum Reverendis Episcopis, nec non Abbatibus, Praepositis Decanis, Archidiaconis, caeterisque Praelatis, et Canonicis, tam Cathedralium, quam Collegiatarum, et aliarum Ecclesiarum Capitularibus et Beneficiis, tam saecularibus, quam regularibus exemptis, et non exemptis, Magnificis Castellanis, Palatinis, Camerariis, Succamerariis, Judicibus, Subjudicibus, Baronibus, Militibus, Nobilibus, Consulibus, Advocatis, Scabinis, Juratis, Civitatum Scultetis, et Officialibus villarum et locorum, singulorum universis, synodum Consilium, et conventionem celebramus”*. (Stat. Łask. fol. 169 in vol. L. I, p. 146. Dług. T. I, edyc. lipsk. pag. 1106) (8).

Lecz i z innego jeszcze względu, zabytek ten na uwagę zasługuje; po złożeniu papiéru w sposób i dziś używany, i po przedziernięciu paskiem na składzie, zapieczętowanym był na laku zielonym, miejską pieczęcią Warszawy. Pieczęć ta dotąd znajdowała się przy staropiśmie, lecz czas odlepił ją od papiéru; pozostała więc w Berlinie w zbiorze p. Vossberg, znanego badacza dawnych monet i pieczęci. Samo zaś oryginalne pismo znajduje się obecnie w Warszawie w posiadaniu gorliwego starożytnika P. K. Beyer. Pieczęć sama znajoma już z opisu p. Vossberg w czasopiśmie Köhne'go (9), uważaną była dotąd za najdawniejszy

[(8) Czacki. O Litew. i Polsk. Pr. Edyc. 1sza. T I, str. 26.

(9) Zeitschrift für Münz-Siegel und Wappenkunde v. B. Köhne. Berlin. 3 Jahrgang. 1843. pag. 383—wyobrażona tamże na Tabl. XII, fig. b.

śląd pieczęci miejskiej warszawskiej; wszakże wyobrażenie jej w czasopiśmie Köhne'go jest dopełnione, albowiem wedle opowiadania P. K. Beyer, który ją świeżo w oryginale w Berlinie oglądał, bez porównania gorzej jest zachowaną, gorzej nawet aniżeli dawniejszy jej odcisk z r. 14 22 d. 8 maja, a wiszący wraz ze stu przeszło innymi pieczęciami przy traktacie pokoju pomiędzy Władysławem Jagiełłą a Pawłem de Russdorf, W. M. Krzyżackim, znajdującym się w tutejszem Główném Archiwum krajowém, a o której wiadomość umieszczoną została w jednym z poprzednich zeszytów Biblioteki Warszawskiej.

Cóżkolwiek bądź z wdzięcznością wspominać winniśmy i na tak źle zachowany sfragistyczny zabytek, albowiem on-to najbardziej zachęcił do dalszego badania różnych przemian godła Warszawy.

Pisałem w Warszawie d. 7 lutego 1849.

B. Podczaszyński.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Jeżeli rurę od organów zanurzymy w wodzie i w otwór jej puścimy wodę z ciągle wzrastającą prędkością, wtedy rura wydawać będzie szereg tonów, z których główny odpowiada długości kolumny wody. G. Wertheim, któremu winniśmy powyższe odkrycie, użył tego sposobu do śledzenia szybkości rozchodzenia się głosu w cieczach. Wypadki ztąd otrzymane są następujące:

Szybkość głosu w ograniczonej kolumnie powietrza jest takąż sama, jak i w massie jego nieograniczonej, i szybkość tę można oznaczyć za pomocą tonu fundamentalnego rury z organów. W cieczach za pomocą jednej rury można wydawać nie tylko główny, ale i wiele innych tonów harmonijnych, byle tylko otwór był stosownie zmieniany. Szybkość głosu w massie nieograniczonej cieczy, z szybkością głosu w ograniczonej kolumnie téjże cieczy jest w stosunku $\sqrt{\frac{1}{3}} : 1$. Drgania kolumny cieczy są isochroniczne z drganiami jakie wydawałaby sztaba z ciała stałego téjże długości, i któregooby materiał posiadał ściślność jednakową z cieczą.

Wypadki na szybkość głosu w wodzie, znalezione za pomocą tonów wydawanych przez rurę od organów, zanurzoną w wodzie, zgodne są z doświadczeniami wprost wykonanemi na jeziorze genewskim przez pp. Colladon i Sturm. (*Annales de Physik Gay Lussac* 1848).

* W następujący sposób Scott. Russell tłumaczy różnicę głosu, jakiej doświadczają dwie osoby jedna obok stojąca, druga szybko przez lokomotywę unoszona w kierunku ciała dźwięk wydającego. Głos gwizdawki maszyny parowej stałej na linii kolei umieszczonej, słyszany jest przez podróżnego wziętego pociągiem według nuty odmienniej, aniżeli przez osobę przy maszynie stojącą. Ton dźwięku muzycznego oznacza się liczbą drgań, jakie ucho w jednej sekundzie doświadczają; 32 drgania na sekundę rury od organów, daje ton główny; większa lub mniejsza ilość drgań sprawia wyższy głos. Te drgania przechodzą jak wiadomo z prędkością 1024 stóp ang. na sekundę. Jeżeli więc obserwator na wagonie umieszczony, zbliża się z prędkością około 4000 metr. na godzinę ku przedmiotowi dźwięk wydającemu, wtedy w jednej sekundzie po drodze spotka większą liczbę fal głosowych, aniżeli gdyby stał w miejscu; przeciwnie, jeżeli oddala się od przedmiotu głos wydającego, natrafi stosunkowo na mniejszą liczbę drgań powietrza. W pierwszym razie usłyszy o pół tonu wyższy, w drugim o pół tonu niższy głos, aniżeli osoba stojąca w jednym miejscu. Jeżeli lokomotywa świst wydająca i obserwator oboje są w ruchu i zbliżają się ku sobie, stosunek zmiany tonu wzrośnie podwójnie, podczas wzajemnego zbliżania się o dwa półtony wyżej, a podczas oddalania o tyleż niżej. (*L'Institut* 1848 Sept.).

* Grove dostrzegł, że drut platynowy rozpalony przez strumień elektryczny, znacznie się oziębia skoro zostanie zanurzony w atmosferze gazu wodorodnego. Rury mające w swym środku druty platynowe, złączone z stosem, napełniał różnemi gazami, jakoto: wodorodem, kwasorodem, azotem, kwasem węglowym i t. p., i wstawiał w wodę, w której były umieszczone delikatne termometry. Po pewnym czasie trwania strumienia elektrycznego okazało się, że druty mocniej były rozgrzane we wszystkich innych gazach, aniżeli w czystym wodorodzie. Fakt ten trudny do wyjaśnienia, ma miejsce tylko w mniejszym stopniu i w innych gazach, w których skład wchodzi wodoród i węgiel.

CHEMIA.

Na posiedzeniu akademii umiejętności paryżkiej w dniu 4 grudnia r. z. zawiadomił p. Dumas w imieniu kommissyji złożonej z niego, oraz pp. Thénard, Pelouze i Regnault, do badania papierów i atramentów bezpieczeństwa, o najwłaściwszym sposobie wyrabiania tego rodzaju papieru.

Jakkolwiek przedmiot powyższy tylko w części należy do dziedziny chemii, z powodu jednak nadzwyczajnej jego ważności, obszerniej się nim podług dziennika *L'Institut* z 6 *decembre* 1848 r. zajmiemy; odwołując się do wiadomości z tą rzeczą związek mających, umieszczonych w Chemii policyjno-prawnej, wydanej w r. 1844 przez Radę Lekarską królestwa polskiego str. 434, gdzie jest mowa o śledzeniu pism pofalszowanych. W następnych słowach sprawozdawca swój raport przedstawia:

„Od kilku lat wezwani przez rząd do udziału w kommissyji badającej administracyjnie powyższą okoliczność (papierów i atramentów bezpieczeństwa); członkowie téjże kommissyji szli krok w krok za rozwijaniem się niniejszego przedmiotu w rękach biegłych artystów, nim się zajmujących. Nie zaniedbali niczego do podbudzania ich gorliwości, do dopomagania im w usuwaniu trudności, ale jednocześnie niczego także nie szczędzili, stawiając różne przeszkody przy zastosowaniu praktyczném, aby nie skrzywić głównej zasady, zatwierdzonej jeszcze przed dziesięciu latami przez akademią. Sądzą że dogodzili życzeniom akademii, gdy wszelkie przeszkody tamujące postęp najlepszego podług niej sposobu, zostały przewyciężone, i gdy doświadczenie przekonało, iż jedynie na téj drodze można dojść do pewności. Byłato długa i mozolna praca: jeszcze bowiem pod dniem 13 lutego 1826 r. minister sprawiedliwości zasięgał zdania akademii, jakieby mogły być środki użyć się dające przez administracją dla przeszkodzenia licznym nadużyciom wynikłym z zafalszowania pism publicznych lub prywatnych, a tém samém zastłonięcia skarbu publicznego

od strat ponoszonych w skutek wywabiania pisma z papieru stęplowego.

„Po długich poszukiwaniach, kommissya przeznaczona do rozpoznania tego ważnego przedmiotu, w zdaniu sprawy z dnia 6 czerwca 1831 r. zawiadomiła, że są dwa sposoby zarówno dobre, aby nie można było wywabić pisma z papieru stęplowego; a z tych jeden przynajmniej utrudza nadzwyczajnie fałszowanie tegoż pisma.

„Akademia dzielając zdanie swój kommissyi, radziła administracyi zastosowanie atramentu niedającego się wywabić, przez co postawiono by zawadę fałszerzom i wywabiaczom pism. Atrament ten przystępnej ceny, robi się z tuszu chińskiego rozartego w wodzie zaostrzonej kwasem solnym do ciężaru gatunkowego 1,010; bardzo dobrze on opiera się wszystkim działaczom chemicznym, a nawet czysto mechanicznemu wycieraniu, jeżeli pismo stosownie wpoilo się w papier. Uznając jednak z drugiej strony jak trudno jest, ażeby wszyscy mogli używać wskazanego atramentu, głównie do pisania na papierze stęplowym; akademia doradzała wydrukować atramentem zwyczajnym, dającym się wywabić, w środku każdego arkusza papieru stęplowego winietę, która by zniknęła za usiłowaniami wybielenia do powtórnego użycia, pomienionego papieru.

„Wnioski te ze względu na ich zastosowanie były głęboko rozważane przez administracyę. Światłe uwagi pp. Colmont inspektora dochodów w skarbowych i Cordier inspektora dóbr pod d. 18 lipca 1836 r., podane ministrowi skarbu, okazały, że łatwą jest rzeczą zastosować winietę zrobioną atramentem dającym się wywabić, tak, jak to radzi akademia, używszy do tego deski drewnianej, na której rysunek wryto wypukło, lub też za pośrednictwem zwyczajnych czićonek drukarskich.

„Okolo tegoż czasu, tak rząd jako téż i akademia zastanawiali się, czyliby nie można było używać papieru, którego miazga zawierałaby w sobie niewidzialne odczynniki, farbujące się od działaczy sfluających do wywabiania atramentu i zdolnych pod ich wpływem mocny przybierać ko-

lor. Również radzono, aby każdy arkusz papieru złożyć z dwóch jakby tabliczek cienkich, a pomiędzy nimi w środku dać winietę odbitą atramentem zwyczajnym, ta niknęłaby natychmiast z piśmem, za użyciem środków zwyczajnych wybielających, lub wywabiających”.

W dwóch nowych sprawozdaniach z r. 1837 przyjętych przez akademię, okazano, jakie były wypadki prac kommissyi, wynikłe z badania powyższych sposobów.

„Papiéry napojone odczynnikami chemicznymi, nie odpowiadały celowi zamierzonemu przez kommissyą. Wiele bowiem tych papiérów, a nawet i później wyrabianych, zawierają sinki żelaziste; wprawdzie przez to nabywają znakomitę czułości na zwyczajne odczynniki, używane do bielienia i fałszowania pisma; skoro jednak sinki żelaziste są nierozpuszczalne, można wynaleźć środki zniszczenia pisma, bez zmienienia koloru świadka ukrytego w papiérze. Gdy sinki żelaziste są rozpuszczalne, można nasamprzód zabrać odczynnik, a dopiero wtódy wywabić pismo, poczem znówu papiér napoić tymże czułym odczynnikiem.

„Oprócz tego, ponieważ zdarzyć się może, że odczynnik pod wpływem powietrza mniej więcej wilgotnego zmienia cokolwiek papiér, a chociażby zaś to odbywało się powolnie, po znaczniejszym jednak upływie czasu, własności te goż mogą mocno być nadwężone. Należałoby więc przed doradzaniem użycia którego odczynnika, zapewnić się przez długie doświadczenie, że nie posiada pod tym względem skutków szkodliwych.

„Wreszcie sinki żelaziste, będące najczulszemi, a zatem i najdzielniejszymi odczynnikami, użyte nawet w małej ilości, tak zwiększają palność papiéru, że tenże częstokroć płonie nakształt hubki.

„Z tychto powodów kommissya nie zaleca używania tych rodzajów papiérów z roku 1837. Odtąd pomimo rozlicznych usiłowań robienia papiéru na powyższej zasadzie, nikt nie potrafił usunąć ciężkich zarzutów, dopiero co wyszczególnionych.

„Wtedy także kommissya udzieliła niekorzystne zdanie o papierze złożonym z dwóch arkuszy, mającym w środku winietę dającą się wywabić. Okazało się bowiem, że ten papier daje się rozłupać, już to dobrowolnie, już też przez zastosowanie łatwych środków mechanicznych, a pismo może być z powierzchni wywabione, bez nadwężenia winiety wewnątrz. Łatwo zaś fałszować go zwyczajnymi sposobami litograficznymi. Wreszcie kommissya nie była przekonana, ażeby papier tak przyrządzony posiadał warunki trwałości, wymagane od papieru stęplowego.

„Od tego jednak czasu papier z wewnętrznymi winietami wszedł z korzyścią w użycie towarzystw i domów handlowych, którym nie szło o powyższe względy, ani o to, czy to papier był klejony krochmalem czy też galaretą, albo czyli był cieńszy lub grubszy, mniej więcej klejony, i mocniejszy lub słabszy.

„Papier powyższy w bardzo cienkich arkuszach i słabo klejony, łatwiej przesiąka atramentem, i utrudnia fałszowanie. Sposób jednak jego wyrabiania, nie da się zastosować do papieru stęplowego; rząd zaś słusznie utrzymuje, że powinien mieć papier mocny, od ręki wyrabiany, klejony galaretą, i zdolny przez długie lata do przechowania dowodów na nim napisanych.

„Poszukiwania kommissyi wyznaczonej przez akademią, przypadły jednocześnie ze zmianami zaprowadzonymi w wyrabianiu papieru, ta zaś okoliczność stanowi pozorną sprzeczność we wnioskach pierwszego jój raportu z następnymi. Wyjaśnia się zaś to w sposób następujący:

„W czasie, gdy pierwsze sprawozdanie kommissyi zatwierdziła akademia, papier w handlu znajdujący się, po większej części był jeszcze dawnymi sposobami wyrabiany, czyli robiono go od ręki i klejono galaretą. Taki papier od tuszu chińskiego zakwaszonego, z łatwością i głęboko jest przesiąkany i pismo ztąd powstałe nie daje się wywabić; słusznie więc zrobiła akademia, polecając go do używania. Wkrótce jednak zaczęto robić papier za pośrednictwem machin, kleić go krochmalem i żywicą, a niska cena usunę-

ła piérwszy z handlu; ten drugi papier z trudnością od tuszu zakwaszonego jest przesiąkany, a ztąd pismo z łatwością przez płukanie i środkami mechanicznemi z niego zniszczone być może, chociażby nawet opierało się działaniu odczynników chemicznych. Napróżno starano się zaostrzyć ciecz przez alkali, zamiast przez kwas, do rozcierania tuszu; obadwa te atramenty, okazały w użyciu, że nie mają piérwszeństwa przed atramentem zwyczajnym. W skutek więc zmian zaszyłych w papiérniach, porzucono myśl używania atramentu niedającego się wywabić.

„Pozostało przeto przekonać się o stopniu pewności z zastosowania zewnątrz winiety dającój się wywabić; sposób bowiem ten zdawał się dotąd najlepszym. W tym celu ówczesny minister skarbu p. Lacave-Laplagne wyznaczył zadanie do nagrody; w skutku nadesłanych prac, pp. Zuber, Knecht i Beurges otrzymali zachęcające pochwały, ale kommissya sądziła, że zadanie jeszcze nie zostało rozwiązane. Wśród jednak tego czasu, gdy minister odesłał do akademii pracę pp. Colmont i Cordier; p. Grimpé powziął myśl szczęśliwą zmienienia jednego z warunków akademii, nie ubiegając się o wyznaczoną nagrodę. Znacomity ten artysta, wchodząc w myśl akademii, starał się przez zastosowanie winiety dającój się wywabić położyć tamę tak wywabianiu pisma, jako téż jego fałszowaniu. W tym celu usiłował zrobić winietę mikroskopową, któraby cała powierzchnia papieru złożona z linii cienkich, trudnych od ręki do naśladowania była pokrytą; te linie robione są atramentem dającym się wywabić wszystkiemi odczynnikami niszczącemi pismo, a nie mogą się przywrócić najbieglejszą ręką, ani żadnym sposobem przez wyciskanie.

„Piérwsze próby p. Grimpé, zyskały zupełne zadowolenie kommissyi. W dalszym ciągu pracy swój, tenże wynalazca korzystał z wszystkich rad i spostrzeżeń, do polepszenia, a nawet odmieniania swego wynalazku. Sposób jego polega na powleczeniu papieru rysunkiem czyli winietą ogólną, odbitą za pośrednictwem walca na każdym jego boku, atramentem dającym się wywabić. Jaki być ma

rysunek i sposób wyrobienia go na walcu, również jaki skład atramentu, papieru; od lat jedénastu stanowiło to przedmiot ważny rozważań i rozpraw członków kommissyi.

„Na powierzchni płaskiej lub walcowatej można rysować znaki cienkimi liniami, dające się na papierze odcisnąć, a to albo za pośrednictwem tokarni do zaokrąglonego rycia (tour à guillocher), bądź też używając różnych znanych machin do rytowania, albo naostatek przez zastosowanie pół-walca (mollet) stalowego z rysunkiem, któryto rysunek przez mocne ciśnienie odbija się na walcu miedzianym.

„Ten ostatni sposób, podług którego tworzy się zawsze rysunek jednakowy, przyjęty został przez p. Grimpé. Od jedénastu lat, kommissya zastanawiając się nad powyższym przedmiotem, daje mu dotąd przed innymi pierwszeństwo.

„Stosując rozmaite kształty geometryczne do powyższych winiet, kommissya dała pierwszeństwo gwiazdkom mikroskopowym, jako najtrudniejszym od ręki do naśladowania.

„Że te gwiazdki robią się zupełnie jednakowe, pochodzi to ztąd, iż są utworzone za pośrednictwem precyka stalowego, który na końcu ma jedną taką gwiazdkę, wrytą przez najbiegłego artystę, najściślejszymi sposobami mechanicznymi. Powyższym precykiem zahartowanym, wybija się gwiazdka w różnych miejscach obwodu walca stalowego niehartowanego; ten pierwszy walec dobrze zahartowany, mocno ściska się z walcem stalowym nie zahartowanym, i tym sposobem tworzy się na nim rysunek, którym pokryć można całą jego powierzchnią. Ostatnie te walce znowu z kolei zahartowane i ściskane z walcami miedzianymi, pomnożyć mogą do nieskończoności obraz pierwotny, pokrywając je gwiazdkami jednakowymi, łatwymi do porównania i zupełnie zdatnymi do wyciskania na papierze.

„W pierwszych doświadczeniach p. Grimpé, walce przeznaczone do wyciskania, ryte były wklęsło, dzisiaj ryją je wypukło. Jakkolwiek różnica ta zdaje się mało znaczącą, zasługuje jednak na wytłumaczenie, bo pociąga za sobą najważniejsze skutki.

„Kommissya akademii zawsze utrzymywała, że papier zabezpieczający z winietami, takimi winietami powinien być powleczony, aby ich nie można było naśladować od ręki; te zaś musiałyby być wyrobione atramentem zupełnie podobnym do atramentu zwyczajnego; a wtedy wszelkie usiłowanie sfalszowania winiety zaraz się okaże, gdyż nie można będzie naprawić rysunku zepsutego lub nadwężonego.

„Z różnych prób robionych we względzie papieru bezpieczeństwa, wynikł następny wniosek, który zapewne w przemyśle znajdzie wielkie zastosowanie:

„Odciskanie rysunku cienko-linijnego może być uskutecznione atramentem wodnistym tylko wtedy, skoro rysunek zrobiony będzie wypukły; w przeciwnym razie do podobnego rysunku zrobionego wklęsło, używa się farby tłustej.

„Dokąd więc p. Grimpé używał walców rytych wklęsło, brał do nich atramenty wywabić się mogące, zagęszczone lakierami, i przez to różniące się od atramentu zwyczajnego piśmiennego. Skoro zaś zastosował rysunek wypukły, mógł bez żadnej trudności robić odciski atramentem zwyczajnym. Życzenie więc kommissyi zostało spełnione.

Niektórzy członkowie kommissyi po dojrzałej rozprawie, sądzili, że możnaby doradzić administracyi papieru stęplowego, ażeby tenże tylko od ręki arkusz po arkuszu wyrabiano, aby klejono go galaretą; z tychto powodów papier powyższy bywa nieco nierówny i chropowaty.

„Długo p. Grimpé czynił nam pod tym względem szczegółowe zarzuty, ale te nie potrafiły zachwiać naszego przekonania. Dzisiaj p. Grimpé wybija papier stęplowy równie dobrze lub lepiej jak papier bez końca. Jego powierzchnia chropowata nie stanowi żadnej rzeczywistej przeszkody, a jeżeli wkładanie arkuszy pod walec pociąga za sobą jakie koszta, których uniknęłoby się biorąc papier bez końca; korzyść jednak ze zbywania papieru, trwać przynajmniej przez cztery wieki mogącego, zasługuje na wzgląd. Tak przeto spełnione zostało życzenie nasze, do którego z usil-

nością dążyliśmy: aby bez zmiany natury papieru, powlec jego obiedwie powierzchnie rysunkiem od ręki naśladować się nie dającym, niemogącym być przeniesionym na kamień, do sfalszowania niepodobnym, i napisanym atramentem takim samym, jak atrament zwyczajny do pisania.

„Sposób zalecany przez p. Grimpé i następnie ulepszony, posiada wszystkie powyższe korzyści.

„Ale z swój strony i litografia stanęła do walki, i niemało wpłynęła na podanie sposobów do zwalczenia stopniowo wszystkich trudności. Trzech dobrych artystów pp. Knecht, Quinet i Lemercier, podawali rządowi i kommissyi ciekawe wypadki swych dociekań, częstokroć godnych zachęcenia.

„Dokąd litografia poprzestała na używaniu swych zwyczajnych sposobów postępowania, musiała używać farby tłustej lub też lakieru (wernixu), czyli atramentów różnych od zwyczajnego. Skoro zaś zaczęto używać kamieni wypukło-rytych, mogła i ona zastosować do swych wyrobów atrament zwyczajny do pisania.

„Tak więc litografia może utworzyć na jakimkolwiek papierze rysunek z bardzo cienkich linii, który odbić można atramentem wodnistym pisma zwyczajnego. Ale nieznanne są jeszcze litografii sposoby mechaniczne, za pomocą których można otrzymywać do nieskończoności też samą figurę na kamieniu. Musi ona użyć pomocy machin do rytowania, które wykonywają robotę w liniach zaokrąglonych, nakreślonych punktem ostrym na lakierze pokrywającym kamień. Powszechnie wiadomo jak jest trudno z zupełną pewnością za pośrednictwem powyższych machin kilkakrotnie też samą figurę skutecznie.

„Ale za pośrednictwem litografii odbić można tanim kosztem na papierze, rozmaite rysunki handlowe, odznaczające się tak pięknnością wykonania, i obejmujące tak wiele szczegółów, że trudno je ręcznie sfalszować. Kupcy przeto bardzo wiele zyskaliby bez kosztu, przyjąwszy winiety litograficzne, robione atramentem dającym się wywabić.

„Rozważając tę okoliczność, trzech członków z wyznaczonej kommissyi, przeznaczonych do nowego rozbioru po-

wyższego zadania, takie wynurzyli zdanie w swych następnych, wnioskach podanych ministrowi skarbu.

„Członkowie oddzieleni z głównej kommissyi do papierów stęplowanych, którym polecono było wybadać sposoby pp. Grimpé i Lemercier, po uskutecznieniu potrzebnych doświadczeń i porównań, oświadczają:

1) „Że nowo zbadanie rzeczy, utwierdziło ich przekonanie, iż zdanie wydane przez akademią umiejętności i poprzednio wyznaczoną kommissyą było ugruntowane. Uważają oni sposób tego artysty jako szczególnie dobry do przeszkodzenia wymycia papieru stęplowego, a nawet w najczęstszych razach i sfalszowania cząstkowego.

2) „Muszą także zwrócić uwagę na dokładne postępowanie i wypadki otrzymane przez p. Lemercier. Szczęśliwe pomysły pozwoliły mu za pośrednictwem litografii, oszczędnie, z pewnością i prędko otrzymywać papiery, które chociaż nie zalecają się dokładnością papierów p. Grimpé, mają jednak ważne korzyści, których handel użyć może dla zapobiegania fałszowaniu pisma.

3) „Członkowie powyższej oddzielnej kommissyi oświadczają, że pewność papierów p. Grimpé polega: 1) Przeciw cząstkowemu sfalszowaniu: na nadzwyczajném utrudzeniu w naśladowaniu ręczném rysunku przyjętego przez tego artystę; 2) przeciw całkowitemu sfalszowaniu: na niepodobieństwie przeniesienia go na kamień litograficzny; 3) a co się tyczy naśladowania: na pewności, że piętno (type) pierwotne nie da się naśladować.

„Akademia pojmuje powody wstrzymujące kommissyą od przedstawienia licznych prób, na których zdanie jój jest ugruntowane. Mieliśmy obowiązek sprawdzić wszystkie znane sposoby fałszowania pisma, ulepszyć je, wynaléźć nowe na przypadek potrzeby. Tego wszystkiego dopełniliśmy, i mamy w ręku niewątpliwe dowody, że każdy stępel lub rysunek dotychczas znany, może być sfalszowany lub podrobiony. Lecz również jest naszym obowiązkiem zachować o ile to było w naszej mocy tajemnicę tych szkodliwych prób, udzielając o nich wiadomości jedynie rządowi. Oto

są powody wzbraniające nam przedłożyć akademii wypadków naszych doświadczeń, i dla których ograniczyć się musieliśmy na prostém zawiadomieniu, obejmującym twierdzenia i wnioski czysto osobiste."

* W dniu 18 grudnia r. z. p. Saint-Preuve czytał w akademii umiejętności paryzkiej rzecz o papierach bezpieczeństwa. Poleca on do powyższego celu papier potrójny, złożony z arkusza wewnętrznego stosownej grubości, i z miazgi dobrej wyrobionego: na tym arkuszu skutecznie trzeba rysunki atramentem dającym się wywabić; dwa arkusze zewnętrzne mają być nadzwyczajnie cienkie i wyrobione z miazgi przegnilłej. Wynalazca sądzi, że na tym papierze fałszować będzie nadzwyczajnie trudno, zwłaszcza skoro do jego cech wewnętrznych doda się znaki zewnętrzne, słusznie zalecone przez akademię. (*L'Institut* z 20 Decembre 1848). *J. B...a.*

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W amerykańskiej gazecie Cincinnati, czytamy następującą ciekawą wiadomość o obyczajach zwierząt menażeryjnych: autor jéj zwiedzał o północy w towarzystwie przewodnika menażeryi Raymonda i Warrynga. Stoń nie spał, jak książki uczą, stojąc, tylko leżąc; inne zwierzęta spoczywały w najwdzięczniejszych, często klasycznych postawach. Lew i tygrys, lampart i pantera uprzejmie pozawijały na siebie łapy. W każdej klatce która kilkoro zwierząt obejmuje, prawem jest bezwyjątkowém, jak przewodnik zapewnia, że jedno zwierzę czuwa, podczas gdy inne śpią; ta straż jeżeli nie w oznaczonym czasie, to jednak regularnie się zmienia; wchodzi ona i zchodzi, i troskliwie unika hałasu mogącego obudzić śpiących; czasem się i położy, ale zawsze obliczem do frontu klatki zwrócona; nigdy jednak

nie zaśnie nim złózowaną nie będzie. Tomasz Cart, najstarszy w Stanach Zjednoczonych zwierząt obłaskawiacz, i również długoletni właściciel menażeryi, zapewniają, że zwyczaj ten nigdy się nie nadweręża. Dwa słonie potrzebują dziennie 500 funtów siana, gatunki drapieżne 100 do 120 funtów mięsa, a małpy, ptaki i drobne zwierzęta wielkich ilości owoców, kartosli i warzyw. (*Fror. Not. nr. 125 z The literary Gazette nr. 1614, 1847*).

* D. 15 lutego 1846, rewirowy leśniczy Marz, w szwabskich alpach zastrzelił rysia samca, pięknie upstrzonego i ważącego 44 funty. Według dra Jaeger, od końca XVI wieku nie ubito w Wirtemberskiem rysia, (*Id. nr. 132 z Würtemb. naturwissen. Jahreshfte 1846, Ht. 1*).

* Żaden nowy dla historii naturalnej przedmiot nie zastanowił tyle w chwili ukazania się swojego, ile dziobak (*Ornithorhynchus paradoxus*), wkrótce po odkryciu przez Cooka piątój części świata, poznany na jój wielkiej wyspie, dziś Nowej Holandyi nazwisko noszącej. To czworonożne i siercią pokryte zwierzę, a dziób wodnego ptaka mające, do tego stopnia dwoistą zapowiadało naturę, że gdy jedni znakomici zoologowie (1) odmówili mu wcale organu do karmienia dzieci, drudzy (2) zaledwie mogli przekonać, że ten organ u dziobaka jest niemniej wyraźny jak u wszystkich zwierząt ssących. Ztądto przyszło do owój powszechnie znanój, pamiętnej sprzeczki między Ryszardem Owenem zootomem angielskim, a Stefanem Geoffroy Saint-Hilaire zoologiem francuzkim, z których piérwszy ogłosił to zwierzę za najrzeczywiściej żyworodne, gdy drugi zacięcie obstawał przy zdaniu swojém, że dziobak jest jajorodny. Wyznać wszakże potrzeba, że ostatni uwodzić się musiał doniesieniami kilku wędrowników, a w szczególności p.p. Garnot i Lesson, przez których rozgłosiło się po Europie, że osadnicy Nowej Holandyi sądzą, iż dziobak jaja niesie. Podobne doniesienia zadaleko nawet poprowadziły niektó-

(1) Blumenbach, Stefan Geoffroy St.-Hilaire.

(2) Blainville, Richard Owen, G. Bennett, Meckel i t. d.

rych pisarzy: do liczby takich należy bezimienny autor podania umieszczonego w *Antologii florenckiej*, gdzie jest powiedziano, iż dziobak niesie w gniazdo dwa jaja białe mniejsze od kurzych, i że samica długo je wysiaduje, jak ptaki. A jakkolwiek nierównie później uczony zoolog angielski Bennett, sam śledząc gniazda dziobaków, znajdował w nich młode, tylko co urodzone (2 cale długie), a obok nich nie dostrzegł śladu skorup: jakkolwiek chowając w izbie inne młode (10 cali dług.) wraz z matką, wyciskał z jej brodawek do karmienia pewną, lubo bardzo małą ilość mleka, nie byłoby wszakże dostateczne jeszcze pobudki dla uczonych europejskich, do bezwarunkowego uznania dziobaków za jajorodne zwierzęta (1).

W *Comptes rendus* (nrze 7 z r. z. *Fror. Not. nr. 128*) znajduje się najświeższa w tej mierze wiadomość, udzielona przez J. Verreaux, podług którego dziobak jest zwierzęciem w Tasmanii, a mianowicie nad rzeką New-Norfolk, w spokojnych zatokach bardzo pospolitem. Pływa on i nurza się nader szybko, żywi się wodnymi owadami i zwierzętami miękkimi, i zresztą nie jest wcale zwierzęciem nocnym, lubo woli w nocy być czynnym. Verreaux chował wiele tak starych jako i młodych, i uważał na sposób ich ssania. Ilekroć matka wyszła na miejsce miłątkie pomiędzy roślinami wodnymi, albo gdzie żadnego pędu nie było, młode tuliły się do niej, i tym sposobem wyciskały mleko, które, na wodzie pływające, chciwie połykały wśród nieustannego kręcenia się wkoło. Co dzień i co noc powtarzała się ta scena. Młode umęczonywszy się, włożyło na grzbiet matki, która wychodziła na ląd i rozpoczynała z niem pieszczoty.

* Podług prof. W. Rapp, płód przeżuających zwierząt, przez żaden układ naczyń nie łączy się z matką: tworzy on

(1) Bennett chował te ostatnie przez 5 tygodni, a nie pisze czyli i jak karmiła je matka. Może też to była epoka w której przestawały ssać, co zdaje się potwierdzać bardzo mała ilość mleka w karmiącym organie samicy znaleziona. A. W.

krwem sam sobie, ale otrzymuje od macierzyńskiego organizmu potrzebne mu do wykształcenia się materye. Płodowi zwierząt workowatych nie dostaje łożyska, a jaje nie jest do macicy przytwierdzone. Zwierzęta z rodz. jelenia mają ze wszystkich przeżuujących najmniej łożysk, t. j. około 10, ale za to najlepiej rozwinięte; owca ma ich około 50, a koza 100. Liczba ich i wielkość odpowiadają talerzykowatym gruczołom dwurożnej macicy. U wielbłąda i lamy, cała powierzchnia jaja naczyń pełna, zastępuje miejsce łożyska; to samo jest i u tęgoskórnych. Z ukośnych rurek złożone gruczoły macicy przeżuujących, wyłączają nieprzeżrystą, białą, do mleka podobną, a jak się zdaje, w białko obfitującą ciecz, którą naczynia krwiste łożyska wsysają, i ona służy na pożywienie płodowi. Weny łożyska w rodz. jelenia, kłap nie mają; wtryskiwanie zupełniej się udaje przez nie, niżeli przez arterye. (*F. N. nr. 130 z Würtemb. naturw. Jahreshefte. 1845 Heft 1*).

* Czytamy uwagę w *The Gardner's Chronicle* (nrze 50 z r. 1847), że bojaźń przed człowiekiem zdaje się dopiero zwolna i niejako dziedzicznie wchodzić w ptaki. Odkrywcy nowych wysp zastali na nich ptaki tak niełękliwe, że ła-two kijem lub kamieniem zabić się dawały, gdy potem nauczyły się zwolna w człowieku nieprzyjaciela swojego poznawać i uciekać przed nim, a ta obawa przeszła dziwnym sposobem i na ich młode, które go nigdy nie widziały. Dzi-ka i domowa kura nie różnią się zworzo-wo, a jednak kur-czeta piérwszej z kurczętami drugiej przez jedną kurę wy-siedziano, uciekają przed człowiekiem, gdy kurczeta swoj-skiej kury nic o téj obawie nie wiedzą (1). (*Fror Not. nr. 123*).

(1) Ta różnica jeszcze się lepiej wykazuje, gdy z wielu kacząt-mi domowemi wylegnie się jedno dzikie, z jaja kaczkki dzikiej, podłożonego pod domową na swoich siedzącą. Za zbliżeniem się człowieka ku stadku, w którym na oko nie daje się rozpoznać dzikie, wnet samo się ono wyda, uciekając wtedy na strong i dając do kąta, gdy inne pozostają na miejscu.

* W *Comptes rendus* (nrze 7 z r. 1848) czytamy uwagę p. Jobard, podług którego nie tak jest jak prawie powszechnie sądzą, że ledwie widoczne wahanie skrzydeł, kołyszące się w powietrzu ptaka, trzyma na jedném miejscu, lecz nagłe wypływanie ogrzanego powietrza z otworów na spodniej stronie skrzydeł leżących, a które środek ciężkości utrzymuje. Rybacy z Ostendy pędzą nieraz przed sobą całe stado mew, które, po przewierceniu im kości udowej, ledwie usiłowanie robią do lotu, zupełnie jak machina parowa, która, gdy rura przy niej stanie się nieściśłą, traci parę a z nią i siłę. (*Id.* nr. 127).

* Zwyczajne sowy, brunatna i biała (1), wcale nie są tak szkodliwe, jak wielu jeszcze mniema; owszem słusznieby mogły być oszczędzane i utrzymywane, ponieważ głównie żywią się myszami i szczurami, i tylko w rzadkich przypadkach porywają mniejsze ptaki i ryby. Dwa te gatunki zdają się w nieprzyjaźni żyć z sobą, bo cztery białe sowy z którymi do wspólnej klatki jedną brunatną wpuszczono, z wściekłością uderzyły na tę ostatnią i wkrótce ją zatlukły. (*F. N.* no 119 z *The Gardner's Chronicle* no 46, 1847).

* Tak nazwany słowik wirgiński (*Coccothraustes indica cristata*), podług Fanny Roy, niesłusznie to nazwisko otrzymał, bo jego śpiew jednostajny i najmniej przyjemny, nie wyrównywa nawet śpiewowi ludarki albo skowronka. Ptaszek ten zdaje się być oprócz tego bardzo lęklwym i trudnym do oswojenia, lecz uderza na pierwsze spojrzenie wspaniałością swojego pierza. Najulubieńszém pożywieniem jego jest proso. John Abbot potwierdza to samo zdanie, mówiąc, że jego śpiew niezły jest wprawdzie: jest nucący, bardzo głośny, ale jednostajny; powtarza tę samą nutę częstokroć ośm do dziesięciu razy, nim do innej przejdzie. Śpiewa przez ośm miesięcy w roku, i nie dalby się wcale z naszym słowikiem porównać. (*Id.* nr. 120 *ex eod.* nr. 49 et 50, 1848).

(1) Zapewne *Strix aluco* i *S. nyctaea*.

* W dziele o ptakach Jamaiki (*Birds of Jamaica*) przez p. F. H. Gosse, czytamy następujący opis, ściągający się do długoogoniastego kolibra na tej wyspie (1). „Niższy las składa się po większej części z krzewu należącego do rodziny trędownikowatych, którego kwiaty wprawdzie nie są piękne, ale dla długoogoniastego kolibra wiele mają powabu. W każdej porze roku krzew ten i kwitnie i szkarłatne rozwiesza jagody; dlatego rzadko się tam miłego ptaszka napróżno szuka. Najliczniej jednak znajduje się w marcu, kwietniu i maju. Nieraz przed południem po sto ich na tym miejscu widywałem. Zresztą, nie żyją one towarzysko, lubo może się zdarzyć że 3—4 razem wokoło kwiatów tegoż krzaka bujają; każda wszakże ptaszyna sobą jest tylko zajęta i wyłącznie własną powoduje się skłonnością. W tych wyższych okolicach daleko więcej bywa samców, kiedy w nizinach samice są liczniejsze. W marcu znajduje się wiele indywiduów z ubarwieniem dojrzałego samca, ale bez długich piór w ogonie; u innych charakterystyczne pióra już dłuższe są, już krótsze. Sąto, według mojego zdania, samce z przeszlorocznego wylęgu. Często także zdarzają się z jednym ogonowym piórem daleko krótszym od drugiego, co tak możnaby wytłumaczyć, że krótsze wyrasta na miejsce utraconego przypadkowo. W czasie walk, które ptaszki w powietrzu z sobą staczają, jedno pióro niekiedy wypada. Gdy pewnego razu dosyć zgromadziło się tych ptaszków młodych, starły bój z sobą; co odbyło się tak głośno, jak podczas zwady wróblów. Kolibry niesłychanie szybko uwijały się wśród tej rozprawy, ale nie mogłem dojść właściwego powodu tego zakłócenia.

Autor nadaremnie przedsiębrał wielorakie usiłowania, chcąc oswoić te kolibry i żywe do Anglii przywieść. Długo uczył się łapać je bez uszkodzenia. Raz ułowił siedmiu w niczem nienadwerżonych.

„Te wkrótce oswoiły się zupełnie, i muszę namienić, że co do temperamentu, okazały się wielce odmiennymi: nie-

(1) Zapewne gat. długosterny *Trochilus polythmus* Lin. (*Ornithomya cephalatra* Lesson).
A. W.

które były leniwe, inne bardzo bojaźliwe; inne zaraz po złapaniu bardzo łaskawe. Dla przyzwyczajenia ich do izby i do karmienia, użyłem bardzo prostego sposobu. Gdym otworzył kosz w którym się znajdowały, najwięcej ich fru-nęło ku jego przykrywie a nie ku oknu, i nie trącając się, w bliskości przykrywy bujały. Tykały jój tylko niekiedy zlekka dziobem lub piersiami, i zaraz odlatywał nazad. Zmęczony się tym sposobem, usiadały, a wtedy można je było zwykle podejmować, wsuwając im łagodnie palec pod piersi, którego uchwycały się nogami. Gdy ptaszek na palcu usiadł, przybliżyłem dziobek jego między moje wargi, mając w ustach nieco rozpuszczonego cukru. Niekiedy natychmiast chciwie ssać zaczynał; często wszakże musiałem pierwój dziobek wprowadzić, niżeli kolibr cukier uczuł. Jeśli jednak raz z ust się nassał, już go więcej nie trzeba było nakłaniać do tego; sam ich potóm szukał. Wyuczysz je tym sposobem i przyzwyczaiwszy, ażeby podczas ssania na wyciągniętym sznurku siadały, podawałem im syrop ze szklanką, co gdy się kilkakrotnie uczyniło, wiedziały już drogę do stojącego na stole naczynia z syropem i odtąd można je było za oswojone uważać. Bujały szarpliwym lotem wkoło izby i usiadały na sznurku. Nacieraly często w powietrzu na siebie i wykonywały najprzyjemniejsze obroty, przyczém długie ich styrówki w szczególny poruszały się sposób. Te zbliżania się były zupełnie przyjemne, a ptaki nigdy się wśród nich nie trąciły. Dłużej i dokładniej uważając je, przekonałem się, że tylko dla złowienia drobnych owadów tak niestęchanie szybko przerywały powietrze. Że nieraz za przedmiotem gonily, można było wnieść z ich poruszeń, a lubo owady zwykle były tak małe żem ich dojrzec nie zdołał, słyszałem jednak kłapanie dziobem a po wielekroć wyraźnie widziałem, że muszki drobne chwytaly. Często tylko na 1 lub 2 stopy odlatywały od sznurka i znowu nań powracały, zupełnie jak czynią prawdziwe muchołówki. W przecięciu każdy kolibr łapał przynajmniej trzy drobne owady na minutę, a to, z wyjątkiem

kilku przerw, przez cały dzień, od rana do wieczora". (*F. N. no 121 z The Athenaeum, nr. 1060*).

* P. Stanisław Kurnatowski, który zwiedził roku zeszłego Szkocję, otrzymał tam przez pośrednictwo dra Charltons trzy okazy jaj szkockiej pardwy (*Tetrao scoticus, Ang. Red Grouse*), i niedawno znajdując się w Warszawie oddał je do rozrządzenia mojego. Są one najpodobniejsze do jaj naszego cietrzewia. Wielkość jaja nierównie znaczniejsza jest nizeli ta, w której Thienemann je przedstawia; wszystkie trzy mają jednakową, ale co do ubarwienia każde jest odmienne, i zdaje się że dr. Charltons tym niedoborem trojga wyrazić chciał główne odcienia odmian. Ubarwienie jednego zgadza się zupełnie z figurą Thienemana (11 na tab. XII). Ale drugi okaz ma na tle żółtawo-białém daleko rzadsze plamki i kropki, tak iż przybliża się raczej do fig. 4 tab. XIV w dziele Thienemana, przedstawiającej jaje siewki. Ostatni okaz najmocniej się od dwóch innych różni plamami wpośród kropek bardzo wielkimi, jakich przykład u Thienemana tylko jaje alki lotnej (*Alca torda, fig. ostatnia w dziele*) przedstawia. Jaja naszego cietrzewia ulegają także niestałości ubarwienia, lubo nie w tym stopniu. Pardwa szkocka jest ptakiem, którego poza granicami Szkocyi rzadko jedynie znajdowano, a nigdy go nie znaleziono poza granicami W. Brytanii. Jaja, które p. Kurnatowski od dra Charltons otrzymał, pochodzą z hrabstwa Northumberland w północnej Anglii. (*A. W.*)

* U kajmana szczupakowatego (*Alligator lucius*) znalazł Edward Fry znaczne w układzie krążenia różnice od tego co dotąd podawano. U jaszczurkowatych bowiem lewa komórka serca z lewym łukiem aorty tworzyć ma jeden pień wspólny, który się na dwa ramiona dzieli, zaopatruje przednią część ciała, i już *arteria innominata*, już *subclavia* i *carotis* nazywany bywa. Autor zaś, badając 5 stóp i 4 cale długiego kajmana, znalazł u niego dwa bocznie od prawego łuku aorty z opuszki (*bulbus*) lewej komórki wybiegające pnie, z których jeden bezpośrednio szedł do przednich członków, a drugi do góry, i ten wkrótce wydawszy

znaczną gałąź, t. j. lewą arterję podobojczykową, ciągnął się dalej po obudwu stronach wzdłuż dolnej powierzchni spodniej strony kręgow, i przez wyłobienie w mięśniach, aż do kanału powietrznego dochodził, dosięgał tylnych nozdrzy, rozdzielał się w tém miejscu, posyłał gałęzie do strony dolnej mięśnia skroniowego, i równie dolną szczękę jako i boki głowy w krew zaopatrywał. Ta jedyna arterja, podług swojej funkcji, zastępuje karotydy, gdy swoim początkiem, rozchodzeniem się i końcem podobna jest raczej dolnej arterji polykowej (*arteria pharyngea*). Ponieważ żadne kręgowie zwierzę, o ile autorowi wiadomo, nie przedstawia nic podobnego, a w Müllera *Archiv.* tom 1 str. 174, Baly opisał krążenie u szczupakowatego kajmana, powyższy przypadek zdaje się być odstępianiem od normy. (*F. N. nr. 113, z The Annals and Mag. of nat. hist.* 1847 nr. 136).

* Na dwóch świeżych okazach jutrzniny dwutaśmowej (*Python bivittatus*), z których jeden prawie 5 metrów miał długości, badał Poelmann przyrząd trawienia. Żołądek nie tworzy tu, jak u innych węzów jednego nieprzerwanego kanału z gardzielem, ale przecięśnieniem odłączony jest od niego; składa się on z właściwego worka żołądkowego i rury odźwiernikowej. Kanał kiszkowy jest krótki, wszakże dłuższy niżeli u położów i wielorako pogięty. Kiszka cienka w niektórych miejscach okazuje zwiężenia, i opatrzona jest wewnątrz kosinkami i nader małemi fałdkami. Kiszka ślepa krótka, oznacza początek grubiej, którą znowu dwie klapy od kloaki odłączają. Poelmanu w wielu miejscach nie to pisze co Duvernoy, który także dwutaśmową jutrznę badał, i musiał ją zapewne z jakim położem pomieszać. Osobliwe ułożenie kanałów żółciowych, które Duvernoy u gatunków z rodz. *Trigonocephalus* odkrył, Poelmann znalazł i u jutrzniny: był i pankreatyczny gruczoł, ale brakowało śledziony. (*F. N. nr. 115 z L' Institut* 1848 nr. 734).

* Węże w okolicach podrównikowych nowego świata, nie są, podług hr. de Castelnau, liczniejsze co do indywiduów, niż w naszych umiarkowanych stronach, ale co do gatunków, jest ich daleko więcej: wszakże nierównie mniej

jadowitych, niżeli nieszkodliwych. Podczas 4½letniej podróży swojej w tych okolicach, widział on tylko 91 węzów, które do 64 należały gatunków, i to 53 nieszkodliwych, a 11 jadowitych. Liczba indywiduów z pomiędzy ostatnich, wynosiła 21. W bardzo gorących okolicach Rio de Janeiro aż do Santa Cruz de la Sierra, znalazł 48, z tych 11 jadowitych; w Boliwii i Peru, w górzystych, często zimnych okolicach tylko 7; z tych jedynego jadowitego w jednej górnej dolinie Andów, inne zaś wśród powrotnej podróży przez Ucujale do rzeki Amazonki. Węże rzadko zachodzą wyżej nad 2000 metrów; dwa tylko indywidua znalazł nierównie wyżej; lecz obydwa były małe i całkiem nieszkodliwe. (*Id. nr. 112 ex eod. nr. 733*).

* Najpóźniejsze postrzeżenia w przedmiocie świerzbowego ocieklinka i choroby którą on sprawia (1), czynił we Francji dr. Bourguignon (*Gazette méd. de Paris, 11 mars, 1848*), i podług niego ocieklinek w nocy tylko ze swoich podkopów pod skórą wychodzi, z kąd wynika, że zarażenia we dnie, mimo ztykania się z chorym, są tak rzadkie. Podług dr. Bourguignon, świerzba nie ma żadnego związku i zależności z wewnętrznym organizmu stanem; zarażał się on dobrowolnie tą chorobą przez przesadzenie na siebie ocieklinka, i przekonał się, że tyleż ma do niej usposobienia co każdy inny człowiek. Materya świerzbowa z wrzodu, nigdy nie zaraża, jeśli się z nią ocieklinka nie przeniosło: zdaje się jednak, iż autor nie wiedział o ciekawém doświadczeniu Hartwiga, że samiec przeniesiony, zaszczepia wprawdzie chorobę, ale ta nie rozszerza się na ciało dalej za punkt w którym ten samiec siedlisko sobie obrał. (*F. N. nr. 117*).

* Powietrzne worki u owadów skrzydlatych, według Newporta, powstają w okresie przejścia od poczwarki do owadu dojrzałego, z rozszerzenia się tchawic, skrzydła zaś z fałd nowo ukształconej skóry pod starą. Tak nazwane żyłki skrzydeł, nie są, podług niego, czém inném jak prze-

(1) Porówn. Bibl. Warsz. r. 1846 tom IV, str. 438, 440.

dłużeniami wielkich pniów tchawic ciała. John Hunter domyślał się, a Newport podziela jego domysł, że te powietrzne worki, których żaden bezskrzydły owad równie jak i żadna gąsienica nie ma, służą do zmieniania według woli gatunkowego ciężaru podczas lotu; nie można zaś porównywać ich z pęcherzykami w organach oddychania u zwierząt kręgowych, ale raczej z jamami powietrznymi u ptaków, które także po całym rozciągają się ciele. Nawet autor utrzymuje, że dostrzegał wzmocnionego oddychania u owadów przed ich wzniesieniem się na skrzydła: niejako rozdymają wtedy ciało nabraniem powietrza w te worki, przez co i gatunkowy ciężar i potrzebna do lotu siła mięśniów dowolnie się reguluje. (*Id. nr. 117 z The Gardners Chron. no 51, 1847*).

* Na posiedz. Tow. Linneuszowskiego, d. 2 listop. r. z. czytał Newport o anatomii i rozwijaniu się pewnego gatunku majówki (*Oil Beetle*), ucząc, że zewnętrzne pokrycie ciała u niej, tworzy się najprzód i bezpośrednio z błony zarodowej (*blastoderma*), której komórki w najmłodszym stanie podobne są bardzo młodym komórkom u roślin. Zmiany kształtu embryona, są zupełnie od rozwijania się tej tkanki zależne. Pokrycie rośnie w skutek dzielenia się jej jąder komórkowych, które się stają nowymi i większymi komórkami i znowu jądra rozwijają, a te dzielą się nanowo; i tak, gdy wkoło jąder komórkowych nagromadza się zwolna materij ziemistych, powstaje skórny szkielet w sposób podobny do kostnienia pacierzy u zwierząt kręgowych. Włoski i kolce powstają według niego, ze środkowego punktu pokryciowej komórki, i te są tylko nadmiarowemi rozwinięciami tej komórki. Zewnętrzny układ oddychania rozwija się w tém pokryciu w odstępach, pomiędzy komórkami skóry w ziarnistej tkance na boku ciała leżących. Zewnętrzne ujścia tego układu są z początku bardzo podobne do szparowatych otworów u roślin. Rogowa błona oka tworzy się u młodej majówki z warstw komórek skórnych, które są bardzo podobne komórkom ogólnego pokrycia głowy, ale ustawione wokół jednej, na środek błony rogowej (na

oś widzenia) przypadającą, dwa razy od innych większej. (*Id. nr. 121 ex eod. nr. 45, 1847*).

* Wiadomo, że mszyca chmielowa (*Aphis humuli*) rodzi skrzydlate i bez skrzydeł indywidua. Według Walkera, zjawisko to zostaje w związku ze zmianami miejsca pobytu i pożywienia. Mszyca chmielowa, która na tarninie z jaj się wylęże, rodzi drugie pokolenie które na krzak chmielu przechodzi, a tamże trzecie i czwarte pokolenie żyje. Odtąd zmniejsza się ich liczba; opuszczają chmiel i na tarninę wracają. (*Id. nr. 122 z Bibliothèque univ. de Genève, nr. 24, 1848*).

* Polujące mrówki Afryki zachodniej, które Westwood *Anomma arcens* nazywa, długie bywają na $1\frac{3}{4}$ do 3 linii, i tylko się wielkością pomiędzy sobą różnią. Ich państwo, jak domyśla się Savage, złożone jest z wojowników, które wędrującą armią zasłaniają, z robotników które grunt oczyszczają, a w środku kolumny mają staranie o indywiduach żeńskich, najmniej licznych, o jajach i o młodym potomstwie. Tylko w nocy albo w dni dżdżyste wychodzą ze swoich kryjówek, bo światło słoneczne wprost działające, jest zabójczym dla nich; niekiedy nawet za pomocą cieczy którą z siebie wyłączają, budują kryte przechody, któremi zchronione przed słońcem, za zdobyczą gonią. W dni pochmurne wojownicy tak ustawiają, że tworzą z ciał swoich sklepienie chroniące robotników, ale dlatego na najmniejszy szelest gotowe są do napadu i po odniesionym zwycięstwie wracają znowu do pochodowego porządku. Nie budują one właściwego gniazda lecz żyją w pulchym gruncie spadzistych pagórków, pod rozkruszonymi skałami, i w zawałonych dołach. Nawet ogniem nie można ich całkowicie wytepić, ponieważ co żywo uciekają od niego i osiadają w sąsiedztwie. Wszystkie są bezskrzydłe. Wojownicy napadają i zdobywają łupy, które robotnicy do kryjówek zawłóczą; tylko gdy znaczne niebezpieczeństwo zagraża, biorą i one udział w walce. Jeśli wypadnie przez strumień się przeprowadzić, wtedy największe indywidua ścisnąwszy się, tworzą most, przez który cała kolumna przechodzi. W po-

rze deszczów, kiedy często na długi czas w swoich podziemiach zamykać się muszą, staczają się niekiedy w wielkie kule, biorąc w środek indywidua samice z jajami i gąsienicami, i tak powierzają się pędowi strumienia który je na brzeg zanosi. Długo głód znosić umieją i mają w ogólności wytrzymałe życie; narzędzia żyrowe odłączonej od kadłuba głowy, poruszają się jeszcze przez 24 godzin, a również długo i krew utrzymuje się w obiegu. Są odważne i silne, napałają i mordują wielkie zwierzęta, przy tém wszystkiém jednak zdają się być zupełnie ślepymi, bo śladu nawet organów widzenia dopatrzeć się u nich nie można. (*Id. nr. 118 ex eod. nr. 24, 1848*).

* *Anguinaria spatularia* Ellis, uważany dotąd za rzadki zwierzokrzewów gatunek, w mnóstwie znaleziony został przez Buska w zatoce Swanage, razem z *Notamia bursaria*, w głębokości 3 do 10 sążni morskich pod wodą. Otwór z którego polip wynikał, nie leży, jak dotąd mniemano na boku, ale raczej na wierzchołku; otwiera się on i zamyka kłapkę z téj sumej co polip substancyi. Na polipie wyraźnie widać z ukosa ciągnące się włókna mięśniowe, którym on swoją dobrowolną ściągalsność winien. Cały polip podobny jest, jak już nazwisko jego oznajmia, z głowy i ciała do węża; dolna tylko część jego rurki jest najzdobniej obręczkowana. Każdy polip złączony jest z drugim przez zbiegające się u dołu gałęzie, do których się najrozmaitsze gatunki morszczyń przyczepiają. (*Id. nr. 123 z The Gardner's Chron. nr. 52, 1847*).

* Nicolet, *Organizacya i rozwijanie się słończyków* (*Actinophrys*), *rodzaju polipowatych wymoczków*. Ciało takiego zwierzątka składa się ze środkowego, kulistego jajecznika ze skórkową powłoką, która początki jaj, jakby drobne kulki otula; z warstwy śluzowato-ziarnistej, otaczającej jajecznik, której ziarna może także do rodnego przyrządu należą, i z drugiej, białej, przezroczystej, komórkowatej warstwy bez ziarek. Ta ostatnia tworzy zwierchnią skórę zwierzęcia; w niej się rozwijają przestrzenie próżne, które czynność trawienia przyjmują; z niej się także roz-

chodzą promieniste rozszerzenia, do uchwycania zdobyczy służące.

Co pewny czas nabrzmiewają pęchérzowate nabrzmiałości na powierzchni ciała, które stawając się cieńszymi, tworzą pomiędzy sobą rowki, a do tych pokarm się prowadzi i następnie trawi, lubo nigdzie na obwodzie ciała nie powstaje otwór. Słończyki mnożą się z jaj i z dzielenia się dobrowolnego. Jaja w liczbie 50 do 60, wychodzą pewnie skutkiem rozpęknięcia się macierzyńskiego zwierzęcia; wylęgającym się z nich młodem, jest *Halteria grandinella* Duj. jedyny gatunek tego mniemanego rodzaju. Zachowuje ona swój kształt, aż póki nie urośnie pięć razy większą niż z początku; wtenczas rzęsy jej stają się coraz słabszemi, przylepiają się nawet do spodniej strony ciała, promienie rozchodzą się we wszystkie kierunki, i słończyk jest ukształcony.

Autor uważał jeszcze rozwijanie się tego zwierzęcia z zarodków, które w wymoczku *Rotator inflatus* przedstnieją już w kilka godzin po jego śmierci, widzieć jak powstają w nim wewnątrz drobne kuleczki; mnożą się one i powiększają, a po jakimś czasie ciemnieją. Wkrótce zwłoki wymoczka całe napętniają się niemi; każda kulka tworzy na nich brodawkowaty wyskok. Z powiększaniem się tych kulek, postać zwłok staje się coraz niemierzytelniejszą. Jeżeli się otworzy je w tym czasie, widzieć można jak każda kulka zmieniała się w ślepa, niemierzytelną, rozmaicie ukształconą rurkę, napętnioną cieczą ziarnistą. Na obwodzie zwłok, rurki te rozgałęziają się kolczysto, i znowu inne wejście całości nadają. Koniec każdego kolca otwiera się później i wypuszcza z siebie to co było w środku jego; z tego zaś na każdym punkcie końcowym rozwija się kuliste, ruchomemi rzęsami pokryte ciało i odplywa żwawą halterią, która skoro należycie podrośnie, w słończyka się przemienia. Może ten słończyk z niewiadomych autorowi przyczyn, już w ciele rotatora całkowicie się ukształca. Gdy rurki w jeden tylko przedłużają się kole, a tém samém jedno tylko wypuszczają zwierzę, powstaje *Actinophrys pedicellata* Müllera. Jeżeli zaś

wynikają kolce rozgałęzione, a u nich wiele zawiesza się zwierzątek, całość tworzy rodzaj Ehrenberga *Dendrosoma*, z jednego tylko złożony gatunku.

Właściwe jaja słończyka są istotnie odmienne od zarodków w rotatorze; z tych ostatnich Halteryą zaraz całkowicie rozwinięta wychodzi, i zaledwie 16 godzin na dalszą jej przemianę potrzeba, gdy słończyk z jaja powstający kilku dni do wykształcenia się wymaga. (*Ib.* z *Comptes rendus*, nr. 3, 1848).

* W *Literary Gazette*, w nrze 1615 z r. z. ogłoszone są doniesienia z podróży okrętu Samarang, prowadzonego przez kap. Edwarda Belcher, w których autor, p. Arthur Adams. taki obraz fauny Indyjskiego archipelagu skrzyła:

W rozległych lasach środkowego Borneo, znajdują się niezmiernie wielkie prostoskrzydłe owady, szarańcze większe od wróbla, ciężkie i niezgrabne, na głuchych ciemnych placach poskakujące. Ich długość 4 cale przenosi, ich skakalne nogi są mniej rozwinięte, różki długie i nitkowate, a kolor zwierzęcia to czysta jednostajna zieloność trawy. Zwierzę przypada pomiędzy rodzaje *Steiroidon* a *Phylloptera*, i przez autora nazwane zostało *Megalacris Brookeri*.

Zpośród innych prostoskrzydłych na Borneo, odznaczają się jeszcze: jeden gatunek *Gryllacris*, z ciemno-kasztanowato-brunatnymi pręgami na pokrywach i pomarańczowem ciałem; po nim drugi, który jak nasz podjadek, ma axamitne na ciele pokrycie; piękny gat. *Phylloptera* z połyskującymi, żółto-zielonemi, przezroczystymi skrzydłami, głową i tułowem drobnymi krostami okrytym; złoto-brunatna, wspaniała *Acheta*, która niezmiernie skoki wykonywa; osobliwa *Cyphocrania*, u której wierzch głowy w róg jest przedłużony, z długimi, wółprzezroczystymi, brunatnymi skrzydłami; nowy gatunek z rodz. *Blepharis*, żółkły liść naśladowujący, z krótkim lotem, podobny do rozgrozy (*Empusa*). Zdaje się że w okolicach podrównikowych chrząszcze gnojowe mniej są użyteczne stąd że gnój uprzątają, niż że go roznoszą po ziemi; zbierają go najprzód ażeby weń jaja

zniosły, ale go potem roztrzaskają nogami tylnymi, i tu i owdzie wkopują.

Z jedyne go okazu poczwarki od ćmy z rodz. *Sphinx*, który podróżujący na Borneo znalazł i najtroskliwiej chował, wyszły z wielkiem zmartwieniem jego, dwa okazy dziwniej postaci pszczołowatych, do *Evania appendigaster* podobnych. Chrząszcze gnojowe i ścierrwowe, kęsawcowate (*Staphylinidae*), omarlicowate (*Silphidae*) i szczypawkowate (*Carabidae*) na Borneo znajdują się mniej licznie; zastępują je krocie termitów, mrówek i innych owadów, które powierzchnię ziemi oczyszczają z przedmiotów gnijących. Listkorożne (*Lamellicornia*) i inne roślinami żyjące, niemniej są liczne; w towarzystwie niezliczonych koników, żywią się one bogatą roślinnością, przyodzieżającą wszystkie lasy tej wspaniałej wyspy.

Ogromne motyle dzienne rozpościerają w cieniu lasów długie i szerokie skrzydła, i ulatują ponad niskimi chrósty; nie są wszakże tak liczne jak w Ameryce zwrotnikowej. W lasach Santubeńskich znalazł podróżujący rzadkie gatunki z rodz. *Pycnanum*, jakoto *P. amethystinum* Fabr. z błyszczącemi, smaragdowo-zielonemi pokrywami, z ciałem ozdobionem po obudwa bokach naprzemian czarnemi i żółtymi pręgami; owad ten, podobnie jak złoty bogatek (*Buprestis chrysis*) i wótek dyamentowy (*Entimus imperialis*), tu i owdzie od pokoleń indyjskich używany bywa do strojów. Na wyspach Filipińskich stroją się pięknym, błyszcząco-zielonym gatunkiem rodz. *Stephanorhina* i przepyszny *Caryphocera*, którego pokrywę są czarno-plamiste. Jednym z najpospolitszych pluskwowatych, których niewiele Borneo przedstawia, jest gat. z rodz. *Catacanthus*, z błyszcząco-żółtym tuluwem, dwiema czarnemi na każdój pokrywie plamami i z czarno obwiedzionym odwłokiem. Jest także piękny gatunek z rodz. *Gallidea*, błyszczący, złoto-zielony, z wielkiemi, okrągłemi, czarnemi plamami, w lasach Sarawaku bardzo liczny. Ale jednym z najprzepyszniejszych tej okolicy owadów, jest gatunek świetlika: każdy dział jego ciała rozjaśniony jest trzema świecącemi pasami; świecące

miejsca grzbietu leżą na pośrodkowej linii tylnej części działów, gdy plamy boczne znajdują się bezpośrednio pod otworami tchawic. Podróżujący znajdował ten przepyszny owad podczas zmroku, na ciemnych, liśćmi pokrytych drogach w lesie łąjący; przyłożony do palca, równa się on najpiękniejszemu brylantowemu pierścieniowi.

I tu umieją pająki dla bezpieczeństwa i utrzymania się sztuczne zakładać sieci; łapią w nie, lubo same bez pomocy i bez oręża, nierównie większe, silne i należyte do obrony przygotowane zwierzęta, które gdy do sieci wpadną, naderemnie uwolnić się z niej usiłują. Lasy na Borneo, Mindanao, i Celebes, bogate są w kunsztowne i najrozmaitsze tkaniny pajęczę, o nitkach jużto białych, już brunatnych, już żółtych. Sieci wielkiego gatunku z rodz. *Nephila*, porościerane się od krzaka do krzaka, są nieraz wielką dla przechodzącego przeszkodą; gdy fantastyczne kształty pajaków, twarde m pokryciem ciała opatrzonych. *Acrosoma* nazywanych, wprawiają go w największe zdumienie.

Przy wylądowaniu na wyspę Mayo, ujrzeli podróżujący rafami otoczone, gołe skały okryte łąkotkami (*Chiton*), rozdepkami (*Nerita*), i innymi ślimakami (*Littorina*); wielkością odznaczające się zmykacze (*Grapsus*) (1), na wszystkie strony pierzchały. Wdzierając się na pewien przykry pagórek, zestrzaszył podróżujący dłuższą niż 5 stóp jaszczurkę z rodz. ostrzegaczów (*Monitor*) południowego wczasu używającą: straszliwie ona po kilkakroć obejrzawszy się na prześladowcę który ją ścigał, pospieszyła do góry na urwisko skały, i znikła w strumieniu źródła, wytryskującego pod smagłemi drzewami pochutniku (*Pandanus*). Znajdujący się w Muzeum brytańskim okaz jaszczurki *Hydrosaurus giganteus*, z północnego brzegu Nowej Holandyi, ma 78 cali długości. Niektóre afrykańskie gatunki, jakoto *Regenia albogularis* i *Monitor niloticus*, podobnie do niezmierniej

(1) Raki morskie, pospolite pod zwrotnikami, na dzień zgro madzające się zwykle pomiędzy kamienie; urwiska skał i t. p., ale jak kto przybliży się do nich, natychmiast uciekają do wody, sprawiając wielki łoskot uderzaniem kleszczy. A. W.

dochodzą wielkości. Na tych ciemnych bagniskach leśnych pod zwrotnikami, sądzimy się być mimowolnie przeniesionymi w wieki dzieciństwa naszej ziemi, kiedy bagniste brzegi morza roiły się ogromnemi jaszczurkowatemi płazami. Na skałach słodkiej wody w Mindanao widać te jaszczurki wodne w niezmiernej liczbie, a pomiędzy nimi dwuprzęznego *Hydrosaurus salvator*, i inny mniejszy, całkiem ciemno-brunatny gatunek. W rzęce płynącej przez wieś Anjer na Jawie, widział podróżujący podobne, jednak wolniej poruszające się jaszczurki, *Uranus heraldicus* i pokrewno z tym gatunki. Skaleczone silnie się bronią, zresztą są całkiem nieszkodliwe; można je łatwo zastrzelić, ale trudno złapać żywcem.

Perły i bezoary u mieszkańców Sulu wysoko są cenione: pierwsze co do wielkości i koloru rozmaite bywają; szoldry (*Pinna*) są czarne i czerwone; olbrzymia przydacznia (*Tridacna gigas*) bywa ciemna, nieprzezroczysto-biała; wypłóczka płaskata (*Placuna placenta*) koloru ołowianego; prawdziwa muszla perłowa (*Meleagrina margaritifera*) współprzezroczyste, słomianego koloru perły wydaje. Dalrymple mówiąc o połowie pereł w Sulu, podaje że w tych perłowych muszlach mieszka zwykle para czerwioń rakowatych, takich jak pagur biernanek (*Pagurus bernhardus*), jak strzeżniki (*Pinnotheres*) i t. d.; piękno, przezroczyste ciało ich samca jest czerwone, samicy biało-plamiste; ostatnia nosi jaja pod brzuchem i ogonem. Każdy gatunek perłowej muszli, ma właściwego sobie raka, przez co Dalrymple, który sądzi że widział przez mikroskop młode muszle perłowe w jajach raków, wnosi że pierwsze są płodem drugich. To samo krajowcy utrzymują. W wielkim perłopławie (*Avicula*), który się w tamicznych wodach obficie znajduje, podróżujący znaleźli nowy gatunek strzeżnika (*Pinnotheres orientalis* Adams et White).

Wody Sulu, może dlatego że spokojne i w ciepłej atmosferze, w ogólności bogate są w organiczne istoty, ale też równie bogate i w węże wodne; te przy spokojności powietrza, zwijając się w pierścienie, wypływają nad po-

ziom wody, jednak nie wytykając z niej głowy, ani się wynurzając. Skoro im zagrozi niebezpieczeństwo, idą na dół; lecz nie zdają się być lękliwemi. Posuwają się naprzód z umiarkowaną szybkością; Malajczycy zowią je *Ular gerang*. Pęz dwufarbny (*Pelamys bicolor*) pospolity jest w chińskich i indyjskich morzach; autor widział je w wodach Mindoro i Sulu tysiącami pływające. Gdy niema wiatru, przesiadują nadewszystko w wirach i pędach wody, gdzie zanieśionemi tam rybami i chelbiami żyją. Płuca ich są raczej powietrznym pęcherzom ryb, aniżeli organom oddychania gadów podobne; ich rozczepany język jest biały, gdy u innych węzów zwykle bywa czarny. Obydwa końce języka, do samej podstawy są wysuwalne i okryte dwiema rogowatemi pochwami, które podczas linienia jak łuski z oczu, zchodzą. Niektóre gatunki, jak np. *Hydropis*, mają drobne kły jadowite, inne są nieszkodliwe, jeszcze inne (pęzy), przy podstawie obudwu przednich podniebieniowych zębów, przedstawiają dwa otwory, które są może siedliskiem jadu. Podług dra Castor, wszystkie bez wyjątku węże morskie są jadowite: to samo powiada i Schlegel w swojej Fizyonomii węzów; Hiszpanie poczytują ich ukąszenie za koniecznie śmiertelne. Murzyn jeden z osady okrętu, ukąszony przez nie, umarł pomimo wszelkie zabiegi i lekarskie ratunki.

W wodach Sulu wielokrotnie postrzegał autor owo zjawisko, któreto najpiérwszą pobudkę dało do cudownych powieści o wielkim wężu morskim: 70 do 100 yardów długie szeregi toczących się morsunów (*Delphinus phocaena*); oneto, w szeregu już zanurzając się już znowu wypływając, poruszeniami temi sprawiały, że części ich wynurzonej za grzbietowe wygięcia potworu brano.

Lecz widział autor i prawdziwe, pięknie przegowane węże wodne, grubości uda ludzkiego, na gładkiej powierzchni morza spokojnie rozciągnięte, albo też wolném, falistém poruszaniem się w strony, pod wodę idące. A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WILNO.

Do nr 150 kroniki z r. 1847.

92. Mastologia czyli historia naturalna zwierząt ssących, obejmująca opisy ich rodzajów, gatunków i odmian; z dodaniem nauki wyrazów zoograficznych i wiadomości o szczątkach zwierzęcych kopalnych, dzieł PP. Cuvier, Geoffroy Saint-Hilaire, Pallas, Illigera, Desmarest, Temminck'a, Lessona, oraz innych znakomych tegoczesnych naturalistów zebrana, i podług najnowszej metody ułożona, przez Gustawa Bolke... Tom II (z 5 tablicami). 8ka. Wilno. 1848. Druk J. Zawadzkiego, nakładem autora. Str. VIII i 578. Z prenumeratą na tom 3ci. Złp. 64.

1849.

WARSZAWA.

15. Kalendarzyk polityczny na rok 1849. wydał Fr. Radziszewski. Rok siedemnasty. 16ka. Warszawa. (1849). Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Kart 3. i str. 584, rejestru karta 1. Złp. 6 gr. 20.

16. Kazania postne, z niemieckiego przepolszczone przez X. P. Winnickiego. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 3. i str. 194. Złp. 6.

17. Poradnik dla poci pięknej, albo hygiena piękności przez Deboy. Tłumaczyła z francuzkiego J. R. 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk J. Glücksberga. Napisów kart. 2 str. 151, i rejestru kart 2. Złp. 6.

18. Podarek dla poci pięknej, przez Karola Jackowskiego. 12ka. Warszawa. 1849. Druk strąbskiego, Kart 2 i stron. 106. Złp. 3.

19. Przewodnik Praktyczny do pisania prośb i listów urzędowych i prywatnych w języku rossyjskim, z dołączeniem: Postanowień odnoszących się do każdego rodzaju pism urzędowych, wzorów różnych pism, listów handlowych prywatnych i t. p. oraz nowo-zebranych wyrazów, służących za dodatek do Słownika polsko-rossyjskiego, administracyjnego i sądowego i tłumaczenie wyrazów rossyjskich na polskie, w tymże słowniku zawartych, przez P. Dubrowskiego. 8ka. Warszawa. 1849, Nakładem J. Bernsteina, druk Strąbskiego. Kart 4 i str. 120. Złp. 3 gr. 10.

W I L N O.

20. *Hersylja, powieść obyczajowa* przez Ewę Felińską. 2 tomy, 12ka. Wilno. 1849. Nakład i druk T. Glücksberga. T. I, str. 245. II, str. 264. Ztp. 13 gr. 10.

21. *Podróż do Rzymu* X. M. Józefa Geramb'a opata i generała zakonów Trapistów. Z drugiego wydania w języku francuskim tłumaczona przez X. S(tanistawa) S(narskiego) D(ominikana). 2 tomy. 12ka. Wilno, 1849. Nakładem Rubena Rafałowicza, druk M. Zymelowicza. Tom I kart 3, str. 174 i rejestru kart 2. II, str. 142 i rejestru karta 1, Ztp. 10.

22. *Pamiętnik Jana Chłopickiego Porucz. 7 pólku ułanów wojsk francuzkich, z czasów kampanij Napoleona*. Spisany z ustnych opowiadań przez jego syna. Z portretem autora. Ozdobiony winjetami Horacego Werneta. Wydany staraniem i kosztem Romualda Podbereskiego. 8ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart 2. str. VI i 80. Ztp. 6 gr. 20.

23. *Rocznik literacki. Pismo zbiorowe. Rok czwarty. Z portretem St. Moniuszki i winietaми Wincentego Smokowskiego. Tu-dzież z widokiem chatki syberyjskiej i wnętrza świetlicy ruskiej*. Pod redakcją Romualda Podbereskiego. 8ka. Wilno. 1849. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XXIII i 205, rejestru karta 1. Ztp. 13 gr. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Księgarnia S. Orgelbranda wkrótce wyda ostatnie poszyty dzieła: „*Starożytna Polska*”. Poszyty te uzupełnią tom 3ci i zakończą to dzieło niemałej wartości.

Taż księgarnia wydaje swoim nakładem: „*Mój dziennik; wypadki z roku 1815, przez Ludwika Filipa Orleańskiego, byłego króla Francuzów*”, we dwóch tomach, przekład S. P.

Tom trzeci dzieła „*Historya zgromadzeń zakonnych*” przez ks. Benjamina prowincyała zgromadzeń OO. Kapucynów, już znajduje się pod prasą drukarską. Będzie jak poprzednie ozdobiony rycinami kolorowemi.

W Wilnie w drukarni J. Zawadzkiego wyszedł: „*Pamiętnik Jana Chłopickiego porucznika siódmego pułku ułanów wojsk francuzkich, z czasów kampanij Napoleona*”; z portretem autora.

Zapowiedziane jest wyjście ważnego przyczynku do dziejów naszych, Żegoty O' Nacewicza, p. n: „*Krótki przegląd dziejów W. ks. Litewskiego od pierwszych początków aż do r. 1387*”.

S. H. Merzbach wkrótce ukończy z wydaniem 9 i 10 zeszytu zapowiedziane „Album malownicze” w edycji ozdobnej z rycinami, którego już wyszło poszytów 8.

W końcu marca ma rozpocząć się druk pierwszego tomu „Żywotów malarzy polskich” przez Edw. bar. Rastawieckiego, do którego prześliczne wizerunki wykończył p. J. Piwarski. Dzieło to ma wyjść na najlepszym papierze w najozdobniejszém wydaniu, na jakie tylko drukarnie warszawskie zdobyć się będą mogły.

Romuald Podbereski, który wydawał Rocznik literacki w Petersburgu, osiadł w Wilnie i pisma swoje tam wydaje.

A. E. Odyniec napisał nowy oryginalny poemat treści religijnej, z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Józef Muczkowski prof. i bibliot. uniwersytetu w Krakowie, przygotowuje 2gie wydanie swęj Grammatyki. Jego „*Liber promotionum*” wyjdzie za kilka tygodni; ma mieć do 40 arkuszy druku.

Księgarnia J. Czecha drukuje „Historią Henryka Walezysza”, przez Albertrandego.

Jan Nep. Deszkiewicz wyłatał w Krakowie kilkanaście godzin, usprawiedliwiając swe zasady w Grammatyce objawione; z jakim powodzeniem? nie można powiedzieć.

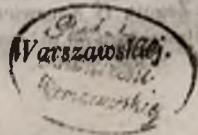
Wydział lekarski w Krakowie zamierza wydać wszystkie kursa drukiem, aby dać uczniom w rękę książki, których się mają trzymać.

W Wieliczce znalazł p. Niedzielski obywatel z przyległej wioski nader ciekawego dukata, którego Władysławowi Łokietkowi przypisuje. Nie wiadomo jak dalece to oznaczenie jest prawdziwem; ale to pewna, że mu już za niego dawano 2000 złp. Byłaby to nader wielka osobliwość numizmatyczna.

W r. z. w lipcu zawiązało się w Berlinie towarzystwo geologiczne niemieckie. Z cudzoziemców zawiązało by do niego należeli: Eichwalda, Hoffmana i Kayserlinga w Petersburgu, i Ludwika Zejsznera w Krakowie.

Dominik Krysiński, b. prof. nauk administracyjnych w b. uniw. warsz. ogłosił przedpłatę na „Naukę Ekonomii politycznej i finansów. Dzieło to składać się ma z trzech tomów, a każdy tom ma zawierać 20 ark. druku. Cena pren. złp. 40.

W litografii H. Hirszel wyszły nowe Ćwiczenia (*Etudes*) przez O. Kolberga. Op. 20.



Styczeń 1849.

Observatorium w Warszawie

Wielkość ciśnienia powietrza w milimetrach słupa powietrza

TERMOMETR		BAROMETR		Dzienny Kierunek	Wiatr
Wzrost powietrza	Wzrost powietrza	Wzrost powietrza	Wzrost powietrza		
10	10	10	10		
9	9	9	9		
8	8	8	8		
7	7	7	7		
6	6	6	6		
5	5	5	5		
4	4	4	4		
3	3	3	3		
2	2	2	2		
1	1	1	1		
0	0	0	0		
-1	-1	-1	-1		
-2	-2	-2	-2		
-3	-3	-3	-3		
-4	-4	-4	-4		
-5	-5	-5	-5		
-6	-6	-6	-6		
-7	-7	-7	-7		
-8	-8	-8	-8		
-9	-9	-9	-9		
-10	-10	-10	-10		

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Styczeń 1849.

Styczeń 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25",5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		763.12	763.33	760.61	759.25	-18.0	-17.5	-14.2	-13.7	
2	☾	758.65	759.71	759.92	760.30	-14.1	-13.9	-14.9	-16.9	
3		758.98	759.47	756.04	751.84	-17.4	-15.1	-14.1	-16.8	
4		747.28	745.27	743.04	744.52	-14.9	-12.0	-10.5	-7.0	
5		747.00	749.51	748.50	743.43	-4.8	-3.9	-7.4	-11.5	
6		742.28	743.34	744.44	744.09	-11.6	-8.5	-6.7	-5.6	
7		740.94	743.21	747.45	747.92	-4.6	-4.7	-9.4	-11.6	
8		747.09	750.09	751.86	753.12	-11.4	-13.3	-16.5	-18.9	
9	☽	753.41	753.83	752.69	752.62	-18.9	-15.0	-12.4	-18.4	
10		751.16	751.34	748.88	745.46	-18.0	-18.3	-18.9	-24.3	
11		744.02	744.62	744.51	745.42	-25.1	-22.9	-17.7	-19.4	
12		747.68	750.39	752.88	753.47	-18.4	-16.1	-17.3	-12.0	
13		754.75	755.75	754.32	750.65	-8.4	-7.3	-7.8	-10.5	
14		744.36	743.32	736.78	727.83	-7.6	-5.8	-3.8	+0.8	
15		728.17	733.02	741.43	742.47	+1.0	+1.6	+2.0	+1.6	86.7
16	☾	744.48	745.16	744.80	746.08	+1.0	+1.9	+1.8	+2.7	97.5
17		749.39	750.81	748.88	746.77	+1.4	+1.5	+1.5	+2.6	97.5
18		744.28	747.43	751.03	753.86	+3.7	+4.6	+3.0	-0.1	95.5
19		750.54	750.08	751.57	752.80	+2.2	+4.4	+5.0	+4.5	96.7
20		752.12	752.35	751.51	755.52	+4.2	+3.8	+4.2	+2.7	93.5
21		762.60	765.04	762.45	755.46	-1.5	-1.1	0.0	+1.5	94.2
22		753.17	751.90	747.64	746.48	+1.4	+2.6	+3.3	+2.7	89.0
23		746.59	745.93	743.84	740.65	+2.5	+3.4	+3.0	+1.1	90.5
24	☽	742.80	745.11	740.50	737.96	+1.8	+2.7	+1.7	+4.4	96.5
25		736.00	739.02	740.71	742.28	+5.0	+4.9	+4.6	+2.0	97.7
26		742.35	742.92	740.47	739.47	+5.0	+5.1	+5.2	+4.5	97.0
27		739.52	740.58	745.02	747.11	+2.3	+1.8	+0.6	-0.1	100.
28		748.17	748.94	746.66	744.04	-0.2	+0.3	-0.1	+0.2	98.2
29		742.20	742.86	742.69	743.62	-0.5	+0.3	+0.2	-1.5	96.5
30		745.25	748.32	752.89	755.48	-5.0	-5.6	-6.3	-8.6	100.
31	☾	754.24	752.48	749.08	745.79	-10.1	-10.7	-9.9	-11.6	100.
Śre.		747.825	748.875	748.490	747.605	-5.77	-4.93	-4.87	-5.72	95.7

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s.7
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
pochmurny	napót pog.	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
pogodny	pogodny	pr. pogodny	smugi	Z.	Z.	Pn.	Pd.		
pochmurny	pr. pogod.	napót pog.	śnieg drob.	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		0.2
pochmurny	pochmurny	smugi	smugi	PnZ.	PnZ.	Z.			
pogodny	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		1.6
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		0.3
pochmurny	napót pog.	pogodny	pogodny	Z.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Pn.	PdW.				
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	W.	PdW.	PdW.		
pogodny	smugi	smugi	smugi	W.	W.	W.	W.		
napót pog.	smugi	pogodny	pochmurny	PnW.	W.	PdZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Pd.	Pd.		0.2
pochmurny	pochmurny	śnieg pruszy	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		7.2
dészcz	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		0.8
pochmurny	pochmurny	dészcz	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.		2.8
pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
dészcz	chm. podz.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		1.4
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		1.2
pochmurny	mgła grub.	pr. pochm.	lek. zamgl.	PnZ.	Z.	Pd.	Z.		
pochmurny	smugi	pochmurny	dészcz	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		2.8
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		1.4
pochmurny	pochmurny	dészcz z śn.	dészcz	PnZ.	Z.	PdZ.	Z.		1.2
pochmurny	dészcz	dészcz dr.	dészcz	Z.	PnZ.	PnZ.	PdZ.		4.8
dészcz drob.	dészcz dr.	pochmurny	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.		3.0
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		0.3
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnW.	W.		0.3
pochmurny	smugi	pochmurny	śnieg drob.	PdW.	PdW.	PdW.	PnW.		0.2
zadymka	zadymka	zadymka	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		20.0
pochmurny	pogodny	napót pog.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pd.		3.2
Śre.								16.6	38.3

	mm.	e.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.198	27	7.673
Najwyżej dochodził — d. 21 o 10 g. r.	765.04	28	3.139
Najniżej — — d. 14 o g. 10 w.	727.83	26	10.644
Średnia zmiana dzienna barometru	5.56		2.47
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 10 w.	22.82		10.12
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	751.403	27	9.093
Średnia temperatura Stycznia wynosi: i ta jest wyższą o	— 5 ^o .32 C.	—	4 ^o .26 R.
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.31 „		0.25 „
Największe ciepło dochodziło d. 26 o g. 4 w.	— 5.63 „	—	4.51 „
Największe zimno d. 11 o g. 6 r.	+ 5.2 „	+ 4.2 „	
(Termometrograf wskazał Maximum: + 4 ^o .98 R. d. 19 i 25. Minimum: — 20 ^o .93 R. d. 11 r.).	— 25.1 „	— 20.1 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.40 „		2.72 „
Największa zmiana dzien. d. 13—14 o g. 10 w.	11.3 „		9.0 „

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95.7 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo 3,75 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 1; napółpogodnych 11; pochmurnych 19:

- deszczu 9 (d. 15, 16, 18, 20, 22, 23, 24, 25, 26).
- śniegu 11 (d. 4, 7, 8, 13, 14, 16, 24, 27, 28, 29, 30).
- mgły 2 (d. 6 i 17).
- gradu 1 (d. 23).

Wody z deszczu spadło wysoko na 16.6 millim. czyli 7.35 linii paryz.; z śniegu 38.3 milim czyli 16.97 linii paryz., razem 54.9 millim, czyli 24.32 linii paryz., co jest przeszło dwa razy więcej od ilości, która w tym miesiącu zwykle spada (25.7 milim. czyli 11.38 linii paryz.).

Wichrów było 6, t. j. Z=4; PnW=1; PnZ=1.

Wiatr panujący Zachodni.

Styczeń w r. b. znacznie się różnił od stanu normalnego. Miesiąc ten w pierwszej połowie był mroźny, suchy i pogodny; przeciwnie w drugiej połowie ciepły, wilgotny i słotny jakby w porze jesienną. Temperatura stycznia jest o 0.25 stopni R. wyższa od normalnej. Wilgotność była blisko o dwie setne większa niż w stanie średnim. W dniu 14 po mrozie dochodzącym z rana do —6^o.4 R. w wieczór nastąpiła zmiana temperatury 7 stopni R. wynosząca, a następnie odwilż. W dniu 29 nastąpiła powtórna zmiana stanu temperatury z dodatniej na odjemną. Wicher silny zachodni połączony z deszczem trwał ciągle przez pięć dni. to jest: d. 23, 24, 25, 26, 27. Przez noc d. 29 i dzień 30 była wielka zadymka śnieżna; w dniu tym spadło więcej śniegu niż innych lat w całym miesiącu. Woda stopiona ze śniegu spadłego wynosi 20 mill. czyli 8.86 linii paryz., co do wysokości. Zmiany; temperatury i stanu atmosfery przypadły w dniach przejścia księżycy przez równik niebieski, to jest gdy księżyc przechodził z półkuli północnej na południową i przeciwnie. Największy mróz dochodził 20.3 stop. R. d. 11 z rana. Dni najcieplejsze były: d. 18, 19, 20, 25, 26. Najzimniejsze d. 1, 2, 3, 8, 9, 10, 11, 12.

Wista pod Warszawą stanęła dnia 4; lody ruszyły d. 26; zamrażanie jej trwało tylko 22 dni.

D. 5 w wieczór koło białe otaczało księżyc.

D. 22 i 31 na słońcu wiele plam było widzialnych.

Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Warszawskiem w roku 1848 robionych.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 47^s, czyli w łuku 18° 41' 45", na wschód względem południka Paryzkiego.

Rok 1848	WYSOKOŚĆ BAROMETRU w milimetrach sprowadzona do 0°					TEMPERATURA podług termometru stustopniowego					Psychrometr. Wilgotność średnia miesięczna biorąc 100 za zupełne nasycenie		S T A N N I E B A										Ilość wody spadłej w milimetr.		KIERUNEK WIATRU														
	ś r e d n i a					najwyższa	najniższa	ś r e d n i a					najwyższa	najniższa	ś r e d n i a		Dni pogod.	Napół. pog.	Dni pochm.	Dni deszczu	Dni śniegu	Gradu	Mgły	Gromotów	Błyskawic bez grzmotów	Wichrów	deszczu	śniegu	Północny	Północno- Wschodni	Północno- Wschodni	Wschodni	Południowo- Wschodni	Południowy	Południowo- Zachodni	Zachodni	Północno- Zachodni		
	6	10	4	10	miesięcz.			6	10	4	10	miesięcz.			6	10																						4	10
Styczeń	756. 731	757. 143	756. 515	756. 518	756. 727	769. 50 d. 27	739. 97 d. 31	-14°. 43	-13°. 08	-11°. 64	-13°. 20	-13°. 09	- 5°. 0 d. 31	-24°. 7 d. 26	88.2	75.4	69.2	85.4	79.6	64	154	148	133	33	3	25	22	11	34	476. 3	57. 4	119	113	119	227	167	158	349	107
Luty	745. 634	745. 996	745. 535	745. 716	745. 720	763. 81 d. 3	731. 67 d. 23	- 1°. 61	+ 0°. 09	+ 1°. 58	- 0°. 51	- 0°. 11	+ 9°. 4 d. 28	-14. 7 d. 9	99.2	93.1	91.2	96.8	95.4	4	7	18	11	5	3	3	2	2	2	23. 9	0. 2	4	4	2	16	26	24	34	3
Marzec	746. 086	746. 923	746. 534	746. 722	746. 566	762. 53 d. 28	732. 25 d. 1	+ 1. 19	+ 4. 88	+ 6. 72	+ 2. 72	+ 3. 87	+13. 4 d. 31	- 3. 5 d. 9	93.4	80.8	72.3	86.6	83.2	3	10	18	6	6	4	4	2	2	14. 0	21. 5	1	3	3	59	25	5	20	6	
Kwiecień	745. 818	746. 127	745. 293	745. 322	745. 640	757. 09 d. 1	732. 87 d. 23	+ 7. 65	+12. 02	+15. 43	+ 9. 17	+11. 22	+22. 6 d. 21	+ 0. 7 d. 1	85.5	63.6	54.2	80.9	71.1	5	21	4	13	1	1	2	4	4	46. 0	25. 9	8	4	4	26	17	24	24	10	
Maj	751. 413	751. 697	750. 870	751. 157	751. 283	758. 74 d. 7	744. 68 d. 27	+10. 81	+15. 14	+18. 20	+11. 65	+13. 95	+24. 7 d. 17	+ 1. 3 d. 5	76.7	57.4	47.2	69.0	62.7	13	12	6	10	2	2	3	3	26	25. 9	26	8	3	14	2	5	30	14		
Czerwiec	748. 069	748. 310	747. 644	747. 646	747. 916	755. 45 d. 15	739. 63 d. 30	+17. 52	+20. 86	+23. 42	+17. 33	+19. 79	+34. 8 d. 18	+12. 1 d. 10	79.3	64.2	56.4	80.0	69.3	3	21	6	18	1	1	8	2	90. 8	40. 0	14	5	8	23	10	6	33	10		
Lipiec	750. 797	750. 989	750. 431	750. 647	750. 716	760. 31 d. 13	734. 50 d. 1	+16. 86	+20. 16	+22. 77	+16. 77	+19. 12	+33. 2 d. 27	+10. 0 d. 4 i 18	76.9	61.7	51.0	76.2	66.5	9	15	7	11	1	1	4	1	40. 0	64. 8	22	2	3	5	16	11	27	22		
Sierpień	750. 215	750. 356	749. 649	750. 279	750. 125	757. 57 d. 27	741. 47 d. 4	+14. 73	+19. 23	+21. 14	+14. 85	+17. 50	+27. 2 d. 30	+ 8. 1 d. 27	81.8	62.2	54.5	79.0	69.8	6	20	5	14	1	1	3	1	64. 8	44. 4	5	1	5	8	17	22	47	5		
Wrzesień	750. 136	750. 615	750. 181	750. 507	750. 310	756. 75 d. 16	742. 23 d. 11	+ 9. 86	+13. 56	+15. 72	+11. 31	+12. 61	+26. 6 d. 11	+ 2. 7 d. 17	90.3	74.3	67.3	84.8	79.0	5	12	13	15	1	1	5	4	44. 4	69. 8	17	10	17	10	2	6	33	11		
Październik	750. 059	750. 540	749. 781	750. 013	750. 099	761. 09 d. 5	735. 82 d. 17	+ 7. 67	+10. 29	+11. 02	+ 8. 50	+ 9. 37	+17. 6 d. 19	+ 0. 2 d. 24	93.0	87.3	83.5	94.3	90.1	2	13	16	15	1	1	8	1	31. 9	19. 8	5	7	22	29	18	11	23	5		
Listopad	747. 194	747. 729	746. 938	747. 311	747. 293	759. 87 d. 26	731. 51 d. 14	+ 0. 88	+ 2. 48	+ 2. 85	+ 1. 66	+ 1. 99	+10. 0 d. 1 i 30	- 7. 5 d. 16	95.7	90.7	89.8	94.6	92.6	4	11	15	9	9	4	1	31. 9	24. 8	12	9	3	7	14	31	33	9			
Grudzień	755. 502	756. 238	755. 883	756. 090	755. 928	769. 31 d. 21	742. 32 d. 17	- 0. 09	+ 0. 64	+ 0. 60	- 0. 23	+ 0. 23	+ 9. 4 d. 8	-18. 2 d. 31	96.8	94.1	93.9	97.5	95.6	2	9	20	11	3	1	4	24. 8	4. 3	4	16	6	9	11	12	41	12			
Roczna	749. 803	750. 219	749. 605	749. 811	749. 800	769. 50 d. 27 Stycznia.	731. 51 d. 14 Listopada.	+ 5°. 84	+ 8°. 93	+10°. 65	+ 6°. 73	+ 8. 04	+34°. 8 d. 18 Czerwca.	-24°. 7 d. 26 Stycznia.	88.2	75.4	69.2	85.4	79.6	64	154	148	133	33	3	25	22	11	34	476. 3	57. 4	119	113	119	227	167	158	349	107

Średnia wysokość roczna barometru... 749.800 milim. czyli c. 1. 27 8.411
 Najwyższy barometr dochodził d. 27 Stycznia 769.50 28 5.117
 Najniższy d. 14 Listopada 731.51 27 0.275
 Zmiana roczna barometru... 37.99 16.842
 Średnia zmiana miesięczna... 3.366 1.490
 Średnia zmiana dzienna... 5.36 1.493
 Największa zmiana dzienna przypadła d. 12-13 Stycznia o 6 g. r. 18.86 8.36
 Średnia wysokość barometru roczna jest o 0.085 0.37
 mniejsza od stanu normalnego z 22 lat poprzednich... 749.945 27 8.448
 Średnia wysokość barometru była wyższa: w Styczniu, Lutym, Maju, Lipcu, Sierpniu, Grudniu; przeciwnie: w Marcu, Kwietniu, Czerwcu, Październiku, Listopadzie, niższa niż w stanie normalnym tychże miesięcy.

Średnia temperatura roczna wynosi: + 8°.04 C. = + 6°.43 R. i ta jest wyższa o 0.65 " 0.52 " od stanu normalnego z 22 lat poprzedz. + 7.39 " + 5.91 "
 Największe ciepło dochodziło d. 18 Czerwca + 33.8 " + 27.84 "
 Największe zimno d. 26 Stycznia - 24.7 " - 19.72 "

Zmiana roczna temperatury... 59°.5 C. 47°.56 R.
 Średnia zmiana miesięczna... 4.86 " 3.86 "
 Średnia zmiana dzienna... 2.45 " 1.96 "
 Największa zmiana dzienna d. 18-19 Grudnia... 14.3 " 11.4 "
 Uważając miesiące: Grudzień (1847 r.) Styczeń, Luty za miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za miesiące wiosenne; Czerwiec, Lipiec, Sierpień, za letnie; Wrzesień, Październik, Listopad za jesienne; wypada:
 Temperatura zimy - 5°.56 C. i ta jest niższa o 1°.82 C. wiosny - 4.36 " " wyższa 2.47 " lata + 9.68 " " wyższa 0.62 " jesieni + 7.90 " " wyższa 0.60 " od średniego stanu tychże por.

Miesiące cieplejsze od stanu normalnego były: Luty o 3°.29 C.; Marzec o 3°.24 C.; Kwiecień o 3°.75; Maj o 0.43; Czerwiec o 2°.28. Miesiące zimniejsze Styczeń o 7°.79. C.; Sierpień o 0°.68; Wrzesień o 1°.31; Listopad. o 0.56 C.

Rok 1848 pod względem temperatury należy do lat ciepłych. Wyjąwszy porę zimową inne trzy pory cieplejsze były niż w stanie normalnym.

Wilgotność średnia roczna wynosi: 79,6, biorąc liczbę 100 za największą wilgotność powietrza, albo 6,90 gramów na je-

dnym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 2 setne mniejszą jak zwykle.
 Ilość wody z deszczu wynosi: 476,3 mil. czyli cali 27 lin: 7.10 z śniegu " 57.4 " 2 " 1.44 razem wody z deszczu i śniegu 533.7 " " 19 " 8.54 to jest o 13,7 milim. czyli 6,08 lin. par. mniej od ilości wody (547,42 mil. czyli 20 c. 2,62 l.), jaka zwykle w czasie spadła; największej wody spadło w porównaniu do lat innych w miesiącu Kwietniu, Czerwcu, Październiku i Listopadzie; w Czerwcu dwa razy więcej wody spadło jak zwykle; najmniej w miesiącach Maju, Lipcu, Sierpniu i Grudniu. Wiosna i lato były suche; jesień była bardzo mokra.
 W całym roku było dni pogodnych 64; napółpogodnych 154; pochmurnych 148. Dni deszczu 133; śniegu 33; gradu 3; mgły 25; gromotów 2; błyskawic bez grzmotu 11; wichrów 34; Wiatr panujący był Zachodni; częste były także południowo-Wschodnie; najrzadsze Północno-Zachodnie.
 Jeżeli rok cały uważać będziemy jako całość podzieloną na 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy dni pogodne, napółpogodne i pochmurne; wypadnie w średnim przecięciu z 22 lat poprzednich (od r. 1826-1848), stosunek dni pogodnych, do napółpogodnych i pochmurnych, jak 15 : 34 : 51. W roku 1848 stosunek tych dni jest jak 18 : 42 : 40; co pokazuje, że rok ten był pogodniejszy jak zwykle. Miesiące najpogodniejsze były Kwiecień, Maj, i Lipiec; niepogodne: Luty, Marzec, Październik, Listopad i Grudzień.

Zima była mroźna, zmienna, mało w śnieg obfita o 1,82 stop. C zimniejsza jak zwykle. Początek tej pory był suchy, mroźny; środek nadzwyczaj mroźny i suchy; w Styczniu ani jednego dnia nie było w którymby termometr wznosił się wyżej nad zero. Koniec tej pory był łagodny, ciepły, wilgotny, deszcze często, ale nie obficie padały.
 Wiosna, osobiwająca była w tym roku, to jest: cieplejszą, pogodniejszą, i o miesiąc wcześniej się zaczęła jak zwykle. Średnia temperatura tej pory jest o 2,47 stop. C. wyższa od normalnej. Początek tej pory był ciepły, suchy, śniegu więcej spadło jak w Lutym. Środek nadzwyczaj ciepły, i prawie porę letnią wyobrażał; grzmoty, błyskawice i gorąca jak wśród lata. Roślinność wcześniej się w tym roku rozwijała; d. 10. Kwietnia już niektóre drzewa liśćmi były pokryte; deszcze częste przy znacznym cieple silnie życie roślinne podniecały. Koniec tej pory był pogodny, suchy, jednak chłodny przy wietrze północnym.
 Lato było suche i gorące, o 0,62 stop. C. cieplejsze jak zwykle. Początek tej pory odznaczał się pogodnym stanem nieba, wielkimi upałami, częstymi grzmotami i obfitymi deszczami; niektórych dni średnia temperatura całodzienna dochodziła do 25 stop. C. środek był pogodny, suchy, niektórych jednak dni poranki były chłodne. Koniec tej pory był pogodny, suchy, lecz chłodny. Około połowy Sierpnia pojawiła się w Warszawie epidemia cholery.
 Jesień, była niepogodna, słotna, zmienna, w ogóle jednak o 0,60 stop. C. cieplejsza jak zwykle. Początek tej pory bywa

u nas pogodny, ciepły i suchy; w tym roku przeciwnie był zimny, słotny i co do kierunku wiatru bardzo zmienny. Środek był ciepły, lecz słotny i mglisty, deszcze i śniegi obfite. Koniec lubo pod względem temperatury i stanu nieba zmienny, w ogóle jednak pogodniejszy i cieplejszy jak zwykle.
 D. 9 Kwietnia pierwszy grzmot dał się słyszeć.
 D. 28 Lutego lody na wiśle pod Warszawą ruszyły.
 Ostatni śnieg z wiosny przyszył d. 11 Marca, a pierwszy w jesieni d. 6 Listopada.
 Ostatni mróz z wiosny dochodził - 0,9 stop. C d. 17 Kwietnia; a pierwszy w jesieni - 1,0 stop. C d. 6 Listopada.
 Słońca boczne widziano d. 5 i 14 Stycznia; d. 26 Lutego; d. 5, 28, 29 Marca; d. 8, 18 Kwietnia.
 Kora biała otaczała słońce d. 8 Lutego; d. 3 maja; d. 1 Czerwca; d. 3, 5 Października, d. 17 Listopada.
 Obręcz biała otaczała księżyc d. 10, 13 Lutego; d. 13, 14, 19, 20 Marca; d. 12 Kwietnia; d. 14, 16 Lipca; d. 8 Listopada d. 2, 11 Grudnia.
 Pas świetny przez księżyc przechodził d. 14 Sierpnia, i d. 3 Października.
 Zorza północna widziana d. 23 Października, d. 17, 21 Listopada.
 Zorza radykalna świeciła d. 27 Marca i d. 6, 7 Grudnia.
 Na stołcu wiele plam było widzianych w Miesiącu Lutym, Lipcu, Sierpniu i Listopadzie.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1849.

Materyały historyczne.

	Stron.
Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporozża, przez <i>Michała Gliszczyńskiego</i> . Z mapą.....	1, 374, 484
Wydatki magistratu Starej Warszawy w roku 1579. Podał <i>T. Lipiński</i>	165
Wyciągi z rękopisu 1749 r., przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> .	396
Dawne pismo wójta warszawskiego z roku 1459; podane przez <i>Bolesława Podczaszyńskiego</i>	623
<i>Biografia.</i>	
Wiadomość bibliograficzna o życiu i pracach naukowych <i>Ludwika Bojanusa</i> . Przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> ..	169
Wspomnienie o <i>Łukaszu Gołębiowskim</i> , przez <i>X. J.</i>	406

Filozofia.

	Stron.
O powołaniu lekarza. Wyjątek z listu pierwszego Dra Ferdynanda Dworzaczka.....	477

Nauki społeczne.

Wiadomość o pomiarach geodezyjnych, wykonywanych w królestwie Polskiem, przez S. P.....	404
---	-----

Opisy i podróże.

Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez Ludwika Zejsznera.....	57, 535
Wspomnienia z podróży po kraju, odbytej przez 8 uczniów Instytutu Agronomicznego w Marymoncie, pod przewodnictwem Wojciecha Jastrzębowskiego, w czasie wakacyj, t. j. w miesiącach lipcu i sierpniu 1848 r. 221,	441
Szeklery i ich kraina. (Z angielskiego).....	258

Literatura.

Pieśni ludu weselne, przez Oskara Kolberga (ciąg dalszy).	605
Wiadomość bibliograficzna. Przez A. W	176

Powieści.

Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego.....	330, 569
---	----------

Rozbiory.

Historja narodu i państwa rzymskiego, przez Jana Szwajnicę. Przegląd przez A. Tyszyńskiego.....	92
Dwanaście śpiewów polskich z towarzyszeniem fortepianu, przez Józefa Nowakowskiego. Warszawa. Przez J. S.....	155
Berghaus: <i>Physikalisches Atlas</i> . Gotta. 2 Bände. Przez S. P.	161
Wędrowki Oryginała, przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1848. 1 tom. Przez E. L.....	597

Nauki przyrodzone.

O złocie, przez Jana Mitkiewicza (dokończenie).....	284
---	-----

	Stron.
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Do czytających te Wiadomości. O korzyściach nauk przyrodzonych. — O stanie ich u nas. Przez <i>A. W.</i> ...	179
Astronomia, przez <i>J. B.</i>	190, 408
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	195, 411, 632
Chemia, przez <i>J. B.</i>	204, 413, 634
Historja naturalna. Zoologia, przez <i>A. W.</i> ...	206, 416, 643
<i>Kronika bibliograficzna</i>	215, 434, 662
Doniesienia literackie.....	216, 435, 663
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z.	217
— — grudzień r. z.	437
— — styczeń r. b.	665
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum warszawskiem w roku 1848 robionych.	

